

Fern Michaels

Za wszelką cenę

Desperate Measures

Przekład Elżbieta Delis–Modzelewska

PROLOG

To był najlepszy dzień jego życia.

Przypominał sobie inne dni, te złe i straszne, a potem te nie najgorsze, znośne, które można było przeżyć.

Maddie Stern powiedziała, że za niego wyjdzie. Myślał, że nigdy do tego nie dojdzie, tak samo jak kiedyś był przekonany, że nigdy nie odnajdzie go wuj. Będzie miał kogoś na zawsze. Kobieta, która obdarzy go bezwarunkową miłością, będzie z nim wszystko dzielić, będzie się z nim starzeć i wychowywać dzieci. Kobieta imieniem Maddie Stern.

Gdyby można było spacerować w powietrzu, Pete Sorenson zmierzający do samolotu udającego się na bostońskie lotnisko Logana, unosiłby się metr nad ziemią. Był wysoki, a ciemne oczy, ciężka linia brwi i nieprzyzwoicie piękne rzęsy stanowiły silny kontrast z płowymi włosami.

Był roztrzęsiony. Kiedyś zdarzyło mu się wypić szesnaście filiżanek kawy i kilka butelek coli w ciągu sześciu godzin i czuł się wówczas dokładnie tak jak obecnie. Poza tym czuł się winny. Właśnie. Wina to straszna rzecz. Zmusza człowieka do robienia dziwacznych rzeczy, do kłamania i wymyślania wyrafinowanych wybiegów. Nie robił niczego niewłaściwego, co to, to nie. Tak, rzeczywiście, odezwał się jego głos wewnętrzny, dlaczego w takim razie czekałeś, aż Maddie wyjedzie w podróż po zakupy dla sklepu, by zrobić ten wypad do Bostonu dla spotkania się z Annie? Dlatego, wyjaśnił swemu wewnętrznemu ja, że chciałem spędzić jak najwięcej czasu z Maddie. Teraz, gdy wyjechała, nie będę jej oszukiwał. Straszne słowo, Sorenson, oszustwo. Maddie nie rozumie mojej przyjaźni z Annie, kontynuował obronę. Jak już ją pozna, inaczej będzie to odbierała.

Zapinając pas słuchał jednym uchem, co stewardesa mówiła na temat środków bezpieczeństwa, a streszczenie sprawy miał rozłożone na kolanach. Powinien skupić się nad aktami, ale myślą błądził wokół niespodzianki, jaką sprawi Annie, kiedy wpadnie nagle i porwie ją na kolację. Annie ucieszy się bardzo z jego szczęścia.

Miał zamiar jej powiedzieć kilka tygodni temu, gdy Maddie przyjęła jego oświadczenia, ale pragnął zaczekać, aż przyjdzie odpowiednia chwila. Annie zrozumie. Jest wspaniała. Annie to ktoś więcej niż doskonały przyjaciel — to najlepszy przyjaciel, jakiego można mieć na całym bożym świecie; więcej niż doskonały prawnik. To doskonała osoba w każdym sensie tego słowa. Osoba obdarzona moralnością, etyką oraz niekwestionowaną zdolnością dawania zawsze właściwych odpowiedzi na wszystkie jego pytania. Zawsze znajdowała właściwe słowo, a jej twarz miała właściwy wyraz. Annie to cholernie doskonała osoba i w żaden inny sposób nie wyraziłby tego. Będzie musiał kiedyś uświadomić Maddie, jak ważną rolę odegrała Annie w jego życiu.

Pete odchylił się w fotelu i pozwolił porwać się wspomnieniom. Zapomniał o dokumencie na kolanach, zapomniał o Maddie i o wuju. Zapomniał o wszystkim poza Annie Gabriel. Gdy wyczuł wokół siebie poruszenie, otworzył oczy i rozpiął pas.

Wyszedł z budynku dworca lotniczego i złapał taksówkę. W dwadzieścia minut później wsunął głowę do biura przyjaciółki.

— Hej, miła pani, potrzebuję towarzystwa na kolację. Tylko we dwoje, co ty na to? — zapytał typiąc na nią okiem.

— Pete! — Annie poderwała się z krzesła i w sekundę później znalazła się w jego objęciach. — Jak dobrze cię widzieć. Co tu robisz? To zresztą zupełnie nieważne. Strasznie się cieszę, że cię widzę. Tak, jeśli chodzi o kolację. Dobrze wyglądasz — dodała śmiejąc się.

Pete obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Falujące włosy, czysta cera i uwielbiany przez dziewczynę doskonały fason kostiumu. Maddie ma zawsze włosy w dzikim nieporządku i nade wszystko przedkłada luźną, powiewającą odzież. Swoją garderobę nazywa radosną i na topie. Zawsze nosi długachne, objijające się i dzwoniące klipsy.

— A ty — odparł — wyglądasz doskonale, by iść jeść. Dennis pewnie coś dobrze robi — dodał mając na myśli jej przyjaciela, a swego dawnego współmieszkańca z pokoju. — Możesz wyjść? Chciałbym, abyśmy przed kolacją wypili co nieco. Mam ci mnóstwo do opowiedzenia. Czy będziesz miała coś przeciwko temu, żebyśmy poszli bez Dennisa? Chciałbym dziś wieczorem mieć cię wyłącznie dla siebie.

— Nie ma sprawy. Dennis ma wieczorne posiedzenie sądu. Daj mi parę minut. Masz tu świeżą kawę. Twoja ulubiona — dodała promieniejąc.

— Waniliowa z orzeszkami laskowymi i odrobiną cynamonu.

— W lodówce jest prawdziwa śmietanka. Wiesz, gdzie jest kuchnia. Tylko żebyś nie ośmielił się jeść ciastek ani pączków, które leżą na stole.

— Nawet o tym nie myślę — odparł Pete, po czym wkroczył do kuchni, gdzie zerknął na pączki. Schrupał cztery.

Rozejrzał się po kuchni. Trudno wprost uwierzyć, że Annie pracuje na to od siedmiu lat i rozpoczęła w dniu, gdy skończyła prawo. Jeszcze bardziej godne uwagi było to, że umocnili swą przyjaźń, odwiedzając się wzajemnie raz na miesiąc, dzwoniąc do siebie raz na tydzień i wysyłając sobie zabawne karty. Gdy zdarzało się czasami, że jedno z nich wyjeżdżało z miasta czy też pracowało nad trudną sprawą, comiesięczne spotkanie nie odbywało się, ale zarazem zawsze udawało im się umówić w innym terminie. Przyjaźni, która ich łączyła, ani nie rozdzielało towarzystwo, ani też nie zacieśniał czas.

Pete przymknął oczy i popijał kawę. Próbował wyobrazić sobie, jak Annie zareaguje na jego nowiny. Czy zapiszczy mówiąc: „Oszalałeś?”, czy też popatrzy na niego tymi swoimi szeroko rozwartymi oczami i powie: „Wciąż cicha woda brzegi rwie”. Jednocześnie potrafiła poklepać tak go po plecach, że aż leciał do przodu. Miał zamiar powiedzieć jej, że kiedy zechcą z Maddie mieć dzieci, nazwie swą pierwszą córkę imieniem Annie. Annie będzie miała wilgotne oczy i nie będzie potrafiła wydusić słowa, a on będzie się pysznił rozpromieniony. Wiedział, że Maddie się zgodzi.

— Jestem gotowa, panie Sorenson — powiedziała wchodząc do kuchni z przewieszoną przez ramię torebką od Chanel, którą podarował jej na ostatnie Boże Narodzenie. — Przrzekłeś, że nie zjesz tych pączków, a zjadłeś.

— Nie zjadłem — skłamał uroczyście.

— To skąd ten lukier wokół twoich ust?

— No cóż, panno Dowcipnicka, obwąchiwałem je i pewnie podszedłem za blisko — próbował powiedzieć Pete z nieporuszoną twarzą.

— Dokąd idziemy?

— W jakieś miejsce gdzie światło jest przyćmione i panuje intymny nastrój. W miejsce z cichą muzyką, dobrym jedzeniem i trunkami. W takie miejsce, gdzie rachunki są tak wysokie, że będziemy musieli zmywać naczyń.

— Boże, co mamy do uczczenia? Wygrałeś na loterii czy co?

— Coś lepszego — odparł Pete żywo.

— Co może być lepszego od wygranej na loterii? — spytała.

— Jest coś takiego.

— Poczekaj sekundkę, muszę zabrać teczkę. Jeśli jej nie wezmę, zdaje się, że nie uda mi się wrócić.

Wróciła z wypchaną, podniszczoną teczką, która wyglądała dokładnie tak samo jak jego.

— Stęskniłem się za tobą, Annie — powiedział Pete i otoczył jej ramiona ręką, gdy wychodzili z biura. — Czy nie mogłabyś odejść z tej firmy i przenieść się do Nowego Jorku?

— Nie, bo jak wiesz, u nich dostałam pierwszą pracę — odparła. — Coś jestem im winna. Poza tym, podoba mi się tu i mam dość dużą szansę w przyszłym roku zostać współniczką. Poza tym życie w Nowym Jorku jest zbyt drogie. Przechodziłabym tylko od jednych problemów do drugich. Zostajesz czy łapiesz ostatnie połączenie?

— Wracam wieczorem. Jutro o ósmej muszę postawić wniosek. Chodźmy do Bonderos.

Złapał taksówkę i otwierając drzwi Annie, podziwiał jej nogi. Nogi Maddie rzadko udawało mu się oglądać, bo niemal zawsze nosiła długie, powiewające spódnice.

— Bonderos to dobra restauracja — stwierdziła Annie sadowiąc się wygodnie. — Ale też straszliwie droga.

— Annie, daj sobie spokój z patrzyeniem na cenę wszystkiego. Zaslugujesz na nią. Gdyby to miasto miało coś lepszego od Bonderos, zabrałbym cię tam. Nie ma takiego miejsca, które byłoby zbyt dobre dla dębie. Naprawdę tak uważam. Chociaż nic się nie da porównać z twoją lasagnie. Powinnaś sprzedawać przepis.

— Coś mi się wydaje, że z jakiegoś powodu podlizujesz mi się.

— Pewnie to twoja podejrzliwa natura. Przyjechałem tu, aby być razem z tobą, ponieważ jesteś moim najlepszym przyjacielem. Moim kumplem, towarzyszem, przyjaciółką.

Annie usiłowała przytłumić euforię Pete'a. Być może jest przepracowany, pomyślała.

— Wiecznie pracujesz — powiedziała. — Dlaczego nie weźmiesz sobie trochę wolnego?

— Nie mogę. Radzę sobie ze wszystkim poza podróżowaniem. Niedobrze mi się od tego robi.

— Dorabiasz się, prawda? Dennis powiedział — i cytuję dosłownie: „Pete robi pieniądze bardzo szybko i będzie kilkakrotnym milionerem”. Skąd on wie, Pete? I czy to prawda? — spytała.

— Właściwie tak — odparł jeżąc się lekko. Jakie, u diabła, Dennis ma prawo omawiać jego sprawy z Annie? — Słuchaj. Flaki sobie wypruwam dla konsorcjum, dla którego pracuję. Niech Dennis nie próbuje nawet przekonać cię, że pieczone gołąbki same mi spadają. A gdybym wiedział, że interesują cię moje sprawy finansowe, byłbym d je zreferował. To żadna tajemnica, na litość boską. Mam pracę, wykonuję ją dobrze, jak mi się wydaje, i robię niezłą forszę. Odkładam ją, i tak to do cholery wygląda.

— Nie jesteś aby przewrażliwiony?

— Po prostu nie godzę się z komentarzami Dennisa — odparł kwaśno.

Annie zamilkła, mając wzgląd na nagłą zmianę nastroju Pete'a. Dopiero gdy usiedli w restauracji, odezwała się ponownie.

— Pete, wiem, że ciężko pracujesz i że zdobyłeś już niekwestionowaną reputację. Mówią, że jesteś najlepszym w kraju specjalistą od przenoszenia praw własności. I gdy tylko się doczekamy, wypiję za to.

— Zgrywasz się czy naprawdę tak myślisz? — spytał Pete, mile polechtany mimo wszystko.

Pojawił się kelner od win. Pete przerzucił kartę.

— Dom Perignon 1956 — zdecydował. — Jedna butelka teraz, druga w lodzie. Kiedy wykończymy pierwszą, proszę przynieść następną.

— Co świętujemy? — zapytała Annie, gdy przeliczyła koszt wina i dań.

— Tylko mi nie mów, że udało mi się wreszcie zrobić na tobie wrażenie. — Pete uśmiechnął się szeroko. — Myślałem, że tego wyczynu nie dokażę nigdy.

— Nie, wcale mi nie zaimponowałeś. Ale bez względu na to, ile masz pieniędzy, to okropne, że tak je tracisz. Zawsze pozostaje jutro i ciężkie dni, a ty bardziej niż ktokolwiek inny powinieneś pamiętać o tym, jak łatwo cudowna sytuacja może ulec zmianie.

— Podobna mi się twoja troska i zainteresowanie. Tak długo nikogo nie obchodziło, czy żyję, czy nie. Może to brzmi trochę dramatycznie, ale ty wiesz, o czym mówię. Ja tak samo troszczę się o siebie. Dlatego właśnie nie mogę zrozumieć, czemu nie chcesz wziąć ode mnie pożyczki, żeby spłacić studenckie kredyty. Bezprocentowo. Na litość boską, pomyśl o tym, co możesz zaoszczędzić. Wiem, że nie jest to dla ciebie łatwe. Chcę ci tylko pomóc. Dlaczego mi na to nie pozwalasz?

— Bo nie.

Nie byłby w stanie powiedzieć, ile razy wiedli taki spór. „Bo nie” stanowiło jedyną odpowiedź, którą w takich przypadkach uzyskiwał.

Gdy kelner wrócił, Pete spróbował wina i skinieniem głowy wyraził aprobatę. Miał zamiar powiedzieć Annie, gdy będą spełniali toast. W tej właśnie chwili napiła się wina.

— Za co pijemy? — spytała trzymając wysoko delikatny kieliszek.

O to chodziło. To był moment, gdy podzieli się nowiną ze swą najlepszą przyjaciółką. Najlepszą przyjaciółką, która roześmieje się radośnie z iskrzącymi oczami.

— Pijemy, Annie, za moje zaręczyny i za ślub.

Nie zobaczył tego, czego się spodziewał. Nie usłyszał jednego słowa; przynajmniej nie od razu. Patrzył, jak Annie sączy wino z kieliszka. Zobaczył, jak przełyka, a na jej twarzy pojawia się grymas. Oczy jej zwilgotniały.

— To wino nie jest warte pieniędzy, które za nie zapłacisz. Cieszę się ze względu na ciebie, Pete. Nie wiedziałam, że spotykasz się z kimś na poważnie. Kiedy ślub? — Wyciągnęła kieliszek, by go napełnić ponownie.

— W sierpniu.

— Sierpień to dobry miesiąc na ślub. W sierpniu wyjeżdżam — obwieściła bezbarwnym głosem.

— No cóż, będziesz musiała zmienić plany — wymruczał niezbyt zadowolony z kierunku, jaki przybrała rozmowa. — Nie mogę się ożenić, jeśli ciebie nie będzie.

— Nie mogę, Pete. Rodzice przenoszą się do osiedla dla emerytów na Florydzie i muszę z nimi jechać, pomóc im w przeprowadzce, zająć się likwidacją ich dawnego domu oraz tym, który kupują. Wszystko jest już ustalone. Nie mogę ich zawieść.

— Nawet z mojego powodu? Jezu, nie chciałem, by zabrzmiało to tak egoistycznie. W takim razie zmienię termin na wrzesień.

— Wrzesień również mi nie odpowiada. Mam ustalone spotkania w San Francisco w związku z rozpoczęciem kilku spraw. Chyba ich nie wezmę, jeśli mi zaproponują, ale chcę sprawdzić, jak tam jest, na wypadek, gdybym na początku przyszłego roku nie została współniczką. Przyślecie mi zdjęcia, a ja wam wyślę wspaniały prezent.

— Nie chcę wspaniałego prezentu. Chcę mieć ciebie na swoim ślubie.

— Przykro mi, Pete.

— Czy zdajesz sobie sprawę — zaczął wypowiadając starannie każde słowo — że w ciągu ponad dwunastu lat po raz pierwszy odmawiasz mi czegoś?

— Przykro mi, Pete.

— Nie, wcale ci nie jest przykro! — rzekł zaczepnie. — Czy to jedna z tych kobiecych historii, których waszym zdaniem mężczyźni nie są w stanie zrozumieć? Tak jak Maddie nie

rozumie naszej przyjaźni? Myślę, że jest o ciebie zazdrosna. Powiedziałem jej, że nie ma się czym dręczyć. Czy właściwie to ująłem, Annie?

— Skoro to powiedziałaś, nie ma już chyba znaczenia. Jak mam to zrozumieć? — spytała patrząc na wszystko, tylko nie na niego.

— Co zrozumieć?

— Czy to oznacza, że nie powinnam więcej do ciebie dzwonić? No wiesz, kiedy już będziesz po ślubie. Domyślałam się, że nasze comiesięczne odwiedziny też się skończą, co?

— Zawsze możesz dzwonić do mojego biura. Zresztą i tak często to robisz. Nadal będziemy się spotykać, gdy tylko będziemy mogli. Ty weźmiesz Dennisa, a ja przyjdę z Maddie — powiedział rozradowany wizją serdecznej przyjaźni ich czworga.

— To nie będzie to samo — mruknęła.

— Oczywiście, że nie. Będzie lepiej. — Ani przez chwilę nie wierzył w swoje słowa.

— Zawsze wyślę ci pocztówkę na Boże Narodzenie. Będę ją adresować do pani i pana Sorensonów — rzekła apatycznie.

— Jesteś na mnie zła. Widzę to z twojej twarzy i słyszę z tonu głosu. Co się takiego stało? Cieszyłem się, gdy powiedziałaś mi, że spotykasz się z Dennisem. Jako pierwszy przyznaję, że w sprawach z kobietami jestem dość tępy, może więc powinnaś mi wytłumaczyć, o co ci w ogóle chodzi. — Myślę — zaczęła Annie dobierając starannie słowa — że powinienesz mi powiedzieć o Maddie. Sądziłam, że nie mamy przed sobą żadnych tajemnic, a ty postanowiłeś nic mi nie mówić. Chyba mnie zraniłeś. Opowiedziałeś mi o Barneyu; było to dla ciebie ważne i podzieliłeś się ze mną tamtymi sprawami. Czy opowiedziałeś Maddie o Barneyu?

— Chciałem ci powiedzieć, ale pragnąłem na jakiś czas zachować to dla siebie. Wiesz — ukryć głęboko. Strasznie się bałem, że coś nie wypali i wyjdę na głupca. Kiedy nie mogłem już ani chwili dłużej tego znieść, przygnałem tutaj. Naprawdę, bardzo cię przepraszam. Czuję się teraz parszywie.

— I powinienesz. Niczym więcej nie będę się z tobą dzielić, Peterze Sorenson — powiedziała tonem nadąsanego dziecka. Dokończyła szampana z kieliszka. — No? — podjęła prowokacyjnie. — Powiedziałeś jej?

Pete drgnął. Doskonale pamiętał, jak Maddie zareagowała na opowiadanie o Barneyu. Trzęsła się ze śmiechu, gdy mówiła: „Powiedz, że nie wierzyłeś temu dzieciakowi. Pete, powiedz, że nie byłeś taki naiwny. Mówisz poważnie, czy też mnie podpuszczasz? Do szesnastych urodzin wierzyłeś, że ten chłopak po ciebie przyjedzie? Słów mi wprost brak, jakie to zabawne”. Śmiała się i śmiała, aż miał chęć rozbeczeć się tak jak tego dnia, gdy Barney złożył swoje przyrzeczenie. Jednak zabrał po prostu płaszcz i wyszedł. Przez trzy dni do niej nie dzwonił, może nawet nigdy nie miał zamiaru więcej się odezwać, ale zatelefonowała sama i przeprosiła go. Bardzo nie podobało mu się rozbawienie brzmiące w tych słowach, kochał jednak Maddie, więc wybaczył jej w końcu.

— No? — powtórzyła Annie. — Opowiedziałeś Maddie o Barneyu?

— Uznała, że to z mojej strony głupie. Dlaczego mówimy o Barneyu?

— Biedny głupcze — usłyszał i niemal w tej samej chwili Annie wstała z krzesła i wyszła z restauracji. Nim Pete zdążył położyć na stół kilka banknotów i wydostać się na zewnątrz, taksówka Annie była już dwie przecznice dalej.

Czekał całą noc pod domem, gdzie miała niewielkie mieszkanie, ale nie wróciła. Zadzwoił do Dennisa, ale tam też nikt nie odpowiadał.

Nie pozostało mu nic innego, jak złapać taksówkę i kazać się zawieźć do samego Nowego Jorku. Gdy usadowił się już przed czekającą go długą drogą, poczuł się tak, jakby ktoś wytoczył z niego połowę krwi.

1

Sześciolatek Pete robił, co mógł, by nie płakać. Zaciśkał powieki z całej siły, a ściągnięte usta podciągnął niemal do samego nosa. Czuł, jak łza wyslizguje się spod rzęs, o których mama powiedziała, że kryją najpiękniejsze, najbardziej błękitne oczy na świecie. Nigdy więcej już tego nie powtórzyła. Nigdy, przenigdy. Oczy piekły go tak samo jak wtedy, gdy tata palił ognisko na podwórzu i piekli ziemniaki. Nigdy więcej już tego nie robił. Nigdy. Jego sześciolatek rozum nie mógł pojąć, dlaczego oczy tak go pieką, skoro nie ma dymu ani ognia na podwórzu.

Oglądał kolana, które przyciskał do krawędzi łóżka. Nie chciał patrzeć, jak pani w niebieskiej sukni pakuje jego rzeczy w torby na zakupy. Była ładna, nie tak jednak, jak jego mama. Druga, która obserwowała panią w niebieskiej sukni, nie była ładna. Była wręcz wstrętna i nosiła brzydkie, czarne, sznurowane buty. Gdy rozmawiały, ześlizgnął się z łóżka i przeszedł do hallu, gdzie zatrzymał się, by posłuchać.

— Nie angażuj się, Harriet. Jeśli się od tego nie odzwyczaisz, nigdy nie będziesz miała sukcesów w tej pracy. To tylko dziecko. Dzieci są elastyczne. On też dojdzie do siebie. Umieścimy go w dobrym domu. Będzie miał dach nad głową, jedzenie i znajdzie się w rodzinie.

— A czy będą go kochać? Czy się tam przystosuje? Jest taki mały, panno Andrews. Jeszcze nie stracił nawet pierwszego zęba. Jak on to zniesie? A jeśli dobra wróżka nie zostawi mu nic pod poduszką? — pytała kobieta w niebieskiej sukni.

— To czyste bzdury, Harriet. Świat wokół jest zimny i twardy, i nie ma w nim miejsca na dobre wróżki. To mu ukształtuje charakter. — Głos kobiety zmienił się nagle i zabrzmiała w nim niechęć. — Nie nabiłaś chyba głowy temu dzieciakowi pięknymi opowieściami o adopcji, co? Ludzie nie adoptują sześciolatek, zwłaszcza takich, co to mają tylko długie ręce i nogi, oraz wielkie oczy. Ludzie poszukują niemowląt i pieszczołków z loczkami. Sześciolatki nie mają szans. To okrutne mówić im, że mogą zostać adoptowani. Chyba nie zrobiłaś tego, Harriet?

— Nie, panno Andrews — potwierdziła Harriet cicho.

— Zapamiętaj sobie, Harriet, że nasze podatki, twoje i moje, przeznaczone są na utrzymanie tego chłopca. Rodzicom zbyt głupim na to, by zabezpieczyć własne rodziny, nie powinno się pozwalać mieć dzieci. A jego rodzice to, jak mi się zdaje, zwyczajne barachło.

— Och nie, panno Andrews, nie myślę — zaprotestowała Harriet śmiało. — Niech pani popatrzy na ubranie Pete'a, jak jest pięknie poreperowane. Ten domek jest wprawdzie lichy, ale błyszczący czystością. Myślę, że byli po prostu biedni i prześladował ich pech.

— Gdyby tak było, jak wytłumaczyć tę deskę surfingową? Dzięki Bogu wiem, że takie rzeczy kosztują mnóstwo pieniędzy. W lodówce nic do jedzenia, ale deska surfingowa jest, przy czym wciąż ma metkę z ceną. Może to kradzione. Może należałoby pomyśleć o jej oddaniu i odebraniu pieniędzy. Chłopcu potrzebne są nowe buty i powinien zostać ostrzyżony.

— Nie może pani tego zrobić, panno Andrews. Deska należy do małego. Przepisy mówią, że jego własność idzie wraz z nim. — Ostry ton w jej głosie sprawił, że Pete otworzył szeroko oczy. — Sama mogę mu ostrzyć włosy, a co do butów, jestem pewna, że te wytrzymają jeszcze kilka miesięcy.

— Harriet, zaangażowałaś się w tę sprawę. Nie mogę na to pozwolić. Gdzie jest ten dzieciak? Chciałabym usłyszeć, że nie pozwoliłaś mu uciec i powstrzymałaś się wszystkich tych ckliwych pożegnań, które prowokują cię do płaczu. Nie będę tego tolerować. Powiedziałam ci, że ma tu natychmiast przyjść, żebym go miała na oku. Będzie mi tu i tak skowyczał i ryczał, a my musimy zabrać go z tej pułapki na szczury. No więc, gdzie on jest?

Pete wykręcił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Wyskoczył z hallu do kuchni i pchnął siatkowe drzwi, które straszyły go nocą swym postukiwaniem. Zbiegł po czterech spróchniałych schodkach kuchennego ganku, przebiegł przez grządki kwiatów, przedostał się przez żywopłot i przeskakując zraszacze Lampsonów, przebiegł przez ich podwórko. Gdy znalazł się wreszcie na podwórku przyjaciela, ile sił w płucach zaczął wrzeszczeć: „Barney! Barney!”.

— Tutaj jestem, Pete — odrzyknął mu dziewięcioletni Barnaby Sims z domku na drzewie w ogrodzie. — Właź na górę.

Pete wdrapał się na rabinę linową.

— Wciągnij ją, Barney, żeby mnie nie znaleźli. Pośpiesz się, wciągaj — chlifał.

Barney zareagował na strach w głosie przyjaciela błyskawicznym Podciągnięciem drabinki.

— Co się stało, Pete? — spytał pakując domowej roboty drabinkę pod drewnianą skrzynkę na mleko, która służyła im jako siedzenie i mieściła takie wspaniałości jak kapsle od butelek, zardzewiały szczyrzyk, który dostał Barney, kilka ciastek oraz schwyte przez nich myszy.

— Tamta pani przyszła, żeby mnie zabrać. Tamta w tych brzydkich, czarnych butach. Barney, ja nie chcę iść. Mogę się tu schować? Będę siedział cichutko. Możesz mi wciągać jedzenie albo dawać swoje resztki. Będę się opiekować Harrym i Lily. Mogę zostać, co, Barney?

— Sie wie — zapewnił go Barney siedzący jak Indianin na skrzyżowanych nogach. — Widziały, jak tu wchodziłeś?

— Nie, szybko biegłem. Wsadziły wszystkie moje rzeczy do toreb na zakupy. Tamta pani powiedziała... ona powiedziała... że moja mama i tata byli barachło... Co to znaczy, Barney?

— Nie wiem, Pete, ale chyba coś niedobrego.

— Powiedziała, że nikt mnie nie z-adoptuje, bo chcą malutkich dzieci i... i coś tam jeszcze. Co to znaczy?

Barney skupił cały swój dziewięcioletni rozum.

— „Zaadoptować” znaczy, kiedy dostajesz nowych rodziców. A ty nie masz mamy i taty. Dlatego idzie się do adopcji. Dają ci nowe nazwisko i nazywasz tych nowych ludzi mamą i tatą. Tak jak ten Jerry ze szkoły. On jest adoptowany. Ale ona na pewno cię oszukuje. Założę się, że ciebie też ktoś adoptuje — powiedział lojalnie, otaczając ramionami kruche plecy małego. — Ulżyj sobie i popłacz. Ja nikomu nic nie powiem. Jak się już wypłaczesz, pojedz sobie ciastek.

— Tamta pani powiedziała, że chce sprzedać moją deskę, żebym miał nowe buty i strzyżenie. Tamta druga mówiła, że nie może tego zrobić, że to złamanie przepisów, jakby ją sprzedała. Jest moja! — zachlipał znowu Pete. — To ostatni prezent, jaki dali mi mama i tata. Nie zabrają jej, co, Barney?

— Jest twoja jak diabli! — potwierdził junacko Barney. — Dorośli chyba nie łamią przepisów. Jak ona to robi, powiesz jej, tylko nic się nie bój. Nie, nie zabrają ci jej — zapewnił raz jeszcze trzymając za plecami splecione palce.

— Ona jest brzydka w sercu. Mama zawsze mówiła, że można powiedzieć, kiedy ktoś ma brzydkie serce. Ta pani w niebieskiej sukience jest miła, ale tamta nie pozwala, żeby była miła dla mnie — rozbeczał się Pete.

— Pete, wiem, że jesteś mały, ale może pamiętasz coś o swoim wujku? — spytał Barney przysuwając się do przyjaciela. — Gdzie mieszka i w ogóle?

— Nie. On by mnie z — adoptował?

— No jasne. Po to się ma krewnych. Tak mówi moja mama. Ja maro wujka Sama i ciotkę Doris. Całują mnie i szczypią w policzki przez cały czas. Chyba są w porządku. Powinny być papiery. Mój tata trzymał zawsze wszystkie papiery w pudełku z kluczykiem. Czy twój miał pudełko z kluczykiem?

— Nie. Mama miała pudełko. Były tam tylko trzy papiery i zdjęcia. Taki papier, jak się żenili; jak się urodziłem i jak miałem długą białą sukienkę, i zanurzali mi głowę do wody — takie papiery. Korale, co je zakładała w niedzielę do kościoła, też były w pudełku. Tamta pani powiedziała, że to żałosne. Też powiedziała, że w lodówce nie było dość jedzenia. Ale ja nie byłem głodny. A jak ja nie byłem głodny, to znaczy, że było dość, co, Barney?

— Diabelnie dość. My mamy pełno jedzenia. Powinieneś jej to powiedzieć.

— Barney, jak to jest, jak się umiera?

Barney nie miał o tym najmniejszego pojęcia, ale Pete musiał się dowiedzieć.

— Mieszkasz na chmurze, wysoko w górze, patrzysz w dół i możesz wszystkich widzieć. Ale z chmury zejść nie możesz. Nosisz długie białe szaty i tak jakby... no jakbyś... szybował sobie. Wszyscy są uśmiechnięci i szczęśliwi, bo mieszkanie na chmurze to najcudowniejsza rzecz.

— To ja też chcę być umarły.

— Wcale nie chcesz. Małe dzieci nie mogą umierać. Na chmurze... na chmurze jest za mało miejsca. Musisz być duży... być dorosły.

Pete przemyślał wszystko, co usłyszał.

— A jak się tam dostają? Barney przewrócił oczami.

— Mają taką niewidzialną drabinę i tak wchodzi i wchodzi, a potem ktoś, co jest już na chmurze, ich wciąga. Fajnie, nie?

— No! Moja mama i tata widzą mnie, co?

— Jasne.

— To nie będę płakał. Mój tata mówił, że duzi chłopcy nie płaczą. A ty płaczesz, Barney?

Teraz właśnie zbierało mu się na płacz.

— Skąd. Jak człowiek płacze, to się z niego śmieją. Można płakać, dopóki się nie skończy siedmiu lat, potem już nie.

— Kto tak powiedział?

— Ja — stwierdził Barney twardo.

— Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Barney.

— Ty też jesteś moim najlepszym przyjacielem, Pete.

— Naprawdę będziesz się dobrze opiekował Harrym i Lily?

— Jeszcze jak!

— Jak długo mogę tu zostać?

— Myślę, że dopóki cię nie znajdą. Ale ja nic nie powiem, przysięgam a, Pete. Powinieneś zostać moim bratem. Natnijmy sobie palce i zmieszajmy krew. W ten sposób będzie oficjalnie. Chcesz?

— Jak cholera. — Pete ukazał zęby w szerokim uśmiechu. — Tylko nie mów swojej mamie, że powiedziałem brzydkie słowo.

— Ja tam nie jestem pepla. Otwórz pudełko, Harry i Lily potrzebują trochę powietrza. Takie małe dziurki nie wystarczą. Nóż jest trochę zardzewiały. Fajnie, że nasze mamy zrobiły nam zastrzyki, jak w zeszłym miesiącu weszliśmy na ten zardzewiały drut. Nie zamykaj oczu, Pete. Musisz patrzeć na to, co robimy. To tylko maleńkie nacięcie.

Pete patrzył okrągłymi oczami, jak Barney nacina jego palec, a potem własny. Przycisnęli palce i potarli je o siebie skaleczeniami, rozcierając na rękach kropelki krwi.

— Teraz jesteśmy braćmi, Pete. Absolutnie na zawsze. Moja krew jest taka sama jak twoja, a twoja taka sama jak moja. Jak będę duży, przyjdę i cię zabiorę.

— Skąd będziesz wiedział, gdzie jestem?

— Jestem sprytny, znajdę cię. Ufasz mi?

Pete skinął głową. Wierzył Barneyowi bez zastrzeżeń.

— Powiedz mi, co zrobisz, jak będziesz dorosły — zapytał ze znużeniem jedząc ciastko, które podał mu przyjaciel.

— Dobrze. Chcesz, żebym opowiedział ci to jak historyjkę czy powiedzieć po prostu, jak mam zamiar to zrobić?

— Tak, żeby było dobrze.

— Więc dorosnę i jak będę miał osiemnaście albo dziewiętnaście lat, odszukam cię. Ty będziesz miał wtedy szesnaście. Będę pracował w sklepie spożywczym i chodził do college'u. Jak skończysz szesnaście lat, zabiorę cię ze sobą, a kiedy przyjdzie czas, żebyś ty poszedł do college'u, będę za ciebie płacił. Jak wszystko zrobię i nauczę się wszystkiego, otworzę własny interes. Zostanę ogrodnikiem. Będę sadił kwiaty i drzewa i robił tak, żeby były piękne. Jak skończysz college, zostaniesz moim wspólnikiem. Jak zarobię mnóstwo pieniędzy, kupię fajny dom. Naprawdę fajny dom z basenem, a może zbuduję go nad wodą i kupię łódź. Ty będziesz mieszkał ze mną. Może zbudujemy na górze takie mieszkanie, żebyś miał własne drzwi i wiesz co jeszcze — zupełnie własną łazienkę. Chcę mieć dużo łazienek. Będziemy mieli kupę pieniędzy. Będziemy mogli jeść steki i indyki przez cały czas. Ciasto cytrynowe też. Zawsze będziemy mieć pełen słoik cukierków i te czekoladowe całuski, które tak lubisz. — Może się ożenię, a ty będziesz moim pierwszym drużbą, bo jesteś teraz moim bratem.

— Nie chcę być pierwszy — rzekł Pete sennie. — Chcę, żebyś ty był pierwszy.

— To znaczy, że będziesz drugi pierwszy. Jak mężczyzna się żeni, to znaczy, że jest pierwszy, a ty jesteś następny.

— Dobrze, dobrze. Barney, przyrzekasz tak najprawdziwiej?

— Przyrzekam najprawdziwiej. Zdrzemnij się teraz, Pete. Ja muszę iść do mamy, do sklepu. Przyjdę później. Zostań tu i ani mru mru. Zsunę się po gałęziach.

— Dobrze, Barney.

Barney wracał do domu z zakupami mamy mocno przytwierdzonymi do bagażnika roweru. Pedałował powoli obok domu Pete'a w nadziei, że usłyszy bądź zobaczy coś, co mógłby zrelacjonować przyjacielowi i pocieszyć małego. Zobaczył policję i wszystkie matki, które mieszkały przy jego ulicy. Starał się nie patrzeć. Gdy zobaczył, jak matka Billa Dewbury'ego mówi coś wskazując w jego stronę, omal nie stracił panowania nad rowerem. Pedałował dalej udając, że nie słyszy, jak policjant krzyczy za nim „Poczekaj chwilę, chłopcze”.

Gdy po skrócie za róg Barney znalazł się na swojej ulicy, jego serce pracowało równie mocno jak nogi. Ściał ostro podjazd, po czym podrywając się z roweru, chwycił jednocześnie torbę z zakupami.

— Idę nad staw, mam, złowię parę ryb — zakomunikował rzucając torbę na kuchenny stół. — Wrócę na czas, żeby przygotować stół.

— Dobrze, Barney — odkrzyknęła matka z góry.

Zdjął z haczyka na drugim ganku wędkę, ale nie wybierał się na ryby. Miał zamiar ruszyć w stronę stawu, potem zawrócić i wskoczyć do domku na drzewie. Musiał chronić swego brata. Był tylko dzieckiem i nie wiedział, co właściwie ma robić, ale musiał się przynajmniej starać. Pete to taki dobry maluch, do tego najlepszy przyjaciel na całym świecie. To niesprawiedliwe, że jego rodzice umarli. To niesprawiedliwe, że mają go zabrać. Barney nie wiedział, skąd ma to przekonanie, ale wiedział na pewno, że jeśli zabiorą małego, nigdy już go nie zobaczy. Ojczym z pewnością spuści mu wieczorem lanie, ale nie przejmował się tym. Poza tym Dave Watkins nie jest jego prawdziwym ojcem, jedynie przybranym. Dave Watkins to podły, wstrętny człowiek. Równie podły i wstrętny, jak ta kobieta w brzydkich, czarnych butach, o której powiedział mu Pete. Nienawidzi Dave'a Watkina.

Pomknął jak wiatr w kierunku stawu, tak by jego wcześniejsza zapowiedź nie okazała się kłamstwem, po czym ruszył z powrotem podwórkami, aż znalazł się na własnym. Wcisnął wysoko w gałęzie wędkę i podciągnął się na drzewo. Oddychał ciężko, uchylając jutowy worek, służący jako drzwi małego domku, który ojciec zbudował Barneyowi, gdy chłopiec był mały. Każdego roku ojciec coś w domu ulepszał. Potem odszedł. Dzisiaj jednak Barney nie miał zamiaru o tym myśleć. Dziś należało do Pete'a.

— Pete, obudź się. Cśśś, tylko bądź cicho.

Pete poruszył się niemrawo, ale na widok twarzy Barneya oprzytomniał natychmiast.

— Co się stało? — Był mocno przestraszony. — Czy zamkną mnie w więzieniu? — spytał po wysłuchaniu opowieści przyjaciela.

— Dzieci nie zamyka się w więzieniu — wyjaśnił Barney. — Przyszli to, aby cię zmusić do pójścia z tymi paniami. To zupełnie jak sąsiedzkie przyjęcie przed twoim domem. Musimy zachowywać się cicho.

— Ja cię naprawdę kocham, Barney. Tak samo jak Harry'ego i Lily.

— Ja ciebie też. Posłuchaj, Pete. Jeśli coś się nie uda i nas znajdą... Chcę, żebyś zapamiętał sobie moje słowa: jeśli cię zaborą, jak będziesz miał szesnaście lat, przyjadę cię odebrać.

— Czy twój ojczym stłucze cię za to, że mnie tu schowałeś? — spytał mały.

— Taaa. Nie przejmuję się. Ja go nienawidzę. To nie jest mój tata. Czasami bije moją mamę. Tylko nie mów nikomu, że ci powiedziałem, dobrze?

— Jasne. Obiecuję.

— Chcesz, to ci coś powiem. — Głowa Pete'a podskoczyła w górę i w dół. — Wiesz, co chciałbym zrobić najbardziej na świecie?

— Znaleźć twój tatę?

— Tak, ale chciałbym jeszcze... Chciałbym stanąć przed Dave'm Watkinsem i powiedzieć mu prosto w oczy żeby mnie pocałował w dupę!

Ręce Pete'a klasnęły o twarz, gdy przyłożył je do ust, by zdusić głośny śmiech. Barney zrobił to samo. Tarzali się po podłodze, waląc się nawzajem po plecach. Po spurpurowiałych od śmiechu policzkach chłopców toczyły się łzy.

Barney usłyszał głosy na podwórku i oprzytomniał natychmiast. Przyłożył palec do ust, gdy dobiegł go melodyjny głos mamy: „Barney poszedł złapać parę ryb. Uwielbia łowienie ryb. Wyszedł jakieś pół godziny temu. Nie, przez cały dzień nie widziałam Pete'a. Chciałabym tylko go uściskać. To takie smutne. Barnaby płakał całą noc. Jak zobaczę Pete'a, odeślę go do domu.”

— No dobrze, płakałem — przyznał cicho Barney. — Wiem, że będę za tobą tęsknił, no i wieczorem musiałem się wyplakać. Nie wiedziałem, że mnie słyszy. Posłuchaj, mam pomysł. Nie oddam im ciebie bez walki.

— Jaki pomysł? — spytał Pete z błyskiem w oczach.

— Słuchaj, ty i ja potrafimy wejść na to drzewo, bo jesteśmy częściowo małpami. Tak powiedziała moja mama, a mamy nie kłamią. Ci policjanci i ta pani w brzydkich butach nie mogą tu się wdrapać. Gałęzie są takie duże i zbite na czubku, że nie będą mogli przyjść po nas z innych drzew. Tak że jesteśmy chyba bezpieczni. Popatrzmy, co z tego tutaj będziemy mogli użyć jako broń.

— Wezmą drabinę — zaskamlał Pete.

— No to zrobimy tak jak w kinie. Wychylimy się i odepchniemy ją. To jest nasz zamek, nasz dom. Uczyłem się tego w szkole. Nikomu nie wolno najechać czyjego zamku. Ty już nie masz domu, więc ja ci daję ten. To twój zamek, Peterze Sorenson. Będziemy go bronić.

Batalia w niczym nie przypominała oczekiwania chłopców. Przyjechała straż pożarna i w tym samym czasie przyszedł z pracy Dave Watkins.

— Jesteś gotów? — spytał Barney drżącym ze strachu głosem.

Pete potwierdził. Trzymał rozciętą na środku poduszkę, ściskając ją obiema rękami. Barney w jednej ręce miał puszkę żółtej farby, w drugiej puszkę smoły, której używali do uszczelniania pęknięć w drewnie. Puszka była prawie pełna, a jej zawartość miękka, kleista i ciemna jak lukrecja. Na podłodze leżały jeszcze dwie rozcięte poduszki.

— Zabierajcie się z tego domku albo sam po was przyjdę. — W krzyku Dave'a Watkina brzmiała groźba. — Mówię poważnie, Barnaby. Sprzeciwiasz się prawu i powtarzam tylko jeszcze raz: złaźcie, i to zaraz. Wiem, że tam jesteście, tak że złaźcie natychmiast, zanim wyciągnę pas.

Barney popatrzył na Pete'a i obaj potrząsnęli głowami. Barney wysunął głowę między częściami zasłony, przewrócił oczami i uniósł pięść. Pete patrzył przestraszony na swego brata, najlepszego na świecie przyjaciela, a ten wykrzyknął co sił w płucach:

— Pocałuj mnie w dupę, Davidzie Watkins!

— Taaa — dołączył się Pete. — Pocałuj go w dupę!

— Włazi na drzewo — oznajmił Barney. — Tuż za nim jest strażak. Coś wtyka w drzewo. Przygotuj się, jedziemy!

Żółta farba, smoła i pióra poleciały w dół. Dave Watkins pośliznął się i spadając pociągnął za sobą strażaka.

Pete zaklaskał w ręce rozradowany. Pierze znów poszybowało w powietrzu. Pete spuścił puszkę ze smołą, a potem żółtą farbę.

— No dobrze, chłopcy, dość się zabawiliście — powiedział strażak. — A teraz schodźcie z drzewa jak dobre, grzeczne dzieci.

— To mnie weźcie — odparł Pete.

— Tak, weźcie go — potwierdził Barney.

W godzinę później Pete i Barney byli już na dole.

Violet Sims denerwowała się o chłopców, gdy patrzyła jak dwaj sanitariusze kładą jej męża na nosze. Słyszała, jak ktoś powiedział, że ma złamane obie nogi. Miała chęć krzyknąć z radości, ale uściskała tylko syna i Pete'a. Pochyliła się tak, że mogła zajrzeć Pete'owi w oczy.

— Kochanie, chcę, żebyś był bardzo dzielny. Wiem, że nie chcesz iść, i gdybym tylko miała możliwość cię zatrzymać, zrobiłabym to, ale nie mogę. I ja, i Barney bardzo cię kochamy. Czas szybko biegnie i zanim się obejrzyysz, będziesz dorosły. Wiem, że trudno ci teraz w to uwierzyć. Staraj się, jak możesz, Pete.

Ucałowała go głośno, zanim odciągnął ją jeden ze strażaków. Łzy kręciły jej się w oczach.

— Pete — syknął Barney. — Przestań płakać!

— Ale powiedziałaś...

— Wiem, co powiedziałem, ale właśnie zmieniłem zdanie. Nie można płakać, jak się ma sześć lat. Jak zobaczą, że płaczesz, będą myśleli, że mogą cię zwyciężyć. Słyszysz, co mówię? Wytrzymaj oczy i skończ z tym. — Pochylił się i wyszeptał przyjacielowi prosto w ucho. — Aleśmy dali im bobu. Zawsze o tym pamiętaj.

— Barney, myślisz, że moja mama i mój tata widzieli, co zrobiliśmy? — od szepnął Pete w odpowiedzi.

— No jasne! Założę się, że klaskali w ręce. Będziesz teraz twardy, słyszysz? Nigdy o tobie nie zapomnę, mały. Zrobię wszystko, żeby Harry i Lily mieli dobrą opiekę. Idź już — burknął.

— Dobrze, Barney. Nie zapomnij, że masz po mnie przyjść.

— Nie zapomnę, myszko. Przymierzenie to przymierzenie.

Helen Andrews z bliska okazała się, o ile to było w ogóle możliwe, jeszcze mniej sympatyczna i brzydsza.

— Gdzie moja deska? — spytał Pete wojowniczo.

— W samochodzie, kochanie — odpowiedziała pani w niebieskiej sukni.

— Przeproś natychmiast panów policjantów i strażaków, że musieli wszyscy tu przybyć, by ściągnąć cię z tego obrzydliwego drzewa. — Głos Helen Andrews brzmiał nieprzyjemnie.

Pete podniósł głowę i spojrzał na pracownicę socjalną. Palcem wskazującym dał jej znak, by pochyliła się nad nim i kobieta zrobiła to. Pamiętając słowa Barneya, Pete wyzywająco zadartł buzię do jej twarzy. Ich oczy spotkały się. — Pocałuj mnie w dupę! — powiedział i natychmiast odskoczył do tyłu. Kobieta w niebieskiej sukience uśmiechnęła się. Strażak odwrócił głowę, by ukryć rozbawienie. Policjant zajął się wyimaginowaną plamką na swej niebieskiej koszuli.

Pete wskoczył do samochodu i usiadł obok deski surfingowej.

— Przepraszam, mamie i tato. Ja to zrobiłem dla Barneya.

2

Pete Sorenson musiał skończyć dziesięć lat, zanim mógł podjąć poważną próbę odnalezienia Barneya. Ale wcześniej również myślał o swym bracie krwi; myślał o nim każdego dnia, zawsze też wspominał go w swych wieczornych modlitwach. Po prostu wolno mu było jedynie wypełniać polecenia, odrabiać lekcje, wykonywać kolejną czarną robotę i robić wszystko, byle tylko przeżyć w domu pełnym wychowanków, z których każdy był starszy, większy i silniejszy od niego. Rzadko zdarzały się dni, gdy szedł do łóżka z pełnym żołądkiem, natomiast zawsze kładł się z guzami, siniakami, skaleczeniami lub zadrapaniami. Bernie i Blossom Nelson, małżeństwo prowadzące dom, mówili o nim, że jest niepoprawny. Wszystkie dzieci wiedziały, że Nelsonowie nie znają nawet znaczenia tego słowa. Wiedziały również, że ich przybranym opiekunom potrzebne są jedynie pieniądze, które państwo dawało na utrzymanie domu. Po ustaleniu tygodniowego jadłospisu pieniądze te szły na piwo, wino i bingo. Jeśli jedzenie kończyło się przed nadejściem kolejnego czeku, dzieci jadły chleb z masłem orzechowym. Masło przychodziło do domu w galonowych słojach i dzieciom nigdy go nie brakowało. Czasami musiały ścinać z chleba pleśń.

Pete nienawidził Nelsonów i nienawidził pozostałych wychowanków domu. Czasami nienawidził nawet samego siebie. Pisywał długie listy do Barneya i przechowywał je między końcowymi stronami książki do geografii. Listy pełne miłości i pragnienia przynależenia do kogoś, które nigdy nie zostały wysłane, bo nie znał adresu.

Pete Sorenson wiele marzył. Przede wszystkim marzył o Barneyu — niemal każdego wieczora. Potem zaczął marzyć o pozbawionym twarzy i imienia wujku, który pewnego dnia przyjdzie, by go zabrać. Zmęczony swymi marzeniami, w tysiącu różnych fantazji przemyślał o sposobach obicia Berniego i Blossom Nelsonów.

Nie znosił ich zapachu. Bernie wydzieliał zawsze dziwny odór pochodzący z jego spodni, Blossom zaś cuchnęła tak, jakby nigdy nie zmieniała bielizny. Pocili się także mocno obydwójce i przy jedzeniu wydawali obrzydliwe odgłosy. Bernie siorbał kawę i piwo, a gdy Blossom jadła czy piła, to znaczy praktycznie przez cały czas, brak dwóch przednich zębów powodował, że wydawała przeciągły świst. Pete nienawidził w swoim życiu wszystkiego i marzył o dniu, gdy Barney po niego przybędzie.

Siedział teraz w pokoju, który dzielił z trzema dziewczynkami. Lizał rany, ale czuł się zwycięzcą. Dick Stevenson, jeden ze starszych chłopców, próbował zabrać mu z pokoju deskę. Pete walczył o nią jak lew, a Berniemu Nelsonowi oświadczył, że zamierza zadzwonić do opiekunki społecznej i powiedzieć, jak jest traktowany. „Zamkną pana do więzienia!” skrzeczał do tłustego, łysiejącego mężczyzny. Dostał lanie, ale nie było to dla niego nic nowego. Wciąż miał swoją deskę, i tylko to się liczyło.

Mieszkał teraz w Asbury Park, daleko od miejsca w Iselin, gdzie za rogiem stał dom Barneya.

Nie uświadamiał sobie, że wstrzymuje oddech, aż usłyszał odgłos zamykania drzwi. Jego pokój mieścił się nad kuchnią. Była jeszcze jedna sprawa. Chłopcy powinni mieszkać z chłopcami, a dziewczynki z dziewczynkami, ale Nelsonowie nie zawracali sobie tym głowy. Właściwie Pete też się nie przejmował, gdyż jego koleżanki były małe. Poza tym nie ruszały jego deski. Wypuścił głośno powietrze. Nelsonowie wybierali się na sobotnie popołudniowe bingo w St. Stephen. Jemu przykazano zamieść podwórze, wyrzucić śmieci i zdjąć skórkę z przeznaczonych na kolację pomidorów. Bernie chciał też, by pobieł ogrodzenie, ale Pete nie miał zamiaru robić żadnej z tych rzeczy. Chciał udać się na plażę, by poszukać okazji do Iselin.

Chciał zobaczyć się z Barneyem. Musiał zobaczyć się z Barneyem. Chciał porozmawiać z jego mamą, zapytać, czy mogłaby zadzwonić do pani w niebieskiej sukni, aby wysłano go gdzieś indziej. Mama Barneya, jeśli tylko będzie mogła, pomoże mu.

Z całą odwagą, na jaką musiał się zdobyć, Pete wyszedł beczelnie frontowymi drzwiami i ruszył chodnikiem. Potem najszybciej jak mógł puścił się biegiem w stronę plaży, gdzie spacerował godzinę, pytając przechodniów, czy ktoś nie mieszka w pobliżu Iselin. Była już czwarta, gdy dwie młode dziewczyny powiedziały, że mieszkają w Rahway i mogą go podzucić.

Gdy w godzinę później wysadziły go na Green Street, tak mocno kręciło mu się w głowie, że nie wiedział, co począć. Stał na środku chodnika i tak długo unosił i opuszczał ramiona, aż zorientował się w sytuacji. Wszystko tu wyglądało cudownie i w niejasny sposób było znajome. Wydawało mu się, że rozpoznaje sklep z artykułami żelaznymi i budynek kina. Przeszedł na drugą stronę i ruszył boczną ulicą, aż znalazł te której szukał. Zobaczył swój dawny dom i łyzy na chwilę zamgliły mu wzrok. Na ganku kołysał się w bujanym fotelu stary człowiek. Sprawiał wrażenie śpiącego. Po policzku Pete'a potoczyła się łza. Wytał ją i pobiegł za róg. Dopadł domu Barneya, wszedł na schodki frontowego ganku i zadzwonił. Brodaty mężczyzna z hełmem motocyklowym w jednej i piwem w drugiej ręce otworzył mu drzwi z przeciągłym pytającym „tak?”.

— Czy jest Barney albo pani Sims?

— Nie. Wyprowadzili się. Kupiłem ten dom w zeszłym roku. Jesteś jego przyjacielem?

— Tak. Nazywam się Pete Sorenson. Czy pan wie, dokąd wyjechali? — spytał, a serce waliło mu w piersi jak młot.

— Nie, chłopcze, nie powiedzieli. Pani Sims zabrała chłopca i wyjechała. Mógłbyś spytać Dave'a, z tego co ostatnio słyszałem, mieszka za barem Flipa. Ale nie myślę, by mu powiedzieli, dokąd się udają.

Pete poczuł, że zbiera mu się na płacz.

— Zna pan Barneya? — wyszeptał.

— Widziałem go tylko przez ostatnie parę dni. Wyglądał na dobrego chłopaka. Pokazał mi swój domek na drzewie. Pewnie bawiłeś się tam z nim.

— Tak — potwierdził Pete. Łzy spływały z jego policzków i nie mógł ich powstrzymać. — Muszę go znaleźć. Żeby pani Sims coś dla mnie zrobiła.

— A może wejdiesz do środka, Pete? Chcesz wody z bąbelkami albo czegoś innego?

— Tak, dziękuję panu, bardzo by mi było miło.

Siedzieli przy kuchennym stole i rozmawiali jak mężczyzna z mężczyzną. Pete opowiedział mu swoją historię. Mężczyzna słuchał, a piwo stało zapomniane.

— Ależ to straszna granda! — stwierdził, gdy Pete skończył. — Co z tobą będzie, jak wrócisz?

Pete wzruszył ramionami, po czym wstał i zadarł do góry bawełnianą koszulkę.

— Jezu Chryste, przecież ty masz dopiero dziewięć lat! — Mężczyzna bełkotał ze wzburzenia. — Posłuchaj, zostań tu teraz. Mój brat jest gliną. Zadzwonię do niego, a on już będzie wiedział, co robić. Nie bój się, Pete. Gliny to porządni ludzie. On będzie wiedział, jak odnaleźć tę panią w niebieskiej sukience. Zaufaj mi tylko. W lodówce jest mnóstwo jedzenia. Często się. Tylko zostań tu. Przrzeknij, że zostaniesz.

— Dobrze, przrzekam — odparł Pete znużonym głosem. — Jak Panu na imię?

— Duke.

— Podoba mi się. A jak ma na imię pana brat?

— Nataniel. Wołamy na niego Nat.

O siódmej Pete znalazł się ponownie u Harriet Wardlaw z ośrodka opieki nad dziećmi. Po raz trzeci opowiedział jej wszystko, co przeżył, a potem pokazał ślady chłosty na plecach. Pozwolił, by go objęła, bo pachniała tak samo słodko i czysto jak jego mama. Zapłakał znowu i policjant dał mu chusteczkę.

Dostał dużą salaterkę lodów, a przez salon przewalała się nawałnica rozmów telefonicznych.

— Dobrze, mały, zrobimy tak — powiedział motocyklista mierzwiąc włosy Pete'a. — Ja ci zafunduję na moim harleyu przejażdżkę twojego życia, a Nat i panna Wardlaw pojedą tuż za nami. Wraz ze wszystkimi pozostałymi opuścisz siedzibę Berniego i Blossom. Na dobre. Będą musieli się rozliczyć ze swych obowiązków. Postaramy się poszukać twojego przyjaciela Barneya. Brat powiedział, że zajmie się tym w wolnym czasie, ale niczego ci nie obiecujemy. Panna Wardlaw ma zamiar odszukać twojego wuja. Też bez gwarancji. Czy tak dobrze?

— Dokąd ja pójdę?

— Jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że trafisz w jakieś dobre miejsce. Była to rzeczywiście przejażdżka jego życia. Był zachwycony każdą sekundą, szczególnie tym, jak z rykiem wjechali na nie sprzątnięte przez nikogo podwórko Bernie'ego, po czym skręcili pod schody od tyłu.

— No, Bernie! — wrzasnął Duke, gdy Pete ześlizgnął się z tylnego siodełka.

— Co do cholery! — odezwał się Bernie Nelson wychodząc na mały ganek. — Kim pan jest? Spieprzaj pan z mojego podwórza. — A ty? — zaryczał wyciągając rękę do Pete'a. — Chcesz poczuć moją rękę?

— Założymy się? — wycedził Duke blokując motor. Złapał Berniego za koszulę, przy której brakowało dwóch guzików, i jednym szarpnięciem zwałił go z trzeciego schodka na ziemię. — Więc mówisz, spasiona dupo... A, rozumiem, jesteś groźny tylko dla małych dzieci, co?

— Bernie, co tu się dzieje?

Za wkraczającą na ganek Blossom widać było dzieci.

Za motocyklem Duke'a zatrzymał się błękitny ford mustang. Ukazała się Harriet Wardlaw, podeszła do Nelsonów i wręczyła im złożony papier.

— Zabieram dzieci — oświadczyła. — Wszystkie. Proszę natychmiast wydać ich rzeczy.

— Co jedliście na kolację? — zwróciła się do jednej z małych dziewczynek.

— Tłuczone ziemniaki — odpowiedziała dziewczuszka ledwie słyszalnym głosem.

— I co jeszcze, kochanie?

— Nic — odparła mała.

Nie upłynęła chwila, a drugi samochód podtoczył się do krawężnika, a na końcu wóz patrolowy, co oznaczało wizytę policji Asbury Park.

— Co powiecie na McDonalda? — zagrzmiął Duke. — Tyle jedzenia, ile każdy zmieści. W tym tygodniu dają nagrody.

— Kim pan jest, do diabła? — spytał Bernie z pogrózką w głosie.

— Jestem architektem. Tak się po prostu zdarzyło, że znalazłem się dzisiaj o właściwej porze we właściwym miejscu. Myślę, że można by to określić jako opatrzność boską. A ten facet pod bronią to mój brat i tak się składa, że jest gliną. Pannę Wardlaw zna pan, oczywiście. Mężczyźni za nią to znakomitości waszego miasteczka, jak niedługo się pan przekona.

Harriet Wardlaw odwróciła się do Pete'a.

— Gdzie twoja deska? — spytała cicho.

— Pamięta pani moją deskę surfingową? — uśmiechnął się Pete.

— Kochanie, wszystko pamiętam. Pośpiesz się, nie chcę, byś przebywał tu choć chwilę dłużej.

Pete pobiegł do domu, by zabrać swoje rzeczy. Po siedmiu minutach był na ganku z powrotem. Po raz pierwszy od długiego czasu czuł się szczęśliwy.

* * *

W miesiąc później otrzymał list od Nataniela Bickmore'a, brata Duke'a. Policjant pisał, że nie jest w stanie ustalić miejsca pobytu pani Sims i Barneya. Powiedział, że pani Sims wyjechała poza granicę stanu, by uwolnić się od Davida Watkinsa, prawdopodobnie też zmieniła nazwisko, więc nie można jej znaleźć.

„Robiłem, co mogłem, i w wolnym od pracy czasie zajmowałem się tą sprawą.” pisał. „Robimy też wszystko, by odszukać twojego wuja. Chciałem po prostu, abyś wiedział, że nie zapomnieliśmy o tobie. Duke przesyła ci pozdrowienia”.

List miał podpis: „Twój przyjaciel Nataniel”.

Pete znalazł się w nowym domu. Miejsce było dość przyjemne, opiekunowie okazali się starszą, bezdzietną parą. Dostał swój własny pokój z niedużym telewizorem i odbiornikiem radiowym. Miał własne biurko i komplet encyklopedii. Przybrani rodzice nazywali się Hiram i Etty Penschawowie. Byli sztywni, nigdy się nie uśmiechali, i nie można było o nich powiedzieć, ani że są mili, ani niemili. W domu panowała cisza. Etty cały czas czytała, Hiram, gdy skończył pracę, mitrężył czas w warsztacie. Jedzenie było dobre i obfite i zawsze podawano desery. Pete dostawał nawet pięćdziesięciocentowe tygodniowe kieszonkowe. Niemal zawsze odkładał całość. Gdyby znał miejsce pobytu Barneya, mógłby iść do budki telefonicznej i zadzwonić. Miał nową, dobraną dla niego, wyprasowaną odzież. W szkole wyglądał jak wszyscy chłopcy.

Nadal nie miał przyjaciół, ale to był jego wybór. Nie chciał nawiązywać przyjaźni, by później nie być znów skazanym na uczuciową szapaninę. Każdego wieczoru modlił się za Barneya i zastanawiał się, czy on też modli się za niego, czy o nim zapomniał.

Miał dwanaście lat, gdy Nataniel powiedział, że trafił chyba na ślad jego wuja, ale ślad ten prowadził donikąd. Gdy miał lat czternaście, pani Penschaw zmarła i pan Penschaw postanowił przenieść się do mieszkającej w Georgii siostry. Wezwano znowu Harriet Wardlaw i Pete został umieszczony w trzecim domu. Etty uściśnęła mu rękę, wręczyła kopertę i odszedł. W kopercie było sto dolarów w nowiutkich dwudziestodolarowych banknotach.

Pete wprowadził się do Krugerów i od razu wiedział, że to nie wypali. Krugerowie mieli syna Dwighta, o rok młodszego od Pete'a, i chcieli wyciągnąć pieniądze od państwa, by móc obsypywać go dobrami materialnymi. Potrwało osiem miesięcy, zanim Pete zaproponował Otisowi Krugerowi, by pocałował go w dupę.

Rodzina Menalisów okazała się niewiele lepsza, ale udało mu się w niej utrzymać przez półtora roku. Był już bliski wypowiedzenia przed Avrimem Menalisem swego ulubionego zdania, gdy Nataniel Bickmore pojawił się osobiście, by powiedzieć, że odnalazł chyba wuja Pete'a. Spotkanie zostało przygotowane na następny dzień.

Pete wypił galon kawy w restauracji fast food, w której dorabiał sobie po szkole. Nie chciał wracać do domu, więc wziął dodatkową zmianę i śnił cały czas na jawie o spotkaniu. Nataniel nie powiedział niczego istotnego o mężczyźnie, który był jego wujem. Może wreszcie znów będzie do kogoś należał. Może wuj go pokocha.

Avrim Menalis z synem Nevilem weszli do restauracji dokładnie w chwili, gdy Pete kończył obsługiwać grupę nastolatków, którzy wyszli po dzwonku. Nevil sprawiał wrażenie, jakby miał w szortach kolce. Oczy jego ojca przypominały chłodem stal.

— Zjedlibyśmy tu coś — powiedział Nevile gburowatym tonem, obrzucając lokal pogardliwym spojrzeniem. Ponieważ Pete żył w ich domu, okazywał szacunek będącemu w jego wieku chłopakowi. Ale uważał, że, Nevile nigdy niczego nie osiągnie. Jego szkolne oceny nie były wyższe niż ledwie dostateczne i lufy. Miał wielkie trudności, gdy musiał przeczytać całe zdanie, a jego słownictwo stanowiły głównie gardłowe chrząknięcia. Ojciec twierdził, że

niepotrzebna mu książkowa nauka, ponieważ będzie pracował w rodzinnym biznesie paczkowania mięsa w Jersey. Wszystko, co powinien mieć, to silne plecy, mocne nogi i ręce sposobne do zdejmowania tusz wołowych ze stalowych haków.

Pete był dumny ze swego wyglądu. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i dobrą wagę. Nie tylko zdrowo wyglądał, ale był zdrowy. Ćwiczył w maleńkiej salce gimnastycznej na tyłach restauracji, z której Josh Philbin, jej właściciel, korzystał wczesnym rankiem. W szkole był prymusem i jego nazwisko zawsze figurowało na tablicy wyróżnionych. Odkładał pieniądze, mając nadzieję spożytkowania ich na kupno używanego samochodu. Wiedział już, że jeśli będzie do tego zmuszony, potrafi sobie samodzielnie poradzić. Josh wziął go pod swoje skrzydła i nawet zaproponował mu pokój we własnym domu, gdyby sprawy z rodziną Menalisów potoczyły się źle. Propozycja dawała Pete'owi poczucie bezpieczeństwa, chociaż wiedział, że prawdopodobnie nigdy jej nie przyjmie. Pozostawanie u rodziny Menalisów i radzenie sobie z własnym utrzymaniem stanowiło dla niego punkt honoru.

W ciągu kilku miesięcy przygotował się do college'u. Wypełnił wszystkie wymagane formularze i wraz z podaniem wysłał pieniądze, podając dla odpowiedzi adres Josha Philbina.

— Co sobie życzysz, Nevil? — spytał Pete grzecznie.

— Wszystko, co jest darmo. Trzy burgery, frytki, dwa koktajle mleczne, podwójna cebula. A ty co chcesz, tatku?

— Jeśli to darmo, wezmę to samo — rzekł cwaniacko stary.

Pete popatrzył na obu Menalisów. Miał kilka możliwości. Mógł dać im wszystko bez pieniędzy, a potem zapłacić Joshowi za ich jedzenie. Mógł im to po prostu dać i niczego nie powiedzieć. Mógł też powiedzieć Neville'owi i jego ojcu... Co właściwie?

— Nevil, to nie jest darmo, i dobrze o tym wiesz. Na koniec wieczoru muszę się ze wszystkim rozliczyć. Pan Philbin prowadzi dokładne rachunki. A więc chcecie jeść?

Wiedział, że potwierdzą, a potem zadrwią sobie z niego. Po prostu wstaną i wyjdą. Neville zawsze przechwalał się, że tak robi w innych miejscach. Czasami mówił, że jedzenie jest przypalone lub nie dogotowane, albo że znalazł w nim robaka. Potem zjadał wszystko.

— Zapłać, a ja zamówię jedzenie — powiedział Pete dzierżąc w ręku kwit.

Być może jego odwaga stanowiła rezultat nadziei, wynikała z marzenia, że mężczyzna, z którym miał się jutro spotkać, naprawdę okaże się jego wujem, i Pete będzie się mógł stąd wynieść.

Nevile był rozlazły i tłusty jak jego ojciec, i u obu brzuchy wylewały się nad paskami spodni. Szarpał się teraz, by wyjść zza przegrody. Pete cofnął się o krok, potem jeszcze jeden. Młodzież przerwała jedzenie, szykując się na widowisko.

— Obraziłeś nas, Pete. Nie lubię, jak ktoś obraża mojego staruszka.

— Więc nie nazywaj swego ojca staruszkiem. Traktuj go z szacunkiem. Chcesz jeść czy nie?

— Siadaj, Neville. On ma rację. — Avrim położył na ladzie dziesięciodolarowy banknot. Pete nie był pewien, ale wydawało mu się, że dostrzegł w twarzy starego poważanie. — Powiedziałem, żebyś usiadł, Neville.

— Jezu, tatku, te dzieciaki będą jutro mówić wszystkim, że wycofałem się z powodu tego przemądrzalca.

— No to opanuj się i nigdy więcej nie nazywaj mnie swoim staruszkiem.

— Poczekaj, cwaniaczku, prosisz się, żeby ci sprawić łomot. — Neville splunął. — Poczekaj tylko, a zobaczysz, co zrobię z tą twoją śliczniutką deską. Tylko poczekaj!

Pete wycofał się do kuchni.

— Dobrze się postawiłeś — powiedział kucharz, mężczyzna w średnim wieku o zmęczonych oczach, na którego w domu czekało zbyt wiele dzieci i równie zmęczona żona. — Josh będzie z ciebie naprawdę dumny. Na twoim miejscu zabrałbym z domu tę deskę.

— Już dawno ją zabrałem — odparł Pete. — Josh mi ją przechowuje. Trzyma wszystkie moje rzeczy. Mam u nich tylko trochę ubrania. Stare łachy. Niedawno wbił w nie nóż.

— Powinieneś wynieść się stamtąd. Josh mówi, że by cię wziął.

— Wszystko w porządku, Skeeter. Jeszcze tylko kilka miesięcy. Jeśli jutro wypali, to może nawet szybciej.

O jedenastej trzydzieści Pete obrzucił restaurację ostatnim taksującym spojrzeniem, włączył alarm i wyszedł przez tylne drzwi. Nie doszedł jeszcze do alejki, gdy ktoś zaatakował go z tyłu. Stracił równowagę, upadł i natychmiast został wyprostowany szarpnięciem. Nadal miał za plecami napastnika i teraz wiedział, że jest ich dwóch; jeden przytrzymał kolanem jego plecy, dusząc go jednocześnie ramieniem. Z przodu okładano go pięściami, kopano po żebrach i w pachwiny. Zanim napastnicy uciekli, pchnęli go dalej i wyładował w śmieciach, które sam przedtem wyrzucił. Czuł zaciśnięte mocno oko, wiedział też, że ma złamany nos. Miał wrażenie, jakby obrzęknięta twarz dwukrotnie zwiększyła swoje rozmiary. Ciepła krew spływała mu wolno po szyi. Pomyślał, że umiera. Potem nawet tego zaprzagnął.

Kto go znajdzie? W alejce było ciemno, choć oko wykol. Znajdą go dopiero rano, a do tego czasu może naprawdę umrzeć. I kogo to będzie obchodziło? Nikt nie da złamanego grosza za jego życie. Żadna cholerna żywa istota, jaka chodzi po tej ziemi.

— Mnie obchodzi, do cholery — zamruczał. Powinien znaleźć się w szpitalu, tyle wiedział na pewno. Tam się nim zajmą, wykurują go. Jeśli nie umrze.

Zaczął się czołgać, kwiląc jak nowo narodzony szczeniak. Jeśli uda mu się dotrzeć do drzwi i otworzyć je, odezwie się alarm i przybędzie policja. Także Josh, a może nawet Skeeter. Zabiorą go do szpitala, gdzie pielęgniarka, pachnąca i czysta jak jego matka, będzie się nim opiekować. Uśmiechnie się, dotknie jego czoła i powie, że wszystko będzie dobrze. Jej też uwierzy. Pielęgniarki i matki nie kłamią.

Nim dotarł do tylnego wejścia, dwukrotnie stracił przytomność. Każde poruszenie było torturą. Wiedział, że ma złamane kilka żeber i coś jest nie w porządku z lewym kolanem. Jednak walczył. Gdy w restauracji rozległy się dzwonki, gwizdki i syreny, pomyślał, że umarł i idzie do nieba. Zaczął przywoływać matkę, po czym stracił przytomność.

Gdy ocknął się znowu, zrozumiał, że jest w szpitalu. Każdy oddech był bolesny. Wydawało mu się, że wszyscy mówią jednocześnie. Josh Philbin kłął słowami, których Pete nigdy dotąd od niego nie słyszał.

— Opiekujcie się nim i gównu mnie obchodzi, ile to będzie kosztowało. Dajcie mu taką specjalną pielęgniarkę, żeby z nim siedziała.

Później dobiegł go głos Skeetera, ale słowa były niewyraźne. Potem, gdy zabrali go do pokoju, słyszał rozmawiającą z Joshem Harriet Wardlaw, ale tej rozmowy także nie rozumiał.

Zbierało mu się na płacz, ale nie wstydził się tego. Poczuł, jak chłodny ręcznik dotyka jego policzków.

— Dobrze jest płakać, synu — powiedział cicho miły głos. — Nie ma tu nikogo poza tobą i mną. Mam na imię Maryann i jestem twoją pielęgniarką. Czy chcesz, abym do kogoś zadzwoniła?

Pomyślał, że powie o Barneyu, ale odezwały się w nim wątpliwości. Gdzie właściwie jest jego przyjaciel i co robi? Barney nigdy nie dostałby takiego lania, jakie otrzymał on. Czy to oznacza, że jest tchórzem? Podeszli go z tyłu, przygwoździli. Nie miał możliwości z nimi walczyć. To ich

musiałby nazwać tchórzami, bo nie pokonali go w uczciwej walce. Wydawało mu się, że powiedział: „A niech to cholera”. Dobiegł go chichot.

— To zupełnie niezłe podsumowanie — stwierdził głos. — A teraz powinieneś spać. W poczekalni jest mnóstwo ludzi, którzy się martwią o ciebie. Jutro ich zobaczysz.

— Kto? — Tym razem nie miał wątpliwości, że powiedział to głośno.

— Pan Philbin, policjant imieniem Nataniel, jego brat, ta miła panna Wardlaw, pan Skeeter i dwaj policjanci, którzy cię znaleźli. Siedem osób. Zdarza się, że pacjent przychodzi do nas i nikt nie czeka, by dowiedzieć się o jego zdrowie. Zaśnij teraz.

Gdy obudził się następnego dnia, uświadomił sobie dwie rzeczy naraz. Pierwszą był intensywny ból, a drugą wygląd pokoju. Cały tonął w kwiatach. Na widok jednego bukietu Pete roześmiałby się, gdyby tylko mógł. Kwiaciarka dołożyła wielu starań, by wyglądał jak hamburger z koktajlem i frytkami na tacy. Do plastikowej piłki futbolowej przytwierdzone tyły baloniki, a w kubku ozdobionym z jednej strony obrazkiem przedstawiającym grę w koszykówkę stały fiołki. Na komodzie siedział olbrzymi pluszowy miś z czerwonymi balonami przytwierdzonymi do łapy. Na parapecie stały różnokolorowe kwiaty.

Potem przychodzili lekarze i każdy powtarzał w pełnych otuchy słowach, że Pete wyzdrowieje. Przez kilka dni będzie cierpiał, a przez sześć tygodni będzie się poruszał o kulach, ale to także wytrzyma. Jesteś młody, mówili. Młody organizm szybko dochodzi do zdrowia. To ostatnie Powiedziane zostało tak rozważnie, że Pete skulił się.

— Masz gości, i to wielu — oznajmiła pielęgniarka.

Pete otworzył oczy. Pragnął, by wyglądała jak jego matka, ale tak nie było. Maryann miała siwe włosy i brak jej było dołeczków w twarzy. Była pulchna i pachniała noxzemą. Babcia? Zapytał i skinęła głową. Babcia jest prawie taka dobra jak matka. Czekaj, aż się uśmiechnie. Uśmiechnęła się, gdy dawała mu cztery małe tabletki.

— To ulży ci trochę w bólu. Nie chcemy jednak, abyś się od nich uzależnił. Poczekamy kilka minut, aż zaczną działać, a potem wpuszczę tu twoich gości.

Ledwie rozróżniał znajomych, tylko głosy pozwoliły mu ich rozpoznać. Powiedziano mu, by się nie odzywał, tylko oni mieli mówić, i tak się stało. Opowiadali, jak bardzo się przejęli jego sprawą i jak im przykro, że coś takiego przydarzyło się komuś tak miłemu jak on.

— Mam zamiar komuś dokopać, ot, co ci powiem — oznajmił Josh Philbin. — Znajdę tego sukinsyna, który ci to zrobił. Skeeter ma jakieś pomysły i policja też wykonuje swoją robotę.

— Nie wrócisz tam, Pete — oświadczyła Harriet Wardlaw. — Sprawdziłam w sądzie i uzgodnione zostało, że ostatnie miesiące przed pójściem do college’u spędzisz u pana Philbina i jego żony.

Miał chęć zapytać o wuja. Czy spotkanie nadal jest aktualne, czy też zostało odłożone? Harriet Wardlaw uniosła rękę.

— Pete, powiedziałam panu Sorensonowi, że powinniśmy poczekać kilka dni. Chciałabym, żebyś przy tym spotkaniu był w formie. Czy tak dobrze? Unieś rękę, jeśli tak.

Ręka Pete’a zadrżała. Co to znaczy kilka dni dłużej? Jeśli wygląda tak, jak się czuje, wystraszy człowieka, który może okazać się jego wujem. Zapadł w sen w trakcie tej myśli. Odwiedzający wychodzili na palcach z pokoju, obiecując, że wrócą następnego dnia.

Śnił. Marzyło mu się dalekie miejsce o nazwie Bell’s Beach. Na potwornie wielkich falach ojciec sunął na jego nowej desce surfingowej. Matka stała na plaży, trzymając Pete’a za rękę. W jej oczach widział miłość i dobroć. Wiatr rozwiewał jej włosy wokół twarzy. Była śliczna. Powiedział jej, że jest ładniejsza od aniołów i mama uśmiechnęła się.

— Chodź, Pete, zbudujemy zamek z piasku — zawołał znad wody Barney.

— Zobacz, mamó, Barney wrócił. Powiedział, że przyjdzie po mnie i przyszedł. Dotrzymał obietnicy. Jezu, wygląda tak samo. Jestem prawie taki duży jak Barney, co, mamó? Dlaczego tak długo czekał?

— Nie wiem, kochanie. Może potrzebny był swojej mamie, opiekował się nią i nie mógł odejść.

— Ty odeszłaś, mamó. Ja bym się tobą opiekował. Barney by mi pomagał. Podoba ci się tam wysoko na chmurze? Czy mnie widzisz, czy tęsknisz za mną?

— Och, kochanie, oczywiście że tata i ja tęsknimy za tobą. Patrzymy na ciebie cały czas i opiekujemy się tobą.

Uwolnił rękę szarpnięciem.

— To frazes i dobrze o tym wiesz. Skoro się mną opiekujecie, to jak ten pomyłony Nevil mógł mnie pobić? Wiem, że to on, bo czułem jego zapach. Był z nim ten jego zafajdany koleś. Obaj cuchną tak samo. Barney mnie okłamał. Wszyscy mnie okłamali. Nie mieszkasz z tatą na chmurze. Nie jestem głupi. Wszyscy myślą, że jestem idiotą. Wierzyłem Barneyowi, a on mnie też opuścił. Nienawidzę go za to. Nie będę go więcej szukał. Wracaj na swoją chmurę z tatą. Zobacz, nawet ze mną nie porozmawia. Płynie na fali na mojej desce. Zabierałem ją wszędzie, gdzie mnie przesyłali. Musiałem o nią walczyć. To była prawdziwa walka. Chcieli ją sprzedać na nowe buty i moje strzyżenie, tylko ta pani w niebieskiej sukience im nie pozwoliła. Powinnaś była zejść z tej swojej chmury i... Idź sobie i zabierz Barneya!

— Kocham cię, słoneczko, Barney też cię kocha. Pewnego dnia zrozumiesz, że są takie sprawy, nad którymi nie mamy władzy ani nie możemy ich zmienić. Tata i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni, Pete. Pocałuj mnie na pożegnanie. Teraz musimy z tatą odejść.

— Nie zostawiaj mnie znowu, mamó. Powiedz tacie, że chcę, aby został.

— Do widzeniaaaaa, Pete — wołała matka, idąc wodą, by dostać się na deskę surfingową, do ojca. Posłała mu dmuchnięciem pocałunek, to samo zrobił ojciec.

— Nie zabieraj deski, tato.

— Nie zabiorę, synku. Właśnie nadałem jej imię.

— Barney, ty też odchodzisz? — spytał z gniewem.

— Taaa, ja też muszę. Mama tak powiedziała. Trzeba robić to, co mówi mama. Ale wrócę po ciebie, tak jak przyrzekłem. Przysięgam na moją mamę.

— Pocałuj mnie w dupę, Barney! — wykrzyknął. — W dniu, kiedy przyjdiesz i mnie zabierzesz, ja pocałuję twoją dupę. Jestem już duży, i nie musisz mnie więcej okłamywać.

— Nie kłamie. Słowo.

— Jesteś kłamcą! Przyrzekłeś, że jak będę miał szesnaście lat, przyjdiesz i zabierzesz mnie. Mam teraz siedemnaście i pół. Cholernie mnie okłamałeś. Nienawidzę cię, Barneyu Sims. Nienawidzę każdej cząstki twojego ciała!

Przebudził się z zamierającym na ustach krzykiem.

— Złe sny są straszne, ale nic nie znaczą — powiedział miękko babciny głos. — Cśśś, śpij jeszcze.

Poczuł na głowie chłodną dłoń. Strach ustąpił i Pete pozełgował w spokojny sen.

* * *

Późnym piątkowym popołudniem siedział na oszklonej werandzie na wózku inwalidzkim, gdy przyszedli Nataniel Bickmore, Harriet Wardlaw oraz mężczyzna, który mógł być jego wujem.

— Wygląda pan jak mój tata — wyrwało mu się, gdy mężczyzna oraz Harriet zajęli miejsca, a Nataniel wyszedł. I rzeczywiście — wcale nie było to tylko jego pobożne życzenie. Szpakowate

włosy mężczyzny były krótko przycięte, tak samo wąsy. Ciemne, czekoladowe oczy patrzyły bystro i przenikliwie. Pod twardym, surowym spojrzeniem serce Pete'a niemal zamarło.

— Czy takim właśnie pamiętasz swego ojca? — spytał mężczyzna podnosząc fotografię. — Kiedy było robione to zdjęcie, miał osiemnaście czy dziewiętnaście lat.

Pete zauważył wypolerowane paznokcie. Przyglądał się zdjęciu dłużej niż czas.

— Tata miał na szyi paskudną bliznę. Ten na zdjęciu jest do niego podobny.

— Po której stronie szyi miał tę bliznę? — spytał mężczyzna.

— Po lewej. Opowiadał, że przewrócił się na ogrodzenie z drutu kolczastego i musieli mu założyć dziewięć szwów. Miał je poniżej ucha. Niewielka część ucha była zagięta.

— Miał jedenaście szwów — sprostował mężczyzna. — Musiałem odwieźć go do weterynarza, by mu je założył, bo do lekarza było zbyt daleko. Rower miałem porzewiały, z zepsutą kierownicą. Wypadek zdążył się z mojej winy. Ojciec omal nie obdarł mnie ze skóry.

Rozmawiali długo, przy czym mówił głównie Leo Sorenson. Opowiedział Pete'owi o jego ojcu rzeczy, o których chłopiec nigdy nie wiedział. Rzeczy interesujące, które pragnął poznać, gdy dorośnie. Niemal przez cały czas głos Leo brzmiał smutno, ale chłopiec tego nie zauważył.

— Jak już wstaniesz i będziesz mógł chodzić, wybierzemy się na cmentarz, by go pożegnać. Rozumiem, że nie pozwolono ci wziąć udziału w pogrzebie i kremacji. Pojedziemy razem.

Głos był ożywiony i brzmiał tak stanowczo, że Pete pojął, iż wyjazd został dobrze zaplanowany. A to musi znaczyć, że ten człowiek jest rzeczywiście jego wujem i że Pete naprawdę ma krewnego. Nikt jednak nawet jednym słowem nie wspomniał na temat zamieszkania chłopca z Leo. Pete skinął głową i czekał.

— Dowiedziałem się o tobie samych dobrych rzeczy, Pete. Zachwycające sprawozdania. Ładnie się zaprezentowałeś.

Pete podziękował, myśląc jednocześnie, że wuj wydaje się zaskoczony.

— Mów do mnie Leo — usłyszał. — Domyślam się, że teraz, na tym etapie, trudno byłoby ci zwracać się do mnie „wuju”. Jesteś już właściwie mężczyzną. Wiem, że na jesieni wybierasz się do college'u. Co myślisz o pójściu do Harvardu? Co z twoimi wynikami?

— Są bardzo dobre, proszę pana.

— Mogę ci to umożliwić. Ty chcesz iść, ja będę płacił rachunki. Żadnego stypendium. Powiesz mi o swojej decyzji za kilka dni.

— Dobrze, proszę pana. Leo.

Pete poczuł, jak oczy zaczynają go piec. Nie tak to sobie wyobrażał. Spodziewał się uścisków, potem uścisków rąk i kilku klepnięć w plecy. Może też rozmowy o wspólnym powrocie do domu, o tym, co teraz, gdy już się poznali, będą razem robić.

— Jestem prawnikiem. Czy myślałeś kiedykolwiek o karierze prawniczej?

— Nie. Sądziłem... Myślę, że najlepsza byłaby dla mnie politechnika.

— Inżynierem może być każdy. Inżynierów strasznie się namnożyło. Prawo to jest coś. Duże pieniądze, choć zarazem ciężka praca. Twój ojciec mawiał, że zamierza być prawnikiem, ale nie chciał studiować. College też rzucił. Miał swoje marzenia. Przykro mi, że nie udało mu się ich urzeczywistnić. Pomyśl o prawie. Sorneson i Sorenson. To dobrze brzmi. Inżynier pieniędzy nie zrobi... Czy potrzeba ci czegoś, Peter?

— Nie, proszę pana.

— Czy wiesz już, kiedy stąd wyjdiesz?

— Nie. Proszę pana...

— Tak, Peter?

— Dlaczego pan nigdy... nigdy się pan nie dowiedział... To znaczy, czy nigdy to pana nie interesowało? Myślę, że powinien pan wiedzieć o mnie — dokończył Pete bezbarwnym głosem.

— Brzmi to strasznie, prawda? Można by pomyśleć, że powinny zadzwieć dzwony i obwieścić twoje narodziny. Nie odezwały się.

O tym, jak było naprawdę Pete miał się dowiedzieć znacznie później. Teraz słowa wuja uznał za kłamstwo.

— Coś mi się wydaje, że nie wierzysz — rzekł cicho adwokat.

Pete miał chęć zapytać go, czy nie ma wyrzutów sumienia, ale przemilczał.

— Nie wiem, dlaczego ma pan takie uczucie. Szukaliśmy pana od dawna.

— Początkowo, gdy twoi rodzice się pobrali, bardzo często się przenosili i twój ojciec nie kwapił się do dzwonięcia czy pisania. Innymi słowy, nie chciał, bym go niepokoił. Przynajmniej tak to wówczas odbierałem. Sądzę — powiedział Leo dobierając starannie słowa — że jeśli się postarasz, moglibyśmy polubić się nawzajem. A jeśli nie, zadowolimy się wzajemnym szacunkiem. Umowa stoi?

Pete poczuł, że nie ma wielkiej możliwości wyboru.

— Tak, proszę pana — skinął głową w odpowiedzi.

— To dobrze. Myślę, że we wtorek cię wypiszemy. Wynajmę pielęgniarkę i sam zabiorę cię do domu. Każę kierowcy zabrać twoje rzeczy. Przykro mi, że wcześniej nic o tobie nie wiedziałem. Nigdy bym nie pozwolił, by syna mojego brata przesyłali jak bagaż z jednego miejsca w drugie. Zrobię co w mojej mocy, by ci to wynagrodzić.

Po chwili adwokat odszedł.

— Och, Pete, czy to nie cudowne? — spytała uszczęśliwiona Harriet Wardlaw, klaszcząc z zachwytem w ręce. — Masz teraz rodzinę.

— On nie zachowuje się jak... Chyba mu się nie podobam. Nie wydaje mi się też, by lubił specjalnie mojego ojca. On po prostu ma zamiar spełnić swój obowiązek. Nie jestem pewien, czy mam chęć z nim zamieszkać. Może powinienem zostać u Josha aż do czasu, gdy pójdę do college'u. Chce, żebym został prawnikiem jak on. Myślałem, że inaczej to będzie wyglądało. Myślałem, że zaproponuje, abyśmy poszli razem na mecz, na ryby, albo coś takiego.

— Pete, twój wuj nigdy nie był żonaty. Nie wydaje mi się, by miał pojęcie o tym, jak się postępuje z dziećmi. To bogaty człowiek, przynajmniej tak mi mówiono. Jest także jednym z najświetniejszych adwokatów w kraju. Sprawdziłam go. Wypadł naprawdę dobrze. Myślę, że obaj potrzebujecie czasu. Jeśli każdy z was wyjdzie w pół drogi, sprawy z pewnością się ułożą. Strasznie się cieszę, Pete. Tylko bardzo mi przykro, że tak długo trwało, zanim go odnaleźliśmy. Chciałabym, aby udało nam się też odnaleźć Barneya. Obawiam się jednak, że to beznadziejna sprawa.

— Wszystko w porządku, panno Wardlaw. Kiedy Barney będzie gotów, znajdzie mnie jakoś. Wiem o tym.

— Miałaś takie wielkie nadzieje, a teraz czujesz się rozczarowany, prawda?

Pete skinął głową, a w oczach miał żal.

— Nie jest taki, jak się spodziewałem. W niczym nie przypomina mojego taty. Zastanawiam się, czy lubił moją mamę. Nawet o niej nie wspominał.

— Powiedział Natanielowi, że stracili swój ślad. To się zdarza w najlepszych rodzinach, Pete. Słuchaj, daleka jestem od tego, by ci mówić, że musisz do niego iść, jeśli tego nie chcesz. Wszystko zależy od ciebie. Cokolwiek postanowisz, uznam za słuszne. Chcemy tego, co dla ciebie najlepsze.

— Doceniam wszystko, co pani dla mnie zrobiła — odparł Pete. — A także to, co zrobił Nataniel. Przrzekam pani, że przemyślę wszystko.

— Czas odwieźć cię z powrotem do pokoju — stwierdziła panna Wardlaw. — Robi się chłodno. Naprawdę, bardzo się cieszę, Pete.

— Dziękuję pani za wszystko.

— To dla mnie radość, Pete. Chciałabym, aby wszystkie moje przypadki tak dobrze się kończyły. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu. Masz wiele do przemyślenia. Rozważ wszystko i zrób co dla ciebie najlepsze. Tylko dla ciebie. Rozumiemy się?

— Tak, panno Wardlaw.

Sprawiło mu przyjemność, gdy musnęła wargami jego policzek. Znów ożyło wspomnienie matki.

— Czego pani używa, panno Wardlaw? To pachnie... moja mama tak pachniała.

— Bardzo mi miło, Pete. To chyba najprzyjemniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam. To puder „Lily of the Valley”. Kiedy byłam małą dziewczynką, moja mama miała wspaniały ogród z całymi rzędami drobnych kwiatków. Rosną na łądździe i wyglądają jak małe dzwoneczki. Są równie śliczne jak ich zapach. Cały ogród pachniał ich wspaniałą wonią — Wydaje mi się, że dzięki temu wracam do domu i staję się znów małą dziewczynką. To było strasznie dawno temu — dokończyła ze smutkiem.

— Ale to miłe wspomnienie — rzekł Pete.

3

Pete rozsiadł się w limuzynie, wyciągając nogę, by oprzeć ją na siedzeniu naprzeciw. Leo Sorenson usiadł obok niego.

Dojeżdżali do Ridgewood, gdy Pete doszedł do wniosku, że jego wuj nie jest człowiekiem rozmownym. Przymknawszy oczy próbował wyobrazić sobie jego dom, życie jakie prowadzi, a także swą rolę w tym życiu. Panna Wardlaw powiedziała, że dom wuja Leo to posiadłość oddalona o kilometr od drogi i chroniona przez wysoką na kilka metrów żelazną bramę. Podobno jest tam nawet mały domek strażnika, gdzie odwiedzający musi być zapowiedziany przed otwarciem wjazdu. Wie to, mówiła, gdyż pojechała tam, by porozmawiać z wujem Leo. Później powiedziała też, że jest tam zarządzający, kucharz, lokaj, dwaj stali ogrodnicy oraz szofer. Na terenie posiadłości znajduje się olimpijskich wymiarów basen, kort tenisowy oraz ośmiopokojowy dom dla gości.

— Raczej nie ubogo — podsumowała z uśmiechem.

Zdecydowanie nie. Tylko czy on będzie tam pasował? Czy Leo będzie się o niego troszczył, czy też wykonywał jedynie swój obowiązek? Zawsze są dwie możliwości, obaj będą musieli się starać, i Pete ze swej strony przygotowany był na najwyższy wysiłek, by przyjąć pomoc wuja. Nastawił się na rezygnację ze studiów technicznych i robienie tego, czego życzy sobie Leo. Tak wielu ludzi walczyło o niego i wszyscy uznali, że propozycja wuja jest dokładnie tym, czego Pete potrzebuje. Przyszły mu na myśl słowa: wdzięczność, obowiązek i lojalność, i poczuł drganie powieki. Nie mógł jednak powiedzieć „nie” Harriet Wardlaw, Natanielowi i Duke’owi. Nawet Josh Philbin i Skeeter stwierdzili, że ich zdaniem będzie doskonałym absolwentem Harvardu.

To miał być dobry dzień, wspaniały dzień. Dzień, o którym marzył całym latami, gdy przerzucano go z jednego miejsca w drugie. Dokładnie taki sam jak ten, w którym miał przybyć Barney, by go zabrać. Teraz wiedział jednak, że Barney nigdy się nie pojawi. Przyjął ten fakt, ale nie przestawał fantazjować. Co Barney powiedziałby o tym wszystkim? Rób to, Pete, tak właśnie by mu powiedział.

Jakim bratem był Leo Sorenson? Najwyraźniej należał do tych, których nie obchodzi ani brat, ani jego rodzina. Powieka Pete’a zadrgała znowu.

Usłyszał miękki głos wuja i powieka zadrgała mu ponownie.

— W posiadłości jest basen. Może będziesz chciał zapraszać kolegów na barbecue. Jeśli zamówię orkiestrę, będziecie mogli tańczyć nad basenem. Domyślam się, że młodzi ludzie lubią takie rzeczy. Naturalnie, kiedy twoja noga będzie w dobrym stanie.

— Nie umiem pływać. Nigdy nie miałem czasu na rozrywkę i tak naprawdę nie mam kolegów. Zawsze musiałem pracować i spełniać polecenia. Ale to miłe. Może zanim wyjadę do college’u, mógłby pan zaprosić na kolację pannę Wardlaw i Nataniela. Także Josha i Skeetera. Chciałbym się z nimi pożegnać.

Wyczuł, jak ciało wuja sztywnieje. Gdy Leo się odezwał, jego głos był równie sztywny.

— Jeśli tego sobie życzysz. A więc podjąłeś decyzję co do college’u?

— Tak. Wstąpię na Harvard, jeśli mnie przyjmą, tylko czy to nie za późno?

— Nigdy nie jest za późno. Moim zdaniem, Pete, powinieneś zmienić sposób myślenia. Powiedziałem, że mogę ci pomóc się tam dostać i tak jest, a ja nigdy nie robię obietnic, których nie mogę spełnić. Tego powinieneś się nauczyć na całe życie.

— Czy mogę otrzymać z powrotem mój depozyt z Villanova? Zmienię sposób myślenia, przeleciało Pete’owi przez głowę, będą myślał pozytywnie. Któregoś dnia pojawi się Barney.

— Dopilnuję tego. Spodoba ci się Harvard, wydział prawa też. Jego szacowne mury i cała reszta. Widzę możliwość zrobienia z ciebie bardzo dobrego prawnika. Bardzo bogatego, doskonałego prawnika.

— Nie wiem, czy chcę być bogaty — mruknął Pete.

— Oczywiście, że chcesz. Tylko głupiec mógłby twierdzić coś innego. Zapamiętaj sobie: pieniądze pomagają kupić sobie szczęście, a z całą pewnością zdrowie. Musisz wiedzieć, jak posługiwać się pieniędzmi. Używać ich, by zapewnić sobie zdrowie, korzystać z nich, by otoczyć się przedmiotami, które będą wywoływały twój uśmiech. Usiłowałem wpoić to twemu ojcu, ale nie chciał skorzystać z moich rad. Wolał marzyć o pieniądzach, zamiast je zarabiać. Może, gdyby mnie posłuchał, nie...

— Proszę nie mówić o moim ojcu!

— W porządku, Pete, już nie mówię.

— Czy jest pan zdrowy i szczęśliwy? — spytał Pete.

— Moim zdaniem tak. Mam wszystko, czego zapragnę. To cudowne uczucie.

— Harvard jest drogi.

— Nawet bardzo, ale to nie problem. Jedyne problem, to zapewnienie ci najlepszego wykształcenia. Ja musiałem sam wypracować sobie możliwość ukończenia szkoły. Tobie potrzebny jest cel, musisz dążyć do tego celu i nie pozwolić, by cokolwiek stanęło ci na przeszkodzie. Dlatego właśnie tak mi się dziś powodzi.

— Powiedział skromnie — mruknął Pete kącikiem ust.

— Bystry jesteś — zaśmiał się adwokat. — Jaki samochód chciałbyś mieć?

— Upatrzyłem sobie toyotę. Potrzeba mi tylko jeszcze sto dolarów, ale jeśli odzyskam depozyt, będę mógł sobie ją kupić. Pewien człowiek trzyma ją dla mnie. Josh powiedział, że jest w fantastycznym stanie.

— Zachowaj swoje pieniądze. Pomyślałem, że sprawię ci kabriolet. Nowy. W ten sposób nie będę się martwił, że zdarzy ci się wypadek.

Pete poczuł się mile połączony. Nie z powodu samochodu — komu nie podobałby się fabrycznie nowy samochód? Przyjemność sprawiła mu troska. Ktoś wreszcie miał się o niego troszczyć.

— To bardzo miło z pana strony.

— Jaki kolor? Czerwony? Dziewczyny takie lubią. Jeśli chcesz, mogą mi dostarczyć jeszcze dziś po południu.

Wszystko u tego człowieka było na zawołanie.

— Nie miałem czasu, by zdać egzamin na prawo jazdy.

— To możemy załatwić jutro. Kupiłem ci także nowe ubranie. — Ostatnie zdanie Leo wypowiedział niemal ze skrepowaniem.

Wbrew samemu sobie, Pete poczuł zainteresowanie. Lubił się ubierać. Zastanawiał się, skąd Leo znał jego rozmiary, a potem przestał o tym myśleć. Jego wuj okazał się człowiekiem czynu, energicznym i przebojowym.

— Dziękuję. Jakie?

— Wszystko, co trzeba. Zadzwoiłem do Calvina Kleina, Ralpa Laurena oraz do Armaniego i powiedziałem, by przysłali po jednej sztuce wszystkiego. Panna Wardlaw była na tyle uprzejma, że dała mi twoje rozmiary. Nabyliśmy ci nawet smoking.

— Jezu! — zdołał tylko wykrztusić Pete. Leo promieniał.

— Mam w Belmar jacht motorowy. Dobrze byłoby, gdybyś latem podjął kurs organizowany przez straż przybrzeżną. Jacht ma osiem miejsc do spania. Ładna łódź, ale niewiele z niej korzystam.

— Ale dlaczego... Leo?

— Nie mam czasu, ciężko jest zgrać terminy innych z moimi. Z jakichś przyczyn nigdy się nie udaje i łódź tkwi tam po prostu. Może my dwaj będziemy z niej korzystać. Słyszałem, że młodzi ludzie lubią narty wodne. A ty?

— Nigdy nie próbowałem. Najpierw muszę nauczyć się pływać.

— Jak tylko twoja noga będzie w porządku, weźmiemy ci instruktora. Czy nie zapomniałem o czymś? — spytał niepewnie Leo.

— Raczej nie.

— To dobrze, bo jesteśmy już na miejscu. Teraz sam możesz wszystko zobaczyć. Witaj w nowym domu, Peter.

Pete opuścił okno, gdy limuzyna przesuwiała się przez otwartą bramę. Szczeka mu opadła, a oczy omal nie wyskoczyły z orbit. Dom był olbrzymi. Zbudowany z czerwonej cegły, z bluszczem wczepionym w zaprawę, z kombinacjami spadzistych daszków i przeciętymi na krzyż szybami okien przypominał zamek z tajemniczych opowieści. Olbrzymi trawnik był bardziej zielony niż szmaragdy. Wszędzie rosły kwiaty i krzewy, sprawiające wrażenie, jakby przycinano je cążkami do manicure.

— Barney byłby zachwycony — rzekł Pete.

— Kto to jest Barney? — spytał wuj.

— To ktoś, kogo kiedyś znałem — odparł Pete cicho. — Ilu ludzi tu mieszka? Po co panu garaż na sześć samochodów?

— Właściwie tylko ja i zarządzający. Wszyscy pozostali na noc idą do domu. Garaż należy do domu. Jest jednak pełny. Lubię stare samochody. Jeżdżę nimi od czasu do czasu. Z początku mówiłem sobie, że traktuję kupno ich jako inwestycję. Rozumiesz, gdyby przyszły na mnie ciężkie czasy. Gdyby tak się stało, mógłbym je sprzedać i żyć wygodnie. Ubezpieczenie jest horrendalne. Teraz patrzę na nie jak na nabytek.

— Rozumiem, proszę pana.

— Nie chciałbyś przejść się trochę? Mógłbym pokazać ci basen i kort tenisowy. Ogród kwiatowy z tyłu jest również wart obejrzenia.

— Bardzo chętnie. Zupełnie dobrze posługuję się kulami... Co to za domek przy basenie?

— Chata. Ma kuchnię, łazienkę, bar i telewizor wielkoekranowy. Na przyjęcia.

— Często urządza pan przyjęcia? — spytał Pete z ciekawością, poruszając się o kulach niezręcznie.

— Nie. Chyba powinienem to wyjaśnić. To miejsce — wuj zatoczył ramieniem koło — to schronienie, sanktuarium. Moje własne, całkowicie prywatne. Jeśli w ogóle kogoś zapraszam, czynię to raczej rzadko. Robię, co trzeba, aby wszystko było we właściwym stanie, bo jeśli nie dba się o rzeczy... niszczej. A poza tym nawet nie umiem grać w tenisa. Powiedziano mi, że to jeden z najlepszych kortów. Możesz brać lekcje.

— Domek dla gości wygląda po prostu jak duży dom — zauważył Pete zatrzymując się na chwilę dla odpoczynku. — Czy ktoś w nim mieszka? Mógłby pan go wynająć, a pieniądze wykorzystać na opłacenie ubezpieczenia.

Leo zaśmiał się.

— Nie, nikt w nim nie mieszka. Musiałem go zbudować. Właściwie nawet nie wiem po co. Chyba dlatego, że posiadłość ma ponad dwanaście akrów i pomyślałem, że będzie dobrze wyglądać. Wszystko to mniej czy bardziej idzie w parze. Lubię, jeśli rzeczy wyglądają przyjemnie, są zharmonizowane, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Pete nie rozumiał, jednak skinął głową.

— Czy widział pan kiedyś dom mojego taty?

— Nie. Domyślałam się, że był wynajmowany.

— Tak, nie należał do nas. Tylko w nim mieszkaliśmy. Nie był nawet tak duży jak ta chata.

— Przykro mi z tego powodu, Peter.

Chyba rzeczywiście tak jest, pomyślał Pete, podejmując swą chwiejną wędrówkę.

Leo dostrzegł wreszcie, jaką trudność sprawia chłopcu poruszanie się o kulach.

— Przyjdą takie dni, kiedy będziesz mógł się swobodnie przechadzać — powiedział. — Myślę, że powinieneś iść do domu i odpocząć trochę. Może chciałbyś wymoczyć nogę w jacuzzi. To bardzo odprężające. Zainstalowałem je dla ciebie w ubiegłym tygodniu. Lekarz orzekł, że to pomoże.

Pete skinął głową, zastanawiając się jednocześnie, jakimi pieniędzmi dysponuje ten człowiek.

— Mam winę — oznajmił wuj z szerokim uśmiechem.

— Pan żartuje!

— Też dobra rzecz, gdyby nie to, być może nie mógłbyś wejść po schodach. Należy do wyposażenia domu. Bardzo mi się podoba.

— Tak, mnie pewnie też. Dziękuję za wszystko — rzekł Pete.

— Cała przyjemność po mojej stronie — Leo wzruszył ramionami. On to także myśli naprawdę, uświadomił sobie Pete.

Wszystko tu było piękne, kosztowne i eleganckie. Brakowało jedynie najważniejszej rzeczy ze wszystkiego: jakiegokolwiek osobistego śladu żyjącego w tym domu człowieka z krwi i kości.

Leo zostawił go przed drzwiami pokoju. Ojcowskim gestem złożył na chwilę rękę na ramieniu chłopca.

— Wracam do miasta. Przyjadę do domu na kolację. Jadamy zazwyczaj około siódmej trzydzieści. Czy to dla ciebie nie za późno?

— Nie. Siódma trzydzieści to doskonała godzina.

— Gdybyś czegoś potrzebował, poproś Millie lub Alberta. Oni tu od tego są. Oszczędzaj nogę.

— Dobrze.

Drzwi zostały zamknięte i Pete znalazł się u siebie. Zwolnił niewielki zatrask. Był swobodny. Oparł kule o ścianę i ruszył na jednej nodze w obchód własnego pokoju. Mógł jedynie przerzucać spojrzenie z jednej strony na drugą. Pokój był ogromny. W zielonej dywanowej wykładzinie noga zapadała się po kostkę. Wyglądał na nowy, nietknięty. Odrzutowce mogłyby tu stoczyć potyczkę. Olbrzymie było biurko i olbrzymie łóżko. Ogromny był fotel i otomana przy kominku — niemal równie wielka jak łożo. Nie mógł się doczekać, by poodbijać się na nim. W połowie drzwi ciągnącej się na długość całej ściany garderoby były lustra, pozostała część miała żaluzjowe zamknięcia. Otworzył je, stojąc na jednej nodze. Zaparło mu dech, choć fakt, że uruchomił taśmę przenośnika, w ogóle nie zrobił na nim wrażenia. Marynarki i spodnie wisały razem z dołączonymi do nich maleńkimi, odpowiadającymi sobie etykietkami, co jak przypuszczał, miało oznaczać, która marynarka pasuje do których spodni. Dalej wisały koszule we wszystkich kolorach tęczy. Potem następowały ciężkie garnitury, rzeczy zimowe oraz letnie. Na niczym nie było nawet śladu zmarszczek czy załamań.

Za lustrzanymi drzwiami na cienkich dębowych półkach leżały swetry, każdy z etykietką projektanta. Każda marka i model tekstylnego obuwia ustawione były porządnie obok sześciu par doskonałych pantofli skórzanych. Adidasy, sandały oraz pletwy do nurkowania stały dalej z wiszącym nad nimi kostiumem. Obok jego deski surfingowej wsparte o ścianę w rogu stały kije do golfa oraz trzy rakietki tenisowe, a wszystkie miały wybite jego nazwisko. W stojącym na podłodze pudle były piłki tenisowe i golfowe. Przymocowane na drzwiach wieszaki wypełniały

krawaty i paski. Na najwyższej półce stał sześcioczęściowy francuski zestaw podróżnych neseserów.

Pete odwrócił się i znów zaczął podskakiwać na jednej nodze. Stał przed podwójną komodą, wysuwając kolejno szuflady. Bielizna — pozdrowienia od Calvina Kleina. Skarpetki z graczem w polo na mankiecie, po dwanaście każdego koloru podkoszulków, szorty z takim samym graczem w polo na mankiecie, sweterki, wełniane pulowerki i piżamy, a każda rzecz dobrze znana mężczyźnie. Wszystko tuzinami. Na wierzchu przybory do golenia, butelka wody po goleniu oraz butelka wody kolońskiej. Pete golił się tylko raz w tygodniu. Z tyłu zobaczył ozdobione jego inicjałami srebrny grzebień i szczotkę. Przenośne radio, które ledwie mógł podnieść, stało obok zdjęcia przedstawiającego jego matkę i ojca. Nie chciał teraz na nie patrzeć, odwrócił je więc do ściany. Później o nim pomyśli.

Nadal zwiedzał swój nowy pokój. Na przeciwległej do garderoby ścianie stał zestaw zawierający wielkoekranowy telewizor, stereo oraz magnetofon.

Obejrzał biurko i stojący za nim fotel. Zmarszczył czoło na widok przymocowanej do fotela informacji o tym, że jest to projekt ergonomiczny. Co to, u diabła, oznacza? Będzie musiał później sprawdzić to w nowiuteńkim *Random House Dictionary*, leżącym na jego biurku obok równie nowej encyklopedii tegoż wydawnictwa. W leżącym na środku portfelu od Gucciego było pięćset dolarów w dwudziestodolarowych banknotach. Zegarek od Gucciego miał czarną tarczę, a na kółeczku na klucze tej samej firmy tkwił jeden klucz. Od domu.

Klucz nadał wszystkiemu wartość oficjalnego aktu. Pete poczuł, że wreszcie do kogoś należy. Leo to jego rodzina. Leo wydał wielkie pieniądze, by zrobić to wszystko. Przypomniawszy sobie jacuzzi.

Przeskoczył na jednej nodze do łazienki, wyciągnął rękę i zapalił światło. Zaparło mu dech. Przypomniały mu się *Opowieści z tysiąca i jednej nocy*. Wszystko było w błyszczącej czerni ze złotymi akcentami. Zamrugał. Czy to pokój dla faceta? Najwyraźniej tak uważa jego wuj. Widział swoje odbicie w posadzce, na wykładzinie ściany i w lustrze nad trzyczęściową umywalnią. Czarny sedes i pisuar rozdziawiły się na niego. Wypróbował i uśmiechnął się. Wpuszczane w podłogę jacuzzi z żyłkowanego złoto — czarnego marmuru miało trzy stopnie w zewnętrznej ścianie i trzy stopnie prowadzące do wody. Wszystko, co musiał zrobić, to nacisnąć trzy guziki. Uzyskiwał jednocześnie światło i muzykę, woda ożywiła się, a jej temperatura wzrastała do czterdziestu stopni. Prysznic z ławeczką był większy niż dwie normalnej wielkości łazienki. Ukryte we wgłębieniu oświetlenie sprawiało, że wszystko się iskrzyło. Zastanawiał się przez chwilę, czy armatura jest złota, czy pozłacana, szybko jednak doszedł do wniosku, że nie obchodzi go to.

Poskakał z powrotem do salonu i stanął, by wziąć zdjęcie swoich rodziców, po czym przeszedł do głębokiego białego fotela przed kominkiem. Chwila starczyła mu na odnotowanie faktu, że ma w swoim pokoju kominek, starannie przygotowany do użytku w październiku, gdy jego tu nie będzie.

Wszystko tu było cholernie doskonałe.

Usadowił się w fotelu i wpatrzył w zdjęcie, które trzymał w ręce. Najwyraźniej było to migawkowe ujęcie, które jego wuj dał do powiększenia. Poczował ogromną wdzięczność i zapłakał. Siedział i płakał.

* * *

W dwa dni później zszedł do domku przy bramie, by odebrać specjalny list polecony na jego nazwisko. Było to potwierdzenie przyjęcia na Uniwersytet Harvardzki. By zrobić przyjemność strażnikowi, wydał dźwięk, który miał oznaczać radość.

Kolejne dni rozmazały się w jego pamięci. Przystąpił do egzaminu na prawo jazdy i zdał. Nie zaskoczyło go wcale, gdy człowiek z automobilklubu przybył do nich i przeegzaminował go na dziedzińcu za domem. Zjawił się instruktor tenisa i podzielił się z nim swą wiedzą. W dzień później przybył specjalista od golfa, pokazał mu, jak trzyma się kije i ustalił rozkład zajęć tak, by nie kolidował z lekcjami tenisa. Ratownik z klubu w ciągu dwóch dni nauczył go pływać. Pete czuł się idiotycznie, gdy unosił się w olbrzymim basenie z dwiema butelkami po chloroxie przymocowanymi do ramion, nie tonął jednak, a o to właśnie chodziło. Leo zapewnił mu podstawy wszystkiego, na co tylko się zdecydował. Kurs ratownictwa zaproponowano mu w trybie indywidualnym i także przeprowadzany był w domu, trzy razy w tygodniu przez dwa tygodnie. Zdał celująco.

Praktycznie wszystko mu się wygoiło. Mógł już obciążać nogę bez obawy i dodatkowe sesje rehabilitacyjne, także w domu, pozwoliły lekarzowi określić stan jego zdrowia jako doskonały.

Każdego dnia jadł z wujem śniadanie i kolację. Raz lub dwa razy w tygodniu grali w szachy. Czasami oglądali razem telewizję i jedli popcorn.

Nie było między nimi więzi i obaj o tym wiedzieli, ale starali się, i dokładali coraz większych starań, by ten cel osiągnąć.

Potem lato dobiegło końca i Pete pakował się do wyjazdu.

Komplet francuskich neseserów ustawiony został na tylnym siedzeniu i w bagażniku razem z deską surfingową. Waliza z jego pościelą została odesłana przez lokaja Alberta dzień przedtem. Wszystko, co pozostało Pete'owi, to powiedzieć „dziękuję”, „do widzenia” i „tak, będę dzwonił co tydzień i przyjadę do domu na każde święta, i jeszcze raz dziękuję za to, że jest pan dla mnie taki dobry”.

Jednak w ostatniej chwili nie potrafił wyciągnąć tak po prostu ręki. Objął wuja ramionami, czując jak ten natychmiast sztywnieje.

Pete postąpił krok do tyłu z płonącymi oczami.

— Dziękuję, że dałeś mi szansę — wymruczał. — Zrobię wszystko, żebyś był ze mnie dumny.

Poczuł, że wuj wciska mu coś do ręki. Książeczka czekowa. Teraz był zmuszony do ponownych podziękowań. Skinął głową, wymamrotał odpowiednie słowa i wskoczył za kierownicę. Przy bramie popatrzył na wstemplowaną kwotę. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Ruszył w drogę.

Gdzie odeszły te wszystkie lata? Pete wyciągnął szyję, rozglądając się po pełnej bibliotece. W jednej chwili wprowadzał się do akademika, w następnej już uzyskiwał świadectwo. Jedno głębokie westchnienie i był na wydziale prawa, a — teraz właśnie jest na ostatnim roku. Pokonał przeszkodę i wychodzi w świat, by budować swój los. Jeśli Leo miał z tym coś wspólnego, musi to być fortuna.

Siedział w głównej bibliotece Harvardu i czekał na swego najlepszego na świecie kumpla. Cekał na dziewczynę, która zmuszała go do wytrwałości w nauce i poświęcając własny cenny czas, udzielała mu lekcji, zachęcała przeklinając i przymilając się, i robiła wszystko, co tylko przyszło jej do głowy, by zmusić go do ukończenia studiów.

— Nie znoszę ludzi, którzy łatwo się zniechęcają — powiedziała kiedyś. On także ich nie cierpiał. Jej metody działały i dlatego właśnie siedział tu i czekał na nią. Wiedział, że wzięł przeszkodę i nie to go dręczyło. Dręczył go problem Annie Gabriel. Jak będzie sobie radził dalej, bez popychającej go stale Annie? Czy jest tak słaby, by potrzebna mu była poszturchująca go wiecznie kobieta?

Nie cierpiał prawa. Może jednak praktyka okaże się lepsza niż studiowanie.

Ruth Ann Gabriel, dla przyjaciół Annie, była osobą jedyną w swoim rodzaju. Nie dość, że kończyła ten najwyżej notowany wydział prawa z najlepszą lokatą, to jeszcze za pierwszym podejściem zdała egzamin na biegłego księgowego, i to wszystkie cztery części. Ona również jednym skokiem pokonała przeszkodę. Drobnutka blondynka była w swoisty, niewyszukany sposób śliczna i tak cholernie nieustraszona, że miał chęć potrząsnąć nią i powiedzieć, jaki ten świat jest naprawdę. Tylko jeden raz udało mu się dostrzec w jej oczach coś przypominającego strach. Był to moment, gdy mówiła o finansowej pomocy, którą będzie musiała zwrócić.

— Żeby spłacić to wszystko, przez dziesięć lat będę musiała oddawać połowę swoich zarobków — powiedziała.

Gdy rozstawali się w dniu otrzymania dyplomów, wracał do Nowego Jorku do pracy w firmie Leo. Annie dostała ofertę pracy w przyzwoitej bostońskiej kancelarii. Zapytał wtedy Leo, czy mógłby zatrudnić ją u siebie i wuj odpowiedział tak hojną propozycją, że zakreśliło mu się w głowie. Gdy jednak przedstawił ofertę dziewczynie, popatrzyła na niego z takim żalem w oczach, że aż się skulił.

— Jeśli nie będę w stanie zrobić tego samodzielnie — stwierdziła — nic tu po mnie. W każdym razie dziękuję.

I to był koniec dyskusji.

Pete nie miał wątpliwości, że na całym świecie nie ma osoby lepszej, miłszej, a zarazem bardziej nieznośnej smarkuli niż Annie Gabriel i kochał ją.

— Nie zaangażujemy się — powiedziała kiedyś. — Mam różne rzeczy do zrobienia i miejsca, które chcę odwiedzić. Romanse i tak wyjdą. Muszę sprawdzić, co jestem warta. A romanse zawsze niszczy przyjaźń — dodała.

Pewnego razu natknął się na nią po zainscenizowanej dla studentów rozprawie sądowej. Poszli do jej pokoju, gdzie otworzyli butelkę wina. Annie wypijała większą część i gdy Pete postanowił wyjść, była pijana. Oparła się o niego i wyszeptwała: „Bardzo cię kocham, Peterze Sorenson”. Pocałował ją, najpierw od niechcenia, potem... Dziewczyna odepchnęła go i powiedziała, by poszedł do domu. Próbował pocałować ją jeszcze raz, ale zacisnęła usta i otworzyła drzwi. Nigdy nie zapomniał łez, spływających po jej policzkach.

— Jestem pijana — stwierdziła wypychając go za drzwi. — Nie zwracaj uwagi na to, co mówię.

Całymi godzinami spacerowała usiłując pojąć, co to wszystko znaczy. Wrócił wreszcie do swojego pokoju. Doszedł do wniosku, że nigdy nie zrozumie kobiet.

— Twój problem polega na tym — rzekł mu Mark Ritter — że kochasz ją, ale nie jesteś w niej zakochany. Może ona odczuwa to samo i nie potrafi sobie z tym poradzić.

— Czy człowiek nie powinien kochać, zanim będzie zakochany? — spytał Pete.

— A skąd mam wiedzieć, u diabła! — odparł Ritter. — Ja po prostu je kocham i chodzę z nimi do łóżka, a poza tym zajmuję się swoimi sprawami. Nie chcę, by jakieś emocjonalne obciążenie stanęło mi na drodze do kariery. Kiedy przyjdzie czas, abym związał się tym węzłem, poślubię dojrzałą do małżeństwa córkę głównego wspólnika.

Petera uderzyła głupota i tępota Marka Rittera.

— A co z uczuciami? — spytał. — Nie chcesz spędzić życia z kobietą, którą będziesz kochał, mieć rodziny i oczekiwać z nadzieją swej złotej jesieni?

— To są twoje sny, Sorenson. Wierz mi, jesteś durniem, jeśli wierzysz w te wszystkie bzdety. Miłość jest dla głupców. Kobiety człowieka wysysają. Finansowo i emocjonalnie. Nie mam zamiaru wrabiać się w to łajno. Możesz mi wierzyć, że dokładnie sprawdzę, czy ta panna na wydaniu dobrze się prezentuje i czy ma odpowiednie ciało. Z resztą sobie poradzę.

Po tej rozmowie Mark Ritter stał się dla Pete'a całkowicie obcy i Sorenson robił wszystko, by go unikać.

W czasie studiów uniwersyteckich niewiele spotykał się z dziewczynami. Zwyczajnie na życie towarzyskie nie było czasu. Wystarczyło mu że w college'u, gdzie jak Ritter, miał wiele przygód jednej nocy, wystarczająco użył życia.

Zazdrościł Annie jej niesamowitej wręcz umiejętności cieszenia się chwilą. Dla niej wszystko to, co zdarzyło się przed minutą, stanowiło historię i niewarte było ani rozmyślań, ani omawiania. Chciał być bardziej do niej podobny. Sam zastanawiał się nad wszystkim, zamartwiał na śmierć, poddawał sprawę drobiazgowej analizie i martwił się jeszcze bardziej. Być może wynikało to z doświadczeń dzieciństwa. A może był po prostu stuknięty.

Gdzie podziiała się Annie? Powiedziała, że spotkają się o ósmej, a już dochodzi dziewiąta. Zastanawiał się, czy nie jest chora. Ona jednak nigdy nie choruje. Po prostu nie pozwala na to swemu organizmowi. Gdy wreszcie dostrzegł dziewczynę, zrozumiał od razu, co oznacza rozlany na jej twarzy uśmiech. Nie wiedział, czy ogarnia go uczucie zazdrości, ale miał ochotę wyrzucić trzymaną książkę za okno.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała zajmując miejsce przy stole naprzeciw niego. — Nie mówmy o tym. Masz oszołomiony wyraz twarzy. Czy coś się stało? — Promienny uśmiech zastąpiło prawdziwe zatroskanie.

— Tak sobie myślałem.

— Nie powinieneś tego robić. Jesteś niebezpieczny, gdy myślisz. Uśmiechnęła się, a on natychmiast poczuł się lepiej. Miała dziś na sobie coś, co było tak samo błękitne jak jej oczy. Na kołnierzyku dostrzegł niedużą złotą szpilkę. Nigdy przedtem jej nie widział. Znał wszystko, co nosiła, nie było tego zresztą wiele. Malowała się dokładnie tyle ile trzeba, jasne włosy nosiła krótko ostrzyżone. Nazywała to „umyj i noś”. Zawsze wyglądała na osobę poważną. Jest piękna, pomyślał.

— Ślicznie dziś wyglądasz — powiedział.

— Dziękuję, tylko czy nie sądzisz, że ten komplement sprawi, że przestanę się przy tobie wysilać? Jeszcze dwa miesiące i nie będzie nas tutaj.

— Będzie mi cię brakowało, Annie.

— Mnie czy ochronnego parasola, którym dla ciebie jestem? — spytała ostrożnie.

— Jednego i drugiego. Annie...

— Tak?

— Dlaczego myśmy wtedy nie... Tego wieczoru, gdy po posiedzeniu sądu piliśmy wino... Co we mnie jest takiego, że...

— Pete, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek miała drugiego takiego. Chyba... Uważam, że gdybyśmy się związali, po dwóch miesiącach powiedzielibyśmy sobie do widzenia, raz na kilka lat przysyłałibyśmy sobie karty na Boże Narodzenie, a potem zapomnieli o sobie, a ja tego nie chcę. Za bardzo mi na tobie zależy. Czasami wydaje mi się, że stanowisz część mnie. — Wypowiedziała te starannie dobrane słowa, nie patrząc na niego.

— No tak, ja też mam takie odczucia. Dlaczego więc...

— Musieliśmy dojść do tego miejsca. Teraz, kiedy za dwa miesiące odchodzimy, jeśli nam to sążone, tak będzie. Nie wiem, jak to inaczej wyjaśnić. Rozumiesz mnie?

Pete skinął głową.

— Annie, czy opowiadałem ci o Barneyu?

— Nie. Czy to znaczy, że jest coś w twoim życiu, o czym nie wiem? Kto to jest Barney?

Pete opowiedział jej.

— Aż do dnia, gdy kończyłem szesnaście lat, byłem przekonany — kończył swoją opowieść — że Barney po mnie przyjdzie. Przysięgam na wszystkie świętości, że w to wierzyłem. Nie umiem ci opowiedzieć, jak czułem się wtedy, gdy minęła północ, a Barney się nie pokazał. W głębi duszy wciąż mam nadzieję... chcę...

— Och, Pete, jakie to straszne. Dzieci w pewien sposób... Jestem pewna, że Barney traktował poważnie każde swoje słowo i w sprzyjających okolicznościach wypełniłby swoje przyrzeczenie. Nic nie wiesz przecież o tym, że nie próbował cię odnaleźć. Czy ty, sześciolatek, naprawdę powiedziałaś temu facetowi, by pocałował cię w dupę?

— I jeszcze jak! Wziąłem Barneya w obronę. Wciąż o nim myślę. Pewnego dnia odnajdę go. Muszę wiedzieć, czy próbował mnie odszukać. Czuję się tak, jakbym stracił jakąś część swojego życia. Jeśli wygląda to głupio...

— Wcale nie wygląda głupio. Wspomnienia to piękna rzecz. Zwłaszcza twoje. Moje dzieciństwo było takie... zwyczajne. Nic się w nim nie działo. Właściwie było dość nudne, a ja byłam okropnym brzydkim kaczątkiem. Żadna dziewczynka nie chciała się ze mną pokazać. Chyba dlatego stałam się taką pożeraczką książek. Nic innego nie robiłam.

— A jak wyglądasz teraz! — Pete popatrzył na nią z dumą. Annie wyciągnęła rękę przez stół i ujęła jego dłoń.

— Przyrzeknij mi, Pete, że zawsze będziemy przyjaciółmi. Przyrzeknij, że nigdy nie wejdziemy na drogę kartek świątecznych. Zawsze będę tu na ciebie czekała. Przysięgam na... na Barneya.

— Ja też przysięgam — skinął głową w odpowiedzi Pete. — Na Barneya. Skoro jesteśmy tacy... zgodni — podjął — czy ten rozanielony wyraz twojej twarzy ma coś wspólnego z faktem, że byłaś z kimś ostatniego wieczoru?

— Pete! — syknęła dziewczyna.

— No więc?

— Nie twój zakichany interes.

— Myślałem, że to nasz wspólny interes. Czekam na odpowiedź. A ja miałem nadzieję, że oszczędzasz się dla mnie.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że to właśnie miał na myśli. Annie sprawiała wrażenie, że również o tym wie.

— Właściwie nie jesteś nawet wredną małpą. Mogłabym przypomnieć niektóre z twoich... eskapad, kiedy to czułeś potrzebę zwierzenia mi się z nich. Spójrz na mnie, Peterze Sorenson. Potępiasz mnie?

— Ależ nie, u licha. Annie... Tak długo fantazjowałem na nasz temat... i jak to będzie.

— Fantazjowałeś?

Pete szarpnął głową. Nigdy nie słyszał, by jej głos brzmiał tak chłodno i ostro.

— No tak. Fantazjowanie jest słowem tak samo dobrym jak wszystkie inne. Jasno dałaś mi do zrozumienia, że nie... Annie, o co tu, u diabła, chodzi?

Annie poderwała się gwałtownie, a niebieska sukienka plątała się wokół jej kolan, gdy zbierała książki. Oczy jej rzucały iskry.

— Niech cię szlag trafi, Peterze Sorenson — warknęła.

— Poczekaj, Annie! Chryste Panie, nie rozumiałaś mnie. Poczekaj! Do diabła, próbuję robić to, co chcesz, a ty mnie walisz w bebechy.

Wyszedł za nią. Pantofle dziewczyny klaskały o beton, gdy próbowała przed nim uciec.

— Źle się zachowałem — powiedział. — Przepraszam, nigdy więcej tego nie zrobię. Annie, przecież nigdy bym cię nie zranił, i dobrze o tym wiesz. Ja... ja po prostu jestem... zazdrosny. Tak — zazdrosny. Chciałem być tym, kto spowoduje, że twoja twarz tak się rozpromieni. Ja, nie jakiś nieznany mi facet... A może go znam? Wybacz, wybacz, że to powiedziałem. To nie moja sprawa.

Dziewczyna odwróciła się.

— Pete, każda akcja wywołuje reakcję i ja zareagowałam. Słuchaj, nie mogę... nie pójdę z tobą do łóżka, bo... bo zależy mi na tobie. Jeśli będę potrzebowała cielesnego zaspokojenia, wszędzie je znajdę. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Przecież wy zawsze tak między sobą rozmawiacie. Nie... nie zniszczę naszej przyjaźni. A jeśli ty tak niewiele o to dbasz, może powinniśmy po prostu... może każde z nas powinno iść własną drogą. Przepraszam, częściowo to moja wina. Muszę iść na zajęcia.

— Uczysz się wieczorem?

— Nie wiem — odrzyknęła mu przez ramię.

Czuł się bardziej zagubiony niż kiedykolwiek przedtem. Miłość to miłość. Miłość. Zakochanie. Miłość. Brak miłości. To mamiące, euforyczne, szarpiące wnętrzości uczucie musi być chyba miłością. Pamiętał podobne uczucie z dnia, kiedy Barney powiedział, że po niego przyjdzie. To była miłość. Kiedy przybył po niego Leo, była to też swego rodzaju miłość. Gdy po raz pierwszy kochał się z dziewczyną, myślał, że to też jest miłość.

— Gówno! — podsumował zwięźle i wbił rękę w kieszenie. — No to niech cię szlag trafi, Annie Gabriel — wymamrotał odwracając się, by ruszyć w przeciwną stronę.

Po powrocie do domu chodził po mieszkaniu niespokojnie jak lew w klatce. Cholerna Annie Gabriel. Nie może pozwolić, by sprawy tak się toczyły dalej. Jaki okropny był dla niego widok jej twarzy. Wspomnienie powróciło znowu, by przewrócić mu bebechy. Musi uporządkować sprawy z Annie, tylko problem w tym, że nie wie jak. Pod wpływem impulsu, którego nie potrafił określić, zadzwonił do wuja. Opowiedział mu o wydarzeniach ostatnich godzin.

— Chciałbym coś zrobić, ale nie wiem co. Masz jakiś pomysł? — spytał z nadzieją.

— Rzeczywiście, mam. Potrzeba mi mniej więcej pół godziny. Tylko muszę wiedzieć jedno. Czy możesz wygospodarować sobie kilka dni, no i twoja przyjaciółka też?

— Kilka, to znaczy ile? Annie nie będzie miała z tym problemu. Chodzi o mnie, nie jestem taki szybki w nauce jak ona. Cztery, to chyba wszystko.

— To już nieźle, chociaż lepiej byłoby pięć. Za jakieś pół godziny skontaktuję się z tobą.

Pete czekał i znów przemierzał długimi krokami całe mieszkanie. Gdy czterdzieści minut później zadzwonił telefon, poderwał słuchawkę w pół sygnału.

— Wszystko załatwiłem. Zabierz swoją przyjaciółkę i weź taksówkę na lotnisko Logana, tam czeka na was czarter. Lecicie do Paryża. Hotel macie zarezerwowany. Pierwsza klasa. Pilot zna wszystkie szczegóły. Czasami trzeba zrobić coś zupełnie... Mam na myśli, że trzeba działać pod wpływem impulsu lub wykorzystać przypadek. Cieszę się, że mogę służyć pomocą. Moim zdaniem wam obojgu potrzebna jest mała ucieczka, zanim zamkną się za wami te szacowne mury.

— Paryż, tak jak ten we Francji? — spytał Pete bezmyślnie.

— Z tego, co mi wiadomo, jest tylko jeden. Baw się dobrze, Peter.

— Tak jest — odpowiedział Pete, ale mówił już do milczącej słuchawki — Chryste Panie, Paryż z Annie! Jego pierwsza podróż powietrzna. Pakować się czy nie? Do diabła z tym! Weźmie wszystko na kartę Visa, którą dał mu Leo. Jeszcze z niej nie korzystał. Kupi Annie paryską kreację.

Pięćdziesiąt minut później znalazł się w końcu sali wykładowej Annie. Przesunął się między rzędami i pochylił nad dziewczyną.

— Wyjdź ze mną, Annie. Teraz.

Nie zadając mu żadnych pytań, posłusznie zebrała książki i wyszła za nim z sali.

— Co się stało? — spytała przestraszona.

— O nic nie pytaj, tylko chodź ze mną. Nic się nie stało. Niech ci to wyjaśnienie wystarczy.

— Co to znaczy, że jedziemy do Paryża? — pytała pół godziny później, gdy siedzieli w samochodzie zmierzającym na lotnisko. — Do Francji? Nie wierzę! Chyba masz źle w głowie!

— Annie, czy nigdy nie zdarzyło ci się zrobić czegoś nierozsądnego i szalonego?

— No tak; jako mała dziewczynka zawsze marzyłam o wyjeździe do Paryża...

— No to marzenie ci się spełniło. Lecimy do Paryża!

— Boże, nie mam nic do ubrania. Nawet szczoteczki do zębów!

Pete błysnął Visą i Annie jęknęła z radości.

— Założę się, że na pokładzie jest szampan, dania dla smakoszy i ekran — powiedział Pete.

— Obydwoje jesteście przepracowani. Potrzebujemy tego i zapracowaliśmy sobie na to.

— Przyjemnie być bogatym. Ile to kosztuje?

— Nie mam pojęcia, ale Leo nigdy nie rzuca się na coś, na co go nie stać. Domyślam się, że ma to być dla mnie prezent za dyplom. Miło, co?

— Mogłabym tak żyć — stwierdziła dziewczyna, gdy już w samolocie rozglądali się wokół. Patrzyli na wyściełane pluszem siedzenia i dwóch stewardów, którzy mieli ich obsługiwać. Byli jedynymi pasażerami.

— Boże — zdołała tylko wykrztusić. — Poczekaj — odezwała się po chwili, a oczy jej napełniły się łzami. — Nie mogę lecieć, nie mam przy sobie paszportu!

— *Voilà!* — Pete uniósł książeczkę. — Zatrzymałem się pod twoim domem i twoja współlokatorka poszukała mi go — wyjaśnił. — Paszport, który jeszcze nigdy nie był używany — zauważył.

— Wiesz, stale myślałam, że któregoś dnia... No i jest ten dzień — powiedziała radośnie. — Och, Pete, to po prostu cudowne. Nie mogę w to uwierzyć. Jak długo tam będziemy?

— Trzy, cztery dni, może dłużej, jeśli uważasz, że nam się uda. Przez jeden dzień możemy sobie darować pośpiech.

— A jaka jest cena? Wiesz, o czym myślę? — spytała Annie ostrożnie.

— Jeśli myślisz o tym, że będziemy spać razem, odpowiedź brzmi nie. Wiem, że Dennis jest tym szczęśliwcem. Ja nie mam wybranej kobiety, tak że jest to po prostu podróż dla naszej wspólnej przyjemności. Annie, nie wyobrażam sobie, z kim poza tobą mógłbym chcieć bardziej oglądać Paryż. Spędzimy ten czas wspaniale.

— Nawet dużo lepiej, bo wiem, że nigdy więcej tam nie wrócę. Po prostu wiem, że to kosztuje majątek — utyskiwała.

— A co nas to obchodzi! To znaczy obchodzi, ale Leo... Leo jest bardzo hojny. Czasami ludzie mają potrzebę dawania i trzeba umieć to przyjąć. Wiesz, nigdy nie ruszyłem pieniędzy, które daje mi co semestr. Kilka setek, ale zawsze. Lubię sam zarabiać na siebie. A teraz posłuchaj. Nie będziemy myśleć o zajęciach, o Dennisie, ani o żadnych sprawach poza naszym wyjazdem. Poradzimy sobie. Będziemy cieszyć się życiem i wyciśniemy z tych dni cudowne wspomnienia. Zgoda, Annie?

— Oczywiście, Pete. Jak mam ci za to podziękować?

— Po prostu uśmiechnij się. Niczego więcej nie chcę.

— To potrafię.

— To po prostu ucza, co? — zapytał wskazując na wykwintnie podane jedzenie, które przyniósł steward. — Ciekawe, jak Leo zdołał zorganizować to wszystko w tak krótkim czasie.

— Czarami — odparła Annie. — No i wielką forszą. — Fantastyczne, po prostu fantastyczne — powiedziała wskazując na homara na swoim talerzu. — Czy kawior naprawdę jest dobry? A, nieważne, tak czy inaczej będę go jadła.

Uśmiechnął się. Był szczęśliwszy niż prosię tarzające się w błocie.

Po przylocie powitani zostali przez przyjaciela Leo z amerykańskiej ambasady. Przemknęli przez odprawę celną i znaleźli się w limuzynie, zmierzającej do paryskiego Ritzu.

— Czytałem o tym hotelu — wyszeptał Pete. — Właścicielem jest jakiś Egipcjanin. Jest również właścicielem tego drogiego Harrodsa w Anglii. Podobno jest elegancki i bardzo wygodny. Czy to możliwe? Pokoje noszą imiona znamienitych gości jak Coco Chanel, Marcel Proust czy Edward VII. Wielkie restauracje także. Mamy plan wycieczki. Leo pomyślał o wszystkim. Kupił sobie faks i myśli, że to zabawka. Wysyła faksy przez cały dzień. Myślę, że w ten sposób załatwił wszystko.

— A więc co mamy w naszej marszrucie? — spytała w chwilę później Annie, gdy rozejrzała się po przeznaczonym dla niej apartamencie. Gdziekolwiek się obróciła, widziała świeże kwiaty i koszyki wspaniałych owoców. Szampan chłodził się w kubałku.

— Wprost trudno uwierzyć, że hotele mają satynowe prześcieradła — powiedziała z zachwytem.

— Mój pokój jest dokładnie taki sam — rzekł Pete. — Możemy wziąć owoce i szampana, i urządzić sobie piknik. Ty to uwielbiasz. Popatrzmy, tu jest powiedziane, że przejedziemy się po Sekwanie i pójdziemy do cyrku. Może cię to zdziwi, ale nigdy w cyrku nie byłem.

— No więc będziesz — zaśmiała się dziewczyna. — Co dalej?

— Mamy w spisie akwarium, jazdę na rowerach, lody. Powiedziane jest, że lody tutaj to nie są tylko zwykłe lody. A mamy na nie iść do Berthillona. Sprzedają tam trzydzieści gatunków. Leo lubi lody, a to oznacza, że wszystkie trzydzieści smaków wypróbował. Butte — Chaumont to park. Malowniczy, jak tu mówią, w dziewiętnastym *arrondissement* na północnym wschodzie Paryża. Jest tam jezioro, wodospad oraz sztuczne urwisko, szczyt skalny czy też belweder, cokolwiek to oznacza. Boże, ta lista nie ma końca! Nie wyobrażam sobie, jak mielibyśmy to wszystko zwiedzić. Słuchaj, obydwójce mamy żyłkę do nieznanego. Wypożyczmy sobie rowery i róbmy to na własną rękę. Lody będziemy jedli, bo Leo z pewnością przepytą mnie ze smaków.

Będziemy jedli, gdy przyjdzie nam na to chęć. Nie lubię zaplanowanych tras i ty chyba też. Masz ochotę?

— Jeszcze jak! Muszę jednak kupić coś odpowiedniego do noszenia, więc może wstąpimy do paru sklepów.

Pete wybuchnął śmiechem.

— Zajrzyj do garderoby. Musieli to już wcześniej przysłać do hotelu. Ja w swojej mam wszystko, nawet smoking. Leo doskonale się na nich zna. Na pantoflach też. Wprost w głowie się nie mieści.

Annie natychmiast otworzyła szafę. Oglądała jej zawartość z okrzykami zdumienia.

— Nic z tego nie rozumiem. Skąd twój wuj wie, jaki rozmiar noszę? Jezu, te ubrania muszą kosztować majątek.

— Ja przecież wiem, że nosisz siódmkę. Jestem naprzeciwko, po drugiej stronie hallu. Wezmę prysznic i założę coś z tych fantastycznych ciuchów. Powinniśmy później iść gdzieś, napić się i przygotować jakiś plan.

Annie zamruczała tylko, gdy pomacała materiał zakietu firmy Donny Karan. Będzie musiała pomyśleć o czymś ładnym dla wuja Pete'a. Tylko co można dać człowiekowi, który wszystko ma, a także posiada pieniądze na to, by kupić jeszcze więcej? Może dokonać jakiejś wpłaty w jego imieniu na Towarzystwo Ochrony Zwierząt? Coś będzie musiała zrobić. Nie może tak zwyczajnie przyjąć tych wspaniałych wakacji i nie uczynić nawet próby okazania wdzięczności. Porozmawia później z Pete'em na ten temat.

Były to cztery najpiękniejsze dni w życiu Pete'a. Annie okazała się tak radosną towarzyszką, jak się spodziewał. W pewien sposób patrzył na wszystko jej oczami. Wiedział, że dzięki pomocy Leo może dać Annie wspomnienia, które dziewczyna zachowa do końca życia. Nie przejmował się tym, że będzie zawdzięczał coś Leo. Wspaniałe chwile.

Romantyczny w głębi serca, witał każdy poranek różkiem lodów od Berthillona i wielkim bukietem kwiatów ze straganów stojących wzdłuż Pól Elizejskich. Annie stwierdziła, że zachowa po jednym kwiecie z każdego bukietu i będzie suszyć je na pamiątkę. Pete czuł, jak serce mu rośnie.

Nadszedł czas pożegnania z Paryżem. Annie popłakała się, gdy po raz ostatni przemierzali ścieżkę rowerową, którą jeździli każdego dnia. Płakała jeszcze, oblizując bananowy lodowy rożek, a gdy Pete kupił jej wszystkie kwiaty z jednego straganu, wybuchnęła niepohamowanym szlochom — Kwiaciarka uśmiechnęła się dobrotliwie i powiedziała po francusku słowa, które zabrzmiały jak „młodzi kochankowie”.

Annie płakała jeszcze na pokładzie samolotu. Pete czuł wilgoć pod powiekami.

— Chciałabym coś powiedzieć... coś znaczącego — rzekła dziewczyna — ale brak mi słów. Dziękuję ci, Pete. To niewiele wyraża.

— Wystarczy — mruknął.

W tym momencie zrobiła coś tak impulsywnego, tak do niej niepodobnego, że mógł jedynie zamienić się w symbolicznego czerwonoskórego o kamiennej twarzy z pudełek papierosów. Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, gdy go pocałowała. Z rozchylonymi ustami pieściła lekko językiem jego wargi.

— Przestań, bo będziesz żałować — odezwał się wyjątkowo idiotycznie.

— Ach tak? — spytała przeciągle.

— Tak — potwierdził szorstko.

— W porządku, skoro tak to odbierasz — rzuciła opryskliwie.

— Wcale tego tak nie odbieram, tylko nie możesz drażnić... flirtować... zachowywać się tak, jeśli nie masz zamiaru rzeczywiście tego zrobić. — Czuł, że jego słowa brzmią tak, jakby jakiś nudny nauczyciel pouczał syna przed jego pierwszą randką.

— Wymyślił! Skąd wiesz, że nie miałam takiego zamiaru? Teraz już za późno. Miałeś szansę i przegapiłeś ją. To mógł być wielki pokaz ogni sztucznych na zakończenie wspaniałej podróży. Seks w samolocie. Teraz możesz się obejść smakiem. — Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały poważne.

* * *

Wchodziła do małego mieszkania mając wrażenie, że jest jedną wielką raną. Po dziecinnemu zacisnęła palce w nadziei, że jej współlokatorki nie ma w domu. Musi wyciągnąć się w ciepłej, pieniającej się kąpieli i pomyśleć. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zmęczona. Jeśli w ciągu ostatnich pięciu dni przespała w sumie osiem godzin, to wszystko. Do rachunku dochodziło jeszcze te parę w samolocie w obie strony. Nie mieściło jej się w głowie, w jaki sposób trzymała się tak długo.

Wspaniale, Marie nie było. Na stole w kuchni znalazła zapisek, że koleżanka wróci dopiero w poniedziałek po południu. Ruszyła do ich wspólnej łazienki wielkości szafy na ubranie. Stara wanna wsparta na nóżkach w kształcie szponów miała boki pomalowane na jasnoniebieski kolor. Sedes był zielony, a maleńka umywalka miała brązową barwę skorupki jajka. Właściciel domu chciał stworzyć cudo, ale osiągnął żalosny efekt. Najprzyjemniejszą rzeczą był tu wesoły pleciony chodnik, odpowiadający zasłonie prysznicza w tak wściekłym kolorze, że działała na człowieka jak sygnał ostrzegawczy.

Woda tryskała do wanny ze staroświecką zatyczką na łańcuszku zabezpieczającą odpływ. Annie dodała prawie połowę słoiczka soli kąpielowej. Gdy rozbierała się do naga, bąbelki i para unosiły się w powietrzu. Znów podziwiała kosztowne ubrania, które nosiła przez ostatnie pięć dni. Chciała je zostawić, myśląc, że zostały jedynie wypożyczone, ale Pete nawet jej nie słuchał. Własnoręcznie upchnął kreacje w dwie sznurkowe torby, które przynieśli z zakupów.

— Ach, być bogatą — westchnęła osuwając się w parującą mokrą głębię. Pachniało cudownie. Uwielbiała zapach gardenii. To jej jedyna słabość — kupowanie słodko pachnących soli kąpielowych i odpowiadającego im aromatycznego pudru do ciała. Uniosła mięsisty kąpielowy ręcznik i odchyliła głowę, by podłożyć go sobie pod kark.

Teraz mogła już myśleć o Peterze i o ich podróży. O Peterze i pewnym okresie w swoim życiu. Prawie że rzuciła się na chłopaka, a on ją odtrącił. Okazało się, że miała rację w ocenie jego osoby.

Pete dźwiga bagaż przeszłości i musi go poukładać przed wstąpieniem w jakikolwiek związek. Wiedziała, że sama jest osobą, która chce zaangażowania i bezwarunkowej miłości. Doskonale rozumiała, że na tym etapie swego życia Pete nie jest w stanie dać jej tego, czego ona chce i co jest jej potrzebne. Pete wie o tym również; to właśnie ją gnębiło. Czy kiedykolwiek pojął, że kocha go z całego serca? Doszła do wniosku, że nie. Jedynym sposobem uświadomienia mu tego byłoby wziąć go za ramiona, popatrzeć mu w oczy i powiedzieć: „Pete, kocham cię i chcę za ciebie wyjść”. Pete potrzebował słów, a im obydwojgu potrzebna była teraz wolność, by przekonali się, jaki jest świat wokoło. Jeśli będą kontynuować przyjaźń, którą tak ostrożnie zaczęli, być może przyjdzie kiedyś taki dzień, kiedy Pete powie jej te słowa. Do tego czasu będzie musiała żyć z mocnym postanowieniem niezakłócania ich przyjaźni czy bodaj nawet zaśmiecania jej nierozważnymi słowami i pospiesznym pieczeniem dwóch pieczeni.

Zastanawiała się teraz, czy nadaje jakieś sprzeczne sygnały, że Pete nie potrafi sobie z tym poradzić. Jak choćby sprawa z Dennisem czy późniejsza sytuacja w samolocie, gdzie dosłownie

rzuciła się na Pete'a. Do diabła, tak się starała, by utrzymać ich przyjaźń na prostej ścieżce, a teraz coś zepsuła. Bo był taki moment, powiedziała sobie. Była zmęczona, szczęśliwa i wydawało jej się, że postępuje dobrze. No a Pete? Czy kiedykolwiek przyjdzie dla niego ten właściwy czas? Czy jest skazana na to, by przejść przez życie jako jego najlepszy kumpel?

Teraz Dennis. Dennis to partner do randek. Facet, z którym się sypia, gdy odczuwa się taką potrzebę. Trzeba przyznać, że podobał jej się wyraz twarzy Pete'a, gdy zobaczył ją z Dennisem. Nic nie mogła poradzić na to, że zastanawia się, jak też wygląda jej twarz na widok Pete'a z Carolyn Withers. Nie lubiła przebudzeń z Dennisem u boku. Nie lubiła jeść z nim śniadań. Zawsze wydawała się sobie nielojalna; miała wrażenie, jakby oszukiwała Pete'a. Dennis to po prostu jakiś ktoś. Jest z nim związana, bo jest taką właśnie osobą. Powiedziała mu, że nie ma zamiaru wychodzić za mąż przed czterdziestką, że najpierw musi umocnić swą pozycję zawodową. Dennis stwierdził, że też tak uważa. Łączyło ich tylko łóżko raz w tygodniu. Zaiste żalorny romans.

Potem Annie Gabriel uczyniła coś takiego, co skłoniło ją do złożenia przysięgi, że nigdy więcej tego nie zrobi, jeśli w grę będzie wchodził Pete Sorenson. Płakała, szlochała i beczała, aż oczy zapuchły jej tak, że nie mogła ich otworzyć. Zataczając się wyszła z wanny i owinęła się w ciepły, szorstki, sfatygowany szlafrok, który dostała od rodziców, gdy miała czternaście lat. Był jak stary przyjaciel który umie pocieszyć. Zwinęła się w łóżku i wtuliła twarz w rękaw.

Nie wiedziała, dlaczego myśli o Peterze i o Barneyu. Może dlatego, że sama nigdy nie miała bliskiej przyjaciółki i teraz właśnie zapragnęła takiej osoby. Przyjaciółki, do której można zadzwonić o każdej porze dnia i nocy, i uzyskać pocieszenie.

Powiedziała Pete'owi, że jej dzieciństwo było nieciekawe i pozbawione interesujących wydarzeń. Była to prawda, choć tylko do pewnego stopnia. Jej rodzina nie przypominała rodziny Pete'a. Niejeden raz pragnęła wspólnoty, ale nigdy jej nie było. Gdy rozmyślała o tym teraz, rozumiała, że po prostu nie było na to czasu. Po szkole szła na lekcje tańca, potem na gimnastykę. Podrzucano ją do domu o wpół do szóstej, dokładnie wtedy, gdy przychodził korepetytor. Dostawała korepetycje ze wszystkiego, nawet jeśli ich nie potrzebowała czy nie chciała. „Ruth Ann, któregoś dnia dojdiesz do czegoś. Ale jedynym sposobem na uzyskanie tego jest obycie i wykształcenie.” Miała chęć odszczeknąć się matce i powiedzieć, że aby zdobyć obycie trzeba mieć przyjaciółki, a ona słyszy tylko wykłady na temat złych obyczajów, zagubienia oraz konieczności dorównania. Pobierała lekcje fortepianu, śpiewu, śpiewała też w chórze, potem jeszcze chodziła na podstawy francuskiego i hiszpańskiego. Jako dwunastolatka mówiła płynnie w obu tych językach.

W szkole średniej było tak samo: lekcje, dwie prace, by uzbierać na college, opieka nad dziećmi w czasie weekendów. Nigdy nie chodziła na tańce, na spacerunki ani na randki, nie była nawet na meczu futbolowym. „Mam tyle obycia co pień — prychnęła. — Takie ni to, ni owo. I do ostatniego roku nosiłam okulary i aparat na zębach.”

Potem był wyjazd do college'u, gdzie spotkała Pete'a. Swego pierwszego prawdziwego przyjaciela. Boże drogi, jak go kochała. Kochała go aż do bólu. Łzy napłynęły jej do oczu i wytarła je rękawem szlafroka. Teraz dopiero mogła docenić wszystkie te lekcje, wszystkie korepetycje i wyrobione nawyki uczenia się, gdyż dzięki nim właśnie potrafiła przemykać lekko przez własne zajęcia, a także pomagać Pete'owi. Problem nie leżał w tym, że był tępy — zdecydowanie nie. Jemu po prostu brakowało dyscypliny, a poza tym nie interesowały go szczegóły. Jednak radził sobie. Wszystko było w porządku, dopóki miał notes i swoją listę.

Pewnego dnia odniesie sukces, a ona była wdzięczna losowi, że ma w tym swój udział.

— Kochaj mnie, Pete — powiedziała na głos. — Chcę, abyśmy dzielili życie. Nie wyobrażam sobie nic cudowniejszego niż posiadanie twoich dzieci i omawianie z tobą naszych spraw, gdy

dzieci będą już w łóżkach. Chcę, abyśmy w niedzielne poranki czytali dzieciom historyjki. Chcę, abyśmy urządzali sobie razem pikniki, chcę, byśmy byli za siebie odpowiedzialni i kochali się nawzajem bez zastrzeżeń. Chcę się o ciebie troszczyć i chcę, abyś ty troszczył się o mnie. Chcę mieć rodzinę z wieloma małymi Pete'ami. Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, nasz drugi syn będzie miał na imię Barney. Gdybyś tylko kochał mnie choć trochę, bodaj w połowie tak, jak ja ciebie... moje życie byłoby cudowne. Po prostu cudowne.

Annie zakaszłała. To przecież nigdy się nie zdarzy, więc po co się dręczy? Zakwiliła, zwinęła się przyjmując embrionalną pozyję i w chwilę później już spała.

Przyszedł nowy dzień. Czas miał swój sposób na posuwanie się naprzód. Dla Annie Gabriel nigdy nie stał w miejscu. Może było inaczej w świecie Pete'a czy Leo Sorensona, ale jej świat miał być taki, jakim czyniła go ona.

— No tak — mruknęła. — Po raz pierwszy i ostatni płakałaś z powodu Pete'a Sorensona.

* * *

Po uroczystości rozdania dyplomów siedzieli na schodach domu Annie. Nie chciał jej puścić. Pożegnania są straszne. To nieważne, że Annie będzie oddalona tylko o godzinę lotu samolotem. Istotne było, że skończyli to, co mieli w planach. Teraz obydwójce mają zająć swe miejsce w życiu. Pete poczuł, że zbiera mu się na płacz.

— Mam dla ciebie prezent — rzekł szorstko. Wyciągnął kartę z dwoma pięciusetdolarowymi czekami. — To na kostium do sądu. No wiesz, na taki bardzo odpowiedni, jaki nosi każda pani adwokat. Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, że nie przyjmiesz. Potraktuj to jako narzędzie pracy. Wiesz... zaprzedałem się prawu. Poza tym, wszystkie pieniądze mi pozostały. Mówiłem ci przecież, że w zasadzie nie ruszałem tego, co Leo dawał mi w każdym roku. Mogę ci to pożyczyć na spłatę twojego zadłużenia. Na dwa procent. Właściwie, to nie chcę żadnych odsetek, ale znam cię. Nie będę ci groził tak jak bank, jeśli przepuścisz miesiąc. Są twoje, Annie.

— To bardzo szlachetne z twojej strony, Pete, ale nie mogę ich przyjąć. Muszę wyrobić w sobie silną wolę. Poradzę sobie. Jeśli znajdę się w biedzie, z pewnością do ciebie zadzwonię. Ja też mam dla ciebie prezent. To nic wielkiego. Raczej przypomnienie. — Wyciągnęła z torebki niewielkie zawiniątko.

— Zegarek kieszonkowy — uśmiechnął się szeroko Pete.

— I tak, i nie. Nie miałam dość pieniędzy na zegarek, tak że kupiłam samą kopertę, a zegarek jestem ci winna. Włożyłam tam nasze zdjęcie.

— Zachowam to. Tak samo jak moją deskę. Dziękuję ci.

— Nie czekaj na zegarek z wstrzymanym oddechem.

— Nawet nie mam zamiaru.

— Czas na mnie. Tata mnie zabierze. Było... wspaniale. Będzie mi cię brakowało.

— Mnie też. To znaczy, też będę za tobą tęsknił. Leo czeka na mnie. Na zawsze zostaniemy przyjaciółmi, prawda?

— Na zawsze. Do końca świata. Kocham cię, Peterze Sorenson.

— Do końca świata to długo. Ja ciebie też kocham, Annie Gabriel.

— Do widzenia, Pete.

— Do widzenia, Annie.

Nadal chciało mu się płakać. No to płacz, powiedział sobie. Wycierał nos, gdy Leo podszedł do niego z wyciągniętą do powitania ręką. Pete potrząsnął nią energicznie.

— Gratuluję, Pete.

— Dziękuję ci, Leo. Dziękuję ci za wszystko.

— Nadal nie cierpisz prawa?

— Przestałem nie znosić, ale nie kocham go także. Powiedzmy, że mnie nie pociąga. Ale nie jestem też pewien, czy podobałby mi się zawód inżyniera. Tak naprawdę chciałbym obijać się na plaży.

— Ty i połowa ludzkości również. Jestem z ciebie dumny. Daję ci miesięczne wakacje. Pomyślałem, że może chciałbyś zobaczyć Bliski Wschód. — Podał mu bilet. — Gdybyś wolał Australię, oddaj i zmień. Robimy na Wschodzie wiele interesów. To twoje powołanie.

— Wezmę Wschód. Nie dojrzałem jeszcze do Australii. Przyjdzie taki dzień.

— Tak, przyjdzie.

Pete pomyślał, że w głosie wuja zabrzmiał smutek.

— Chodźmy. Mamy coś do uczczenia. Nie co dzień kuzyn opuszcza Harvard. Dobra robota, Pete. Naprawdę dobra.

— Jestem gotów to uczcić, Leo — odparł Pete.

Nie wiedział właściwie, co robić. Właśnie skończył pracę i miał do zabicia cztery dni; cztery dni odrabiania papierkowej roboty. Jego współnik nie radził sobie z nią. Pete powinien zająć się czymś albo przynajmniej pomyśleć, co robić. Tylko co?

Leo wyjechał w interesach. Z jakiegoś powodu każdy facet, którego Pete znał, ożenił się w ciągu ostatnich pięciu lat, jakie minęły od ukończenia przez niego college'u, tak że nie miał kogo wyciągnąć na wieczorny wypad. Nie miał w tej chwili żadnej panienki, dysponował jednak niewielkim czarnym notesikiem z telefonami. Wiedział, że wystarczy wykręcić parę cyfr i umówić się na kolację, a może nawet i łóżko, gdyby wybrał odpowiedni numer.

Może też pojechać do Bostonu i spotkać się z Annie. Polecieć do Bostonu. Tak, spotkanie z Annie zajmuje pierwsze miejsce na jego liście. Czy zadzwonić i uprzedzić, czy też zrobić jej niespodziankę? Zawsze najpierw dzwonił, Sorenson, pomyślał. Annie to dorosła dziewczyna, do tego zaangażowana. Zawsze uważał, że to on pierwszy się angażuje. Dlaczego tak się nie stało? Bo zawsze myślałeś, tępa pało, że Annie... taaak... że będzie uważała cię za kogoś najważniejszego. No a ty, Sorenson? Czy widziałeś siebie z Annie? O, taaak! Dlaczego więc w takim razie nie zrobiłeś nic po paryskiej wyprawie? Bo byłem cholernym durniem, oto dlaczego. Pomyślał, że była miła, gdy dziękowała mu za tę podróż, że pocałowała go jedynie pod wpływem impulsu. Ale Annie nie należy do osób impulsywnych. Nie chciał, by później tego żałowała. Tylko skąd, do diabła, przyszło ci do głowy, że miałyby tego żałować, zadał sobie pytanie. Dlatego, że tak powiedziała. Powiedziała, że nie chce zniszczyć ich przyjaźni. To, a także wiele innych rzeczy. Tak bardzo mu zależało na Annie, a pozwolił, by zajęła taką pozycję.

Czy to nie była jej decyzja? Kto uczynił cię Bogiem, Sorenson? Nie kochasz Annie. Gdyby tak było, nie mógłbyś jeść ani spać. Chciałbyś spędzać z nią każdą wolną chwilę. Byłbyś roztargniony i miałbyś ten rozanielony wyraz twarzy, który dostrzegają inni. A teraz pytanie: gdyby Annie pracowała w tym mieście, czy spędzałbyś z nią więcej czasu? No jasne! Wystarczy.

Miłość zaczyna się jak przyjaźń i rozwija. Zapomnij o porażeniu jednym spojrzeniem w pełnym ludzi pokoju. To fikcja. Miłość to coś, co wymaga czasu. Miłość to poznawanie drugiej osoby i jej wnętrza. A ty, Sorenson, nie dojrzałeś jeszcze do przywiązania się do czegokolwiek. Dlaczego?

Nienawidził tych dialogów z samym sobą. Poleciał do Bostonu, i jeśli okaże się, że Annie jest zajęta, połączy po Harvardzie i pogada trochę ze swoimi byłymi profesorami. Tak, to właśnie zrobi, jeśli Annie nie będzie miała czasu.

Okazało się, że Annie jest w sądzie, a profesorowie są zajęci. Zadzwonił do Dennisa i umówił się z nim na lunch po uprzednim przekazaniu wiadomości Annie.

Dzień był ciepły, wspaniały na przechadzkę. Wolałby spacerować w czyimś towarzystwie, ale ponieważ Annie była w sądzie, ruszył do parku, by pomarzyć i złapać trochę słońca, zanim przyjdzie czas na lunch z Dennisem.

Pięć minut trwało znalezienie wolnej ławki. Patrzył na rozrabiające dzieci i na ich matki. Boże, kiedyś był taki mały, tyle że w dzieciństwie nie zaznał takiej bez troski, jak te dzieciaki z piłkami i rowerkami. Pomyślał o Barneyu i o tym, gdzie może być i co w tej chwili robi.

Pewnego dnia znajdzie go jakoś i... Opowie mu o najczarniejszych momentach, opowie, jak wszystko sprawiało wrażenie, że nigdy się nie wydobydzie, jak myślał cały czas o przyjacielu, zastanawiał się, co by Barney powiedział i zrobił, i czy pomógłby mu zająć miejsce w świecie

dorostych, które zwie się społeczeństwem. Musi mu powiedzieć, że Duke i Nataniel próbowali go odszukać.

— Zmieniłeś moje życie, Barney — wymruczał. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie zwraca na niego uwagi. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek w ogóle się nim interesował. Jednak lepiej nie mówić do Barneya, a tylko o nim myśleć. Przecież to w końcu na jedno wychodzi, bo Barney i tak nigdy mu nie odpowie.

Chryste Panie, Barney, dołączyłem cię do Einsteina, Sokratesa i naszego prezydenta. Zupełnie jakbyś znał odpowiedź na wszystko. Dlaczego tak się stało? Fakt, byłeś ode mnie kilka lat starszy. Może dlatego, że miałeś ikrę. Przysięgam na wszystko; myślałem tak dlatego, że powiedziałaś Daviowi Watkinsowi, by pocałował cię w dupę. Ja to też mówiłem, ale tylko w chwilach, gdy wszystko zawodziło. Inaczej nie. Wybieram, tak jak ty to robiłeś.

Czy zdajesz sobie sprawę, że odmieniłeś moje życie? Wiem, że powtarzałem ci to wiele razy, ale gdy to mówię, dobrze się czuję. Mówienie do ciebie i myślenie o tobie zmusza mnie do postawienia kroku do tyłu, tak że mogę myśleć dwukrotnie, zastanawiać się, co byś powiedział czy zrobił w określonej sytuacji. Jako dziecko myślałem, że wszystko wiesz, że znasz odpowiedź na każde pytanie. Nadal myślę, że tak jest.

Głośno westchnął myśląc, jak bardzo chciałby, by Barney był przy nim. W chwilę później dwie kobiety z wózkami podeszły do jego ławki, a on powrócił do swych rozmyślań.

Założę się, że ożeniłeś się i masz dziecko. Wiem, że jesteś najlepszym ojcem na świecie. Założę się też, że opiekujesz się swoją mamą. Tak samo, jak ja opiekowałbym się moją, gdyby tu była.

Co do tego, że miałaś przybyć po mnie na moje szesnaste urodziny — wybaczam ci. Nigdy tego przedtem nie mówiłem. Wiem, że gdybyś miał jakąkolwiek możliwość dotrzymać przyrzeczenia, zrobiłbyś to, tak samo jak ja.

Mam teraz pieniądze. Dużo. Wprost wstyd się przyznać, jak dużo. Jeśli nie zajmujesz się ogrodnictwem, mogę ci pomóc. Możemy chodzić na mecze piłkarskie i urządzać sobie barbecue. Przysięgam na Boga, że zostawiłbym to wszystko, gdybyś tylko pojawił się znowu w moim życiu. Potrzebuję dobrego przyjaciela, kumpla, kolegi. Annie taka jest. Taka jak ty byłeś. Chciałbym porozmawiać z tobą o Annie. Czasami gryzę się tym i nie wiem, co począć. Czy myślisz, że to miłość? Co to w końcu jest ta cholerna miłość?

Spojrzał na zegarek. Czas się ruszyć. Rozprostował ramiona w chwili, gdy piłka futbolowa uderzyła go w plecy, tak że postąpił dwa kroki do przodu.

— Niech pan mi odda piłkę! — wrzasnął sześciolatek.

— Tak, niech mu pan odda piłkę — powiedział wojowniczo drugi, wyglądający na starszego.

— Przepraszam, psze pana — powiedział jeszcze pierwszy.

— W porządku, synku, proszę — odezwał się Pete wyciągając do niego piłkę. Drugi chłopak patrzył na niego.

Pete był znów w Iselin, w New Jersey, i patrzył na siebie i na Barneya. Uśmiechnął się szeroko.

— Sam, tylko z nim nie rozmawiaj, to obcy — uprzedził starszy chłopak.

— Ma rację, mały — rzucił Pete przez ramię. — Zawsze słuchaj się swojego przyjaciela.

— Ja nie jestem jego przyjacielem, jestem jego bratem — zareagował natychmiast starszy.

Pete odwrócił się.

— Tym bardziej powinieneś się go słuchać — powiedział patrząc na Sama.

Dwa wstępne drinki przed lunchem uświadomiły Pete'owi, że nie lubi swego dawnego kolegi z pokoju. Dennis należał do tych, co to zawsze wszystko wiedzą i wszystko najlepiej robią. Pete zastanawiał się, dlaczego nie widział tego, gdy byli na wydziale prawa? Był tak cholernie zajęty

spędzaniem całego czasu z Annie, że Dennis mógł odbywać swoje randki w ich mieszkaniu. Ot i cały powód.

Co, u diabła, Annie w nim widzi?

— No więc, Pete, jak właściwie ci się powodzi? W środowisku chodzą słuchy, że staniesz się legendą za życia. Najlepiej poinformowani podejmują zakłady. Twierdzą, że potrzeba ci pięć lat.

Pete dosłyszał w głosie Dennisa zawiść i postanowił nie zwracać na to uwagi.

— No cóż, jeśli ma to znaczenie, mało się nie rozerwę. Trzy tygodnie w miesiącu spędzam w podróży. Poznałem już każdy hotel, a wszystkie stewardessy znają mnie z imienia. Jeśli z tego powstają legendy, to może i prawda.

— Dobrze poinformowani — zaczął znowu Dennis i znów zazdrość zabrzmiała w jego głosie — mówią, że wziąłeś pięćset tysięcy za umowę dotyczącą posiadłości, którą załatwiłeś w Gstaad. Prawda czy kłamstwo?

— Postaw jedynekę przed piątką, a będziesz miał te pieniądze — zełgał Pete. Zaslugujesz na to kłamstwo, Dennis. Mnie nawet nie przyszłoby do głowy zapytać cię, jakie pieniądze robisz.

— Jezu! Chyba opłaca się mieć kontakty. Ja do końca życia będę się wysługiwał i do śmierci raczej tyle nie zachomikuję.

Pete dokończył piwo i skinął ręką, by zamówić następne. Dennis sączył mocną wódkę.

— No więc, jakie masz plany, Pete? Skoro zarabiasz takie pieniądze, jak mówisz, co masz zamiar z nimi robić? Twierdzisz, że jesteś taki zaganiany, nie masz więc czasu, by je wydawać. Nie rozumiem tego — stwierdził Dennis nieco bełkocząc.

Pete nawet nie miał zamiaru mówić temu sukinsynowi, że setki tysięcy dolarów przekazuje w całym kraju na sieroty. Nawet nie miał zamiaru opowiadać mu, że robi wszystko co możliwe, by zabezpieczyć się na przyszłość i na czarną godzinę. Dennis nigdy tego nie zrozumie. Poza tym jego to nie obchodzi. Żyje chwilą. Kreda Dennisa, to wydawać, wydawać, wydawać. Jezu, Annie, w co ty się wpakowałaś?

— No? — ponaglił go Dennis.

— Po prostu ciułam i pozwalam, by pracowały na odsetki. A co, masz zamiar zagadnąć mnie o pożyczkę? — spytał poirytowany Pete.

— A proponujesz?

— Nie — odparł Pete krótko.

— Annie mówiła mi, że proponowałaś jej pieniądze na opłacenie pożyczki studenckiej, a ona odmówiła. Ma swoją dumę. Ja też. Sami sobie poradzimy. Nie potrzebujemy, abyś się nad nas wynosił.

— Co ma niby znaczyć to my? Wydaje ci się, że się nad ciebie wynoszę? Pocałuj mnie w dupę. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Cenię przyjaciół i cholernie się staram, by ich mieć. Wiesz co? Nie jesteś wart nawet splunięcia. Nie potrafię pojąć, co Annie w tobie widzi. Wezmę rachunek, skoro cię zaprosiłem.

Zapłacił przed restauracją i w chwilę później był już na zewnątrz. Zaczerpnął głęboko, chrapliwie powietrza. Co się w ogóle stało? Cokolwiek to było, nie miał zamiaru dopuścić, by kiedykolwiek się powtórzyło.

* * *

Wziął taksówkę do gmachu sądu. Zobaczy Annie w akcji. Może zbierze kilka wskazówek. Annie jest najlepsza.

Usadowił się w końcu sali posiedzeń sędziego Lelanda. Annie wyglądała dobrze. Diabelnie dobrze w granatowym kostiumie i w białej jedwabnej bluzce z wysokim kołnierzykiem. Pojedynczy sznur perełek był chyba jej jedyną biżuterią. Poczul, jak serce mu się ściska.

Gdy o czwartej trzydzieści nastąpiło odroczenie rozprawy, podszedł do barierki.

— Hej, pani adwokat, może by się pani czegoś napiła? — zapytał. — Wygląda na to, że tę sprawę pani wygra.

Jej uśmiech był piękniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

— Pete, jak miło cię widzieć. Uwielbiam, gdy tak wpadasz. Przyjechałeś w odwiedziny czy jesteś tylko przejazdem?

— Miałem zamiar zaprosić ciebie i Dennisa na kolację, ale jedliśmy razem lunch i chcę szybko zapomnieć o tym wydarzeniu.

Annie zmarszczyła brwi i zatrzasnęła zamek aktówki.

— Przysięgłabym, że staję się z każdym dniem cięższa. Niedługo będę potrzebowała na nią wózka. Co się stało? Czy Dennis wsiadł na swojego konika, czy też ty powiedziałaś coś niezupełnie tak? Dobry w tym jesteś, Pete.

— Chodźmy na spacer, na dworze jest cudownie. Daj mi tę teczkę — powiedział wyciągając rękę po aktówkę Annie. Dała mu ją bez wahania.

— Co się z wami właściwie dzieje? — zapytał, gdy byli już na zewnątrz. — Czy coś się zmieniło od naszej rozmowy z ubiegłego miesiąca?

— Nie. Sprawy wyglądają tak samo. Dennis... Dennis chce teraz wszystkiego. Słuchaj, nie jestem nielojalna. Dennis mówi każdemu, kto tylko chce słuchać, że brak mu cierpliwości. Chce najlepszych spraw, najwyższych honorariów, chce także mieć możliwość tak wydawać pieniądze... jak robisz to ty. Nie może zapomnieć o paryskiej podróży. — Wzruszyła ramionami.

— Macie zamiar być razem?

Dopiero gdy się odezwała, poczul, jak wstrzymywał oddech.

— Kto wie. Jeśli nie wypali, to znaczy, że nie było nam sądzone. Teraz jesteśmy.

— Chciałbym się czegoś dowiedzieć. Powiedz mi prawdę, Annie. Kochasz Dennisa?

— Czy ja ciebie pytam o kobiety, z którymi chodzisz? To są sprawy bardzo osobiste i prywatne.

— Ja nie jestem zaangażowany. Poza tym, powiedziałbym ci, gdyby do tego doszło. Więc?

— Lubię go. Dennis potrafi być czarujący. Potrafi być nawet delikatny, jeśli poświęci temu trochę uwagi. Jest bardzo dobrym prawnikiem. Uda mu się, jeśli wyrobi w sobie cierpliwość. Ale jeśli mam ci powiedzieć prawdę, to nie, nie jestem w nim zakochana. Myślę, że on również nie jest we mnie zakochany. Tak jak powiedziałam, obecnie jesteśmy razem, po prostu. I nie chcę, abyś mnie wypytywał.

— Ktoś musi się o ciebie troszczyć. Czasami brak ci rozsądku, by wyjść spod rynny.

— Do diabła, Pete, z tym także się nie zgadzam. Rozmawiaj tak ze mną dalej, a będziesz wracał do Nowego Jorku, nie mając już dwojga przyjaciół.

— To właśnie powinno wystarczyć, by Dennis się zamknął, ale nie wystarczyło. Martwię się o ciebie.

— To się nie martw. Dość długo sama się o siebie troszczyłam i jak widzisz, dobrze sobie radzę.

Tak rzeczywiście było i to właśnie go gnębiło.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Pete trzymając przed nią otwarte drzwi do pogrążonego w półmroku baru, ulubionego lokalu miejscowej palestry. Poczul ukłucie czegoś, co trudno mu było zdefiniować, gdy kilkoro prawników, kobiety i mężczyźni, zatrzymywało Annie, by rzucić parę słów lub bodaj dotknąć jej ramienia w przejściu. Wszyscy ją lubili. A niby dlaczego

właściwie mieliby nie lubić? To najsympatyczniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek chodziło po tej ziemi.

— Mam chęć na zimne piwo i coś gorącego do pogryzania — oświadczyła Annie zajmując miejsce.

— Ja to samo, tylko ty wybierzesz przekąskę.

Zamówiła pomidory faszerowane serem oraz kawałeczkami bekonu. Wiedział, że zje cztery z sześciu, które zostaną im przyniesione.

— No to gadaj — rzuciła gniewnie.

— O czym?

— O tym, z czym Dennis na mnie naskoczy. Wolę być przygotowana. Co narobiłeś?

Nie co narobił Dennis, tylko co zrobił on?

— Uświadomiłem sobie dziś, że go nie lubię. Wydaje mi się, że nigdy go nie lubiłem. Chcesz wiedzieć, więc mówię całą prawdę. Miał czelność spytać mnie, co robię i co mam zamiar zrobić z pieniędzmi, które zarabiam. Jego zazdrość była wręcz namacalna. Zdaje się, że krąży mnóstwo plotek na temat forsy, którą zgarniam. Poza tym był na najlepszej drodze do ubzdryngolenia się. Co to za prawnik, który upija się w czasie lunchu!

— Gdy się nie jest w pierwszej lidze, łatwo stać się zazdrosnym. Dobry Boże, Pete, czy nie pamiętasz naszego kaca? To jednak, że Dennis pije w czasie lunchu, jest niewybaczalne. Uważam, że to sprawa zasadnicza. To tylko moje zdanie, ale myślę, że jest o ciebie zazdrosny.

— A ja jestem zazdrosny o niego. On ma ciebie.

— Pete, miałeś szansę, ale mi odmówiłeś — rzuciła lekko.

— Niewłaściwa synchronizacja — odrzekł równie lekko. Sam czuł, że to nieprawda.

— Jednak chciałabym się czegoś dowiedzieć. Powiedz mi jak przyjaciel, i nie czuję się niezręcznie, że cię o to pytam. Co masz zamiar zrobić z wszystkimi tymi pieniędzmi, które zarabiasz? Nie jestem w stanie nawet ogarnąć tych okrągłych sumek.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Przecież dlatego pytam.

— Zabezpieczyć swoją przyszłość. Zabezpieczyć przyszłość dzieci, które mam nadzieję kiedyś mieć, a także ich dzieci i wnuków. Chcę wiedzieć, że zabezpieczyłem swoich potomków, którzy przyjdą na ten świat. Nie chcę, by kiedykolwiek przydarzyło im się to, co stało się ze mną. Chcę mieć rodzinę i wiele dzieci. Chcę mieć to wszystko, czego nigdy nie miałem. Ale najpierw muszę na to zarobić. Osobiście. Nie chcę, by ktoś mi coś dawał. Jak ci się wydaje, dlaczego tak się szarpie?

— Powinieneś żyć, Pete. Słyszałeś, jak mówi się o tych przysłowiowych różach? Powinieneś zatrzymać się i od czasu do czasu powąchać je. Jaki pożytek z tego, że zrobisz to wszystko, jeśli wykończysz się mając czterdzieści pięć lat?

— Jeszcze pięć lat, a wszystko będzie dopięte. Wszystkie kredyty mam spłacone, ubezpieczenie na wypadek śmierci załatwione — nie żebym planował swoje zejście, ale tak trzeba. Potem wybieram się do Bell's Beach. Mam zamiar być plażowym próżniakiem.

— A co z żoną i dziećmi? — spytała cierpko.

— Będą razem ze mną. Będą żyć na łonie natury, chodzić nago i boso.

— Jesteś pomyłony. Nie można żyć... na plaży. Tam nic nie rośnie.

— Jestem mieszcuchem, tak że będę musiał wziąć parę lekcji przetrwania i nauczyć się, jak stać się plażowym wałkonem. Zrobię, to, Annie. Poczekaj, to zobaczysz.

— Jeśli przyjadę do ciebie z wizytą, czy będę musiała nosić liście i jutę, czy bikini ze sznurka? Co powie mi mała kobietka?

— Zapyta cię, czy przywiozłaś ostatni numer „Cosmo”. — Pete zaśmiał się rubasznie, a Annie aż przygięła się ze śmiechu. Zamilkli, gdy jedzenie pojawiło się na stole. — A co z tobą, Annie, czy zmieniałaś swoje plany? — spytał po chwili.

— Nie. Czasami — zaczęła pochylając się nad stołem z rozmarzonymi oczami — myślę sobie... Ale to tylko marzenia. Chciałabym mieć ładną kuchnię. Wiesz, taką, żeby wszystko było równiutko, z oknem nad zlewozmywakiem. Będę miała małe czerwone doniczki zawsze pełne ziół i przy gotowaniu tylko będę odrywać po łyżce. Chcę mieć błyszczące rondle z miedzianymi dnami. Bardzo mi się podoba w kuchni węglowe palenisko oraz bujany fotel z grubym, pikowanym przykryciem siedzenia. Nie zdecydowałam się jeszcze, czy chcę mieć psa czy kota do głaskania. Może dwa bujane fotele, także dla mojego... dla... no wiesz, kiedy wyjdę za mąż. Pewnie nie będzie miał wiele czasu na wysiadanie i bujanie się wraz ze mną. Może w niedzielne poranki. Niedzielne poranki to dobra rzecz. Mogłabym tak żyć. To na początek, dopóki nie będę miała dzieci. Chciałabym czwórkę, ale szanse są niewielkie, prawie zerowe. Chciałabym mieć dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Najpierw chłopiec, żeby pozostali mieli starszego brata. Myślę, że to ważne. Słyszałaś to już setki razy, dlaczego chcesz, abym znów ci o tym mówiła?

— Bo uwielbiam o tym słuchać. No dalej — powiedział Pete dłubiąc w faszerowanym pomidorze Annie.

— Chcę mieć klon, żeby dawał dużo cienia. Na gałęzi powieszę oponę. Jeden chłopiec na mojej ulicy miał taką. Strasznie chciałam się na niej kręcić, ale mama mi nie pozwalała. Powiedziała, że jest brudna, i że pobrudzę sobie całe ubranie. Zupełnie jakby mnie to obchodziło. Kiedyś się rozchorowała i położyła do łóżka z ciężkim przeziębieniem. To było zimą. Zanim ją podwiezłam, włożyłam palto i pobiegłam tam, i mówię ci — przeszło godzinę bawiłam się na tej starej oponie. Wróciłam do domu dopiero, gdy zmarzłam. Wcale się nie pobrudziłam i nigdy o tym matce nie powiedziałam. To był jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu.

Grabienie liści, hodowanie wiosennych kwiatów, strzyżenie trawnika, to wszystko moje rodzinne plany — kontynuowała. — Będziemy razem robić potrawy na Dzień Dziękczynienia i razem chodzić po choinkę na Boże Narodzenie. Będziemy rodziną i wszystko będziemy robić razem. W dniu, gdy wyjdę za mąż, zacznę odkładać pieniądze na college dla dzieci.

Nie mam zamiaru zrezygnować z kariery zawodowej. Nie mam nic przeciwko temu, by zawiesić ją na czas, gdy dzieci będą małe, ale uważam, że mogę potem otworzyć rodzinną praktykę i prowadzić niewielką kancelarię w garażu, który przerobię na biuro.

Mam zamiar kochać mego męża do samej śmierci. Niezupełnie, chcę tylko... mieć pewność, że nigdy nie przestanie mnie kochać, gdyż nie wierzę po prostu w rozwód. Może brak mi realizmu, ale tak to czuję. Tak sarno jak ty chcę mieć kogoś, mieć własną rodzinę. Chcę, żebyśmy w niedzielę ubierali się i szli do kościoła. Chcę uczyć moje dzieci wyższych Wartości, uczciwości i troski o innych. Chcę, by mnie tak kochały, że gdy przyjdzie moja kolej odejścia w to miejsce... to miejsce na końcu naszego istnienia, by ktoś odczuwał po mnie żal. Przez krótką chwilę. Chcę, by mnie pamiętały. By mówiły na przykład: „Pamiętasz, kiedy mama to robiła, albo kiedy mówiła to czy tamto?”. Chcę być czyjaś mamą i czyjaś żoną. Czy myślisz, że chcę zbyt wiele?

— Absolutnie nie. Będiesz gotowała mężowi rosół, gdy będzie chory? A jeśli będziesz pracować, czy weźmiesz sobie dzień wolny?

— Naturalnie. Mój mąż nie będzie bezradnym facetem, ale w przypadku choroby będzie moją rzeczą zająć się nim. Od niego zamierzam oczekiwać tego samego.

— Nic nie powiedziałaś o swoim budzecie — zauważył Pete nerwowo. Zaśmiała się.

— Przecież wszystko wiesz. Sam mógłbyś opowiedzieć mi o moim budżecie. Mógłbyś też przestać jeść moje pomidory.

— No to opowiedz o swoim budżecie.

Niespodziewanie zebrało jej się na płacz. Nie chciała się dzielić z nim wszystkimi swoimi marzeniami. To za niego chciała wyjść za mąż, z nim pragnęła się starzeć, o niego chciała się troszczyć. To on był w marzeniach częścią jej życia i jego dzieci pragnęła mieć.

— Wyglądasz, jakbyś miała się rozplakać. Zjadłem tylko cztery, dwa ci zostawiłem. Nigdy nie jesz więcej niż dwa. Nie mów mi, to na pewno ten okres miesiąca. No więc co z tym budżetem?

Annie pokazała mu język i skrzywiła się. Mężczyźni są tacy...

— Będę miała budżet. Tyle na sprawunki, tyle na ubranie, tyle na rzeczy do domu. Będę trzymała koperty jak moja matka. Każda była na coś i mama trzymała je w kuchennej szafce obok telefonu. Zacznę w ten sposób, ale będzie to wymagać częstego chodzenia do banku. Moja matka posługiwała się gotówką, a ja będę wypisywać czek. Chcę po prostu sprawdzić, jak to jest. Zamierzam nawet trzymać kopertę dla gazeciarza. Pod koniec miesiąca, jeśli uda mi się zaoszczędzić trochę pieniędzy, pójdą na oddzielne konto w banku, żeby były, gdy dzieci rozpoczną naukę w college'u. Będę też miała bidon na wodę służący za skarbonkę i będę trzymała go w swojej szafie. Moja mama tak robiła i oszczędzała przez lata. Udało jej się odłożyć dwa tysiące dwieście i gdy wyjeżdżałam do college'u, dała mi wszystko. Nie chciałam ich, ale wzięłam. Ja też bardzo uważałam, na co je wydaję i miałam je długo.

Jeśli wszystko się uda, chciałabym, abyśmy żyli za to, co ja zarobię, a pieniądze mojego męża odkładali na konto. Wszystko to jest takie odległe i pewnie nigdy się nie urzeczywistni.

— Podsumuj to, Annie — odezwał się szorstko.

Annie odchyliła się w krzesle. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle, gdy omawiali sprawy budżetu. Poczula w sercu jakieś ukłucie. Znów zbierało jej się na płacz. Miała ochotę zetrzeć go na miazgę. Powiedz mi, co myślisz, powiedz, czy zależy ci na mnie, powiedz mi, czy mam choćby cień szansy, że któregoś dnia będziemy razem, pragnęła mu wykrzyczeć.

— No więc?

— Wspólnota i troska. To wszystko, czego chcę od małżeństwa. Gdybym mogła to otrzymać, reszta sama znalazłaby się na właściwym miejscu.

— Słuchaj, jeśli nie znajdę nikogo, żeby... no wiesz, wyjechać razem do Bell's Beach, czy... No wiesz, czy zrezygnujesz z tego wszystkiego i wyjedziesz ze mną?

Skrzywiła się.

— Ma się rozumieć, Pete. Każda dziewczyna chce być tą drugą naj. W mgnieniu oka.

— Naprawdę, czy żartujesz? Muszę wiedzieć.

— Jak wolisz, Pete.

I to wszystko, co zdołał wydobyć z Annie Gabriel.

— Ty draniu, zjadłeś mi pięć. Powiedziałeś, że nie chcesz w ogóle. — Wyrwała mu ostatniego pomidora z palców i wsunęła sobie do ust. — No — wymamrotała.

— Wolna jesteś dziś wieczór?

— Muszę przejrzeć dzisiejsze zeznanie. Jeśli nie masz nic do roboty, możesz przyjść do mnie i około dziewiątej zorganizuję jakąś kolację, jeśli wytrzymasz tak długo.

— Co zorganizujesz? — spytał przebiegle.

— Stek na ostro z gruntowymi pomidorami i te suszone japońskie grzybki, które tak lubisz. Ryż z przyprawami. Ciasto bananowe. Mrożone, oczywiście.

— Oczywiście. Zgadzam się. A co z Dennisem?

— A co ma być?

— Czy też tam będzie?

— Pete, Dennis ma swoje mieszkanie, ja mam swoje. Nie mieszkamy razem. On ma swoje życie, ja mam swoje. Nie proszę go o pozwolenie na robienie czegokolwiek, ani on nie prosi mnie o pozwolenie. Przecież, na litość boską, nie jesteśmy zaręczeni.

— A myślisz, że moglibyście?

— Co? Zaręczyć się? Nie wiem.

I na tym się skończyło.

Deszcz tłukł w okna. W uchu Annie dźwięczał złowieszczo i paskudnie. Poruszyła się i Dennis drgnął lekko. Miała chęć wstać i przejść do salonu, gdzie mogła myśleć, ale bała się, że zbudzi Dennisa i znów zacznie się dyskusja, którą prowadzili po bardzo przyjemnym kochaniu się. Może jeśli będzie wstawać stopniowo, a potem ześlizgnie się lekko z łóżka, mężczyzna nie zauważy. Sprawiał wrażenie, że śpi jak zabity, ale miał bardzo czujny sen.'

Wyciągnęła szyję, by spojrzeć na tarczę zegarka na nocnym stoliku. Teraz jednak, z powodu ich miłosnej gimnastyki, znalazła się po przeciwnej stronie łóżka. Westchnęła ze znużeniem. Nagle jej życie stało się zabałaganione. Poruszyła się, odczekała i przesunęła znowu. Spojrzała na swego partnera. Podczas gdy Pete miał ciemne oczy, Dennis był niebieskokookim blondynem. Był równie wysoki, ale szczuplejszy od Pete'a. Dennis nie miał czasu na squasha i bieganie, bo był zbyt zajęty powiększaniem stanu swego konta bankowego. Pracował osiemnaście godzin na dobę, czasem nawet więcej. Poruszyła się ponownie, odczekała i poruszyła jeszcze raz. Dennis chciał wprowadzić się do niej i już prawie od roku, od czasu gdy spotkali się z Pete'em, o niczym innym nie mówił. Twierdził, że powinni dzielić opłaty za mieszkanie i świadczenia, bo w ten sposób oboje będą oszczędzać. Powiedziała nie. Gderał i wspominał o Peterze. Zawsze gdy sprawy nie szły po jego myśli, zaczynał mówić o Sorensonie.

Dennis poruszył się i wymruczał przez sen coś, co brzmiało ja dyskusja z sędzią. Nieprzyjemny wyraz pojawił się na jego twarzy. Annie wciągnęła powietrze.

— Dlaczego tego nie zalegalizujemy? — spytał, gdy skończyli się kochać. — Dlaczego się nie pobieramy?

Omali nie podskoczyła. Nigdy nie myślała o małżeństwie z Denitem, teraz też nie miała tego w planach. Nie kochała Dennisa. Pociągał ją bardzo, ich zbliżenia były dzięki i dawały ogromną przyjemność; często zdarzało im się kochać całymi godzinami. Pochrapywał teraz lekko. Znowu zaczęła się poruszać. Odczekała i przesunęła się znowu, aż wreszcie znalazła się na brzegu łóżka. Dennis sprawiał wrażenie bezbronnego małego chłopca. Nie umiała wyobrazić go sobie jako dziecka. Myślała o nim jak o kimś, kto urodził się dorosły, sprytny i wyrachowany. Niezbyt wysoko cenił zasady etyczne, choć nie dotyczyło to spraw z nią związanych. Ona była uczciwa, on nie zawsze. Ona nigdy, w żadnych okolicznościach, nie oszukałaby klienta. Dennis z kolei zainteresowany był tylko płaconym z góry honorarium, płatnymi godzinami, które mógłby przebałaganić, oraz tym, co w końcu będzie z tego miał. Nie poniżało go wymuszanie od klienta premii.

No więc, co ona robi w łóżku z facetem, którego nawet nie lubi? Czy bierze pod uwagę wyjście za niego za mąż? Nawet za tysiąc lat nie. Czas powiedzieć Dennisowi, że miło było, póki trwało, ale teraz już dość. Gdyby od początku nie ujawniła swych odczuć, to co innego. Ale przecież zgodził się, a teraz łamie zasady. Czas ruszać dalej.

Patrzyła teraz z podłogi na Dennisa, który chrapał nadal, tyle że głośniejsze. Oznaczało to, że śpi głęboko, a ona może się przenieść do salonu.

Wiedziała, że już nie zaśnie. Przeszła do kuchni i przygotowała sobie filiżankę herbaty ziołowej, po czym zapaliła papierosa. Życie nic nie jest warte, a potem trzeba umrzeć. Przyszła jej na myśl Pete, bo tak i naprawdę zawsze był blisko. Już prawie od roku go nie widziała. Wprost trudno uwierzyć. Jednak rozmawiali ze sobą regularnie. Pete spędzał czas w podróży, żył na walizkach i gromadził w banku pieniądze. Takie życie nie może dawać zadowolenia. Odczuła potrzebę wędrówki doliną wspomnień, ale zawsze zmuszało ją to do płaczu. Nie będzie płakała z

powodu Pete'a Sorensona, Dennisa czy jakiegokolwiek innego mężczyzny. Pociągnęła łyk herbaty, parząc sobie język i zakłęta, gdy zadzwonił telefon. Wyciągnęła rękę i zdążyła poderwać słuchawkę jeszcze w czasie pierwszego sygnału.

— Tak? — szepnęła poprzez oparzony język.

— Mówi Pete. Co tam robisz, Annie?

Wstała i zamknęła drzwi kuchni.

— A jak myślisz, co mogę robić o trzeciej nad ranem? — Przecież nie może mu powiedzieć, że myślała o nim, po prostu nie może. — Właśnie poparzyłam sobie język.

— O trzeciej nad ranem?

— Tak, o trzeciej nad ranem — wymamrotała. — Nie mogłam spać. Gdzie jesteś?

— W Bangkoku. Wyjdź za mnie, Annie.

Poczuła wilgoć pod powiekami. Był pijany, dosłyszała to w jego głosie powiedziała mu o tym.

— Może trochę — przyznał. — Jezu, jak ja nie cierpię tego kraju.

— Pete, ty wszystkiego nienawidzisz — odparowała ostro. — Nienawidzisz prawa, nienawidzisz podróży, nienawidzisz obcych krajów. Czy jest coś, co lubisz? — Posunęła się nieco dalej. — A ja nie cierpię kiedy dzwoniś do mnie w środku nocy ze swoimi smętkami.

— Ciebie lubię. Naprawdę cię lubię. Nie lubię tego... Dennisa.

— Zgadnij, co mnie to obchodzi. Która tam jest godzina?

— Na moim zegarku trzecia. Dwanaście godzin różnicy. Powinnaś to wiedzieć.

— Powinnaś wiedzieć wiele różnych rzeczy, ale nie wiem. Dlaczego jesteś pijany w środku dnia?

— To mój wolny dzień, a samotne oglądanie słońca nie jest zabawne. Pamiętasz, jak Leo wysłał nas do Paryża? Dobrze się bawiliśmy, co Annie?

— Tak, rzeczywiście — przytaknęła miękko. — Na ogół zawsze dobrze się bawiliśmy. Brak mi tego.

— Az Dennisem się nie bawisz? — spytał przebiegle.

— Nie twój interes, Pete. — Zupełnie jak w kiepskim romansie.

— Annie, czy wyjdiesz za mnie? Pytałem cię już, ale mi nie odpowiedziałaś. Dlaczego mi nie odpowiedziałaś?

— Bo jesteś pijany. Zapytaj mnie o to, jak będziesz trzeźwy i będziesz panował nad sobą. Klęcząc. Z kwiatami w jednej ręce i cukierkami w drugiej.

— Dlaczego? Musiałem się upić, żebym mógł cię o to poprosić.

— Dlaczego chcesz, żebym za ciebie wyszła? — spytała wstrzymując oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Bo chcę. Chcę mieć rodzinę i dużo dzieci do kochania. Mówiłaś, że chcesz tego samego. Możemy zrobić to razem. Zawsze byliśmy ty i ja, ja i ty. No więc?

— Pete, wieczorem Dennis prosił mnie, bym za niego wyszła.

Cisza z drugiej strony trwała tak długo, że pomyślała, iż odłożył słuchawkę.

— Ach tak. Powiedz mi, żeby cię pocałował w dupę. On nie jest ciebie wart. Brak mu kręgosłupa moralnego, poza tym wiem, że go nie kochasz. — Tak bardzo bełkotał, że tylko połowę z tego, co mówił, była w stanie zrozumieć. — Masz zamiar to zrobić?

— Co zrobić? Wyjść za męża? Ryknął śmiechem.

— Nie, powiedz mi, żeby cię pocałował. To wspaniałe uczucie, gdy się mówi jakiemuś zgniłkowi, by to zrobił. Barney nauczył mnie tego. Kiedy moglibyśmy się pobrać?

— Kiedy będziesz trzeźwy i poprosisz mnie o to.

Znów zapadła cisza i tym razem trwała jeszcze dłużej.

— A jeśli poproszę cię na trzeźwo, wyjdiesz?

— Jak mnie zapytasz, usłyszysz odpowiedź. Nienawidzę, kiedy jesteś pijany, Pete.

— Ja też tego nienawidzę. Nie ma tu nic innego do roboty.

— Chłoń widoki i poznawaj lokalną kulturę — zaproponowała.

— Okropnie chcę mieć rodzinę. Chcę do kogoś należeć. Chcę mieć dom, dzieci, mecze piłkarskie, zawody pływackie, psa, siedzieć całą noc, gdy jakieś dziecko zachoruje, barbecue. Chcę tego wszystkiego, Annie. Czas ucieka zbyt szybko. Myślę, że to dałoby mi... Tego właśnie chcę, Annie.

Chciała dokładnie tego samego.

— Nigdy się nie sprzeciwię, jeśli będziesz chciała nadal pracować, robić karierę... Więc jak?

— Zapytaj mnie o to, jak będziesz trzeźwy.

— Będę trzeźwy jak cholera. Czy jutro wystarczy?

— Tak, jutro będzie dobrze, Pete.

— Czy nadal jesteś moją najlepszą dziewczyną, moim kumplem? Czy myślisz o mnie, jak mnie nie ma? Co jadłaś dziś na kolację? Jezu, jak chciałbym cię zobaczyć. A może byś tu przyjechała? Tajlandia spodobałaby ci się. Wspaniałe zakupy.

— Ja też za tobą tęsknię. Ale nie, nie mogę polecieć do Tajlandii, bez względu na to, jak wspaniale robi się tam zakupy.

— Dlaczego?

— Dlatego.

— Nienawidzę tych twoich odpowiedzi. Ja zawsze ci odpowiadam. Dlatego że co?

— Bo tak powiedziałam — ucięła.

— Czy zadzwonisz teraz do Dennisa i powiesz mu? Chciałbym, żebyś to teraz zrobiła. Jak tylko się rozłączymy.

Coś się w niej zatrzasnęło.

— Pocałuj mnie w dupę, Pete.

To było najgorsze, co mogła powiedzieć, zwłaszcza jemu. Nigdy jeszcze nie zastosowała jego ostatecznego rozwiązania. Odstawiła telefon i rozplakała się szlochając w rękaw starego, wygodnego szlafroka. Wydało jej się, że całe życie czekała na to, by usłyszeć, jak Pete prosi ją o rękę, tyle że złożył jej tę propozycję z absolutnie niewłaściwych powodów. Jutro, a właściwie dziś, zadzwoni i oświadczy się ponownie.

— Uważaj, żeby ci się czasem nie spełniło — mruknęła.

Trzeźwy nigdy nie zadzwoni. Czy w ogóle będzie pamiętał ich rozmowę? Mało prawdopodobne. To śmieszne, ale Pete rzadko pił więcej niż dwa kieliszki, gdy wyjeżdżał. Zawsze powtarzał, że nie lubi uczucia braku samokontroli.

Skończyła zimną już herbatę. Dlaczego dziś? Dlaczego Dennis oświadczył się dziś? Żałowała, że nie prowadzi dziennika. Zapisałaby to. Podwójne oświadczyły. Jedne faceta pijanego, drugie mężczyzny, który chciałby robić karierę jej kosztem, mężczyzny pozbawionego etyki. „I żyli długo i szczęśliwie” to dla innych, nie dla Annie Gabriel.

Cały dzień czekała przyklejona do telefonu. Pragnęła, by zadzwonił i warczała na Dennisa, gdy jego obecność przeszkadzała jej w czekaniu. Pies z kulawą nogą do niej nie zadzwonił. Zmierzchało się, gdy wysłała Dennisa do domu mówiąc, że ma migrenę. Nie było to kłamstwo, ale pragnęła również samotności, by rozważyć, co znaczyły słowa Pete'a. Nie kładła się przez całą noc, a telefon wciąż milczał. W poniedziałek nie ruszała się z biura i co godzinę sprawdzała u recepcjonistki, czy nie było do niej żadnej zamiejscowej rozmowy. To samo we wtorek i w środę.

— Pocałuj mnie w dupę, Peterze Sorenson — beczała w ubikacji, gdy po raz siódmy czy ósmy poprawiała sobie makijaż.

W środę wieczór wiedziała na pewno, że Pete nie zadzwoni i ta świadomość poraziła ją tak; że zachwiała się i omal nie upadła, gdy szła do sypialni. Szlochała, a głośne, wyczerpujące łkanie wstrząsało jej ramionami, podczas gdy kolana uginały się pod nią.

Wreszcie donośny, spazmatyczny płacz zamarł do pojękiwań i wyczerpana dziewczyna wymruczała w poduszkę: „Ja tylko chciałam do ciebie należeć. Wiem, że nikt do nikogo nie powianiem należeć, ale tak to czuję i chciałabym, abyś ty też tak myślał”.

Gdy przymykała ciężkie, zmęczone powieki, wydawało jej się, że nastąpił koniec świata.

* * *

Pete Sorenson obudził się z kacem do entej potęgi. Teraz wiedział już, jak czuła się Annie, gdy dostawała migreny. Jak ona mogła to wytrzymać? Zwyczajnie. Annie jest po prostu Annie.

Telefon do niej wypłynął na powierzchnię jego myśli. Jęknął. Pete Sorenson, ostatni za drzwiami. Jeden parszywy, cholerny dzień za późno. Ten drań Dennis go zwyciężył. „Jak będziesz trzeźwy, zadzwoń i poproś”, powiedziała Annie. Jeszcze czego, pomyślał. Nie ma chęci, by ucierano mu nosa oświadczynami Dennisa. Skoro Annie chce Dennisa, to niech go ma. Dennis nie będzie pasował do tego życia i tego jej cholernego budżetu.

Ja tego chcę. Ja, a nie ten głupi Dennis, ten chromoniklowany, gładki facet. Jego nie obchodzą zioła na okiennym parapecie, on nienawidź węglowych kuchni, bo są brudne i trzeba je czyścić z popiołu. Pewflii nawet nie posiada na własność dresu i nie będzie wiedział, po co je5 garaż, jeśli do niego trafi. Nie trzyma starych rupieci. Niczego nie zbiera. Annie, on nie będzie siedział w fotelu na biegunach, jeśli nie zapłacisz mu w złocie tyle, ile sam waży.

— Wiesz co, Annie, pocałuj mnie w dupę — ryknął ile sił w płucach. — I tylko nie proś mnie potem, żebym ci przygotował dokumenty do rozwodu, kiedy po roku Dennis skończy w więzieniu.

Niech to szlag! Jak mogła przyjąć jego oświadczyni? Ale czy je przyjęła? Powiedziała, że poprosił ją o rękę. Jak chciałby przypomnieć sobie wszystko, co mówiła. Jednak pamiętał tylko, że nie odpowiedziała „tak” jemu. Gdyby go naprawdę kochała, zgodziłaby się natychmiast.

Czuł się samotny. Chciał znów być małym chłopcem, by móc zapłakać. Tęsknił za Barneyem i sposobem jego postępowania, gdy sprawy układały się nie tak.

Przyszłość majaczyła przed nim; cierpiał, choć nie wiedział nad czym lub nad kim boleje. Zapewne nad sobą, myślał w drodze do łazienki.

— Wszystko, czego chcę — wykrzykiwał pod kłującym igłami strumieniem z prysznicą — to mieć rodzinę i należeć do kogoś. Do cholery, czy to takie wielkie żądanie? — Prawdopodobnie, inaczej Annie powiedziałaby tak.

— Złamałaś mi serce, Annie Gabriel. Nie wiem, czy potrafię ci to kiedykolwiek wybaczyć. Po prostu nie wiem.

Zobaczył ją w pełnej ludzi sali. Dokładnie tak, jak zdarza się na filmach. Tylko, że stało się to w modnym barze o nazwie Swoozies, a on był na wpół oglupiały. Właściwie nie zezował jeszcze, tyle że wypił ponad dwa kieliszki na pusty żołądek i odczuwał napięcie, choć nie tak znów wielkie, by nie miał świadomości, że patrzy na swoje przeznaczenie.

Zamrugął. Dziewczyna była tak piękna, że wprost bolało, gdy się na nią patrzyło. Przesunął się lekko w wianuszku ludzi otaczających go, by mieć lepszy widok na swe przeznaczenie. Ubrana jak Cyganka, miała na sobie bluzkę we wściekłym kolorze z luźnymi rękawami oraz spódnicę, która musiała wirować przy każdym ruchu. Nie miał pojęcia, skąd to wie. Wiedział, i już. Przygarbił się, by zobaczyć, co dziewczyna ma na nogach i nie zaskoczyło go wcale, gdy ujrzał jasnoczerwone zamszowe botki. Ale jej ciemne oczy i dzika grzywa ciemnych włosów sprawiły, że wzrok Pete'a zaostrzył się i skoncentrował. Dziewczyna patrzyła na niego roześmianymi oczami, więc odpowiedział jej spojrzeniem. Wyobraził sobie, że słyszy brzęczenie srebrnych kolczyków. Na pewno lubi srebro. Miała je na szyi i na rękach. Musi ją poznać. Teraz.

Musi się dowiedzieć, czy ma tu randkę z jakimś prawnikiem, czy też wpadła tylko na drinka i na darmową wyzerkę. Może to studentka z mieszczącego się po drugiej stronie ulicy Marymount. Ale gdy przyjrzał jej się przez zmrużone powieki, doszedł do wniosku, że na studentkę wygląda zbyt poważnie; na pewno ma już trzydziestkę. „Zbyt stara” dla kobiety o jej wyglądzie oznaczać mogło tylko zadowolenie z własnej tożsamości. Nagle nie wiedzieć czemu, poczuł się speszony.

— Myślę — odezwał się do stojącego obok prawnika — że dostrzegłem właśnie moje przeznaczenie. Mam trzydzieści pięć lat — wyjaśnił z głupawym uśmiechem.

— Dobrze, dobrze, gdzie ja to już słyszałem? — zaśmiał się jego towarzysz. — Która to; a ja mam, do diabła, trzydzieści siedem.

Pete wpatrzył się w stojącą w kolejce do bufetu kobietę pragnącą, by spojrzała na niego raz jeszcze. Chciał się do niej uśmiechnąć, trafić na nią wzrokiem. Skoro raz go zauważyła i uśmiechnęła się, może zrobi to ponownie. Jeśli nie jest zainteresowana, odwróci się tylko. Nadal wpatrywał się w nią natrętnie, pewny, że dziewczyna musi czuć świdrujące spojrzenie. W chwilę później odwróciła się i wbiła zęby w kurze udko. Na ułamek sekundy, zanim ponownie zatopiła zęby w mięsie, ich oczy spotkały się.

W Swoozies panował ścisk. Gromadzili się tu prawnicy, pragnący załatwić sprawy ze swoimi partnerami. Nawet nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska stojącego obok niego faceta. Lloyd jakiś tam, pomyślał.

Jego przeznaczenie trzymało talerz w górze w taki sposób, jak czynią to kelnerki, gdy przeciskają się przez tłum. Mrużąc oczy dziewczyna śmiała się z czegoś, co powiedziała stojąca obok koleżanka. Poruszała się jak Cyganka, powiewając włosami i spódnicą, i pobłyskując bransoletkami. W chwilę później stracił ją z oczu. Musiał ją odnaleźć.

Odstawił drinka na bar, przecisnął się przez tłum, porwał z talerza jednego z kumpli kurze udko i pracując ramieniem, przepychał się dalej. Zobaczył ją ponownie, jak stała wsparta o ścianę. Nawet z daleka dostrzegł cztery udka na jej talerzu. Nie wyglądało na to, że przyszła tu dla flirtu, by dać się poderwać, czy też na picie. Przyszła, by jeść i najwyraźniej kurczak jej smakował. Do diabła, jest dobry i darmowy.

Nie wyglądała na biedną czy borykającą się z losem. Była ubrana dobrze i modnie, a przez ramię miała przewieszoną torbę od Chanel. Musi po prostu być głodna. Lubił patrzeć na ludzi mających zdrowy apetyt.

Był już na tyle blisko, by mógł do niej zagadać. Dziewczyna wspianiałym zapachem przypominała wiosenny deszcz czy też letnią łąkę z kwitnącymi kwiatami. Tyle że nigdy nie wędrował pełną kwiatów letnią łąką.

Machał swoim udkiem, rozglądając się bezradnie wokoło.

— Wszystkie talerze diabli wzięli.

— To rzeczywiście problem. Niech się pan cieszy, że nie wzięli całego jedzenia — powiedziała śmiejąc się. — Proszę położyć na moim.

Wykonał polecenie zgodnie z instrukcją. Gdyby powiedziała, by skoczył po księżyc, wypłynąłby przez otwarte drzwi.

— Pete Sorenson — rzekł z szerokim uśmiechem. Jest cudowna, a ja jestem zakochany. I to już teraz.

— Maddie Stera, a to moja przyjaciółka Janice.

Dopiero teraz zauważył towarzyszącą jej kobietę. Uśmiechnął się, skinął głową, po czym ponownie zwrócił całą uwagę na Maddie.

— Wygląda pan na prawnika, a więc na pewno pan nim jest — stwierdziła dziewczyna.

— Uważa pani, że mamy określony wygląd?

Ma poczucie humoru. Boże, po prostu odpowiedziałeś na moje modlitwy!

— I jeszcze jak. Wie pan, co powiedział Szekspir? — Nie zwracała sobie głowy czekaniem na jego odpowiedź. — Najpierw zabijemy wszystkich prawników. Tak właśnie powiedział. — Oczy dziewczyny zmuszały go wprost do śmiechu.

— Czy takie są i pani odczucia? — spytał udając przerażenie.

— No cóż... — zaczęła przeciągle.

— Czy ma pani pojęcie, jaki trudny jest wydział prawa? To tak, jakby była pani stażystą mieszkającym na terenie szpitala. Nigdy się nie śpi. Poprzeczka jest ustawiona bardzo wysoko. Niewielu ludzi przechodzi za pierwszym razem. Jestem dobrym prawnikiem — dodał chłodno. Boże, nie pozwól jej wyśmiewać się ze mnie. Proszę cię, moim przeznaczeniem było spotkać tę kobietę i... poślubić ją. Boże, wiem o tym.

— Z pewnością — zaśmiała się Maddie. — Ja tylko drażnię się z panem.

— Domyślam się, że pani nie jest prawniczką. Drażni się z nim. Cudownie.

— Nie. Jestem kierownikiem działu zakupów w Bloomingsdale, a Janny jest maklerem u Merrilla Lyncha.

— Chwalebne zawody — uśmiechnął się Pete. Kobieta robiąca karierę. Druga też. Maddie Stern. To naprawdę ładnie brzmi. Maddie Sorenson będzie brzmiało jeszcze lepiej. Zastanawiał się, jak bardzo jest pijany.

— W jakiej dziedzinie prawa pan praktykuje? — spytała Maddie.

— Jestem specjalistą od przenoszenia praw własności. To trochę skomplikowane. Pracuję dla konsorcjum, które jest kierowane przez firmę prawniczą mojego wuja. To znaczy, zakupuję nieruchomości, a potem sprzedaję konsorcjum.

— Ekscytujące. I lukratywne — Maddie uśmiechnęła się. Imponuję jej i flirtuje ze mną, pomyślał uszczęśliwiony.

— Czuję — rzekł beczelnie — że jest pani moim przeznaczeniem. A czy pani coś czuje? — W tym momencie był tak pewien swych uczuć do tej cudownej istoty, że nie miał zamiaru w ogóle pozwolić jej odejść. Prawdziwa miłość.

— Ja czuję — oświadczyła Maddie marszcząc czoło i przeciągając słowa — że mogłabym zjeść jeszcze kilka kurzych udek. — Roześmiała się na widok wyrazu twarzy Pete'a. — Żartowałam tylko.

— Wcale nie — odrzekł z irytacją. — Nie lubię, jak ktoś coś mówi, a potem twierdzi, że nie miał tego na myśli.

Cholera, poniosło go.

— Ja też tego nie cierpię. Janny także — powiedziała Maddie z namaszczaniem.

— Dziewczyny, pójdziecie ze mną na kolację? Przed wami mnóstwo udek do zjedzenia, a tu już półmisek jest pusty. Po szóstej trzydzieści kończą podawanie. — Wstrzymał oddech i czekając na odpowiedź, splótł palce.

— Z przyjemnością — odpowiedziała Maddie w imieniu obu dziewczyn.

— Naprawdę? — Oślupiał. Zainteresował ją. Widać to z jej roześmianych oczu. Cholernie gorąca.

— My dużojemy — uprzedziła Janny z szerokim uśmiechem.

— Ja też — roześmiał się.

— Myślę, że komuś potrzebna ta część ściany do oparcia się — rzekła Maddie przeciskając się przez tłum.

Na dworze było duszno, gdy Pete wziął taksówkę.

— Co powiecie na rosyjską herbaciarnię?

— Według mnie to brzmi wspaniale — oświadczyła Maddie.

I było wspaniale, pomyślał później Pete, gdy patrzył, jak Janny odchodzi. Młoda kobieta postąpiła taktownie. Wbrew woli zastanawiał się, czy Maddie dała koleżance jakiś znak sygnalizujący, że powinna ich opuścić. Ponieważ brak mu było polotu, gdy chodziło o kobiety, powiedział sobie, że tak.

Maddie uśmiechnęła się i sala rozjaśniła się natychmiast.

— Tak naprawdę nie interesuje mnie rynek walorów i jak mam cię poznać, tak naprawdę, skoro trzecia osoba paple o akcjach i obligacjach? Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek wypięła tyle szampana przy jednym posiedzeniu. Czy nie jest straszliwie drogi?

Pete machnął ręką, by pokazać, co myśli o cenie szampana.

— Możemy zamówić tyle, ile będziesz chciała, a nawet wziąć butelkę ze sobą. Cudownie się bawię.

Poczuł, że mówi jak szesnastoletni licealista na pierwszej randce.

— Ja też się cudownie czuję. To miło, że zaprosiłeś mnie i Janny na wspólną kolację. Dwie obce... — Pochyliła się lekko i oparła brodę na rękach. — Opowiedz mi wszystko o Peterze Sorensonie. Wszystko.

Upojony uczuciami i wypitym szampanem zaczął mówić. Opowiadał o wszystkim i o niczym. Dziewczyna zadawała wiele pytań. Pytała o jego interesy, o wuja, o mieszkanie i samochody. A on mówił przede wszystkim o sobie. Powiedziała przecież, że chce się dowiedzieć wszystkiego. Była tak bardzo nim zainteresowana, że poczuł, jak jego ciało rozgrzewa się niemal do czerwoności. Powiedział to i dziewczyna roześmiała się.

Wysączył resztkę swego szampana i ujął ją za rękę.

— Czy wiesz, co zrobiłbym teraz, w tej chwili? — Co takiego? — zamruczała Maddie.

— Kochałbym się z tobą; powoli, aż do bólu, miłością, która ciągnęłaby się przez całą noc. To właśnie pragnąłbym teraz robić. Nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak ty. Jesteś taka... rozedrgana, taka pełna życia. Nigdy przedtem nie widziałem czerwonych zamszowych botków — wyznał. — Przypominasz mi Cygankę. Sposobem ubierania się i wszystkim tym... tymi dziko rozburzonymi włosami. Chciałbym zanurzyć w nie twarz. A co ty byś chciała? — spytał z rozlewającym się na twarzy uśmiechem.

— Naprawdę chcesz to usłyszeć?

— Koniecznie!

— Chciałabym zedrzyć z ciebie ubranie, przejechać paznokciami po twojej nagiej piersi, szarpnąć cię za włosy i zmusić do tego, byś mnie wziął na stojąco przed lustrem. Już, w tej chwili.

— Jezu, to brzmi... niesamowicie. Czy to znaczy, że nie lubisz powolnego, leniwego, trwającego całymi godzinami kochania się? Przed lustrem, powiadasz?

— Właśnie tak. Chyba w głębi duszy jestem w pewien sposób dzika. Powolne, spokojne kochanie się jest przyjemne, ale wydaje mi się stratą czasu. Uwielbiam chwilę, rozumiesz, życie chwilą. Jeśli tak się żyje, nie ma się czasu na uprawianie powolnej, spokojnej miłości. Ale teraz nie ma to żadnego znaczenia. Dopiero się poznaliśmy, a nie należę do dziewczyn, które robią takie rzeczy na pierwszej randce, a do tego nie jest to jeszcze nawet nasza pierwsza randka.

— Wiem — burknął Pete. — To były tylko hipotetyczne rozważania.

— Jeśli o mnie chodzi, nie. Naprawdę mam ochotę zrobić to, co powiedziałam — rzekła miękko głosem dziewczyna.

Zaprzagnął spotkać w męskiej toalecie Barneya, by zapytać go, jak powinien się teraz zachować. Barney zawsze umiał odpowiednio postąpić. Ta dziewczyna straszliwie go peszyła.

— A więc nazwijmy to naszą nocą — rzekł Pete wzburzony.

— Chyba masz rację. To był wspaniały wieczór. Cudownie się czułam, podobała mi się zwłaszcza nasza rozmowa. Uwielbiam rozmowy. Zobaczymy się jeszcze? — spytała śmiało.

— Bardzo bym chciał. Uważam cię za swoje przeznaczenie. Jak powiedziałem to jednemu prawnikowi w barze, roześmiał mi się w twarz. A czy ja jestem twoim przeznaczeniem?

— Nie byłabym wcale zaskoczona.

Opuścili restaurację trzymając się za ręce. W mieszkaniu Maddie ustalili, że spotkają się w piątek na kolacji. Przez całą drogę do domu, szczęśliwy jak nigdy przedtem, śpiewał ile sił w płucach. Namiętnie i z zapałem.

Dopiero gdy już niemal zasypiał, uświadomił sobie, że nie pocałował jej na dobranoc, a powinien był to zrobić. Przecież chciał. Dlaczego więc tego nie zrobił? Musiał wyczuć zapewne, że ta ekstrawagancko ubrana Cyganka z burzą włosów na pierwszej randce także się nie całuje.

* * *

Maddie Ster patrzyła na swoje odbicie w lustrze.

— Cholera, to też nie wygląda dobrze — mruzczała ubierając się. Stos ciuszków na łóżku stanowił dowód, jak ważna była dla niej ta trzecia randka z Pete'em Sorensonem. Adwokat. Tym razem, Maddie, naprawdę w to wkraczasz. Wielka sprawa. Fantastyczny facet, miło wyglądający, doskonale ubrany, świetna praca, bogaty. Może nawet superbogaty. Może nawet milioner.

Przypomniała sobie mężczyzn, z którymi umawiała się w ostatnim roku. Nie było ich tak znów wielu. Jeden z zaopatrzeniowców od męskiej odzieży, dekorator wystaw od Saksa, a także facet z niedoborami testosteronu. Nawet mili. Żadnych szaleństw. Żadnych pieniędzy. Byle jak ubrani. Bez kont w banku. Wszyscy chcieli wspólnie regulować rachunki za kolacje. Bez samochodów; komunikacja publiczna, z tym że autobusy zamiast taksówek.

— Boże, o ile łatwiej zakochać się w bogatym facecie. Nieźle, Maddie Stern. I wiesz co — zwróciła się do odbicia w lustrze — nigdy nie wrócisz do Bronxu. Nigdy przenigdy.

Znów grzebała w szafie w poszukiwaniu czegoś specjalnego na dzisiejsze spotkanie. Powinna była kupić sobie coś, którąś z tych zwalających z nóg rzeczy, jakie pokazują ilustrowane magazyny. Zawsze świetnie łączyła i dopasowywała, gdy była już zupełnie bez pieniędzy. Chyba na westernowo, mruknęła, ściągając z wieszaka szytą w kliny spódnice w kolorze rdzy. Miała do tego świetny pas. Szeroki, z ciężkiego srebra, z fragmentów kół ozdobionych topazami. Cudo.

Zamszowa kamizelka w kolorze starego złota była o dwa odcienie jaśniejsza od butów. Bluzka z szerokimi rękawami stonowana była indiańskim wzorem, do którego dobrana były przepaska na czoło. Zawiązała ją tak, by końce zwisały po bokach. Do tego lekko przycięta grzywka i srebrne koła w uszach. No i jest oszałamiająca kreacja.

Pete przyszedł punktualnie o siódmej. Maddie dała mu minutę, by mógł podziwiać jej strój, zanim wpadła w jego objęcia i schowała się w nich na chwilę. Uśmiechnęła się, gdy usłyszała, jak wciąga powietrze. Pocałował ją delikatnie, a potem uwolnił się z jej uścisku.

— Dość tego, bo inaczej długo stąd nie wyjdziemy.

— Czy byłoby tak źle? — zaśmiała się cicho. — Lubię spontaniczność. Należę do osób, których trzymają się szczęśliwe przypadki.

— A ja uwielbiam oczekiwanie. Wychodzimy — oświadczył stanowczo. — Mamy rezerwację. Wyglądasz olśniewająco.

— A ty jesteś przystojny. Kaszmir — westchnęła dotykając palcami materiału jego marynarki. Tego wieczoru miał na sobie finsheimy, których — jak powiedział — posiada osiem par; spodnie były tak dobrze uszyte, że z pewnością robiono je na zamówienie; biała koszula z przypinanymi rogami kołnierzyka miała na mankiecie jego inicjały. Zarówno spinki do mankietów jak zapinka do krawata były z wysokokaratowego złota. Znała się na złocie, na tkaninach i butach oraz na wszystkim tym, co ubiera człowieka. Pracowała przecież w Bloomingsdale. Wiedziała nawet, że jego pasek jest z krokodylowej skóry. Miał na sobie majątek.

W porównaniu z tym, jej własny strój wypadł zdecydowanie blado. W sobotę pojechała do Jersey do sklepu o nazwie Mickey Finn i obkupiła się za siedemdziesiąt dziewięć dolarów. Wszystko było dwa lub trzy razy przeceniane. Gdyby zapłaciła pełną cenę, jej ubranie łącznie z butami kosztowałoby pięćset siedemdziesiąt pięć.

— Jestem gotowa, panie adwokacie — powiedziała przerzucając przez ramię małą zamszową torebkę.

Mieszcząca się w wytwornej części miasta restauracja była jasno, nowocześnie oświetlona.

— Jak na razie najlepsze jedzenie w mieście — rzekł Pete, gdy zamówił już alkohol.

Drinki były wspaniałe, kolacja doskonała, deser wprost boski i napoje po kolacji cudowne. Przyszedł czas na rozmowę. Rozmowę, jaką każda para odbywa, gdy tylko się spotka, prowadzoną dla prawdziwego wzajemnego poznania się.

— Jestem zaskoczony, że nie wynajmujecie z Janny wspólnego mieszkania. Mogłybyście przecież zaoszczędzić w ten sposób sporo pieniędzy. A może nie wierzysz w oszczędzanie? — zapytał zaciekawiony.

— Omawialiśmy to na początku, ale obie jesteśmy osobami ceniącymi sobie intymność i nam obu potrzebna jest odrębna, własna przestrzeń. Jesteśmy zdolne i odpowiedzialne. Same doszliśmy do tego, co osiągnęliśmy. Domy dziecka to z człowiekiem robią — dorzuciła kwaśno. — Chwilami to, że jestem sama, sprawia, że czuję się bezbronna i od czasu do czasu samotna, ale dzwonię wtedy do Janny czy jakiejś innej przyjaciółki i przechodzi mi.

Ukończyłam college i zdobyłam dobrą pracę. Był okres, gdy miałam dwie posady i zajęte weekendy, gdyż chciałam zapracować na swoje stanowisko. Odpowiadając na twoje pytanie — tak, odkładam pieniądze. Niewiele, bo płacę wysoki czynsz, ale każdego tygodnia udaje mi się coś oszczędzić. Moim zdaniem, całkiem niezgorzej.

— A twoja rodzina? Masz jakieś ciotki, wujów, kuzynów?

— Absolutnie nikogo. Jesteś pewien, że chcesz tego wszystkiego wysłuchiwać? To niezbyt ciekawe.

— Maddie Stern, chcę się dowiedzieć wszystkiego o tobie — rzekł cicho Pete. — Ja też... ja też byłem w domach dziecka.

— Miałam trzy lata, jak umarła moja mama. Któregoś dnia tata przyszedł i powiedział, że mama jest chora, ale nim zdążył odwiedzić ją do szpitala, zmarła. Robił co mógł, by się mną zajmować. Przez jakiś czas zostawiał mnie u sąsiadów i znajomych, gdy pracował. Kolację jednak zawsze robił sam. Do dziś nienawidzę makaronu i sera. Poza kasza., galaretką i masłem orzechowym była to jedyna rzecz, którą umiał przygotować. Wieczorami zawsze mnie otulał, czytał mi, przy czym zmienia głos, by zilustrować występujące w historyjkach postacie. Czasami sam wymyślał różne opowiadania. Pamiętam te wszystkie śmiechy i chichoty z tatą — Czasami... kiedy bardzo się postaram, wydaje mi się, że czuję zapach jego wody po goleniu. Gdy całował mnie na dobranoc, zawsze wciągałam jej woń. Zawsze ścisnął mnie jak niedźwiedź.

Miałam chyba sześć lat, kiedy poznał Belle. Gdy ojciec był w pobliżu, udawała, że mnie kocha. Gdy go nie było, chodziłam spać brudna, po jednej kanapce na kolację. Zawsze nosiłam brudne skarpetki, a gdy miałam siedem lat, mieszkająca obok nas kobieta pokazała mi, jak mam pracować wieczorem majtki. Belle była... flądrowata i dziwacznie cuchnęła. Nie znosiłam być w jej pobliżu.

Ojciec zmarł, gdy miałam dwanaście lat. Tego samego roku Marty Kelly pocałował mnie w policzek. Po pogrzebie Belle spakowała moje rzeczy i powiedziała: „Mała, nie jestem twoją matką i myślę, że czas, byś się stąd wyniosła. Ludzie z opieki społecznej przyjdą i zabiorą cię. Możesz dzwonić do mnie czasami, tylko nie przyzwyczajaj się za bardzo”. Przebywałam jakiś czas w domu dziecka, a potem zabrało mnie małżeństwo.

Znosiłam swoją sytuację, bo poznałam Janny i razem spędzałyśmy każde lato.

Jak miałam szesnaście lat, byłam już na tyle sprytna, by zacząć zadawać pytania. Ojciec miał polisę ubezpieczeniową na sto tysięcy dolarów, ale Belle wszystko zabrała. Gdy zadzwoniłam do niej, powiedziała wprost: „Kiepska sprawa, mała, wszystko poszło”.

Pete wstał ze swego krzesła i Maddie znalazła się w jego objęciach. Pozostali goście spoglądali dyskretnie w inną stronę, gdy zaczął mówić do niej jęśliwie.

— Dopóki będę przy tobie, nie będziesz musiała się więcej o nic martwić. Zawsze będę się tobą opiekował. Przysięgam ci to, Maddie.

Tego właśnie pragnęła słuchać, potrzebne jej były te słowa. W tej jednej rozkosznej chwili pojęła, że jej przyszłość jest zabezpieczona.

— A teraz twoja kolej. Opowiedz mi o Peterze Sorensonie. Od dnia, kiedy się urodziłeś — zażądała z błyskiem w oczach.

Opowiadanie zajęło mu prawie godzinę.

— Czy czegoś nie pominąłeś? — zapytała kpiąco.

Czy pominął? Nie napomknął o Barneyu. Annie była jedyną osobą, której opowiedział o przyjacielu. Wspominał o nim Leo, ale nie wdawał się w szczegóły.

— Chcesz posłuchać o sprawach chłopaków?

— Naturalnie. Chcę poznać wszystko. — Uśmiechnęła się ciepło, uniosła brwi i otwarcie rzuciła mu lubieżne spojrzenie. Roześmiał się.

— Miałem przyjaciela imieniem Barney. Byliśmy najlepszymi kumplami. Starszy ode mnie o kilka lat, ale fajny. Traktował mnie właśnie jak dobrego kumpla i tylko to się liczyło. Miał fantastyczny domek na drzewie, gdzie się bawiliśmy. Uwielbiałem tego chłopaka. Jego mama też była świetna, ale wyszła za bubka, którego Barney nienawidził. Jego mama chyba bała się tego faceta, ale Barneya kochała tak samo, jak moja mama mnie.

W dniu, kiedy przybyły pracownicy opieki społecznej, by mnie zabrać, uciekłem na drzewo Barneya i schowałem się. Barney i ja zawarliśmy pakt, nawet nacięliśmy palce zardzewiałym scyzorykiem i powiedzieliśmy sobie, że jesteśmy braćmi krwi. Jeśli ktoś wiedział cokolwiek o zastrzykach przeciwtężcowych, to na pewno nie my. Nie doszło jakoś do zakażenia, więc chyba

nóż nie był aż tak zardzewiały. Tak czy inaczej, Barney przysiągł, że w dniu moich szesnastych urodzin przybędzie, by mnie zabrać. Jako starszy ode mnie byłby już samodzielny. Powiedział, że nigdy o mnie nie zapomni, gdyż jesteśmy braćmi krwi. Wierzyłem mu. Dzięki temu znosiłem jakoś wszystkie te domy opieki. Wiedziałem, że w dniu, gdy skończę szesnaście lat, Barney przyjedzie po mnie.

Maddie zatrzęsa się ze śmiechu.

— Pete, powiedz mi, że nie wierzyłeś temu chłopakowi. To najśmieszniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałam. Wiem, że miałeś tylko sześć lat, ale nawet wtedy człowiek coś już rozumie. A ty mu rzeczywiście uwierzyłeś! Czy trzymałeś kalendarz i odznaczałeś na nim dni i lata? Pete, czasami jesteś strasznie naiwny. — Roześmiała się znowu i zimny dźwięk sprawił, że włosy zjeżyły się Pete'owi na karku. — No i co stało się tego dnia, kiedy skończyłeś szesnaście lat, a on się nie pokazał? — spytała śmiejąc się znowu.

— Byłem załamany. Wierzyłem mu, bo chciałem wierzyć. Jestem przekonany — rzekł chłodno — że coś przeszkodziło mu w dotrzymaniu przyrzeczenia. I zawsze, aż do dnia, gdy go odnajdę, będę w to wierzył. Tamten dzień, tamto szczególne wydarzenie stanowiło... Nigdy go nie zapomnę. Przenigdy. Myślę, że powinienem cię odwiedzić do domu.

Maddie zamrugnęła i sięgnęła po jego rękę. Szarpnął ją do tyłu i nim zdążyła mrugnąć po raz drugi, poderwał się na równe nogi. Czują, jak bezpieczna przyszłość wyslizguje jej się z rąk. Pete zeszywniał. Sprawiał wrażenie kruchego. Strach przebiegł jej po plecach.

— Pete, poczekaj. Przepraszam. Wydaje mi się, że... Niewiele wiem o małych dzieciach, a szczególnie o chłopcach. Przepraszam, jeśli... Czy ja cię zraniłam? Słuchaj, szesnaście lat do doskonały wiek, by... Przepraszam cię, Pete. Naprawdę bardzo mi przykro.

— Mnie też.

Na twarzy Pete'a zastygł wyraz rozczarowania, gdy podrzucił ją do jej mieszkania. Przez całą drogę mówiła. Tłumaczyła się ze swego niezrozumienia, błagała go, by to pojął i wybaczył jej.

— Zadzwońisz do mnie? — spytała cicho, gdy odwracał się już, b; odejść.

— Nie wiem — odpowiedział uczciwie.

Nie zadzwonił i czuła się nieszczęśliwa. Zadzwoił do Annie, b porozmawiać po prostu o codziennych sprawach. Nawet jej nie udało s jednak poprawić nastroju Pete'a. Rozmawiał z Barneyem; całymi godzinami w odległym zakątku mieszkania, gdzie nikt nie mógł tego usłyszeć. W nieskończoność polerował deskę surfingową.

Zaciął się. Nigdy nie zadzwoni, bez względu na to, jak bardzo będzie go bolało. Barney tak cholernie dużo dla niego znaczył. Czy ona tego nie widziała? Czy nie potrafiła wyczuć tego z tonu jego głosu?

A potem zadzwoniła. Wiedział, że płacze, pewnie wylała całe wiadro łez.

— Pete, bardzo cię kocham. Jestem okropnie nieszczęśliwa. Czy możesz mi wybaczyć? Ja chyba po prostu nie zrozumiałam. Teraz jednak rozumiem. Proszę cię.

Wybaczył, bo ją kochał.

— Czy zadzwoniłbyś do mnie sam? Muszę to wiedzieć.

— Nie, Maddie, nie zadzwoniłbym.

— To dobrze, że jesteśmy wobec siebie uczciwi. Zniosę to, jeśli ty też to zniesiesz. Czy możesz przyjechać? Potrzebuję cię, Peterze Sorenson.

— I ja cię potrzebuję, Maddie Stern. Będę za piętnaście minut. Odłożył słuchawkę i odwrócił się do starego przyjaciela.

— I co myślisz, Barney? Trzeba być kimś, by zmienić zdanie. Nie skrzywiłem się, chociaż bardzo bolało.

* * *

— Och, fantastycznie się czuję, Peterze Sorenson.

Maddie przeciągnęła się, wygięła plecy i jednocześnie wcisnęła kolano w pachwinę Peta'a. Roześmiała się, gdy jęknął. Czuła jego podniecenie. Już dwukrotnie się kochali. W chwilę później była już na nim i ciemne włosy opadły kaskadą na jej twarz i zakryły ciężkie piersi.

— Któregoś dnia zamordujesz mnie — jęknął czując, jak się w nią wślizguje, a jego palce szukają ciemnych brodawek pod powodnią włosów.

Maddie wstrzymała dzikie wirowanie na nim na tyle, by wciągnąć powietrze i przeklinać jego powolność, własną wilgoć i jego twardość. Odrzuciła głowę i rozburzone włosy znalazły się na jej plecach. Czuła przesuwające się uda Pete'a i jego palce na swoich sutkach. A potem w mgnieniu oka znalazła się pod nim. Prowadziła go rękami, znów przeklinając jego powolność i domagając się zaspokojenia.

— Teraz — syknęła dysząc chrapliwie.

— Nie, nie, nie — wyszeptał. — Teraz tak jak ja chcę. Chcę się z tobą kochać. — Jego usta opadły na jej wargi. — Jesteś nektarem, a ja pszczołą — mruzczał, gdy ich języki obejmowały się nawzajem.

Poruszał obiema rękami. Jedna przesuwiała się po jej twardym, płaskim brzuchu, druga wyszukiwała sobie drogę przez ciemne pukle. Maddie przesuwiała się na łóżku, prowokując go do poszukiwań, i odnalazł wreszcie miękkie fałdki jej najtajniejszego miejsca i pieszcząc ręką kobiecą wilgoć. Mruzczała coś, czego nie mógł dosłyszeć, on zaś szeptał słowa których od zarania dziejów używają kochankowie.

Obwąchiwał jej szyję, wdychając jednocześnie lekką woń, która pozostała na gładkiej skórze. Wypalał ślad od szyi dziewczyny do jej nagiej piersi, a ona drżała w rozkosznym oczekiwaniu. Wszystko odpływało, ani oni, ani nic poza tą chwilą i miejscem nie istniało. Rzeczywista była tylko reakcja ich ciał. Rozkosz promieniowała do góry z jakiegoś ukrytego, niewyczerpanego źródła, a on pozwalał, by go unosiła, niezdolny powstrzymać rwącego naprzód naporu własnego pożądania, wprowadzającego przestrzeń i czas w burzliwe wody, jakie tworzył swą miłością.

Chciwe ręce przyciągały go coraz bliżej, aż wreszcie stali się niemal jednością, bliższą od niejednej tajemnicy. Palce dziewczyny przesuwwały się po nim i Pete'a przepełniało poczucie własnej mocy. Unosiła go radość namiętności, jaką w niej wywoływał. Była piękna z wilgotnymi, zaczerwienionymi od pocałunków, rozwartymi uwodzicielsko wargami. Omdlałe spojrzenie spod ciężkich powiek, dające do zrozumienia całą głębię jej pożądania, podniecało go tak, że niemal trudno mu było to znieść. Był jej spragniony; chciał rozpiąć dziewczynę pod sobą i zatopić się w jej gorejącej głębi, poczuć, jak sam staje się jej częścią. Każde wygięcie ciała Maddie mówiło do niego — krągłość piersi z ciemno-różowymi czubkami; wąskie łuki bioder zwężające się w długie, szczupłe nogi; jedwabista skóra połyskująca lekko blaskiem pożądania. Brał ją niespiesznie, smakując każdy centymetr jej ciała, tak jak marzył od chwili, gdy zobaczył dziewczynę po raz pierwszy. Brał ją rozkoszując się ich wspólną rozkoszą.

Gdy przesunął się, by przykryć ją swoim ciałem, zaprotestowała.

— Nie, teraz ja — wyszeptała, po czym przetoczyła się i miał ją na sobie. Gdy pochylała się nad nim, chmura ciemnych włosów rozsypała się wokół jej twarzy, muskając jego ramiona i łaskocząc w pierś. Gładziła ją i przecierała ścieżkę przez ciemne kręcone włosy, badała gładkie rejony i przesuwiała dłoń na płaską twardość jego brzucha. Słyszał własny ciężki oddech, gdy jej ręka wędrowała niebezpiecznie na sam dół, by potem powędrować znów w górę, na pierś. Pragnął przyklasnąć jej śmiałości, a mimo to omal się nie roześmiał, gdy zobaczył dziko rozszerzone oczy.

W chwili, która wystarczyła na jedno uderzenie serca, była już skulona między jego nogami; mruczała pracując językiem.

Gdy podniósł jej głowę i spojrzała na niego, oczy miała zmętniałe z pożądania. Przypominała kota, który właśnie odkrył garnek śmietanki; lekki uśmiech, którym go obdarzyła, przepełniało kocie samozadowolenie. I rzeczywiście jest kotem, pomyślał. Lśniącym, gładkim i cichym niczym zwierzę z dżungli; czarna pantera, która właśnie zakończyła pogoń, a teraz rozkoszuje się czekając ją uczta. Dotknęła go znowu gładkim językiem. Teraz przyglądała mu się, rejestrując każdy odruch, rozkoszując się jego twardością i odczuwając, jak pulsuje w przewidywaniu pieszczoty. Gdy zamknęła usta na jego męskości, z głębi piersi Pete'a wydobyło się urywane westchnienie. Nie mógł dłużej wytrzymać zmysłowego, zacieklego ataku. Wyciągnął ręce i przyciągnął dziewczynę do siebie. Tym razem to on zajął dominującą pozycję. Tylko wzięcie Maddie i rozładowanie się w niej mogło go zadowolić.

Złote ciepło przepłynęło przez ciało dziewczyny, gdy znów przywarł ustami do jej warg. Wykonywał powolne ruchy, przesuwając się od jednej piersi do drugiej i obejmując jedną ręką, a drugą ustami. Przywarła do jego szerokich ramion i trzymała mocno, jakby w obawie, że się zapadnie i nigdy już nie odnajdzie.

Ręce mężczyzny objęły Maddie w talii i przesunęły się wokół pośladków, podnosząc ją lekko nad łóżkiem. Dręczące, drażniące poszukiwania jego języka sprawiły, że dygotała w najwyższym podnieceniu. Ponownie pełne zachłanności palce dziewczyny chwyciły kurczowo i ciągnęły jego ciemne, rozwichrzone włosy, jakby w błaganiu, by przestał, podczas gdy całe jej ciało wygięło się ku niemu, gorączkowo odstawiając się przed drażniącymi wargami. Odszukał najtajniejsze miejsca jej ciała, spychając ją nad granicę uwolnienia po to jedynie, by modlitewnym pocałunkiem przejść na inną ścieżkę, a potem powrócić na tę pierwszą.

Otchłań bólu otworzyła się w Maddie i domagając się zaspokojenia, usadowiła w jej trzewiach, zmuszając dziewczynę do poszukiwania ulgi w nieustannym skręcaniu i miotaniu całego ciała. Pete utrzymywał ją tak, przyciskając do siebie, pieszcząc rękami i wargami, aż nie była w stanie dłużej zapierać się siebie. Ciało jej płonęło, plecy wygięły się w łuk. Świat podzielił się na dwie części — jej pożądanie i jego wargi. A gdy drżenie ustąpiło i usta mężczyzny znalazły się znów na jej wargach, poczuła samą siebie. Była zadowolona, choć wciąż nie zaspokojona; to była uczta, choć wciąż czuła się głodna. Pragnęła więcej, znacznie więcej. Pragnęła dzielić z nim rozładowanie jego rozkoszy. Pragnęła uczestniczyć w doprowadzeniu go do tego cudu.

Ponaglał ją, dając do zrozumienia, że jest gotów. Chwycił jej biodra, uniósł i oplótł się jej rozłożonymi udami. Prowadziła go w siebie, pociągając do przodu i wiodąc w dół, czując w nim to samo pragnienie, pożądanie o odmiennym, chłodniejszym zabarwieniu niż przedtem. Zupełnie jakby po zaspokojeniu głodu mógł teraz radować się smakiem. Poruszając się razem z nim i stając się jego częścią, Maddie zasilala namiętność mężczyzny i odnawiała własną. Unosili się razem w górę; razem odkrywali słońce, księżyc i gwiazdy.

Czuł potrzebę snu, chciał snu i łaknął go, ale Maddie zeskoczyła z łóżka.

— Rusz się, Sorenson — powiedziała z rękami wspartymi na biodrach. — Musimy wziąć prysznic i przygotować jedzenie.

Zamrugał. Nie miał zamiaru tego powiedzieć, bo tylko głupiec wyraziłby coś podobnego, ale zrobił to jednak.

— Czy było ci tak dobrze jak mnie?

— Lepiej — odrzekła posyłając mu na dłoni pocałunek.

* * *

— Zakochałem się w tobie — powiedział w czasie ich ósmego spotkania. — Czy wyjdiesz za mnie?

Było to w Central Parku, a oni właśnie biegali. Maddie zatrzymała się.

— Myślałam, że nigdy o to nie zapytasz. Tak, tak, tak. Na końcu trzymilowej trasy wpadła w jego objęcia.

— To najpiękniejszy dzień mojego życia.

— Dla mnie też — rzekł Pete szorstko.

— Czy będziemy mieć prawdziwe wesele, no wiesz, kościół, suknia, druhnny i cały ten kram? Nie wydaje mi się, by stać mnie było na rozrzutność. Coś skromnego chyba wystarczy. Przekąska albo śniadanie. Czy niewielki poczęstunek będzie dla ciebie krępujący? Nie znaczy to, że będzie... byle jaki, tylko po prostu niewielki. Smaczny. Boże, zawsze pragnęłam takiego hucznego wesela, wiesz, o co chodzi. Zdjęcia, wspaniała kolacja, kościół, świetne toalety. Subtelne kwiaty — orchidee. W kościele. Mnóstwo balonów. — Skrzywiła się demonstrując, jak daleko odeszła od marzeń o kościelnym ślubie.

— Maddie, cokolwiek zechcesz. A o pieniądze się nie martw. Urządźaj wszystko, jak chcesz, i wydaj tyle, ile musisz. Tylko jeden raz będziemy brać ślub, więc niech będzie jak należy. Kiedy chciałabyś dostać listę moich gości?

Wydać tyle, ile trzeba, pomyślała. Dobry Boże! Wiedziała, że bez specjalnych starań mogłaby przepuścić fortunę. Powiedział, żeby nie martwiła się o pieniądze. No to nie będzie się martwić.

— Jak tylko ją przygotujesz. Ja mam tylko kilkanaście osób, a ty?

— Dwadzieścia, to wszystko. Na czele listy oczywiście Annie.

— Aha — mruknęła Maddie.

— Aha. Maddie, co ma oznaczać to „aha”?

— Znaczą — zaczęła ostrożnie — że jestem chyba o Annie Gabriel zazdrosna. Cały czas mówisz o niej, jakby była... jakąś świętością, jakimś wzorem doskonałości czy czymś w tym rodzaju.

— Nie jest świętością, jest jednak osobą wyjątkową. Tak wyjątkową, że nie mogę nawet pomyśleć o ożenieniu się, jeśli ona tu nie przyjedzie. Gdy ją poznasz, zrozumiesz, o czym mówię.

Pomyślał, że na pewno nie ma zamiaru rozwodzić się nad stosunkiem Maddie do Annie. Maddie jej nie zna i z istoty rzeczy nie chce jej także poznać.

— Czy masz zamiar utrzymywać przyjaźń z nią i po naszym ślubie?

— Nie myślałem nad tym specjalnie, Maddie. To jest przyjaźń na zawsze, taka jak twoja z Janny. Czy to ma stać się problemem?

— Nie wiem, Pete. A czy jest?

— Myślę — odparł ostrożnie — że tylko wtedy będzie, jeśli zrobisz z tego problem.

— Gdybym ci powiedziała, że chcę, byś zerwał tę przyjaźń, zrobiłbyś to? Nie mówię, że kiedykolwiek cię o to poproszę, ale zrobiłbyś?

Zamiast odpowiedzi, Pete zadał swoje pytanie.

— A gdybym ja cię poprosił, byś zerwała z Janny, zrobiłabyś to? Nie mówię, że poprosiłbym cię kiedykolwiek o to, ale czy zrobiłabyś to?

— Tak, ale z okropnymi wątpliwościami. A ty?

— Nie. Myślę, że to będzie problem.

— Mógłby być — powiedziała Maddie z namysłem. — Wiem, że wśród mężczyzn w dobrym stylu jest mieć kobietę przyjaciółkę, i vice versa, ale jakaś część mojej osoby, ta egoistyczna, chce mieć ciebie całego dla siebie. Zbyt wiele was łączy. A powinno łączyć nas.

— Maddie, znam Annie prawie dwanaście lat. Nigdy nie odwrócę się od niej. Przeprowadziła mnie przez studia prawnicze. Jestem jej dłużnikiem. Bardzo dużo jej zawdzięczam.

— A kiedy zażąda zwrotu?

— O czym ty mówisz?

— Zawsze jest jakaś cena. Kiedy wypada jej płatność?

— To głupie, Maddie. Annie nie jest taka. To dobra, ciepła, szczodra, pozbawiona egoizmu przyjaciółka. Przez wszystkie lata naszej znajomości zawsze stawiała moje sprawy na pierwszym miejscu.

— Tak to właśnie wygląda, kiedy ktoś jest zakochany.

Pete wciągnął powietrze. Zalany słońcem park i cudowny moment pociemniały nagle i stały się ponure.

— Więc dlaczego ty tego nie robisz? — spytał cicho.

— Jak mam to rozumieć? — spytała Maddie lodowaciejącym tonem.

— Chodzi o to... Annie zawsze mówi... że jeśli się kogoś kocha, najważniejsze jest dla nas jego szczęście. I tak się składa, że ja się z tym zgadzam. Wiesz, że dla mnie ważna jest przyjaźń z Annie. Powinnaś to zaakceptować, a mnie się wydaje, że oczekujesz ode mnie deklaracji rezygnacji z tej przyjaźni. Nie zrobię tego, Maddie.

— Nawet jeśli powiem, że to dla mnie ważne?

— To nie ma związku z tobą. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy prosić cię, byś zrezygnowała z czegoś, co powstało, zanim się spotkaliśmy. Miałem nieszczęśliwe dzieciństwo. Przyjaciele są dla mnie bardzo ważni, ponieważ niełatwo nawiązuję przyjaźnie i gdy już do tego dochodzi, jest to przyjaźń na całe życie.

Maddie roześmiała się. Pamiętał ten wibrujący śmiech. Słyszał go, gdy opowiedział jej o Barneyu.

— Ja tylko pana sprawdzam, panie Sorenson. Przecież nigdy nie poproszę cię, byś zrezygnował z przyjaźni. Ty i ja jesteśmy szczególną parą. Wiemy, co to przyjaźń.

Uśmiechnęła się i pocałowała go lekko w usta. Jednak w jej oczach nie było uśmiechu. Zaburczało mu w brzuchu. Pomyślał skonsternowany o gazach i o trzech zjedzonych hot dogach.

Wracali do mieszkania Pete'a, liżąc po drodze różki z lodami. Zła chwila była za nimi, ale w pamięci pozostała.

— Mam pomysł — odezwała się Maddie. — Weźmy razem prysznic. Ty namydlisz mnie, a ja ciebie.

— I? — nagabnął Pete.

— A potem będę cię tak oblizywać, jak oblizuję teraz lody.

— Obiecanki cacanki — uśmiechnął się szeroko.

— Ależ tak, ścigajmy się do domu.

Lody chlapnęły na gorący chodnik. Mocno zdyszani skręcali za róg domu, gdzie mieszkał Pete. Portier ogłosił ich zwycięzcami w pojedynku.

Gdy wyskoczyli wreszcie nadzy spod prysznica, trawił ich ogień przypominający rozszalały, nieopanowany pożar leśnego poszycia. Byli dzikimi zwierzętami schwytanymi w pułapkę gorąca i płomieni, które może ugasić jedynie fizyczne rozładowanie.

Potem Pete jęknął, wzbudzając zachwyt Maddie. Wtuliła się w zgięcie jego ramienia.

— Pete, jak myślisz, czy zawsze będziemy się kochali tak dziko i cudownie, nawet kiedy się zestarzejemy? — wyszeptowała.

— Na pewno — odrzekł wpół drzemiąc.

— Przyrzeknij — wyszeptała znowu.

Otworzył gwałtownie oczy. Z nią wszystko musiało stanowić przyrzeczenie. „Przyrzekam”, potwierdził myśląc o Barneyu i jego przyrzeczeniu.

— Dobrze.

W chwilę później już spała, posapując lekko z ustami wtulonymi w jego rękę. Zamknął oczy, starając się zasnąć.

Zawsze tak się kochali — dziko i namiętnie. Ciekawe, jakby to było, gdyby kochali się godzinami, powolną, niespieszną miłością. Czy to jego wina, czy Maddie? A może ich obopólna, gdyż chcieli natychmiastowego zaspokojenia?

* * *

Gdy się zbudzili, słońce już zachodziło.

Pete przrzucił nogi przez łóżko. W ciągu miesiąca wspólnego życia weszli w pewnego rodzaju rutynę. Zawsze po rundce joggingu kochali się, brali prysznic, a potem on przyrządzał dla nich posiłek. Jeśli nie czuli się zbyt pełni, oglądali telewizję lub nastawiali sobie jakiś film, a potem kochali się znowu. Był to niemal zwyczaj, a jeśli nie zwyczaj, to ustalona forma. Często zastanawiał się, czy nie jest to w istocie to samo.

Kochał Maddie naprawdę. Cudowna była ta przynależność uczuciowa do kogoś. Potem pomyślał o Barneyu, gdyż zawsze o nim myślał. Barney stanowił część porządku dnia. Pragnął porozmawiać o nim z Maddie, nie chciał jednak usłyszeć znowu tego obcego śmiechu.

— A więc — spytała od drzwi łazienki — jakie kulinarne wspaniałości przygotowujesz dla nas dzisiaj?

Niewiele brakowało, a powiedziała by coś nieprzyjemnego. Co się z nim dzieje?

— Co powiesz na moje wspaniałe chili, tak palące, że trzeba trzymać na stole gaśnicę? — spytał z wymuszoną wesołością.

— Chyba będzie smaczniejsze od mojego ragout z kluskami. Jak się pobierzemy, pójdę na kurs gotowania. Wieczorowy. Nie mogę pozwolić, abyś to ty zajmował się całym gotowaniem. Jak by to wyglądało?

— Jakbyś nie umiała gotować — odpowiedział szybko ruszając do łazienki, by wziąć drugi prysznic.

— Zmienię teraz pościel. Wiem, że lubisz spać w świeżej i czystej. Łóżko — zachichotała — wygląda, jakby grzebało w nim stado kur. Chcesz, żebym potem obrała cebulę i oczyściła paprykę?

— Kiedy weźmiesz prysznic.

— O tym właśnie mówiłam. Uwielbiam pracować z tobą w kuchni. Wszystko to takie domowe i... bardzo mi tego brak. Czy coś się stało? Jakoś tak przycichłeś. Czy to z powodu naszej rozmowy o twojej przyjaciółce?

— Moja przyjaciółka ma imię. Rzeczywiście, wciąż mnie to trochę gnębi.

— Jesteś bardzo uczciwy i podoba mi się to. Pete, przysięgam, że nigdy nie stanę na drodze twojej przyjaźni. Nie znoszę zazdrości, ale rzeczywiście jestem zazdrosna. Muszę to przezwyciężyć i będę nad tym pracować. Przyrzekam.

— To mi wystarczy. Zapewniam cię, że pokochasz Annie. Nie zdziwiłbym się, gdybyście się stały najlepszymi przyjaciółkami. Czy nie byłoby wspaniale, gdybym odnalazł Barneya? Gdyby mi się to udało, moje życie stałoby się doskonałe.

— Życie bywa zabawne. Może się zdarzyć, że któregoś dnia wpadniesz na niego, idąc Madison Avenue. Dziwniejsze rzeczy się zdarzają — powiedziała, rozdzierając szeroko poszewkę. Pierze uniosło się do góry. — Powinieneś kupić z gąbki.

— Weź moją kartę z Bloomingsdale i zamów. Lepiej nawet, żebyś wzięła na swój rabat — rzucił przez ramię.

Przyglądała mu się całą minutę, nim ściągnęła drugą poszewkę. Jakbym miała czas na kupowanie poduszek, pomyślała. Może jej sekretarka będzie mogła się tym zająć. Zrobi wszystko, co trzeba, by wywołać uśmiech na twarzy Pete'a. Ukryła twarz w poduszce. „Mam nadzieję — mruknęła — że nigdy tego Barneya nie znajdzie. Już z tą Annie, jak jej tam, trudno będzie sobie poradzić. Jeszcze ten Barney i wszystko stałoby się jeszcze trudniejsze”. Łzy zapiekły ją pod powiekami. Tak chciała, by pragnął i potrzebował tylko jej. Skoro ona nikogo innego nie potrzebuje, dlaczego on tak nie może?

— Twoja kolej — zawołał z łazienki.

Pete był już w kuchni i rumienił mrożone mięso, gdy do niego przyszła. Kilkutygodniowa praktyka sprawiła, że miała przygotowaną deseczkę do krojenia, ostry nóż i warzywa.

— Paprykę już umyłem — rzekł. Skinęła głową. Wrzucała po prostu warzywa do lodówki lub całą plastikową torbę wsypywała do kosza na jarzyny. W ten sposób, gdy się psuły, wyciągała je tylko razem z torbą.

— Mamy deser?

— Tak, mrożone ciasto. Na pudełku jest „Belgijskie Jabłko”. Wygląda na to, że na wierzchu ma dużo syropu i pokruszonych orzechów. Z bitą śmietaną będzie wspaniałe.

— To po prostu rozpusta. Przesuń się, wstawię je do piekarnika. Gdy czekali, aż kolacja będzie gotowa, Maddie siedziała na stercie poduszek na podłodze. Z trudem tłumiała irytację. Cholera, Pete zawsze robi takie przedstawienie z poszukiwania taśmy. Jest tylko jedna, zawsze ją oglądają i leży dokładnie na górze całego stosu. On z tego uczynił wręcz jakiś rytuał. I rzeczywiście stało się to rytuałem — szukanie taśmy, spoglądanie na Maddie, głośne obcałowywanie jej rąk w rozradowaniu, że po raz setny, a może nawet dwusetny, będą oglądać tę głupią taśmę. Znała dialogi na pamięć, pamiętała kolejność wszystkich scen. Kto przy zdrowych zmysłach ogląda *Inwazję porywaczy ciał*?

Omam nie krzyknęła, gdy spytał, czy będą oglądać oryginał, czy remake.

— Tę z Donaldem Sutherlandem.

Nie była w stanie zapamiętać, jaka to wersja, przy czym miała to głęboko w nosie. Dlaczego nie mogą raz bodaj obejrzeć czegoś lekkiego, rozrywkowego? Ponieważ, powiedziała sobie, udajesz, że to ci się podoba, by go do siebie przekonać, a teraz utknęłaś. Ugrzęzłaś również udając, że lubisz Boba Marleya. Za późno już na martwienie się tym.

Wiedziała co do minuty, ile trwa film, ile czasu trzeba, by chili było gotowe, jak długo musi się piec ciasto.

W chwili gdy skończyła się czołówka, Maddie przywarła do Pete'a i zapiszczała w tym samym momencie co on. Pete zaśmiał się zachwycony. Rytuał.

— Boże, uwielbiam ten film.

— Wiem — odparła z wymuszonym śmiechem.

Gdy film się skończył, Pete przewinął taśmę i odłożył do szafki z wideo.

— Sprawdźmy, co z naszym jedzeniem.

W drodze do kuchni wcisnął taśmę Boba Marleya. Uśmiechnęła się, gdy zaczął śpiewać z piosenkarzem.

— Dlaczego my to jemy? — wydyszała Maddie wyciągając rękę po wysoką szklankę z mlekiem, które miało ukoić ból palącego języka.

— Bo jest dobre — rzekł Pete, pociągając ze swojej szklanki. — Przecież jest dobre, prawda? — spytał nie przerywając jedzenia ostrego chili.

— Jutro ci powiem, jeśli przestaną mnie palić wewnątrz. Uwielbiam to — dodała ocierając zażawione oczy. Rzeczywiście bardzo lubiła tę potrawę, jednak następstwa dawały się odczuć przez kilka dni.

Na kawę i ciasto przeszli do salonu, gdzie obejrzeni wieczorny film.

— To był wspaniały dzień — odezwała się Maddie o jedenastej, gdy przyszła pora na spoczynek. — Chyba najwspanialszy dzień w moim życiu. Nie mogę się doczekać, kiedy zostanie panią Sorenson. Czy masz świadomość, że w ogóle o tym nie mówimy?

Ma się rozumieć, że doskonale o tym wiedział. Cały wieczór czekał, że Maddie coś na ten temat powie. Że przyniesie kalendarz i określi datę.

— Myślałem, że może chcesz to przemyśleć, omówić z Janny czy coś w tym rodzaju, a potem my zasiądziemy i ustalimy szczegóły.

— Kiedy masz zamiar powiedzieć Annie? — spytała strzepując poduszki.

— Może wybiorę się w przyszłym tygodniu albo pod koniec tego, jeśli będę mógł znaleźć jakąś wolną chwilę w moim rozkładzie. To nie jest coś, o czym mógłbym opowiadać przez telefon. Chcę, aby widziała, jaki jestem szczęśliwy. To dla niej będzie ważne.

— Dobranoc, Pete — powiedziała Maddie całując go w policzek. — Kocham cię i dziękuję ci za ten wspaniały dzień. Zachowam go w pamięci na zawsze.

Pete pograżał się w sen ze świadomością, że tak jak Maddie, do końca swoich dni pamiętać będzie o tym dniu.

Maddie długo nie mogła zasnąć. Walczyła z myślą, by wstać, iść do kuchni i wziąć coś na zagę, ale nie ruszała się. Gdyby wstała, mogłaby zaciągnąć zasłony, gdyby to jednak zrobiła, musiałyby potem wstać wcześniej i rozsunąć je, by Pete widział, że słońce weszło. Miała chęć zająć się zasłonami, ale tak samo jak z filmem, z chili i z Bobem Marleyem, bała się, że rozkołysze niebezpiecznie swą własną małą łódź ratunkową.

Potem, tak jak wiele razy w ciągu ostatnich miesięcy, pomyślała, że jest nieuczciwa wobec Pete'a. Udaje, że lubi i zachwyca się tymi samymi rzeczami. Chciała, by wierzył, że tak wiele mają ze sobą wspólnego. Prawda wyglądała jednak inaczej; w istocie nie łączyło ich nic. Dzisiejszy seks wyraźnie to udowodnił.

A jednak kocha Pete'a i naprawdę chce za niego wyjść. Jak do tej pory udawało jej się uniknąć rozmowy o dzieciach. Nie chciała mieć dzieci. Nie żeby ich nie lubiła. Lubiła dzieci, ale nie chciała być uwiązana, nie miała chęci na dziewięć miesięcy chodzenia z pęczniącym brzuchem, nie chciała, by nazywano ją mamusią. Dzieci są dla innych. Ona po prostu nie stanowi materiału na matkę, podczas gdy Pete to prawdziwy kandydat na rodzica. Jeśli w jakikolwiek sposób czuła się winna w stosunku do Pete'a, to właśnie w związku z tym. Pete pragnął mieć dużo dzieci. Chciał grać z nimi w piłkę, jeździć na wycieczki, uczyć je pływać, chodzić na wszystkie ich szkolne przedstawienia i być dla nich absolutnym kumplem i tata. Gdyby w tym nie uczestniczyła, zostałaby sama, i wszystko to jej się nie podobało.

Kocha go, naprawdę go kocha. Jest taki wspaniały, taki dobry, taki czuły. Zresztą dlaczego by nie? Jeśli ma się takie pieniądze, jakimi dysponuje on, bardzo łatwo być dobrym, szczodrym i opiekuńczym, bo człowiek nie musi się martwić o środki materialne. Były momenty, gdy myślała, że kilkakrotnie już stał się milionerem. Próbowwała podejść go, by jej powiedział, ale zamykał się i mówił tylko, że nigdy nie będzie się musiała o nic troszczyć. Zaopatrywał ją szczerze i upewniał tylko w przekonaniu, iż ma więcej pieniędzy, niż jest w stanie wydać.

Pamiętała, jak po raz pierwszy zatrzymała na nim wzrok w Swoozies. Patrzyła na garnitur, jego krój i to, jak leżał na Peterze, i próbowała wyobrazić sobie, ile musiał kosztować. Miała

absolutną pewność, że nie było to ubranie ze sklepowego wieszaka. Teraz wiedziała już, że jego garnitury były szyte w Hongkongu i kosztowały mniej, niż sądziła. Miał także ubrania angielskie, robione na zamówienie, tak samo jak buty. Ona nie miała niczego szytego na zamówienie. Niedługo to się zmieni.

Uśmiechnęła się w ciemności. A Pete uznał, że ich kontakt wzrokowy był przeznaczeniem lub czymś równie staroświeckim. Musi coś zrobić z tą zgagą. Może powinna schować chili Pete'a. Gdyby nie jadła tego więcej, nie męczyłaby się tak.

W kuchni wrzuciła dwie tabletki alka-seltzer do szklanki i stała czekając, aż woda przestanie musować. Wypiła, odbiło jej się raz i drugi. Wychyliła drugą szklankę wody i czekała, kiedy lekarstwo zacznie działać.

Może powinna położyć się na kanapie. Gdy zostawała tu na noc, nigdy nie udawało jej się wypocząć. Pete rozpierał się na całym łóżku z rozrzuconymi nogami i na wszystkie strony wymachiwał rękami. A gdy tego nie robił, chrapał tak głośno, że brzęczały żaluzje. Po ślubie zaproponuje mu podwójne łóżko. Ciemne kręgi wokół oczu i rozdrażnienie przekonają go, że im obojgu potrzebny jest odpoczynek. Wsunie się do łóżka przed świtem. Dzięki Bogu, Pete ma bardzo mocny sen.

Kocha go, naprawdę go kocha.

8

Pogwizdywał radośnie, wycierając głowę ręcznikiem. Dzień miał być jednym z tych niezapomnianych. Gdyby miał coś do zrobienia.

Zasypiając obmyślał plan dnia dla Maddie. Podniecony sięgnął po leżący obok łóżka blok, by sporządzić spis. A był imponujący. Obudzić Maddie i pokazać jej wschód słońca. Wodę i słońce jednocześnie. W głębi duszy był przekonany, że nigdy nie widziała, jak słońce wstaje. Potem długi spacer, śniadanie w Regency, skąd udadzą się do hotelu Plaża, by poczynić ustalenia dotyczące uroczystości weselnych. Stamtąd do Bergdorfa po suknię ślubną dla Maddie. Lunch w Lutece. Znow spacer. Potem Central Park, gdzie leżąc na puszystym żółtym pledzie pod jakimś drzewem będą się pieścić i rozmawiać o wszystkim w promieniach słońca. O posiadaniu dzieci, o zwierzętach, o domu ich marzeń, o jedzeniu, ubraniu, interesach i o college'ach do jakich poślą dzieci. O emeryturze. O tym, jakie fotele bujane postawią na ganku dla nich obojga — plecione czy dębowe. O planach podróży na emeryturze. Rozpoczną oczywiście od podróży dookoła świata.

Był przepełniony miłością, którą musiał wypowiedzieć, a dzielenie się z Maddie stanowiło marzenie jego życia.

— No więc, powiedz mi, Barney, co o tym myślisz. Jak bym chciał, żebyś tu był. Chciałbym usłyszeć, co o niej sądzisz. Nigdy dotąd nie byłem zakochany. To przerażające uczucie. Są takie dni, kiedy nic nie robię, tylko o niej myślę. Czasami nie mogę jeść ani spać. Czasem mam w żołądku nieprzyjemne uczucie, tak samo okropne jak wtedy, gdy mnie zabierali. Jedyną rzeczą, która mnie wówczas trzymała, była świadomość, że będziesz się mną opiekował, że będziemy kumplami do końca życia. Jakiś psychiatra z przyjemnością zajrzałby pewnie do mojej głowy, gdybym mu tylko powiedział, że z tobą rozmawiam. Nie jestem pomyłeńcem. Chcę tylko do kogoś należeć. Chcę bez względu na okoliczności móc na kogoś liczyć. Tak jak liczyłem na ciebie i w taki sposób, jak liczyłem na... Annie. Rozmowy z tobą dodają mi otuchy tak samo jak rozmowy z nią.

Muszę pomówić z Maddie na temat Annie. Nie rozumie, jak jesteśmy sobie bliscy. Nie rozumie też mojego stosunku do ciebie. Nie jestem pewien, czy powinienem stosować tu jakiś nacisk. Mógłbym skorzystać z czyjejś porady, ale skoro cię tu nie ma, myślę, że dam sobie spokój.

Muszę ci coś powiedzieć. Wiesz, co mnie najbardziej boli? To, że nie ma cię tu i że nie będziesz moim przyjacielem. Nie wiem, co bym za to dał, żebyś tylko tu był. Naprawdę. Nigdy nie udało mi się zdobyć prawdziwego przyjaciela. Znam z setkę facetów, których mogę poprosić, by stanęli w mojej obronie, ale to nie to samo. No, czas kończyć, jeśli chcę podnieść Maddie i udać się na FDR Drive na oglądanie wschodu słońca.

— No to cześć, Barney — rzekł, szybko salutując.

No i co z tego, że rozmawia z niewidoczną osobą? Człowiek robi to, co musi, by sprawy jakoś szły, a jemu sprawia przyjemność pogawędka ze starym przyjacielem. Zauważył jednak pewną zmianę. Przedtem rozmawiał zawsze, gdy przeżywał stresy, teraz konwersacje odbywały się w dowolnych momentach.

W dwadzieścia minut później wchodził już do mieszkania Maddie, gdzie udał się prosto do sypialni. Przez minutę patrzył na śpiącą kobietę. Wkrótce zostanie jego żoną. Była piękna z włosami rozrzuconymi na poduszce. Jaka delikatna i bezbronna jest we śnie. Kocha mnie,

pomyślał. Chce za mnie wyjść. Chce do mnie należeć w taki sam sposób, w jaki ja chcę należeć do niej. Chce się starzeć razem ze mną. Para, związek. My.

Poklepał ją po plecach.

— Obudź się, śpioszku. Cały dzień dla Maddie mam zaplanowany. Daję ci piętnaście minut na ubranie się.

— Och, Pete, zostaw mnie — mruknęła zaspana podnosząc rękę.

— Nie, wstawaj, dzisiaj będziemy załatwiać różne sprawy. Nasze sprawy. Twoje i moje. No, Maddie, wstawaj i ruszamy. Idziemy robić zakupy! — dodał, gdy nie wykonała żadnego ruchu.

— Co będziemy kupować? — spytała spuszczać nogi z łóżka.

— Największy brylant, jaki mają u Tiffany'ego. Ruszaj się, Maddie. Masz trzy minuty na prysznic. Na makijaż nie ma czasu. Nie umalowana jesteś wystarczająco piękna. Czas nie czeka, kochanie.

Chrupiąc obwarzanki z kremowym serkiem, wychodzili z koreańskich delikatesów za rogiem. Pojechali FDR Drive do Battery, zaparkowali samochód na parkingu, po czym pognali do parku. Nie patrzyli na zatokę ani na Statuę Wolności. Chcieli zdążyć zobaczyć wypełzające słońce.

— Nasz pierwszy wspólny wschód słońca, Maddie. Uwielbiam wschody słońca. To cudowny sposób na zaczynanie dnia. Zachody też są wspaniałe, bo kończy się długi dzień i człowiek może się obejrzeć za siebie i powiedzieć, że zrobił to czy tamto, a jutro będzie nowy dzień.

— Jesteś sentymentalny i delikatny. Chyba dlatego tak bardzo cię kocham.

Pete pocałował ją. Wszystkie swoje uczucia i pragnienia włożył w ten pocałunek i Maddie odpowiedziała mu tym samym.

— Bardzo cię kocham, Maddie. Każdego dnia dziękuję Bogu, że poszedłem na to przyjęcie w Swoozies. Niewiele brakowało, a nie poszedłbym. Nawet nie mogę sobie przypomnieć, jak nazywa się ten facet.

— To już nie ma znaczenia — odparła. — Żadne „gdyby” się nie liczy. Jesteśmy tutaj, jesteśmy razem i tylko to ma znaczenie. Będziemy szczęśliwi, prawda, Pete?

— I jeszcze jak. Będę pracował na to dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pewnie będziemy się kłócić, będziemy mieli małe starcia i ciągnące się dłużej potyczki. Chciałbym, abyśmy uzgodnili, i to teraz, że nigdy nie położymy się spać pogniewani na siebie. Czy możesz mi to przyrzec, Maddie?

— Ja także tego chcę. Nie mogę sobie wyobrazić gorszej rzeczy, niż to, że ty śpisz z jednej strony łóżka, ja z drugiej, potem budzimy się i nie rozmawiamy. Przyrzekam. Co myślisz o oddzielnych łóżkach?

— Nie ma nawet o czym mówić. Absolutnie nie. Małżeństwo powinno spać razem. Wydaje mi się, że przyjąłbym to jako odrzucenie, gdybyś zażądała oddzielnych łóżek. Nie zrobisz tego, prawda?

— Nie, oczywiście że nie. Tylko zapytałam.

— Przez chwilę się bałem — rzekł uszczęśliwiony. — Słuchaj, to piękny poranek. Chodźmy na spacer. Mogę tu przyjść później i zabrać samochód. Masz chęć?

— Ma się rozumieć. Dokąd?

— Do Regency.

— To dość daleko — zauważyła.

— Więc lepiej ruszajmy — uśmiechnął się szeroko.

Jednak na nalegania Maddie po jakimś czasie złapali taksówkę. Zgłodniali jedli w milczeniu. Dopiero przy trzeciej filiżance kawy Pete odezwał się.

— Jaki college, twoim zdaniem powinniśmy... no wiesz, na jaki powinniśmy się nastawić?

Popatrzyła na niego bez wyrazu.

— Dla naszych dzieci — wyjaśnił.

— Chcesz teraz planować college?

— Myślę, że warto to omówić. A ty nie? Przecież chcemy mieć dzieci, prawda? Ja wiem, że tak, a ty powiedziałaś, że również. Tak więc powinniśmy wybrać, rozważyć, porozmawiać o tym.

— No tak, ale myślałam, że za kilka lat... musimy się jakoś ustabilizować. Za kilka lat — powtórzyła.

— Doskonale. Ale już teraz trzeba zaplanować. Nigdy nie powiedzieliśmy sobie, ile dzieci... jakie psy będziemy mieć. Właściwie koty też lubię... Chciałbym mieć trójkę dzieci, może czwórkę.

— Pete, będę wiecznie w ciąży! To oznacza trzydzieści sześć miesięcy ciąży przy czworgu, dwadzieścia siedem przy trojgu. Na litość boską, pomyśl też o mnie! Nie zostało mi znowu tak wiele lat na rodzenie dzieci, a nawet nie chcę myśleć o dziecku po czterdziestce. Przepraszam, jeśli zrobiłam ci przykrość. Mówimy przecież o moim ciele.

Zobaczył, jak usta Maddie drżą, i twarz mu się wydłużyła. Gdyby skrzyła serwetkę jeszcze mocniej, porwałaby ją na strzępy. Poczul się jak każdy inny nieszczęśnik, który sprawił swojej dziewczynie taką przykrość.

— Proszę cię, Maddie, nie denerwuj się. Nie sądziłem... możemy... nie myślałem...

— Wiem — powiedziała miękko. — Jedno dziecko, kiedy będziemy w takiej sytuacji, żeby... poświęcić nasz czas... Nie wiem dokładnie, kiedy to nastąpi. Jeśli stanowi to problem, powinniśmy teraz o tym porozmawiać. Mieć twoje dziecko to... to... Czy znów coś popsułam? — rozplakała się żałośnie.

— Ależ kochanie, oczywiście że nie. Mamy czas... jestem takim egoistą. Masz rację, to twoje ciało... Wrócimy do tego we właściwym czasie.

— Wyjdźmy stąd i chodźmy na słońce — powiedziała Maddie wstając. Ujęła go za rękę i uśmiechnęła się. — Gdybyś wiedział, jak bardzo cię kocham, Peterze Sorenson. Mówić ci o tym, to jedno, a wiedzieć i przeżywać, to zupełnie co innego. Proszę cię, nie chcę, abyśmy denerwowali się z tego powodu. Dzieci, dziecko, to nasza przyszłość. Obydwoje potrzebujemy zostawić po sobie jakiś ślad, a jaki jest lepszy niż owoc naszej miłości? Chcę, abyś mnie zrozumiał, Pete.

Skinął głową, gdyż nie ufał słowom, które mógłby powiedzieć. Wyszli na słońce i rozejrzal się wokoło. To samo słońce na tym samym bezchmurnym niebie teraz wydawało się mniej jasne i mniej ciepłe. Właściwie zrobiło mu się zimno.

— Dokąd teraz, nieustraszony wodzu? — rzuciła lekko dziewczyna. Wyciągnęła rękę, by uszczypnąć go w policzek, po czym obdarzyła promiennym uśmiechem.

— Plaża. Myślałem... myślę, że miło byłoby mieć tam nasze przyjęcie.

— Hotel Plaża! — pisnęła Maddie. — Naprawdę, Pete, możemy w Plaża?

Czy nie powiedziałem tego, miał chęć odrzec. Wciąż jeszcze bolało go jej postanowienie. I co ty na to, Barney? Miłość mojego życia nie czuje szalonej potrzeby posiadania moich dzieci. Z wysiłkiem przywołał uśmiech na twarz. — Tak, możemy w Plaża. Wiedziałem, że ci się spodoba.

— Nie mogę wprost w to uwierzyć. Chodźmy szybciej, nie mogę się doczekać, żeby tam iść i porozmawiać z nimi. Czy sama mam wszystko wybrać, czy też przyjmujemy ich propozycję?

— Zrobisz, jak zechcesz, Maddie — odparł cicho.

— Zechcę, zechcę, zechcę!

Mimo wszystko roześmiał się. Była niczym dzieciak, który przyszedł z kieszenią pełną pieniędzy do sklepu ze słodyczami. Albo się kocha bez zastrzeżeń, albo wcale. A on kocha. Boże drogi, i to jak!

Było już po jedenastej, gdy uwieszona jego ramienia, opuszczała w oszołomieniu hotel.

— Przypuszczałam, że to będzie drogie, ale do głowy mi nie przyszło, że aż tak. Może powinniśmy to jeszcze przemyśleć. Kolana mi miękną na myśl o samej zaliczce, którą wpłaciłeś, a ty nawet nie mrugnąłeś, gdy wypisywałeś czek. Są jeszcze inne miejsca, równie ładne jak Plaża. Uważam, że powinniśmy to przemyśleć. To tyle pieniędzy. Przecież płacimy głównie za nazwę hotelu.

— To już się stało, Maddie. Nigdy nie cofam słowa. Jesteśmy już związani z Plażą. Myślę, że właśnie tego obydwójce chcemy.

— Skoro tak mówisz, ale inne miejsce też byłoby dobre. Co teraz?

— Teraz do Bergdorfa, aby wybrać dla ciebie suknię ślubną.

— Nie, nie! Nie mogę ci na to pozwolić. Sama muszę za to zapłacić. Za suknię płaci dziewczyna.

— Nawet jeśli chłopak się przy tym upiera? — spytał żartobliwie.

— Niestety tak — odparła pełna zadumy. — Ale cudownie, że to proponujesz. Mógłbyś, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zapłacić za suknię Janny. U niej bardzo cienko z pieniędzmi. Ślub to dla drużny bardzo kosztowana rzecz.

— Z przyjemnością. Zawsze wiedziałem, że za ślub płacą rodzice panny młodej. Skoro jednak narzeczona nie ma rodziny, powinienem wkroczyć. To postanowione, Maddie.

— Dobrze, skoro to postanowione, ale nie możesz jej oglądać. Ja to załatwię i obawiam się, że dużo czasu mi zajmie, zanim coś wybiorę. Co będziesz robił? To nie w porządku.

— Ależ wszystko w porządku. Przejdę się po męskim dziale i kupię sobie skarpetki. Pralka mi je zjada. Dam ci półtorej godziny.

— Ile... Są jeszcze inne sklepy, sklepy dla panien młodych... Bergdorf jest straszliwie drogi. Mogłabym załatwić to w Bloomingdale.

— Kup na co masz ochotę. Wszystko czego ci potrzeba. Chcę to dla ciebie zrobić. Chcę dać ci wszystko. Bez przesadnej skromności. Kupisz najlepszą, najpiękniejszą suknię, jaką mają. Dobrze?

— Dobrze. Przyrzekam, że będę gotowa dokładnie w półtorej godziny. Jak mam...?

— Proszę — Pete podał jej swą kartę kredytową. — Nie ma ograniczeń, tak że korzystaj aż do wyczerpania.

— Jesteś najwspanialszym, najmiłszym, najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam. Kocham cię.

Pomyślał, że rzeczywiście musi taki być. Annie setki razy mu to mówiła. Mówiła również, że jest uparty, leniwy i przemądrzały.

Gdy półtorej godziny później wchodził do salonu dla panien młodych Maddie siedziała nad filiżanką herbaty.

— Skończyłam — obwieściła. — Dziesięć minut temu.

— I...

— Kupiłam najpiękniejszą, najwspanialszą, najbardziej uroczą suknię. Straszliwie droga — dodała cicho.

— W porządku — rzekł Pete zamaszycie składając podpis. Oczy rozszerzyły mu się lekko, gdy przeczytał ogólną sumę. — Chodźmy, śliczna pani, mamy lunch w Lutece. Zrobiłem rezerwację. Kupiłem dwa tuziny par skarpetek.

— Naprawdę? — roześmiała się Maddie. — W jakim kolorze?

— Czarne.

— Dwadzieścia cztery pary? — zdumiała się.

— Tak. Maszyna zjada je co tydzień. W ten sposób nie muszę zawracać sobie głowy dopasowywaniem ich. Czy kobiety nie postępują tak samo przy kupowaniu pończoch?

— Ja kupuję rajstopy i nie da się tego tak rozwiązywać. Dziękuję ci za wszystko. Jesteś taki hojny. Wprost nie wiem, co powiedzieć.

— Wystarczy dziękuję. Uwielbiam robić coś dla ciebie, bo cię kocham, a gdy się kogoś kocha, pragnie się go uszczęśliwić. Robi się wszystko co możliwe, by ta osoba była szczęśliwa. No, chodźmy, Lutece czeka na nas i na nasz apetyt.

Pozostała część dnia minęła w radosnym nastroju. O szóstej Pete podrzucił Maddie pod jej dom, by mogła wziąć prysznic i przebrać się na kolację w Bouley. Podał jej puszysty żółty pled, który kupili w Bloomingsdale.

— Wpadnę po ciebie o siódmej trzydzieści. Pochyliła się i pocałowała go lekko w usta.

— Pete, to był jeden z najmiłszych dni w moim życiu. Dziękuję ci, że jesteś, jaki jesteś. Dziękuję ci za twoją miłość i za to, że czynisz mnie częścią swego życia. Porozmawiamy znów, i to niedługo, na temat dzieci i naszej przyszłości. Obiecuję ci to.

— To mi całkowicie wystarcza. — Pete promieniał. — Pomyśl też o adopcji. Uwielbiam dzieci. Musisz o tym wiedzieć.

— Wiem, Pete. Zobaczymy się o wpół do ósmej. Będę dziewczyną z uśmiechem w oczach, na ustach i w sercu. Czy mnie poznasz?

— Wszędzie i o każdej porze. Kocham cię, Maddie.

— Ja też cię kocham, Pete.

Przez całą drogę windą w głowie Maddie kołatało się pytanie, czy już w to wkroczyła.

O dziesiątej trzydzieści wyszli z restauracji trzymając się za ręce.

— Ceny mają tu nieprawdopodobne — mruzczała Maddie. — Jednak każda minuta była uroczą. Ten deser był taką rozpustą, że potrzeba mi teraz tygodniowej pokuty. Posłuchaj, mam pomysł. Wieczór jest taki wspaniały, przejdźmy się do Czarodziejskich Opowieści. Wiem, że to spora wędrówka, ale powinniśmy się przejść po tej kolacji. Jeśli nogi odmówią mi posłuszeństwa, możemy wziąć taksówkę. Rzeczywiście, nachodziliśmy się dziś po sklepach. Tyle się nasłuchałeś ode mnie o tym sklepie, że pewnie cię teraz ciekawi.

— Nie chciałem... d tego zakłócać. To twoje dziecko, Maddie. Maddie stanęła jak wryta.

— Nie wierzę w to, co usłyszałam. Przecież bez dębnie nie byłoby Czarodziejskich Opowieści. Są nasze, Pete!

— Nie, Maddie, Czarodziejskie Opowieści są twoje. Ja tylko dałem pieniądze. Chciałem to dla dębnie zrobić.

— Pete, to było moje marzenie, ale nigdy nie myślałam, by się kiedykolwiek spełniło. Nigdy w życiu niczego nie miałam. Wydaje mi się, że przez całe lata tylko szarpałam się, by żyć z miesiąca na miesiąc. Marzenia to strasznie ważna rzecz. Bez marzeń człowiek może się załamać. Tak się cieszę, że nie zrezygnowałam ze swoich. Dzięki tobie wszystko stanie się rzeczywistością. Nigdy nie będę potrafiła d się odwdzińczyć.

— Niepotrzebna mi wdzięczność. Chcę, aby d się powiodło.

— Mam nadzieję, że nie zawiodę twojej wiary we mnie. A co, jeśli się nie uda? Jeśli narobię błędów i jeśli moi dostawcy nie wywiążą się ze zobowiązań? A jeśli...

— Maddie, nic się nie stanie. Kiedy sklep był jeszcze na desce kreślarskiej, twoim najmocniejszym atutem okazała się wiara w siebie. Nie ma mowy, by się nie udało. Czuję to w kościach, tak jak wtedy, kiedy jestem bliski podpisania umowy. Stare, dobre przeczucie. Jeszcze nigdy mnie nie zawiodło.

— Nie mogę się doczekać, kiedy wszystko zobaczysz. To właśnie czarodziejska opowieść ożyła, a ja chcę cię po niej oprowadzić. Jeśli masz podobną wyobraźnię co ja, zobaczysz to. — Uścisnęła jego ramię.

— A więc chodźmy tam jak najszybciej, abym mógł rzucić okiem — powiedział Pete, gdy taksówka podjechała do krawężnika.

Dwadzieścia minut później stali pod drzwiami. Maddie trzymała klucz w ręku.

— Czy jesteś gotów? — spytała przejęta. — Och, Pete, za każdym razem, gdy tu przychodzę, trzęsę się cała i serce mi wali. Nie wiesz nawet, jakie to dla mnie ważne. Mówię d o tym, ale brak mi właściwych słów, aby... To niemal tak, jakby to było całe moje życie.

Chwycił ją za ramiona i obrócił do siebie.

— Maddie, ale jest w nim miejsce i dla mnie, prawda? Jesteś taka napięta, gdy o tym mówisz, że czasami to mnie przeraża. Naprawdę.

— Nie, Pete! Jesteśmy zespołem — ty i ja. To tylko moje zajęcie. Zawsze będziesz częścią mojego żyda, tego żyda, którym szczególnie mocno będziemy się cieszyć pod koniec dnia. To będzie nasz czas. Długie, wspaniałe niedziele, a gdy interes się rozkręci, wezmę sobie wolny poniedziałek, abyśmy mogli wykorzystywać dwudniowy weekend. Wszystko u nas będzie doskonałe — i interesy, i nasze życie. Zaufaj mi Pete. Mam zamiar pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie chcę, byś kiedykolwiek żałował. To dla mnie bardzo ważne — . żebyś nigdy nie żałował. — Uścisnęła jego ramię i odwróciła się do drzwi. — Wchodzimy?

— Wchodzimy.

— Boże, mój własny klucz do mojej własnej firmy — śmiała się nerwowo otwierając drzwi. — No i co myślisz? — spytała włączając światło.

Pete rozejrzał się wokoło. Miała rację, to było jej królestwo. Kurz zawirował mu wokół nóg. Ujrzał wiszące druty i gołe rury z zaślepkami na końcach. Z tego, co mógł zobaczyć, wynikało, że była to jedna wielka hala.

— Przyjemne — wymamrotał. Maddie zaśmiała się.

— Wcale nie jest przyjemne. Chodź za mną, to zaznaczę ci pantoflem poszczególne działy. Chcę ci pokazać, w jaką stronę wszystko zmierza. To dział Kopciuszka, to dział czarów — Aladyna. To będzie wspaniałe. Tu Śnieżka i jej krasnoludki. Popatrz na ten kącik, to będzie stoisko dnia. Chcemy rozpocząć od Halloween. Posłuchaj — rzekła, a w jej głosie dźwięczało podniecenie — z każdego kostiumu wezmę rozmiar dwa, cztery i sześć. Poza tym wszystkie postacie z bajek. Niewiele, bo chociaż mamy kilka miesięcy, moje panie nie będą w stanie zapewnić mi większych ilości, tak że będzie to tylko zaopatrzenie podstawowe. W przyszłym roku z pewnością będę miała setki zamówień. Kostiumy są tak prześliczne, że wprost nie mogłam uwierzyć, gdy je zobaczyłam. Ręcznie szyte, wszystko najwyższej jakości. Żadnego marnego materiału, z jakich zazwyczaj szyją kostiumy na Halloween. Sprowadzamy także pomarańczowe satynowe dynie w różnych rozmiarach. Mają plastikowe wypełnienie i czapczkę, która wygląda, jak prawdziwy czubek dyni. Łodyga jest z zielonej satyny. Pięćdziesiąt dolców sztuka.

— Pięćdziesiąt dolców! — wykrzyknął zdumiony. — A jakie są twoje koszty?

— Półtorej godziny trzeba na zeszyte. To pięć pięćdziesiąt pięć. Dziesięć centów za wkład, półtora dolara za materiał, no i ekspedycja. Z grubsza dziewięć.

— Jezus, Maria! A kostiumy?

— Odetchnij głęboko, Pete. Pamiętaj, że są jedyne w swoim rodzaju. Ręcznie robione. Ze wszystkimi szczegółami i dodatkami, które tworzą kostium. Dwieście dolarów. W niektórych przypadkach, w zależności od projektu, więcej. Możesz wierzyć lub nie, ale im bardziej nieprawdopodobna cena, tym więcej ludzi uważa, że ten właśnie kostium muszą mieć. — Wzruszyła ramionami. — Nie powinno nic zostać. Potrzebuję tylko więcej kobiet do szycia. Z tym będą trudności.

— To płać im więcej, Maddie. Może to naprawdę żyła złota.

— Ależ Pete, cały czas ci to powtarzam. Będę płaciła więcej, jak tylko otrzymam pierwsze dostawy. To wszystko jest do załatwienia. Powinieneś zobaczyć, co zaplanowałam na Boże Narodzenie. Bezcenne okazy. Torby na zakupy to dzieła sztuki. Dla amateerek, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi, przyjdzie styczeń i zobaczysz kobiety chodzące z nimi po mieście. To nie jednorazowe reklamówki. Czy to nie fantastyczne? Przysięgam ci, że nigdy nie byłam taka szczęśliwa. A wszystko zawdzięczam tobie.

— Czy myślisz, że będziesz równie szczęśliwa, gdy się pobierzemy?

— Hmm... Co mówisz, Pete? — spytała Maddie. Pochylona mocno pod płataniną wiszących drutów, zmierzała w stronę zaplecza sklepu, gdzie pomieszczenie magazynu oraz kuchnia były już częściowo rozdzielone ścianką.

— Powiedziałem, że cieszę się z twojego szczęścia — burknął Pete.

— Nic na świecie nie da się z tym porównać. Nic.

Pete kichnął. Raz, drugi, trzeci.

— Musimy iść, Maddie.

— Masz rację. Dziękuję, że ze mną przyszedłeś. Chciałabym móc tu spać i przebywać przez każdą chwilę dnia. Myślę, że zanocuję tu przed uroczystym otwarciem. Zbyt będę podniecona, bym mogła spać w domu.

— A co z nocą przed naszym ślubem?

— Tak samo — rzekła z werwą.

Dla niego to wcale nie było to samo. Omal tego nie powiedział, ale zmienił zdanie.

— Jeśli jesteś gotowa, to chodźmy.

Patrzył, jak zamyka podwójne drzwi o dzielonych poziomo skrzydłach i długimi, smukłymi palcami pięści połykający zamek i gałkę. Niemal jakby pieściła jego ciało. Poczul się jakiś taki... oszukany.

— Cholera — powiedział i tupnął nogą, by oczyścić buty z białego pyłu.

— Pete, czterdzieści pięć dni to długo. Będę strasznie za tobą tęsknić — mruzczała sennie Maddie.

— To ta zła strona, Maddie. Pomyśl o lepszej. Od dziś za czterdzieści pięć dni będziemy małżeństwem. — Jego głos był teraz prawie tak samo zaspany jak głos dziewczyny.

— Aha. Będziesz dzwonił stale, prawda? — spytała oplatając jego nogi swoimi. — Chciałabym, abyśmy któregoś dnia wybrali się we wszystkie te miejsca, które odwiedzasz w interesach. Chcę zobaczyć to wszystko z tobą.

— Ha! Zanim się obejrzyysz, będziesz podróżowała tak wiele jak ja. Kiedy już otworzysz Czarodziejskie Opowieści, będziesz miała sukcesy i będziesz często latała. A wtedy, kobieto sukcesu, powiesz mi, ile to wycieczek robisz w czasie podróży w interesach. Wydaje mi się, że będziemy się mijać w przelocie. — Głos mu się zmienił, poczuł ogarniające go przygnębienie i zamyślił się.

— Nie mów tak, Pete. — Maddie zeszywniała. — Nigdy do tego nie dopuszczę. Będę w stanie żonglować obowiązkami żony i świeżo upieczonego przedsiębiorcy. Mój biznes potrzebuje roku, może dwóch lat, żeby stanął mocno na nogach. Namyślasz się jeszcze? Czy według ciebie robię błąd?

— Oczywiście, że nie. Odniesiesz wielki sukces. Poza tym jesteś jednym z najlepszych zaopatrzeniowców w Bloomingdale. Czuję to.

Maddie pogłaskała jego rękę i uśmiechnęła się, gdy zadrżał. Strasznie kocha tego człowieka.

— Jeśli odniosę sukces, to z twojego powodu i dzięki temu, co zrobiłeś. Połowa czynszu na Madison Avenue. Wszystkie twoje kontakty. A co najważniejsze, wierzysz we mnie. Mam nadzieję, że cię nie rozczaruję. Boże, a jeśli przegram, jeśli się mylę i to miasto nie potrzebuje wcale kosztownego, supermodnego sklepu dla dzieci? A jeśli... jeśli...

— Teraz już za późno. Czynsz zapłacony za trzy miesiące, przeróbki w toku, towary zamówione. Nie możesz się wycofać. Wierz mi, kochanie, Nowy Jork jest przygotowany na Czarodziejskie Opowieści. Twoja reklama jest już dopięta na ostatni guzik, tak że, Maddie Stern, nie chcę słyszeć słowa więcej na ten temat. Pocałuj mnie i przestań wreszcie gadać!

— Jesteś cudowny, Pete. Smakujesz lepiej niż piwo. — Szamotali się przez chwilę i niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

— Mam tylko nadzieję, że starczy ci towaru — rzekł Pete wysuwając się z łóżka.

— Mam go więcej niż dość. Chciałabym tylko, żebyś nie musiał wyjeżdżać. Wszystko układa się doskonale. Może udałoby ci się przyspieszyć powrót?

— Gdybyś ty wprowadziła się do mnie albo ja do ciebie, nie musiałbym teraz wyjeżdżać. — Potrząsnął uniesionym palcem. — Powiedziałaś, że obydwójgu nam potrzebna jest własna przestrzeń. Zrobię, co będę mógł, by załatwić szybko interesy. Cholernie nie podoba mi się, że ominie mnie uroczyste otwarcie twojego sklepu. Kiedy tylko będę mógł, zadzwonię.

— Czterdzieści pięć dni brzmi jak wieczność. Pospiesz się, żebyś się nie spóźnił.

Odwrócił się i przechylił przez łóżko.

— Maddie, kocham cię bardziej niż samego siebie. Dzięki takim wyjazdom jak ten mogę pomóc ci w rozwinięciu biznesu.

— Wiem, Pete. Weź prysznic, a ja ci przygotuję kawę.

— Dobrze, przyszła pani Sorenson. Będzie mielona? — spytał poklepując ją po plecach w drodze do łazienki.

— Zgadłeś. Do tego prawdziwa śmietanka i gorąca bułeczka z mnóstwem masła. Prawdziwy cholesterolowy zabójca. Po naszym ślubie nigdy więcej nie będziesz tego jadł. Tofu na śniadanie i wodorosty na lunch.

— Znam jednego doskonałego adwokata od rozwodów...

W zaparowanej łaźnicy śpiewał na całe gardło namiętą piosenkę o miłości i zaangażowaniu, której słowa sam układał. Czuł się nieprawdopodobnie szczęśliwy. Znalazł wreszcie kobietę swoich marzeń i ona — cuda nad cudami — zgodziła się za niego wyjść.

Jeżdżąc po świecie spotykał najróżniejsze kobiety, ale z żadną z nich nie czuł się tak jak z Maddie. Ona kocha go bez zastrzeżeń. Jest ciepła i dobra, a gdy patrzy na niego, w oczach ma miłość. Będą mieć dom w Connecticut, letnią posiadłość w Hamptons, dwanaścioro dzieci i dwudziestu czterech wnuków. Będą się razem starzeć, bujając się w plecionych fotelach na wielkim starym frontowym ganku. Kupi jedną z tych traktorowych kosiarek do trawników, żeby Maddie mogła siedzieć razem z nim, gdy będzie w weekendy kosił trawę. Ma wreszcie do kogo należeć.

Naturalnie, nie przedyskutował z nią tych spraw w całej rozciągłości. Ponieważ pragnął tego co Annie, przyjął, że wszystkie kobiety chcą w zasadzie tego samego, i Maddie znalazła się automatycznie w kategorii „wszystkie kobiety”. Maddie powiedziała „tak” — planowała mieć dzieci; nie powiedziała jednak, kiedy. Da jej rok, może półtora, aż będzie gotowa na to, co określał jako „te sprawy”.

Potrzebuje tylko czasu, właściwego momentu i czarów. Właśnie — cholernej magii. Aby to wszystko mieć, urobi sobie ręce po łokcie. Teraz też pracuje, ale może będzie musiał harować jeszcze ciężiej, poświęcać więcej godzin. Jeśli nie ograniczy swego podróżowania w interesach, dzieci chyba tylko cudem się urodzą.

Do poznania Maddie Stern był pracoholikiem spędzającym więcej czasu za granicą niż w domu. Annie stawiała mu się obca. Zasepił się. Nie może na to pozwolić. Jako pełnomocnik do spraw nabywania posiadłości musiał jeździć tam, gdzie polecił klient. Nienawidził brzęczyka, z którym chodził, nienawidził telefonu komórkowego w samochodzie, nienawidził zostawiania klientom telefonu Maddie.

Miał już zawiązać windsorski węzeł na krawacie, gdy zatrzymał się i spojrzał w lustro. Pochylił się bliżej.

— Czy to rozczarowanie widzę w twojej twarzy, Sorenson? — zwrócił się do swojego odbicia. — Bo jeśli tak, myśl o saldzie bankowym, pomyśl o roverze, który masz oprócz beemera, pomyśl o zadatku na dom w Stamford, pomyśl o Czarodziejskich Opowieściach, pomyśl o garniturach i butach na zamówienie, które nosisz, pomyśl o kosztownych prezentach, jakimi obsypujesz Maddie. Myśl o tym, Sorenson, i zetrzyj ten wyraz z twarzy.

— Maddie — ryknął.

Wpadła w drzwi niczym trąba powietrzna. Podała mu trzymaną w ręce filiżankę kawy, jakby chodziło o nagrodę, i w pewien sposób tak było. Robiła cudowną kawę, którą Pete uwielbiał.

— Co się stało?

— Maddie, czy kochałabyś mnie i wyszłabyś za mnie, gdybym był hydraulikiem czy śmieciarzem?

— Peterze Sorenson — zaczęła przestraszona — oczywiście. Przecież ja ciebie kocham. Jeśli w to nie wierzysz, w takim razie nie ma dla nas nadziei. Ale chyba... chyba mi wierzysz?

Wpatrywała się w mężczyznę, który pewnego dnia zostanie jej mężem. Nie był szczególnie przystojny, raczej taki sobie, dobrze zbudowany, z najjaśniejszymi szarymi oczami, jakie kiedykolwiek do tej pory widziała. Bardzo często mówiła mu, że mają kolor gołębi. Konsternację wywoływało w nim przeredzanie się płowych włosów na czubku głowy. Haczykowaty nos nie

pasował jego zdaniem do kanciastej twarzy, drażniła go też wydatna szczęka i odstające uszy. Kochała w nim każdy kawałek jego ciała. Teraz potwierdziła to raz jeszcze.

— Maddie, zawsze będę cię kochał. — Uśmiechnął się. — Aż po wieczność. Przepraszam, jeśli brzmi to staroświecko.

— Wcale nie brzmi staroświecko. Czuję to samo. Czy dasz mi swój plan podróży? — ożywiła się.

— To niemożliwe, kochanie. Będę cały czas w rozjazdach. Ci faceci uwielbiają zabawę w przyjmowanie gości i umieszczają mnie w różnych miejscach, czasami we własnych mieszkaniach i domach. Na pewno jestem w stanie określić ci miasta, w których będę. Gdy tylko znajdę możliwość, zadzwonię.

— Denerwuje mnie świadomość, że nie będę mogła cię odszukać. Mogę znieść dwa tygodnie, ale czterdzieści pięć dni...

— Przecież będziesz bardzo zajęta w Czarodziejskich Opowieściach — zauważył Pete łykając kawę. — Nie zostanie ci dużo czasu na tęsknotę za mną. Jak tylko będziesz miała wolną chwilę, nie zapomnij wpaść do Stamford i rzucić okiem na dom. Jeśli ci się spodoba i uznasz, że moglibyśmy tam mieszkać, daj im zaliczkę. Mam odłożone pieniądze, żeby od razu zapłacić.

— Och, wyobrażam sobie, jak mieszkam... jak mieszkamy wśród wszystkich tych zamożnych ludzi w Stamford. Będziemy tam pasować, prawda, Pete?

— Z pewnością. Myślę, że to twój dom, Maddie. Główna sypialnia ma kominek, w łazience jest jacuzzi. To dla nas, kochanie. Kuchnia jest wspaniała, taka o jakiej zawsze marzyłeś. Mnóstwo okien, system wentylacji, cedrowe belki, podłoga z prawdziwej cegły, donice z kwiatami. Będziesz zachwycona.

— Ależ to nieprawdopodobnie drogie. — Zmarszczyła brwi.

— Maddie, chcę, abyś to miała, ale jeśli nie widzisz nas tam jako rodziny, jeśli ci się nie podoba, to co innego. Finanse to moje zmartwienie. A teraz chodź, pocałuj mnie porządnie i już mnie nie ma.

— Zadzwoniłam na dół, złapali ci taksówkę — oznajmiła pochylając się do Pete'a. Pocałowała go ocierając się o niego całym ciałem. Uśmiechnęła się szeroko, gdy jęknął. — Dzwon — powiedziała i machnęła na niego w drzwiach, jak na uprzykrzonego kota.

— Nie zapomnij, że za trzy dni masz wizytę u dentysty i plombowanie kanału korzenia, a w przyszłym tygodniu ten twój zwariowany kot idzie na kontrolę. — Wciąż jeszcze wyklepywał spotkania, o których powinna pamiętać. — Jesteś absolutnie lekkomyślna, jeśli chodzi o umówione sprawy — dobiegło ją jeszcze, gdy zamykał zasuwę. I miał niestety rację.

On stał w windzie, a ona już za nim tęskniła. Z trudem oparła się chęci, by pobiec za nim i błagać o pozostanie.

To niepodobne do niej. Nie była przylepka. Raczej odznaczała się większą niezależnością od większości swych rówieśniczek. Do chwili, gdy osiem miesięcy temu spotkała Pete'a, była zadowolona z tego, że idzie przez życie jako kobieta robiąca zawodową karierę. Dopiero spotkanie Pete'a zmieniło wszystko. Boże, te pieniądze!

Wróciła do przytulnej czerwono-białej kuchni i wlała pozostałości kawy do wielkiego kubka. Ściągnęła masło z bułeczki Pete'a i zaczęła jeść ją z apetytem. Westchnęła głęboko. Doskonałe jest wszystko, całe jej nowe życie, które prowadziła przez wszystkie te dni. Jakże niepodobne do życia wielu jej przyjaciółek, które szarpią się straszliwie, by wdrapać się na szczyt w wybranym zawodzie i znaleźć mężczyznę, który będzie się o nie troszczył. Ona naprawdę wkroczyła na swą własną złotonośną działkę.

— Och, Tillie, to tak cudownie łaskocze — zaśmiała się Maddie, gdy kotka owinęła się jej wokół bosych stóp. — Wyjechał. Czy mam ci przypomnieć, że musisz się starać bardziej niż

mocno, by z nim dobrze żyć? On ma tu zostać. Przynosi ci świeżego łososia, podczas gdy ja tylko tuńczyka i Meow Mix. Pomrucz, Tillie, uwielbiam, gdy to robisz. — Pochyliła się, by podrapać tłustego żółtego kota za uszami i nagrodzona została głośnym mruczeniem.

Zsunęła się z krzesła i wsparła na rękach i kolanach. Przygarnęła do siebie mruczącą futrzaną kulę.

— Tillie, mam takie okropne uczucie, że coś złego się szykuje. Wszystko jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Czasami wydaje mi się, że śnię i jak się obudzę, to okaże się, że Czarodziejskie Opowieści są tylko czarodziejskimi opowieściami. Nigdy przedtem nie czułam czegoś takiego. Kobieca intuicja. Taka jak koci instynkt.

Tillie mruczała nadal, aż spadły na nią ciepłe łzy i kotka wysunęła się z objęć Maddie, by usadowić się pod drzwiami lodówki.

— Dobrze, dobrze, mam prawo wypłakać się od czasu do czasu — chlipnęła Maddie. Tillie siedziała cierpliwie przed lodówką w oczekiwaniu na śniadanie.

Maddie nałożyła na koci talerzyk tyle łososia, że wypadł za brzegi. Tillie obserwowała dziwne poczynania swojej pani, jakby miała zamiar powiedzieć jej, by nie wyobrażała sobie, że kotka będzie jadła z podłogi, nie mówiąc już o tym, że porcja jest za duża. Maddie prychnęła na wymuskanego kota, po czym zabrała resztkę kawy do łazienki.

Po prysznicu Pete'a było tu jeszcze ciepło i wilgotno. Wciągnęła nosem powietrze i uśmiechnęła się. Pachniało po prostu nim — lasem i mężczyzną. Dotknęła wiszącego na wieszaku grubego ręcznika. Lubił niebieskie ręczniki wielkości prześcieradła kąpielowego. Ze swoją trzydziestoprocentową zniżką nabyła takich sześć w Bloomingsdale. Powinna kupić więcej, ale pranie ich w jej pralce stanowiło zajęcie na cały dzień.

W godzinę później siedziała z powrotem w kuchni z rozłożonym przed sobą terminarzem spotkań i patrzyła na kalendarz na górze strony. Na wyłaniające się przed nią czterdzieści pięć dni. Dobrze by było zadzwonić teraz do paru znajomych i urządzić kilka spotkań towarzyskich. Wybrała numer, podała wewnętrzny Janice i usiadła z powrotem w oczekiwaniu. Gdy tylko usłyszała głos przyjaciółki, zaczęła paplać.

— Więc co z moimi dziesięcioma udziałami w Coca-Coli? — skończyła pytaniem.

— To samo co było, jak dzwoniłaś w ubiegłym tygodniu. Masz dziwny głos, czy coś się stało?

— Nie... tak. Właściwie to nie. Pete właśnie wyjechał. Na czterdzieści pięć dni. Zaczęłam za nim tęsknić, nim wyszedł za drzwi.

— Dokąd tym razem? Musisz go trzymać na smyczy — roześmiała się Janice.

— Przynajmniej mi, że po naszym ślubie o połowę zmniejszy swoje wyjazdy. Chciałam ci powiedzieć, że dzwoniłi wczoraj ze sklepu dla panien młodych. Chcą, żebyś przyszła do przymiarki w przyszły wtorek. Powiedziałam, że wpadniesz w porze lunchu i zgodzili się. Czy możesz zadzwonić i potwierdzić? Dzwonię też w innej sprawie. Co ty na to, byśmy wyjechały do Stamford w czasie weekendu i obejrzały dom? Pete dał mi kluczyki do samochodu. Do beamera — zapiszczała.

— Maddie, weekend zaczyna się jutro, więc jutro czy w niedzielę? Myślałam, że będziemy malować stolarkę w sklepie.

Tylko stara przyjaciółka jest zdolna do poświęcenia własnego weekendu na malowanie stolarki, pomyślała Maddie.

— Możemy to zrobić za tydzień, jeśli będziesz wolna. Jedźmy jutro i zrobmy sobie taki dzień. Stawiam kolację, a ty możesz spróbować sprzedać mi parę akcji. Jak to idzie?

— Merrill Lynch nie przepada specjalnie za kobietami maklerami. Jestem tu na okres próbny, i to dzięki przyjaciółce przyjaciółki. Potrzebni mi są bogaci klienci w rodzaju Pete'a.

— A co z nazwiskami, które dałam ci z Bloomingsdale?

— Oni się boją inwestować. Wezmę się za Unitec, to okazja na dwa dolary.

Maddie zrobiło się przykro z powodu przyjaciółki i po chwili doszła do wniosku, że mogłaby jej pomóc.

— No więc, o której jutro?

— O dziesiątej. Możemy zostać na noc, jeśli chcesz.

— Pozostawiam to tobie. Jak w Czarodziejskich Opowieściach?

— Położyli nowy sufit, tak jak mówiłyśmy, a podłoga jest przewidziana na jutro. Część do gry w klasy jest tak jaskrawa, że mózg staje. W przyszłym tygodniu przyjdą przegródki. Sobota będzie dobrym dniem na dobieranie kolorów do podłogi. Jeśli choć odrobinę nie będą pasować, całość wypadnie źle. Chcę, żeby wszystko było perfekcyjnie zrobione, żeby sklep stał się jedynym w swoim rodzaju. Mam nadzieję, że pewnego dnia dorobię się całej sieci, a wtedy wszystkie swoje dochody zainwestuję u ciebie.

— Iz tym optymistycznym akcentem zostawiam cię. Muszę iść na spotkanie. Będę około wpół do dziesiątej. Ubieramy się byle jak, dobrze?

— Dobrze.

Maddie westchnęła. Zawsze czuła się lepiej, gdy mogła porozmawiać ze swą przyjaciółką. Janice to jej rzeczywistość, część jej młodości, część dawnego życia.

Po drodze do skrzyżowania Trzeciej Alei i Czterdziestej Szóstej Maddie zbilansowała w myśli saldo swego rachunku bankowego. Pieniądze szły szybciej niż napływały. Zdumiewała ją wysokość czynszu, który miała płacić co miesiąc, i nie pomogło tu wynegocjowanie przez Pete'a u zaprzyjaźnionego z nim właściciela obniżenie sumy. Dekoracje i wystrój robione były na specjalne zamówienie. Być może to kolejny błąd. Tylko dlaczego właściwie się martwi, skoro Pete wręcz szasta pieniędzmi?

Początkowo jej zamierzeniem było otworenie małego sklepu z modelową, głównie ręcznie wykonywaną odzieżą dziecięcą. Gdy jednak powiedziała o tym Pete'owi, zaczął się miotać jak szalony derwisz. Załatwił sprawy, objął nadzór i o każdej godzinie dostarczał nowe środki. Niczym było dla niego zadzwonić w środku nocy z Niemiec z pomysłem dla sklepu. Tłumaczył jej, że to odzywa się tkwiące w nim dziecko i że przy każdej okazji chce w soboty pracować w sklepie, by móc bawić się z dziećmi zabawkami.

Stała czekając na zmianę światła. Skrzywiła się na myśl o pożyczce, której odmówił jej zarząd małego biznesu. Pete pojawił się natychmiast i zaproponował pożyczkę tak ogromną, że wciąż jeszcze nie potrafiła ogarnąć tych cyfr. Zasugerowała z wahaniem, by zarejestrować przedsięwzięcie na nich oboje, ale nie zgodził się. Stwierdził, że to jej biznes, a pożyczka stanowi zwykłą, terminową transakcję, z prawnikami i wszystkim co trzeba. Plus rachunki od rzeczonych prawników. Zegar zaczął odmierzać czas, a ona się denerwowała. Pete uśmiechał się tylko z ufnością mówiąc, że wierzy w nią i w to, co Maddie robi. „Fairy Tales Can Come True” — miała zamiar puścić tę piosenkę Franka Sinatry w czasie otwarcia sklepu.

Poczuła mrówki na ramionach, gdy znalazła się przed wejściem do własnego tysięczmetrowego sklepu. Nowe drzwi były już zamontowane. Staroświeckie, białe, dwuskrzydłowe drzwi. Zaśmiała się. Na Madison Avenue! Czerwony Kapturek, Kopciuszek...

Pomysł „Czarodziejskich Opowieści” przyszedł jej do głowy wiele lat temu w czasie pobytu w Kalifornii. Zupełnie przypadkowo, po drodze z wizytą do przyjaciółki w Stallion Springs, zatrzymała się w osobliwej księgarni w Tehachapi. Pamiętała swe osłupienie na widok wianuszka dzieci wokół palącego się kominka i matek w fotelach popijających ziołową herbatę, podczas gdy kobieta nazwiskiem Chelley Kitzmiller czytała dzieciom bajki. Obeszła sklep na palcach, podziwiając maleńkie przegródki, gdzie dorośli wertowali książki, a starsze dzieci bawiły się zabawkami edukacyjnymi. Na tablicy z kołkami były przytwierdzone gwoździkami małe

wieszaki z ręcznie marszczonymi kitlami do poważnego rzemiosła. Do sprzedania było wszystko — od książek, przez kitle, jo wykańczanych koronką skarpetek i fartuszków.

Panna Chelley, jak nazywały ją dzieci, powiedziała, że księgarnia stanowi miejsce spotkań. Domowe przytulisko dla przyjaciół i sąsiadów oraz dla klientów, którzy przychodzą tu po raz pierwszy. Jedynym problemem, jak stwierdziła, był fakt, że zabrakło tych, którzy przychodzili tam po raz pierwszy. Powodzenie zapewniali stali klienci. Maddie przechowywała w pamięci ten obraz i tę rozmowę przez całe lata, i wiedziała, że pewnego dnia wszystko dobrze spożytkuje.

Marzeniem jej było posiadać coś własnego, być wyłącznie odpowiedzialną za powodzenie lub klęskę swego przedsięwzięcia. Zacisnęła kciuki, by jej wygodny, przytulny, ogromny i kosztowny sklep okazał się sukcesem.

Krażyła po swym zaśmieconym królestwie i drepcząc w pyłe i gipsie, podziwiała wiszące druty, odsłonięte do robót instalacyjnych rury oraz nowe, podzielone na małe szybki okna. Szesała kurz, który osiadł jej na włosach i uświadomiła sobie, że jeśli nie chce się zadusić, musi natychmiast wyjść. Wcisnęła pod pachę katalogi, blankiety zamówień oraz gruby plik z nazwiskami różnych kupców i opuściła sklep. Przedtem jeszcze postąpiła chwilę, by napawać się widokiem podwójnych skrzydeł nowych białych drzwi.

Wszystko to było jej.

* * *

— Ten dom jest fantastyczny — rzekła Maddie zmienionym z przejęcia głosem. — To... to po prostu...

— Elegancja Francja — parsknęła śmiechem Janice. — Uwielbiam Tudorów. Jeśli klucz jest w skrzynce na listy, jak powiedział agent, to ten dom. Ciekawa jestem, ile kosztuje. Pete ci mówił?

— Siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Jest taki wielki. Będzie mi potrzebny ogrodnik, może nawet dwóch. — Głos Maddie drżał z podniecenia.

— Rozejrzyjmy się trochę — zaproponowała Janice. — Wszystko jest przycięte i przyszyżone perfekcyjnie. Szansa na męża, który będzie pielęgnował to miejsce, jest jedna na milion. Dwóch ogrodników — podsumowała.

Maddie sięgnęła do drewnianej skrzynki i wyciągnęła klucz.

— Maddie, czy masz chociaż pojęcie, jaka jesteś szczęśliwa? Masz uroczego, kochającego cię faceta, który poza tym pomaga ci finansowo w biznesie; do tego jeszcze ten dom. Daleko odeszłaś od Bronxu.

— Janny — zwróciła się Maddie do przyjaciółki zdrobnieniem, które nadała jej jeszcze w przedszkolu — jestem przerażona, ale jednocześnie w jakiś szczeniacki sposób czuję się dumna. Wczoraj po wyjeździe Pete'a miałam okropne uczucie, że coś złego się stanie. Nie mogę się jakoś z tego otrząsnąć.

— Myślę, że to te czterdzieści pięć dni tak cię dręczy. Jego wyjazdy są zazwyczaj krótsze. Półtora miesiąca to długo. Co mogłoby się stać? Nic i już! — Janny weszła do wyłożonego kaflami foyer. — Maddie, to wprost niesamowite! — Ruszyła dalej, do położonego na niższym poziomie salonu i zaparło jej dech. — Spójrz na ten kominek! Aż do samego sufitu. Człowiek może tam stanąć. Z pewnością można w nim upiec prosiaka.

— Trzeba tu będzie mnóstwo mebli. Uwielbiam kupować meble. Pete powiedział, że mogę wybrać, co zechcę. Pieniądze nie stanowią problemu. Masz pojęcie? Nie mogę się doczekać, by wynieść się z tego nędznego mieszkania przy Czterdziestej Dziewiątej. Jednak uwielbiam Manhattan.

— Tu jest wspaniale — odezwała się słuchająca jednym uchem Janny. — Pete będzie chciał podejmować gości. Ty zresztą, jak tylko nawiązesz stosunki ze wszystkimi, z którymi będziesz robić interesy, też. Dałabym się za to posiekać. Ale z ciebie szczęściara. Obejrzyjmy kuchnię. Uwielbiam kuchnię.

— To dlatego, że dobrze gotujesz. Jestem szczęśliwa, że potrafię ugotować wodę i jajka. Chociaż jestem specjalistką od otwierania puszek i pudełek — rzekła Maddie ponuro. — Wezmę kucharkę i gospodynię.

— Pomyśl tylko, wysiadasz sobie z pociągu, gospodyni zabiera cię ze stacji, wiezie tutaj na czekającego drinka i przygotowaną kolację. Zajmuje się praniem, odkurzaniem, i całym tym kramem. Tobie pozostaje tylko troszczyć się o to, by Pete był szczęśliwy, a także prowadzenie Czarodziejskich Opowieści. To doskonały scenariusz. I żyli długo i szczęśliwie, tak właśnie jak w bajce.

— Jak myślisz, czy Pete nie stanie okoniem, kiedy powiem o kucharce, gospodyni i dwóch ogrodnikach?

— To jego problem. On jest zaopatrzeniowcem — stwierdziła Janny beztrąsko.

— Dojazdy staną się zabójcze — rzekła Maddie z zawziętym wyrazem twarzy.

— Ojej, popatrz na tę kuchnię. — Janice zignorowała jej uwagi. — Nigdy niczego podobnego nie widziałam, nawet w czasopismach.

— Przedsiębiorca robił to dla siebie. Żona zostawiła go i uciekła z elektrykiem, który wykonywał instalację domu. Pete mi to powiedział. Dom nigdy nie był zamieszkały. Wszystko tu jest na zamówienie.

— Maddie, a teraz rozluźnij się i wyobraź sobie, jak będziesz się kochać z Pete'em przed tym wspaniałym kominkiem. Boże, sam dywan jest grubszy od futrzaka. Sekretarzyki z drewna wiśniowego. Ten środek jest cudowny, a te cedrowe belki... Och, Maddie, będziesz niesamowicie szczęśliwa, że możesz tu gotować wodę. Popatrz na te lampy od Tiffany'ego, zwieszające się nad barem! Lambrekin nad oknem w pokoju śniadaniowym jest cudowny. Musisz kupić barwne maty, takie z lamowaniem. Wiejskie zasłonki z wiązaniami w kolorze mat. Dlaczego sądzisz, że żona przedsiębiorcy uciekła z elektrykiem? Nigdy bym z tego nie zrezygnowała.

— Bo była głupia — prychnęła Maddie. — Elektryk zaproponował jej miłość i dla niej było to ważniejsze od domu. Mieszka pewnie w Brorocie w sześciopiętrowej kamienicy bez windy.

— Podłoga jest z prawdziwej cegły, układanej jedna obok drugiej. To kosztuje — zauważyła zawsze praktyczna Janice. — Ubarw kuchnię miedzianymi błyszczącymi rondlami i zielonymi roślinami w glinianych donicach. Popracuj wyobraźnią, Maddie.

— Mam zamiar zatrudnić dekoratora. Chcę, żeby wszystko było naj! Chodź, zobaczmy łazienkę i sypialnię. Dobrze by było, aby znalazła się jedna z własną wanną dla ciebie. Urządziłybyśmy ją razem, żeby była na twoje wizyty u nas w weekendy.

— Och, Maddie, to najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałaś. — Janny objęła przyjaciółkę. — Będę przywozić wino i sery, tak jak robią na filmach. Zawsze będziemy przyjaciółkami, prawda, Maddie?

— Oczywiście, że tak. Jesteś dla mnie czymś więcej niż siostrą.

— Ty dla mnie też.

Trzymając się za ręce przyjaciółki ruszyły po puszystym chodniku na piętro.

— Zobacz Maddie, można stąd patrzeć na salon. Cudownie — zachłysnęła się Janny.

— Wpuszczana wanna. Ma dwa stopnie! — powiedziała z nabożeństwem Maddie. — To wir wodny. Cztery osoby się tu zmieszczą. Boże! — nie wytrzymała.

— Luksus. Tę łazienkę możesz udekorować dowolnym kolorem. Te piaskowe kafelki będą do każdego pasowały.

— Sześć sypialni, dwie z kominkami. Biała wykładzina — mówiła Maddie przechodząc z jednego pokoju do drugiego. — Wybierz dla siebie którąś.

— Ta. Ooo, też ma wpuszczaną wannę. Kto będzie przynosił drewno do palenia?

— Nasz majordom. — Maddie wybuchnęła śmiechem. — Możesz tu trzymać ubranie i wszystko. W ten sposób możesz bezpośrednio po pracy wsiadać w pociąg i nie martwić się o swoje rzeczy. Może nasza gospodyni będzie nam podawać śniadanie do łóżka.

— Teraz już się w tym orientujesz — powiedziała Janny siadając na podłodze i obejmując ramionami kolana. Patrzyła z rozmarzeniem przez okno. — Kochasz go, prawda?

Maddie przysiadła obok przyjaciółki.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że on mnie kocha. Jestem taka zwyczajna, a on taki... światowy, wykształcony, taki... inny.

— Czy ty się czasem nie za nisko cenisz? Jeśli tak, to cię chyba trzepnę. To Pete Sorenson jest szczęściarzem, że ma ciebie. I żebyś nigdy o tym nie zapomniała — rzekła Janny lojalnie.

— Dobrze, nie zapomnę. Dobra z ciebie koleżanka.

— A teraz, kiedy mamy to wszystko uporządkowane, sprawdźmy ogród, basen, ten garaż na cztery samochody z mieszkaniem na górze, a potem zrobimy sobie lunch. Czy jest tu domek przy basenie?

— Pete mówił, że tak. Ma własną instalację wodno — kanalizacyjną, tak że nie trzeba wchodzić do domu, by skorzystać z łazienki. A ponieważ ani ty, ani ja nie umiemy pływać, proponuję, byśmy przestały zawracać sobie głowę tym rejonem.

— Nauczmy się pływać. Trzeba jedynie przymocować do ramion butelki po chloroxie i już się pływa. — Janny zachichotała. — Widziałam to w telewizji.

— Jak się nauczysz, ja też spróbuję. A teraz marzy mi się duży soczysty hamburger z mnóstwem cebuli i kawałkiem pomidora. Do tego wielki talerz frytek i lody z truskawkami i kremem na deser. Musimy zatrzymać się u agenta, podrzucić klucz i zostawić tymczasową umowę. Pewnie będę musiała podpisać w wy kropkowanym miejscu lub coś w tym rodzaju.

— Bardzo się za ciebie cieszę. Zaslugujesz na to, a nawet na więcej — powiedziała Janny, obejmując przyjaciółkę.

Padał lekki, drobny deszcz, gdy Maddie doprowadziła samochód Pete'a do podziemnego garażu. Para unosiła się nad chodnikiem. W Connecticut jest chłodniej. To stanowić będzie plus latem. Tyle, że ona spędzać będzie dni tutaj, w mieście.

W drzwiach powitała ją Tillie. W mgnieniu oka znalazła się w objęciach Maddie, i ocierając się o szyję dziewczyny, mruzczała głośno.

— Tęskniłaś za mną, co? Co powiesz na łososia i pyszne ciepłe mleczko? Wrzucę do niego łyżeczkę lodów, ale nigdy nie przyznamy się do tego doktor Lowe, dobrze? Jej zdaniem koty nie powinny pić mleka i jeść lodów. Co ona tam wie, jest tylko weterynarzem — stwierdziła Maddie gładząc kotkę. Gadała tak przez cały czas, gdy szykowała kotu jedzenie.

Potem zrobiła sobie dzbanek kawy i gdy już mieszała w filiżance śmietankę, zadzwonił telefon.

— Pete! — wykrzyknęła uradowana. — Gdzie jesteś? W Tokio! Przespacerowałaś się Ginzą? Czy tam jest ciepło? U nas piecze. Tillie tęskni za tobą, ale nie tak bardzo jak ja. Dom jest cudowny. Chyba wezmę na stałe gospodynię i kucharkę. Potrzeba nam będzie dwóch ogrodników. Nie mam ręki do roślin. Ja też cię kocham. Też liczę dni... Janny była ze mną. W przyszły weekend pomoże mi w malowaniu stolarki w Czarodziejskich Opowieściach... Nie, nie zapomnę o zabiegu u dentysty... Jaki prezent? — Zaśmiała się — Nie dręcz mnie, Pete... Nie,

nie pocałuję Tillie w twoim imieniu. Nie, nie, nie... No niech będzie, ale tylko dlatego, że nie potrafię, ci odmówić. Kiedy znów do mnie zadzwonisz? Dobranoc, Pete. Wiem, że tam jest rano, ale tu jest ósma. Kocham cię.

Posłała kotce pocałunek i Tillie zasyczała, po czym dała susa do salonu.

Maddie siedziała przy stole popijając kawę. Prysznic dobrze jej zrobi, potem może kieliszek wina i dwanaście godzin porządnego snu.

— Pani Sorenson. Madelyn Marie Sorenson. Pani Maddie Sorenson — mruczała idąc do łazienki. Cudownie brzmi. Absolutnie cudownie.

— Za wszelką cenę

— To okropne — stwierdziła Maddie w niedzielne popołudnie po zabiegu u dentysty. — Z tą twarzą wyglądam jak jakieś napompowane straszdyło. A jeśli opuchlizna nie zejdzie do jutra? Pete nie dzwoni od czterech dni.

— Nie jęcz, Maddie. Do jutra śladu po niej nie będzie. Możesz wziąć jeszcze dwie aspiryny, a za pół godziny jeszcze coś przeciwbólowego. Może wybrałybyśmy się na spacer? W mieście taki spokój. A co byś powiedziała na lody? Ja bym chętnie zjadła — rzekła Janny z ożywieniem.

— Może jak wezmę tabletkę. Czuję się, jakby mnie ciężko wytrzęsło, i przyklejam się cała na mokro. Słyszałam to w westernowym show w telewizji. Właśnie tak się czuję. Powinnam ten przeklęty ząb usunąć.

— Myśl raczej o trzech tysiącach dolarów za mostek, który musiałabyś wkładać i wyjmować. Myśl o wszystkich wizytach, które musiałabyś odbyć, zanim dostałabyś mostek. Dzień, dwa bólu i moim zdaniem powinno przejść.

— Już wolę, gdy mówisz o akcjach i obligacjach. Co masz teraz w portfelu?

— Trochę tego i trochę tamtego. Cóż, jestem pracującą dziewczyna która opłaca czynsz, pralnię chemiczną i kupuje jedzenie. Inwestuję niewiele i rozsądnie. Odbiło mi i pieniądze na wakacje przeznaczyłam na zakup Unitecu. Mam teraz tysiąc papierów. Kupiłam siedemset pięćdziesiąt po pięćdziesiąt centów. Jeśli, jak się spodziewam, dojdą dziesięciu, będę bogata. Wystarczy mi na kupno małego domu gdzieś w Jersey. Być może starczy mi też na używany samochód, a może nawet na nowy. Da mi tyle, że będę mogła rozpocząć poszukiwania matki. Wiem, że pójdą w górę, tak samo jak wiem, że do jutra zejdzie obrzęk z twojej twarzy.

No, weź się w garść, Maddie, połknij już tabletkę i chodźmy na spacer. Język po prostu ucieka na myśl o lodach z masą orzechową. Obsypywanych. Ja stawiam.

Wyszły z domu na rozprażoną upałem ulicę i ruszyły za róg, do małego wygodnego sklepiku, prowadzonego przez pękatą Koreankę, mieszkającą w tym samym domu co Maddie.

— Orzechowe, podwójne, w waflu — zamówiła radośnie Janny.

— Waniliowe, pojedyncze, też w waflu — wymamrotała Maddie.

— Powinnyśmy zostać i zjeść je tutaj. Zanim staniemy na chodniku, będziemy całe okapane lodami — zauważyła Janny.

— To był twój pomysł — odparła Maddie biorąc swoją porcję. — pamiętasz, jak szybko zawsze lizałyśmy, kiedy się rozpuszczały? Byłaś szybsza niż błyskawica.

Janny ruszyła do drzwi, które przytrzymała Maddie. Musiała przecisnąć się obok dwóch mężczyzn, którzy znaleźli się na jej drodze. Maddie przesunęła się w bok i przystanęła na widok czarnego samochodu zwalniającego przed sklepem. Zobaczyła zamaskowanego kierowcę i dwóch pasażerów na tylnym siedzeniu.

— Myślisz, że... — zdążyła powiedzieć Janny, gdy odrzuciło ją do tyłu.

Język Maddie znieruchomiał w dołku, który wylizała w kapiących lodach. Nim ruszyła do przyjaciółki, zdążyła obrzucić wzrokiem siedzących w samochodzie. Zarejestrowała wszystko — przerażenie na twarzach stojących obok mężczyzn, czarny wylot lufy rewolweru i małe oczy trzymającego broń człowieka. W sekundę później ujrzała drugi rewolwer. Nim w jej głowie zrodziła się jakakolwiek myśl, odwróciła się gwałtownie, wcisnęła w drzwi i rzucając lody, pchnęła Janny na ziemię.

Krzyk przyjaciółki zadźwięczał jej w uszach, gdy kule uderzyły w mężczyzn i szklaną tafle okna. Nim grzmotnęła twarzą o podłogę, zobaczyła jeszcze przerażoną twarz Koreanki.

Wdychała zapach dojrzałych owoców, pasty do butów i lukrecji. Bardziej poczuła niż zobaczyła, jak Janny gramoli się obok z krzykiem; zresztą może to był krzyk tamtej kobiety. Łomot serca rozsadzał jej piersi.

Odczołgały się do stojaka z chipsami. Wszędzie, gdzie spojrzała Maddie, widać było krew. Zmusiła się, by popatrzeć na leżących w wejściu Marżami do ziemi mężczyzn.

— Proszę natychmiast dzwonić na policję! — wykrzyknęła. — Pani Ky, niech pani dzwoni! Dziewięć zero zero! Szybko!

— O mój Boże! — jęknęła Janny, waląc się na metalowy stojak. Nie zwracała uwagi na to, że stelaż dźga ją boleśnie w plecy. — Omal nas nie zabili! Gdybyś mnie nie wypchnęła z tego miejsca, już byśmy nie żyły. Słyszysz, co mówię, Maddie? Byłybyśmy martwe! Jeszcze i to ci zamęczam!

— Cicho bądź, Janny. Zrobiłabyś dla mnie to samo. Zobaczyła rewolwery. Nie wiedziałam, że kule robią takie wielkie dziury. Nigdy nie widziałam tyle krwi.

— O mój Boże, całą sukienkę mam zalaną! Ty też. Będziemy musiały wyrzucić te ciuchy — piszczała Janny.

Pani Ky stała za ladą i płakała z twarzą ukrytą w dłoniach. Maddie z najwyższym wysiłkiem przesunęła się od stojaka w jej stronę. Po raz pierwszy spojrzała na mnogość małych ciasteczek na półkach. Wszystkie lubiła. Uwielbiała wszystko co z cukrem. Znów wdychała zapach przejrzałych owoców i lukrecji zastanawiając się, skąd pochodzi. Może to płyn do czyszczenia, bo przecież sklep nie prowadzi owoców. Później zapyta. Jest w szoku, pomyślała, potykając się.

Stała za ladą, obejmując ramionami kobietę i patrzyła na ciała przy wejściu.

— To morderstwo — zachłysnęła się Janny. — Byłyśmy świadkami morderstwa! Merrill Lynch nie będzie zachwycony. Znajdziemy się na pierwszych stronach jutrzejszych gazet. Pomyśl o swoim sklepie i tych wszystkich spojrzeniach. Boże! — Urwała. Samochód policyjny podjechał do krawężnika, za nim następny, a potem trzeci wraz z ambulansem i przy dźwięku syreny zaparkował obok pierwszego wozu.

Przestraszone kobiety przysunęły się do siebie, gdy policjanci wpadli do małego sklepiku.

— Proszę, by mi ktoś opowiedział, co się stało — powiedział miękko mundurowy funkcjonariusz.

— Wychodziłyśmy — zaczęła Maddie zająkując się. — Ten samochód... jechał powoli, okno miał opuszczone.... Jest tak gorąco i pamiętam, jak pomyślałam... Nie pamiętam, co myślałam... Pomyślałam, że ci dwaj... ci dwaj mężczyźni wchodzili do sklepu... Zobaczyłam rewolwer... dwa rewolwery... Upuściłam lody i...

— Odciągnęła mnie z tego miejsca i uratowała mi życie — wtrąciła Janny histerycznym tonem.

— Czy widziała pani człowieka z rewolwerem?

— Bardzo dokładnie — odparła Maddie i pożałowała natychmiast słów, które wyrwały się z jej ust. Niemal zobaczyła, jak w tym momencie zmienia się jej życie.

— A pani? — zwrócił się policjant do Janny.

— Widziałam go. Miał bardzo dużo włosów. To wszystko stało się tak szybko. Wszystko zbryzgane krwią. Myślałam, że zbita szyba pokaleczy nas.

— A co pani widziała? — zwrócił się policjant do sklepikarki.

— Nie, ja nic nie widziałam. Widziałam tylko, jak ci dwaj mężczyźni padać. Mnóstwo krew. Za dużo krew. Mój mąż pójść do domu spać. M otwarci całą noc. On bardzo zmęczony. Czy mogę go przyprowadzić?

— Jeszcze nie teraz, proszę pani. Musimy spisać pani zeznanie. Proszę, by pozostały tu panie, aż przyjedzie detektyw Nester. Proszę oStarac się przypomnieć sobie wszystko, co panie

widziały, łącznie z minutami, zanim to się stało, i kiedy było po wszystkim; wszystko, bez względu na to, jak nieważne może się to paniom wydać.

— Kto jest w stanie myśleć w takiej chwili? — wykrzyknęła z płaczem Janny.

— Wszystko będzie dobrze, pani Ky — rzekła Maddie. — Niedługo pozwolą pani iść po męża. Oni muszą... muszą robić, co do nich należy. To teraz — powiedziała słowami zapamiętanymi z artykułów gazetowych — jest miejsce przestępstwa. Nie możemy wyjść. Muszą pozaznaczać wszystko kredą i umieścić żółtą taśmę czy... coś takiego. Może zaparzyłybyśmy jjn świeżą kawę. Byłoby coś do roboty — zakończyła bez przekonania.

— To głupi pomysł — zamruczała Janny. — Oni są teraz... sztywni. Jak kogoś zabiją tak jak tych, mówią, że jest sztywny.

— Czy to gangsterzy? — wyszeptała pani Ky.

Maddie rzuciła spojrzenie Janny. Gangsterzy to przestępcze rodziny i typy z podziemia.

— Boże! — jęknęła.

— To była likwidacja — odezwała się Jannie z histerią w głosie. — Widzieli nas i my ich widzieliśmy. Trzeba było skłamać. Dlaczego nie skłamałyśmy?

— Bo nie jesteśmy oszustkami. Dlatego. Oczekuje się od nas prawdy, gdy stanie się coś takiego. Przecież to prawda — Maddie na widok malującego się na twarzy przyjaciółki niedowierzania przyjęła pozycję obronną.

— Jesteśmy już martwe! — oświadczyła dramatycznie Janny.

— Daj spokój, Janny. Śmiertelnie przerazisz panią Ky. To znaczy, niemądrze ją straszysz.

W drzwiach sklepu pojawił się mężczyzna w jasnym ubraniu, przedstawił się jako detektyw Nester i zapytawszy o tylne wyjście, oznajmił, że powinni wyjść na zewnątrz i porozmawiać.

Pierwsza myśl Maddie dotyczyła jego pospolitego wyglądu. Jak człowiek o tak zwyczajnej powierzchowności będzie w stanie poradzić sobie z tym rozgardiaszem? Spojrzała mu w oczy i zmieniła zdanie. Płowe włosy, piwne oczy, żadnych cech charakterystycznych w twarzy, wąsy. Tu trochę charakteru, pomyślała. Ktoś mu prasuje koszule; na rękawach są załomki. Był zgrzany i spocony, ale z krawata nie zrezygnował. Zdecydowanie górował nad nimi wzrostem. Sprawiał wrażenie, że albo ćwiczy, albo Wegą. Tak jak Pete.

— Czy pan biega? — spytała nie rozumiejąc, dlaczego zadaje to głupie pytanie.

— Sześć kilometrów codziennie rano. — Jemu to pytanie zupełnie nie wydało się dziwne.

Wyszli ze sklepu i uderzyło ich gorące, wilgotne powietrze. Znaleźli się w otoczonej ścianami przestrzeni na zapleczu. Maddie poczuła drżenie szczęki. Oparła się o pojemnik na śmieci.

— Proszę mi teraz wszystko opowiedzieć — zwrócił się do nich cicho Nester.

Wszystkie spływały potem, gdy detektyw wprowadził je z powrotem do sklepu. Maddie omal nie upadła pod podmuchem chłodnego powietrza. Poprosiła o aspirynę i połknęła gorączkowo cztery. Ciała zostały już zabrane.

— Sanders — zwrócił się Nester do dwóch mundurowych. — Zabierzcie panią Ky do mieszkania i sprowadźcie jej męża. Zaplombujcie sklep. Zostaniecie tu obaj z Mendelem, aż was zwolnią.

— A co z nami? — spytała Janny.

— Muszę zabrać panie ze sobą. Zgodziłyście się na obejrzenie książki ze zdjęciami. Odwieziemy was do domu.

— Czy nie mogłybyśmy się przebrać? Niech pan tylko popatrzy... Chciałabym wziąć prysznic. Maddie strasznie boli ząb... Czy nie możemy zrobić tego jutro?

— Ja jutro nie mogę — potrząsnęła głową Maddie. — Mam uroczyste otwarcie. Proszę posłuchać — zwróciła się do policjanta. — Janny ma rację, musimy... zmienić ubranie. Któryś z policjantów może poczekać, jak będziemy się przebierały.

Detektyw dosłyszał nieustępliwość w jej głosie i skinął przyzwalająco głową.

Gdy policjant nazwiskiem Melas prowadził je za róg, do mieszkania Maddie, na zewnątrz zgromadził się już tłum.

Witająca je w drzwiach Tillie wygięła grzbiet i fuknęła z niechęcią na widok błyszczących czarnych butów policjanta. Maddie wyjaśniła mu, że kotka nie lubi mężczyzn, i schyliła się, by podnieść rozzłoszczoną pupilkę. Przeszła wraz z Janny do pokoju, zamknęła drzwi i zaczęła ściągać z siebie ubranie.

— Wszystko do wyrzucenia. Nigdy więcej tego nie założę.

— Krew nie schodzi — odezwała się Janny, która odzyskała już spokój. — Czasami pomaga soda, może to chodzi o kaustyczną? — Ubranie Janny też znalazło się na kupce.

— Weź prysznic pierwsza — odezwała się Maddie — a ja wybiorę dla nas coś do założenia. — O cholera! — wyrwało jej się, gdy spojrzała na automatyczną sekretarkę. — Pete na pewno dzwonił, gdy nas nie było. — Nacisnęła guzik i przymknęła oczy, gdy usłyszała ciepły, kocha ny głos.

— Cześć, malutka. Domyślam się, że nie ma cię w domu. To oczywiste, przecież jest niedzielne popołudnie. Jesteś pewnie w sklepie z Janny albo poszłyście do kina. Tęsknię za tobą. Gdybym zjadł jeszcze jednego ananasa, chyba bym pękł. Wszystko tutaj jest wspaniałe. Chciałem po prostu zadzwonić i życzyć ci szczęścia w związku z jutrem. Wiem, że rzucisz klientów na kolana. Rób wielkie pieniądze, abym mógł się zwolnić. Będziesz mnie utrzymywać. Spróbuję zadzwonić jutro wieczorem, by się dowiedzieć, jak poszło wielkie otwarcie. Kocham cię, Maddie. Wprost trudno mi uwierzyć, że trafiłem na ciebie wśród tysięcy ludzi w Nowym Jorku. Nie mogę się doczekać, by cię zobaczyć. Każdej nocy marzę o tobie. Fuknij na Tillie ode mnie. Powiedz jej, że za nią też tęsknię, i pozdrów Janny. Całuję cię, Maddie. Łzy spłynęły jej po policzku.

— Ja też cię całuję, Pete — wymamrotała. Płakała jeszcze, gdy Janny, owinięta w jeden z puszystych kąpielowych ręczników Pete'a, wyszła z łazienki.

— Twoja kolej. Czy to Pete? Domyślam się z łez na twojej twarzy.

— Musimy doprowadzić to do końca — stwierdziła Maddie i zajęła miejsce pod prysznicem.

Woda uderzała w nią, a ona płakała. Potrzebna jej rozmowa z Pete'em. Jest prawnikiem, jest nim też jego wuj. Jak tylko wróć z policji, zadzwoni do niego. Może będzie wiedział, jak mogłaby się skontaktować z Pete'em. Niemal natychmiast zrobiło jej się lepiej.

Całymi godzinami, popijając gorzką czarną kawę smakującą jak błoto z wiejskiego podwórza, przeglądały albumy ze zdjęciami przestępców. O siódmej zjadły zeschnięte kanapki z wołową konserwą i piklami.

— Jeszcze godzina, proszę pana — zwróciła się Maddie do detektywa o jedenastej wieczór — i na tym koniec. Mam jutro otwarcie sklepu.

— Ja też — powiedziała ponuro Janny. — Może to byli nietutejsi lub coś innego.

— Patrzcie dalej, moje panie — rzekł cicho Nester. — Może to was zdziwi, ale od dwóch dni nie widziałem własnych dzieci. Wychodzę, nim wstają, a jak wracam do domu, już śpią.

Dwadzieścia po jedenastej brwi Maddie podskoczyły tak, że omal nie dosięgły linii włosów. Trąciła Janny łokciem i pokazała.

— To on! — wykrzyknęła Janny. — Zobacz, a to ten drugi. Popatrz na jego włosy. Wiedziała, że ma ich mnóstwo. Może to peruka albo takie coś, co mężczyźni przyklejają sobie na głowie. Nazywają to treski czy jakoś tak.

Nester pochylił się, by spojrzeć na zdjęcia.

— Wielka sprawa, moje panie. Naprawdę wspaniała rzecz.

— Co to znaczy? — spytała nerwowo Maddie.

— Mają ojca chrzestnego, który ich ochrania.

— A kto będzie chronił nas? — spytała Maddie z żarem.

Na twarzy Nestera odmalował się niesmak.

— Jak to kto? Policja.

— Przeciwno mafii? — Zdumiała się Janny. — Przecież oni zabijają o ludzi nawet w więzieniu. Jeśli wyobraża pan sobie, że mam zamiar... wskazać... to niech pan wymyśli coś innego. Kanapka i kawa nie dają panu żadnych praw. W każdym razie nie do mnie.

— Panie zdaje się oglądają za dużo telewizji. Chyba nie spodziewacie się, że uwierzę w to, byście pozwoliły bandzirom zastrzelić dwóch niewinnych ludzi, zniszczyć sklep niewinnej kobiety, i nic z tym nie zrobiły.

— Myślę, że Janny ma rację, panie Nester. Naprawdę nie chcę być w to zamieszana. Powiedziałyśmy panu, kim oni są i może pan to wykorzystać.

— W ten sposób nic z tego nie wyjdzie — pokręcił głową Nester. — . Jeśli panie nam nie pomogą, tamci odejdą wolno i nie zostaną ukarani. Czy chcielibyście, aby tak się stało?

— Oczywiście, że nie — powiedziała Janny — ale jestem też tak wielką egoistką, że nie chcę ryzykować życia.

— Będziecie pod opieką policji.

— Dla mnie to niewielkie pocieszenie — stwierdziła Maddie. — Kiro byli ludzie, których zabito?

— Zwykłe płotki — wyjaśnił. Przyglądał się Maddie uważnie. Instynkt podpowiadał mu, że jej decyzja wpłynie na decyzję jej przyjaciółki.

Maddie myślała o całym swym życiu, o Peterze i o nowym sklepie, Jeśli zrobi to, czego chce ten człowiek, wszystko może się zawalić. Przypomniawszy jej się dom w Connecticut i pomyślała o tym, jak będzie się kochać z Pete'em przed kominkiem.

— Zgadzam się z Janny. — Wstała i wyprostowała się z oczami utkwionymi w przyjaciółkę. — Chcę już jechać do domu — oświadczyła twardo.

— Ja też — potwierdziła Janny, dziękując jej spojrzeniem. Przemknęła do Maddie po wsparcie, jakby spodziewała się, że detektyw zawlecze je z powrotem na miejsca.

Nester rozluźnił krawat. Szarpnął i ściągnął go przez głowę, po czym rzucił na biurko. Maddie pomyślała, że to ładny krawat. Detektyw też zresztą okazał się miły. Sama była zaskoczona, gdy zapytała go o panią Ky. Jannie wytrzeszczyła na nią oczy.

— Czy pyta mnie pani o jej bezpieczeństwo? Nie potrafię pani odpowiedzieć. Powiedziała, że nic nie widziała. Ja jej wierzę, pani jej wierzy, tylko czy oni jej uwierzą? Samo to powinno stać się dla was dostatecznym powodem do spełnienia obywatelskiego obowiązku.

Maddie ściągnęła brwi.

— Proszę pana, miałyśmy pecha, że znalazłyśmy się o niewłaściwi godzinie w niewłaściwym miejscu. Powiedziałyśmy panu, którzy to są. Nie mam zamiaru pozwolić zrujnować sobie życia. To pańskie zadanie chronić panią Ky. Nas także — dodała. — Pan tego nie robi, jeśli nie zgodzimy się na to, czego pan chce, prawda? Czy tak?

— Nie, nie tak. Zrobimy, co w naszej mocy, ale nie jesteśmy niańkami.

— No to na czym właściwie stoimy? — spytała Janny.

— Myślcie panie, cokolwiek chcecie — odparł mężczyzna cicho. — Ochrona policyjna nie jest taka zła. Umieścimy panie w przyjemnym hotelu, będziemy płacić za posiłki i damy wam dwudziestoczworgodzinną ochronę. Po wniesieniu aktu oskarżenia i postawieniu ich w stan oskarżenia będziemy czekać na proces. Zeznanie pań wsadzi tych drani za kratki. Pokażecie panie, że to miasto i wszyscy niewinni ludzie nie będą tolerować takich rzeczy. To przecież takie nam bliskie, powinnyście panie zastanowić się nad tym.

— Właśnie się zastanawiam — odparła Maddie. — Co stanie się z nami, kiedy już przestaniemy być wyjątkowo traktowane? Po procesie? Jak długo będziecie nas ochraniać? Dzień, parę tygodni czy miesięcy? Może lat?

— Tak długo, jak będzie trzeba — stwierdził.

Nim dotarły do Czarodziejskich Opowieści, Maddie myślała, że wyskoczy ze skóry. Zauważyła, że lewa powieka Janny drga wyraźnie w nerwowym tiku.

Otworzyła okiennice frontowego okna. W nozdrza uderzył ją zapach świeżej farby, tapety i nowych towarów. Janny włączyła światło. Salę bajek zalał miękki, łagodny blask i zmieszał się z ciepłym migotaniem sierpniowego słońca. Maddie włączyła klimatyzację.

— Nie ma tu już nic więcej do roboty. Tylko powiedziec dzień dobry pierwszemu klientowi, który przekroczy te drzwi — odezwała się Janny. — Zrobię kawę, a ty zadzwoń do wuja Pete'a. Mamy jeszcze całą godzinę do otwarcia. Mogłabyś zadzwonić do Nestera i dowiedzieć się, czy są... jakieś wiadomości. Mogli już złapać tych facetów.

Tęczowy wschodni kaftan, który miała na sobie Maddie, szeleścił niespokojnie, gdy szła do małego biura na tyłach sklepu. Uzyskała już połączenie, gdy dobiegł ją brzęk frontowych drzwi. Usłyszała, jak Janny wstawia zbiornik ekspresu do zlewu. W chwilę później mignęły jej imbirowe spodnie kogoś zmierzającego szybko w stronę sklepu i Janny rzuciła przez ramię, że to detektyw Nester.

Przez chwilę słuchała w skupieniu osoby na linii.

— Chciałabym zostawić wiadomość — powiedziała. — Proszę przekazać panu Sorensonowi, że dzwoniła Madelyn Stern, narzeczona Pete'a. Byłabym wdzięczna, gdyby zadzwonił do mnie do sklepu lub do domu po szóstej.

Podawała oba numery. Dlaczego zaskoczyła ją wiadomość, że starszy Sorenson jest w sądzie? Jest przecież adwokatem, a ci większość czasu spędzają w sądzie.

Przeszła na front sklepu i podeszła do pogrążonej w rozmowie z detektywem Janny. Uśmiechnęła się słysząc, jak przyjaciółka wyjaśnia zasady którejs z gier. Nester poświęcał jej uwagę całkowicie.

— Kupię taką — oznajmił.

— Sklep nie jest jeszcze otwarty — wtrąciła się Maddie niemądrze.

— Chciałem ominąć tłok. To żona powiedziała mi o tym sklepie. Nie może się doczekać, żeby tu przyjść i tracić moje pieniądze. Zdaje się, że ma pani wysokie ceny — rzekł łagodnie. — Ogromny metraż. Domyślam się, że czynsz jest wysoki. Żona tłumaczyła mi sprawę marż. A więc, czy przemyślały panie to, o czym rozmawialiśmy ubiegłego wieczoru?

— I tak, i nie — odparła Maddie. — Jesteśmy przerażone, ale pan to zapewne już wie. Nie rozumiem, dlaczego mamy być nieprzytomne ze strachu. Nic złego nie zrobiliśmy, a teraz oglądamy się ukradkiem, boimy się zasnąć i boimy się wychodzić. Nie powinno tak być i to nie jest w porządku.

— Rzeczywiście nie, ale tak to właśnie wygląda.

— Wskazałyśmy wam tych ludzi. Nie możecie ich inwigilować? Przecież chyba można ich aresztować bez włączania w to nas. Potrzebujemy adwokata, a to oznacza, że musimy płacić mu honorarium, a nie popełniłyśmy przecież przestępstwa. Co to za sprawiedliwość?

— Taki jest system. Powiedziałem, że muszą panie wskazać ich na bezpośredniej konfrontacji. Nie możecie tylko powiedzieć, że ktoś coś zrobił. Tego nie wystarczy, by policja rzuciła się i aresztowała ich. Ci ludzie też mają prawa. Były panie świadkami zbrodni i waszym obywatelskim obowiązkiem jest wystąpić.

— Kim są ci ludzie? — spytała Janny.

— Zabójcy to Buli Balog i John Naverez, pseudo „Anioł”. Zabici nie mieli żadnych dokumentów. Naszym zdaniem to ważne figury nowojorskiej rodziny. Jeśli nie zdołamy załatwić aresztowania, mordercy pozostaną na wolności i znów będą mogli kogoś zabić. Pewnie nie czytała pani dzisiejszej gazety — powiedział i położył przy kasie egzemplarz „Daily News”. Proszę przeczytać i zadzwonić do mnie. Jak panie zamkną sklep, mogę zabrać „Anioła” i Bulla i postawić do identyfikacji. Życzę pani sukcesu z okazji otwarcia — zakończył Nester, wciskając wesoło opakowany pakunek pod pachę.

— Druga strona, na dole — rzucił jeszcze przez ramię. Maddie zadrżała, gdy zamykał podwójne drzwi.

— Powinnyśmy były policzyć mu podwójnie — stwierdziła Janny. Otworzyła gazetę. Czytała głośno i krew uciekała z jej twarzy. Przycupnięta na taborecie za ladą Maddie była równie blada jak przyjaciółka.

— To absolutne draństwo — wybuchnęła Janny, gdy doszła do końca artykułu. — Pani Ky opisała nas dokładnie. Potem jeszcze powiedziała, że mieszkamy w tym samym domu co ona i podała w dodatku adres. Boże! Czy ta kobieta zna twoje nazwisko?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Nie chodzę tam zbyt często. Tyle co po mleko i chleb, czasem po gazetę. Właściwie to Pete bywa tam częściej niż ja. Kupuje łososia w puszkach dla Tillie. Jestem pewna, że nigdy nie powiedziałam jej, jak się nazywam. To bardzo wstydliva, miła, mała pani. Mówi zawsze do mnie „panienko”. Od czasu do czasu spotykam ją w windzie. Jeśli pamięta, to wie, że wysiadam na siódmym. Ona... mieszka wyżej. — Twarz Maddie ściągnęła się. — Ona wie... O Boże...

— Tylko nie wpadaj w panikę. — Janny dygotała. — Ona... nie powie. Poza tym rozumie przecież sytuację. Nie, nie powie tego. Z jakiego powodu miałyby to zrobić? Ona po prostu przyjmuje, że zdałaś się na policję. W gazecie nie mówią, na którym piętrze mieszkasz. Chyba nie wrócimy tam dziś na noc?

— Rozumie się — wymamrotała Maddie. — Angielski pani Ky nie jest zbyt dobry. Nawet jeśli ktoś ją zapyta, może go nie zrozumieć. Możemy iść do mieszkania Pete’a. Mam klucze. Możemy nawet nie wracać po ubranie. Poradzimy sobie z tym co mamy. Jutro możemy założyć te... kostiumy. W jakimś całodobowym sklepie kupimy bieliznę i szczoteczki do zębów... Nie, tam nie wrócimy — powtórzyła przejęta Maddie.

— Czy to znaczy, że pójdziemy na identyfikację?

— Nie. Tak. Nie wiem. Włącz radio, zobaczymy, czy są jakieś wiadomości. Powinnyśmy były słuchać rano. Dlaczego tego nie zrobiłyśmy? — zapytała Maddie z twarzą ściągniętą niepokojem.

— Bo jesteśmy po prostu głupie — rzekła Janny cierpko.

— Wcale nie jesteśmy głupie. — Maddie zastanowiła się chwilę i zacytowała jedno z ulubionych powiedzonek Pete’a. — Robimy w majtki ze strachu. A niech to szlag, to nie w porządku. Życie nam się zmienia z minuty na minutę, a my nic nie możemy zrobić. Myślę... myślę, że u Pete’a będziemy bezpieczne. Mieszka na Czterdziestej Czwartej między Pierwszą a Drugą. Na dziewiątym piętrze. Możemy korzystać z klatki schodowej i wchodzić tylnymi drzwiami. Muszą przecież takie być. Trzeba wreszcie wypić tę kawę.

* * *

Była już siódma, gdy weszły do mieszkania Pete’a. Przyjechały taksówką, zatrzymując się po drodze tylko przy dwudziestoczwartogodzinnym drugstorze.

— Jak na kogoś, kto dużo wyjeżdża — zauważyła Janny — Pete ma bardzo dobrze zaopatrzoną lodówkę i kredens. Czy on gotuje?

— Jak kucharz dla smakoszy. Słuchaj, podają uzupełnione, nowe wiadomości — powiedziała Maddie siadając na kanapie z oczami wlepionymi w ekran na ścianie.

— Zupełnie, jakby się siedziało w kinie — zauważyła Janny sadowiac się obok. Jednym ruchem rzuciła z nóg pantofle. Poderwała się z fotela na słowa Nester. „Pani Ky dzwoniła na 911, ale nie była w stanie powiedzieć, co się dzieje. Gdy przybyliśmy na miejsce, pan i pani Ky już nie żyli”.

Janny zsunęła się na podłogę, gdy Maddie trzasnęła pięścią w umieszczoną na środku stolika do kawy ozdobę z muszli morskiej. Przez chwilę patrzyła, jak rozsypuje się na parkietową podłogę, po czym poderwała się i podbiegła do drzwi, by sprawdzić zamki. Oddychała ciężko jak długodystansowiec po biegu, gdy wróciła i zwała się na podłogę obok płaczącej w rękaw Janny.

— Jesteśmy następne. Wiem to. Oni nas znajdą. Nie mamy się co ludzi. Powinniśmy wybrać wszystkie pieniądze z banku i uciekać... jak najszybciej się da. To nasza wina, że ci ludzie zostali zamordowani. Jak mamy z tym żyć? — szlochała Janny.

— To nie nasza wina. W jaki sposób? Może jest w tym trochę naszej winy... Nie, nie ma. To wina Nester. To wina policji. Dlaczego nie dali im ochrony, tak jak powiedzieli, że dadzą nam? To ich wina. Ona tych ludzi nie widziała. To my odszukałyśmy ich w tym cholernym brudnym albumie.

— Może to ostrzeżenie dla nas — wykrzyknęła Janny. — To, że tu przyszłyśmy, to najlepsze, co mogłyśmy zrobić. Czy portier w twoim domu wie, gdzie mieszka Pete?

— Nie, skąd miałby wiedzieć? Słuchaj, musimy to spokojnie i rozsądnie przemyśleć, i podjąć jakąś decyzję. Taką, którą będziemy w stanie zaakceptować. Do diabła, teraz nie będę wiedziała, czy dzwonił wuj Pete’a. Muszę znaleźć sposób skontaktowania się z Pete’em. Cały świat obdzwonię, jeśli będzie trzeba. W tej chwili najważniejsze jest nasze bezpieczeństwo: Nikt nie wie o tym mieszkaniu. Nikt nie widział, jak tu wchodziłyśmy. Byłyśmy na tyle mądre, by wysiąść z taksówki parę domów stąd. Zaczynamy myśleć i działać jak przestępcy.

— Powinniśmy ufarbować i obciąć włosy, żeby wyglądać zupełnie inaczej — oświadczyła Janny. — Maddie, coś okropnego przyszło mi do głowy. Czy ktoś w twoim domu wie coś o sklepie?

— Wszyscy — odparła Maddie siadając ciężko. — Pete był taki dumny, że wywiesił wiadomość w hallu. Żartowaliśmy sobie z tego.

— Co my teraz zrobimy?

— Nie wiem, Janny. Nie czuję się na siłach podjąć teraz jakiegokolwiek decyzji. Wiesz, masz takie samo prawo do tego jak ja. Wyszłyśmy sobie tylko na lody, a teraz nigdy już nie będziemy żyły tak jak dotychczas. To niesprawiedliwe.

— Czy drzwi są na pewno zamknięte? — zapytała Janny.

— Tak. Nie ma też za oknem schodów przeciwpożarowych. Jesteśmy tu najbardziej bezpieczne, jak to możliwe. Pete ma zastrzeżony numer, tak że nikt nie może do nas zadzwonić. Jak na razie nic nam nie grozi.

— A co z Czarodziejskimi Opowieściami?

— Janny, nie wiem, naprawdę — wybuchnęła płaczem Maddie. — PO prostu nie wiem.

Luksusowy pokój hotelowy zaczynał się wokół niego zamykać. Wiedział, że ma ostry napad klaustrofobii. Zawsze do tej pory udawało mu się pokonać to, wychodząc na spacer czy wykonując ostre ćwiczenia, dziś jednak nic nie pomagało. W tym momencie Tillie byłaby bardzo miłą towarzyszką.

Chryste, nie cierpi tego biznesu. Nie sposób wprost zrozumieć, że człowiek jest taki dobry w czymś, czego bardzo nienawidzi. A on nienawidzi swej praktyki prawniczej, nienawidzi podróżowania, nie znosi pokoi hotelowych.

Gdzie się podziewa Maddie? Od kilku dni usiłuje się do niej dodzwonić, a teraz centrala informuje, że numer jest odłączony. Nie zaniepokoił się, dopóki nie usłyszał, że telefon Janny również został odłączony. Numer Czarodziejskich Opowieści okazał się chwilowo uszkodzony. Co to wszystko znaczy, do diabła?

Już trzy dni temu powinien był stąd wyjechać, ale jeden z Chińczyków odmówił prowadzenia sprawy przez weekend, a potem powiedział, że nie będzie miał czasu aż do jutra. Cztery dni, w czasie których można jedynie się objąć. Zaklął soczyście.

Gniotło go nieznośnie w dołku i nie miało to nic wspólnego z wypitym burbonem. Denerwował się, choć nie bardzo wiedział, dlaczego. Do diabła, musi porozmawiać z Maddie. Musi usłyszeć jej głos. Wciąż nie wie, jak przebiegł dzień otwarcia Czarodziejskich Opowieści.

Położył się na puszystych poduszkach. Dziewięć dni do ślubu. Panu Li Yuen zawdzięcza cztery ponadplanowe.

Bez względu na wszystko, dwudziestego szóstego sierpnia wyjeżdża. Nikt nie zrukuje mu dnia ślubu. Nikt!

Sięgnął po telefon. Wybrał zestaw numerów i czekał. Jego własny głos na automatycznej sekretarce mamrotał przez przewód. Tam również Maddie nie było. Wybrał znowu i uśmiechnął się na dźwięk głosu Annie Gabriel. Jego koleżanka, przyjaciółka, kumpel i towarzysz. Nie mógł się doczekać, by przedstawić ją Maddie. Zapalił papierosa, po czym znowu pociągnął potężny łyk burbona.

— To ty, Pete? Gdzie cię poniosło? Zupełnie, jakbyś był o tysiące kilometrów stąd.

Lubił ten zduszony śmiech w jej głosie, podobała mu się energia, którą wkładała we wszystko, co robiła. Annie zależy na nim. Jest lepsza niż dwie siostry.

— Jestem w Hongkongu. Co u ciebie, Annie?

— Obijam się. A co z tobą? Kiedy przyjeżdżasz do Bostonu?

— Już niedługo. Chciałbym, abyś coś dla mnie zrobiła. Nie znoszę prosić, ale niepokoję się o Maddie. Czy mogłabyś skoczyć do Nowego Jorku i sprawdzić, co się dzieje?

— Myślę, że przeżywasz po prostu gorączkę przedślubną. Co cię tak denerwuje?

Opowiedział jej wszystko.

— Dobrze, natychmiast po pracy polecę. Dla ciebie, przynajmniej tym razem. Czy możesz mi podać numer, pod którym będę mogła cię zastać?

Podał jej kierunkowy, a potem numer hotelu. Podał jej adresy Maddie i Janny.

— Sprawdź też Czarodziejskie Opowieści. To sklep, który Maddie właśnie otworzyła. Telefonistka powiedziała, że linia jest czasowo uszkodzona. Mówią mi to od wczoraj. Przykleiłem się już do telefonu. Posłuchaj, zostań w moim mieszkaniu. Nie ma sensu, żebyś płaciła za hotel, a ja ci zwrócę za samolot. Jesteś jedyna na milion.

— Po to ma się przyjaciół, Pete. Czy jesteś pewien, że zdążysz wrócić na ślub?

— Jasne, że tak. Mdli mnie już od tego tyrania. Mam dość. Chcę pożyć. Potrzebny mi rok...

— Tak, wiem, surfing. Wielkie marzenie. Chcesz piec smakołyki na plaży, kochać się na piasku, pływać w świetle księżyca, jeść zimne parówki i pić ciepłe piwo na śniadanie. Odszukać Barneya. Wszystko pamiętam, Pete.

— Pewnego dnia wybiorę się do Bell's Beach i nikt mi w tym nie przeszkodzi. Kiedyś znajdę też jakoś Barneya. A co u ciebie? Czy jesteście z Dennisem gotowi do zawiązania tego węzła? — Po drugiej stronie zapadła cisza i Pete powtórzył pytanie.

— Wczoraj, przy lunchu z krabem i szampanem, Dennis powiedział, że chce przez rok być beze mnie, by przekonać się, czy jestem dla niego odpowiednią kobietą. Tak to jakoś brzmiało. Pozbył się mnie. Wszystko w porządku, nie musisz mi współczuć. Lepiej, że to stało się teraz. Straszne byłoby, gdybym musiała przejść przez rozwód. Jeśli wyjdę za męża, to na zawsze. Wiesz o tym.

— To przykre — rzekł Pete gniewnie. — Dennis nigdy nie znajdzie lepszej od ciebie. To strata dla tego pieprzonego głupca, pamiętaj o tym.

— Chciałam cię zapytać, dlaczego nie wybieracie się z Maddie na miodowy miesiąc do Bell's Beach. Mówiłeś, że zawsze chciałeś jechać do Australii. To przecież twoje marzenie. Jeśli nie zrobisz tego teraz, możesz nigdy się tam nie znaleźć.

— Wszystko, na co możemy w tej chwili sobie pozwolić, to długi weekend. W Czarodziejskich Opowieściach potrzebny jest szef, a ja mam sprawy, których nie mogę zaniechać. Pojadę tam, nie martw się. Jak interesy? Chciałbym, abyś rzuciła Boston i przeszła do pracy do mnie. Stanowilibyśmy dobry zespół.

— Raty taty. A poważnie, doceniam twoją propozycję, bo wiem, że jest szczerą, ale nie jestem jeszcze gotowa do szybkiej jazdy. Mam tu swój kącik i dobrze się w nim czuję. Na początku przyszłego roku mam szansę na spółnictwo. Myślę o tym.

— Annie, są twoje, musisz tylko poprosić.

— Wiem, Pete, tylko prośenie jest właśnie takie trudne. Słuchaj, muszę kończyć i gonić, jeśli mam złapać to połączenie. Czy jesteś pewien, że pozwolą mi do ciebie wejść?

— Jasne. Jak tylko się rozłączę, zadzwonię tam. Skontaktuj się ze mną, jak tylko czegoś się dowiesz.

Skończyli rozmowę i Pete popatrzył na telefon i butelkę po burbonie. Był wystarczająco pijany, by zrobić coś głupiego. Zamroczony alkoholem zadzwonił do Dennisa Morrisa i po chwili już słyszał jego głos.

— Ty głupi sukinsynu — bełkotał. — Dlaczego rzuciłeś Annie? To najlepsze, co mogło cię w życiu spotkać.

— Czy to ty, Pete? Posłuchaj, nie muszę ci się tłumaczyć. To, że dzieliliśmy pokój w czasie studiów, nie daje ci prawa mieszać się w moje życie prywatne, nawet jeśli Annie jest twoją byłą dziewczyną.

— Annie nigdy nie była moją dziewczyną i ty o tym wiesz. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Na litość boską, ona jest dla mnie jak siostra.

— Siostra w Chrystusie! Jest zakochana w tobie od dnia, kiedy robiliśmy naszą pierwszą pokazówkę.

— Zwariowałaś — wybąkał Pete.

— A ty jesteś święty Jan! Dobrze o tym wiesz, tylko nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy. Mam dość życia — w cieniu twojej osoby. W kółko tylko Pete powiedział to, Pete powiedział tamto, Pete robi to czy tamto.

— Znalazłeś się na niewłaściwym tropie, Dennis. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, przeszliśmy wspólnie mnóstwo ciężkich chwil. Zawsze mogłem na nią liczyć i wydaje mi się, że ona mogła liczyć na mnie, nic poza tym.

— Może dla ciebie rzeczywiście nic, ale spróbuj powiedzieć to jej. Czy wiesz, co zrobiła, gdy usłyszała, że się żenisz? No, wiesz? — powtórzył natarczywie Dennis, gdy Pete nie odpowiedział.

— Nie. Wypiliśmy kilka kieliszków, to wszystko.

— Pewnie, tylko potem wypija jeszcze parę, no i dobrze, potem jeszcze dwadzieścia pięć kolejnych. Barman od Kelly'ego zadzwonił do mnie i powiedział, żebym przyjechał ją zabrać. Była pijana w trupa i wciąż płakała i jęczała. Wymiotowała w taksówce, na schodach domu, a potem jeszcze obrzygała cały salon. Później nigdy już nie było tak jak przedtem. I jeśli chcesz wiedzieć, to ty jesteś kompletnym głupcem, jeśli chodzi o Annie Gabriel.

— Odpieprz się, Dennis! — wrzasnął Pete. Odłożył z trzaskiem słuchawkę i aparat zsunął się z nocnej szafki.

Potem zaczął myśleć o Annie. Musiał przeanalizować to, co usłyszał od Dennisa. Przecież fakt, że jego zdaniem Dennis to dureń, nie oznacza wcale, że facet nie wie, co mówi. Czy Annie jest w nim zakochana? Właściwie nie wie. Dzwoni do niego, a on dzwoni do niej, tak jak robią dobrzy przyjaciele. Są w stałym kontakcie, pamiętają o swych urodzinach, posyłają sobie nawzajem bożonarodzeniowe życzenia. Jak dobrzy przyjaciele dzielą się doświadczeniami i od czasu do czasu troskami. Pocieszają się, składają sobie gratulacje i... uśmiechają przez łyzy. Kochają się, ale nie są w sobie zakochani.

Dennis nie ma zielonego pojęcia, co plecie. Annie to prawdziwa, lojalna przyjaciółka, a Dennis po prostu nie potrafi się pogodzić z istnieniem w jej życiu innego mężczyzny. Idź do cholery, Dennis, rzucił Pete sam do siebie. Do diabła z twoimi problemami. Zapadał w drzemkę z nadzieją, że przyśni mu się Maddie, lecz to uśmiech Annie wiódł go w objęcia Morfeusza.

* * *

Annie wysiadła z samochodu przed domem Maddie. W zasięgu wzroku nie było portiera. Spacerowała korytarzem minutę czy dwie, zanim nacisnęła przycisk windy, która chyba była zablokowana na piętnastym piętrze. Annie ruszyła na klatkę schodową. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Dom okazał się stary, farba się łuszczyła, a wykładzina była przetarta, dziewczyna wiedziała jednak, że czynsz jest ogromny. Sprawdziła numer w notesie i zadowolona ruszyła do drzwi Maddie. Przytwierdzony do drzwi kawałek białego papieru głosił: „W związku z nagłym wypadkiem w rodzinie wyjechałam z miasta”. Notatka nie miała podpisu, ale i tak nie wiedziała, czy to pismo Maddie, czy nie. Przez chwilę przestępowała z nogi na nogę zastanawiając się, jakby tu otworzyć zamek. Wyciągnęła jedną ze swych kart kredytowych. Przesuwała nią uważnie w różne strony myśląc, że takie rzeczy udają się pewnie tylko w kinie, gdy nieoczekiwanie drzwi stanęły otworem. Weszła do środka i natychmiast się cofnęła.

Coś było nie w porządku. W słabym świetle przenikającym do mieszkania z korytarza dostrzegła straszliwy bałagan. Instykt ostrzegł ją przed wchodzeniem do środka. Zamknęła drzwi. Na dole portier popatrzył na nią podejrzliwie.

— Szukam panny Stern — powiedziała Annie. — Pana nie było, więc poszłam na górę. Czy nie wie pan, dokąd wyjechała?

— Od trzech czy czterech dni nie widziałem panny Stern — pokręcił głową mężczyzna.

Annie podziękowała i wyszła. Doszła do Pierwszej Alei i złapała taksówkę. Podała kierowcy adres Czarodziejskich Opowieści.

To, co pragnęła wydobyć z ciemności, stanowiło tajemnicę, wiedziała jednak, że Pete spyta ją, czy była w sklepie. Wiedziała zarazem, że jest w nim system alarmowy i nie ma co próbować otwierać zamka.

Dwadzieścia minut później udawała osobę oglądającą wystawy i zapuszczała oko między żelazne kraty rozciągnięte na oknie. Na tyłach sklepu widziała słabe światło, ale było go zbyt mało, by rozpoznać jakiegokolwiek szczegóły. We wnętrzu panował chyba porządek i wszystko wyglądało normalnie. Nikt z przechodniów nie zatrzymywał się, nie wywołała też niczyjego zainteresowania. Wszak to Nowy Jork, gdzie zapewne nikt nikomu nie pomaga, nikt też nie spojrzy drugiemu człowiekowi w oczy. Wróciła do oczekującej z bijącym licznikiem taksówki i podała adres Pete'a.

Portier otworzył jej drzwi mieszkania. Zapaliła światło i rozejrzała się wokoło. Przyjemnie. Ciekawe, dlaczego właściwie nigdy jej tu nie zaprosił. Wszystko w skórze, bardzo wygodne. Dekorator, on lub ona, neutralnymi tonami podkreślił wielkość pomieszczenia. Mieszkanie miało dwie sypialnie, kuchnię z miejscem do spożywania posiłków oraz właściwą jadalnię. Jedną ze ścian salonu zajmował słusznych rozmiarów kominek, na przeciwległej zamontowany był ogromny ekran telewizyjny. Kiedy Pete ma czas na oglądanie telewizji czy bawienie się kominkiem?

Na pierwszy rzut oka mieszkanie sprawiało wrażenie nie używanego i nie zamieszkałego. Zmarszczyła brwi, gdy zobaczyła w kuchni filiżanki po kawie i pozostałości kawy w dzbanku. Królewskich rozmiarów łóżko w sypialni było nie posłane, na nocnym stoliku stała butelka likieru oraz dwa kubki z czymś, co wyglądało na kakao. Pochyliła się i powąchała poduszki. Dwa różne zapachy, ale nie wody po goleniu. Jeden zidentyfikowała jako „Silence”, gdyż miała buteleczkę z próbką, drugi był jej nieznanym. Wyczuła lekki kwiatowy aromat, z pewnością nie męski i nie pochodzący z szamponu. Maddie i jej przyjaciółka Janny, o której Pete wspominał. Być może — to miałyby sens.

Gdy zadzwoniła do Pete'a, podjął słuchawkę przy drugim sygnale. Przedstawiła mu się, starając się nadać głosowi lekkość.

— Co się dzieje, Annie? Opowiedziała.

— Maddie nie ma żadnej rodziny — stwierdził — poza macochą i przyrodnim bratem, z którymi się nie kontaktuje. Janny również nie ma rodziny, dzięki czemu tak dobrze się rozumieją. Były dziećmi z domów opieki.

— Pete, jak wyglądało twoje mieszkanie, kiedy stąd wyjeżdżałeś?

— Pewnie niezły bałagan, ale dwa razy w tygodniu przychodzi Leona do sprzątania. Czy nawaliła?

— Ktoś tu był. Łóżko jest nie posłane i widać, że na obu poduszkach ktoś spał. Jest kilka kubków i butelka likieru, i nie wyglądają, jakby były z sypialni.

— Nie, nic takiego nie wchodzi w rachubę. Wyjeżdżałem od Maddie. Wydaje mi się, że w kącie były zwalone moje ubrania, zawiniątko do prania, które Leona zabiera zawsze po drodze do domu. Czy na stole w jadalni jest rachunek?

— Nic tam nie ma, nawet kurzu.

— W takim razie była tam po moim wyjeździe.

— Czy Leona to kobieta, która lubi sobie pobałować? — spytała Annie nieufnie.

Prychnął tylko.

— Ma sześćdziesiąt pięć lat i artretyzm w obu kolanach. Jest nieszczęśliwie zamężna z jakimś nicponiem i nie ma czasu na zabawianie się, a poza tym nie ma klucza. Za każdym razem portier ją wpuszcza i zamyka mieszkanie po jej wyjściu. Na Boże Narodzenie płacę uczciwie za tę drobną usługę. Coś jest nie tak.

— Rzeczywiście, coś tu wygląda niezbyt dobrze. Ale w końcu możliwe, że coś nagłego się wydarzyło i Maddie, a może Janny, wyjechała, by zrobić to, co musiała. — Nawet dla niej własne słowa zabrzmiały nieprzekonująco. — Jakie są możliwości, abyś wcześniej wrócił?

— Niewielkie. Jeśli wyjadę, transakcja nie dojdzie do skutku. Jestem jej gwarantem. Z jakichś powodów ci ludzie mnie lubią i chyba darzą zaufaniem, ponieważ wciąż nalegają, bym to ja załatwił sprawy prawne. Nie ma sposobu, bym teraz wyjechał. I tak muszę nadrobić cztery dni, a to znaczy, że będę pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wybierz się rano do sklepu i zobacz, co się tam dzieje, i jak tylko to sprawdzisz, natychmiast do mnie zadzwoń. Nie wiem wprost, jak ci dziękować. Jutro porozmawiamy.

Z jakiegoś powodu, być może dlatego, by nie dokładać mu więcej zmartwień, postanowiła nie mówić, że tam była. Rano pójdzie jeszcze raz.

— Wiem, że ty byś to dla mnie zrobił. Dobranoc, Pete. Odstawiła telefon na mały stolik nocny obok zdjęcia Pete'a i Maddy, po czym wzięła je do ręki. Jest śliczna. Wyglądają oboje na bardzo szczęśliwych. Oczy jej zwilgotniały.

— Uczyń go szczęśliwym — wyszeptła. — Proszę cię, nie skrzywdź go.

Było jeszcze za wcześnie, by udać się na spoczynek, więc pościeliła łóżko i wyniosła kubki oraz butelkę likieru do kuchni. Zanim przygotowała sobie dzbanek kawy, wszystko pozmywała. Zajrzała do pustej lodówki i uświadomiła sobie, że jest głodna. Pełen był tylko zamrażalnik i wszystko było zmarznięte na kamień. Udało jej się poluzować i wydobyć obwarzanek i kostkę masła. Umieściła je w mikrofalówce, by rozmarzły.

Zrzuciła pantofle i po drodze do łazienki rozpięła zakiet garsonki. Na drzwiach zobaczyła welurowy szlafrok w pasy. Z pewnością należy do Pete'a, myślała, wdychając znajomy zapach. Wsunęła ręce w rękawy szlafroka i przewiązała się paskiem. Przez krótką chwilę pozwoliła sobie na wtulenie twarzy w rękaw, po czym powróciła do kuchni. Nalała sobie kawy, wzięła teczkę i przeszła do salonu. Skulona na kanapie czytała gazetę, którą wzięła na lotnisku. Za nic w świecie nie będzie się dręczyć spaniem w jego łóżku. Jeszcze raz złapała się na pytaniu, dlaczego Pete nigdy nie zaprosił jej do tego mieszkania. Do Nowego Jorku zapraszał ją często, umieszczał w Carlisle i płacił rachunek, ale tu nigdy nie przyprowadził.

Dennis ma rację, jest zakochana w Sorensonie. Miłością bez wzajemności.

— Dobrze by było, Maddie Stern, abyś kochała go tak jak ja, to wszystko, co mogę powiedzieć — mamrotała przez łyżę, wertując Stronice „Timesa”. Przeleciała oczami po artykule na temat zaskarżenia General Motors o sprzedawanie jednego z wozów, mimo iż wiadomo było o wycieku płynu hamulcowego. Niech inny prawnik sobie z tym radzi. Ciekawe, czy Pete wie, że Jack Nicklaus zdobył tytuł w golfie. Trzeba będzie mu o tym powiedzieć. Prześlizgnęła się po skąpej kronice kryminalnej i przeczytała, że dwóch ludzi zastrzelono z zimną krwią w biały dzień w niedzielne popołudnie. „No i masz Nowy Jork”, powiedziała. Kobieta, która była świadkiem zbrodni, ma zeznawać. „Zrobisz to i nie żyjesz”. Z niesmakiem odrzuciła gazetę na stolik i włączyła telewizor. Patrzyła na film z gatunku tych, które Pete nazywał „zabili go i uciekł”, ale nie wiedziała, ani też nie obchodziło ją to, co ogląda.

Wreszcie z twarzą wtuloną w rękaw szlafroka zapadła w drzemkę. Nim odpłynęła w niebyt, uświadomiła sobie jeszcze, że prawdziwa miłość oznacza, iż pragnie się dla drugiej osoby szczęścia, nawet jeśli ceną ma być własne.

Następnego ranka dokładnie o dziesiątej wysiadła z taksówki przed Czarodziejskimi Opowieściami. Przez chwilę zachwycała się staroświecką bielą dwuskrzydłowych drzwi. Maddie miała zmysł dekoratorski. Zdołała zobaczyć jeszcze wczoraj wieczorem, że sklep stanowił jedyne w swoim rodzaju przedsięwzięcie, jakie Pete mógł z powodzeniem podtrzymać. Żona, która jest

właścicielką biznesu w niczym nie uszczupli salda bankowego męża. Mottem Pete'a było zawsze utrzymać wszystko w rodzinie.

Weszła do sklepu z bijącym sercem. Nie wiedziała, dlaczego tak się czuje. Rozglądała się wokoło, zafascynowana wystrojem, niezwykłymi towarami i panującą w sklepie atmosferą, nieodparcie kojarzącą się z dzieciństwem. Podniosła wzrok i zobaczyła zmierzające w jej stronę dwie kobiety.

— Dzień dobry, szukam Maddie. Czy zastałam ją?

— Panna Stern została wezwana w pilnej sprawie rodzinnej kilka dni temu — poinformowała jedna z kobiet. — Czym możemy pani służyć?

Annie wzruszyła ramionami.

— Przepraszam, a kim panie są?

— Kuzynkami Maddie — rzekła druga patrząc na nią ostro badawczym wzrokiem. — A pani?

— Ruth Ann Gabriel z Bostonu. Narzeczony Maddie próbuje się do niej dodzwonić, ale telefon jest odłączony. Poszłam do jej domu, ale przeczytałam kartkę na drzwiach. Muszę z nią jak najszybciej pomówić. Jako kuzynki, mają panie zapewne numer, pod którym można się z nią skontaktować. To musi być coś poważnego — stwierdziła Annie rozglądając się. — Myślę o sprawie rodzinnej. Sklep został przecież dopiero co otwarty. — Uśmiechnęła się do kobiet, które patrzyły na nią z kamiennym wyrazem twarzy. To gliny, pomyślała.

— Przyjechała pani aż z Bostonu, by porozmawiać z Maddie? — wyraziła niedowierzanie jedna z kobiet.

— Boston nie jest tak daleko dla czarteru. Pete bardzo się niepokoi. Jako kuzynki Maddie wiedzą panie z pewnością, że to z jego pieniędzy sfinansowane jest to przedsięwzięcie. Jestem prawnikiem. Wydaje mi się, że powinnam zobaczyć jakieś pisemne upoważnienie pań do przebywania w tym sklepie. Może dobrze by było, abyśmy zadzwoniły do pana Sorensona do Hongkongu i wyjaśniły tę sprawę.

— Nie jesteśmy upoważnione... Maddie nie mówiła o rozmowach z zagranicą — powiedziała druga. — A telefon jest zepsuty od wczoraj.

— To żaden problem, możemy zadzwonić do towarzystwa telefonicznego — stwierdziła Annie. — Bardzo szybko dokonują napraw w firmach. Mam kartę telefoniczną. Możemy obciążyć kosztami moje biuro lub zapłacić za rozmowę. Może zrobimy to od razu — zaproponowała łagodnie. — Może powinnymy zadzwonić na policję. — Zobaczymy, co na to powiedzą. — Tylko dlaczego, skoro jesteście panie kuzynkami Maddie, nie wyjechałyście w związku z rodzinnymi kłopotami?

Do sklepu wkroczyły trzy kobiety i już od progu zaczęły wykrzykiwać ochy i achy, po czym ruszyły do „ekspedientek” po pomoc. „Kuzynki wymieniły spojrzenia, jednak zajęły się klientkami i zostawiły Annie samą.

Teraz już była pewna, że to policjantki. Gdy wchodziła do sklepu, dostrzegła mimowolny lekki ruch, jaki ręka jednej z nich wykonała instynktownie w stronę biodra. Widać było, iż kobieta jest przyzwyczajona do noszenia kabury. Policjantka z miejscowego posterunku. Annie zaczęła się zastanawiać, co ma teraz zrobić.

— Coś tu jest mocno niejasne, i zdaje się, że właśnie w to wdepnęłam — mruknęła do siebie.

Nadal rozglądała się po sklepie. Oczy zachodziły jej mgłą, gdy brała w ręce filigranowe niemowlęce ubranka, tak rozkoszne, że wywoływały zawrót głowy równy temu, który powodowały cyfry na miniaturowych etykietkach z cenami. Pomyślała, że dorównują wyrafinowaniem samym wyrobom, ręcznie produkowanym i projektowanym przez osobę, która wykonywała ubranka. Stanowią ich znak wyróżniający.

W głębi duszy była przekonana, że telefon jest w porządku. Może powinna wyjść ze sklepu, zadzwonić do Pete'a z budki i powiedzieć, by spróbował połączyć się ze sklepem. Kobiety sprawiały wrażenie osób, które stać na to, by wyrzucić ją stąd. Boże drogi, co tu się właściwie dzieje?

Odsunęła się, gdy pięć kobiet skupiło się przy stole pakowaczki. Przyglądała się, jak zakupy zawijano w bibułkę w kolorach konfetti, po czym umieszczono w błyszczących, odpowiadających im kolorem pudełkach. Pudełka włożone zostały do wielkich toreb ze srebrnymi celofanowymi paskami, które nadawały im ostateczne wykończenie. Zamrugnęła na widok sumy, która ukazała się w okienku kasy. Dwa tysiące sto dolarów na trzy wciąż ochające i achające kobiety.

Drzwi brzęknęły za klientkami i Annie przypomniała policjantkom o swoim problemie krótkim pytaniem.

— Nie możemy udzielić żadnej informacji i nie jesteśmy w stanie pani pomóc — odparła jedna z nich chłodno. — Dopóki Maddie nie upoważni nas do tego, nie wykonamy żadnej rozmowy za ocean. Jeśli chce pani zadzwonić na policję, musi pani zrobić to gdzie indziej, a teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, zajmiemy się klientkami.

Annie pozostało tylko wyjść. Złapała taksówkę i podała adres Pete'a. W pół godziny później siedziała przy telefonie i tłumaczyła Pete'owi dokładnie, co zaszło.

— Zadzwoniłam do telefonów i powiedzieli, że numer działa. Daj mi jakieś trzydzieści pięć minut, abym mogła wrócić do sklepu. Zadzwonisz, jak tam będę. Nie rozłączaj się, dopóki nie porozmawiasz ze mną.

Niedługo potem siedziała z powrotem w taksówce. Była zupełnie skołowana. Pete zdenerwował się tak, iż gotów był wylecieć z Hongkongu najbliższym samolotem. Przekonała go, by się wstrzymał, dopóki ona nie podejmie jeszcze jednej próby w sklepie.

Teraz patrzyła na Czarodziejskie Opowieści z okna taksówki. Nie musiała wysiadać, by się przekonać, że podwójne drzwi są zamknięte na cztery spusty, a okna przesłonięte żaluzjami. Jakaś kobieta szarpała klamką drzwi, podczas gdy druga zaglądała do środka przez żaluzje. Annie powiedziała kierowcy, by poczekał na nią przez chwilę, przeszła na drugą stronę i dołączyła do klientek.

— Nie rozumiem — odezwała się jedna z kobiet. — Dwadzieścia minut temu sklep był otwarty.

— Może zabrakło im towaru — dołączyła ta, która zaglądała do środka. Jak byłam tu wczoraj, panował straszny tłok. Zapomniałam karty kredytowej i odłożyli mi to, co kupiłam. Powiedziałam, że odbiorę swoje rzeczy w południe, no i jest południe — stwierdziła ze złością,

Annie wskoczyła do taksówki i po raz drugi w ciągu niecałej godziny podała adres Pete'a.

* * *

Pete przemierzał pokój hotelowy niczym zwierz w klatce, kopiąc wszystko, obok czego przechodził.

— Proszę jeszcze raz z tym numerem w Nowym Jorku — ryknął do podjętej słuchawki. — Niech dzwoni tak długo, dopóki nie powiem, by przerwać. — Liczył buczący sygnał po drugiej stronie. Trzydzieści trzy. — W porządku, proszę przerwać połączenie — polecił.

— Rozmowa, panie Sorenson. Czy mam połączyć?

— Tak, do diabła.

— Pete, tu Annie. Sklep jest zamknięty. Jestem w twoim mieszkaniu. Co mam teraz zrobić?

— Annie, już dość czasu ci zabrałem. Spróbuję zmienić bilet na lot. Zadzwońę stąd na policję. Bardzo wiele zrobiłaś i jestem ci nieskończenie wdzięczny. Skontaktuję się z tobą, jak wrócę do Nowego Jorku. — Nie zapomnij, że przyjeżdżasz na mój ślub — dodał ostrzejszym tonem.

— Słuchaj, nie mam zamiaru mówić ci, abys się nie martwił — powiedziała nie odpowiadając na jego ostatnie słowa. — Po prostu działaj rozsądnie i zadzwoń do mnie, jeśli będę mogła się na coś przydać.

— Do widzenia, Annie. Jeszcze raz ci dziękuję.

Po skończonej rozmowie ponownie połączył się z centralą.

— Zamawiam jeszcze jedną rozmowę ze Stanami. Proszę spróbować z tymi obydwoma numerami. Ktokolwiek odbierze telefon, proszę powiedzieć, że to nagła sprawa. Pozostanę na linii.

Pociągnął gorącej kawy z filiżanki, nie zważając na to, że parzy sobie usta i gardło. Z przyklejoną do ucha słuchawką nadal przemierzał pokój. Jeśli ktoś może znaleźć wyjaśnienie, to Leo. Pił trzecią filiżankę, gdy w słuchawce zabrzmiał głos wuja.

— Pete, mam nadzieję, że usłyszę od ciebie dobre wieści.

— Leo, mam kłopoty. Nie tutaj, w domu. — Opowiedział wujowi wszystko o Maddie. — Potrzebna mi twoja pomoc. Jeśli nie uda ci się tego wyjaśnić, wyjeżdżam i będziesz musiał znaleźć kogoś innego do sfinalizowania umowy. Tak czy inaczej, Li Yuen wlecze się.

— Peter, konsorcjum nie uznaje takiego stawiania sprawy. A teraz powiedz mi jeszcze raz, co wiesz, spróbuję doszukać się w tym jakiegoś sensu.

Pete zrelacjonował wszystko ponownie.

— Peter, według mnie cała sprawa wygląda tak, że twoja narzeczona po prostu się przestraszyła i szuka sposobu wycofania się. Jestem bardzo niezadowolony, że nie uznałaś za stosowne powiadomić mnie o swoim małżeństwie. Nie wiedziałem nawet, że się zaręczyłaś. Myślałem, że stanowimy rodzinę.

— Bo stanowimy. Maddie chciała... tak po prostu chciała. Tylko kilku najbliższych przyjaciół. Miałem zamiar powiedzieć ci po powrocie.

— Peter, jesteś spóźniony o cztery dni. Nie możesz z powodu ślubu rzucić tej umowy. Nie sądzę, bym musiał ci przypominać, że płacimy ci za twoją pracę majątek. Nie możesz jej zostawić. Czy rozumiemy się co do tego?

— Maddie jest dla mnie ważniejsza niż ta umowa. Zrobię, co będzie w mojej mocy, ale wracam na swój ślub, żebyś wiedział.

— Pete, jak wiesz, ludzie konsorcjum to jednostki bardzo wpływowe. Lubią cię i szanują twoją głowę do interesów, ale jeśli ich zawiedziesz, mogą cię zniszczyć.

— Ależ ja tylko pośredniczę w zawieraniu umów, a każdy może to robić — odparł Pete.

— Zobaczę; czego dowiem się o twojej narzeczonej, i powiadomię cię — rzekł Leo chłodno. — Radzę ci, byś w tym czasie pilnował swojej roboty.

Maddie zbudziła się ze straszliwym, oślepiającym bólem głowy. Zwinęła się w kłębek i naciągnęła na głowę poduszkę.

— Myślałam, że nie żyjesz — odezwała się ponuro Janny. — Przez ostatnią godzinę nawet nie drgnęłaś.

— Masz zamiar to sprawdzić? — dobiegła ją stłumiona odpowiedź.

— Nie, za bardzo mnie mdli. Zabiłabym się chyba, gdybyś umarła.

Maddie przetoczyła się do poprzedniej pozycji i z najwyższym wysiłkiem usiadła. Złożyła obolałą głowę w dłoniach.

— Możemy wstać, ubrać się, zjeść śniadanie i jeśli będziemy chcieli, wyjść z tego beznadziejnego hotelu. Nester nic dla nas nie może zrobić. No więc... mamy nowy dzień i musimy podjąć decyzję, co robić. A jak już ją podejmiemy, musimy się jej trzymać. Nie możemy się wycofać. Skoro podpiszemy te dokumenty, będziemy tym związane.

— Nie potrafię myśleć, dopóki nie wyszczotkuję włosów i nie wypiję kawy. Mam w ustach taki smak, jakbym trzy dni trzymała w nich rybę — powiedziała Janny zsuwając się z łóżka. — Wiem, wiem, pomyślimy. Zdaje się, że obie mamy świadomość, iż to nasz jedyny wybór, ale jeśli chcemy gadać o tym do usranej śmierci, niech będzie. — W drzwiach do łazienki odwróciła się. — Czy rzeczywiście tyle wypiłyśmy wieczorem?

— Tak — skinęła głową Maddie. — Doskonale to pamiętam.

— O Boże — jęknęła Janny, zamykając za sobą drzwi.

— Tak, rzeczywiście. To jedyna istota, która może nam teraz pomóc — mruknęła rozdrażniona Maddie, wstając z łóżka.

Później, czyste i pachnące hotelowym szamponem i pudrem, skulone w pokoju piły czarną kawę i paliły papierosy.

— Wydaje mi się, Janny, że chyba wejdę do tego programu. Jeśli... jeśli dadzą nam kilka gwarancji. A teraz pomyśl dobrze, o co masz zamiar wystąpić. Ja wiem, czego chcę. Myślę, że zrobią parę ustępstw. Jeśli mamy dla władz takie znaczenie, jak mi się wydaje, to z pewnością ugną się trochę. W tym punkcie nie mamy nic do stracenia. Zażądamy, żeby umieścili nas w programie ochrony świadków razem.

Jak im powiedziano, w ramach programu będą chronione aż do procesu. Dostaną na ten czas fałszywe dane, a jeśli będzie trzeba, na dłużej.

Przedstawiciele władz przybyli w południe z wypchanymi teczkami, po kilku minutach przyszedł też Nester. Maddie pomyślała, że sprawia wrażenie zmęczonego. Pomyślała też, że dostrzega w jego oczach żal.

Monotonna przemowa Adama Wagonera z biura marshalla trwała czterdzieści minut. Maddie słuchała w skupieniu. Potem William Monroe z Departamentu Sprawiedliwości dorzucił kilka słów, to samo zrobił Carl Weinstein z FBI. Gdy skończył, zasiadł z powrotem w swym fotelu i pochylił się ku Maddie.

— Zrozumieliśmy — stwierdziła. — Janny i ja zgodzimy się wejść do programu, jeśli spełnicie nasze trzy warunki.

— Żadnych układów — rzekł zimno Wagoner.

Maddie powstała i sięgnęła po torebkę.

— Panowie, potrzebujecie nas bardziej niż my was. Jeśli stąd teraz wyjdziemy, nie wrócimy. Pewnie nas zabiją, ale zginiemy będąc sobą. Oczywiście, nie wyobrażajcie sobie panowie, że mamy na to chęć.

— Możemy przynajmniej ich wysłuchać — odezwał się cicho Nester zwracając się do Wagonera.

— Nie idziemy na żadne układy — powtórzył ten nieustępliwie.

— Proszę uznać to za prośbę — wtrąciła się Janny.

— Wyduście to wreszcie — odezwał się facet z Departamentu Sprawiedliwości.

— Chcę, aby dał mi pan słowo, panie Wagoner, że po powrocie mojego narzeczonego pozwolicie mi z nim rozmawiać. Wiem, co panowie mówią na temat jego wuja. Ale jeśli nawet wasze podejrzenia są słuszne i Leo jest „zamieszany” w sprawę, jak to ujęliście, nie wierzę, by Pete o tym wiedział. Tak czy inaczej, sama chcę go o to zapytać. Chcę to usłyszeć bezpośrednio od niego. Możecie zaaranżować rozmowę telefoniczną, aby mógł mi odpowiedzieć „tak” lub „nie”. — Maddie uniosła rękę, uprzedzając ingerencję. — Jeśli potem — oświadczyła zwięźle — będzie chciał do mnie dołączyć, załatwicie to. Po wtóre, Janice chce, aby jej wszystkie akcje Unitecu zostały przeniesione na nowe nazwisko, bez względu na to, w jaki sposób. Chcemy, by zostało to załatwione dzisiaj, zanim wyjedziemy. Po trzecie, chcemy być w tym samym miejscu i razem.

— Zgoda na pierwsze dwa żądania, nie na ostatnie. Proszę się decydować — rzekł Wagoner, stając nad Maddie.

— Ale dlaczego? — wykrzyknęły obie jednym głosem.

— To zbyt ryzykowne. Odrzucam tę prośbę ze względu na wasze bezpieczeństwo. Czy coś jeszcze?

— Nie — wymamrotała Maddie, a Janny potrząsnęła tylko głową.

— W porządku. Proszę się pakować. Wyjdziecie stąd o zmroku, może trochę później. — Wyciągnął rękę, ale cofnęły się odmawiając podania dłoni. — Powodzenia — rzucił krótko.

Nester pozostał w tyle, za drzwiami stał strażnik.

— Domyślam się, że wasze przyrzeczenie jest gwarantowane — powiedziała cicho Maddie, a on skinął głową. — Czy Wagoner dotrzymuje słowa?

— Muszę wierzyć, że jest człowiekiem honoru. Chyba powinna pani przygotować się na to, że pan Sorenson może nie zechcieć zrezygnować dla niej ze swego życia. Trzeba patrzeć na sprawy realnie.

— Wiem o tym. Jeśli to od niego usłyszę, zaakceptuję. Będziemy oboje bardzo się starali poradzić sobie z tym.

— Życzę paniom wszystkiego dobrego — powiedział Nester. — Zobaczymy się na procesie.

— Jeśli proces dojdzie do skutku i jeśli uda wam się doprowadzić tych... jak tam nazywacie tych ludzi, czy pozwolą nam wyjść z programu? Zapomniałam o to zapytać. Jak mogłam zapomnieć zapytać o taką ważną sprawę! Muszę to wiedzieć. Janice też.

— Jeśli „zagrożona strefa” będzie bezpieczna, moim zdaniem będziecie panie mogły robić wszystko, na co będziecie miały ochotę. Ale to tylko moje zdanie. Chciałbym być bardziej pomocny, ale służba sądowicza jest poza moim zasięgiem. Oni niechętnie udzielają wyjaśnień. Mogę zadzwonić i zapytać, a oni mi odpowiedzą, że wrócą do sprawy za pięć lat. Proszę myśleć o tym jako o swoim światełku w końcu tunelu. To będzie coś, na czym będą się panie mogły oprzeć — powiedział cicho.

— Niech mi pan powie, co usłyszysz Pete, gdy po powrocie uda się na policję i zażąda wyjaśnień?

— Nie wiem. Nie zostały wydane żadne dyspozycje w związku z Pete'em Sorensonem. Nie oszukuję pani, naprawdę nie wiem.

— Przecież pan wie wszystko. Czy nie może pan...

— Nie, proszę pani, nie mogę. Proszę posłuchać, nie jestem waszym wrogiem. Wagoner też nie, nie są waszymi nieprzyjaciółmi faceci z departamentu ani z FBI. Jesteśmy siatką, która ma zapewnić pani i jej przyjaciółce bezpieczeństwo, i robimy wszystko, czego wymaga to zadanie. Będę się paniami interesował. Dobrze postąpiliście.

— Dziękuję panu. — Maddie wyciągnęła rękę zdecydowanym gestem. Brwi Nestera uniosły się, kiedy mocno uściśnęła mu dłoń. Gdy opuszczał pokój, na jego twarzy malował się szacunek.

— Witam w programie ochrony świadków, panno-jak-ci-tam — powiedziała Maddie zdławionym głosem.

— Będę za tobą tęsknić — zaszlochała Janny.

— Ja za tobą też. A teraz popatrz, jak my wyglądamy. Makijaż zupełnie nam się rozmazał.

Janny spojrzała na nowego strażnika.

— Czy możemy przejść do łazienki, by poprawić sobie makijaż? — spytała i mężczyzna skinął głową przyzwalająco.

Gdy zamknęły za sobą drzwi, Maddie zerwała opaskę ze świeżo założonej rolki papieru toaletowego i wygładziła ją dłonią. Wyjęła z torebki pióro i zaczęła pisać: „Jeśli sprawy będą szły źle, zamieść ogłoszenie w kolumnie drobnych w »USA Today«. Podpisz inicjałami Cz.O. — od Czarodziejskich Opowieści. Ja zrobię to samo. Raz w miesiącu.” Spojrzała na Janny, ta skinęła głową i Maddie pisała dalej. „Za każdym razem zamieść jedną cyfrę swojego telefonu, w każdy piątek, aż podasz cały numer. Ja będę zamieszczać swoje w każdy czwartek, aż uzyskasz mój numer. Po tym raz na miesiąc.” Popatrzyła na Janny ponownie, po czym oderwała kawałek, wrzuciła do sedesu zwitek i spuściła wodę. Na pozostałym kawałku nabazgrała: „Zamaż wszystko, co teraz piszę. Będą nam potrzebne numery telefonów budek telefonicznych. Umawiamy się, że w każdy piątek ty, ja w czwartki. Co sobota, jak już będziemy miały pełne numery, ty będziesz przy swoim automacie, ja przy swoim. O dwunastej w południe.”

Janny skinęła głową i dopisała: „To wyjdzie dziesięć tygodni albo półtora miesiąca. Lepiej róbmy to codziennie.”

Maddie potwierdziła skinieniem głowy, odwróciła papier na drugą stronę. Jak będziemy płacić? Będą sprawdzać naszą pocztę.” Janny przewróciła oczami i wzruszyła ramionami. Maddie pisała dalej: „Mam wrażenie, że będę o wiele lepiej pilnowana niż ty. Jeśli będziesz mogła, ty będziesz płacić oba rachunki, a jeśli nie, ja będę je regulować. Warto spróbować.” Papier szeleścił, gdy rwała go i gniołła w małe kuleczki. Po chwili za nimi także spuściła wodę.

„Łamiemy zasady, a jeszcze nawet nie zaczęłyśmy”, napisała Janny na lustrze wskazującym palcem.

Maddie potwierdziła kiwając głową i dopisała: „Mam to gdzieś”.

Janny wytarła lustro mokrym ręcznikiem.

Zanim wróciły do pokoju na dobiegający końca film, upodobniły swe usta do purpurowych szram.

W kilka godzin później, ze szlochem i płaczem, po wzajemnych uściskach i padaniu sobie w ramiona, pożegnały się. Z policzkami zalanymi łzami Maddie coraz słabiej machała ręką najlepszej przyjaciółce, odprowadzanej o siódmej przez czterech ludzi ze służb sądowych. Po dwudziestu minutach czterech następnych funkcjonariuszy przybyło po Maddie i sprowadziło ją do oczekującego na dole samochodu.

Madelyn Marie Stern i Janice Hobart przestały istnieć.

Peter Sorenson szedł jak burza przez hall domu, gdzie mieszkał. Czuł się jak rozdrażniony buldog. Samolot miał opóźnienie, Pete był głodny, umęczony i potrzebował snu. Cisnął bagaże na podłogę w przedpokoju, po drodze do sypialni zrzucił krawat i marynarkę. Ubranie spadało na stos na środku pokoju i w chwilę później Pete znalazł się pod prysznicem.

Nigdy w życiu nie czuł się tak zmęczony. Do tego jeszcze był wprost chory ze zmartwienia i obaw. Na jutro ma zaplanowany ślub. Przy goleniu zastanawiał się, czy Maddie zadzwoniła do pastora, by odwołać uroczystość. Będzie musiał to sprawdzić.

Po dziesięciu minutach, ubrany w wygodną koszulkę i wysłużone, poczciwe dżinsy, miotał się jeszcze przez następne pięć minut w poszukiwaniu kluczy i portfela. Zmierzał już do drzwi i wyciągał rękę do słuchawki, by zadzwonić do garażu i uprzedzić, że potrzebny mu samochód, gdy rozległ się dźwięk telefonu, aż Pete poczuł pod dłonią wibracje. Podniósł przy trzecim sygnale w nadziei, że może to Maddie. Dzwonił wuj.

— Kiedy przyjechałeś, Peter? — spytał Leo nie bawiąc się w uprzejmości.

— Jakież piętnaście minut temu i już wychodzę. Z pewnością rano otrzymasz wszystkie papiery. Później porozmawiamy. Nie ma żadnych problemów.

Odłożył słuchawkę i odczekał na sygnał, nim zadzwonił do garażu. Doszedł do wniosku, że Leo przeżywa napad paniki.

Udało mu się znaleźć miejsce do parkowania na wprost domu Maddie. Z własnym kompletem kluczy w ręce pokonywał po dwa stopnie schody prowadzące do wejścia. Portier poznał go i uniósł rękę.

— Panna Stern wyjechała — poinformował patrząc na dyndające na palcach Pete'a klucze.

— Wiem. Chciałem się rozejrzeć po mieszkaniu. Czynniz jest zapłacony do pierwszego. Mam klucze — dodał Pete szybko.

— No to pewnie pana nie zatrzymam — rzekł mężczyzna cicho.

— Na pewno nie. Czy panna Stern zabrała kota?

— Kota nie ma, proszę pana — potwierdził mężczyzna. Pamiętał, jakie polecenia dostał od policji. Z niczym się nie wychylać.

Lubił pannę Stern i lubił mężczyznę, który stał teraz przed nim, gdyż dzięki niemu w oczach panny Stern pojawiał się uśmiech.

— Czy powiedziała, dokąd wyjeżdża?

— Nie, proszę pana. Wielu ludzi się stąd wynosi — wygadał się.

— A dlaczego to?

— Raczej nie powinienem odpowiadać, proszę pana. Zarząd spółki też nie chce, abym o tym mówił.

— O czym mianowicie? — naciskał Pete.

— O tym podwójnym morderstwie, proszę pana.

— Skoro już się pan z tym zdradził, równie dobrze może mi pan opowiedzieć wszystko do końca. Przyrzekam, że nikomu nie powiem o naszej rozmowie.

— Państwo Ky zostali zamordowani w swoim mieszkaniu. To właściciele małego sklepu za rogiem. Większość lokatorów zaopatrywała się u nich. To stało się szesnastego, jeśli dobrze pamiętam. Dziesięć albo jedenaście dni temu — powiedział mężczyzna marszcząc brwi i usiłując przypomnieć sobie dokładną datę.

— Czy myśli pan, że panna Stern dlatego właśnie wyjechała? Wyprowadziła się czy tylko wyjechała?

— Jej telefon jest wyłączony. Meble nadal są. Nie jestem pewien, proszę pana. Już od jakiegoś czasu jej nie widziałem.

— A co z jej pocztą?

— Nic na ten temat nie wiem, proszę pana.

— Czy ktoś tu się kręcił i pytał o nią?

Portier pomyślał o policyjnym ostrzeżeniu, pomyślał o panie Stern i o tym, że prawdopodobnie policja ma coś na nią. Miał chęć powiedzieć temu miłemu panu o zmartwionych oczach, że zbyt wielu tu było takich, co dopytywali się o pannę Stern, ale język odmówił mu posłuszeństwa. Potrząsnął głową, unikając spojrzenia adwokata.

Pete skierował się do windy. Doszedł do mieszkania Maddie i rozejrzał się w poszukiwaniu kartki, o której wspomniała Annie. Zniknęła. Wszedł do mieszkania. Było chłodno, mroczno i pachniało stęchlizną. Wnętrze wyglądało tak samo jak zawsze, tylko było puste. Zobaczył kosz zwiędłych już dawno kwiatów. Przysłał je na dzień przed wyjazdem. Na talerzyku leżał skamieniały toffi jej ulubionego gatunku. Na stoliku stała płaska czarka z kolorowymi kamykami, które oboje zebrali w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Maddie lubi dziwne rzeczy, a kolorowe kamyki okazały się być tematem rozmów przy wielu okazjach.

W poduszkach kanapy pozostały zagłębienia, a Maddie miała zwyczaj strzępywać je przed pójściem do łóżka. Musiała opuszczać mieszkanie w pośpiechu. Była bardzo skrupulatna, jeśli chodzi o utrzymanie porządku. Kucharka z niej raczej żadna, ale uwielbiała niezwykły ład. Przynajmniej w porównaniu z jego własnymi bałaganiarskimi nawykami.

W kuchni panował porządek. Do czerwonego dzbanka na kawę nalano wody, pojemniki na cukier, kawę i mąkę były pełne. Najwyraźniej w pewnym momencie Maddie miała zamiar wrócić. Gdy wychodziła po zakupy, opróżniała wszystko. Otworzył lodówkę i uśmiechnął się. Była niemal tak samo pusta jak jego. Szczelnie zamknięte pojemniki z chińskim jedzeniem, włoskie półmiski w folii zawinięte w woreczki. Zawartość dopełniała torba bułek i trzy jabłka. W szafkach stały podstawowe artykuły i talerze. Wziął ze ściany słuchawkę telefonu i przytknął do ucha. Głucha cisza. Więcej kosztuje ponowne podłączenie niż pozostawienie działającego aparatu. O czym myślała, gdy odłączała telefon? Nacisnął kontakt i został nagrodzony żółtym blaskiem. Nie lepiej wyłączyć światło zamiast telefonu?

W sypialni panował porządek, łóżko było pościelone, nigdzie nie zauważył przypadkowo rzuconej odzieży. Na pustej toalecie dostrzegł lekką warstewkę pyłu. Prawdopodobnie puder. Za drzwiami garderoby zobaczył ubranie i obuwie, półkę ze stojącymi torbami, pudełka z szalikami, zimowymi kapeluszami oraz swetrami. Brakowało tylko dwóch czy trzech garsonek.

Łazienka była ogołocona. Nawet szczoteczki do zębów. Otworzył szafkę, by zobaczyć, czy jego została. Zniknęła także. Tak samo krem do golenia oraz brzytwa. Dwa ręczniki wisiły równo na wieszaku.

Mimo braku doświadczenia Pete uznał, że Maddie nie wyprowadzała się w pośpiechu czy też w jakikolwiek sposób była poganiana. Przeszedł do małego biureczka z różanego drewna. Kupił je w antykwariacie na urodziny Maddie. Gdyby miała zamiar więcej tu nie wrócić, nigdy by nie zostawiła uwielbianego sekretarzyka. Trzymała w nim rachunki, książeczkę czekową i wszystkie notatki dotyczące sklepu. Zostały pióra i ołówki, ale dokumentów nie było. Zaczął się poważnie martwić.

Maddie go kocha. Jest o tym całkowicie przekonany. Nigdy nie odeszłaby tak bez słowa. W jakiś sposób zostawiłaby mu bodaj strzęp wiadomości. Chyba że... że nie miała możliwości tego zrobić. Jutro mają się pobrać. Poczul narastający ból.

Obrzucił mieszkanie ostatnim spojrzeniem. Nigdy nie zostawiłaby również obrazka z kłownem. Ten portrecik wraz z różanym biureczkiem stanowił najcenniejszą jej rzecz.

Usiadł. Poczul, jak całe powietrze z niego uszło. Nie miał już nic więcej do roboty, więc wziął porzuconego pilota i włączył telewizor. Pocieszyło go to. Ona musi wrócić. Do diabła, nie może nie wrócić. Mają swoje pjany, miejsca, w które się udadzą i różne rzeczy do zrobienia. Mają się przecież pobrać, na miłość boską!

Omiał nie palnąć ręką w blat stołu, ale przypomniał sobie ból, jaki sprawił sobie w podobny sposób w Hongkongu. Wziął z kanapy brokatową poduszkę i cisnął przez cały pokój. Zasuszone kwiaty rozsypały się na wszystkie strony, a trzy płatki poszybowały w powietrzu z wdziękiem, by wylądować na jego kolanach. Czuł, że zbiera mu się na płacz. A właściwie dlaczego do cholery nie miałby sobie na to pozwolić? Jest człowiekiem i jak każda inna istota ludzka ma swoje uczucia. Oczekuje się od niego, by był twardym jak surowa niewyprawiona skóra, zdolnym do zniesienia wszystkiego *macho*. To funta kłaków niewarte. Przecież cierpi i czuje ból. Nigdy dotąd nie doświadczał takiego bólu. No nie, kiedyś już...

Synu, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale twoi rodzice, no cóż... odeszli... do lepszego miejsca na pewno... Musisz być dzielny... duzi chłopcy nie płaczą. Pewnego dnia twoi rodzice będą mogli być z ciebie dumni. Jak to możliwe, by martwi ludzie byli z kogoś dumni? Nie chciał być dzielny. Chciał wrzeszczeć, kopać i ryczeć. Chcę do mamy i taty! Tata miał zabrać go latem do Kalifornii i nauczyć surfingu. Tata powiedział, że kiedyś, jak już będzie naprawdę dobry, wyjadą do Australii, do miejscowości, o której czytał i która zwie się Bell's Beach. Powiedział, że mniej więcej co dwadzieścia lat pojawiają się tam monstrialne fale, i stało się to jego marzeniem. Mojej mamy też. Muszę być naprawdę dobry, chociaż... albo nie wyjadę. Nigdy nie miałem możliwości być nawet złym, nie mówiąc już o tym, że dobrym...

Pete otarł oczy. Ciekawe, co Barney zrobiłby w tej sytuacji. Płakał i tak było dobrze. Odpieprzcie się, wy wszyscy pismacy z magazynów, z waszymi twierdzeniami, że mężczyźni nie mogą okazywać słabości.

Przymknął oczy pragnąc, by opuszczone powieki wyczarowały deskę z jego szafy. To ostatni prezent, jaki dostał od rodziców. Na szóste urodziny, w tym samym roku, gdy zmarli. Ciągał tę deskę za sobą wszędzie. Czasami wpatrywał się w nią całymi godzinami.

Leo nie rozumiał historii deski, a Pete nigdy nie próbował mu tego objaśnić. No może raz, gdy odnawiano jego pokój w posiadłości i Leo chciał deskę stamtąd wyrzucić.

— W dupie mam odnawianie — zazgrzytał Pete. — Nigdy nie mieszkałem w tym pieprzonym pokoju, to jak może być mój?

Rzucił się na Leo z całym impetem swych dziesiętnastu lat, wierzgając i popychając, ciskając się, próbując wylupić mu oczy i wydzierając się. Używał słów, których Leo nigdy przedtem nie słyszał. Tego lata wuj nie pozwolił mu wrócić do domu. Zamiast tego wysłał go z plecakiem do Wyoming na wyprawę, która była tak ciężka, że dorośli mężczyźni wysiadali i trzeba ich było odsyłać do obozu. On jednak wytrzymał do końca. Na tysiąc sposobów przemyślał nad uśmierceniem wuja. Powrócił do pałacu Leo w New Jersey na dwa dni przed terminem powrotu na Harvard i odkrył jaguara kabriolet. Czy okazał odpowiednią wdzięczność? Nie. Powiedział wujowi, by się wypchał swoim wozem, i nigdy już więcej na jaguara nawet nie spojrzął.

Miał dwadzieścia lat, gdy zrozumiał wreszcie, dlaczego nie lubi wuja. Do tego dnia nie wiedział, czy powtarzający się sen odzwierciedlał prawdziwe zdarzenie przechowane w jego podświadomości, czy też był tylko snem. Miał w nim cztery lata, może pięć. Grał z Barneyem na podwórku na tyłach domu w warcaby, gdy dobiegła go z kuchennego okna rozmowa rodziców.

— Prędzej będę zbierał gówno z kurami, niż poproszę Leo o pożyczkę — zabrzmiały słowa ojca.

Pomyślał wtedy, że to najśmieszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek sry — szał. Dla Barneya też było to zabawne. Obaj przyciskali ręce do ust, by powstrzymać się od głośnego chichotu. Jednak dalsze słowa ojca nie były już śmieszne.

— Nie obchodzi mnie, czy stracimy ten dom i samochód. Znajdę inną pracę. Marie, kocham cię z całego serca, ale Leo o pieniądze prosić nie będę. Może nie jestem w stanie kupować ci brylantów i futer, ale zawsze będę robić wszystko, by opiekować się tobą i Pete'em. Byłeś tylko powiedziała, że będziesz ze mną, wtedy nieważne gdzie i jak będziemy żyli, bo będziemy razem.

Chłopcu omal oczy nie wyszły z orbit, gdy usłyszał głos matki. Ukochany głos, w którym jak zawsze pobrzmiwał ciepły leciutki śmiech.

— Jestem z tobą, Albercie, Pete także. Ale teraz ważne jest, skąd zdobędziemy pieniądze na deskę surfingową dla niego. Uzgodniliśmy przecież, że nigdy nie obiecujemy naszemu synowi niczego, czego nie będziemy w stanie dotrzymać.

— = — Mam pewien pomysł — odpowiedział ojciec. — Na początek pozbędziemy się wszystkich butelek lemoniady z piwnicy. Możesz piec i sprzedawać strudle, a ja mógłbym pielęgnować trawniki ludziom na drugim końcu miasta. Być może w międzyczasie uda mi się zdobyć pracę i zachowamy naszą lemoniadę.

Tu mama wybuchnęła śmiechem.

W końcu jednak wszystko było inaczej. Pieniądze na deskę zdobyli, gdy matka zastawiła w lombardzie złoty drobiazg. Był to medalionik zręcznie zrobiony w kształcie książeczki, który miał w środku miejsce na cztery miniaturowe zdjęcia układające się niczym obrazki w książce. Medalionik zawierał zdjęcie Pete'a z czasów niemowlęctwa, portret ślubny rodziców, zdjęcie chłopca, gdy szedł do przedszkola, wreszcie fotografię całej trójki. W niedużym pudle z pamiątkami, które wręczyła mu po pogrzebie panna Wardlaw, zobaczył obok czterech małych zdjęć kartkę z lombardu na medalionik. Płakał całymi dniami i panna Wardlaw myślała, że to z powodu pogrzebu, co częściowo tylko było prawdą. Za każdym razem gdy spojrzał na swoją deskę surfingową, wyplakiwał oczy. Nawet teraz, gdy jako dorosły już człowiek otwierał garderobę i wzrok jego padał na deskę, pod powiekami pojawiały się łzy.

— Cholera! — zaklął głośno. W chwilę później był już na nogach. Nie ma czasu na oddawanie się wspomnieniom.

W niewielkim przedpokoju rzucił krótkie spojrzenie w ozdobne lustro i przeraził się. Wyglądał, jakby wykapał się w czarnej, brudnej wodzie. Przejechał palcami przez włosy, ale nic nie pomogło. Potarł szpecinę zarostu na brodzie i policzkach. Zamruczał zniecierpliwiony. Żałował, że nie ma przyciemnionych okularów. Ukryłyby przynajmniej ciemne kręgi i worki pod oczami.

— Wyglądam — zamamrotał — jak klient przedsiębiorcy pogrzebowego, który nie może się zdecydować.

W chwilę później jechał już samochodem do mieszkania Janny Hobart. Chryste Panie, gdzie one się podziały? Maddie nie rzuciłaby go w taki sposób. Coś musiało się stać. Przeczynał to, wręcz wiedział. Przypomniała mu się niewielka paczuszka zaproszeń zamówionych przez Maddie dla kilku przyjaciół, których chcieli widzieć na swoim ślubie. Miał jedno złożone w portfelu, a treść znał na pamięć. „W tym dniu poślubię przyjaciela, z którym się śmieję, dla którego żyję, o którym śnię. Moją miłość.”

W domu Janny nie udało mu się ominąć portiera. „Wyprowadziła się”, to było wszystko, co udało mu się wyciągnąć od mężczyzny o wyglądzie buldoga.

W samochodzie uświadomił sobie, że właściwie wydobył z tego człowieka więcej niż z portiera Maddie: Janny wyprowadziła się. Janny wynajmowała umeblowaną garsonierę, podczas gdy Maddie była właścicielką wszystkich sprzętów w swoim mieszkaniu. Janny była dla Maddie

jak siostra. Może Maddie pomagała Janny przenosić się, czy coś w tym rodzaju. Stuknij się w głowę, Sorenson, pomyślał natychmiast. To przecież znaczyłoby, że dla pomocy przyjaciółce przekreślałaby własny ślub. Nie, Maddie nie zrobiłaby czegoś takiego. Dziewczyny nie rezygnują ze ślubu. Nie jego dziewczyna. Jego dziewczyna nigdy.

Rover zatrzymał się gwałtownie, zawrócił w niedozwolony sposób i nabierając szybkości pomknął w stronę dzielnicy willowej. Pastor będzie miał bezpośrednie wieści, co się dzieje. Z pewnością Maddie do niego dzwoniła. A jeśli ten człowiek myśli, że ślub jest nadal aktualny?

Dwadzieścia minut później Pete parkował przy zakazie parkowania. Zatrzasnął drzwi rovera i przebiegł przez ulicę do domu parafialnego. Dźgnął dzwonek, odczekał chwilę i szturchnął go znowu. Za trzecim razem nie oderwał palca od jarzącego się białego krążka. Pomyślał, że dźwięk dzwonka brzmi jak początek „Ojcze Nasz”. Chyba zwariował. Poczł wilgoć na czole i na górnej wardze, i stał ją rękawem koszuli.

Ponownie przeczesał palcami włosy, nie zdejmując palca prawej ręki z dzwonka.

Pastor pojawił się wreszcie.

— Jak miło pana widzieć, panie Sorenson. Czy pana wizyta oznacza przywrócenie terminu ślubu?

Ze swoim beztroskim spojrzeniem i uprzejmym uśmiechem pastor wyglądał na bardzo zadowolonego. Był zupełnie spokojny. A niby dlaczego nie miałby być? Wszystko, co ma do roboty, to modlić się do Boga jak dzień długi. Pete pomyślał z żalem, że nie był w przeszłości zbyt religijny.

— Nie. Zresztą nie wiem. Ojcze, musimy porozmawiać.

— Oczywiście, synu. Zapraszam do biura, tam będziemy swobodni. Napije się pan kawy lub herbaty? Może kanapkę albo kawałek ciasta?

Jaki jest grzeczny i miły, pomyślał Pete. Sprawia wrażenie przerośniętego aniołka.

— Poproszę kawę — powiedział.

— Ja też ją lubię — zaśmiał się wielebny. — To mi ułatwia pracę. A teraz niech mi pan powie, w czym mogę pomóc.

— Czy Maddie do ojca dzwoniła? Czy odwoływała ślub?

— Kilka dni temu. Głos brzmiał tak, jakby to nie była ona, ale potem płakała. Właściwie szlochała. To było bardzo przykre. Chciałem do niej pojechać. Myślałem o tym, aby udać się do niej, albo żeby ona tu przyszła, ale powiedziała coś takiego, co brzmiało jak „to nie byłoby rozsądne”. Podziękowała za wszystko i przeprosiła. Nasza rozmowa trwała nie więcej niż minutę. Kilka chwil potrzebowałem na znalezienie jej numeru i natychmiast zadzwoniłem, ale telefonistka powiedziała, że numer jest chwilowo wyłączony. Zadzwoniłem potem do jej druhny i telefonistka powiedziała to samo. Nie wiem dlaczego, ale pańskiego numeru nie mam. — Przy tym oświadczeniu głos pastora zmienił się i duchowny stracił dotychczasowy spokój. Pete wyklepał pospiesznie numer i pastor zanotował go starannie.

Gospodyni, prosta kobieta przepasana białym fartuchem podobnym do tego, jaki nosiła kiedyś jego matka, postawiła na rogu biurka tacę. Masywne, śnieżnobiałe kubki miały grube ucha. Na dużym talerzu leżał stos puszystych beżów. Te, które robiła jego matka, miały lekki pomarańczowo-cytrynowy aromat. Wziął jedną i ugryzł. Identyczna.

— Czy pana gospodyni bije pianę z cytryną, i czy potem na wierzchu są takie małe brązowe cukrowe banieczki?

Jezus Maria, czy on to naprawdę powiedział?

— Tak, rzeczywiście — uśmiechnął się pastor. — Jak nie patrzy, zdłubuję palcem i oblizuję wszystkie. Nieźle mi się obrywało za to od matki. Ciasta Marty zajmują pierwsze miejsce, gdy mamy sprzedaż wypieków.

— Moja matka piekła mi mały placek i zawsze zjadałem najpierw wierzch. Piekła też dla mnie małe ciasteczka. Maddie jest nieszczerą kucharką — dodał Pete smutno.

— Jestem pewien, że się nauczy, a jeśli będziecie razem, na pewno zrobi wszystko, by nauczyć się piec. Ale co się właściwie stało, synu?

Pete opowiedział duchownemu wszystko.

— To niepodobne do Maddie — zakończył. — Wiem, że się nie wystraszyła. Nigdy w ten sposób nie pozwoliłaby mi tak cierpieć. Nie wiem, co mam o tym myśleć.

— Czy był pan już na policji?

— Udam się do nich, jak tylko stąd wyjdę. Maddie nie leży w szpitalu. Przynajmniej tak mi się wydaje. Zadzwoiła do ojca. Jest ze swoją przyjaciółką, mam niemal pewność. W poniedziałek muszę zadzwonić do Merrilla Lyncha, by dowiedzieć się, czy Janny odeszła z pracy.

— Czy Madelyn ma w mieście jakąś rodzinę?

— Macochę i przyrodniego brata. Nigdy o nich nie wspomina. Szczerze mówiąc, nie znam nawet ich nazwiska, bo noszą inne niż Maddie. Gdyby miała jakieś kłopoty — a zaczynam już myśleć, że tak właśnie jest — nigdy nie udałaby się do macochy. Do Janny tak. One obie wyjechały. Prześladowuje mnie myśl, że są razem.

— Będę się za nie modlił i pan też powinien. Obawiam się, że nic więcej nie mogę zrobić. Jeśli będę miał jakąś wiadomość od Madelyn, zadzwonię do pana.

— Dziękuję, ojcze. Proszę powiedzieć kucharce że to najlepsze ciastka, jakie jadłem od czasu tych, które piekła moja i arna.

— Będzie jej miło to słyszeć, panie Sorenson. Jeśli będę mógł coś dla pana zrobić, proszę dzwonić bez wahania.

— Ojcze, jestem winien... Któregoś dnia wrócę tu i opowiem o... przyjacielu, którego miałem dawno temu.

— Proszę przyjść w niedzielę do kościoła, jeśli będzie pan mógł.

— Zrobię wszystko, aby przyjść — odpowiedział Pete. Po wyjściu uświadomił sobie, że to nie czczy obietnica, że naprawdę ma taki zamiar. Jeśli będzie mógł, będzie przychodził na nabożeństwa w każdą niedzielę.

Na posterunku policji wstrzymał oddech. Poczł zapach zastarzałego potu, przypalonej kawy, tanich perfum i olejku sosnowego. Sześć beżów burczało mu złowieszczo w brzuchu.

— Chciałbym zgłosić zaginięcie dwóch osób — oznajmił siedzącemu za biurkiem dyżurnemu oficerowi.

— Nazwiska? — padło krótkie pytanie.

Pete odchrząknął i wymienił nazwiska Maddie i Janice. Policjant pochylił się nad biurkiem, wbił sobie mocniej na nos okulary, po czym zaproponował interesantowi krzesło i stwierdziwszy, że potrzebny mu inny formularz, wyszedł.

Pete nie skorzystał jednak z zaproszenia. Chodząc niecierpliwie patrzył na wzorzyste pończochy i wysokie obcasy siedzących tu cór Koryntu. Na widok żujących gumę ust twarz mu się wykrzywiła. Słuchał języka tak wulgarnego, że czuł, jak czerwienieją mu uszy. Nerwowo spacerując, odwrócił się i wpadł na przechodzącego faceta, będącego prawdopodobnie policyjnym informatorem. We włosach mężczyzny było tyle tłuszczu, że skapywał w gęste brwi, nadając im połysk. Pete odskoczył na bok i trafił na rozmowę między zirytowanym obywatelem a policjantem, słuchającym w skupieniu wyjaśnień.

— Ci gnoje wypruli mi radio, ukradli teczkę i opony, a wy aresztujecie mnie! Co to za społeczeństwo, do cholery? Przecież ja tylko starałem się bronić swojej własności! Żądam adwokata!

— Proszę pana, pan pobił chłopaka; walił pan jego głową o samochód. On także ma prawa. Ma dopiero czternaście lat.

— Mam gdzieś jego prawa. Jak jest wystarczająco dorosły, aby kraść moje radio i opony, jest też wystarczająco dorosły, by dostać manto. Nawet nie widziałem jego twarzy, jak go wyciągałem z samochodu. Jak tylko zobaczyłem, że to dzieciak, przestałem go walić. A co do cholery z moimi prawami? Czy któregoś z was, pieprzone gliny, obchodzi to, że ja mam sześćdziesiąt siedem lat? Jakby mnie ten punk dopadł pierwszy, już bym nie żył. I co mi pan na to powie?

— Wolno panu wykonać jeden telefon. Proszę wrócić na miejsce i usiąść.

— Amen — odezwał się Pete, którego wprowadzono na górę do cichszego pomieszczenia.

— Detektyw Nester — przedstawił się zza biurka policjant w cywilu. — Pan życzy sobie wypełnić zgłoszenie zaginionych osób?

— Pete Sorenson. Tak, chcę zgłosić zaginięcie dwóch osób. Nester odebrał cztery telefony i dwa razy został wywołany z gabinetu.

Pete patrzył na zegarek, bębniąc palcami po zakurzonym, zarzuconym papierami biurku policjanta.

Duży zegar na ścianie wskazywał dziewięć trzydzieści, gdy podpisywał się pod obydwoma zgłoszeniami.

— Nie ma pan zamiaru robić nic w tej sprawie, prawda? — spytał ze znużeniem.

— Dlaczego mówi pan takie rzeczy? — odpowiedział cicho pytaniem Nester.

— Widzę to z pana twarzy. Moja praca polega na przewidywaniu reakcji ludzi. Nie twierdzą, że pan nie wykona papierkowej roboty. Sądzę, że nie ruszy się pan stąd i będzie pan unikał szczerzej odpowiedzi. Myśli pan zapewne, że mnie rzuciła, a nie miała sumienia tego powiedzieć. No cóż, pan się myli. — Pete pogrzebał w kieszeni, wyciągnął portfel i wydobyl zgięte zaproszenie. — Proszę to przeczytać. Teraz niech pan powie, że mnie rzuciła. Nie, pan się myli.

— Czy ludzie sami to redagują, czy są gotowe wzory? No wie pan, przedkładają panu listę, a pan sobie wybiera jeden tekst? — spytał Nester z zaciekawieniem.

— Nie, Maddie sama to opracowała. Powiedziała, że takie właśnie są jej uczucia, ja zresztą czuję dokładnie to samo w stosunku do niej. — Przez ułamek sekundy Pete'owi wydawało się, że dostrzega współczucie w oczach policjanta. Cokolwiek to było, zniknęło w chwilę później.

— Będziemy w kontakcie, panie Sorenson.

— Jasne, jutro też jest dzień — stwierdził Pete unosząc brwi.

— Czy chce mi pan powiedzieć, że nie ma zbyt wysokiego zdania p policji?

Pete demonstracyjnie utkwiał na kilka sekund wzrok w mężczyźnie.

— Jestem nader mocno przekonany, że odnajdę moją narzeczoną przed wami. A wie pan, dlaczego tak twierdzą?

— Nie, nie wiem, panie Sorenson.

— Bo ja mam zamiar pracować nad tym dzień i noc. Mnie nie będą krępować zasady i rozporządzenia ani żadne układy. Nie pozwolę, by się mnie pozbywano, a poza tym nie mam dwustu innych przypadków, z którymi muszę się borykać. Jestem płatnikiem podatków i mam pełne prawo oczekiwać najlepszej pracy ze strony departamentu policji. Proszę mnie traktować jako dodatkową parę rąk i nóg. Musi pan wiedzieć, że mnie to nie zmęczy.

— Zrozumiałem, panie Sorenson. Będziemy w kontakcie — powtórzył detektyw. Uniósł rękę, a Pete w geście grzeczności zafundował mu miażdżący uścisk dłoni.

Szedł między biurkami w poszukiwaniu wyjścia i cały czas czuł na plecach świdrujący wzrok policjanta.

Nester upewnił się, że Pete wyszedł, zasiadł przy biurku i zadzwonił do Carla Weinsteina z FBI. Gdy tylko agent się zgłosił, powiedział mu o Sorensonie.

— Jak bardzo dokuczliwym wrzodem na naszym tyłku będzie ten człowiek?

— Niech pan myśli o nim jak o czyraku, Weinstein.

— Nester, nie wiem, czy pan o tym słyszał, ale Adam Wagoner doznał ciężkiego udaru i wczoraj rano zabrany został do szpitala Waltera Reeda. Nie sądzę, aby to poprowadził. Już dziesięć lat temu powinien był odejść — dorzucił Weinstein niedelikatnie.

— Nie, nie słyszałem. Jak to się ma do jego przyrzeczenia złożonego pannie Stern, iż będzie mogła się skontaktować z narzeczonym?

— Można je uznać za niebyłe. Pan nic nie powie, Nester. Rozumiemy się?

— Tak.

Połączenie zostało przerwane. Nester patrzył na czarną słuchawkę w ręce.

— Jak sobie życzysz, Weinstein.

Szurnął stosem akt na biurku i zwałił je na podłogę. Zrobił co mógł, by patrzeć w przestrzeń, ale wciąż stawała mu przed oczami twarz Pete'a Sorensona.

— Biedny, głupi sukinsyn — mruknął.

* * *

Był wczesny poniedziałkowy rano, gdy Pete zwałił się z łóżka. Zegarek wskazywał piątą dwadzieścia. Poczul głód i niecierpliwą chęć działania. Przeszedł do kuchni, wrzucił mrożony stek na ruszt, po czym wykapał się i ogolił. Wrócił do kuchni na czas, by odwrócić mięso. Zaparzył kawę, umieścił w mikrofalówce zamrożone bułeczki, po czym zasiadł do sporządzania tego, co Maddie nazywała jego osławioną listą. Bez planu nie potrafił nic robić. Wszędzie miał listy — w łazience, w kuchni, trzymał je w teczce i w kieszeni spodni. Miał nawet specjalny spis owych list. Koledzy mówili, że jest bardzo zorganizowany, on sam nazywał to słabą pamięcią.

Książka telefoniczna z żółtymi stronicami, prawnicze notatki oraz pęk ołówków wpatrywały się w niego w oczekiwaniu. O szóstej dziesiątej wykonał pierwszy telefon. Głos kolegi mimo wczesnej godziny brzmiał rześko i przytomnie. Pete opowiedział mu wszystko.

— Muszę prosić o wiele przysług, czy mógłbyś przekazać to dalej? — zakończył. — Potrzebny mi też najlepszy w branży prywatny szperacz. Jestem ci dłużny kolację i dwa bilety na następny mecz Rangersów.

— Zadzwonię do ciebie jeszcze przed wyjściem do biura — usłyszał w odpowiedzi. Wiedział, że musi to nastąpić w ciągu trzydziestu minut, gdyż większość znanych mu prawników wychodziło z domu o szóstej trzydziści. Byli na siódmą w biurze, gdzie harowali, aż mijała godzina kolacji. Potrzęsął głową na myśl o porównaniu, czynionym przez pismaków między prawnikami a handlarzami używanych samochodów. Każdy ze znanych mu prawników, tak samo jak on, wypruwał sobie żyły dla klientów.

Sprawdził stek i zrobił w nim kilka dziurek, by szybciej dochodził. Bułeczki parowały w plastikowych opakowaniach, gdy wyciągał je z kuchenki. Nasmarował je obficie dżemem z czarnej porzeczki i łapczywie pochłaniał jedną po drugiej. Pił trzecią filiżankę kawy, gdy stek był upieczony dokładnie tak, jak lubił. Maddie dla siebie robiła na wpół surowe. Zadygotał na wspomnienie krwistego mięsa, na które patrzyła z taką lubością. Rozsmarował ostrą brązową musztardę na cienkim płacie mięsa, poprawił warstwą ketchupu, po czym dodał jeszcze sos do steków. Pokroił wszystko, wyrzucił kość do odpadków i zasiadł nad swoją listą.

Za piętnaście siódma kolega już dzwonił.

— Zapisuj szybko, Pete, bo już pędzę. Mam do złożenia wnioski, wadium, dwa zamknięcia, poza tym muszę przekonać jakoś sędziego Pettibone, by dał mi dalsze prowadzenie sprawy Capricone. To znaczy, że nawet nie będę miał czasu zjeść. Wieczorem Marcia zażyczyła sobie, abyśmy się powalęsali trochę i zasnęłam przy niej, a dziś rano się do mnie nie odzywa. Jesteś gotów?

— Tak. Dlaczego to robisz, Mike?

— Z tego samego powodu co ty. Dla forsy. A nienawidzę tego jak cholera. Chciałbym być kierowcą ciężarówki i mknąć sobie autostradą życia. Wcale cię nie nabieram. No to jedziemy...

Pete notował bez przerwy swym własnym systemem stenografii. Podziękował przyjacielowi. Aż do dziesiątej siedział przy telefonie, po czym zadzwonił do detektywa nazwiskiem Jakes i umówił się z nim na spotkanie przy Pierwszej Alei. Następny telefon był do Annie.

— Chcę cię prosić o wielką przysługę. Wprost boję się mówić, o co chodzi, ale nie mam wyboru. Czy mogłabyś wziąć urlop i zająć się prowadzeniem Czarodziejskich Opowieści? Zrobię wszystko, by ci się to opłacało, a jeśli cię wyrzucą, znajdę ci pracę taką, by ci płacili trzy razy tyle co teraz, albo będziesz pracować dla mnie. Annie, twoja odpowiedź potrzebna mi jest natychmiast.

— No to ją masz. Przyjadę przed wieczorem.

— Annie, nie wiem, jak ci się kiedykolwiek odplacę. Przysięgam, że wszystko zależy od ciebie.

— Pete, jesteśmy przyjaciółmi. Ty byś to dla mnie zrobił, prawda?

— Ma się rozumieć.

— Czy masz jakieś wiadomości?

— Pracuję nad tym. Wieczorem złożyłem doniesienie o zaginięciu dwóch osób. Wynajęłem prywatnego detektywa. Robię wszystko, co mi przyjdzie do głowy. Jeśli masz jakieś pomysły, chętnie wysłucham.

— Wszystko to wygląda jakby... jakby były... to może zabrzmieć głupio, ale to zupełnie, jakby zostały przez kogoś usunięte w tajemniczy sposób.

— Zaczynam też tak myśleć. To do zobaczenia wieczorem. Odwiesił słuchawkę zdumiony, że ma taką przyjaciółkę. Następną rozmowę przeprowadził z wujem. W przeciwieństwie do swych ciężko pracujących kolegów prawników, Leo nigdy nie pojawiał się w biurze wcześniej niż o dziesiątej trzydzięci. Pete zadzwonił do domu, gdzie poinformowano go, że wuj ma wczesne umówione śniadanie i w biurze będzie o dziesiątej. Pete siedział w poczekalni, gdy Leo wkroczył przez wielkie przeszklone drzwi.

Zwrócił uwagę na schludny wygląd wuja i poczuł chęć pomacania palcami materiału garnituru. Dopiero dziś dostrzegł puszyste włosy Leo, zauważył też wypolerowane, zadbane paznokcie. Sam krawat musiał kosztować co najmniej trzysta dolarów, buty jednak wyglądały nędznie i były nie wyczyszczone. Wraz z plastikową aktówką stanowiły taki kontrast z całą resztą, że Pete zamrugnął z niedowierzaniem. Do diabła, każdy ma swoje kaprysy. On sam też ma ich kilka.

Biuro Leo Sorensona tonęło w aksamicie. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać skóry, nawet na bezcennych egzemplarzach książek ustawionych równiutko na półce; wszystko obito tkaniną. Głębokie, wygodne meble pokryte były kosztownym wytłaczanym supełkowym materiałem, którego dotyk stanowił pieszczotę dla palców. Mięśisty, gruby dywan pokrywał czubki butów i w pewien sposób łączył się z wiszącymi nad nim fałdami w ustawicznym potoku odcieni. Maddie nazwałaby to symfonią barw, ale tylko z powodu maźnięć jaskrawego koloru na ścianach. Teraz poranne słońce przemieniało zieleń w długie szmaragdowe liście. Gdy Leo

siedział przy biurku, na wprost oczu miał średniej wielkości akwarium z różnokolorowymi tropikalnymi rybkami.

Pete siedział naprzeciw wuja w drugim końcu pokoju i myślał, że gdyby był jego klientem, bardzo by go ten pokój onieśmiała. Zmuszałby też do ściągnięcia książeczki czekowej gumową opaską.

Leo usadowił się w drewnianym, wyściełanym fotelu.

— Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę? — spytał ostrożnie, bo nie podobał mu się wyraz twarzy krewniaka.

— Chcę cię prosić o... przysługę. Jeśli nie podoba ci się słowo przysługa, potrzebna mi pomoc — rzekł Pete cicho.

— Peter, popraw mnie, jeśli się mylę, ale jak się zdaje, po raz pierwszy przyszedłeś do mnie po pomoc. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego trzymasz się ode mnie na taki dystans. Nigdy nie wtrącałem się do twoich spraw. Domyślam się, że minął już czas, kiedy powinniśmy omówić twoje pretensje, jeśli miałeś takowe. Jak wiesz, nigdy nie miałem dziecka, tak że nie znam się absolutnie na wychowywaniu chłopca. Jeśli popełniałem błędy, nic mi nie mówiłeś... Dlaczego do mnie przyszedłeś, Pete?

Pete pomyślał, że wuj jest zdenerwowany. Nie lubią się wzajemnie. Gdzieś po drodze, po tych pierwszych latach, ujawnił się ich prawdziwy stosunek do siebie. Zamiast odpowiedzieć spytał:

— Dlaczego mnie nie lubisz? Czy dlatego, że jestem podobny do ojca? Wiem, że nie żyliście ze sobą w harmonii. Wciąż mam tę deskę — wyrwało mu się. Poczul się jak dziecko — nagle wszystko przerosło jego zrozumienie.

— Wiem. Mam nadzieję, że pewnego dnia zaczniesz z niej korzystać.

— Na pewno, możesz być spokojny. — Odchrząknął. — Wiem, że znasz całe miasto i na całym świecie masz kontakty. Potrzebna mi twoja... Jeśli cię o to poproszę, czy pomożesz mi odnaleźć Maddie?

— Spróbuję, Pete. W lecie pracuję tylko połowę dni. Czy od jutra wystarczy?

— A możesz dziś wykonać kilka telefonów? Zdaje się, że Morgenthau jest twoim bliskim przyjacielem?

— Tak — potwierdził ostrożnie Leo.

— Zgłosiłem zaginięcie Maddie i jej przyjaciółki Janice. Detektyw, z którym rozmawiałem, sprawiał wrażenie, że nie ma nawet zamiaru ruszyć tyłka i przeszukiwać miasta. Jutro mieliśmy wziąć ślub. Zapytaj Morgenthaua, czy może pójść do tego detektywa, nazywa się Nester, i wyrzucić na niego jakiś nacisk.

— I może się zdarzyć, że wyjdę na głupca, gdy okaże się, że twoja dziewczyna wyniosła się i zostawiła cię po prostu na lodzie. Nie chciałbym okazać się durniem, Peter.

— Ona nie zostawiła mnie na lodzie. Dopiero co uruchomiła milionowy interes. Dlaczego ktoś przy zdrowych zmysłach miałby się wynosić i to zostawiać? Nie zamyka się tak po prostu drzwi i nie odchodzi od czegoś takiego. Zostawiłaby mi list. Maddie to osoba otwarta. Mam wrażenie, że została usunięta. Nie jest też wykluczone uprowadzenie. Ona odeszła, a ja chcę, by wróciła. Jej przyjaciółka także. Kot również zniknął.

— Dzwoniła do mnie do biura — oznajmił Leo. — Zostawiła numer swojego telefonu, a gdy próbowałem oddzwonić, dowiedziałem się od telefonistki, że telefon jest odłączony. Nie było mnie w mieście przez kilka dni, kiedy dostałem tę wiadomość. Ponownie dzwoniła do mnie do domu, ale wyszedłem na kolację. Zostawiła numer hotelu, ale gdy tam zadzwoniłem, telefonistka powiedziała, że nikt o tym nazwisku się nie meldował.

Leo poszperał w szufladzie biurka i wyciągnął zwitek różowych karteczek z wiadomościami. Poślinił wskazujący palec i zaczął je przewracać.

— No, jest! — Podał świstek Peterowi, który popatrzył nań z uwagą. — A to rejestr moich telefonów. Zobacz, wróciłem do jej rozmowy i zrobiłem notatkę, że telefon jest zepsuty.

— A więc usiłowała skontaktować się ze mną za twoim pośrednictwem. Teraz jestem więcej niż pewien, że coś się z nią stało.

— Może masz i rację — powiedział Leo z rozwagą. — Zadzwoń do Roberta jeszcze rano. Przykro mi z powodu twojego ślubu. — Pete skinął głową z zaciśniętymi ustami. — Coś jeszcze, Peter?

— Nie. Czy mogę przyjąć, że jesteś zadowolony z umowy, którą sfinalizowałem?

— Bardziej niż zadowolony.

— Zrozumiesz więc mnie, jeśli na jakiś czas zawieszę interesy. Muszę poświęcić czas na poszukiwanie Maddie, a nie mogę tego robić, gdy sprawy zawodowe wiszą mi nad głową. Poza tym wypaliłem się. Potrzebna mi przerwa.

— Zrobisz sobie przerwy i spocznieś na laurach, jak będziesz miał sześćdziesiąt pięć lat, a nie teraz, na samym początku kariery. Biznes to biznes. Daję ci tydzień wolnego, ale musisz być pod telefonem. Umowa środkowowschodnia już się podgrzewa. Jesteś potrzebny. Będziemy pracować nad tą sprawą przez trzy lata. Z twoją ekspertyzą będziemy mieli haka na Japończyków. Robisz kontrakt, Peter.

— Na zapoczątkowanie trzeba czterech miesięcy, a potem wyjeżdżam. Czas, żebym się nauczył jeździć na desce. Nie zmuszaj mnie do tego, Leo. Przez ostatnie siedem lat wyciskałem z siebie ostatnie poty, pracując dla ciebie. Zrobiłem dla ciebie takie pieniądze, że nawet gdybyś dożył do setki nie będziesz w stanie ich wydać. Nie chcę być zmuszany do przychodzenia do biura w soboty i w niedziele. Jestem zmęczony i mam dość dziewięć — dziesięciogodzinnego tygodnia pracy. Już zapominam, jaki jest dzień i w jakim mieście się znajduję. Sporządzam listy. Nie potrafię funkcjonować bez list. Co to za życie, do diabła!

— Życie z listami, które daje ci bardzo przyjemne utrzymanie — zachichotał w odpowiedzi Leo.

Staroświecka kuchnia niemiętego, małego mieszkania w Fort Lauderdale na Florydzie roiła się od karaluchów. Ściany miały nieświeży kolor skorupki jajka, na podłodze leżało popękane linoleum. Podarte poduszki kuchennych krzeseł trzymały się dzięki szarej taśmie izolacyjnej. Aluminiowe wykończenie stołu upstrzone było kawałeczkami zeschniętego żółtka i czerwonej galaretki. Okno okazało się tak brudne, że Maddie przetarła w nim kółko zwiłkiem papieru toaletowego, by móc wyglądać.

Przed kilkoma dniami odmówiła jedzenia wszystkiego, co pochodziło z pomalowanej na różowo obskurnej lodówki. Kiedyś była ona niebieska, później brudnobezowa. Któregoś dnia Maddie zrobiła sobie zabawę z odrywania łuszczącej się farby, co wraz z liczeniem karaluchów stanowiło jej jedyną rozrywkę.

Małeńki salonik i jeszcze mniejsza sypialnia napępniały ją taką zgrozą, że nie chciała nawet o tym myśleć. Zażądała, by pilnujący jej funkcjonariusz przyniósł wielkie ręczniki plażowe, gdyż nie chciała siedzieć na cuchnących zastarzałym moczem i zepsutym jedzeniem meblach. Zdecydowanie odmówiła spania w rozsypującym się łóżku z cienkimi materacami i paskudną narzutą w kolorze węgla drzewnego. Wystrzępiony brzeg dawał świadectwo faktowi, że narzuta miała kiedyś szaro — różowy kwiatowy wzór. Ona także woniała czymś, czego Maddie nie potrafiła zidentyfikować, dopóki strażnik nie uświadomił jej, że to zapach marihuany i seksu. Ku zdumieniu mężczyzny natychmiast wyskoczyła z pokoju.

Była podenerwowana, rozdrażniona brakiem snu i niedostatkiem jedzenia. Czuła się brudna i wiedziała, że nie pachnie, ale nie mogła się zmusić do korzystania z obrzydliwej, zarosniętej grzybem wanny.

— Ktokolwiek jest właścicielem tej nory, powinien siedzieć — mamrotała. — Jestem tu już osiem dni. Powiedział pan, że to tylko kwestia kilku godzin. Kiedy się stąd wyniesiemy?

— Jak nam powiedzą, że możemy to bezpiecznie zrobić. Omawialiśmy to już kilkadziesiąt razy, panno Stern.

— Tu musi być kilkadziesiąt stopni. Niech pan popatrzy na moje włosy. Są skręcone jak u barana, a poza tym jesteście zamknięci. Żądam przeniesienia w przyzwoite miejsce. Nie chcę tu siedzieć. Chcę się wykapać w czystej wannie. Czy to za wysokie żądanie? Nie uprzedziliście mnie, że będzie to tak wyglądało. Powiedzieliście, że na godziny, nie na dni. Chcę się stąd wynieść. Powiedział mi pan, że otrzymam nową tożsamość i w ciągu paru godzin zostanę stąd zabrana. Czy pan mnie słyszy? Proszę słuchać, przecież mówię do pana — wykrzyknęła Maddie.

— Panno Stern, nie ja ustalam reguły, ja się tylko im podporządkuję. Złożyła pani podpis, teraz musi pani z tym żyć. Jestem przekonany, że nie potrwa to długo.

— To samo mówił pan wczoraj i przedwczoraj, i jeszcze dzień przedtem. Żądam, by zabrał mnie pan z tego... z tego worka z pchłami. Boże, robał mi się wdrapuje na nogę! Chcę się stąd wynieść! — wykrzyknęła waląc w karalucha. — Jeśli mnie pan stąd nie zabierze, to przysięgam na Boga, że... Że wyrzucę któreś z tych krzeseł przez to cholerne brudne okno. Czy pan mnie słucha? Nie dotrzymuje pan słowa. Powiedział pan, że tylko kilka godzin, a to już niemal sto. Nie zniosę tego dłużej! Niech pan mnie posłucha — mówiła dalej z narastającą w głosie histerią. — Nie macie prawa zabierać mnie z mojego środowiska i wsadzać do takiej... do takiej piekielnej dziury. Niech pan zadzwoni do kogoś, niech pan natychmiast zadzwoni!

— Nic dobrego z tego nie wyniknie, panno Stern. Wszystko zależy od procesu, a pani nie jest w stanie go przyspieszyć. Musi pani uzbroić się w cierpliwość. Może by pani usiadła i pooglądała telewizję.

Maddie przemierzała nerwowo pokój, załamując ręce. W jej oczach czał się obłęd.

— Małżeństwa spędzają razem mniej czasu niż my. Niech mi pan to wytłumaczy. — Nie podobał jej się własny ton i ostre brzmienie głosu. — Chętnie bym pana zabiła i wyszła stąd — palnęła.

Mężczyzna parsknął, ale jego ręka przesunęła się znacząco w stronę kabury. Maddie dostrzegła lekki ruch dłoni i ramiona jej opadły. Wróciła do kuchni i wpatrzyła się w okno.

Wszystko idzie źle. Nic nie wygląda tak, jak zapowiadał Nester. Jeśli Janny nie ma takich kłopotów, z pewnością wypełnia opracowany przez nie plan, zamieszcza ogłoszenia i nie może zrozumieć, dlaczego nie ukazują się wiadomości od Maddie. A co z Pete'em? Gdzie jest? Co myśli, co czuje? Czy Adam Wagoner dotrzymał obietnicy i powiedział mu, gdzie ona się znajduje? Już powinien być jakiś odzew. Nic nie wychodzi. Równie dobrze mogłaby umrzeć. Właściwie, to Maddie Stern już umarła. Chciała wyprostować ramiona, ale żałosna próba nie powiodła się. Nie ma już nawet nazwiska. Gdyby teraz wyszła na ulicę i chciała cokolwiek kupić, byłoby to niemożliwe. Musiałaby mieć pieniądze w ręku. Nie może wynająć samochodu i jechać. Nie ma świadectwa urodzenia. Maddie Stern nie istnieje. Łzy zaczęły jej kapać po policzkach. Ruszyła wielkimi krokami z powrotem do saloniku.

— Nie wypełniliście waszej części umowy. Zrobiłam wszystko... ze wszystkiego zrezygnowałam. Zasluguję na coś lepszego, i do diabła, żądam tego! Nie wierzę w ani jedno pana słowo. Wychodzę stąd, i niech się pan nie waży mnie zatrzymać. Wszystko to było kłamstwo, byleśmy tylko zgodziły się na wejście do tego cholernego programu.

Mężczyzna powstał. Czy ośmieli się na nią rzucić? Poczowała napływ adrenaliny. Omiotła oczami zapuszczone drzwi z warstwą łuszczącej się farby. Jest wprawdzie w formie, lecz on też. Dwa zamki sprawiają jej trochę kłopotów i straci przy tym cenne sekundy. Musi się stąd wydostać, to wszystko.

— Nie mogę pozwolić, by pani to zrobiła — oświadczył, nieufnie popatrując na dziki błysk w jej oku. — Proszę posłuchać, zadzwonię. Niech pani usiądzie, porozmawiamy.

— Za późno na dyskusje. Dyskutujemy już od ośmiu dni. Nie mogę tego znieść. Mam to gdzieś. Jeśli kłamiecie, znów nie dotrzyma pan słowa. Nic wam nie jestem dłużna. Jeśli spróbuje mnie pan powstrzymać, będę się darła na całą tę dziurę.

Zgnębienie i frustracja narastające w niej w ciągu ostatnich dni spowodowały wybuch złości tak gwałtownej i płomiennej, że słowa Maddie zamieniły się w bełkot. Chodziła coraz szybciej, jak oszalała, mamrocząc i przeklinając.

Stała w drzwiach kuchni z oczami utkwionymi w wyczyszczonym papierem toaletowym kręgu, który dawał jej widok na ruch panujący na A1A. Skorodowany toster z wystrzępionym sznurem i uszkodzoną wtyczką przyciągnął jej wzrok.

— Niech pan patrzy — powiedziała. Ujęła toster i cisnęła w stronę wypolerowanego w brudzie szyby kręgu. Zaśmiała się, gdy szkło rozsypało się, a toster poszybował za okno. Gwałtowny gniew nie rządził nią już, gdy rozglądała się za czymś, co mogłaby jeszcze cisnąć przez wybitą szybę.

— I co pan o tym sądzi, szeryfie?

Mężczyzna rzucił się do przodu i szarpiąc się z nią, usiłował wyciągnąć dziewczynę z plugawej kuchni.

— Sądzę, że mogła pani kogoś zranić, ot co! — wydyszał w czasie zmagania. — Wkrótce pojawi się tu policja. Niech się pani uspokoi!

— Powiedziałam panu, by nie próbował pan mnie tknąć! — wykrzyknęła, a mężczyzna postąpił krok do przodu. Wyrzuciła się patrząc na niego z wściekłością. — Od tamtego dnia spotykam samych silnych mężczyzn! Ale na nic się nie przydajecie. Niech mi pan zejdzie z drogi, zanim zrobię coś, czego będziemy obydwójce żałować!

— Panno Stern...

— Niech pan przestanie nazywać mnie panną Stern. Już nią nie jestem. Odebraliście mi nazwisko, a nie daliście nowego. Przysiękliście solennie nowe nazwisko w ciągu dwudziestu czterech godzin. Dał mi je pan? Nie. Jesteście oszustami. Mój narzeczony z pewnością już wrócił. Dlaczego nikt go do mnie nie przyprowadził? Adam Wagoner dał na to słowo. Co dla mnie zrobiliście? Potraficie tylko kłamać.

Odstąpił od niej z wyrazem osłupienia na twarzy.

— Na co dał pani słowo? — spytał.

— Przysiękłem, że pozwolicie, bym porozumiała się z Pete'em. Jak wszystkie wasze przysięczenia, to także nie zostało dotrzymane.

— Czy nikt pani nie powiedział o Wagonerze? — zapytał z głupim wyrazem twarzy.

— O czym mieli mi powiedzieć?

— Miał udar i mało prawdopodobne, by przeżył. Myślałem, że pani wie. Częściowo z tego powodu znajduje się pani tutaj. Sprawy się powikłały. Musimy poczekać.

— Może wy musicie, ale ja nie. Niech mi pan zejdzie z drogi. Jeśli jesteście tak cholernie nieskuteczni, nie macie żadnego interesu w tym, by mnie ochraniać. Kto, u diabła, prowadzi sklep? Czy wpakowali mnie tu w oczekiwaniu na śmierć Wagonera i wyznaczenie jego następcy?

— Proszę, niech pani usiądzie, a ja zadzwonię. Nie mogę pozwolić, by pani stąd wyszła.

Niepodobna do żadnych dotychczasowych jej przeżyć wściekłość odezwała się w Maddie. Nieprzytomnie waliła wokół rękami, kopała z krzykiem i wydierała się co sił w płucach. Telewizor z krzywej podstawy zsunął się na podłogę, wrzcionowaty stół pomknął w przeciwnym kierunku. Maddie złapała jedną nogę połamanego mebla i zaczęła wywijać ją groźnie, krążąc wokół paskudnego krzesła, na którym zmuszona była siedzieć całymi dniami.

— Teraz szanse trochę się wyrównały, nie uważa pan? — spytała wywijając dziko nogą od stołu. Jednocześnie zrodziło się w niej pytanie, dlaczego nikt nie woła ani nie puka w drzwi, by zobaczyć, o co ta cała awantura. Zrozumiała, że takim miejscem ludzie interesują się dopiero po strzałach, albo jak krew zacznie wyciekać pod drzwiami.

W ręce szeryfa pojawiła się broń. Jego głos był cichy i uspokajający.

— Żądam, aby pani usiadła, a wtedy zadzwonię do mojego zwierzchnika. Czy pani to zrobi?

— Nie — rzuciła. — Niech pan dzwoni natychmiast! — Rozkołysana noga od stołu tylko o cal minęła rewolwer w ręce mężczyzny. Maddie szła do niego pochyłona, a w jej spojrzeniu czaiła się chęć mordy. Dojrzała strach w oczach strażnika. — Pan nie ma zamiaru do mnie strzelić, więc niech pan nie udaje. To wy mnie potrzebujecie. Pan ma za zadanie podlizywać mi się i robić to, co ja chcę, abym ja z kolei robiła to, co wam potrzebne. Ale to jakoś nie wychodzi. Szeryfie, pan ma się mu bardzo podlizywać. Pan i wszyscy ci faceci z Wielkiego Jabłka, z wymiaru sprawiedliwości i z FBI.

Wściekłość, która zaczynała już opuszczać Maddie, załała ją powtórnie falą.

— Niech pan idzie, przeprowadzi rozmowę i raczej się pospieszy. Wiedziała, że nie panuje nad sobą i że zrobi coś strasznego, jeśli natychmiast nie zmieni swojej sytuacji. Zaczęła płakać. Ramiona jej drżały, gdy mężczyzna rozmawiał przez telefon. Nadal kurczowo ścisnęła stołową nogę.

— Niech pan powie tym draniom — zaczęła krzyczeć znowu — że w pokoju jest co najmniej czterdzieści kilka stopni. Nie chcę jeść więcej z papierowych toreb ani pić z plastikowych

kubków. Chcę kąpieli i chcę, by wyniósł się pan z mojego życia. Niech tu ktoś przyjdzie, bo przysięgam, że złamię tę nogę na pańskiej głowie, a potem wezmę któryś z tych tępych noży i obetnę panu jaja! Nie boję się pańskiego rewolweru! — wykrzyknęła ostro.

Uświadomiła sobie, że własną tyradą zagłusza to, co mężczyzna mówi do osoby na drugim końcu przewodu. Grzmotnęła trzymanym w ręce kołkiem w wypalony papierosami koniec stołu. Ponura lampa z karbowanym abażurem potoczyła się i spadła na podłogę. Kontakt elektryczny zaiskrzył, gdy szary dym zawirował na środku maleńkiego pokoju.

— Pali się! — wrzasnęła biegnąc do drzwi. Mężczyzna rzucił telefon i podstawiając jej nogę, wyciągnął jednocześnie sznur z kontaktu w ścianie. Maddie potknęła się i opadła na kolana, ale stołowej nogi nie wypuściła z ręki. Chciała przetoczyć się z jego drogi, ale był zdecydowanie szybszy. Zobaczyła wysuwającą się rękę i wiedziała, że mężczyzna ją uderzy. Jeszcze raz spróbowała się odtoczyć, ale przeszkodziło jej krzesło. Poczula nad lewym uchem silny cios i straciła świadomość.

— Uderzyłem ją! Chryste Panie, uderzyłem kobietę! — powiedział do słuchawki. — Nie mówiliście nic o biciu kobiety. — Pot kapał mu z twarzy. — Co teraz? — zapytał gorączkowo. Słuchał odpowiedzi, a twarz wykrzywił mu niesmak. — Od kiedy to tak traktujemy świadków? Ta kobieta jest na granicy załamania nerwowego, poza tym nikt jej nie powiedział o Wagonerze. To nie w porządku. Ona ma prawo oczekiwać, że dotrzemy wszystkich przyrzeczeń. Nie podoba mi się to, Bennett. — Znów słuchał. — Nie zwiążę jej. Nie chcę tłumaczyć się przed sądem. Ona ma absolutnie dość, to panu powiem. Ja na jej miejscu czułbym się tak samo. Do diabła, przecież to istota ludzka. Jeśli pan chce dać jej na uspokojenie, niech pan przyjedzie i sam to zrobi. W przepisach nie ma mowy o krępowaniu ludzi ani o dawaniu im środków uspokajających. Prędzej odejdę, niż to zrobię!

Maddie jęknęła, potoczyła się i zwymiotowała na podłogę. Spróbowała usiąść, ale opadła z powrotem. Potrząsając głową usiłowała odzyskać ostrość widzenia.

— Proszę do mnie zadzwonić — rzucił funkcjonariusz do słuchawki. — O Jezu! — Odwrócił się do Maddie. — Panno Stern, strasznie panią przepraszam.

— Powiedziałam panu, że nie jestem panną Stern. Mam wstrząs mózgu i powinnam być w szpitalu — zakwiliła Maddie, gdy żołądek zbuntował jej się ponownie.

— Przecież nie uderzyłem pani tak mocno. Proszę posłuchać, wpadłem w panikę. Bardzo panią przepraszam. Musi pani się przebrać, bo wszystko jest zabrudzone.

— To pana wina. Co powiedzieli?

— Oddzwonią.

— Kiedy?

— Za chwilę.

Maddie prychnęła, by pokazać, co myśli o odpowiedzi.

— Niech pan trzyma ręce z daleka — powiedziała zmierzając chwiejnie do łazienki.

Na widok wanny odrzuciło ją. Z kranu z zimną wodą poleciała ciepła jasnobrazowa ciecz, odpowiadająca kolorem rdzawym plamom na wannie. Maddie zużyła prawie całą rolkę papieru na osuszenie twarzy, szyi i rąk. Zdjęła bawełnianą koszulkę i wyciągnęła z torby zmiętą świeżą.

Drżąc cała, przysiadła na krawędzi wanny, usiłując zebrać myśli. Co osiągnęła? Dokładnie nic. Czy jest przygotowana na wyjście z tego okropnego mieszkania. Tak. Czy się boi? Tak. Paraliżuje ją strach. Nic nie jest tak, jak być powinno. Pomyślała o Peterze i o Janny, i znów zaczęła płakać. Potworne mdłości ponownie napłynęły falą do żołądka. Musi skończyć z tym niezdecydowaniem i coś przedsięwziąć. Musi przestać o tym mówić i myśleć, przestać udawać, że ma jakieś zamiary. Musi coś zrobić. Nagle poczuła się spokojna i pewna siebie.

— Wszystko — zamruczała do siebie — jest lepsze od tego. Gdy weszła do saloniku, mężczyzna stał w progu.

— Odchodzę — powiedziała. — Wiem, że będzie się pan starał wywiązać ze swego zadania, i ja to rozumiem. Niech pan pozwoli mi przejść. Proszę powiedzieć tym wszystkim ludziom, że zmieniłam zdanie. Słyszałam, co pan mówił. Oni chcą, by mnie pan związał i zaaplikował środki uspokajające. Słyszałam też, jak pan powiedział, że prędzej rzuci pracę. Nie zasługuję na to. Proszę, niech mnie pan przepuści.

— Panno... Proszę pomyśleć, co pani robi. Nie zatrzymam pani, jeśli rzeczywiście chce pani wyjść. Nie darowałbym sobie, gdybym zrobił to, czego oni chcą. Ale musi pani znać konsekwencje.

— Znam. Niech się pan odsunie.

Mężczyzna przesunął się na bok. Maddie przeszła przez próg i ruszyła trzema kondygnacjami schodów, cuchnących wszystkim, co znajduje się pod słońcem i wydobywa spod ziemi. Sierpniowe powietrze Florydy trzepnęło ją w twarz wilgotną derką, gdy tylko przestąpiła brudną bramę prowadzącą na ulicę. Dźwięki rozbijających się po drugiej stronie fal oceanu były muzyką dla jej uszu. Powietrze pachniało cudownie, lepiej od najkosztowniejszych perfum. Wciągnęła je głęboko.

Rozglądała się. Opaleni turyści z plażowymi matami, fotelami i plastikowymi torbami pełnymi olejków do opalania stanowili najpiękniejszy obrazek na świecie. Uśmiechnęła się na widok purpurowej pary ciągnącej dwoje dzieci, równie przypieczonych jak rodzice.

Ludzie. Zwykli ludzie na wakacjach. Poczła zawrót głowy, po chwili falę oszołomienia zastąpiło uczucie euforii. Jest na zewnątrz. Idzie sobie zatłoczoną ulicą, gdzie nikt nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. To wprost cudowne.

Oparła się o frontową ścianę sklepu, by popatrzeć na kręcących się urlopowiczów. Tak samo jak w Nowym Jorku rozpoznawała turystów, tak i tutaj wiedziała, którzy przechodnie do nich należą. W Nowym Jorku noszą kamery i chodzą z zadartymi w górę głowami, by widzieć wszystkie wysokie budynki. Tutaj chodzili ubrani w mieniące się, kolorowe ubrania plażowe, tchnące niemal nowością. Zauważyła dyndającą pod pachą u jednego z mężczyzn metkę z ceną. Przechodząca blisko niej para młodych ludzi pachniała noxzemą i octem; zapewne leczyli oparzenia słoneczne.

Poczekwała na przerwę w potoku samochodów i przeszła przez ulicę. Puściła się pędem przez plażę. Zostawiła sandały i zaczęła brodzić pniącym się skrajem wody, zdumiona, że coś tak zwyczajnego może być wprost cudowne. Oszołomiona wrażeniami, delektowała się każdą chwilą. Nigdy w życiu nie uzna już żadnej sprawy za pewnik.

Musi zadzwonić do Pete'a i znaleźć sposób na zamieszczenie ogłoszenia w „USA Today” dla Janny.

Trzepała ramionami, nie wiedząc, dlaczego właściwie to robi. Nie obchodziło jej, że zwraca na siebie uwagę. Przebijała się głębiej w wodę, która sięgnęła jej po kolana. Była ciepła, a jednocześnie dawała ochłodę. Cudowne uczucie.

Pete. Musi do niego zadzwonić. On będzie wiedział, co robić. Przyjedzie i zabierze ją stąd, a potem w jakiś sposób odnajdą Janny. Nie pozwoli ukraść jej życia. Na pewno nie.

Opanowała przemożną chęć zerknięcia do tyłu. Po prostu tego nie robi. Wysła i nikt nie zaciągnie jej z powrotem tam, skąd się wyrwała. Jeśli mają zamiar ją zabić, niech będzie to niespodzianką. Tylko czy niespodzianka to właściwe słowo? Może czymś niespodziewanym. Tak czy inaczej zginie, więc jakie to ma znaczenie.

Z sandałami w ręku czekała ponownie na przerwę w ruchu, nim wróciła na ulicę. Jak do tej pory nikt nie zwracał na nią uwagi. Pomyślała, że wygląda tak samo, jak wszyscy inni

przechodnie. Wystarczająco długo stała na pasach, by to ustalić. W oślepiającym słońcu oczy jej błyszczały. Ocean ryczał jej w uszach, słone powietrze wwiercało się w nozdrza.

Przypomniała sobie zapach sklepu pani Ky, gdy padła na podłogę wspomniała odór podłego mieszkania, które właśnie opuściła. Pomyślała o rolkach papieru toaletowego, którym się wycierała.

Znalazła się przed sklepem pachnącym pleśnią, nowymi towarami oraz aromatycznym kokosowym olejkiem do opalania. Zajrzała do środka przez rozwieszony w oknie wystawowym ręczniki plażowe i podkoszulki. Wiedziała, że w sklepie panuje lodowaty chłód. Z umieszczonego nad drzwiami klimatyzatora skapywała woda. Maddie weszła i zaczęła oglądać towary. Były dokładnie takie same jak we wszystkich sklepach na deptaku. Kartony pomarańczowej balonówki i stoły z sandałami z gumy. Tanie popielniczki i kieliszki, kubki i talerze, wszystkie z wypisaną nazwą Fort Lauderdale, stojące trzema rzędami na składanych półkach. Wiedziała, że pod koniec dnia towary są zawsze uzupełniane. Nie można kazać czekać turystom na możliwość kupienia tanich pamiątek dla rodziny i przyjaciół. Ruszyła w głąb sklepu, gdzie wystawione były stroje plażowe, i wzięła granatową czapkę baseballową oraz parę wielkich okularów przeciwsłonecznych. Kupiła także długie wdzianko w kolorach tęczy do zakładania na kostium kąpielowy. Rozebrała się w przymierzalni i założyła je, odrywając metki. Zwinęła włosy i upchnęła pod czapkę, zdrapała niewielki biały nadruk z okularów i umieściła je sobie na nosie. Nie było to idealne przebranie, ale na razie wystarczało. Po drodze do wyjścia zobaczyła wielką słomianą torbę z wplecionymi czerwonymi kwiatami i postanowiła ją także nabyć. Torebka zmieściła się tu cała. Teraz wyglądała jak każda turystka na deptaku.

Chodziła potem bez celu i gapiąc się w okna szukała automatu telefonicznego. Serce zabiło jej szybciej, gdy zobaczyła biało — niebieski, nowoczesnie wyglądający automat, tkwiący na słupie przy plaży. Przeszła na drugą stronę. Za chwilę usłyszy głos Pete'a. Wymienione monety brzęczały w kieszeni wdzianka. Wykręciła numer Pete'a i poczuła zawrót głowy, gdy włączyła się automatyczna sekretarka. Czy odważy się zostawić wiadomość? Oczywiście, że tak. Odczekała, zanim telefonistka powiedziała jej, ile ma umieścić żetonów, i gdy usłyszała sygnał, zaczęła mówić.

— Pete, to ja... Powiedzieli mi... to nie tak miało być... Przyrzekli mi, że się ze mną skontaktujesz. Janny i ja wierzyliśmy... ale tylko przez chwilę... Nie wiem... Proszę cię, Pete, przyjedź i zabierz mnie stąd. Boję się. Ten glina uderzył mnie, gdy próbowałam wyjść. Słyszałam, jak mówili, że mnie zwiążą i dadzą środki uspokajające... Wyszłam. Niedługo spróbuję zadzwonić znowu... Kocham cię, Pete. — Zająknęła się. — Chodzę cały czas, żeby nie mogli mnie znaleźć. Mam trochę pieniędzy przy sobie, ale niewiele. Pete, nie zrobiłam nic złego, a oni traktują mnie jak kryminalistkę. Mówią, że mnie chronią. Nie mogę tak żyć. Nie mogę jeść ani spać. Myślę tylko wciąż o tobie i Janny. Ją także zabrali. Ni« wiem nawet, gdzie jest. Facet z biura sądowego powiedział, że do ciebie zadzwoni, a teraz mówią, że umiera. Jeśli coś mi się stanie, chcę, abyś wiedział, że cię kocham. Nie pozwól, by coś się stało ze sklepem. Niech pracuje, dobrze?

Nie miała nic więcej do powiedzenia, więc odwiesiła słuchawkę. Poczekała chwilę, i gdy zgłosiła się telefonistka, wrzuciła jeszcze drobne.

Spacerowała, a oczy za ciemnymi okularami miała szeroko otwarte. Było straszliwie gorąco. Zapagnęła czegoś zimnego do picia i porządnego jedzenia. Pot spływał jej po ciele, ale nie zwracała na to uwagi.

Kilkaset metrów dalej spostrzegła kolejny automat i postanowiła zadzwonić do Czarodziejskich Opowieści w nadziei, że zastanie tam Pete'a. Nie poznała dziwnego głosu, który jej odpowiedział. Zapytała o Pete'a i przedstawiła się.

— Maddie, czy to naprawdę pani?

— Tak, to ja, a kim pani jest?

— Jestem Annie. Zadzwoił do mnie i poprosił, żebym przyjechała i pomogła, dopóki pani nie wróci. Przeczesał całe miasto, poszukując pani. Gdzie pani jest?

— Czy pani wie, gdzie on jest teraz?

— Wyszedł, by spotkać się z detektywem, którego wynajął do poszukiwań. Gdzie pani jest?
— powtórzyła Annie.

— Na Florydzie. Dzwoniłam do niego do domu i zostawiłam wiadomość. Czy może mu pani powiedzieć, że próbuję się z nim skontaktować? Umieścili mnie w tym... w tym programie. Odeszłam i sama o sobie decyduję. Jak idzie w sklepie? — spytała ze smutkiem.

— Dobrze, choć pewnie nawet w połowie nie tak dobrze, jakby szło, gdyby pani tu była. Staram się, jak potrafię, by sklep działał. Czy mogę coś dla pani zrobić?

— Niech pani powie po prostu Pete'owi, że będę znów do niego dzwoniła.

— Czy dobrze się pani czuje?

— To zależy, co pani przez to rozumie. Żyję. Muszę już iść. Niech pani mu powie, że go kocham.

— Powiem, jak tylko będę mogła. Niech pani uważa na siebie. Pete jest chory ze zmartwienia o panią. Maddie... czy pani mówi o programie ochrony świadków?

— Tak. Wyrwałam się. Po prostu odeszłam.

— Maddie, to niebezpieczne. Niech pani rozważy powrót. Oni zapewnią pani bezpieczeństwo.

— Nie mogę tego zrobić. Okłamali mnie. Muszę już iść.

Płakała za swymi ciemnymi okularami, gdy wchodziła do małej restauracyjki. Usiadła, zamówiła colę i solidne danie. Jadła tak szybko, że bała się, by jej nie zemdleło.

Gdy wyszła, machnęła na taksówkę i kazała zawieźć się do Miami.

W Miami może się zgubić. Mogą ją nawet zabić. Jest jej wszystko jedno. Teraz ma najcenniejszą rzecz na całym świecie. Rzecz, którą większość ludzi uznaje za pewnik, nigdy się nad tym dobrze nie zastanawiając.

Jest wolna.

Pete skierował się do zatłoczonych nowojorskich delikatesów, gdzie miał się spotkać z prywatnym detektywem.

Simon Jakes zupełnie nie przypominał detektywa. Mały, pękaty, o niepozornej sylwetce, ubrany był w szorty i podkoszulek. Jego buty wyglądały na jeszcze starsze i bardziej zniszczone niż Pete'a. Był świeżo ogolony i pachniał lekko wodą kolońską. Płowe włosy zwijały mu się wokół uszu i opadały na czoło. Zapewne nienawidził owych kędziorów, ale już dawno temu poddał się i przestał walczyć ze swą dziką szopą. Ostre, przeszywające spojrzenie stanowiło jego najbardziej wyrazistą cechę.

— Pete Sorenson — rzekł Pete wyciągając rękę.

— Simon Jakes. Wezmę pastrami z kaszą, podwójną musztardę, trzy pikle, podwójną surówkę i kawę.

Pete skinął na kelnerkę i zamówił.

— Potrzebuję pańskiej pomocy — zwrócił się do detektywa, gdy kobieta odeszła. — Bardzo mi pana polecano. Słyszałem, że jest pan drogi, ale wart swego wynagrodzenia.

— Nie ma dwóch ludzi, którzy przykładaliby taką samą wartość do tych samych pieniędzy. Jestem dobry w tym co robię, jeśli o to panu chodzi. Ukończyłem Instytut Technologiczny Stanu Massachusetts. Lubię myśleć, że jestem troszkę magikiem od elektroniki. Mam magisterium i robię doktorat. Coś mi mówi, że jest pan albo adwokatem, albo biegłym księgowym. Tak pan wygląda.

— Jestem prawnikiem, ale nie ma to wielkiego znaczenia. Zniknęła moja narzeczona, przepadła też jej przyjaciółka. Nie, wcale się nie zmyła.

Przechylił się przez stół, spojrzął detektywowi w oczy i zaczął opowiadać. Jakes ani na chwilę nie spuścił wzroku.

— Chcę, aby pan pracował nad tym w pełnym wymiarze czasu — zakończył. — Za odnalezienie obu kobiet premia. Złożyłem raport o zaginięciu. Tylko mam wrażenie, jakby policja starała się mnie zbyć. Zgłoszenie przyjąć musieli, ale na tym koniec. Nie robi pan notatek?

— Nie muszę — odparł Jakes wbijając zęby w kanapkę. Pete zaczął jeść również.

— Ja robię spisy — powiedział i na widok wpatrzonych w niego nad kanapką oczu Jakesa natychmiast pożałował tego, że otworzył usta. — . W moim zawodzie nie ufam pamięci — wyjaśnił.

— A w moim zawodzie nie należy niczego przelewać na papier — rzekł Jakes. — Przynajmniej ja tego nie robię. Klienci się denerwują. Moje wynagrodzenie to trzysta dolarów dziennie plus wydatki, które mogą być różne. Czasami dodatkowych wydatków nie ma. Płacę za wszystko co trzeba, ale zawsze liczę się z pieniędzmi klienta. Jeśli ma to stanowić problem, wyjaśnijmy to od razu. Nie jestem typem łapacza, który pyta o pozwolenie za każdym razem, gdy musi dać komuś w łapę.

— Poniosę wszelkie koszty — potwierdził Pete wycierając musztardę z kącików ust. — Czy ma pan w departamencie policji wpływowych przyjaciół? — Jakes skinął głową. — A jeszcze wyżej? — Jakes skinął głową powtórnie.

— Ja też mam kilku — rzekł Pete. — Skontaktujmy się ze swoimi w policji. Mam wrażenie, że wiedzą więcej, niż mi mówią. Zachowanie tego Nesterera na to wskazuje. Nie takiego traktowania obywatel mógłby oczekiwać od policji.

— Może nie cierpi prawników — odparł Jakes. — Mnóstwo ludzi ich nie znosi. Może popsuł mu pan dzień. Mają mnóstwo godzin nadliczbowych. Nie gram tu roli adwokata diabła. Mam tam kilku przyjaciół i wiem, jak to wszystko działa. Czy ma pan jakieś zdjęcia narzeczonej?

Pete wyciągnął z tylnej kieszeni spodni portfel i wydobył zdjęcie, które zrobił Maddie w Central Parku. Uśmiechała się na nim wprost do kamery, ukazując wyraźnie dołeczki w policzkach. Podał też detektywowi drugie zdjęcie, gdzie Maddie i Janny stały na tle domu.

— Chcę, żeby pan odnalazł je obie.

— Czy jest pan pewien, że są razem? — spytał Jakes kończąc kanapkę.

— Tak przypuszczam. Niech pan skontaktuje się z domem maklerskim, gdzie Janny pracuje. Ciekawe, co panu powiedzą.

— To cztery setki dziennie. Może będę musiał wynająć detektywów, by sprawdzili, w co może być zamieszana. Nie mogę być jednocześnie w dwóch miejscach.

— Powiedziałem panu, że zwracam wszystkie koszty. Czy może się pan wziąć za to zaraz po lunchu i skontaktować ze mną powiedzmy koło siódmej? U mnie. Nawet nakarmię pana. Moja przyjaciółka z Bostonu prowadzi sklep Maddie. Będzie u mnie w domu i chciałbym, żebyście się poznali. Będzie naszym łącznikiem na wypadek, gdybym musiał wyjść i sprawdzić coś na własną rękę. Mam też swoje sprawy zawodowe, które muszę załatwić.

— Potrzebna mi mniej więcej godzina. Muszę wrócić do biura i ponownie rozplanować swoje zajęcia. Po szóstej biorę nadgodziny, nawet jeśli będzie mnie pan karmił.

— Słuchaj pan, to nieważne. Powiedziałem, że zapłacę. Tylko niech ją pan odszuka.

— Lubię, jak wszystko jest jasne — rzekł Jakes połykając resztki kawy. — Doskonały lunch. Zobaczymy się koło siódmej.

Jakes uściśnął mu rękę i Pete poczuł, że krzywi się z bólu. W chwilę później detektywa już nie było. Pete odłożył na w pół zjedzoną kanapkę i zasygnalizował kelnerce, że chce jeszcze kawy. Co teraz? Jęknął głucho. Musi wrócić do domu i zrobić listę, ale najpierw zatrzyma się przy „Czarodziejskich Opowieściach”.

Zapłacił rachunek i zostawił hojny napiwek zagonionej kelnerce.

— Znajdę cię, Maddie — mruknął pod nosem. — Możesz być tego pewna. — Jeśli tak się stało, że zmieniła zdanie i już go nie chce, musi mu to powiedzieć prosto w oczy.

Cztery godziny później wysłuchał wiadomości od Maddie. Żyje i jak na razie jest bezpieczna. Dzięki Bogu.

* * *

Maddie miała niezłomny zamiar wypełnić swój plan. Zjeść jakąś kolację, zdobyć egzemplarz „USA Today” i zamieścić w gazecie ogłoszenie. Powtórny telefon do Pete’a był drugą pozycją na jej liście. Zamiast tego po raz drugi wzięła prysznic i umyła włosy szamponem małego motelu w Miami. Zanim wskoczyła w świeżą szeleszczącą pościel, włączyła telewizor. W chwilę później już spała. Obudziła się w południe następnego dnia.

Zbudziła się oszołomiona i zdezorientowana. Nigdy dotąd nie spała tak długo i tak mocno. Jednak nawet teraz z wielką niechęcią myślała o wstawaniu. Nie miała ochoty zmierzyć się z nowym dniem. Podciągnęła prześcieradło pod brodę i zwinęła się w kłębek. Cichy szum klimatyzacji działał uspokajająco. Niskie głosy dobiegające z telewizora dawały wrażenie bliskiej obecności starych przyjaciół. Niczym kret zakopała się w miękką pościel.

Nie podobało jej się to, że jest sama. Była w ten sposób bezbronna. Zdecydowanie potrafiła troszczyć się o siebie, ale była jednak samotna. Przeszła przez college, zdobyła dobrą pracę, dobiła się stanowiska szefa działu zakupów, oszczędzała pieniądze i płaciła czynsz za

nowojorskie mieszkanie, które było całkiem niezłe. Pete zawsze powtarzał, że podziwia jej wytrwałość. Wytrwałość też stanowiła główną przyczynę uruchomienia Czarodziejskich Opowieści. I sklep będzie działać, jest tego na sto procent pewna.

Wzięła prysznic, ubrała się i zjadła obfite śniadanie. Gdy skończyła, ruszyła do budki telefonicznej przy końcu budynku motelu. Przez trzydzieści minut podawała numer Pete'a i za każdym razem słyszała od telefonistki, że jest zajęty.

W recepcji zapytała o centrum handlowe. Kupiła gazetę, kilka kopert oraz papier. Przed powrotem do motelu zadzwoniła do „USA Today” z pytaniem o ceny ogłoszeń. Przysiadła w kafejce, napisała dwie wiadomości do swego anonsu, kupiła jeszcze przekazy i znaczki. Nadawała listy z uczuciem, że dokonała czegoś ważnego.

W motelu znów spróbowała zadzwonić do Pete'a. Numer był zajęty nadal. Nie mogła się zdecydować, czy zadzwonić do sklepu. Pete powinien siedzieć przy telefonie i czekać na wiadomość od niej, a on gada. Nie mogła zrozumieć, dlaczego.

— Zawsze kieruj się instynktem — brzmiało jedno z ulubionych jego powiedzonek.

Wiedziała o Annie. Cały czas o niej opowiadał. Była jego kumplem, pewnie najlepszym przyjacielem na świecie. Po Maddie oczywiście, nie omieszkał zawsze dodać natychmiast. Zachwycał się wszystkim, co dotyczyło tamtej dziewczyny. Jej bystrością, wybitną inteligencją, doświadczeniem sądowym, jej skromnymi początkami, jakiegokolwiek były. Przyjaźń Annie miała dla Pete'a duże znaczenie. Bez względu na okoliczności, Annie zawsze była do jego dyspozycji. We dnie i w nocy. Maddie nigdy nie zdobyła się na pytanie, co to właściwie oznacza. Ma się rozumieć, że była o nią zazdrosna, co Pete uważał za cudowne. W istocie nie chodziło o zazdrość, odczuwała raczej strach przed tamtą, nie wiedząc dobrze, dlaczego właściwie się boi. Pewnego razu zaczęła tłumaczyć to Pete'owi, a on tylko się roześmiał.

— Możesz być pewna, że pokochasz Annie — powiedział.

Ucho od śledzia. Gdy dwu kobietom podoba się jeden mężczyzna, czy też są w nim zakochane, podobna sytuacja zawsze oznacza kłopoty i ktoś płaci za to bólem.

Popatrzyła na drobne w rękę. Po raz kolejny musi powiedzieć telefonistce, by połączyła się z numerem Pete'a. Gdy usłyszała automatyczną sekretarkę, odłożyła słuchawkę. Dlaczego nie waruje przy telefonie? Płacząc ruszyła z powrotem do pokoju.

Nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Przemierzała pomieszczenie, załamując ręce jak w mydlanych operach z ich codziennymi opowieściami o niedoli i nieszczęściach. W jednej chwili sympatyczny pokój przyprawił ją o klaustrofobię. Musi stąd wyjść, radować się wolnością, zrobić jakieś plany. Musi stąd wyjść natychmiast. Nie zatrzymała się, żeby pomyśleć, skorzystać z łazienki czy uczesać się. Przewiesiła słomianą torbę przez ramię i wyszła z pokoju.

Szła ponownie drogą, którą przemierzała wcześniej. Złapała taksówkę i kazała się podzucić na Biscayne Boulevard. Przeszła kilka skrzyżowań, po czym wzięła drugą taksówkę. Pojechała na lotnisko, gdzie wsiadła do samolotu lecącego do Palm Beach. Kieruj się zwierzęcym instynktem.

Wprost bała się zajrzeć do portfela i sprawdzić, ile jej jeszcze zostało.

Na lotnisku zapytała w informacji telefonicznej o nazwy kilku małych, niedrogich moteli. Z mapy drogowej na biurku linii lotniczych ustaliła swe położenie, po czym udała się pod biuro wynajmu małych samochodów dostawczych. Poczekala, aż zobaczyła młodego mężczyznę po trzydziestce, podeszła do niego niespiesznie i uśmiechając się spytała, czy podrzuci ją do miasta. Zgodził się i z galanterią obiecał, że podwiezie ją do pierwszego motelu z jej listy.

Kieruj się instynktem.

Mężczyzna okazał się pośrednikiem handlowym. Został skierowany do Port St. Lucie oraz Daytona Beach. Po załatwieniu spraw w Daytona miał zamiar zatrzymać się na dzień u siostry,

zostawić wynajęty samochód w Jacksonville, po czym odlecieć do Nowego Jorku. Kieruj się instynktem.

— Nie będzie pan miał nic przeciwko, bym z nim pojechała? — Zaczęła paplać zmyśloną po drodze historyjkę. Jak na zawołanie oczy jej spływały łzami i pokazała pierścionek na palcu. — Będę musiała go sprzedać. Ukradł mi wszystko, kartę kredytową, wszystko. Muszę się dostać do domu w Pensylwanii.

— Jasne, proszę pani. Będę się cieszył z towarzystwa. Bruce Holstein — przedstawił się.

— Jane Steinwitz — odpowiedziała. — Nie wiem, jak się panu odwdzięczę.

— Wszystko w porządku. Okropne byłoby, gdyby ktoś zrobił coś takiego mojej siostrze. Nie wiem tylko, co będzie pani robić, jak zajmę się swoimi sprawami.

— Pochodzę sobie. Będzie dla mnie z pożytkiem poznać nowe miejsca. Uwielbiam zwiedzać kościoły i oglądać sklepy. Proszę się o mnie nie martwić. Jak wrócę do domu, zwrócę panu za podwiezienie mnie do Jacksonville. Ile to panu zajmie?

— Półtora dnia. To nie tak daleko, jak pani myśli. Stale jeżdżę, stare rozliczenia, które nie wymagają wielkiego trudu. Będę jednak musiał zabrać siostrę na lunch albo na kolację. Jeśli ma pani chęć, pójdziemy razem — powiedział wielkodusznie. Maddie odmówiła grzecznie.

Kiedy dwa dni później Holstein zostawił ją w centrum Jacksonville, uznała doświadczenie za przyjemne.

Krażyła kolejno jedną zatłoczoną ulicą po drugiej, starając się opracować w głowie jakiś plan. Pierwszą rzeczą jaką zrobiła, było kupienie „USA Today”. Zabrała gazetę do baru, gdzie zamówiła salaterkę potrawy z mięczaków i filiżankę herbaty. Zobaczyła swoje ogłoszenie oraz ogłoszenie Janny i zakreśliło jej się w głowie.

Regulując rachunek zapytała przy kasie, gdzie jest najbliższa biblio, teka. Musi przejrzeć stare wydania gazety, by sprawdzić, ile ogłoszeń zamieściła Janny.

Do biblioteki dostała się autobusem. W środku rozejrzała się i skierowała od razu do działu z prasą. W pół godziny później serce łomotało jej w piersi. Miała pełen komplet numerów. Pot wystąpił jej na czoło i zaczął skapywać po policzkach. Czy odważy się zadzwonić? Oczywiście, że tak. Nic na świecie jej nie powstrzyma. Znajome mdłości znów odezwały się w żołądku. Nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie powinna zrobić, by wywiązać się z tego, co uzgodniły. Gdzieś miał być automat i o określonej godzinie miały tam się znaleźć. O której godzinie? Myśl, Maddie. Nie spiesz się, tylko pomyśl. Wyjdz stąd i znajdź jakieś spokojne miejsce, gdzie będzie można pomyśleć.

Przed wyjściem z biblioteki poszła do łazienki. Niewielki kawałek papieru z telefonem Janny powędrował do stanika. Jak tylko ustalili, jaki to rejon 801, będzie wiedziała, gdzie trzymają Janny.

W tym samym barze, w którym już jadła, zamówiła kanapkę z tuńczykiem i filiżankę kawy. Siedziała w ostatnim boksie małego lecz czystego lokalu. Tu będzie mogła uspokoić się i pomyśleć.

Rozejrzała się i na przeciwległej ścianie spostrzegła telefon. Na metalowej półce spoczywała opasła książka telefoniczna. W chwilę później była już przy niej i wertowała początkowe strony potężnego tomiska.

Utah! Janny jest w Utah!

W głowie Maddie huczało. Zaledwie minutę potrzebowała na uświadomienie sobie, że spenetrowała w najwyższym stopniu tajny program ochrony świadków. Poczowała się mocniejsza; ma większą możliwość decydowania niż kiedykolwiek w całym swym życiu. Pomyślała o Adamie Wagonerze. Ciekawe, czy rzeczywiście zmarł. Przypomniała sobie Monroe'a z

Departamentu Sprawiedliwości i Weinsteina z FBI. Pamiętała, jak mówili, że programu absolutnie nie sposób przeniknąć.

Nieoczekiwanie przyszedł jej na myśl wuj Pete'a. Ciekawe, czy mają co do niego rację. Omal się nie roześmiała. Okłamali ją, mylili się niemal we wszystkim! Dlaczego miałaby wierzyć, że nie mylą się w sprawie wuja Pete'a?

Usiadła z powrotem w boksie, wzięła kanapkę, na którą nie miała właściwie chęci, i zaczęła jeść. Myślała intensywnie.

Skończyła jedzenie i wzięła ostatnią dolewkę kawy. Pogrzebała w torbie i wydobyła paczkę papierosów, które nosiła już od kilku tygodni. Zapaliła i rozejrzała się wokół nonszalancko. Restauracyjka była już prawie pusta, tylko przy barze stało rządkiem kilka osób w oczekiwaniu na kawę. Cicha godzina w mało uczęszczanym lokalu.

Pomyślała, że jest przyjemnie. Siedzi w Jacksonville, gdzie dotarła z własnej woli i dzięki własnej pomysłowości. Nie odebrali jej ani chęci działania, ani rozumu. Wie, że Janny jest w Utah, bo zaufała instynktowi i sporządzonemu uprzednio planowi, a jeśli dobrze odpocznie, przypomni sobie wszystkie jego szczegóły.

Skupiła wzrok na wystroju restauracji. Był bardzo ładny, utrzymany w rustykalnym stylu. W oknie z podzieloną kratkami szybą wisały czarno — białe, podwiązane zasłony. Leżące na okrągłych białych stołach obrusy dobrane były do zasłon, a przeplatające materiał cienkie czerwone paski stanowiły dla oka bardzo przyjemny, domowy akcent. Na parapecie stały zielone rośliny w cukierkowych, czerwonych niczym jabłuszko doniczkach. Jak w domu. Wszystko tworzyło przytulną atmosferę, a obsługa była doskonała. Chociaż nie mogła sobie na to pozwolić, wiedziała, że zostawi kelnerce hojny napiwek.

Teraz patrzyła na stojącą za kontuarem nakrytą paterę z grubo posypanym cukrem waniliowym piernikiem z marchwi. Czwartek, a potem piątek, ale z jakiegoś powodu te dni wpisane są w tygodniowe ogłoszenie w gazecie. Kreśliły słowa na zaparowanym lustrze i Janny ścierała je. A może Maddie. Jedenaście dni. Są rozdzielone od jedenastu dni i Janny zdołała zamieścić w gazecie cały numer telefoniczny plus kierunkowy. A Utah ma tylko jeden numer kierunkowy. To dobrze czy źle? Boże, jak trudno sobie przypomnieć, jaki to miał być dzień. Poczowała, że zaczyna ogarniać ją panika. Nie może się teraz poddać temu uczuciu. Nie tu, w miejscu publicznym.

Pora wychodzić. Najlepsze pomysły przychodziły jej do głowy zawsze w ruchu, gdy panowała nad wszystkim. Przypomni sobie, musi tylko być cierpliwa.

Zapłaciła przy ladzie, uśmiechnęła się do kelnerki, gdy ta podała jej dwadzieścia pięć centów reszty, i z kryształowej czarki przy kasie wzięła dwie lukrecjowe laseczki.

Szła ulicą, jakby miała konkretny cel. Skręciła za róg, a potem za następny. Nie miała zamiaru się oglądać. Jest wolną kobietą. Wolny człowiek nie musi oglądać się przez ramię.

Czy powinna ponownie próbować dzwonić do Pete'a, czy też poczekać, aż uda jej się skontaktować z Janny? Kieruj się instynktem. Teraz zwróciła uwagę na otoczenie. Rozejrzała się za drogerią. Tam sprzedają wszystko i mają zazwyczaj budki telefoniczne. W sklepach jest jasno i kolorowo, i pachnie drogimi perfumami i pudrem. Nieco dalej, po drugiej stronie, zobaczyła jasnoczerwony napis. Gdy ruch ustał na chwilę, przeszła przez ulicę. Kupiła dwa opakowania taniej bielizny oraz oznaczony symbolem „S” komplet męskich podkoszulków. Dodała jeszcze szampon i dezodorant w shtyfcie, a także grzebień i szczotkę do włosów. Płacąc poprosiła o pięć dolarów w drobnych.

W przejściu, gdzie stała budka telefoniczna, czekała cierpliwie, aż dwie chichoczące nastolatki skończą rozmowę. Boże, czy ona też była kiedyś taka młoda i beztroska? Patrzyła na ustawione

wzdłuż ściany w małych pękatych opakowaniach kosmetyki firmy Revlon i czuła, jak zbiera jej się na płacz.

Czy powinna zostać jeszcze w Jacksonville, czy też ruszyć dalej? Patrzyła na blask warg, który obiecywały złożone do pocałunku usta. Poczwała chęć kupienia błyszczyka, ale przypomniła sobie, że nie ma nikogo, kto by ją pocałował.

Usiadła w staroświeckiej budce z metalowym siedzeniem i przyciągnęła do siebie drzwi. Czy powinna zostawić dla Pete'a wiadomość, czy też wyłączyć się, gdy zgłosi się automat? Kieruj się instynktem.

— Jeśli odezwie się automatyczna sekretarka — zwróciła się do telefonistki — chcę zostawić wiadomość.

Usłyszała głos Pete'a i poczuła rodzącą się w ciele słabość.

— Maddie, powiedz mi, gdzie się znajdujesz. Jestem bliski szaleństwa. Mam już mętlik w głowie od tego, co się dzieje, ale powiedz mi, jak kontaktować się z tobą. Maddie, posłuchaj mnie uważnie. Pamiętasz, gdzie kupiłaś Tillie? Zadzwoń do nich i zostaw tam wiadomość. Będę z nimi w kontakcie. Kocham cię, Maddie, bardziej niż samo życie. Odnajdę cię. Przrzekam ci to.

— Och, Pete, ja też cię kocham. To okropne. Jak tylko będę mogła, zrobię to, co powiedziałeś. Nie mogę ci powiedzieć, gdzie jestem. Nie chcę, żeby oni... Kocham cię tak bardzo, że aż mnie serce boli.

Wyszła z drogerii z torebką wepchniętą do słomianej torby. Jak długo była na linii? Trzy minuty? Rozmowę można zlokalizować w ciągu trzech minut. Jeśli telefon Pete'a jest na podsłuchu, dowiedzą się, gdzie ona jest. Musi wyjechać.

Tym razem wzięła taksówkę i poprosiła o podwiezienie na dworzec. Tam znów krążyła jakiś czas w pobliżu agencji wynajmu samochodów. Miała już zwrócić się do mężczyzny w średnim wieku z zatroskaną twarzą, gdy zadziałały instynkt i szósty zmysł. To nie jest dobry pomysł, Maddie, ostrzegła się. Czas na autostop.

Korzystając z komunikacji miejskiej, własnych nóg, a wreszcie z taksówki, dotarła do wylotu I 95, gdzie zaczęła zatrzymywać samochody. Wiedziała, że to niebezpieczne, ale nie miała innego wyboru.

Była mokra od potu, gdy po godzinie wędrówki w plażowym wdzianku została zabrana przez jadącą do Savannah w Georgii kobietę w średnim wieku. Dowiedziała się znacznie więcej, niż było jej potrzebne, na temat cebuli odmiany vidalia oraz zielonej rośliny o nazwie kudzu.

Następnego dnia, po nocy spędzonej w małym motelu w Savannah, złapała okazję do Charleston w Karolinie Południowej. Budząc się wiedziała już dokładnie, kiedy ma zadzwonić do Janny. W sobotnie południe. Musi czekać jeszcze półtora dnia.

Łóżko było takie wygodne, że nie chciało jej się ruszyć. Nie miała chęci mierzyć się z nowym dniem i niepewnym losem. Musi poważnie przemyśleć sprzedaż pierścionka zaręczynowego. Nie dawała jej spokoju sprawa poprzednich właścicieli Tillie. Jak u licha mogła zapomnieć powiedzieć Pete'owi, że pani Tillitson odeszła z Bloomingsdale i przeprowadziła się z mężem i czterema kotami do Teksasu, by być bliżej córki i wnuków? Maddie zaproszono na pożegnalne przyjęcie pani Tillitson, poszła i dobrze się bawiła. W tym czasie Pete był w Europie. Nie miała możliwości ustalić, gdzie Caroline Tillitson teraz mieszka. Pete będzie zdumiony, gdy zadzwoni do jej dawnego domu w Queens. Czy pojedzie do Bloomingsdale i będzie pytał ludzi, u których pracowała Caroline, o jej nowy adres? Czy znają go, i czy mu go podadzą? Uznała to za mało prawdopodobne. Gdyby Maddie, były kierownik sekcji zakupów cenionego sklepu pojawiła się osobiście, być może któraś z najbliższych przyjaciółek Caroline powiedziała by jej. Wiedziała jednak, że nigdy nie udzieliliby tej informacji przez telefon. Beznadziejna sprawa.

Maddie odwróciła się i walnęła pięścią w poduszkę. Przyszło jej do głowy, by zadzwonić do Nesterera i zapytać, czy Pete był na policji i wypytywał. Annie powiedziała, że wynajął prywatnego detektywa, a to znaczy, że nie miał pojęcia o programie. W takim razie oczywiste jest, że nikt mu nic nie powiedział. Czy jego telefon jest na podsłuchu? Parsknęła na tę myśl i przypomniała sobie treść wiadomości, którą zostawił. Wyraźnie brał to pod uwagę, inaczej zmieniłby ją. Pytanie tylko, kto podsłuchuje jego rozmowy, jeśli telefon jest rzeczywiście na podsłuchu. Ci dobrzy, czy ci źli?

Zaczęła się trząść. Co teraz powinna zrobić? Jechać dalej, czy zostać tu aż do rozmowy z Janny? Kieruj się instynktem. Przemieszczać się, brzmiała odpowiedź. Zagłębiła się w książkę telefoniczną leżącą pod nocnym stolikiem i zaczęła szukać mapy Stanów. Przesuwała palec wskazujący ze stanu do stanu. Poczula żal, że we właściwym czasie nie była zbyt pilną uczennicą geografii. Tennessee wydało jej się niezłe. Nikt nie będzie jej poszukiwał w Tennessee. Może Kentucky. A może powinna spróbować w Utah. Jeszcze raz popatrzyła na mapę stanów. Jedynym sposobem dostania się do Utah jest skorzystanie z publicznego transportu. Bilet będzie pewnie drogi. Czy się odważy? Oczywiście. Ale najpierw trzeba dokonać paru zmian.

Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Ufarbować włosy czy kupić perukę? Obciąć je? A może zrobić jedno i drugie? Zmienić ubranie. Tanie spodnie, może wiatrówka do tego. Jakies tenisówki.

Po godzinie była już w sklepie z przeceną, gdzie sprzedawano niemal wszystko. Wychodziła z dwiema wyładowanymi po brzegi torbami. Pospieszyła z powrotem do motelu, gdzie pastwiła się nad swoimi włosami tak długo, aż uzyskała zadowalającą figlarną fryzurę. Długie ciemne sploty zwinęła w pasmo i spakowała w małą plastikową torbę, którą miała zamiar pozostawić na przechowanie przy opuszczaniu motelu.

Nałożyła farbę na włosy i czekając, aż się przyjmie, chrupała ciasteczka z pudełka. Gdy uzyskała odpowiedni rezultat, spłukała farbę, umyła Włosy i owinęła głowę ręcznikiem.

Przeszła między samochodami na parking do budki telefonicznej, skąd zarezerwowała sobie na czwartą miejsce na lot do Provo w Utah. Rezerwację zrobiła na panią Andreę Monroe, poinformowała też urzędniczkę, że bilet odbierze na pół godziny przed odlotem, a płacić będzie gotówką. Podała też, że będzie ze swym sześciotygodniowym dzieckiem. Oczywiście, że nie potrzeba jej dodatkowego miejsca; dzieci mają przecież darmowe przeloty.

Po powrocie do pokoju opróżniła drugą torbę. Wielka lalka z kręconą grzywką spojrzała jej w oczy. Nałożyła lalce płócienną czapeczkę i zawinęła ją w niebieski kocyk. Jeśli będzie ostrożna i nie wda się z nikim w rozmowę, będzie mogła wyjść odprowadzana jedynie przypadkowymi spojrzeniami innych pasażerów.

W niebieskiej plastikowej torbie miała dwie butelki z mlekiem dla „dziecka” oraz paczkę pampersów. Wepchnęła, ile tylko mogła, rzeczy do torby, żeby jak najwięcej miejsca zachować w słomianym worze.

Poczula skurcz w gardle na wspomnienie, jak trudno jej było się rozstać z zaręczynowym pierścieniem. Płakała, gdy go oddawała. Tysiąc osiemset dolarów miała złożone bezpiecznie na dnie torby razem z kwitem zastawnym, którego nigdy nie będzie mogła wycofać.

Spojrzała na zegarek. Jutro o tej porze będzie w Utah, i będzie się starała spędzić jakoś czas do chwili rozmowy z Janny. Zapowiada się długa noc, z długim postojem w Denver, zanim ostatecznie dotrze do Utah.

Trzy godziny czasu do zabicia przed wyjazdem na lotnisko, gdzie zamówi sobie lunch i pospaceruje aż do wywołania jej lotu.

Krażyła po pokoju i ugniatając palcami uda modliła się, by nie popełnić błędu.

Dziś rzucała spojrzenie przez ramię i zwracała uwagę na każdą osobę, z którą się kontaktowała. Nie dostrzegła nikogo ani niczego, co w najmniejszym bodaj stopniu sprawiałoby podejrzaną wrazenie. Nikt się do niej nie odzywał, nie było żadnych kroków z tyłu, gdy odwracała się nagle, by się obejrzeć.

Poczuła się bezpieczna.

Następnego dnia jako pani Penelopa Barrister z Burlington w Vermont zameldowała się w leżącym o półtora kilometra od centrum Provo Holiday Inn. Zapłaciła za pokój i po rozpakowaniu rzeczy wzięła prysznic. Zamówiła jedzenie do pokoju i cały wolny czas spędziła na spaniu i oglądaniu telewizji.

Za pięć dwunasta, trzymając na ręku rzekome dziecko, wyszła z pokoju. Cała się trzęsła i zaczęła się bać, że upuści przyciskaną do piersi lalkę. Zmieniła podrzutem pozycję tobołka i drżącymi palcami namacała w kieszeni zapasik monet.

Janny stanie jak rażona piorunem, gdy usłyszy jej głos. Może nawet zasłabnąć na wieść, że ona właśnie jest w Provo.

Trzymając mocno przy piersi lalkę, ujęła słuchawkę telefonu, wrzuciła monety i czekała na sygnał. Wybrała numer z pamięci, poczekała na telefonistkę, po czym dorzuciła jeszcze monety. „Proszę cię, Janny, bądź tam”, mamrotała oparta o słup, do którego przytwierdzony był aparat. Oddychała z najwyższym wysiłkiem i ciężko dysząc, wypuszczała powietrze. „Proszę cię Boże, spraw, by ona tam była”. Telefon odezwał się czwarty, piąty, potem szósty raz. Przy każdym sygnale czuła, jak serce twardym uderzeniem odpowiada na przeciągły dźwięk. Gdy wreszcie przy osiemnastym Janny podjęła słuchawkę, Maddie miała taki zawrót głowy, że mąciło jej się w oczach.

— Janny — zdołała jedynie wypowiedzieć.

— Maddie, to naprawdę ty? Och Maddie, Maddie, ja... — głos Janny załamał się i dziewczyna zaczęła szlochać w telefon.

— Poczekajmy minutę i pobierajmy się jakoś — rzekła Maddie z ulgą, szorstkim, zdławionym głosem. — Janny, jestem w Provo — oznajmiła, gdy odzyskała wreszcie głos. — Uciekłam. Nie mogłam tego znieść. Miejsce, w którym mnie trzymali, było takie okropne, że nie mogłam jeść ani spać. Nie dali mi nowej tożsamości i nie potrafili powiedzieć, kiedy ją otrzymam. Trzymali mnie na Florydzie. Podjechałam okazją do Georgii, potem do Karoliny Południowej, a z Charleston przyleciałam tutaj. Jestem w Provo. A gdzie ty jesteś?

— O mój Boże — powtarzała tylko Janny. — Ty naprawdę tu jesteś! — wykrzyknęła wreszcie.

— Jestem i nie wydaje mi się, by ktokolwiek za mną szedł. Kupiłam lalkę i udaję, że jestem z dzieckiem. Przyleciałam pod fałszywym nazwiskiem. Obcięłam włosy i ufarbowałam. Wyglądam okropnie. Och Janny, musiałam zastawić pierścionek zaręczynowy. Dwa razy dzwoniłam do Pete'a. Okłamali nas. Nie wierzę, że skontaktowali się z Pete'em, nie sądzę też, by jego wuj był człowiekiem, którego należy się obawiać. Gdzie jesteś, Janny?

— Jestem w małym miasteczku o nazwie Satson. Jeśli liczyć ze mną, dwa tysiące dwustu dwudziestu trzech mieszkańców. Tu jest beznadziejnie. To niezbyt daleko od Provo. Jeśli jesteś pewna, że nikt cię nie śledzi, lepiej byłoby, abyś tu przyjechała. Nie mogę ci udzielić żadnych wskazówek — będziesz musiała sama sobie poradzić. W mieście, jeśli masz chęć je tak nazywać, jest kawiarnia Dumfeya. Ma dwa boksy i trzy stoły. Będę tam czekać. Kiedy możesz wyruszyć?

— Natychmiast. Muszę tylko wziąć torbę i już. Janny, nie mogę się doczekać, kiedy się zobaczymy. Jakim cudem możesz wychodzić i korzystać z telefonu?

— Przywieźli mnie tu, umieścili na dwa dni w pensjonacie i powiedzieli, że mam sobie znaleźć mieszkanie. Dali mi osiemset pięćdziesiąt dolarów i wyjechali. Powiedzieli, że będę

nadzorowana, ale nie spostrzegłam nikogo nietypowego. Pytałam w mieście, czy są tu poza mną jacyś obcy, ale miejscowi powiedzieli, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy jestem jedyną nową osobą. Nie są mną zainteresowani. Pracownik opieki społecznej sprawdza mnie raz w tygodniu. Nazywam się teraz Betty Gili. Nigdy już nie będę Janny Hobart — powiedziała Janny załamującym się głosem

— Ależ oczywiście, że będziesz. Ja też będę z powrotem Madelyn Stern. Nie wiem kiedy, ale pewnego dnia będziemy znowu sobą. Kończmy już. Im szybciej wyjadę, tym szybciej tam się znajdę.

— Pospiesz się, Maddie.

— Dobrze. Tylko czekaj na mnie, gdyby miało to dłużej potrwać. Na pewno.

— Będę czekać aż do skutku. Do zamknięcia kawiarni, a potem na zewnątrz.

— Do zobaczenia, Janny.

— Do zobaczenia, Maddie.

— Jakes, ona do mnie dzwoniła. Dzwoniła też do sklepu. Ucieka — rzekł Pete z rozpaczą. Z roztargnieniem dłużej w chińskich kluskach. — Co teraz zrobimy?

— Postaramy się ją odnaleźć. Jestem detektywem, jeśli pan pamięta.

— Powiedziała Annie, że... wyszła z programu ochrony świadków. Dobry Boże... Czy pan coś znalazł?

— Nie mam wiele do przekazania. Sprawdziłem mieszkania obu dziewczyn. Nic nie pozostało. Czy wie pan — zwrócił się do Pete'a — że w domu Maddie popełnione zostało podwójne morderstwo?

— Mówił mi o tym portier z tego domu.

— Kto? — wtrąciła się zaszokowana Annie.

— Małżeństwo Azjatów — wyjaśnił Jakes. — Prowadzili sklepik za rogiem. Przed ich śmiercią w niedzielne popołudnie dokonano w sklepie zabójstwa. Dwóch zbirów. Było we wszystkich gazetach. Zbyt późno się o tym dowiedziałem, by cokolwiek zrobić. Jutro ruszę do gazet i postaram się dotrzeć do artykułów z tamtego okresu. To z mojej strony tylko domysły, ale było dwóch świadków zastrzelenia tych typów. Nie twierdzą, że chodzi o Maddie i Janny, ale moim zdaniem to niewykluczone.

— Jeśli zakłada pan taką możliwość — Pete rozumował jak prawnik — to znaczy, że policja coś wie. Znaczący to również, że mnie okłamali. Jeśli okaże się, że tak było, zaskarżę do sądu tę cholerną policję — oświadczył jadownicę, a w jego oczach czaiła się nienawiść.

— A ja będę jego doradcą — poparła go Annie z żarem. Pete Wyciągnął rękę i poklepał jej dłoń, oczami wyrażając wdzięczność.

— Potrzebne mi jeszcze jakieś inne zdjęcia — rzekł detektyw napychając sobie usta aromatyczną chińską potrawą.

Pete odsunął kartoniki z jedzeniem na środek stołu i w chwilę później zdjęcia Maddie znalazły się przed detektywem.

— Jest bardzo ładna, prawda? — zauważyła Annie.

— Piękna — odparł w porywie szczerości Jakes.

— Ma także piękne wnętrze. Jak nasza Annie — rzekł Pete sięgając ponownie po jej rękę. Annie spurpurowiała gwałtownie.

— Jak długo pani tu będzie? — spytał Jakes.

— Myślę — odparła wzruszając ramionami — że tak długo, jak będzie trzeba. Albo dopóki Pete mnie nie wyleje. Mam zamiar opanować prowadzenie handlu detalicznego. Nigdy nic nie wiadomo — rzuciła lekko. — Może będę miała dość prawa, a w ten sposób zapewnię sobie oparcie w czymś innym.

— Jeśli o mnie chodzi, nie mam najmniejszych wątpliwości, że możesz prowadzić Czarodziejskie Opowieści — rzekł Pete ciepło. — Inaczej nie prosiłbym cię o to. To dziewczyna jedyna na milion — zwrócił się do Jakesa. — Do diabła, nie skończyłbym prawa bez niej. Pewnego dnia jakiś facet będzie bardzo szczęśliwy, gdy ją spotka. Jest po prostu doskonała.

Annie zaczerwieniła się mocno, ale przyjęła komplement z uśmiechem.

— To było naprawdę świetne — skwitował Jakes skończone danie. — Zobaczmy, na co trafiliśmy. To najlepsze ze wszystkiego. Oczywiście poza jedzeniem. — Detektyw uśmiechnął się krzywo. Chwył swoje ciasteczko szczęścia i wyciągnął mały zwitek papieru. — Tu jest napisane, że spotkam przystojną kobietę w zatłuszczonych butach, która mnie przytłoczy.

Rzucił okiem na Annie, lecz ta patrzyła na wszystko, tylko nie na niego.

— Moja wróżba mówi, że nie wystarczy być wytrwałym, ale należy też zwyciężyć. Nie uważacie, że to dość trafne? — spytał Pete. — A co mówi twoja, Annie?

— Mówi, że już prawie tam jestem. To wszystko głupie — stwierdziła i wstała, by posprzątać ze stołu.

— Więc co pan sądzi? — spytał Pete, zakłócając rozmyślenia detektywa.

Annie zgarnęła nie używane patyczki do koszyka z odpadkami. Przestała grzechotać sztucami, by wysłuchać tego, co miał do powiedzenia Jakes. „Już prawie tam jesteś.” Gdzie? Odwróciła się od bulgoczącej wody, by spojrzeć na mężczyzn.

— W tym momencie mogę tylko spekulować. Nie strzelajmy lepiej z armaty do wróbla. Robię, czego się podjąłem. Wiem, jak przydusić paru facetów. Powęszę tu i ówdzie, i zobaczę, co mi się uda ustalić. Dziękuję za jedzonko — rzekł pogodnie. — Miło było panią poznać, Annie.

— Wzajemnie — odpowiedziała.

— Pan tu wróci, prawda? — spytał Pete.

— Proszę przygotować kanapę, ale nie czekać.

— Domyślam się więc, że tylko ty i ja — odezwała się radośnie Annie. — Będziemy oglądać telewizję, jeść lody, pociągniemy trochę piwa, jak w dawnych czasach, i będziemy czekać na powtórnny telefon Maddie.

— Ojej, przepraszam cię, Annie. Ja też wychodzę. Muszę porozmawiać z różnymi ludźmi. Zostaniesz sama, co? — spytał. — Nawiasem mówiąc, nagrałem wiadomość dla Maddie. Zrób to samo jutro w sklepie.

— Naturalnie. Nie martw się o mnie. Mogę jeść lody i przyglądać się, jak przybywa mi na wadze. Przejrzę biznesplan Maddie i zrobię notatki. Chcę dobrze prowadzić sklep. Nie chciałabym, aby Maddie po powrocie była mną rozczarowana. Albo ty.

— Annie, nie jesteś w stanie mnie rozczarować. Tak wiele ci zawdzięczam. Męczy mnie świadomość, że rzuciłaś wszystko, by przyjechać tu i pomagać mi. Będę ci bardzo zobowiązany.

— Daj spokój, Pete. Wiem, że ty dla mnie zrobiłbyś to samo.

— Właściwie to oboje jesteśmy zupełnie jak Maddie i Janny. Łączy nas taka sama lojalna przyjaźń. Chciałbym, abyśmy wszyscy zostali przyjaciółmi do końca naszych dni.

Annie uśmiechnęła się niewyraźnie.

— Idź już i rób, co masz robić. Przygotuję kanapę dla pana Jakesa.

— Annie, muszę cię jeszcze o coś zapytać. Kobiety mają szósty zmysł... No wiesz, intuicję. Czy myślisz, że Maddie jest... To znaczy, czy sądzisz, że ją znajdą i coś jej zrobią?

Annie pomyślała, że miłość to pragnienie szczęścia drugiej osoby większe, niż pragnienie szczęścia dla siebie.

— Myślę — zaczęła ostrożnie z oczami utkwionymi w Pete'a — że jest gdzieś bezpieczna. Ani przez chwilę nie przypuszczam, że coś jej się stanie. Gdziekolwiek się znajduje, jest razem z Janny, tak że wspierają się wzajemnie. Jeśli ma jakąkolwiek możliwość skontaktowania się z tobą, zrobi to. A teraz idź na spotkanie, z kim tam masz się spotkać.

— Annie, ty zawsze znajdziesz dla mnie właściwe słowa. — Pocałował ją lekko w policzek. — Nie jest ci przykro z powodu Dennisa?

— Absolutnie nie. Jeśli coś ma się spełnić, spełni się. Tak jak z tobą i z Maddie. Tylko nie nadeszła jeszcze moja kolej.

— Niech będzie to najlepszy z najlepszych, bo inaczej nie pozwolę. Nie czekaj dziś na mnie.

— Dobrze. Zmiataj już.

Wróciła do kuchni po wyprawieniu Pete'a i sprawdziła swe domowe dokonania. Wszystko co robiła, robiła dobrze. Błat był czysty i suchy. Na stole nie pozostały okruchy ani plamy. Dzbanek

na kawę czekał w pogotowiu, przygotowany na poranne parzenie. Wypłukane puszkę po piwie stały w oddzielnej torbie w miejscu na odpadki pod zlewem. Rozejrzała się Wokoło, by zobaczyć, czy czegoś nie zapomniała. Strzeliła palcami, gdy wzrok jej padł na ozdobną zieloną roślinę, stojącą w miejscu, gdzie blat załamywał się w literę L. Już miała ją podlać, gdy uświadomiła sobie, że jest z jedwabiu. Prezent od Maddie. Taka sama jak na środku stołu.

Zgasiła górne światło i włączyła małe oświetlenie w okapie kuchni i drugie obok zlewu. Wygładziła chodniczek przed zlewem. Kolejny akcent obecności Maddie. Mężczyźni nigdy nie przyszloby do głowy położyć coś przed zlewem, by zbierało chlapiącą wodę.

— Co się z tobą dzieje, Maddie Stern? — mruzczała po drodze do salonu, gdzie miała przygotować posłanie dla Simona Jakesa. Uderzyła mocno w poduszkę. Dlaczego właściwie detektyw ma tu przebywać i wdzierać się w tę odrobinę intymności, którą ona mogła mieć dla siebie z Pete'em?

W pokoju gościnnym rozebrała się i owinęła ciepłym szlafrokiem, pamiętającym lepsze czasy. Z pewnością nie należał do tych, które nosiłaby Maddie Stern.

Pomyślała, że sypialnia jest bardzo ładna. Mała, ale wesoła. Ani męska, ani kobieca. Absolutnie nie był to pokój Maddie. W utrzymanym w czterech odcieniach zieleni wnętrzu wszystko było odpowiednio dobrane, aż do popielniczki na nocnym stoliku.

Otworzyła szufladę komody, a potem szafę, i załapała ją fala zazdrości. Rzeczy Maddie. Jej zapach. Jej kosmetyki. Dotykała wszystkiego z najwyższą niechęcią, ale musiała zrobić miejsce na swoje ubranie. Po raz pierwszy w życiu stanęła wobec dylematu, z którym nie potrafiła się uporać. Czy powinna wziąć rzeczy Maddie i umieścić w innym miejscu? Mogłoby to sprawiać wrażenie, że wyrzuca Maddie z tego pokoju. Czy też przerzucić wszystko do dolnej szuflady i mieć nadzieję, że pozostałe wolne miejsce jej wystarczy? A co z dresami i sukienkami wiszącymi w garderobie? Czy Pete będzie niezadowolony, jeśli je usunie? Prawdopodobnie tak.

W końcu przyniosła z kuchni plastikową torbę na odpadki i starannie wszystko w nią zawinęła. Ustawiła torbę z tyłu w rogu garderoby, po czym zaczęła rozwieszać własne ubrania. Zajęła wszystkie szuflady komody, a rajstopy musiała schować do szuflady stolika nocnego. Kosmetyki i perfumy Maddie powędrowały do jej własnego pudła na buty. Postawiła go na podłodze garderoby obok wielkiej zielonej plastikowej torby. Nie wiedziała, czy jest zadowolona z tego, co właśnie zrobiła.

— Życie jest ciężkie — zamruczała, gdy z biznesplanem Maddie na kolanach zasiadła w fotelu Pete'a. Nie po raz pierwszy żałowała, że nie jest ładniejsza, bardziej elegancka, mniej oczytana i mniej nastawiona na profesjonalizm. Dobrze byłoby być bardziej przyziemną, obdarzoną seksapilem doprowadzającym mężczyzn do szaleństwa. Najpierw interesowałiby się jej ciałem, potem wnętrzem. Żałowała, że nie lubi Maddie, o której Pete mówił z takim uczuciem. Nigdy jej nie spotkała, tylko słuchała krótko przez telefon, poza tym miała jedynie do dyspozycji jego płomienne zapewnienia.

Rozejrzała się po mieszkaniu. Nigdy nie uda jej się zdobyć czegoś w połowie bodaj tak uroczego. Nawet gdyby pracowała dwadzieścia rodzin na dobę przez siedem dni w tygodniu. Spojrzenie jej padło na rozłożony na kolanach plan. To też robienie pieniędzy. Za rok Maddie będzie zarabiać tak dobrze jak Pete. Pieniądze do pieniędzy, pomyślała ze smutkiem. Wszyscy pozostali muszą się szarpać, by żyć z dnia na dzień. Czasami to wręcz niesprawiedliwe. A do kogo Pete dzwoni, gdy znajduje aę w przykłej sytuacji? „Do mnie”, stwierdziła głośno. I wcale jej to nie odpowiada, chociaż powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu.

Zaczęła przeglądać plan. Z uznaniem patrzyła na pracę, którą Maddie w niego włożyła. Zainteresowała się stroną prawną i pracowała pilnie do północy. Dopiero wtedy wślizgnęła się do łóżka.

Wstała wcześniej i zajęła się kawą i smażeniem bekonu, z którym podała złote, pulchne jajka.

— Czyżby ta dziewczyna potrafiła pichcić? — powiedział Pete napychając sobie usta. — Maddie nie umie gotować. Właściwie to niesprawiedliwe, bo stara się, tylko że wszystko smakuje tak samo.

— Ciężko jest chodzić do pracy, a po powrocie do domu gotować tylko dla jednej osoby — zauważyła Annie i Jakes mrugnął na te słowa. — Każdy potrafi zrobić jajka i bekon. Nie jestem nadzwyczajną kucharką. Na ogół jadam zupy lub robię sobie kanapkę, albo też jem na mieście obfity lunch, tak że nie muszę gotować. Wygodnie jest, kiedy za lunch płaci klient. W końcu oszczędzam dzięki temu pieniądze.

Pete przestał jeść na chwilę, by wysłuchać, co Annie ma do powiedzenia.

— Masz kłopoty finansowe? — spytał.

— Nie, ale samotnej dziewczynie jest ciężko. Spłata pomocy finansowej, wysoki czynsz, koszty utrzymania samochodu. Potrzebne są artykuły codziennego użytku, poza tym kobieta w świecie biznesu musi być ubrana. Nie potrafię taniej, panie prawniku. — Wymuszonym uśmiechem próbowała pokryć defensywny ton swej wypowiedzi. — Jedzenie też jest drogie.

— Mnie nie musi pani tego mówić — odezwał się mrukliwie Jakes.

Annie usiadła przy stole i zaczęła jeść. Śniadanie miała już zepsute.

Posiłek, na który tak się cieszyła. Wiedziała, że Pete porównuje ją z Maddie i źle się z tym czuła. To przez to bronienie się. Żuła metodycznie. Wiedziała, że przyjaciel obserwuje ją kątem oka, wyczuwając coś niedobrego. A niech sobie wyczuwa, co mu się podoba, pomyślała z irytacją.

— Więc co pan ustalił wieczorem? — spytał Pete.

— Więcej niż się spodziewałem. To będzie pana kosztować. Pięćset. — Pete opędził się tylko gestem ręki, jakby usłyszał coś nielogicznego. Detektyw wzruszył ramionami. — Rozmawiałem z jednym z funkcjonariuszy, którzy zgłosili się na wezwanie ze sklepu za rogiem domu, gdzie mieszka Maddie. Było dwóch świadków i ich opis odpowiada wyglądowi Maddie i Janny. Mój policjant nie miał skrupułów, a kiedy zobaczył pieniądze, zgodził się mówić. Wiem, wiem, pan uważa go za niemoralnego. Pewnie to prawda, ale czy pana to obchodzi? Założę się, że nie. Tak więc obiecałem mu pieniądze i gadał. Powiedział, że jeśli coś się z tego wyda, zaprzeczy. Ja też. Myślę, że wie więcej. Powiedział, że Nester wie wszystko.

— Cholerny sukinyś! To przecież z nim rozmawiałem przy składaniu zgłoszenia o zaginięciu — ryknął Pete. — Czy jest pan pewien, że ten facet powiedział prawdę?

Detektyw zrobił obrażoną minę.

— Czy ja wyglądam na kogoś, kogo można wodzić za nos? Może pan być pewien, że nie kłamał. Mam jeszcze faceta podpisującego listę dyżurów tamtej zmiany.

— W takim razie porozmawiam dziś z Nesterem — oświadczył Pete — i zażądam, by odpowiedział na parę pytań.

— Jeśli pan to robi — rzekł łagodnie detektyw — zapomnę, skąd pan wziął tę informację. Zresztą tak czy inaczej facet zaprzeczy, więc nie ma sensu.

Jakes popatrzył na Annie, zanim odsunął na bok talerz.

— Dobre śniadanie — powiedział.

Annie odczekała chwilę, by przekonać się, czy Pete odezwie się na tę uwagę. Nic jednak nie powiedział, więc odstawiła swój talerz do zlewu. Zbierała jej się na płacz.

— Może już wyjdiesz, Annie — zwrócił się do niej Pete. — Powinnaś być w sklepie przynajmniej na pół godziny przed otwarciem.

Odwróciła się gwałtownie.

— Pete, mam tylko dwie ręce i dwie nogi. Poprosiłeś mnie, żebym zrobiła śniadanie. Nie powiedziałaś, że mam być w sklepie na trzydzieści minut przed otwarciem. A poza tym nie dyktuj mi, co mam robić. Poproś mnie o to. — Odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni.

— Co ja takiego powiedziałam? — spytał Pete, zdumiony słowami i tonem wypowiedzi Annie.

Jakes uśmiechnął się szeroko.

— Myślę, że to odwieczny problem traktowania kogoś z absolutną pewnością, że zawsze wszystko zrobi. Wygląda na to, że taki błąd pan właśnie popełnił. To znaczy, że uważa pan jej pomoc za coś absolutnie pewnego. Tak jak uzgodniliśmy, w południe przekażę stan spraw Annie. Powodzenia z Nesterem.

Kobiety z temperamentem, pomyślał Pete ze złością. Przeszedł przez hall do głównego pokoju i zapukał. Zrobiło mu się przykro. Przecież Annie jest jego przyjaciółką. Pomaga mu... Co on, u diabła, wyczynia? Stał się bezmyślny, nie zwraca uwagi na to, co mówi. Czy ją wykorzystuje? Ale przecież ona wie, jak jest przepracowany i jak bardzo niepokoi się o Maddie. W uszach zadźwięczały mu słowa Dennisa: „Jest w tobie zakochana, zawsze była.” Cholera!

Otworzyła drzwi w chwili, gdy chciał już odejść. Twarz miała spokojną, oczy szeroko otwarte i... Na litość boską, zobaczył w nich niepewność.

— Przepraszam, że zachowałam się jak baba — powiedziała cicho. Otoczył ją ramieniem.

— Ja też cię przepraszam. Czasami nie myślę. Przepraszam, jeśli odezwałem się ostro, lub byłem apodyktyczny. — Wyczuł, jak sztywnieje pod jego dotykiem. Zabrał ręce i cofnął się.

— Niepotrzebne są żadne usprawiedliwienia, Pete. Wiem, w jakim pięciu żyjesz. Umówmy się, że to nigdy się nie stało.

Stało się jednak. Wiedział o tym, patrząc na jej zaciśnięte szczęki słysząc rzeczowe pytanie, które mu potem zadała.

— Masz dla mnie na dzisiaj specjalne zlecenia? Czy jest coś szczególnie ważnego, co powinno być zrobione bądź dopilnowane?

— Prowadź tylko sklep najlepiej jak potrafisz. Sprawdzaj kasę, rozmawiaj z klientami i tak dalej. Będę się kontaktował z tobą w ciągu dnia, Jakes też, więc staniesz się naszym łącznikiem. Jeśli interesy będą tego wymagały, możesz zatrudnić jeszcze kilka osób. Maddie miała listę pracujących w niepełnym wymiarze. Myślę, że dała ogłoszenie w „Timesie”. Rób wszystko, co uznasz za słuszne. Jeszcze jedno. Dzisiaj przychodzi sprzątaczką, tak że nie zawracaj sobie głowy kuchnią. Zostawię jej kartkę, żeby przygotowała coś na kolację. Jest naprawdę dobra w pich — cenię jednogarnkowych dań. — Pokiwał jej pod nosem palcem. — Tak że nie troszcz się o kuchnię.

— Nie miałam wcale zamiaru troszczyć się o twoją kuchnię, Pete — odpowiedziała cicho. — Coś jeszcze?

Rzeczywiście, coś jeszcze powinno zostać powiedziane, ale nie umiał tego sprecyzować. Wiedział, że coś traci i nie odzyska, jeśli nic naprawdę szybko nie przyjdzie mu do głowy. Annie przyglądała się Pete'owi i czekała na to coś czymkolwiek było, co wymykało mu się z rąk. Przychodziło mu do głowy mnóstwo rzeczy, które mógłby powiedzieć, lecz instynkt podpowiadał, że żadna z nich nie jest tą właściwą.

— Jesteś dobrą przyjaciółką, Annie — zdecydował się wreszcie, nim odszedł.

Łzy błyszczały w jej oczach, gdy zamykała drzwi.

* * *

Posterunek policji był tak samo pełen wczesnym rankiem jak wieczorem. Jediną różnicę dla Pete'a stanowiło to, że woń mydła i dezodorantów była teraz mocniejsza. Pomyślał, że czuje przypaloną kawę, gdy podchodził do biurka.

— Chciałbym rozmawiać z detektywem Nesterem.

— Ci wszyscy ludzie też — burknął dyżurny oficer. — Jest na urlopie. O tej porze roku bierze sobie zawsze urlop. Nie, nie mam z nim kontaktu. Obozuje w namiocie, w lesie — dodał w charakterze wyjaśnienia.

— A czy tu dzwoni? — spytał Pete z rozpaczą w głosie.

— Gdyby pan był na urlopie w lesie pod namiotem, czy pan by dzwonił... proszę pana?

— Gdybym miał sprawę niecierpiącą zwłoki, tak.

— Cóż, widocznie detektyw Nester nie ma takiej sprawy, ponieważ nie dzwoni do nas.

— Kiedy ma wrócić?

— W przyszły poniedziałek.

— A niech to szlag! — warknął Pete.

— Właśnie. Też chciałbym być teraz gdzieś w lesie — odpowiedział mu policjant tym samym tonem.

— Kto go zastępuje?

— Finnegan. — Funkcjonariusz wyciągnął palec. — Trzecie biurko po lewej.

Zwalisty mężczyzna miał co najmniej dwadzieścia kilo nadwagi, umieszczonych głównie w brzuchu. Wyżerał z pudełka pączki, popijając kawą z wielkiego kubka. Pete spojrzał na pudełko. Sądząc po wielkości powinno zawierać dwanaście pączków. Siedmiu już nie było. Finnegan nie wyglądał na takiego, który by poczęstował. Oblizywał palce, gdy Pete się przedstawił. Gestem ręki wskazał krzesło, a z dłoni sypały mu się resztki lukru.

Od pierwszego wejrzenia nie spodobał się Pete'owi. Z pulchnej twarzy patrzyły małe, tępe oczka. Mięsiste, wydęte wargi mężczyzny oblepione były cukrem. Uniesione nad dziąsłami odsłaniały kwadratowe, poplamione nikotyną zęby, które zdawały się kłócić z wielkimi ustami. Pociągnął głośno kawę z wielkiego kubasa. Pete pomyślał, że ma tam prawdziwą śmietankę i co najmniej cztery kostki cukru.

— Zgłosiłem zaginięcie dwóch osób, a teraz przyszedłem, by dowiedzieć się, co jest z tą sprawą i... Rozmawiałem z detektywem Nesterem. Oficer dyżurny powiedział, że jest na urlopie.

— Co, siedzi w lesie pod namiotem?

Pete ugryzł się w język, gdyż miał wielką chęć odpowiedzieć pytaniem, gdzie indziej jak nie w lesie człowiek siedzi pod namiotem.

— Chciałbym rozmawiać z pańskim szefem — oświadczył tylko wojowniczo.

Finnegan ugryzł kawałek następnego pączka i wskazał pokój za szklaną ścianą.

— Tam jest.

Pete opuścił wzrok i spojrzał na stopy Finnegana. Zobaczył jedną niebieską, drugą brązową skarpetkę. Pomyślał, że policjant musi korzystać z tej samej pralni co on, gdzie cholerna pralka pożera skarpetki.

Mosiężna tabliczka głosiła, że właścicielem biurka jest kapitan Joshua Markam. Pete przedstawił się po raz trzeci.

— W czym mogę panu pomóc, panie Sorenson?

— Chciałem rozmawiać z detektywem Nesterem...

— Jest na urlopie. Pod namiotem.

Pete czekał na słowa wyjaśniające, że w lesie, ale kapitan złożył tylko ręce i pochylił się nad biurkiem.

Gładko ogolony mężczyzna odwiesił marynarkę ciemnego garnituru na oparcie krzesła. Pete odnotował natychmiast, że ktoś prasuje jego koszulę. Kołnierzyk nie miał maleńkich ściągnięć przy brzegach, a na rękawach, mimo ich częściowego podwinięcia, widać było fałdki. Zegarek na metalowej bransoletce miał dużą tarczę z wyraźnymi cyframi. Pete pomyślał, że należy zapewne do przyrządów, które dają nawet odczyt poziomu morza. Funkcjonariusz był już starszy i przekroczył chyba pięćdziesiątkę. Dobra sylwetka wskazywała, że po godzinach pracy gra w squasha lub w tenisa. Śniadawy, miał wszystkie włosy i najostrzejsze spojrzenie, jakie kiedykolwiek Pete widział.

— Mam wszelkie powody przypuszczać, że moja narzeczona i jej przyjaciółka są pod waszą opieką. Złożyłem detektywowi Nesterowi zgłoszenie o zaginięciu. Chciałbym się upewnić, czy moja narzeczona jest objęta programem ochrony świadków, a także dowiedzieć się, co zostało przedsięwzięte dla jej odnalezienia.

— Na jakiej podstawie wyrobił pan sobie to przekonanie, panie Sorenson?

— Na podstawie pewnych okoliczności a także faktu, że jeden z waszych ludzi ma długi język, jak sobie wypije. Poza tym Maddie dzwoniła do mnie. Uciekła i jest samodzielna. Powiedziałem Nesterowi i powtarzam to panu, że nie mam zamiaru pozwolić sprawie ucichnąć. Będę trzymał się jej aż do momentu uzyskania konkretnych dowodów, że coś ukrywacie... cokolwiek to jest. Mam absolutną pewność, że moja narzeczona i jej przyjaciółka były świadkami morderstwa przy Pierwszej Alei. Nie pocieszają mnie towarzyszące temu wszystkiemu zbiegi okoliczności. Wynająłem prywatnego detektywa, a on ma nos psa gończego. Jestem gotów przyznać — rzekł pochylając się w stronę Markama — że nie wiem, jak kieruje pan swoim wydziałem, ale wiem, jak sam kieruję swoim życiem, wiem też, jak postępuje Maddie i jak mieliśmy zamiar urządzić nasze wspólne życie, gdy się pobierzemy. Maddie nigdy by nie odeszła, nie mówiąc dokąd ani dlaczego, gdyby już do czegoś takiego doszło. To po pierwsze. Po drugie, uruchomiła właśnie interes, który w krótkim czasie będzie miał milionowe obroty. Po trzecie, Maddie nigdy nie zrezygnowałaby z własnego ślubu. Po czwarte wreszcie — ja. Wiem, że Maddie kocha mnie tak samo, jak ja ją. Planowaliśmy wspólne życie, a teraz wszystko diabli wzięli i chcę się dowiedzieć, dlaczego. Chcę zobaczyć akta policyjne i chcę ją odnaleźć.

— Jakie akta? Proszę o skonkretyzowanie, o co panu chodzi. Nie wolno mi komentować śledztwa w toku.

— Wszystko to zawracanie głowy i pan o tym dobrze wie — odezwał się Pete podniesionym głosem. — Wpakowaliście ją i jej przyjaciółkę do programu ochrony świadków. Niech pan spojrz mi w oczy i przysięgnie, że to nieprawda. Wiem, że to zrobiliście. Powiedziała to, jak dzwoniła. Niech pan spróbuje udowodnić, że nie mam racji — krzyczał już teraz Pete.

Markam szarpnął się do tyłu, gdy Pete zbliżył do niego twarz jeszcze bliżej.

— Mogę panu jedynie powiedzieć, że nie wolno mi komentować śledztwa w toku. Naprawdę głęboko panu współczuję.

— Ach tak! Współczuje mi pan! — zagrzmiał Pete. — To mnie zdecydowanie nie satysfakcjonuje. Od tej chwili stanę się dla pańskiego wydziału najgorszą zmorą. Odnajdę Maddie, a jak to zrobię, sprawa znajdzie się we wszystkich gazetach w tym kraju. To, co ukrywa policja. Myślę, że ludzie chętnie czytają takie barachło.

— Czy to groźba, panie Sorenson? — spytał Markam lodowatym tonem.

— Nie, kapitanie Markam, to nie groźba, tylko solenne przyrzeczenie. Nie macie prawa wpieprzać się w moje życie, ani w życie Maddie czy jej przyjaciółki. Niech was wszyscy diabli — grzmiał Pete, zatraskując za sobą drzwi oszklonego pokoju.

Wyszedł i w gorącym wilgotnym powietrzu potrząsnął głową, by odzyskać jasność umysłu.

— Po prostu poniosło cię, Sorenson. Pozwoliłeś, by temperament wziął górę nad rozumem. Pokazałeś im, że nie panujesz nad sobą — mruzczał. A teraz co? Skoro nie powiodło się z planem A, trzeba przejść do planu B. Tyle że on planu B nie ma. — Cholera! — zaklął krótko.

Wskoczył do zaparkowanego przy następnym skrzyżowaniu samochodu.

— Odnajdę cię, Maddie — powtórzył z uporem.

* * *

W Czarodziejskich Opowieściach Annie Gabriel po raz dwudziesty wyjaśniała powód, dla którego niemal natychmiast po uroczystym otwarciu sklep został zamknięty. W większości przypadków tworzyła opowieści w trakcie mówienia, nigdy nie powtarzając dwa razy tej samej wersji.

Było dopiero południe, a czuła się już zmęczona. Umysł jej bronił się przed ilością transakcji, które załatwiała przez telefon. Między telefonami a pokazywaniem towarów zajmowała się odkurzaniem szklanych półek i zmieniała ekspozycję, która nie odpowiadała jej gustowi; ekspozycję, której Maddie poświęciła tyle godzin pracy. Zadzwoiła do trzech dostawców, by zamówić dodatkowe wyroby, i umieściła w gazecie zapotrzebowanie na pracownicę w niepełnym wymiarze czasu. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że dzięki wsparciu finansowemu Pete'a sklep Maddie Stern to doskonały biznes. Zastanawiała się tylko, czy Maddie podpisała skrypt dłużny, czy też interes jest zarówno na jej, jak na Pete'a nazwisko.

Jadła pomarszczone, zwiędnięte jabłko, gdy zadzwonił telefon.

— Jeszcze nie — odpowiedziała, gdy Pete zapytał, czy nie zgłosił się Jakes lub może Maddie. — Jak ci poszło?

— Policja nie będzie się wypowiadać, bo śledztwo jest w toku. Poniosło mnie i zachowałem się jak kompletny dureń. Wiesz, jaki dobry w tym jestem i ile razy wyciągałaś mnie z tarapatów.

— Więcej, niż jestem w stanie zapamiętać. Myślałam, że przeszła ci już ta zapalczliwość. Złość do niczego nie prowadzi. Musisz nauczyć się panować nad emocjami. To podstawowa zasada, Pete.

— Wiem, wiem. Jak sprawy w sklepie?

— Świetnie. To wspomniały interes. Macie tu żyłę złota. Zamieściłam w gazecie ogłoszenie i zamówiłam trochę towaru. Myślę, że jakiś tydzień potrwa, zanim połapię się w handlu.

— Nie angażuj się tak, Annie. Odnajdę Maddie, a wtedy...

— A wtedy... — powtórzyła Annie, a głos jej stał się lodowaty.

— Chryste Panie, nie miałem na myśli... To znaczy, chciałem powiedzieć, że zdaję sobie sprawę z tego, iż prawo jest twoją pierwszą miłością, a teraz robisz mi przysługę. Annie, coś mi się zdaje, że nie możemy się porozumieć.

— Zastanawiam się, dlaczego tak jest — wpadła mu w słowo chłodno. — Nie musisz się obawiać, że próbuję przejąć interes Maddie, bo zdaje się, że to właśnie miałeś na myśli.

— No tak, chociaż niezupełnie. Właściwie to był tylko nieudany żart. Nie miałem nic złego na myśli, tak samo jak rano. Jestem zdenerwowany, to wszystko. Nie mogłabyś potraktować mnie trochę bardziej ulgowo?

— Jasne, Pete. Rozumiem. Muszę iść, mam klientkę.

— Zobaczmy się wieczorem. Zadzwoń koło trzeciej, jeśli będę miał możliwość.

Annie odwiesiła słuchawkę. Oczy piekły ją nieznośnie. Wrzuciła ogryzek do wykończonego koronką kosza na odpadki. W chwilę później wyjęła go i przeniosła do wyłożonego plastikiem kubeczka w kuchni.

Nie skłamała, rzeczywiście w sklepie była klientka. Annie podeszła do niej i zapytała, czym może służyć.

— Byłam tu w dniu otwarcia i dosłownie wykupiłam sklep — zaczęła świergotać kobieta. — Gdzie jest ta urocza młoda kobieta, która na mnie czekała? Była taka pomocna. Sprawiała wrażenie, jakby wiedziała dokładnie, czego mi potrzeba, a do tego miała taki uroczy sposób bycia. Nie popisywała się jak niektórzy sprzedawcy. Jestem zachwycona waszymi torbami na sprawunki. To wprost cudowne, że sklep został ponownie otwarty. Co się stało?

— Śmierć w rodzinie. Nagły zgon — wyjaśniła Annie chłodno.

— Tak właśnie pomyślałam, że musiało to być coś takiego. Od tamtego czasu niemal codziennie tędy przechodziłam. Któregoś dnia były tu dwie dziwne panie, a potem masz — po prostu sklep został zamknięty. Żadnego obwieszczenia. — Pokiwała palcem przed nosem Annie. — Powinniście byli umieścić na wystawie ogłoszenie, że sklep jest zamknięty.

— Rzeczywiście, powinniśmy. Będę na zapleczu, jeśli będzie pani potrzebna moja pomoc — powiedziała Annie.

Wróciła do swego stołka za kontuarem. Poszurała prospektami reklamowymi i ołówkami, ułożyła w stosik przy maszynie odcinki opłat. Taaaaaka pomocna, z taaaaakim uroczym sposobem bycia. Parsknęła ze złością.

— Gdyby to było moje, zawsze byłabym taaaaaka pomocna. Uprzejma także — zamamrotała do siebie.

Sięgnęła po skrawek papieru i zaczęła sumować kolumnę liczb. Ma jeszcze swoje studenckie zadłużenie, potrzeba jej pieniędzy na czynsz w Bostonie, jest do zapłacenia rachunek za usługi komunalne. Nie wspominając już o wydatkach na samochód i obciążeniach kredytowych. W dosłowny sposób wyszła ze swej pracy i teraz nie wie, czy będzie mogła wrócić, gdy sprawy tu się wyjaśnią. Pete nie zająknął się słowem, ile będzie jej płacił, a ona nie cierpi pytać. Powinien już coś na ten temat powiedzieć. Chciała dokładnie wiedzieć, co znaczy owo „tak, by ci się opłacało” i kiedy otrzyma czek.

Podniosła wzrok i zobaczyła podchodzącą do kasy kobietę, która miała pełne ręce sprawunków. Zmusiła się do uśmiechu.

— Chciałabym być pewna, że zapakuje je pani tak ślicznie, jak tamta druga młoda pani.

— Słucham? — zdziwiła się Annie.

— No wie pani, chodzi o umieszczenie takich błyszczących pasków papieru na kolorowej bibułce i dodanie płatków różanych. To wprost cudowne, gdy tak pachnie po przyniesieniu do domu. Jak po raz pierwszy tu byłam, ludzie zatrzymywali mnie na ulicy i zachwycali się waszym pakowaniem. To chyba cudowny komplement, prawda?

— O tak, rzeczywiście. Przepraszam bardzo, ale wie pani, jestem tu nowa i nikt mi nie powiedział, jak... jak pakować. Jeśli będzie pani dla mnie wyrozumiała i pomoże, gdy będę to robić...

— No więc, najpierw musi pani wszystko zawinąć, a potem nałożyć na torby kolorową bibułkę. Następnie wkłada się pakunki do środka, marszczy mocniej bibułkę i wrzuca garść płatków różanych. — Odczekała, aż Annie zrobi wszystko według jej sugestii. — Dobrze, a teraz do środka serpentyny. Będą spływać po bokach. Widzi pani, jakie to barwne? Kiedy podaje pani pokwitowanie, wiąże czerwoną aksamitną kokardę na rączkach torby... Po prostu ślicznie — wdzięczyła się kobieta.

Annie musiała przyznać, że klientka ma rację. Warto wydać te kilka centów, jakie kosztuje dekorowanie jednej torby bibułką, płatkami róży oraz barwnymi serpentynami. Torby przyciągają wzrok. Zrozumiała, że pakowanie jest sprawą pierwszej wagi. Musiała również przyznać, że gdyby sklep do niej należał, nigdy nie przyszedłby jej do głowy pomysł z

pakowaniem. Ma zbyt analityczny umysł. Rozważałyby koszty, pozycje sprzedażne, czynsz oraz wszystko, czego wymaga prowadzenie sklepu. Fanaberie i ozdóbki byłyby ostatnią rzeczą, którą by się zajęła.

Maddie Stern to kobieta interesu, Annie Gabriel to prawniczka.

— I zazdrosna jestem o ciebie, jak diabli, Maddie Stern — mruknęła na koniec tych rozważań.

Pete wszedł do mieszkania zadowolony, że przed wyjściem zostawił pracującą klimatyzację. Całą skórę miał moką od potu. Otworzył butelkę piwa i pił łapczywie, aż ją opróżnił. Odbiło mu się tak, że aż echo rozległo się w korytarzu.

Przeszedł do sypialni i nacisnął przycisk wywołujący nagrania automatycznej sekretarki. Ściągnął z siebie wilgotną odzież i chodząc nago, wyciągał z szuflad świeże rzeczy. Przez pięć minut słuchał wiadomości od znajomych i kolegów. Wchodził do łazienki, gdy usłyszał, jak wuj mówi mu, że spotkanie zostało zaplanowane na szóstego września o godzinie dziesiątej. Już miał wejść pod prysznic, gdy dobiegł go głos Maddie. Wystrzelił z łazienki, zawadzając palcem o marmurowy próg. Słuchał z niedowierzaniem w rozwartych szeroko oczach. Manipulował przyciskami, by przewinać wszystkie wiadomości i usłyszeć jej głos ponownie. Potem jeszcze raz wysłuchał wiadomości Maddie. Spojrzał na cyfrowy kalendarz, który poza datą odnotowywał również godzinę. Dwudziesty dziewiąty sierpnia 1983 roku, godzina piąta czterdzieści pięć.

— Pete, gdzie się podziewasz? — usłyszał od Annie, gdy zadzwonił po chwili do Czarodziejskich Opowieści. — Całe popołudnie czekam, by do ciebie zadzwonić. Maddie dzwoniła znowu. Powiedziała, że musi z tobą porozmawiać. Jest bezpieczna. Powiedziała, że jest na Florydzie.

— Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? — zachnął się.

— Dokąd? Mówiłeś, że to ty będziesz dzwonić. Dokładnie tak powiedziałeś. Miałeś dzwonić, a nie dzwoniłeś. Jakes też nie.

— Powinnaś mieć na tyle wycucia, by zatelefonować tu i zostawić wiadomość. Przyszedłem, by się przebrać.

Zaczynał mówić bez sensu i wydawało się, że nie może nic zrobić, by wstrzymać paplący język.

— No i co się takiego stało? Nie było cię w domu i nie było cię tutaj. Maddie zostawiła wiadomość i powiedziała, że zatelefonuje ponownie, powinieneś być siedzieć w domu i czekać na jej telefon, jeśli tak reagujesz. Nie wyładowuj swojej złości teraz na mnie. Gdybym wiedziała, gdzie mogę cię znaleźć, natychmiast zadzwoniłabym do ciebie. Czy jeszcze coś, pete? Jeśli nie, muszę kończyć.

— Annie...

— Wiem, przykro ci. Wiesz co, mnie też. To znaczy, przykro mi z twojego powodu.

Brzęk po drugiej stronie przewodu zabrzmiał w uszach Pete'a złowieszczo. Znów dokuczył Annie. Czyżby nie potrafił niczego przyzwoicie załatwić?

Jednak niezadowolenie z własnej osoby nie trwało długo. Maddie dzwoniła. Żyje i ma się dobrze. Teraz będzie musiał tylko tkwić na miejscu i czekać na jej telefon. W głowie mu się kręciło, gdy stał pod lodowatymi, tnącymi ostro strumykami wody.

W siedem minut wziął prysznic, ubrał się i uczesał włosy. Resztę czasu spędził, wyczekując na głos Maddie, aż wreszcie Annie i Jakes przyjechali na kolację.

Panująca przy stole wroga atmosfera była gęsta jak papka z kaszy. Pete powtórzył wiadomość Maddie na użytek Jakesa i Annie. Annie odczytała swoją z kawałka papieru.

— To wyjaśnia, dlaczego nikt z policji nie chce mówić — rzekł detektyw. — Gliny są drażliwe na punkcie przecieku informacji.

— A co z tymi pana przyjaciółmi na wysokich stołkach? — spytał złośliwie Pete.

— A co z pańskimi? — odparował natychmiast detektyw.

— Tak samo jak pańscy siedzą na wysokich grzędach. Namordowałem się, próbując się z tym uporać — rzekł Pete, waląc pięścią w stół. Solniczka przesunęła się ku krawędzi, potoczyła kawałek i spadła. Zakrętka obluźowała się i miliony drobinek zasypało deszczem podłogę. Trzy pary oczu spojrzwały na czarno — białe kafelki. Nikt się nie poruszył, by sprzątnąć.

Annie jadła swą pizzę pepperoni, detektyw otworzył puszkę piwa Budweiser. Pete szurnął nogą po zasypanej solą podłodze.

— To gówno zostanie dla ptaszków — rzekł złośliwie.

— Jasne — przytaknął Jakes i wysuszył ostatki piwa jednym potężnym łykiem. Umieścił puszkę obok pięciu ustawionych już w szeregu na środku stołu. — Mam tu — oznajmił otwierając aktówkę — wszystkie artykuły, każde słowo, jakie kiedykolwiek zostało napisane na temat programu. Mam adres agencji. Możemy jutro złapać połączenie do Waszyngtonu, tam wynająć samochód, pojechać do Arlington w Wirginii i przeprowadzić parę rozmów. Przeleciałem prawie wszystko i przychodzi mi jedynie do głowy, że może pan napisać list, a oni wyślą to osobie objętej programem. Chociaż skoro Maddie powiedziała, że uciekła... — detektyw wzruszył ramionami i zawiesił głos.

Annie odłożyła pizzę na stojący przed nią papierowy talerz.

— Ja też poczyniłam pewne ustalenia. Zadzwoiłam do biblioteki i w dziale informacji sprawdziłam parę rzeczy. Jeśli wszystko dobrze zrozumiałam, kiedy człowiek wejdzie do programu, jest w nim. Oczywiście, może z niego wyjść, ale nie jest już wtedy chroniony. Po dzień dzisiejszy nikomu objętemu programem nie stała się krzywda. Maddie musiała się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie, skoro tak szybko objęli ją programem. Co więc oznacza, że odeszła? Dla mnie tylko jedno wyjaśnienie ma sens. Nie zrezygnowała z ciebie, z waszego ślubu i ze sklepu z własnej woli — zwróciła się do Pete'a. — Zrezygnowała, bo była sparaliżowana śmiertelnym strachem, że ją zabiją. Każdy człowiek kieruje się instynktem samozachowawczym. Nie wydaje mi się, by miała jakiś wybór. Z tego, co opowiadałeś mi o niej, wynika, że nie chciałaby także narażać na niebezpieczeństwo ciebie.

— To brzmi rozsądnie — rzekł Jakes.

— Pete, powinieneś zwrócić uwagę na inną sprawę. W programie Maddie była bezpieczna. Teraz... może to stać się dla niej niebezpieczne. Na tyle, na ile poinformowana jest bibliotekarka, nikt nigdy nie spenetrował programu. Twoje szanse odnalezienia jej na własną rękę równają się właściwie zeru — dokończyła Annie chmurnie.

— Co do tego też ma pani rację. Wszystko tu jest — powiedział detektyw, przesuując po stole stos fotokopii dokumentów w stronę Pete'a. — No a co miał do powiedzenia minister sprawiedliwości?

— Same bzdety — burknął Pete.

— Czyja kolej sprzątnania? — spytał detektyw.

— Nie moja. Muszę sprawdzić kwity, a także zrobić spis... Nie moja — powtórzyła Annie, wstając od stołu. Pete machnął drukami, które dał mu Jakes.

— Zdaje się, że wypadło na mnie — mruknął gderliwie detektyw.

— Chyba tak — potwierdził Pete, wtykając już nos w przyniesione przez Jakesa papiery.

— Nie wrócę dziś na noc — oświadczył detektyw. — Jeśli chce pan, abym coś jeszcze zrobił, niech mi pan przekaże przez telefon. Powinien pan tu siedzieć i czekać, by Maddie mogła zadzwonić.

Aby zerkać w telewizor i jednocześnie czytać, Annie usadowiła się w rogu kanapy. Nie chciała też przeszkadzać Pete'owi, który w drugim końcu śleczął nad materiałami dostarczonymi przez detektywa. Przenośny aparat telefoniczny leżał na miejscu między nimi.

Położyła sobie na kolanach kalkulator, który przyniosła ze sklepu — Wybijała liczby, starając się nie okazywać emocji, gdy zaczęły rosnać Czarodziejskie Opowieści były rzeczywiście kopalnią złota. Odłożyła pokwitowania bankowe i zaczęła od towarów jedynych w swoim rodzaju. Odjęła w myśli od pokwitowań bankowych bieżące wydatki. Towary miały być opłacane przy dostawie, nawet jeśli rachunki głośiły płatność w ciągu trzydziestu dni. Sposób Maddie na prowadzenie interesów. Jeśli towar odpowiada zamówieniu, płaci się w dniu dostarczenia. Annie wzruszyła ramionami i odłożyła rachunki na bok.

Zacząła szperać w teczce w poszukiwaniu broszury, którą podrzucił w ciągu dnia komiwojażer. Miał profesjonalną gadkę i zgodziła się wystawić jego artykuły: herbaty ziołowe w kolorowych puszkach. Słomkowy koszyk z wykończoną koronką serwetką, która spływała w fałdkach z boku, wyglądał nadzwyczaj atrakcyjnie i nie odbiegał od wystroju sklepu. Puszki aromatyzowanej kawy sprawiały równie prowokujące wrażenie, a zapach wydawał się Annie cudowny. Akwizytor zostawił dwa dekoracyjne koszyki i pod koniec dnia sprzedała już siedem puszek herbaty i pięć puszek ziaren pekanowej kawy z południa.

Teraz zaczęły ją męczyć wątpliwości co do podjętych decyzji. Nawet jeśli pieniądze są trzymane oddzielnie, należą do niej, czy do Maddie? Czy powinna powiedzieć Pete'owi, czy też trzymać je dla siebie, na boku? Może uczciwsze będzie dzielenie się zyskiem ze sklepem? Niech to diabli, zaczyna jej się ból głowy i czuje, jak mięśnie pleców napinają się nieubłaganie. Zbliża się atak migreny i Annie nic nie może poradzić. Zwyczaj u niej efekt stresu.

Małe, staroświeckie młynki do kawy. Zarobek był horrendalny. Komiwojażer zostawił jej dwa i w chwili przerwy wypróbowała jeden w kuchni. Kawa była naprawdę cudowna, ale to aromat sprzedał młynki. Tłumaczyła ostatniej klientce, że raz skorzystała z młynka, ale kobieta powiedziała, że nie ma to dla niej znaczenia i poprosiła o zapakowanie. Annie natychmiast zadzwoniła do akwizytora i zamówiła ich tuzin, do tego trzy tuziny puszek herbaty i taką samą ilość kawy. Cholera, czy powinna mówić Pete'owi?

Jednak to nie sprawa kawy i herbaty ją dręczyła. Zaczynała się niepokoić obojętnością Pete'a wobec jej sytuacji finansowej. Musi porozmawiać z nim teraz, zanim wszystko wymknie jej się z rąk. Może jeśli powie, co ją gnębi, zniknie też ból głowy.

— Pete?

— Tak?

— Musimy o czymś porozmawiać.

Nie znosiła jego strapionej miny. Usiłowała zebrać całą swą odwagę, gdy ich spojrzenia spotkały się wreszcie.

— Czy coś się stało? — Strapienie słycać było również w jego głosie.

— Właściwie nic złego, coś jednak mnie męczy. Kiedy prosiłeś, żebym tu przyjechała, powiedziałaś, że będzie mi się to opłacać. Muszę płacić czynsz w Bostonie. Mam do uregulowania rachunki, płatności ubezpieczeniowe, spłaty kredytów. Mam konto oszczędnościowe, ale przyrzekłam sobie, że nie sięgnę po nie. Kupiłam na swoją kartę dwa bilety na samolot i ten rachunek też przyjdzie. Okropnie się czuję, że przy wszystkim, co masz na głowie, muszę cię prosić, ale... — zakończyła niewyraźnie.

— Och, bardzo cię przepraszam, Annie. Powinnaś była powiedzieć o tym wcześniej. Rzeczywiście zapomniałem i jeszcze raz przepraszam. Czy to właśnie cię dręczy?

— Niezupełnie. To wszystko dla mnie nowość, do tego widzę, jaki jesteś spięty. Teraz czuję zbliżającą się migrenę...

— Nie ruszaj się, zaraz wrócę.

Pete zawsze dotrzymywał słowa. Wręczył jej czek na pięć tysięcy dolarów. Z jakiegoś powodu spodziewała się więcej; „aby ci się opłacało” oznacza przecież więcej. Usiłując ukryć rozczarowanie, odłożyła czek na stolik.

— Co to ma pokryć? — spytała bez ogródek.

— No... pokrywa bilety na samolot i pracę w sklepie. Jesteś kierownikiem i gdybyś była zatrudniona na stałe, otrzymywałabyś prowizję. No więc jest to za prowadzenie sklepu.

— A za jaki okres? — nie ustępowała.

— Och, nie pomyślałem o tym. To dla ciebie ważne, a ja nawaliłem. Masz jakąś cyfrę na myśli?

Pomyślała, że wygląda na przestraszonego.

— Zarabiam osiemdziesiąt tysięcy rocznie. Nie omówiliśmy tego przed moim przybyciem tu. Nienawidzę kręcenia przy pieniądzach. Jesteśmy przyjaciółmi i nie powinno tak być.

— Nie da się ukryć, że masz rację. Powinniśmy byli to omówić. Przykro mi, że cię wykorzystuję. Podaj cyfrę, Annie.

— Wyciągałam rocznie osiemdziesiąt tysięcy. Według mnie „żeby ci się opłacało” musi oznaczać znacznie więcej od moich zarobków. Nie wzięłabym pracy za mniej niż sto pięćdziesiąt. Nie idzie ci źle, wciąż wspinasz się wyżej i oboje o tym wiemy. Jest poza tym premia za działanie w czyimś imieniu. Uważam, że mnie wykorzystujesz. Dlatego właśnie mam migrenę. Ten czek — powiedziała wskazując na niebieski prostokąt na stoliku — powinien stanowić kwartalną zapłatę; około dwudziestu ośmiu tysięcy dwustu pięćdziesięciu dolarów, to znaczy za dodatkowy miesiąc. No wiesz, wrzesień, październik, listopad i grudzień. Nie liczę nawet premii. Jeśli chcesz usłyszeć cyfrę, uważam, że powinien opiewać na siedemdziesiąt tysięcy, co zawierałoby też premię kierowniczą. Jeśli masz jakies wątpliwości co do wysokości czeku, powinieneś mi to powiedzieć teraz.

— Absolutnie nie. Jeśli takie jest twoje żądanie, tyle właśnie otrzymasz. — Pete podarł czek ze stolika i wypisał drugi. — Czy teraz się uśmiechniesz? Wiesz, że mi tego brak. Przez ostatni tydzień jesteśmy jak drące się koty. Co cię jeszcze męczy oprócz bólu głowy? W minutę na to poradę. Jeśli pamiętasz, jestem facetem, który w środku nocy nacierał a ramiona, gdy śleczeliśmy nad przygotowaniem do egzaminów. Mówiłaś, że jestem w tym najlepszy.

— To prawda. Rzeczywiście, jest coś jeszcze. — Opowiedziała mu o sprawie kawy i herbaty. — Co myślisz o tym, bym czerpała z tego zyski?

— Chryste Panie, to mnie naprawdę nie interesuje. Rób, jak uważasz. Zostawiam to tobie.

— Proponuję w takim razie Czarodziejskim Opowieściom dziesięć procent. Czy twoim zdaniem tak będzie dobrze?

— Tak, oczywiście, a teraz powiedz mi, że mamy cały ten chłam za sobą.

— Tak.

— To dobrze. Podepnij włosy, to wymasuję ci ramiona i plecy. Trzydzieści minut rozkoszy. Jak ci przejdzie, też mnie wymasujesz? — spytał tęsknie.

— Twój masaż karku zawsze wywołuje we mnie senność. Dlatego właśnie przechodzi ból. Przyniosę kołdrę.

Widział ból w jej oczach, gdy wróciła do salonu. Dziękował Bogu, że nigdy nie dręczyły go migreny. Zmieniła ubranie z oficjalnego na lekki dres. Włosy miała upięte na czubku głowy, dzięki czemu miał wolny dostęp do wiotkiej szyi. Patrzył, jak Annie rozkłada kołdrę i kładzie się na niej.

— Mógłbyś mi też wymasować plecy — powiedziała. — Jeśli nie zasnę, też cię wymasuję. Zgoda?

— Zgoda — potwierdził.

— Czy znalazłeś coś w materiałach, które czytałeś? — zamamrotała, gdy palce Pete'a rozpoczęły swoje czary.

Mówił powoli, monotonnym, niskim głosem, gdy klęcząc tarł i masował jej kark i ramiona. Czuł, jak napięcie zaczyna uchodzić z jej ciała.

— Och, jak dobrze — mruzczała. — Jeszcze, jeszcze...

— Już nie mogę — powiedział pół godziny później.

— Jęczysz, Pete — odpowiedziała przewracając się na plecy. Pragnęła tego, ale nie spodziewała się, że to kiedykolwiek nastąpi. W jednej chwili cięli się ze sobą, a teraz... Chciała oderwać od niego spojrzenie, ale nie była w stanie. Tak długo czekała w wiecznym pragnieniu chwili, kiedy Pete będzie patrzył na nią z pożądaniem. Nie podda się. Przez myśl przelatywały jej setki powodów i wszystkie nosiły imię Maddie Stern. Musi coś zrobić, zanim będzie za późno. Jeśli ona tego nie robi, Pete nigdy sobie nie daruje. Miłość oznacza stawianie drugiej osoby na pierwszym miejscu.

Usiadła i odwróciła wzrok. Prosty zwrot głowy kosztował ją całą posiadaną siłę woli.

— Nie miałam pojęcia, że jest tak późno — powiedziała. Dobry Boże, czy to jej głos brzmi tak naturalnie i nonszalancko? Oczywiście, że tak, jest przecież jedyną kobietą w tym pokoju. Nogi się pod nią ugięły, kiedy wstawiała, ale udało jej się odejść.

— Głowa przestała mnie boleć — rzuciła przez ramię. — Dobrze wymasowałeś mi kark, Peterze Sorenson.

Potem oparta w pokoju gościnnym o drzwi gmerała ręką przy zamku. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się na podłogę. Łzy trysnęły jej z oczu.

Pete wpatrywał się bezmyślnie w telewizor. Jego myśli były równie puste jak ciemny ekran. Może powinien go włączyć, by słyszeć dźwięk i patrzeć, jak fikcyjni ludzie poruszają się i udają różne rzeczy.

— Jezu, omal nie... Gdyby nie Annie...

Annie. Co myślała? Zawsze niemal odczytywał jej myśli. Poza momentami, gdy była w sędzie uczucia miała wypisane na twarzy. Potem stała się zupełnie nieodgadniona, tak jak nieodgadniona była jej twarz, gdy Annie opuszczała pokój. Tylko wtedy prezentowała kamienną twarz, gdy coś było dla niej wyjątkowo ważne. A to czyni ciebie, Peterze Sorenson, pomyślał, pierwszorzędnym durniem.

Do diabła, nie może nawet udawać utraty pamięci ani wyobrazać sobie, że był z Maddie. Wiedział, że to Annie, a jednak...

Jest tak cholernie sfrustrowany. Wykręty, Sorenson.

Sięgnął po stos papierów na kanapie. Czy rzeczywiście będzie teraz czytał ten chłam? Czy rzeczywiście w najgłębszych zakamarkach duszy wierzy, że odzyska Maddie? Nie, jeśli podpisała warunki umowy. Jeśli, jak powiedziała Annie, jest w programie, przeszła zmianę tożsamości. Ale nie jest, pomyślał. Wyszła i już nie jest objęta programem. Oni prawdopodobnie też jej szukają. Czy Maddie jest w stanie stawić czoło federalnym funkcjonariuszom?

Rankiem miał się udać do Wirginii i stanąć w biurze marshalla. Nastawił się, że w razie konieczności zrobi straszliwą awanturę. „Za kogo się, do cholery, uważacie, że rozpieprzacie mi życie? Do diabła, mam prawo wiedzieć, czy Maddie jest w programie, czy nie — bełkotał podniecony. — Mam prawo wiedzieć, co się dzieje!”

Jakes doradził mu, by napisał list i wziął go ze sobą. Ale po co właściwie? Jak ma pisać list po tym wszystkim, co zostało już zrobione? To wszystko bez sensu. Wszystko to kłamstwo. Tylko dla Annie ma jakieś znaczenie; inaczej jej twarz nie miałaby takiego nieprzeniknionego wyrazu. Zna ją przecież tak dobrze. A teraz lepiej, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażał. Pytanie tylko, co to oznacza dla niego.

— Kocham cię, Maddie, i pewnego dnia sam ci to powiem. Ale nie może to trwać zbyt długo. Potem myśli jego powędrowały do Barneya. Co zrobiłby na jego miejscu?

Po całej serii okropnych snów obudził się zły potem. Wspomnienia strzępków sennych majaczeń malowały się na jego przerażonej twarzy — Zsunął nogi z kanapy i poczuł, jak żołądek zaczyna mu się burzyć. Zbyt wielkie miał poczucie winy, by położyć się do łóżka, które dzielił od czasu do czasu z Maddie. Nie miało znaczenia, że nic nie zrobił. Rozważał to, co stało się powodem rodzącego się w nim poczucia winy. Spojrzał na zegarek. Prawie piąta rano. Rzucił się z powrotem na grube, wygodne poduszki, a jego bose stopy zaszurały o leżące w pobliżu papiery. Pochylił się w poszukiwaniu dokumentu, który najbardziej nim wstrząsnął. Znał słowa na pamięć, ale odczytał je raz jeszcze.

„Z punktu widzenia organów sądowych pozwolenie na przesyłanie poczty ogranicza z jednej strony aspekt zrzeczenia się przez klienta jego dawnych zobowiązań, z drugiej zaś zmniejsza jednak cierpienia wynikające z porzucenia dawnego życia. Podobną procedurę proponuje się tak długo, jak długo świadek tego żąda lub chce. Istota sprawy polega na tym, że świadek wyraża zgodę na całkowitą zmianę zlecenia adresowego i poczta adresowana na dawne nazwisko przekazywana jest na numer skrytki pocztowej oznaczonej przez służby sądowe. Mimo dopuszczania możliwości przesyłania poczty umowa konsekwentnie wskazuje, że świadek uznaje konieczność zakończenia korespondencji.”

I dalej w tym duchu.

Maddie z pewnością powiedziała federalnym, że oczekuje korespondencji. Przyrzekł teraz sobie, że pod koniec dnia uzyska pewną wiadomość, czy Maddie nadal działa na własną rękę, czy też znaleźli ją już.

Czy ma napisać list? Czy inne oczy będą go oglądały? Czy będzie to tylko daremny trud? Włączyło się jego prawnicze myślenie. Będzie musiał omówić to z Annie i zasięgnąć jej opinii. Annie jest obserwatorem z zewnątrz, którego stać na dokonanie analizy. Przypomniał sobie jej nieprzeniknioną twarz, gdy udawała się na spoczynek.

Do diabła, nie chce teraz o niej myśleć. I bez tego ma dość problemów. Przecież kocha Annie i skoczyłby dla niej w ogień. Obok Maddie ona jedna na tym świecie obdarza go prawdziwą przyjaźnią. Jak ma żyć z tym, czego omal nie zrobili wczorajszego wieczoru?

Oszołomiony postanowił napisać list. Co ma do stracenia?

Podreptał do kuchni, włączył światło i zrobił sobie dzbanek kawy. Kawa parzyła się, a on zasiadł za stołem, by spłodzić list.

„Najdroższa Maddie,

Jeśli napiszę, że nie wiem, co się dzieje, będzie to stanowczo za mało powiedziane. Podejrzewam, o co chodzi, tylko nie mogę na razie uzyskać jednoznacznego potwierdzenia o objęciu Cię programem ochrony świadków.

Gdy przyszedłem dziś do domu, otrzymałem Twoją wiadomość. Przesłuchiwałem ją tyle razy, że pewnie zdarłem taśmę. Naprawdę nie rozumiem większej części tego, co mówiłaś.

Boję się o Ciebie...”

Podarł papier na kawałeczki. Jaki jest sens pisania listu, skoro nikt nie wie, gdzie Maddie się znajduje. Jak będą mogli jej go przesłać?

— Wszystko to gówno — warknął.

Popijając parzącą kawę zastanawiał się, czy nie przepuścił jakiejś kluczowej informacji związanej z Maddie. Wraz z Jakesem w ciągu ostatnich kilku dni omówili mnóstwo spraw. Buli Balog i John Naverez nadal siedzą w więzieniu bez możliwości zwolnienia za kaucją. Nie zaskoczyłoby go wcale, gdyby dowiedział się, że firma prawnicza wuja reprezentuje facetów w więzieniu. Firma Leo ma najlepszy na Wschodnim Wybrzeżu dział spraw karnych.

— Każdy — powiedział wuj w czasie ich wczorajszej rozmowy — ma prawo do swojego dnia w sądzie oraz prawo do najlepszego adwokata. — Dalej przypomniał, że akta klienta to rzecz święta. Jakby Pete tego nie wiedział. Wuj stwierdził też, że nie będzie się w żaden sposób w nic mieszał, może jedynie doglądać sprawy, w taki sposób, jak czyni to każdy główny wspólnik. — Jeśli będą jakieś nieprawidłowości, zajmą się nimi. — I pożegnali się.

Pete nalał drugą filiżankę kawy i przeniósł się do łazienki, gdzie wziął prysznic i ogolił się. Ubrany wrócił do kuchni na śniadanie. Bekon na jednej patelni, jajka na drugiej. Wsunął zgrabnie kromkę chleba do tosterka. Tak sprytnie zonglował wszystkim, że gdy Annie wkroczyła do kuchni, śniadanie było gotowe. Nowy dzbanek kawy bulgotał pokrzepiająco.

— W samą porę — rzekł stawiając przed nią talerz. — Annie, muszę z tobą pomówić. Nie chcę, aby któreś z nas opuściło mieszkanie, zanim... zanim porozmawiamy na temat wczorajszego wieczoru. To wszystko moja wina. Nie wiem, co się ze mną stało. Przepraszam, to się nigdy nie powinno było stać.

Annie patrzyła nad niego nad filiżanką. Czy rzeczywiście w kącikach jej ust czaił się uśmiešek, czy to tylko jego wyobraźnia? Chyba przejrzała go na wylot.

— Seks — stwierdziła chłodno — oznacza aktywność dwojga osób, a żadne z nas w niczym nie uczestniczyło. Sądzę, że powinniśmy zostawić to za sobą i nie martwić się tym, czego nie zrobiliśmy. Dziś jest nowy dzień, a wczoraj odeszło. Nie jestem plotkarą, jeśli już o to ci chodzi. Doskonałe jajka, Pete. Jesteś lepszym kucharzem, niż ja będę kiedykolwiek. Muszę uciekać. Przed pójściem spać zadzwoniłam do faceta od kawy i mam nadzieję, że nim rozpocznę sprzedaż, pojawi się w sklepie. Będziesz wieczorem w domu?

— Nie jestem pewien. Zadzwonię.

Spojrzał na zegarek. Nic dziwnego, że przyjaciółka jest takim doskonałym prawnikiem. Annie nigdy nie skieruje sprawy na boczny tor. Czarne to czarne, a białe to białe. Tylko fakty. Opiera się na faktach i idzie do przodu. A skoro ona jest do tego przygotowana, czy on mógłby robić mniej?

— Annie...

— Tak, Pete?

— Nie ma takiej rzeczy na ziemi, której bym dla ciebie nie zrobił. Wierzysz mi, prawda?

— Naturalnie, Pete.

Do diabła, znów ma ten nieodgadniony wyraz twarzy. Czekał, że powie „ja też”, ale milczała. Zabrzmiały mu w uszach słowa Dennisa. „Annie zawsze była w tobie zakochana, a ty jesteś jedynym człowiekiem, który o tym nie wie.”

Jakes przybył o dziesiątej pięćdziesiąt ubrany w lekki letni garnitur.

— Dobre wrażenie i tak dalej — wyjaśnił. — Mam informacje. Omówimy je po drodze na lotnisko.

Pete skinął głową. Cokolwiek tamten ustalił, dzisiejszy dzień wpłynie na resztę jego życia. Zaciśnął palce jak w dzieciństwie, gdy chciał, by coś mu się spełniło. Szkoda, że nie może zwierzyć się dorosłemu Barneyowi.

Jaką wartość mają wszystkie pieniądze świata i co warte jest zajęcie dające owe pieniądze, jeśli człowiek nie ma z kim się nimi dzielić? Jaką wartość ma życie, jeśli nie można go z nikim

dzielić? Wypowiedział głośno tę myśl przed Jakesem i detektyw popatrzył na niego z nie ukrywanym współczuciem.

— Jest pan wolny, panie Sorenson. Może pan się przemieszczać i robić wszystko, na co ma pan ochotę. Nikt z nas nie ma tak naprawdę pojęcia, czym jest wolność, dopóki nie zostanie mu ona odebrana. Życ i być wolnym to największa rzecz. Myśli pan teraz o sobie i nie mówię, że to źle, ale jeśli się nie mylimy i Maddie była w programie, niech pan pomyśli o tym, z czego zrezygnowała. Teraz, kiedy z niego wyszła, mamy całkiem nowe zmartwienie. Żeby tylko przeżyła. Niech pan o tym pomyśli, panie Sorenson. Chodźmy już — zakończył detektyw, patrząc na zegarek.

Wolność. Pete powtarzał w nieskończoność to słowo. Niezbywalne prawo każdego. Tylko nie Maddie i innych, o których nie wie.

Miał już zamykać drzwi wejściowe, gdy coś mu się przypomniało.

— Niech pan poczeka — odwrócił się do detektywa. — Muszę zostawić nową wiadomość dla Maddie. Chcę, żeby wiedziała...

Według słów taksówkarza Saston miało leżeć o trzydzieści kilometrów od Provo. Wielką uprzejmością było nazwanie zapyłonej, brudnej dziury miastem. Maddie zapłaciła kierowcy i wyszła z taksówki. Pył zawirował wokół jej spoconych nóg. Skóra zaczęła ją piec, ale nie od piasku. Rzuciła spojrzenie przez ramię i sprawdziła samochody dostawcze przed kawiarnią. Wszystko wyglądało zwyczajnie.

Odwlekała chwilę wkroczenia do kawiarni przez upstrzone przez muchy przeszkłone drzwi. Wielkie nieba, myślała, rozglądając się wokoło. Janny z pewnością ma serdecznie dość tego miejsca. Nie ma tu nawet jednej rzeczy, którą można by nazwać ładną. Przypomniały jej się westerny z makietami wystaw sklepów i drewnianymi chodnikami. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła sklep z napisem głoszącym „Towary mieszane”. Tuż obok była drogeria. Zobaczyła jeszcze „Artykuły żelazne” oraz „Zakład fryzjerski”. Najwyraźniej nikt w mieście nie cierpi na kryzys tożsamości. Wszystkie okna w budynkach sklepów miały ciemnozielone, wygładzone równiutko story. Sklepiarze sprawdzają je pewnie co rano, by mieć pewność, że wszystkie utrzymują się w jakiejś niewidocznej linii, pomyślała z irytacją.

Weszła na krótki chodnik prowadzący do drzwi kawiarni. W dwóch czarnych, przypominających kotły donicach stały kwiaty, które już przekwitły. Po bokach donic zwieszało się zielsko. Przymocowany do drzwi arkusz papieru w niebieskie linie obwieszczał czarną kredką: „Kredytu nie udzielamy. Nie ma co prosić!”

Maddie pchnęła drzwi, ale nawet nie drgnęły. Kopnęła je tuż nad ziemią i rozwarły się gwałtownie, wprawiając w ruch masywny dzwonek dla krów. Przestraszona schyliła głowę i rzuciła się w bok. Szybko zidentyfikowała dźwięk, ale trzęsła się jeszcze, gdy przerzucała słomiany wór z lewego ramienia na prawe. Popatrzyła przez ciemne okulary na kilku siedzących przy barze klientów. Czerwone zydle powiązane były szarą taśmą izolacyjną. Pod przeciwległą ścianą stały trzy stoły, a przy ostatnim siedziała Janny. Na widok przyjaciółki twarz jej rozjaśniła się i Maddie pospiesznie położyła palec na ustach. Nie chciała, by zwracano na nie uwagę.

Krzesło, które zajęła, chwiało się tak mocno, że zmieniła je na inne, ale to chwiało się jeszcze bardziej.

— Janny, jak się cieszę, że cię widzę — zaczęła. — Tylko nie śmiej się ani nie płacz. Nie rób niczego, co zwróciłoby na którąś z nas zbyt dużą uwagę. Jestem tu zaledwie kilka minut, a już mam dość tego miejsca. Co z jedzeniem?

— Jeśli nie masz nic przeciwko karaluchom i muchom, może być. Nie myślałam, że ci się uda. Unitec doszedł już do pięciuset dolców. A ja tylko płaczę. Nie cierpię tego miejsca. Nie mogę tu wytrzymać. Nie chcę tu zostać. Dali mi osiemset pięćdziesiąt dolarów i powiedzieli, że musi mi starczyć na cały miesiąc. Mam małe mieszkanie, na widok którego skóra cierpnie. Nie mogę znaleźć pracy. Żeby pracować w Provo, muszę zdobyć samochód, a jak mam to zrobić, skoro zlikwidowali wszystkie moje rachunki kredytowe? Jest jeden autobus dziennie z tej dziury i to pod warunkiem, że kierowca ma chęć zrobić kurs. Jeśli nie, nigdzie nie pojedziesz. Jediną działalność prowadzą trzy kościoły. Nic nie wygląda tak, jak nam zapowiadali.

Maddie skinęła głową.

— Wiesz, Janny, od chwili, gdy uciekłam, zajmuję się tylko myśleniem. Nie sędzę, by ten program był uruchomiony dla takich ludzi jak ty i ja. To dla przestępców, których chromą gliny, i innych podobnych typów. Myślę, że z wdzięcznością pójda w dowolne miejsce, byle tylko byli bezpieczni.

Opowiedziała przyjaciółce o mieszkaniu w Fort Lauderdale.

— Mężczyzna mógłby to znieść, mógłby znosić tych ludzi i wykręty, do których się uciekali. Dla mnie to co innego. Zupełnie jakbym funta kłaków nie była dla nich warta. Chcieli, żebyśmy robiły to, o co im chodzi, i na ich życzenie, ale spróbuj zaproponować, żeby ruszyli się trochę szybciej, to zobaczysz, co się stanie. Ty dostałaś swą tożsamość, dlaczego moja nie została przygotowana? Przenieśli mnie szybko i zostawili z niczym. To niesprawiedliwe i nieuczciwe.

— Co teraz zrobimy? — spytała Janny.

— Czy ktoś cię sprawdza? Musisz się komuś meldować? Jak to działa? Ja miałam strażnika przez dwadzieścia cztery godziny. Musiałam mu się opowiadać, jak wybierałam się do łazienki.

— Raz w tygodniu podpisuję się na liście. Nikt mnie nie niepokoje. Bo i po co? Co można robić w takim miejscu? Chyba dlatego, że to ty jesteś głównym świadkiem.

— Dokąd dzwonisz? — spytała Maddie.

— Na numer w Provo. Moim kontaktem jest niejaki Steven Maloy. Wydaje się dość miły. Nie wiem, co by zrobił, gdybym nie zgłosiła się we właściwym czasie. Nie mam telefonu, bo nie mam dość pieniędzy na kaucję i abonament, a ponieważ nigdy przedtem nie miałam w Utah numeru, dopóki nie przedstawię swoich możliwości kredytowych, nie podłączą mi telefonu. Usługi komunalne są wliczone w czynsz, tak że nie muszę się o nie martwić. Myślę, że w nagłej potrzebie gospodyni pozwoliłaby mi skorzystać z telefonu. Nie jestem z nią zaprzyjaźniona — dodała zaciskając usta.

— Jak spędzasz czas?

— Trudno w to może uwierzyć, ale miasto ma objazdową bibliotekę. W każdy czwartek zajeżdża tu facet i można wypożyczyć książki. Mam kartę biblioteczną na nowe nazwisko — wyjaśniła cierpko. — A odpowiadając na twoje pytanie, czytam i piję mrożoną herbatę, bo to jest tanie.

— Jak dobrze móc cię widzieć, Janny — powiedziała Maddie i chwyciwszy złożone na stole ręce przyjaciółki ścisnęła je mocno. — Słuchaj, zamawiamy coś i mamy nadzieję, że się nie zatrujemy, czy wychodzimy i wracamy do twojego mieszkania? Zakładam, że można tam dojść spacerkiem.

— Wyjdźmy. Dam kelnerce napiwek. Chodź — powiedziała Janny wstając od stołu.

Maddie obserwowała, jak Janny podawała kelnerce dolara.

— Moją przyjaciółkę strasznie boli głowa, tak że nie zostaniemy na lunch. Myślę, że przyjdę w przyszłym tygodniu.

Kelnerka schowała dolara i skinęła głową z obojętnym wyrazem twarzy. Nikt z siedzących przy ladzie nie zwrócił najmniejszej uwagi na idące do drzwi kobiety.

Do mieszczącego się na piętrze niedużego mieszkania Janny było blisko. Okazało się czyste i schludne, ale straszliwie gorące. Meble były zniszczone, dywan miejscami wytarty. Stojąca w staroświeckiej kuchni kuchenka na nóżkach miała piekarnik z boku. Janny pokazała Maddie również górny piec grzewczy. Wokół drewnianej obudowy zlewu przypięta była zasłona z tej samej tkaniny co kuchenne zasłonki.

— Może zjesz kanapkę? Mam trochę byle czego i ser. A może chcesz coś z puszki? Mam nawet słoik pikli. Jem przeważnie zupę i kanapki. Po prostu nie chce mi się nic robić. Nie mam żadnych bodźców — stwierdziła przez zaciśnięte zęby. — Odejdziemy, prawda, Maddie? — spytała z rozpaczą, a zarazem z wyrazem nadziei w twarzy.

Maddie objęła przyjaciółkę i przycisnęła do piersi, po czym odsunęła się o krok i choć w jej oczach pokazały się łzy, popatrzyła na nią z uśmiechem.

— Zjem kanapkę i dwa pikle. I mrożoną herbatę, jeśli masz. Musimy to omówić, Janny. Zgadzą się obie, że nic nie wygląda tak, jak nam mówiono, prawda? — Janny skinęła głową.

— Te idiotyczne propozycje, które nam przedstawili, w żaden sposób nie wskazywały, że będziesz żyć w taki sposób, czy też, że ja znajdę się w miejscu, gdzie byłam i czekałam na nową tożsamość, której nigdy nie dostarczono. Zgadza się? Janny przytaknęła ponownie.

— Nester wydawał się przyzwoitym facetem. Przynajmniej mnie — zaznaczyła.

— Dopóki dotyczyło to policji, tak było. Ale jak włączył się Departament Sprawiedliwości, FBI i biuro marshalla, sytuacja się zmieniła. Nester to tylko ciężko pracujący glina, który stara się zrobić wszystko, by w mieście poprawiło się choć trochę. Ja przynajmniej tak go oceniam. A tamci faceci to wielkie pistolety. Oni... nas przejęli i Nester nie ma już nic do gadania. Cały czas przesładuje mnie myśl, że tak łatwo udało mi się wyjść. Na początku nie chciałam się oglądać. Chyba usiłowałam sama sobie coś udowodnić. Ten glina mógł mnie śledzić. Przecież nie wiem, czy tego nie robił. To zawodowcy, a ja jestem tylko przerażoną, głupią babą, która nie ma bladego pojęcia o przestępstwie i jego konsekwencjach. Popatrz tylko na mnie. Obcięłam i ufarbowałam włosy, i wyglądam jak czarownica, która za długo siedziała na miotle. Kupiłam lalkę i kocyk, uznając to za doskonałe zamaskowanie. My tu sobie rozmawiamy, a tam pewnie jakiś cholerny szeryf czai się w krzakach i czeka tylko na odpowiedni moment, by się ujawnić. Zastanawiam się, czy oddadzą mi moją własność — no wiesz, to pudełko ze skarbami, które miałam. Zdjęcia taty, moje zdjęcia z wczesnego dzieciństwa i inne rzeczy, które tak kocham. Rozumiem, że człowiek musi rozpocząć wszystko na nowo, mając tylko ubranie, ale jaką szkodę przyniosłoby posiadanie paru pamiątek z przeszłości, rzeczy nie wskazujących na określony czas czy miejsce? Znacznie łatwiej byłoby z tym przeżyć. Pozbawili nas wszystkiego, i nienawidzę ich za to — zakończyła z goryczą.

— Polubiłam mielonkę — rzekła Janny, kładąc przed Maddie kanapkę. — Musztarda zabija smak, a jak się podsmaży, nie jest takie złe. Przez trzy dni jem puszkę.

— Smaczne — oceniła Maddie próbując, po czym splukała odgryziony kęs haustem mrożonej herbaty. — Gdzieś po drodze zapomnieliśmy, jak jesteśmy potrzebne władzom. Myślę, że musimy się cofnąć i jeszcze raz zastanowić. Powinniśmy ustalić, co chcemy, a czego nie chcemy. Przeraża mnie, że tak łatwo udało mi się tu dotrzeć. Boję się, to nie ulega wątpliwości. Nie jesteśmy przecież partnerkami dla zawodowców i nie ma znaczenia, ile kryminałów oglądamy. One zawsze kończą się po sześćdziesięciu minutach i zawsze zwycięża porządny człowiek. Ale to jest nasza rzeczywistość, i dlatego się boję. Wiem, że ty też.

Zamilkła na chwilę.

— No więc powiem, czego chcę — podjęła. — Chcę, aby ci ludzie zabrali nas w jakieś bezpieczne miejsce. Chcę, żeby przywieźli tam Pete'a, bo chcę porozmawiać z nim w cztery oczy. Chcę, abyśmy miały możliwość zamieszkać w miejscu czystym, miłym i bezpiecznym. W miejscu, gdzie są ludzie, gdzie będziemy miały dokąd pójść i co robić. Muszą pomóc nam znaleźć pracę, która da nam wystarczającą ilość pieniędzy, abyśmy żyły w sposób przypominający nieco nasze dawne życie. Chcę mieć moje skarby. Jeśli Pete nie może, czy też jeśli do nas nie dołączy, w porządku. Przeżyję to, ale chcę, aby sam mi to powiedział. Rozprawa może się odwlec o miesiące czy lata. Gdybyśmy miały przebywać w ukryciu krótko, pogodziłabym się ze wszystkimi ustaleniami. Nie wiemy, czy rozprawa nie zostanie odłożona i nie obiecują nam tego. Czy jest w moim rozumowaniu coś, z czym się nie zgadzasz?

— Maddie, byliśmy przerażone, i ci ludzie wygrywali nasz strach. Myślę jednak, że dostali od nas za swoje, co?

Maddie po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się.

— Nie mamy całkowitej władzy, Janny. Nasze życie jest w rękach innych. Gwarantuję ci, że mają najlepsze intencje, ale jak powiedziałam, ten program nie jest dla takich jak my. A teraz powiedz, co chcesz zrobić?

— To samo co ty. Zgodzę się na wszystko, co postanowisz. Myślę, że jeszcze raz powinnaś zadzwonić do Pete’a. Późno wieczorem, żebyś miała pewność, że będzie w domu.

Maddie skinęła głową.

— Musimy wybrać miejsce, gdzie możemy się teraz udać. Pełne ludzi. Mam dość pieniędzy, abyśmy wsiadły do autobusu i pojechały tam, gdzie postanowimy. Nie mogę tego wytłumaczyć, ale nie podoba mi się to miejsce. Mam wrażenie, jakbyśmy tu już kiedyś były, albo jakbyśmy już przez to wszystko przeszły. Mówimy jedno, a robimy coś przeciwnego. Musimy opracować zdecydowany, dokładny plan i trzymać się go. Masz jakieś pomysły?

— Musimy przyjąć, że jeśli zdołamy dogadać się z władzami i trzymać konkretnej umowy, przy czym tylko na krótko, to wszystko się dla nas zmieni — stwierdziła Janny. — Czy to ma sens?

Maddie potwierdziła skinieniem głowy.

— Odrzuca nas fakt, że nie wiemy, co właściwie ma oznaczać ta ich tymczasowość. Gdyby powiedzieli na przykład: „No dobrze, wchodzą panie do programu na dwanaście miesięcy. Potem jesteście wolne, gdyż będzie już po rozprawie”, mogłabym to zaakceptować. Nikt nam niczego takiego nie powiedział. Myślimy o sprawie w kategoriach „na zawsze”. To właśnie doprowadza mnie do szału. Boże święty, Maddie, czy możesz wyobrazić sobie, że będę tu żyła do końca życia?

— Nie. Ja też nie mam zamiaru żyć w taki sposób. Nie zrobiłyśmy nic złego. Musimy skoncentrować się na środkach utrzymania i żądaniach. Chcą nas mieć, bo dysponujemy czymś, co im jest potrzebne. Jeśli tak, muszą też spełnić nasze wymagania. Zakosztowałam ucieczki i nie podoba mi się to. Nie możemy sobie pozwolić na samodzielność, ale nie musimy też im tego mówić. Gdybyś sprzedała Unitec, ile byś miała?

— Nie tyle, byśmy przeżyły za to jakiś czas. Poza tym nie otrzymałam jeszcze zaświadczenia o ilości akcji. Nie został też przeniesiony mój rachunek oszczędnościowy.

— Myślę, że musimy skreślić ten pomysł. Dzwoniłam do Nestera, ale jest na urlopie.

— Dlaczego dzwoniłaś?

— Nie wiem — wyznała Maddie żałośnie. — Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że zadzwoniłam do niego, bo stanowi dla mnie pewien element stałości. Przyjaciółka Petera prowadzi Czarodziejskie Opowieści. Pete mówił, że jest bardzo miła. Zezłościłam się, gdy usłyszałam, że to ona odbiera telefon w sklepie. Nigdy się z nią nie spotkałam, ale Pete zaprosił ją na nasz ślub. Powiedział, że nie mógłby się ożenić, gdyby najlepszy kumpel nie dodawał mu otuchy.

— Jesteś o nią zazdrosna?

— Jasne. A ty byś nie była?

— Chyba tak.

— Wiem, że żywi do niej takie uczucia jak do siostry i bliskiego przyjaciela, ale nie znam jej uczuć w stosunku do niego. Teraz wszystko jest podejrzanе. Mam nadzieję, że dożyjemy dnia, kiedy będziemy mogły się śmiać z tego wszystkiego.

Janny sprzątnęła ze stołu.

— Co chciałabyś teraz robić?

— A co proponujesz?

— Chodźmy na spacer, pokażę ci miasto. Nim zdążysz mrugnąć, już będziesz na drugim końcu. Podobno żyje tu dwa tysiące dwustu ludzi, ale nich mnie diabli, jeśli wiem, gdzie są ich domy. Pewnie na peryferiach.

— Czy masz taką słomianą torbę jak ta? — spytała Maddie.

— Mam. Kupiłam w sklepie ogólnym, by przynieść sprawunki. Dlaczego pytasz?

— Spakuj się i idziemy. Będziemy szły, dokąd damy radę, a potem złapiemy okazję. Zaczynam się niepokoić. Nie bierz więcej niż to konieczne. Załóż tenisówki. Kiedy musisz dzwonić?

— Wczoraj dzwoniłam. To daje mi sześć dni do następnego zameldowania się. Oni nie są mną zainteresowani. To na zgubienie ciebie nie mogą sobie pozwolić.

— Wprost trudno mi uwierzyć, że wrzucili cię tutaj i tak po prostu zostawili. Jesteś wolna. Możesz pojechać do Provo, możesz robić, co chcesz. Mnie traktują jak kryminalistkę. Zbieraj rzeczy, Janny. Im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepiej się poczuje — powiedziała Maddie, a głos jej nabrał ostrego brzmienia.

— Maddie, a co z zaświadczeniem o ilości posiadanych przeze mnie akcji i z moim rachunkiem bankowym?

— Nikt inny nie może ich przejąć. Nie musisz ich podpisać, kiedy przyjdą pocztą?

— Tak. Nie zawiadomili mnie, że mój rachunek został przeniesiony. Czy stracę wszystko, jeśli odejdę? — spytała zdenerwowana.

— Nie sądzę, ale pewności nie mam. Gdyby były na twoje nowe nazwisko, możesz udowodnić, że jesteś Betty Gill. Wydaje mi się, że w każdej chwili możesz wrócić i zażądać tego, co do ciebie należy. Ty musisz zdecydować, ja nie mogę podjąć decyzji za ciebie. I właśnie dlatego, że jesteś moją przyjaciółką, twoje życie... Nie wiesz nawet, jak mi przykro z powodu tego wszystkiego. Gdybym to była tylko ja! Ty siedziałabyś w Nowym Jorku i podgrzewała atmosferę w świecie finansów.

— To tylko marzenia — zaśmiała się Janny rubasznie. — Przygotuję się w kilka minut. Łazienka jest za tym małym korytarzem przy spiżarni, jakbyś musiała skorzystać.

Maddie myła ręce nad małym zlewem, gdy z kuchni dobiegł ją przestraszony głos Janny.

— Ktoś idzie ścieżką — oznajmiła biegnąc do drzwi łazienki. — Zobaczyłam go z okna sypialni. Teraz zachodzi od tyłu. Od kiedy się wprowadziłam, nikt tu nie przychodzi. Co pocniemy, Maddie?

Maddie wetknęła szczotkę i grzebień do słomianej torby.

— Może to ktoś do twojej gospodyni — powiedziała ani przez chwilę nie wierząc we własne słowa.

— Moja gospodyni wyjechała razem z siostrą na jakiś festiwal. Słyszałam, jak mówiła o tym wczoraj. Jak w kuchni jest otwarte okno i jeszcze drzwi, słyhać wszystko, co się dzieje. Co robimy?

— Szybko, zamknij drzwi od kuchni na zasuwkę. Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie mogłabym się schować? — wyszeptła Maddie z wytrzeszczonymi ze strachu oczami.

— Tutaj? — parsknęła Janny. — Mysz w tym mieszkaniu by się nie schowała. Poczekał. Pod zlewem! Za zasłonką. Musisz się skulić. Tam nic nie ma, tylko butelka płynu do zmywania. Pospiesz się, Maddie, jest już na schodach.

Maddie rozsunęła zasłonkę, wrzuciła do środka swoją torbę i dała nurka pod zlew. Janny poprawiła zasłonkę i w tej samej chwili rozległo się pukanie.

— Nie otwieraj mu, rozmawiaj przez szybę. Będzie cię słyszał — uprzedziła ją Maddie i zwinęła się w kłębek z kolanami wspartymi o klatkę piersiową. Gdzie jest torba Janny? Zostawiła ją w pokoju czy przyniosła do kuchni? Kto jest pod drzwiami?

— Tak? — odezwała się Janny, a jej głos dobiegł wyraźnie do siedzącej pod zlewem Maddie. Usłyszała coś spoza drzwi, ale nie zrozumiała, co tamten powiedział.

— Skąd mam wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje? — spytała Janny drżącym głosem. — Gdzie jest pan Maloy?

— Jest w szpitalu, jego żona będzie rodzić pierwsze dziecko — wyjaśnił głos z drugiej strony drzwi. Mężczyzna mignął legitymacją.

Janny zmrużyła oczy, by odczytać słowa. Zdjęcie odpowiadało twarzy szeryfa Hendriksa.

— Czego pan sobie życzy?

— Przenosimy panią. Chcemy, by się pani spakowała. Ma pani natychmiast pójść ze mną. Serce Janny łomotało ciężko.

— O nie! Nie przeprowadzam się już. Nie przyszło moje świadectwo udziałowe, nie przyszedł też mój rachunek bankowy. Nawet pana nie znam. Niech im pan powie, że powiedziałam nie. Nie może mi pan tego zrobić. Za każdym razem, gdy się z wami kontaktuję, tracę rok własnego życia. Już i tak jest mi dostatecznie ciężko. Kiedy mnie przenoszono, wasi ludzie powiedzieli, że to do zakończenia procesu. Niech pan do nich wróci i powie, że się nie zgadzam. Nie podoba mi się tutaj, ale nie będzie mnie pan znowu przenosił.

— Panno Gili, proszę otworzyć drzwi. Usiądziemy nad szklanką lemoniady i pomówimy. Nie przyszedłem tu, by panią skrzywdzić, tylko żeby pomóc.

— To pan tak mówi — parsknęła Janny. — Poza tym nie dajecie mi dość pieniędzy, bym mogła kupować sobie cytryny. Muszę pić mrożoną herbatę. Nie jestem zainteresowana omawianiem z panem czegokolwiek. Wczoraj kontaktowałam się z panem Maloyem. Aż do przyszłego tygodnia jestem wolna i mogę robić, co mi się żywnie podoba, a nie podoba mi się otwierać panu drzwi. Poza tym — zawiesiła głos — nie powiedział mi pan, dlaczego chcecie mnie przenieść. Wasz system coraz bardziej przypomina mi działania Myszki Miki. Nie dotrzymujecie żadnej z waszych obietnic. To nie w porządku. Macie dwa zestawy reguł, jedno dla was, a inne dla takich ludzi jak ja. Nie podoba mi się to podwójne kryterium. Czy powie mi pan wreszcie, dlaczego chcecie mnie przenieść?

— Pani przyjaciółka wyszła z programu. — Janny wciągnęła powietrze na te słowa. — Sądźmy, że może spróbować panią odszukać.

— Iz tego powodu chcecie mnie przenieść! — wykrzyknęła. — Poszaleliście! Wyszła od was, a wy ją zgubiliście. To dlatego pan tu jest — krzyczała dalej. — Niech się pan natychmiast wynosi z mojego ganku, słyszy pan? Otworzę drzwi i zrzucę pana przez balustradę. Straciliście moją najlepszą przyjaciółkę. Jeśli Maddie odeszła, musiała mieć powód. Nie dotrzymujecie słowa. Powiedziałam, żeby się pan wynosił. Naprawdę zrzucę pana na drugą stronę!

Ruszyła do drzwi, by zwolnić zatrzask i otworzyć. Wiedziała, że w jednej chwili mogłaby przerzucić mężczyznę przez barierkę. Odszedł jednak i stanął na pierwszym stopniu.

Janny zadowolona, że szeryf naprawdę odchodzi, otworzyła drzwi i teraz już zaczęła wrzeszczeć.

— Jak Maddie może mnie znaleźć, przecież nie wie, gdzie jestem. Już wy o to zadbaliście! Boże — wykrzyknęła dramatycznie. — Teraz za całą sprawą można wodę spuścić! — Wbiegła z powrotem na schodki, a gdy wpadła do kuchni, trzasnęła drzwiami i zamknęła je znowu. Dźgnęła w zasłonkę pod zlewem, po czym opadła na kolana.

— Na pewno wszystko słyszałaś. Możesz już wyjść. Maddie, co ci się stało? Maddie, spójrz na mnie!

Oczy skulonej w kącie w pozycji embriona Maddie były puste. Cofnęła się przed rozpostartymi ramionami Janny.

— Maddie, nie strasz mnie — powiedziała Janny. — Co z tobą? On sobie poszedł. Powiedziałam mu, że nie przenoszę się. Wie, że odeszłaś, i myśli, że próbujesz mnie odszukać. On jest głupi. Proszę cię, Maddie, wyjdź stamtąd. Pomogę ci. Maddie, musimy... Boże, przecież musimy odejść, iść gdzieś. Maddie, to ty zawsze o wszystkim myślałaś, zawsze rozwiązywałaś nasze problemy. Proszę cię, nie... nie porzucaj mnie teraz. Maddie, spójrz na mnie — błagała.

Przysiadła na podłodze i spróbowała inaczej.

— Maddie, musimy zadzwonić do Pete'a. On będzie wiedział, co robić. Maddie, potrzebuję cię. Musimy coś postanowić. Ten człowiek powiedział, że jest szeryfem i pokazał legitymację. Mogła być podrobiona, ale tego nie wiem na pewno. Według mnie to bez sensu, by chcieli mnie stąd przенosić, skoro myślą, że próbujesz mnie odszukać. Powinni... chyba mądrzej byłoby obstarwić dom i schwytać cię, jak się pokażesz. To wszystko w ogóle nie ma sensu. Zgubili cię. W jakiś sposób wymknęłaś im się. Proszę cię, Maddie, spójrz na mnie. Wiesz, że nie stać mnie na właściwe decyzje, potrzebna mi twoja głowa. Do diabła, Maddie, przerażasz mnie. Daj już spokój i wyjdź stamtąd. Musimy zadzwonić do Pete'a.

Janny uniosła ręce do skroni. Tarła je z wściekłością. Zdrowy rozsądek mówił jej, że nie ucieka się od dobrych facetów. Przycupnęła i znów zaczęła błagać.

— Myślę, Maddie, że powinniśmy stąd wyjść. Ten dom ma piwnicę, a pani Isaacson niczego nie zamyka. Możemy się tam ukryć aż do momentu, gdy uda nam się porozmawiać z Pete'em, ale będziesz musiała mi pomóc. Telefon jest w piwnicy i w kuchni gospodyni. Wyjechała z siostrą na jakiś festiwal i wróci dopiero za trzy dni. Ten człowiek przyjdzie znowu, wiem to. Powiedziałaś, że chcieli cię związać i dać środki uspokajające. A jeśli wrócą i zrobią to z nami obiema? Maddie, co ci się stało?

Z ust Maddie ciekła ślina; gniotła knykciami wargi. Łzy leciały jej z oczu i toczyły się po policzkach.

— To wszystko na nic — wyrecytowała monotonnym głosem. — Byłam głupia. Zawsze wszystko robię głupio. Ty nigdy nie robisz żadnych głupstw — ciągnęła dalej jękliwie.

— To dlatego, że ty nie pozwalasz mi robić nic głupiego. Maddie, zawsze mogłam na ciebie liczyć. I żadne tam wszystko na nic. Jak możesz mówić coś takiego? Jesteśmy razem, a to najważniejsza rzecz. W masie jest siła. Przedarłaś się przez program ochrony świadków. Nikt przedtem tego nie zrobił. Powiedzieli nam, że to się nie może zdarzyć, a ty udowodniłaś, że są w błędzie. Zrobiłaś to. Odnalazaś mnie.

— Bo złamałyśmy zasady, chociaż zgodziłyśmy się tego nie robić.

— Nie, zrobiłyśmy to przed podpisaniem ich cholernego dokumentu. Opracowałyśmy plan i trzymałyśmy się go. To oni nawalili i okłamali nas. Dla naszego bezpieczeństwa, ale kłamstwo pozostaje kłamstwem. Maddie, boję się jak mysz w połogu. Naprawdę — wykrzyknęła Janny histerycznie.

Maddie nie zwracała na nią uwagi. Nadal siedziała bez ruchu, wpatrzona w przestrzeń pustymi oczami.

— Zejdę na dół. Zaraz wrócę.

Janny popędziła na dół do drzwi kuchni gospodyni. Stwierdziła, że nie były zamknięte. Weszła na schodki prowadzące z kuchni do piwnicy. Przecież mogą ukryć się tu na dzień czy dwa, dopóki nie skontaktują się z Pete'em. Jeśli to zrobią, wyjdą z programu, ale pomyślała, że jakoś to przeboleje. Wszystko będzie lepsze od życia, jakie prowadzi od wejścia do programu. Dla Maddie też tak będzie lepiej.

Obejrzała piwnicę w świetle czterdziestowatowej żarówki zwieszającej się z sufitu. Małe, zamalowane na czarno okienka, zabezpieczono mocnym drutem. Stalowe drzwi wyjściowe były zamknięte od środka potężną kłódką, przełkniętą przez dwie ciężkie żelazne sztaby. Janny wspięła się na omszałe stopnie w ciemność. Gdyby udało jej się sprowadzić Maddie do piwnicy, nikt nie dowiedziałby się, że tu są. Zniosłaby na dół trochę jedzenia, mocniejszą żarówkę, ustawiła składane aluminiowe krzesła i miałyby wszystkie domowe wygody. Chwilowo. Dopóki nie przyjedzie Pete i nie zrobi porządku.

Zadowolona z wyniku oględzin piwnicy, wydostała się z powrotem do kuchni, gdzie zaczęła grzebać w poszukiwaniu papieru i pióra. Nabazgrała pospiesznie list, napisała na wierzchu kartki nazwisko pani Isaacson, po czym wsunęła papier pod pokrywkę bańki na mleko. Jeśli ktoś tu przyjdzie na przeszpiegi, zobaczy kartkę, przeczyta i nie będzie sobie zawracał głowy resztą domu. Przejdą jednak przez jej mieszkanie, więc musi nadać mu taki wygląd, jakby opuszczała je w pośpiechu.

Maddie nadal siedziała skulona pod zlewem. Janny poszła do swojego pokoju, wyciągnęła walizkę i rozsypała beładnie ubrania. Złożyła starannie kilka bluzek i włożyła je do walizki.

W kuchni napełniła papierową torbę jedzeniem i wraz z torbą Maddie i swoją zniosła do piwnicy. Wróciła do kuchni i opadła na kolana.

— Maddie, musisz już wyjść. Jeśli nie, odchodzę. Możesz tu zostać i zdać się na los. Myślę, że w najlepszym przypadku masz jakąś godzinę. Teraz pewnie ten człowiek, który tu był, rozmawia ze wszystkimi w mieście i kelnerka od Dumpfeya mówi mu, że tam byliśmy. Wykona parę telefonów i wróci tu. Nie mówię, że nas skrzywdzą, ale będą próbowali znowu nas rozdzielić, i Bóg jeden wie, gdzie która z nas skończy. Wiedzą, że wiemy o ich kłamstwach. Sądzę, że przyrzekną wszystko, byle tylko zmusić nas, abyśmy z nimi poszły. Ja idę, wychodzisz?

Maddie nie poruszyła się. Jest w szoku, w stanie śpiączki czy zamknęła się w sobie, przelatywało przez głowę Janny. Rozwścieczona pochyliła się, chwyciła Maddie pod rękę i wyciągnęła gwałtownie spod zlewu. Upadły obie z łoskotem na podłogę. Maddie natychmiast skuliła się, przybierając poprzednią pozycję.

— Ssij sobie teraz palec, szlag by cię — zasyczała Janny. — Po prostu wspaniale. Jak zadzwonię do Pete'a, powiem mu, że doprowadziłaś się do stanu roślinnej vegetacji i nie chcesz dalej żyć. Jeśli cię nie zabiją, zamkną gdzieś i wyrzucą klucz.

Odpowiedzi nadal nie było.

— Niech cię diabli, Maddie! — zaczęła Janny znowu. — Odezwij się do mnie. Dobrze, sama się o to prosisz. Nie miej pretensji, jak cię wreszcie wrzucę do piwnicy i nie będziesz miała na czym usiąść.

Słowa Janny były ostre jak brzytwa, ale na Maddie nie robiły żadnego wrażenia.

Używając całej siły, Janny chwyciła Maddie pod rękę, przeciągnęła przez drzwi aż na szczyt schodków i oparła o filar, jak szmacianą lalkę. Puste spojrzenie przyjaciółki przerażało ją.

Drgała na dźwięk każdego uderzenia siedzenia Maddie o drewniane stopnie. Wyobrażała sobie fioletowoczarne sińce, zdobiące przez następne tygodnie ciało przyjaciółki. Gdy oparła ją wreszcie o ścianę na dole schodów, oddychała z najwyższym wysiłkiem. Kącikiem oka dostrzegła, że Maddie porusza się usiłując usiąść.

— Chcesz mnie zabić? — warknęła.

— Tak — odpowiedziała tak samo Janny. — Na śmierć mnie przerażałaś. Nie było cię prawie przez godzinę. Przepraszam za twoją tylną część ciała, ale tylko to mi przyszło do głowy. Możesz wstać? Musimy wejść do środka. Nie sądzę, abyśmy miały zbyt wiele czasu. Jak będziemy już bezpieczne, wytłumaczę ci. Możesz iść?

Maddie z wysiłkiem wstawiała na nogi, jęcząc przy każdym ruchu. Podtrzymywana przez Janny weszła do kuchni, a potem po schodkach zeszła do piwnicy. Gdy osunęła się na zardzewiałe aluminiowe krzeselko, Janny pobiegła z powrotem na górę, gdzie przez pięć minut zamykała okna, a następnie frontowe i kuchenne drzwi. Potem wróciła do piwnicy.

— Czy mogłabyś mi powiedzieć, co robimy w tym lochu? — spytała Maddie słabo.

Jannie przysiadła ciężko oddychając.

— Nie jestem pewna. Jak wiesz, nie należę do osób pomysłowych. Ty tak, ale kiedy byłaś... kiedy byłaś taka jaka byłaś, nic innego nie przyszło mi do głowy. Przeraziłaś mnie okropnie. Kiedy Hendriks — bo takie właśnie nazwisko podał — odszedł, wiedziałam, że wróci. Chyba zgubili cię gdzieś po drodze. Właściwie to przyznał. A teraz wyjaśnij, dlaczego chcą mnie przenieść, jeśli uważają, że tu jedziesz? To przecież nie ma sensu.

— Myślę, że wszystko sprowadza się do tego, że nie wiedzą, jak zachować się wobec nas, jak nas traktować — odparła słabo Maddie. — Uważali, że pogodzimy się ze wszystkim. Nie wyobrażali sobie, że któraś z nas może mieć własne zdanie. Wciąż o tym mówiłyśmy i do znudzenia powtarzałyśmy to samo. Dlaczego tu siedzimy, co właściwie chcemy uzyskać przez ukrywanie się w piwnicy twojej gospodyni? Nie jestem pewna, czy to najlepszy z naszych pomysłów.

— Mamy możliwość zadzwonienia do Pete'a — odparła Janny. — Tu, na dole schodków, jest aparat. Możemy z niego skorzystać, wykonać tyle telefonów, ile będziemy chciały, dopóki nie zabraknie nam pieniędzy. Pete nam pomoże. Zrobi to, prawda, Maddie?

— Nic już nie wiem, Janny. Myślę, że pokpiłam nasze sprawy. Nie mogę żyć bez swojej tożsamości, ale to wcale nie musi dotyczyć i ciebie. Jestem sobą i zawsze sobą pozostanę. Dlaczego ci ludzie nie chcą tego dostrzec, dlaczego nas nie zabezpieczą? Urodziłam się jako Maddie Stern, i gdy przyjdzie mi umrzeć, chcę umrzeć jako Maddie Stern, nie jakaś Jane Doe. Powinnam była kierować się instynktem, ale nie robiłam tego. A ci ludzie podsycają tylko nasze obawy. Popatrz tylko na nas. Uciekamy i ukrywamy się przed ludźmi, którzy jednak starają się nam pomóc. Przepraszam cię za to, co wyprawiałam. Chyba doszłam do kresu wytrzymałości.

— Słuchaj, mamy to już za sobą. Lepiej pomyślmy co zrobić — zauważyła Janny.

— To, co powiedziałaś. Zadzwonimy do Pete'a. Nie zostawimy jednak wiadomości i z nikim innym nie będziemy rozmawiać.

— Niezły pomysł. Może dać ci pić? Wyglądasz trochę blado i słabo.

— Chyba by mi się przydało. Jestem wykończona. Nienawidzę, kiedy nie radzę sobie z czymś, a jeszcze bardziej, kiedy po partacku coś naprawiam.

— Ja traktuję to jako pouczające doświadczenie — rzuciła Janny lekko.

— Trzeba przyznać, że przez ostatnie tygodnie prowadziłyśmy bardzo urozmaicone życie. Teraz możemy dodać do naszej listy wtargnięcie na teren prywatny i włamanie do cudzego domu.

— Nie włamałyśmy się. Weszłyśmy bez zezwolenia, to prawda, ale... nie zamierzałyśmy szkodzić czy kraść. Weszłyśmy dla własnego bezpieczeństwa. Zostawimy pieniądze za nasze telefony. Drzwi były otwarte, a to wszystko zasadniczo zmienia. Czy jesteś gotowa odbyć rozmowę? — spytała Janny, wyciągając rękę z papierowym kubkiem z wodą, którą nalała z małego kranu nad zlewem pralni.

— Jasne, że tak. Gdzie jest telefon?

— Przy schodkach. Przyniosłam mocniejszą żarówkę, ale nie mam pewności, czy powinnyśmy ją wkręcić. Nawet w tych zamalowanych oknach mogą być jakieś zadrapania i światło będzie się przedostawać na zewnątrz. Wiem, że to paranoja — uprzedziła komentarz przyjaciółki.

— Nie potrzebujemy mocniejszego światła i chyba masz rację — stwierdziła jednak Maddie.

Wstrzymała oddech i nakręciła numer Pete'a. Zegarek wskazywał czwartą czterdzieści pięć. Po trzecim sygnale odłożyła słuchawkę z trzaskiem.

— Będziemy ponawiały próby co dwadzieścia minut — powiedziała. — Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie porozmawiam z Pete'em.

Gdy wskazówki na zegarku Maddie wskazywały siódmą czterdzieści pięć, a Pete nadal nie odpowiadał na telefon, Janny położyła palec na ustach.

— Coś słyszę — wyszeptwała. — Jakies głosy. — Wskazała małe okienko w przeciwległej ścianie. — Jest przy moich schodach. — Rzuciły się w tamtą stronę, nisko pochylone. — Idą schodkami do mojego mieszkania — wyszeptwała znowu Janny. — Jeśli będą mówić, usłyszę słowa. Wydaje mi się, że jest ich trzech.

Maddie cofnęła się gwałtownie, gdy tuż obok usłyszała wyraźne słowa.

— Gdzie je poniosło? Nie zabrała wszystkich swoich rzeczy, co wskazywałoby, że wychodziła w pośpiechu. Pewnie złapała okazję. Cały czas mówiłem, że ta druga tu jedzie, ale czy ktoś mnie słuchał? Nie! Tę kędzierzawą widziano w kawiarni z jakąś inną. To mogła być każda kobieta, ale wszystko mi mówi, że to ona. Nie ma znaczenia, że jest teraz krótko obcięta blondynką. Kobiety wiecznie zmieniają włosy; moja żona robi to co tydzień. To wszystko pańska wina, Hendriks, i pan za to odpowie.

— Poczekajcie chwilę, co to takiego?

— List w skrzynce zaadresowany do... do kogoś o imieniu Anna. Może nasza dziewczyna go wrzuciła?

— Niech pan się wypcha, Hendriks. Tu jest napisane, że pani Isaacson wyjechała na festiwal z siostrą i wróci dopiero za trzy dni. Wszyscy wyjechali na pieprzony festiwal. Wróci na czas, by popijać gin z tą Anną. Teraz pewnie ma pan zamiar powiedzieć, że to jakiś szyfr. — Niesmak w głosie mężczyzny był wyczuwalny dla każdego, kto słuchał.

Maddie przycisnęła gwałtownie ręce do ust, a Janny pokazała jej uniesiony kciuk.

— Mogły się schować gdzieś w domu. Tu jest piwnica — rzekł Hendriks usprawiedliwiając się.

— Powiedziałem już, że może się pan wypchać. Stare kobiety zamykają domy na wszystkie zamki, a ta pewnie zamknęła także i piwnicę. Stary człowiek czuje się wtedy bezpiecznie. Ale proszę bardzo, może pan sprawdzić.

Dziewczyny przycupnęły u podnóża omszałych schodków i czekały, wstrzymując oddech.

— Przestępcy często robią wszystko, by skierować nas na fałszywy trop — zauważył Hendriks nadal tonem usprawiedliwienia.

— Ta kobieta nie jest przestępcą. To federalnie chroniony świadek. Tak samo ta druga, której szukamy. A przez pana, Hendriks, uciekła. Twierdzą, że są już daleko, ale jeśli chce się pan włamać do tego domu, niech pan weźmie armatę. Jest ciemny i pozamykany na cztery spusty. Decydujcie się.

— Zgadzam się z Cunninghamem — odezwał się trzeci głos. — Ta kobieta uciekła. Jest już pewnie w Provo. Brak nam ludzi, by dać tu kogoś na obserwację. Mogę zadzwonić do szeryfa i polecić patrolowanie tego miejsca.

— Byłoby dobrze — rzucił Hendriks.

— Przekażcie to, Martinson. Zadzwonię do policji w Provo i każę im przygotować formularz poszukiwania obu. Nie wygląda to dobrze dla żadnego z nas. Nie powinniśmy gubić ludzi. Teraz zgubiliśmy dwie osoby. Jak to będzie wyglądało? Zabierajmy się stąd.

Janny zacisnęła pięści, po czym wyrzuciła ręce w powietrze. Maddie uśmiechnęła się szeroko.

— Jesteśmy sławne — zaśmiała się.

— Raczej niesławne — odparowała Janny.

— Czas dzwonić do Pete'a — zauważyła Maddie.

Gdy wykręcała znowu numer, jej zegarek wskazywał ósmą dziesięć. Nikt nie odpowiadał. Spróbowała o ósmej trzydzieści, a potem o ósmej pięćdziesiąt.

— Może powinnam zostawić wiadomość.

— Nie. Nie sądzę, aby to był dobry pomysł — zaprotestowała Janny.

Gdy Maddie zadzwoniła o dziewiątej dwadzieścia, słuchawkę podniosła Annie Gabriel. Maddie wstrzymała oddech. Przyjaciółka Pete'a, zakłęła w myślach. Bez słowa odwiesiła słuchawkę.

— Chyba nie odbierałaby telefonu, gdyby on tam był, jak myślisz? Janny potrząsnęła zdecydowanie głową.

Zazdrość uniosła swój obmierzły łeb. Maddie starannie dobierała słowa. Nadała głosowi obojętne brzmienie.

— Nie wygląda na to, że Pete siedzi w domu i czeka na mój telefon. Myślę, że nie załamała go zbyt długo moja nieobecność.

— Maddie, nie wiesz tego. Przecież może brać prysznic czy wynosić na dół śmieci. Mógł wyjść, by przynieść pizzę. Nie chcę, abyś myślała w taki sposób. Pete kocha cię tak samo jak ty jego. Może nawet przeczesuje ulice w poszukiwaniu.

— Janny, pamiętasz, jak byliśmy małe i bałyśmy się czegoś? Tak dużo o tym rozmyślałyśmy i tak się martwiłyśmy, że spełniało się dokładnie to czego się bałyśmy, a działało się tak właśnie z powodu naszego strachu? Teraz też tak jest. Nie potrafię lepiej tego wytłumaczyć.

— Uważam, że nie powinnaś wypowiadać się na ten temat.

— Myślę — rzekła Maddie siadając gwałtownie — że musimy za — dzwonić do Nester.

— Do Nester? Dlaczego, na litość boską?

— To on nas wrobił w to wszystko, i to on nas powinien wyciągnąć.

— Ale słuchaj, to znaczy, że... że musiałybyśmy z powrotem wejść do programu. Myślałam, że mamy zamiar... Do diabła, nie wiem już, co myślałam

— Właśnie o to chodzi, Janny. Obie nie potrafimy już jasno myśleć. Same siebie oszukujemy. Wiemy przecież, co nam wychodzi, a co nie. Moim zdaniem Nester może przekonać tych ludzi, by z nami współpracowali, by ugięli się i trochę ustąpili. Wiem, że jak nigdy dotąd bliska jestem nerwowego załamania. Człowiek nie nadaje się do takiego życia. Nie mogę zrezygnować ze swego życia, po prostu nie mogę. Jeśli tak postąpię, nic mi nie pozostanie. To nie znaczy, że ty też musisz to zrobić. — Mówiła apatycznym tonem, jakby chciała powiedzieć „Jest mi wszystko jedno, co się stanie”.

Zardzewiałe aluminiowe krzeselko zapiszczało, gdy Janny usiadła naprzeciwko przyjaciółki. Blask zwisającej po prawej stronie czterdziesto — watomowej żarówki nadawał cerze obu dziewczyn chorobliwy żółtawy odcień. Maddie nie wyglądała dobrze i nie miało to nic wspólnego z oświetleniem nad ich głowami.

Janny przyglądała się, jak Maddie w daremnych próbach usiłuje skulić się wygodnie na rozchwianym krześle. Zaczęło ścisnąć ją w żołądku. Sygnał wyraźnego wzburzenia. Chciała powiedzieć coś pocieszającego, mądrego i błyskotliwego, ale słowa, które padły z jej ust, były tak nieoczekiwane, że poderwała się z krzesła i zaczęła chodzić.

— Maddie, coś mi się zdaje, że masz zamiar się zmyć i zostawić mnie na lodzie. Musimy wziąć się w garść. Zrezygnowałam ze wszystkiego, ale wiesz, co najbardziej mnie męczy? To jedyna rzecz, o której nie mogę z tobą porozmawiać, bo jesteś... bo tak cię to pochłania. Przepisy związane z adopcją zostały złagodzone i jeden z prawników firmy, z którym rozmawiałam, powiedział, że mam bardziej niż prawdopodobną szansę odnalezienia mojej biologicznej matki; czy też ona mogłaby odnaleźć mnie. To jest możliwe — powtórzyła Jannie załamującym się głosem

— Nie mówiłam, że nie — wymamrotała Maddie.

— Popatrz na siebie! Tylko popatrz na siebie! — wykrzyknęła Janny, wymachując ręką w jej stronę. — Wycofujesz się, ja to widzę i czuję. Straciłaś całą chęć do walki. A przecież musimy

sobie z tym poradzić. Wchodząc w ten... przeklęty program, zrezygnowałam na zawsze z możliwości odnalezienia matki, czy możliwości odnalezienia mnie przez nią. Powtarzam więc raz jeszcze, że straciłam równie wiele jak ty, a przecież nie widzisz, abym... opadała z sił... i poddawała się.

Nie wytrzymała napięcia i zaczęła szlochać. Oczekiwała od Maddie właściwych słów, spodziewała się uspokajającego uścisku, który złagodziłby uczucie odczuwanej straty. Maddie nie wykonała jednak żadnego gestu i Janny rozplakała się jeszcze mocniej.

Maddie drzemała na krześle, a Janny płakała dalej. Nie poddawała się naciskowi, tylko dostosowywała się do wszystkiego, co mówiła Maddie. Co teraz stanie się z nimi? Spojrzała przez łyżę na przyjaciółkę. Może powinna jeszcze raz zadzwonić do Pete'a? Może powinna zadzwonić do Nestera, jak sugerowała Maddie. Może, może, może...

Spojrzała na zegarek. Za dziesięć jedenasta. Pora iść do łazienki. Zsunęła się powoli z ogrodowego krzeselka i ruszyła na schodki prowadzące do kuchni pani Isaacson. Była już na ostatnim stopniu, gdy zobaczyła niebieskie migające światło na wozie patrolowym szeryfa, przenikające do kuchni przez zasłonki w groszki. W chwilę później ujrzała, jak krąg światła latarki tańczy po kuchni. Dosłyszała chrobotanie gałki u drzwi. Wstrzymała oddech i cofnęła się na stopień niżej. Dobiegł ją trzask odkładanej pokrywy od bańki na mleko i usłyszała odgłos ciężkich buciorów, wchodzących na schody prowadzące do jej mieszkania. Jak to dobrze, że nie poszła do łazienki. Teraz spuszczałaby wodę, zdradzając się niechybnie dźwiękiem rozchodzącym się po wyposażonym w starą kanalizację domu.

Gdy pomyślała, że nie wytrzyma już chwili dłużej, odgłos kroków dobiegł ją znowu. Odezwiał się warkot zapuszczanego motoru i niebieskie światło omiotło lodówkę. Oczekała jeszcze minutę, po czym rzuciła się do łazienki. Spuszczać wodę czy nie? Spuściła, umyła ręce i wytarła we własne szorty. Nie chciała kalać bieli świeżego ręcznika wiszącego na haczyku.

Zeszła ze schodów i spojrzała na telefon. Bez wahania podjęła słuchawkę i nakręciła numer mieszkania Pete'a.

— Czy jest Pete? — spytała, gdy telefon po trzecim sygnale został odebrany.

— Nie, nie ma go. Czy może pani zostawić wiadomość? Janny wlepiła oczy w małą wskazówkę zegarka.

— Mówi Janice Hobart. Gdzie jest Pete i kiedy będzie w domu?

— Janice! Dobry Boże, gdzie pani jest? Pete'a nie ma. Wyjechał wczesnym rankiem i jeszcze nie wrócił. Gdzie pani jest?

— Porzuciłyśmy program. Jesteśmy razem. Maddie mnie odnalazła. Zadzwonię jeszcze. Proszę powiedzieć Pete'owi, by siedział w domu i czekał. — Dobrze, powiem.

Janice przerwała połączenie, obawiając się podsłuchu. Półtorej minuty. W porządku.

Powinna dzwonić do Nestera czy nie? Bębniła palcami o twardą czarną obudowę aparatu, starając się na coś zdecydować. Gdyby to był kryminał, co robiłby bohater? Wykręciła nowojorską informację i spytała o domowy numer Otisa Nestera. Dzięki Bogu, zapamiętała jego imię. Odesłano ją do numeru kierunkowego Staten Island. Na szczęście telefon Nestera był w spisie. Przed wykrceniem powtórzyła numer cztery razy. Zaspany głos poinformował ją, że Nester jest na dyżurze. Znowu bębniła wściekle palcami, nim zdecydowała się zadzwonić na posterunek, gdzie pracował. Przedstawiła się jako Adele Newcomb i powiedziała, że chce rozmawiać z detektywem Nesterem w nie cierpiącej zwłoki sprawie. Głos po drugiej stronie poinformował, że detektyw właśnie schodzi z dyżuru.

— Niech pani chwilę poczeka — usłyszała. — Zobaczę, może jeszcze go złapię.

Janny patrzyła na minutową wskazówkę zegarka. Gdy minęły dwie minuty, rozłączyła się, wykręciła numer ponownie i powiedziała, że przerwano jej połączenie. W chwilę później zgłosił się Nester.

— Mówi Janice Hobart, czy pan mnie pamięta?

— Doskonale. Gdzie pani jest?

— Proszę tylko słuchać i nie zadawać żadnych pytań, dobrze? Maddie jest ze mną. Zachowuje się dziwnie. Zanim zaczęła... powiedziała, że jej zdaniem powinniśmy do pana zadzwonić. Wy wszyscy nas okłamaliście. Nic nie wygląda tak, jak powiedzieli tamci ludzie. Muszę usłyszeć, jak pan mówi, że kłamaliście wszyscy. Na temat Pete'a i jego wuja. Ma pan trzydzieści sekund, a potem odkładam słuchawkę. Kłamał pan czy nie?

— Niech mnie pani posłucha. Ja tylko dostaję rozkazy. Robię, co mi każą. Bez względu na to czy Pete lub jego wuj są w to zamieszani, znajdziecie się w niebezpieczeństwie. Co u diabła kazało wam opuścić program? — W głosie detektywa brzmiał karcący ton starszego brata.

— Czas się kończy. Domyślam się, że kłamaliście wszyscy. To właśnie zrozumiałam z tego, co pan powiedział. Jak wam nie wstyd! Zrujnowaliście nam życie i macie to na sumieniu.

— Z kim rozmawiałaś? — spytała Maddie, prostując nogi przed zadyszaną jeszcze po rozmowie Janny.

— Dzwoniłam do mieszkania Pete'a, a potem do Nester. Przecież chciałaś, żebym to zrobiła?

— Chyba tak. Rozmawiałaś z przyjaciółką Pete'a?

— Powiedziała, że go nie ma i nie wie, kiedy wróci. Dwukrotnie zapytała gdzie jesteśmy, ale nie powiedziałam. Zapomniałam także o różnicy czasu.

Oczy Maddie zablęskły na moment. Janny podążyła za tą iskrą i zaczęła paplać.

— Nester przyznał prawie, że kłamał... że oni kłamali... że wszyscy kłamali... każdy z nich. Powiedział, że wypełniał tylko rozkazy. Według mnie to przyznanie się. Powiedział, że możemy znaleźć się w niebezpieczeństwie, nawet jeśli nie z powodu wuja Pete'a, i chciał się dowiedzieć, dlaczego uciekłyśmy. Ludzie są czasami tacy głupi. Powiedziałam, że jesteś na granicy załamania nerwowego? To prawda?

Maddie drgnęła, oczy miała pełne łez.

— Nigdy dotąd tak się nie czułam. Nie mam żadnego bodźca, który zmuszałby mnie do poruszania się czy robienia czegokolwiek. Nawet myśleć mi się nie chce. To właśnie mnie przeraża, więc jeśli oznacza to, że przechodzę załamanie nerwowe, myślę, że tak jest. Chciałabym zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić.

W oczach Janny pojawił się strach.

— Czy chcesz powiedzieć — zaczęła ostrożnie — że powinniśmy siedzieć tu i czekać, aż tamci powrócą i nas zabiorą? Jeśli to właśnie masz na myśli, będziesz tu siedzieć sama, bo ja nie mam takiego zamiaru. Nie chcę czekać, aż znajdę się w jeszcze bardziej zapadłej dziurze niż ta. Popełniłam błąd, że cię słuchałam. Myślałam, że masz sposób na wszystko, a ty siedzisz tu z palcem w gębie. Nie obchodzi cię, że zrezygnowałam ze swego życia, zrezygnowałam nawet z nadziei odnalezienia matki. Ty zrezygnowałaś z Pete'a i ze swojego biznesu. Wielkie rzeczy. Ja zrezygnowałam z matki. Słyszysz, Maddie? Do dziś tylko cyganiłam z tym pomysłem odnalezienia jej. To było takie sobie marzenie, coś, czego się tylko czepiałam. Teraz, kiedy wiem, że nigdy tego nie zrobię, stało się dla mnie najważniejszą rzeczą na świecie. Więc siedź tu sobie i rób, co tam masz chęć. Ja stąd wychodzę.

— Dokąd pójdziesz? — spytała Maddie, a w jej głosie brzmiał strach.

— Nie mam pojęcia, ale wychodzę. Jak daleko uda mi się uciec albo dopóki nie skończą mi się pieniądze. Życzę ci szczęścia, Maddie.

Maddie niemal natychmiast poderwała się z krzesła i pobiegła za przyjaciółką.

— Poczekaj. Przerwij to moje lenistwo, dobrze? Usiądźmy na schodkach i spróbujmy opracować plan.

— Maddie, ależ my to robiłyśmy. Żadnej z nas to nie wychodzi. Obie musimy się do tego przyznać i powiedzieć sobie wzajemnie, że nie jesteśmy stworzone do... do uciekania. Ty wiesz o tym także, inaczej nie mówiłabyś mi, żebym dzwoniła do Nesterera. W najlepszym razie mamy jeden dzień, może półtora, dopóki pani Isaacson nie wróci do domu.

— Od kiedy to stałaś się taka przemądrzała i komenderująca? — zdumiała się Maddie.

— Kiedy ty przyjęłaś pozycję embriona — odparowała Janny natychmiast. — No więc, co teraz?

Maddie ujęła słuchawkę telefonu i wykręciła numer Pete'a. Sygnał odezwał się pięć razy, zanim ktoś z tamtej strony odebrał.

— Annie, mówi Maddie. Czy Pete wrócił?

— Nie, jeszcze nie.

— Czy telefon jest na podsłuchu?

— Był. Pan Jakes powiedział, że usunął go. Ja osobiście nie znam się na takich rzeczach. Rozumiem, dlaczego jesteś taka powściągliwa i nie chcesz zdradzić, gdzie przebywasz. Nie wiem, co ci powiedzieć. Myślę, że powinnaś wiedzieć o tym krótkim wyjeździe Pete'a w interesach. To wuj do niego zadzwonił. Co mam mu powiedzieć?

— Powiedz mu — zaczęła Maddie ze spojrzeniem utkwionym w oczy Janny — że wraz z Janny wracam do programu. Powiedz mu, że robiłam wszystko, co mogłam, żeby skontaktować się z nim. Chciałam, aby mi pomógł. Był mi potrzebny. Powiedz mu... powiedz mu, że już go nie potrzebuję.

Janny patrzyła skamieniała, jak jej przyjaciółka odwiesza słuchawkę.

— Dlaczego powiedziałaś coś takiego? — zasyczała.

— No przecież to prawda — głos Maddie był bezbarwny, pozbawiony wszelkich uczuć.

— I co teraz?

— Zadzwoń jeszcze raz do Nesterera. Powiedz mu, by zatelefonował do tych ludzi. Niech nas zabiorą. Nasz jedyny warunek, że idziemy razem. Jeśli nie może się zgodzić, ruszymy autostopem.

Funkcjonariusze federalni zabrali Maddie i Janny o czwartej nad ranem. Dziewczyny zajęły tylne siedzenie brązowego sedana. Niemal natychmiast rzuciły się do tyłu i zasnęły.

Samochód ruszył na pomoc.

* * *

O wczesnej godzinie pokój kryły cienie rzucane przez wiszącą u góry lampę, w której zabrakło dwóch żarówek. W mieszczącym się w wąskiej piwnicy pomieszczeniu jednostki sił morskich unosił się kurz. Przeważnie nie używany pokój gościł teraz sześciu wściekłych, kłócących się mężczyzn.

Otis Nester przyjrzał się twarzom ludzi wpatrzonych w niego. Wiedział, że widać po nim złość, jaką wywołało wezwanie w środku nocy. Całą noc prowadził, by stawić się na to spotkanie. Irytowało go zmięte ubranie i fakt, że był nie ogolony. Miał też w perspektywie konieczność jak najszybszego powrotu do Nowego Jorku.

Dla nikogo z obecnych nie ulegało wątpliwości, że Otis Nester ma wszystkiego dość.

Prezentacji dokonał młody człowiek, także nie ogolony, jak zauważył Nester. Prokurator generalny, szef wydziału bezpieczeństwa służb specjalnych policji, William Monroe z Departamentu Sprawiedliwości oraz Carl Weinstein z FBI. Pod ścianą stali trzej mundurowi

funkcjonariusze. Wszyscy patrzyli na Nestera. On sam zmrużył oczy, głównie dlatego, że przeszkadzał mu piasek pod powiekami. Popatrzył najpierw na jednego mężczyznę, potem na następnego, aż zakończył przegląd.

— Powiedziałem panom, że to się nie uda — rzekł Nester. — Słyszeliście? Te młode kobiety podejrzewają, że kłamaliśmy w sprawie Leo Sorensona, by zmusić je do współpracy. Jasne, macie je teraz, ale ich nie utrzymacie. Jestem gotów założyć się o swoją emeryturę. Zgodziliście się, co zresztą od razu powinniście byli zrobić, by zostały razem, ale sam ten fakt nie sprawi, że pozostaną w ukryciu. Nawaliliście i nie mam im za złe, że uciekły. One się odnalazły. Stern uciekła, a wy ją zgubiliście. Co to dla was znaczy? Dla mnie niewiele, a dla nich jeszcze mniej.

— Zaufały panu — zauważył cicho prokurator. — Zadzwoiły do pana.

— I nazwały mnie oszustem. Nie są głupie. Zapamiętają wszystko, i jeśli w ciągu miesiąca na przykład wściekną się, zrobią to samo. Chryste Panie, odebraliście pannie Stern narzeczonego, jej ślub, jej biznes. Wasz program — rzekł patrząc na szefa służby bezpieczeństwa — nie jest przeznaczony dla takich jak Maddie Stern i Janice Hobart. Powinniście byli pójść na ustępstwa, a nie zgodziliście się. To, co robicie teraz, wcale lepiej się nie sprawdzi. To inteligentne kobiety, przy czym Maddie Stern jest na granicy załamania nerwowego. Jeśli do tego dojdzie, Janice Hobart stanie się waszym najgorszym koszmarem.

— Mam swoje przepisy — powiedział szef służby bezpieczeństwa.

— Do diabła z waszymi przepisami. Po raz pierwszy się nie sprawdziły i tym razem też nie będzie z nich pożytku. Wbijcie to sobie do głów — warknął Nester.

— Nie mamy pieniędzy na hotele pierwszej klasy, nie możemy też zapewnić im takiego zajęcia, jakie by im odpowiadało. Nie możemy dać im samochodów i przywilejów. Tak nie jesteśmy wyposażeni.

— Właśnie! — odparował Nester. — Znajdźcie pieniądze na to, co musi być zrobione. Niech będą szczęśliwe i zadowolone. Mówcie im prawdę, a wtedy pojawi się szansa na utrzymanie ich w programie. Jeśli nie, znów będę przeprowadzał rozmowę telefoniczną w środku nocy. Do licha, czy nie rozumiecie tego? Uciekną od was. Maddie Stern jest zakochana, a was nie stać na to, by zorganizować spotkanie i wyjaśnić Sorensonowi, co się dzieje. Pozwólcie, że jako pierwszy poinformuję was, iż jest na tropie dziewcząt. Maddie Stern dzwoniła do narzeczonego. Nie powiedziała mi o tym, sam do tego doszedłem. Ten facet też ją kocha i nie ma zamiaru zrezygnować. Wszystko jej odebraliście, potem nie wywiązaście się z własnych przyrzeczeń — stwierdził Nester tonem równie ostrym jak jego spojrzenie.

— Co pan proponuje? — spytał cicho szef służby bezpieczeństwa.

— Obchodzić się z nimi dobrze, bo przecież nie zasługują na złe traktowanie. Mam świadomość, że nie zwrócicie im dotychczasowego życia, ale przynajmniej możecie dać coś zbliżonego. Pociągnijcie za odpowiednie sznurki, wykonajcie właściwe rozmowy i zróbcie wszystko co potrzebne. Maddie Stern zeznając daje wam to, o czym mogliście tylko marzyć. Bez niej nie macie sprawy.

— One panu ufają. Dlaczego właściwie, Nester? Pan też je okłamał.

— Tak, ale pod przymusem. Powiedziałem wam, że są sprytne. Doszły do tego, kiedy już miały czas na rozmyślanie. Wiedzą, że gliny tylko wykonują rozkazy. To była pierwsza rzecz, o którą zapytały ostatniej nocy.

— A pan odpowiedział, że... — prokurator zawiesił głos.

— Odpowiedziałem, że robię co mi każą, wykonuję rozkazy. Gdybym skłamał, przerwałyby rozmowę. Proszę o trochę zaufania.

Rozmawiali jeszcze przez trzydzieści minut, kłócąc się i warcząc na siebie. Nester popijał kawę, która smakowała tak, jak pachniały jego przepecone buty.

— Adam Wagoner obiecał Maddie Stern spotkanie z Pete'em Soren — sonem — powiedział odstawiając kubek.

— Adam Wagoner zmarł — rzekł cicho szef służby bezpieczeństwa. — To przyrzeczenie nas nie obowiązuje.

— Na waszym miejscu zastanowiłbym się. Maddie Stern będzie dużo myślała na ten temat. Panowie, jeśli to już wszystko, chciałbym znaleźć się na szosie i wyjechać z Waszyngtonu przed godzinami szczytu.

Po wyjściu na świeże powietrze jasnego poranka zapalił papierosa, przysparzając atmosferze zanieczyszczeń. Miał w tej chwili chęć kogoś zamordować.

Zmierzając w stronę 195 zastanawiał się, kiedy te świny powiedzą Maddie i jej przyjaciółce, że co najmniej trzy lata potrwa, nim dojdzie do procesu. Nie wcześniej niż za rok, a potem będą odwlekać z miesiąca na miesiąc. Pocieszał się tylko, że obie kobiety są bezpieczne i przebywają obie w jednym miejscu. Jak na razie.

Pete wstawił datę 4 września 1983 roku, wypisał czek i podał Jakesowi.

— Dziękuję panu za wszystko, Jakes. Życzę miłego weekendu — rzekł zmęczonym głosem.

— Co ma pan teraz zamiar robić? — spytał detektyw.

— Cóż, myślałem, żeby jechać do Connecticut, spotkać się z nowym pośrednikiem i zobaczyć, czy nie dałoby się przyspieszyć sprawy. Podnajmę mieszkanie Annie, a sam przeniosę się do nowego domu. Mam kilka dni na uporządkowanie wszystkiego, zanim wybiorę się w następną podróż. Jakes, nie potrafię uwierzyć w to, co powiedziała Maddie... Że już mnie nie potrzebuje. Jak mogła? — spytał Pete łamiącym się głosem. — Chryste Panie, robiłem wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Próbowałem nawiązać kontakt z kobietą, od której Maddie kupiła Tillie. Wszystko się rozpieprzyło. Byłem przekonany, że tam znajdę wyjaśnienie. Była w programie, potem wyszła, a teraz wróciła. To znaczy Maddie. Annie powiedziała, że w jej głosie słyszała rozgoryczenie. Czego ona ode mnie chce, do diabła. Rozgoryczenie!

— Słuchaj pan, widocznie tak miało być. Niech pan to zaakceptuje i cieszy się, że Maddie i Janny są pod dobrą opieką. To powinno pana głównie interesować. Ile czasu potrwa, zanim sprawa znajdzie się w sądzie?

— Ten proces? Najskromniej Ucząc za rok. Będą chcieli zdobyć pewność, że sprawa jest zapięta na ostatni guzik. Nie zawsze... nie zawsze coś dobrze się kończy. Kiedy to wszystko minie, jeśli w ogóle do tego dojdzie, nikt z nas nie będzie już tym samym człowiekiem. Ja sam zaczynam się zmieniać, a wiem, że Maddie też.

Jakes skinął głową.

— No cóż, gdybym był potrzebny, wie pan, gdzie mnie szukać — powiedział. — Powodzenia, Pete. Proszę pożegnać ode mnie Annie.

— Dobrze. Będziemy w kontakcie.

— Wspominał pan o wyjeździe. Dokąd udaje się pan tym razem?

— Do Montany — odparł Pete. — Konsorcjum, dla którego pracuję, postanowiło kupić rancza hodowlane. Nawet cieszę się na to zajęcie. Nie mogę się doczekać zapachu wspaniałych otwartych przestrzeni i jedzenia domowych potraw. To jedno z przyrzeczeń, jakie od nich dostałem. Powiedzieli, że życie na ranczu jest dobre dla duszy. Przyślę panu widokówkę.

— Będzie mi miło.

Po wyjściu detektywa Pete krążył po mieszkaniu z uczuciem straty. Myślał o Maddie aż jej obraz zamazał się. Marzył, że zmruży oczy i pojawi się przed nim Barney. Barney wszystko mu wyjaśni.

Powodowany nie wyjaśnionym impulsem ruszył ciężko do szafy w hallu i wyciągnął deskę surfingową. Przeniósł ją z powrotem do salonu i położył na podłodze. Miał wosk, politurę i torbę starych szmat. Pracował nad deską nie wiedząc, czy robi to dobrze, czy źle. Czyścił ją dwie godziny, po czym odrzucił szmaty ze złością. Kogo właściwie oszukuje? Nie ma chęci tego robić. Nie ma chęci na nic, a przede wszystkim nie chce być sam. Annie. Ona zawsze sprawiała, że nastrój mu się poprawiał. Dobra, pocziwa Annie.

Deska powędrowała z powrotem do szafy, szmatki i politura odstawił zostały na górną półkę.

Zegar na kominku wskazywał dziesiątą trzydzieści. Miał przed sobą długi dzień. Czy rzeczywiście ma chęć jechać Connecticut? Sam na pewno nie. W chwilę później trzymał w ręku słuchawkę telefonu. Annie zgłosiła się przy trzecim sygnale.

— Co byś powiedziała na wyjazd ze mną do Connecticut?

— Byłabym zachwycona, gdyby w twoim głosie zabrzmiała choć odrobina entuzjazmu. Jednak nie mogę, bo mamy sprzedaż w związku ze Świętem Pracy, a to bardzo dobry interes. Myślę, że o trzeciej trochę się uspokoi. Może zadzwonię do ciebie koło drugiej?

— Dobrze. Wychodzę, więc gdyby mnie nie było, zostaw wiadomość. A, byłbym zapomniał. Jakes prosił, by cię od niego pożegnać.

— Pete, przykro mi, że nie udało ci się załatwić sprawy. Wiem, że nie masz chęci tego słuchać, ale musisz brać pod uwagę to, co jest najlepsze dla Maddie.

— Masz rację, nie mam chęci tego słuchać. Porozmawiamy później. Maddie nie potrzebuje mnie, pomyślał. W jej głosie brzmiało rozgoryczenie.

W godzinę później jechał przez Saddle River Park do wuja. Uwielbiał ten park, często przychodził tu pieszo, a potem przyjeżdżał na rowerze pierwszego lata, które spędził z Leo. Jadąc Ridgewood Avenue zastanawiał się, czy nie powinien był najpierw zadzwonić. Leo mógł wyjechać na weekend. W końcu to nie ma znaczenia. Lubi prowadzić, a to też sposób na zabicie czasu. Poza tym ta rozmowa długo była odkładana. Odwlekała się od lat, choć właściwie nie wiedział z jakiego powodu. Dlaczego więc teraz wydaje mu się, że nadszedł właściwy moment? Ponieważ, odpowiedział sam sobie, jeśli chce kierować własnym życiem, muszę najpierw uporać się z bagażem przeszłości, który mnie przytłacza.

Leo otworzył osobiście. Słabym uśmiechem pokrył zaskoczenie.

— Peter, jak miło, że się zjawiłeś. Czy coś się stało? Nieoczekiwanie Pete rozplakał się. Szlochał na ramieniu wuja i czuł, jak starszy pan poklepuje go po plecach i wypowiada słowa pociechy.

— Nic mi się nie układa. Ostatnio nic nie idzie dobrze. Muszę z kimś porozmawiać. Pewnie się domyślasz, że jesteś dla mnie ostatnią deską ratunku... To prawda.

— Wejdz, Peter. Przejdźmy do patio, tam porozmawiamy. Zamykam basen. Zostaniesz na lunch? Dałem służbie wolny weekend. Zrobiłem rano faszerowane jajka. Kucharka przyrządziła tacę warzywnej lasagne i garnek duszonej kapusty, a tego wszystkiego nie powinienem jeść.

— A co się stało? Oczywiście, że zjem z tobą lunch.

— Bo serce mam w nie najlepszym stanie. Oszukuję od czasu do czasu.

— Nic nie wiedziałem. Nigdy mi nie mówiłeś — rzekł Pete z wyrzutem.

— Mężczyzna nie powinien zwracać głowy mówieniem o swych... słabościach. Nasza rodzina zawsze była silna i... zdrowa. No, twój ojciec nie był taki silny, ale był w dobrej kondycji fizycznej.

— Wydaje mi się, że powinieneś być mi powiedzieć — stwierdził Pete z irytacją.

— Czy mógłbyś być dla mnie miłszy? Czy to właśnie masz na myśli?

— Tak... nie. Jestem jedynym twoim żyjącym krewnym. Powinieneś mówić mi o takich rzeczach.

— A czy nie powinno to działać w obie strony? Nie miałeś zamiaru zaprosić mnie na swój ślub. Nie chcę, abyśmy się kłócili. Po prostu cieszę się, że wpadłeś. Nie obchodzi mnie nawet, z jakiego powodu. Może potraktujemy to trochę jako... towarzyską wizytę, a potem powiesz mi, co cię sprowadza.

Pete zasiadł w wyściełanym klubowym fotelu stojącym pod wesołym, wielkim pasiastym parasolem. Wuj podał mu szklanekę mrożonej herbaty.

— Opowiedz o moim ojcu, tylko nie wciskaj mi byle czego — rzekł Pete. — Powiedz mi to, co przemilczałeś, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz. Wiem, że cię nie lubił, a tata lubił wszystkich. Wszystkich oprócz ciebie.

— Harry był młodszy ode mnie o trzy lata — zaczął Leo popijając herbatę. — Jako młodzi ludzie byliśmy nierozłączni. Opiekowałem się nim. Wyglądałem na mocnego, byłem duży jak na swój wiek i lubiłem Przewodząc otoczeniu. Harry był wysoki i szczupły. Bardzo szczupły. Na początku dzieciaki wytrząsały się nad nim, bo nie umiał się bić. Nie mówię, że to źle. Nie zachowywał się jak inni chłopcy w szkole bo był trochę marzycielem. Nie chciał iść do college' u i brał się za różne rzeczy. Pracował trochę jako mechanik, potem sprzedawca. Był również malarzem pokojowym i dekarzem i jakoś radził sobie w życiu. Nie miałem zbyt wielkich możliwości pomagania mu, bo przedzierałem się samodzielnie przez college, a potem przez prawo. Jednak byliśmy w kontakcie. Harry pisywał sumiennie, ja też. Na początku.

Pete odstawił szklankę po jeszcze jedną porcję. Zauważył, jak ręce wuja trzęsą się, gdy nalewał herbatę z ciężkiego dzbana.

— Na ostatnim roku prawa poznałem śliczną dziewczynę i zaprosiłem ją do naszego domu na weekend. Kochałem ją z całego serca. Stała się dla mnie bodźcem do działania. Poznałem ją z Harrym i dla obojga była to miłość od pierwszego wejrzenia. Nie przyjąłem tego dobrze, Harry też nie. Walczyliśmy na pięści i ja oczywiście w swojej złości zbiłem go na kwaśne jabłko. Objekt naszych wspólnych uczuć wyzwalał mnie wszelkimi niewyobrażalnymi słowami, które jej przyszyły do głowy. Patrzyłem, jak całuje każdy siniak, każde skaleczenie i każdy ślad po walce na ciele twojego ojca. Chciała mnie opluć, ale była na to zbyt wielką damą. Jednak nawymyślała mi i uznała, że to w porządku.

Odszedłem ze złamanym sercem. Wysłałem prezent ślubny i w pewnym momencie zaproponowałem twemu ojcu, że pożyczę mu pieniądze na spłatę małego domu; tego, w którym się wychowywałeś. Nie przyjął mojej propozycji. Przez dłuższy czas po tym wydarzeniu nie kontaktowaliśmy się.

Kiedy cię odnalazłem, wszystko powróciło. Byłeś mój, a ja nie miałem elementarnego pojęcia o dzieciach. Byłeś ostrym, aroganckim chłopakiem, a ja nie umiałem sobie z tobą radzić. Nie usprawiedliwiam się, po prostu mówię, jak było.

Myślałem, że jeśli obsypię cię wszystkim, co istnieje pod słońcem, sprawy się ułożą. To odsuwało na dalszy plan twojego ojca. Dawałem ci wszelkie poparcie, a ty wciąż grałeś mi na nosie. Porównywałem twoje postępowanie z tym, co zrobiła mi twoja matka. Chciałem, byś stał si? taki, jaki nigdy nie był twój ojciec. I rzeczywiście. Jesteś błyskotliwy, bogaty, odniosłeś sukces. Uczyniłem cię tym, kim dziś jesteś.

— Tyle że z całkowicie fałszywych powodów, Leo. Jaką wartość ma to wszystko, skoro nie mogę mieć kobiety, którą kocham? Z którą nigdy się nie ożenię? Nigdy nie wybaczyłeś mojemu ojcu. Nie uczyniłeś tego dla niego, zrobiłeś to wszystko dla siebie. Chciałeś udowodnić — choć nie wiem, jak można udowodnić cokolwiek umarłym — że to ty jesteś ten lepszy. Kiedy żyli rodzice, byliśmy szczęśliwi. Ty nigdy nie uczyniłeś mnie szczęśliwym.

— Nie wiedziałem, jak, Peter.

— Do diabła, nie mogłeś się nauczyć? Posłuchaj, ja też nie jestem bez winy. Skoro już mamy godzinę szczerości, muszę powiedzieć ci kilka rzeczy. Myślałem, byłem przekonany, że poszukiwałeś mnie. Klnę się na Boga, że w to wierzyłem. Tak samo jak wierzyłem, że gdy skończę szesnaście lat, Barney przyjedzie po mnie. Na początku tak wiele razy chciałem przyjść do ciebie i wyrzesczyć ci wszystko. Pragnąłem, byś wziął mnie w objęcia i poklepał po plecach. No wiesz, takie chłopięce pragnienia.

Poza tym wcale nie nienawidzę prawa. Wiem, że to powiedziałem. Wcisnąłem ci to. Naprawdę nie wiem, czy jako inżynier byłbym lepszy. Chyba tego, co chcę ci teraz powiedzieć, nikt tak naprawdę nie rozumie; a w ogóle wdzięczny ci jestem za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

— A ja jestem ci wdzięczny, że pozwoliłeś mi to zrobić — rzekł cicho Leo.

— Chyba obaj nie dołożyliśmy wszelkich starań, na jakie było nas stać — podjął Pete. — Żał mi naszych straconych lat. Myślę, że zmieniłem się w dość miłego faceta. — Leo rozpromienił się. — No dobrze, musiałeś co nieco zrobić w tym kierunku. — Leo uśmiechał się nadal. — Jednak tak naprawdę nie lubię prawa — zdradził się Pete.

— Wiem. Tylko wytłumacz mi, w jaki sposób radzisz sobie tak dobrze z czymś, czego tak nie cierpisz.

— Myślę, że usiłuję udowodnić, że jestem lepszy od ciebie. W tym co robię — dokończył Pete pospiesznie.

— Tak mówi prawdziwy prawnik. Jestem taki dumny z ciebie, że to uczucie mnie wprost rozpiera.

— Dokąd nas to zaprowadzi? — spytał Pete cicho.

— Pewnego dnia wszystko to będzie twoje — powiedział Leo wykonując szeroki gest ręką. — To nie jest złe, chłopcze. Tyrałem na to, i jeśli masz chęć zapytać, mój majątek nie jest obciążony brudnymi pieniędzmi.

— A co z wszystkimi tymi łachudrami, których reprezentuje twoje biuro?

— Owe łachudry, jak ich nazywasz, to mniej niż jeden procent moich klientów. Naturalnie, znam członków rodzin. Przecież do diabła, razem z twoim ojcem chodziliśmy z nimi do szkoły. Mówię im po imieniu i oni zwracają się do mnie po imieniu. Robią to, co robią, aby żyć, a ja po prostu zajmuję się swoimi sprawami. — Leo zamilkł na chwilę i spojrzał badawczo na bratanka. — Usiłujesz dowiedzieć się ode mnie, czy mógłbym interweniować w twojej sprawie? — spytał cicho. — O to chodzi?

— Tak. — Pete wtajemniczył go w wypadki ostatnich tygodni.

— Moja rada: przeczekać. Niech władze zajmują się swoją robotą. Ty siedź i czekaj. To jedyna rozsądna, sensowna i logiczna rzecz, jaką możesz zrobić. Wszystko inne byłoby absolutną głupotą.

— Nie miałem czasu wycofywać się i czekać na to, co się stanie, detektyw, którego wynająłem, udzielił mi wystarczających do dalszego działania wskazówek. Jak dobrą sytuację mają władze? Ile czasu im potrzeba, by doszło do rozprawy?

— Z tego co czytałem i słyszałem, sytuacja jest bardzo dobra. Według mojej oceny, upłyną dwa lata, może trzy, nim sprawa trafi do sądu. Nie mogą sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

— Czy chcesz mi w ten sposób powiedzieć, bym zajął się pracą i zapracowywał się, a trzy lata przeleciały niczym błyskawica?

— Tak się mówi. Nie można przeniknąć programu ochrony świadków. Nikt tego nie zrobił.

— Miałem podsłuch przy telefonie. Leo odchrząknął nieprzyjemnie.

— Przez lata ja też. Federalni są ekspertami od takich spraw. Nie przykładaj do tego żadnej wagi. Tak jak ja. Jeśli postępujesz uczciwie, nie mogą ci nic zrobić. Samo to może stanowić odpowiedź na wszystkie twoje ewentualne pytania na mój temat. A co powiesz teraz na faszerowane jajka?

— Moja matka je przyrządzała, ale tylko na Wielkanoc.

— Wiem. Wtedy właśnie rozsmakowałem się w nich. Robię je sobie co tydzień. Nie powinienem ich jeść. Żółtka są niezdrowe. Kiedy człowiek dochodzi do takiego stanu jak mój, nic nie jest dla niego dobre. Seks jest niedostępny, palenie cię zabije, od alkoholu zgnije ci wątroba, jajka rozsada ci żyły, a ciasta i ciastka rozepchną serce w piersi. Wiesz, co mówię wszystkim tym zachłannym lekarzom? Mówię im, że mam ich gdzieś. Skoro mam umrzeć, to umrę. Kiedy Bóg po mnie przyśle, pójdę. Będę kopał i drapał, ale nie będę jadł wiejskiego serka i brukselki. Jezu, same gazy mogą człowieka zabić.

Pete zaśmiał się i wuj odpowiedział uśmiechem. Twarz miał wesołą i spokojną.

Jak zauważył później Pete, wuj w kuchni czuł się jak u siebie. Ustawiał na obrusie cienką porcelanę, składał serwetki, wstawiał salaterki z jedzeniem do dwóch oddzielnych mikrofalówek.

— Lubię, jak wszystko jest gotowe dokładnie w tym samym czasie — rzekł Leo wskazując na cztery mikrofalówki, stojące rzędem na kuchennym blacie. — Zepsucie, prawda?

Pete roześmiał się i zmienił temat.

— Powiedz, co wiesz o ranczach hodowlanych.

— Czerwone mięso jest szkodliwe dla arterii — oświadczył Leo i wybuchnął śmiechem. — Chcemy ich jak najwięcej wykupić, by nie mogli ich nabyć Japończycy. To sprawa zasadnicza. Japończycy chcą zdobyć nasze rancza, by potem dostarczać wołowinę do Japonii. Nie chcemy do tego dopuścić. Tyle wiem. Jestem za podróżą. Ja sam pieniędzy mam mnóstwo. Ty też coś zarobisz, jeśli ci się uda. Wiesz, że potem możesz odejść. Twój kontrakt opiewa wprawdzie tylko na cztery miesiące, ale mówi się w nim także, że jeśli jesteś w trakcie negocjacji, prowadzisz je aż do sfinalizowania umowy. Jeśli mam rację co do trzyletniego śledztwa, skończysz robotę dla konsorcjum, weźmiesz sobie rok wolnego i będziesz czekał, aż twoja narzeczona wróci do ciebie. Jesteś młody, zdrowy, bogaty. Pomyśl i zaplanuj sobie, jak chcesz spędzić resztę życia.

— W Bell's Beach — rzekł Pete bez chwili wahania.

— Teraz widzisz, że jest jednak coś. Ile jajek chcesz?

— Trzy, jeśli dołożysz do moich białek swoje żółtka. — Pete zjadł jedno żółtko, po czym podniósł wzrok. — Miałem wiadomość od Maddie — oznajmił. — Nie bezpośrednio. Powiedziała, że mnie nie potrzebuje.

— Daj jej czas, Peter — odparł Leo. — Z całą pewnością żyje teraz w strasznym napięciu. Co ma być, to będzie. Jeśli Maddie nie jest tą, z którą masz spędzić resztę życia, nie dojdzie do tego. Wszystko jest postanowione w górze czy coś w tym rodzaju.

— Czy coś w tym rodzaju — rzucił Pete.

— Jednak z tego wszystkiego wynikła teraz jedna dobra rzecz — zauważył Leo nieśmiało. — Poznaliśmy się trochę lepiej nawzajem.

— Tak, to prawda. Szkoda, że wcześniej nie starczyło mi rozumu, by przyjść do ciebie. Mój tata był świetnym facetem, moja mama też była w porządku. Miała najśłodszy uśmiech i piekła najlepsze w świecie ciastka.

— Wypijmy za twoich rodziców — zaproponował Leo i nalał wino do cienkich kieliszków na drugich nóżkach.

— Czy wolno ci pić wino?

— Nie. Wpływa jakoś na ciśnienie. Mam całą listę. No wiesz, co wolno, a czego nie wolno.

— Uniósł kieliszek. — Powinieneś wznieść toast, Peter.

— Za moją mamę i za mojego tatę. Za Bell's Beach także.

— Opowiedz mi o tej desce surfingowej i o Bell'Ts Beach.

— To było marzenie ojca. Ja uczyniłem z tego swoje własne. Wiem o surfingu tyle, co ty o hodowli bydła. Ten rok, o którym mówiłeś, kiedy będę czekał na Maddie w nadziei, że zmieni zdanie na mój temat, wykorzystam na naukę. Jeśli będę chciał, moje marzenie stanie się rzeczywistością. Czasami lepiej tylko marzyć. Myślę, że to tak samo jak z mówieniem. Trzeba uważać, czego się pragnie, bo może się to otrzymać. Porozmawiamy o Bell's Beach i o desce innym razem.

— Tak — rzekł Leo ze smutkiem. — Innym razem.

Pete wracał do miasta nieco po drugiej. Mocno i pewnie uściśnął rękę Leo, gdy żegnali się w drzwiach posiadłości.

— Synu, nie pozwól, by Japończycy zdobyli przewagę w tej umowie. — Pete mrugnął porozumiewawczo w odpowiedzi na słowa wuja. — Zapłacimy, ile będzie trzeba. Te małe złotki zawładnęły połową Hawajów, jeśli już nie całymi.

— Może powinniśmy rozszerzyć rejon naszych zainteresowań. Montana nie jest jedynym stanem, gdzie prowadzi się hodowlę. Gdyby oni mieli oparcie, sami by się rozwinęli. Może opłaciłoby się nam przebić ich. Spróbuję trochę poszperać. Odezwę się za kilka dni.

— Ja w międzyczasie zobaczę, co uda mi się ustalić w sprawie Maddie. Mam kilku przyjaciół, a ci z kolei mają swoich, którzy winni są im pewne przysługi. Niczego jednak ci nie obiecuję, Peter.

— Rozumiem. Zrobisz, co możesz.

— Doceniam to, że przyjechałeś. Mam nadzieję, że powtórzymy wkrótce podobne spotkanie. Jedź ostrożnie, tu jest wielu pijaków. Mamy świąteczny weekend.

— Czy wiesz, co najbardziej podoba mi się w tej wizycie? — spytał Pete przez ramię.

— Co? — Leo wstrzymał oddech.

— Że cię zastałem przy garnkach!

Leo śmiał się tak, że aż oczy mu zwilgotniały. Patrzył jeszcze, jak samochód bratanka wyjeżdża na długą, krętą drogę, prowadzącą do bramy posiadłości.

— To był jeden z najprzyjemniejszych dni mojego życia — mruknął cicho.

Gdy Pete wrócił do domu, Annie już na niego czekała. Ubrana była w różowe spodnie i różowo — biały pulower, włosy miała ściągnięte w koński ogon i przewiązane różową karbowaną wstążką. Na stole w kuchni stał wiklinowy koszyk piknikowy. Poznał go. Dostał go od ludzi od Range Rovera, gdy kupował ciężarówkę o dużej ładowności. Wetknął koszyk do szafy w hallu i zapomniał o nim.

— Około pierwszej zrobił się spokój — oznajmiła Annie — więc wyszłam ze sklepu. Przyjechałam do domu i przygotowałam jedzenie. — Wskazała sałatkę z pomidorów, pieczone kurczaki, gotowane jajka i kilka kulek serowych przybranych zieloną papryką, kawałkami bekonu i drobniutko posiekaną cebulą. — Jeśli jesteś gotów, mogę zostawić talerze w zlewozmywaku do odmoczenia. Gdzie byłeś? — spytała od niechcienia.

— Jestem gotów. Niech się talerze moczą. Wybrałem się z wizytą do wuja i zostałem na lunch. Odbyliśmy długą rozmowę. Wyjaśniliśmy wiele spraw, które od lat nam ciążyły. Rozstaliśmy się rozumiejąc się o wiele lepiej.

— A więc w drogę — rzekła Annie i zatrzasnęła wieko koszyka. — Dokąd, panie Sorenson?

— Do Darien. To niedaleko. Powiedziałem właścicielowi, że zerwałem umowę na dom w Stamford. Straciłem zaliczkę, ale nie szkodzi. Ten dom nie dawałby mi spokoju. Kiedy Maddie wróci — jeśli to w ogóle nastąpi — możemy tam znowu zajrzeć. Teraz jednak chcę spróbować z domem w Darien. Stoi nad jeziorem, ma przystań i tak dalej. Cztery sypialnie, dwa kominki, fantastyczna kuchnia — tak mi przynajmniej powiedziano — wspaniałe widoki, no i rozsądna cena. Darien jest niezbyt oddalone od Nowego Jorku, tak że będzie dla mnie wprost idealne, gdy wrócę z podróży. Powinnaś sprowadzić tu swój samochód, a wtedy będziesz mogła przyjeżdżać tam na weekendy, jeśli będziesz chciała wyrwać się z miasta.

— Brzmi wspaniale — rzekła lekko Annie. — Może zaproponuję którejś z przyjaciółek, by przyjechała na następny weekend.

— Miejsce do garażowania jest drogie — zauważył Pete, sięgając po koszyk.

— W tym mieście wszystko jest drogie. Myślę, że to dobry moment, bym ci powiedziała, iż nie stać mnie na podnajmowanie twojego mieszkania. To nie na moją kieszeń. Poszukam sobie czegoś rozsądniejszego.

— Nigdy nie rozmawialiśmy na temat czynszu, skąd więc wiesz, że to nie na twoją kieszeń?

Widać było narastające wzburzenie Annie.

— Po prostu przyjęłam... powiedziałaś mi przecież, że płaciłeś dwa tysiące siedemset kilka lat temu. To horrendalna cena. Mogę przenieść się na stronę Jersey i nawet kupić dom na własność. Nie mam chęci rezygnować z mieszkania w Bostonie, bo przecież Maddie może wrócić. Nie chcę płacić za dwa mieszkania, bez względu na to, ile zarabiam. Wolę raczej wybrać sobie jakieś odpowiednie miejsce i wiedzieć, że jest moje. Dziwię się, że zanim to wynająłeś, nie próbowałeś niczego kupić.

— Chciałem i chcę, tylko strasznie dużo jeżdżę. Niedobrze zostawiać na długo pusty dom, więc odpowiada mi wynajmowanie mieszkania.

— A ja lubię wszystko, co wiąże się z domem. Grabienie liści, hodowanie kwiatów, przycinanie żywopłotu, strzyżenie trawy. Lubię wszystkie zajęcia na świeżym powietrzu. Może dlatego, że wychowywałam się robiąc to z rodzicami. Mieliśmy własne obowiązki, do których należała też praca w ogrodzie. No, jestem gotowa, naczynia się moczą. Mam wrażenie, jakbym pominęła coś naprawdę ważnego.

— Namoczenie naczyń? — rzekł Pete z niemądrym wyrazem twarzy. Śmieli się z jego słów, gdy schodzili na dół.

Przez większą część drogi milczeli przyjaźnie. Radio grało cicho, i nadawało głównie sentymentalne przeboje lat pięćdziesiątych. Annie czuła się podniecona i pełna optymizmu. Wyjeżdżała na weekend z Pete'em i zamierzali zjeść wspólną piknikową kolację. Miała pomóc mu podjąć postanowienie co do domu w Darien.

Zbliżali się już do skrętu na Darien, gdy zdobyła się na odwagę.

— Pete, czy dobrze się czujesz... to znaczy, chodzi mi o sprawę z Maddie.

— Nie — odparł krótko. — Ale jakoś będę z tym żył. Naprawdę nie chcę rozmawiać o Maddie.

— Nigdy więcej... czy tylko teraz?

— Tak długo, dopóki jej nie będzie. Nie wracaj do tego. Może to zabrzmie staroświecko, jak powiem, że to zbyt bolesne, ale tak właśnie jest. A co do czynszu, nigdy nie myślałem o tym, abyś płaciła całość. Podaj rozsądną sumę, taką, na jaką cię stać, a ja będę pokrywał różnicę. Wiem że będziesz dbała o sprzęty i traktowała mieszkanie jak swoje własne. To dla mnie ważne. Zrobię porządek z moimi osobistymi rzeczami, aby ci nie przeszkadzały. Czy tak będzie dobrze?

— Naturalnie że tak. A co z rzeczami Maddie? — spytała ostrożnie.

— A co ma być?

— No, czy zabierzesz je ze sobą?

— Zdaje się, że dajesz mi do zrozumienia, abym je usunął z mieszkania. Dobrze, zabiorę, jeśli wszystko spakujesz. Chyba odłożę je do piwnicy.

— Ależ Pete, nie rób tego. Trzyma się w piwnicy tylko takie rzeczy, których nie chce się w domu, albo takie, z którymi nie wiadomo, co zrobić. No więc dobrze, przetrzymam je. Będę korzystała z głównej sypialni, tak że nie będę potrzebowała tamtej szafy.

Pete'owi zagulgotało śmiesznie w gardle.

— W porządku, zabiorę je — rzekł zdecydowanie. — Wpatruj się w drogę 124. Wskazówki, gdzie skręcić są w schowku. Przeczytaj je. Annie — zaczął po chwili, gdy podała mu kierunek — czy pamiętasz, jak kiedyś wyszliśmy z kampusu o pierwszej po południu, by udać się na dziwne leśne zaślubiny tych dwojga chichoczących studentów i dotarliśmy tam dopiero na dziewiątą wieczór, a potem zgubiliśmy się tak beznadziejnie, że musieliśmy spać w samochodzie?

— Pamiętam — roześmiała się. — Ty jak zwykle wszystkowiedzący nie chciałeś pytać o drogę. A pamiętasz, jak wybraliśmy się na łyżwy i skręciłam kostkę? Musiałeś nieść mnie trzy kilometry, bo samochód nie chciał zapalić.

— Dobry Boże, jasne że pamiętam. Do dziś plecy mnie bolą — zachichotał Pete.

Grali w takie wspominki aż do chwili, gdy Pete wprowadził rovera na zarośniętą łupkową drogę do domu nad jeziorem.

— Ależ tu jest pięknie! — zachłusnęła się Annie. — Czy będziemy mogli obejrzeć w środku?

— Pośredniczka powiedziała, że zostawiła klucz pod wycieraczką. Wybiera się dziś na przyjęcie rodzinne. Powiedziała, że wszyscy tu są mili i że bym się nie bał włożyć klucza tam z powrotem, kiedy będziemy wyjeżdżać. Jutro go odbierze. Myślę, że nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli rozłożymy się na piknik na przystani.

Wyszli z samochodu i Annie zaczęła rozglądać się wokoło z niedowierzaniem.

— Peterze Sorenson, czy wiesz, ile masz szczęścia, że możesz kupić taki dom? Dałabym się pokroić, by tylko móc robić to co ty.

Obchodziła cały dom, wykrzykując kolejno zachwyty nad rzeczami, które dla Pete'a nie warte były powtórnego spojrzenia.

— Malwy! — dobiegł go w pewnym momencie pełen radości pisk. Ruszył do krytej przystani. Pomyślał, że kupi turystyczny jacht motorowy i przycumuje przy Long Island. Może też łódkę na to jezioro.

— Wejdzmy do środka — chichotała rozradowana Annie. — Mam straszną chęć zobaczyć kuchnię i sypialnię. Czy wiesz, że prawie wszystkie wystawiane na sprzedaż domy nabywane są dla ich kuchni, sypialni i kominków? Czytałam o tym. Bo to oglądają kobiety. A na co patrzą mężczyźni?

— Na wielkość długu hipotecznego, piwnicę, sklepienia, system kanalizacyjny.

— Same nudziarstwo. No chodź, nie mogę się doczekać, by zobaczyć w środku.

Weszli do domu i każde udało się w swoją stronę. Annie poszła do kuchni, Pete do piwnicy. Później spotkali się w obszernym głównym hallu.

Pete popatrzył na Annie. Nigdy przedtem nie widział na jej twarzy takiego ożywienia.

— Ten dom jest wprost cudowny. Pete, będziesz tu okropnie szczęśliwy! Kuchnia to wprost marzenie! Powiem ci, że tu można urządzać przyjęcia. Jest ogromny. — Pete przytaknął skinieniem głowy. — Po królewsku! — wykrzyknęła wspinając się na kręcone dębowe schody. Pete roześmiał się na jej kolejne zachwyty. — Chodź, zobacz! Nie uwierzysz! Cedrowe szafy. Jacuzzi! Co za próżność! Kominiek w głównej sypialni. Gabinet, ty szczęściarzu! Wprost nie mogę w to uwierzyć. Powiedz, że kupujesz ten dom — wykrzyknęła przechylona przez balustradę. — Chodź tu i popatrz na wszystko!

— Obejrzałem piwnicę. Sklepienie wygląda dobrze. Przystań jest w dobrym stanie. Myślę, że kupię łódź — rzekł Pete wchodząc na schody. — Ładnie tu — stwierdził rozglądając się.

— Czy widzisz siebie żyjącego tutaj? Bo ja tak. Powiedz, że kupisz ten dom.

— Myślę, że tak. Jak uważasz, czy osiemset pięćdziesiąt tysięcy to dobra cena?

— Na dzisiejszym rynku? Absolutnie! Łap to. Jeśli cię stać. Zawierałam umowy na domy, które nawet w połowie nie były takie piękne, a kosztowały więcej. A co z podatkami?

Pete wzruszył tylko ramionami.

— Czy twoim zdaniem to dobra inwestycja?

— Nie wyjdiesz źle na nieruchomości. Będzie tylko nabierać wartości. Jest nad wodą, a woda zawsze zwiększa wartość domów.

— Czy myślisz, że Maddie... Czy to dom dla kobiety?

Serce Annie załomotało.

— Tak. Kogo zamierzasz zatrudnić do dekoracji?

— Chyba wezmę kobietę, która robiła mi mieszkanie. Nie znam się na rządzeniu ani na kupowaniu mebli.

— Może ja mogłabym to zrobić? Znam wszystkie twoje upodobania, oczywiście, będę najpierw wszystko z tobą uzgadniać. Mogę to robić niedziele. To znaczy przyjeżdżać tu w razie potrzeby albo stale, jak już prace będą w toku. Urządzą ci dom wspaniale. Podobało się to, co zrobiłam u siebie, a umeblowałam się przecież za psie pieniądze i z garażowych wyprzedazy. Kiedy wyjeżdżasz teraz w interesach?

— Niedługo — odpowiedział wymijająco wędrując spojrzeniem po wielkim parterze domu.

— Lubię, żeby wszystko było otwarte, poza tym tylko niskie ścianki. Chciałbym mieć też widok na zewnątrz.

— Będiesz mógł jeździć na łyżwach, gdy jezioro zamarznie — zauważyła Annie.

— Dobrze, kupię. Tak, możesz mi go urządzać. Jeżeli, a to wielkie jeżeli, nie ugrzęzniesz w związku ze sprawami w sklepie czy też z własnym życiem.

Omal nie zapytała, o jakim życiu mówi.

— Poradzę sobie — powiedziała tylko.

— W porządku, umowa stoi. Zadzwoń jutro do agentki i uruchomię wszystko.

Annie ruszyła w powtórny obchód domu. Pete wpatrzył się w przestrzeń. Czy Maddie spodoba się ten dom? Czy będzie taka podniecona jak Annie? Annie nie spytała nawet jednym słowem, kto ma to sprzątać, nie wspomniała też o pokojówce czy o gospodyni. Pamiętał ożywienie Maddie przy kwestii zatrudnienia pomocy do domu w Stamford. Podobał jej się, ale... Usiłował przypomnieć sobie, co powiedziała, jeśli w ogóle była tym mowa, na temat wystroju domu. Nie był to dom, gdzie można wprowadzić się tylko ze szczoteczką do zębów.

Znów zaczął myśleć o Maddie, tak jak myślał o niej każdego dnia od powrotu z Hongkongu. Nie potrzebuje go już. Stracił ją w najgorszy możliwych sposobów, a teraz ona go nie potrzebuje. Według Jakesa powinien być tylko zainteresowany jej bezpieczeństwem. Jego twarz przybrała zacięty wyraz.

— A co właściwie mam przez cały ten czas robić? — warknął wychodząc na sekwojowy podest. Leo powiedział, by zajął się czymś, zupełnie jakby stanowiło to rozwiązanie życiowych problemów. Może w pewien sposób tak, pomyślał ponuro. Ramiona zaokrągliły mu się w geście rezygnacji, ale gdy usłyszał wchodzącą do kuchni Annie, wyprostował się natychmiast.

Przeszedł szybko do małej wnęki przy kuchni. Obserwował poruszenia innie, czując się przy tym jak szpicel. Słyszał, jak mruczy coś do siebie, choć w miejscu, gdzie stał, nie mógł zrozumieć, co mówi. Patrzył, jak podchodzi do okna nad zlewem i rękami zaznacza podział parapetu. Odmierzała go na małe czerwone doniczki, które pewnego dnia będzie miała na własnym. Poczul, jak gardło mu się zaciska, gdy odwróciła się i przeszła do kominka. Odwróciła, przesunęła do przodu i poprawiła najpierw jeden niewidoczny bujany fotel, potem drugi. Zobaczył, jak przysiąda przy palenisku i ujmuje twarz w dłonie. Serce łomotało mu w piersi. Korciło go, by się ruszyć. Chciał podbiec i objąć ją. Potem uniósł gwałtownie brwi. Annie podniosła się i przewirowała przez połowę podłogi. Przytknął mocno rękę do ust, gdy usłyszał jej słowa.

— Skoro sama nie mogę mieć tego domu, cieszę się, że Pete będzie go miał. — W jej głosie słychać było Izy.

Potem poruszył się i stał już w salonie, gdy przemknęła obok niego.

Rozejrzał się wokoło. Oglądał dom naprawdę. Annie nie ma racji. To w ogóle nie jest dom Maddie. To jest dom Annie.

Nagle zachciało mu się krzyknąć. Zapragnął, by znalazł się tu Barney. Chciał podbiec do niego i powiedzieć o swoim odkryciu. Miał kupić dom Annie, nie dom Maddie. Co to znaczy, Barney?

— Założę się, że gwiazdy jaśniej tu świecą — odezwała się Annie później, gdy zaczęło się ściemniać. — Księżyc też jest pewnie jaśniejszy. W dzień będziesz widział bawełniane baranki obłoczków i błękitne niebo. Kiedy po raz ostatni widziałeś błękit nieba?

— Masz zamiar mnie do tego zmuszać? — mruknął.

— Dajmy spokój. Weźmy się do jedzenia, jestem głodna. Kraciaste zielono — białe serwetki i obrus były pozdrowieniami od firmy Range Rover. Annie wygładziła wszystko na pomoście przystani.

— Częstuj się — powiedziała i sięgnęła po przypieczone na złoto kurze udko.

— Zobacz, ryba. Widziałeś, Pete? Ryba wyskoczyła z wody. Masz tu ryby. Możesz siedzieć na tym pomoście, trzymać nogi w wodzie i łowić ryby. Boże, ile można mieć szczęścia! Zapewniam cię, że Maddie będzie zachwycona. Przepraszam cię, zapomniałam.

— Annie, naprawdę myślisz, że spodoba jej się tutaj?

— Pete, a co miałoby się nie spodobać? To wspaniałe. Tu jest wszystko.

— Jest bardzo duży.

— To prawda. Na raz sprząta się jedno pomieszczenie. Jak dwoje ludzi może zabrudzić takie miejsce? Myślę, że możesz nająć sprzątaczkę na jeden dzień w tygodniu, by sprzątnęła kuchnię, łazienki i odkurzyła. To nie jest wielka rzecz. Kiedy ma się coś tak cudownego, chce się to w takim stanie utrzymać.

— Czy potrzebna mi gospodyni lub ktoś do pracy w ogrodzie?

— Pete, nie mam pojęcia. Myślę, że to zależy od ciebie. Jeśli nie chcesz czegoś robić, każ to zrobić komuś innemu. Ja muszę się liczyć z pieniędzmi, ty nie.

— Mówisz to tak, jakbym był workiem z pieniędzmi — rzucił Pete cierpko.

— A nie jesteś? — głos Annie brzmiał równie złośliwie.

— Czy to ci przeszkadza?

— Nie, to tylko stwierdzenie. Pomachajmy nogami w wodzie. Jak byłam dzieckiem, łąziłam często po rzeczce płynącej przez nasze miasto. Łapaliśmy tuziny kijanek. Wiesz co, Pete? — powiedziała z nogami w wodzie. — Jeśli zdecydujesz się na kupno tej posiadłości, będzie to w pewien sposób początek czegoś nowego. Tymczasowe wycofanie się, dopóki nie wróci Maddie. Wycofanie to chyba niewłaściwe słowo. To znaczy, chcę powiedzieć, że następne miesiące będą takie, jakimi je uczynisz. Dla ciebie to nowy początek, ponieważ masz teraz ograniczone możliwości. Chyba trochę gładzę. Czy coś z tego ma sens?

— Naturalnie. Ja prowadzę swoje życie, ty swoje, a Maddie robi to, do czego jest zmuszona. Tylko znajdujemy się w różnym położeniu.

Roześmiała się.

— Wiedziałam, że to rozumiesz. Panowała już całkowita ciemność.

— Piękny wieczór, prawda? — odezwała się znowu. — Nie przypuszczałam, że zobaczę kiedykolwiek takie jasne gwiazdy. Jest prawie pełnia. Czy wypowiadałeś kiedyś życzenia do gwiazd?

— Jak byłem dzieckiem. Wraz z Barneyem wypowiadaliśmy życzenia co wieczór. Pragnąłem wtedy wszystkiego pod słońcem. Teraz, jeśli chcę, mogę kupić każdą z rzeczy materialnych. Strasznie cierpiałem. Płakałem więcej niż sześć dziewczynek. Każdego przekłętą dnia po śmierci moich rodziców. Nie wiem nawet, czy przestałem przed ukończeniem siedemnastu lat. Od tamtej pory nie płaczę. Mężczyźni nie powinni płakać. Nie powinni okazywać słabości.

— Gówno prawda — prychnęła Annie. — Bóg nie obdarzyłby cię łzami, gdyby nie uważał, że masz się nimi posługiwać. Dlatego właśnie wyposażył w emocje i mężczyzn, i kobiety. Nie powiedział nic o trzymaniu łez i emocji w rezerwie. Po co?

— Wiedziałem, że mam powód, by cię lubić — rzekł Pete poklepując ją po plecach. — Zawsze potrafisz wszystko logicznie poukładać. Od razu lepiej się czuję.

— Cieszę się, Pete — odrzekła wciągając skarpetki. — Obejdźmy po raz ostatni to miejsce. Czyż nie cudownie grają świerszcze?

— To one tak śpiewają? — zdziwiony Pete przechylił głowę na lewo, by lepiej słyszeć.

— Tak, i one też będą twoje. Kochają się. Trą nóżkami o siebie i to właśnie daje ten dźwięk.

— Jezu, ty wszystko wiesz — zdumiał się Pete.

— Chciałabym wiedzieć.

Ten wypadek był doskonały. Pete robił wszystko, by być wesołym, starał się, jak mógł, by sprawy między nimi dobrze się ułożyły, starał się odbudować ich dawną przyjaźń, co najmniej kruchą.

Wyciągnął rękę po jej dłoń. Szli obok siebie i machali rękami jak małe dzieci, które wracają do domu.

— Co myślisz o tym, żebym kupił łódź?

— Nie spodziewaj się, że wypuszczę się z tobą na otwartą wodę. Nie pływam.

Uśmiechnął się szeroko.

— Właściwie to bardziej myślałem o piknikowaniu, gdy jesteśmy przycumowani w przystani. Nie odróżniam sterburty od rufy. Ani z przodu, ani z tyłu.

Powiedział mi! Nic więcej wprawdzie nie dodał, ale to nie miało już znaczenia. Wyrwała rękę z jego uścisku i pobiegła, uderzając mocno pantoflami o zroszoną trawę. Dobiegła do obsadzonej jaskrawożółtymi chryzantemami frontowej ścieżki i opadła bez tchu na ceglane schodki pod niewielkim występem.

— Czy wiesz, kto tu przedtem mieszkał?

— Agentka powiedziała, że małżeństwo w średnim wieku. Rozwiedli się i żona chciała wziąć swoją część, tak że musieli dom sprzedać. Nie mówię, że mam jej za złe. Annie, co myślisz na temat umowy przedślubnej?

— Zależy od tego, kto ją zawiera. To w pewnym sensie zniewaga. Uboczną stroną sprawy jest kwestia, dlaczego jedna strona ma się dzielić własnością i majątkiem, które zostały nabyte przed małżeństwem. Moim osobistym zdaniem to wstrętny sposób rozpoczynania związku. Uzyskanie rozwodu jest zdecydowanie za łatwe. W czasach naszych rodziców ludzie pozostawali razem i pracowali nad swoimi problemami. Dzisiejsze małżeństwa są zbyt zajęte, tak że rozchodzą się pokłócone. My jako prawnicy robimy pieniądze, a oni kończą na tym, że nigdy się do siebie nie odzywają. A co ty o tym sądzisz? — spytała ostrożnie.

— Dokładnie to samo co ty. Mamy takie same poglądy na bardzo wiele kwestii. Czasami wydaje mi się to straszne.

Nie miała chęci pytać, pragnęła móc ugryźć się tak w język, by słowa nie wydostały się z ust, jednak zapytała.

— Czy ty i Maddie zawarliście taką umowę, czy myśleliście może o niej?

— Rozmawialiśmy. To Maddie o niej wspomniała. Ale prawdą jest, że też o tym myślałem, choć niezbyt jasno. Jestem pewien, że nie podejmowałbym tego raczej. Większość pieniędzy mam bardzo dobrze ulokowaną. Fundusze powiernicze i inne takie. To co najbardziej mnie dręczy, to fakt, że mówi się o małżeństwie, przysięga wzajemną miłość aż po grób, a tu nagle człowiek musi myśleć praktycznie i rozważać „a co, jeśli”. Te wszystkie „co jeśli” to cholerstwo. Dzieci muszą być chronione, jeśli są, ot co. Maddie nie była zachwycona myślą o posiadaniu dzieci.

— Nigdy mi o tym nie mówiłeś — powiedziała Annie z szeroko rozwartymi oczami. — To nie znaczy, oczywiście, że musiałeś mi mówić. Ale dlaczego nie? — dokończyła niepewnie.

— Maddie to kobieta, której zależy na karierze zawodowej. Jej własne dzieciństwo nie było zbyt szczęśliwe. Chce... chciała gwarancji, a nikt nie może tego zapewnić. Uzgodniliśmy, że omówimy to już po drodze.

— No a sklep... to chyba nie ma sensu.

— Jak to przemyślisz, właśnie ma. Wszystko w sklepie jest najlepsze, najmodniejsze, jedyne w swoim rodzaju. Horrendalnie drogie. Wycenione tak, że wykracza poza możliwości większości ludzi. Rzeczy, o posiadaniu których mogła jedynie marzyć. Więc jeśli się spojrzy z tego punktu widzenia, to ma sens. Wiedziała, że to wyjdzie, i miała rację. Sama teraz prowadzisz ten sklep — czy widzisz w przyszłości taki moment, kiedy będzie można założyć rodzinę? Mówiliśmy o uruchomieniu sieci sklepów. Bardzo była tym podniecona.

— Myślę, że nie masz racji. Jestem przekonana, że gdy tylko biznes zacznie zarabiać na siebie, Maddie będzie chciała mieć dzieci. Skoro nie zaznała szczęśliwego życia rodzinnego, zapagnie je mieć, gdy będzie zameżna. Wszyscy pragniemy zostawić po sobie jakiś ślad. Krew z krwi... Za wiele myślimy. Uzgodniliśmy, że nie będziemy rozmawiać o Maddie, a jak się zdaje, nic innego nie robimy. Zeżre cię to żywcem, jeśli nie pogodzisz się z tym wszystkim. Teraz, Pete. Od razu.

— To nie takie łatwe. Całe życie miałem zaplanowane, a teraz to. Ze wszystkich rzeczy, które mogły się nie udać, ta była ostatnią, która przysłaby mi do głowy.

— Pete, czy mogę cię o coś zapytać? Możesz nie chcieć ze mną rozmawiać, ale myślę, że jest coś, na co sam powinieneś sobie odpowiedzieć.

— Strzelaj.

— Jeśli ludzie kierujący programem, w którym jest Maddie, przyjdą do ciebie i spytają, czy chcesz do niej dołączyć na tak długo, jak długo będzie to trwało, pójdziesz? Zrezygnujesz ze swego życia?

— Annie, a tobie nie przychodzi do głowy, że już od tygodni pytam o to samego siebie? Problem w tym, że nie wiem. To właśnie mnie męczy. I masz absolutną rację, żeżre mnie to, o ile nie rozstrzygnę tego problemu.

— Pewnego dnia, kiedyś, stary przyjacielu — rzekła Annie ujmując go za rękę. — Chodźmy poszukać motelu lub hotelu i zakończmy dzieło. Jaki program na jutro?

— Spotkać się z agentką, dać zaliczkę, podpisać kontrakt, objechać teren, sprawdzić wypożyczalnię łodzi, jeśli są czynne w niedziele, jeść, pewnie moglibyśmy popływać w jeziorze, gdyby nam się zachciało, znów jeść, a potem albo ruszyć z powrotem do miasta, albo zostać tu na poniedziałek. Od nas zależy.

— Jestem otwarta na wszystko poza pływaniem. Nie wzięłam kostiumu i ledwie taplam się pieskiem. Mogę jednak popatrzeć na ciebie. Dzień był przyjemny, prawda?

— Tak. Dziękuję, że ze mną przyjechałaś.

— Przecież ja też go dobrze spędziłam. Nie masz nawet pojęcia, jakim jesteś szczęściarzem, Pete. Będę ci to przypominać przy każdej okazji.

— Niewyraźna aluzja — zauważył Pete z czułością. Uśmiechnęła się. Uśmiechała się jeszcze, gdy całował ją w policzek na pożegnanie przed drzwiami jej pokoju w motelu.

— Śpij dobrze — powiedziała.

— Ty też.

— Będę w snach urządzać twój dom — zaśmiała się. — Jutro rano będę mogła powiedzieć ci przy śniadaniu, w jakim będzie kolorze. Czy Maddie ma swoje ulubione kolory?

Patrzył na nią bezmyślnie. Powinien znać odpowiedź na to pytanie. Przypomniał sobie mieszkanie Maddie. Było właściwie pozbawione kolorów. Kiedy teraz myślał, pamiętał, że

wszystko w nim jest mniej czy bardziej neutralne, poza kuchnią z jej czerwonymi akcentami. W całym mieszkaniu jedyny jaskrawy element stanowił obraz kłowna.

— Lubi żółtą pościel i żółte koce. W kuchni jest trochę czerwieni.

— Dobrze, mamy więc początek. Ty lubisz zielenie i błękity. A może to się zmieniło? — spytała poważnie.

— Czerwony też lubię. — Poczł się głupio. Nie bardzo wiedział, co począć, gdy patrzył na malującą się na jej twarzy żalność, której nie potrafiła ukryć.

— Ja też lubię czerwien. Czerwień to dobry kolorystyczny akcent. Porozmawiamy o tym przy innej okazji. Dobranoc, Pete.

— Dobranoc, Annie — wymamrotał.

Szykując się do pójścia na spoczynek, myślał o pozostawionym przez Annie w Bostonie mieszkaniu. Było bardzo duże i mieściło się na czwartym piętrze starego domu. Dwie sypialnie, duży salon, jadalnia w kształcie litery L z przestronną, słoneczną kuchnią, pełną zielonych roślin w jasnożółtych doniczkach. Dębowy stół wsparty na potężnych szponiastych łapach musiał ważyć co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów. Nigdy się nie dowiedział, jak wtaszczyła go po schodach. Będzie musiał zapytać. Krzesła nie były dokładnie dobrane, ale dobrze pasowały do stołu. Na ich siedzeniach leżały wygodne poduszki w zielono — białą kratę. Przypomniał mu się jasnoczerwony czajnik do herbaty na kuchni. Były jeszcze wyposażone w uchwyty czerwona solniczka i także pieprzniczka. Obie pasowały do czajnika. Dziwne, że to pamięta. Maddie nie miała czajnika do herbaty, a solniczkę i pieprzniczkę kupiła w supermarkecie.

Lodówka Annie zawsze była pełna jedzenia. Dobrego jedzenia. Sery, mnóstwo owoców, zawsze też miała coś do pochrupania, piwo i wodę sodową. Miała nawet półkę z przyprawami, której pozazdrościłby jej niejeden wyrafinowany kucharz.

Gdy pewnego razu pojechał do Bostonu, zatrzymał się tam, by zobaczyć się z Annie i zaprosił ją na kolację. Wrócili potem do jej mieszkania i o północy postanowili upiec ciastka, by zaspokoić jego apetyt na słodycze. Miała wszelkie zapachy, orzechy, każdy wymagany rodzaj cukru. Gdy po półtorej godziny ciastka były gotowe, zasiedli na podłodze salonu i wzięli się do jedzenia. Ciastek było trzydzieści sześć. Potem zwinęli się na wesołych kolorowych poduszkach ściągniętych z kanapy i pospali się. Było to jedno z jego najmiłszych wspomnień.

Wślizgnął się w chłodną pościel i podciągnął kapę. Czł się samotny, rozbity i zraniony. Był wdzięczny Bogu za Annie. Gdyby nie zgodziła się przyjechać tu dziś z nim, siedziałby pewnie na dworze i wył do księżyca.

Potrzebny mu pokrzepiający, głęboki sen. Chciał się obudzić pełen jadu i złości, potrzebował czegoś, co dałoby mu napęd na nadchodzące miesiące.

A co jeśli, a co jeśli, a co jeśli...

Pete rozejrzał się wokoło.

— Chyba ktoś nadjeżdża. — Uśmiechnął się szeroko. — Jesteś pewna, że nie będziesz miała nic przeciwko zajmowaniu się tym wszystkim?

— Pete, ci od przeprowadzek będą tu w niedzielę o dziewiątej rano — powiedziała Annie. — Policzę skrzynie, oni podpiszą wykaz ładunków i ja go podpiszę. Twoje rzeczy zostaną dostarczone do domu nad jeziorem jutro w południe. Jak namówiłeś właścicieli, by zgodzili się na ustawienie twoich sprzętów przed zamknięciem umowy?

— Umowa jest w zatwierdzeniu i nie mają z nią żadnego problemu. Ty również wprowadzasz w życie swoje plany urządzania. Klucz jest pod wycieraczką. Mam pisemną zgodę właścicieli. Uczyniłem to wszystkim warunkiem nabycia domu.

— Będzie mi cię brakować, Pete. Przyrzeknij, że będziesz często dzwonić. Naprawdę będę się niepokoić, że wyjeżdżasz na Zachód. Chciałabym, żebyś miał bodaj psa.

— Spójrz na mnie. Jestem dorosłym facetem. Cieszę się na to, że będę jechał roverem wiejskimi drogami. To mi dobrze robi, Annie.

— Wiem o tym, ale jednak będę się niepokoić.

— Zostawiłem swoją marszrutę w kuchni. Nie chcę, byś się o mnie niepokoiła. Masz numer do dyrektora; zostawiłem ci wszystkie numery na wypadek, gdyby coś się stało.

— Spójrz na mnie, Peterze Sorenson. Jestem dużą dziewczynką. Czy zapakowałeś ciepłą odzież? Nawet jeśli na początku października jest ciepło, tam, dokąd się udajesz, będzie zimno.

— Nie chce mi się wierzyć, że to już październik — mruknął Pete. — Czy rzeczy na Halloween już do was przyszły?

— Dokładnie dzisiaj, prawdę powiedziawszy.

— Bardzo mi się podoba wasz pomysł. Do Halloween jeszcze kilka tygodni, domyślam się więc, że będziesz zapracowana. Znam takie miejsce w Jersey, gdzie mają największe dynie, najokropniejsze straszdyła i wszystko najlepsze na Halloween. Jak byłem dzieckiem, mama z tatą robili wiele szumu, gdy zabierali mnie tam, by wybrać dynie i kostium straszdyła. Myślę, że mieli z tego więcej radości niż ja. A gdybym teraz udzielił ci wskazówek, a w czasie weekendu ty byś to przejrzała? Byłbym zapomniat, mają tu wspaniałe jabłecznik. — Pisał pośpiesznie, szkicując na użytek Annie plan.

— Zrobię to w czasie weekendu. Najlepsze, że możemy to wszystko opisać.

— Dzielna z ciebie dziewczyna. Myślisz teraz jak kobieta interesu. Dobrze, czas już chyba, bym ruszał. Wiem, że zostawiam wszystko w dobrych rękach.

Przyciągnął Annie do siebie, objął mocno i ucałował delikatnie w policzek.

— Tak wiele ci zawdzięczam, Annie. Wiem, że niezbyt często przyznaję, jak bardzo cię cenię. Więc teraz to mówię. Mam nadzieję, że pewnego dnia zrobię dla ciebie coś takiego, co wyrówna nasze rachunki.

— To nie jest rywalizacja, Pete — zamruczała Annie.

— Annie... jeśli...

— Zadzwoń do ciebie natychmiast, jeśli Maddie się odezwie. Bez względu na godzinę. A teraz jedź już. Rób pieniądze, bo na urządzenie tego domu pójda całe worki, i pamiętaj, że chcesz kupić łódź.

— Zapomnij o jachcie na Soundzie. Nie jestem jeszcze do tego przygotowany. Ale sprawię dużą łódź na jezioro. Też można na niej spać.

— Jedź już! — wykrzyknęła.

— Jadę. Będę dzwonił codziennie.

Poszła z nim do windy. Miała wrażenie, że tkwi jej w gardle gruda wielkości orzecha. Gdy drzwi zaczęły się zamykać, Pete pokazał jej język i poruszył uszami. Wracała do mieszkania śmiejąc się.

Patrzyła na zapakowane skrzynie. Jego rzeczy. Kolorowa deska surfingowa stała oparta o ścianę. Może nie powinna oddawać jej do transportu, tylko odwieźć sama, gdy będzie jechać następnym razem do Darien. Deska jest dla Pete'a zbyt ważna, by powierzać ją obcemu człowiekowi. Zaniósła ją z powrotem do swojego pokoju. Pokoju Pete'a.

Czy zdobędzie się na to, by wnieść tu swoje rzeczy? Czy naprawdę będzie w stanie spać w łóżku, w którym Pete kochał się z Maddie? Nie, po tysiącokroć nie. Przeniosła deskę do pokoju gościnnego i oparła o ścianę. Zamknęła drzwi do sypialni Pete'a. To zawsze będzie pokój Pete'a; pokój Pete'a i Maddie. Nic tego nie zmienia.

Jadła naprędce przyrządzone śniadanie, a myśli jej błądziły daleko. W głębi serca wiedziała, że powinna uciec stąd jak najdalej i jak najszybciej. Bez względu na to, jak troszczy się o Pete'a, co dla niego robi i co sama czuje, Pete należy do Maddie. Ona jedynie odkłada chwilę, gdy będzie musiała usunąć go ze swego życia. Ale później stanie się to bardziej bolesne. Wiedziała, że biorąc na siebie tak wiele spraw, ułatwia Pete'owi życie. Tylko jaką cenę za to płaci? Ma trzydzieści cztery lata, i najwyższa pora pomyśleć o własnym życiu. O życiu, w którym nie będzie miejsca dla Pete'a Sorensona. Robiła to do momentu, gdy Pete poprosił ją, by rzuciła wszystko i pomogła mu. Rozważała nawet myśl o przeniesieniu się do Kalifornii, by maksymalnie zwiększyć dzielącą ich odległość. W ten sposób mogłaby stopniowo uwolnić się od szarpiących serce rozmów telefonicznych i przypadkowych wizyt, które stały się rytuałem. Teraz uwikłała się jeszcze bardziej. Jaką idiotką trzeba być, by zaproponować mężczyźnie urządzenie domu, który on ma zamiar dzielić z inną kobietą! Jaką idiotką trzeba być, by przejąć i prowadzić biznes tej kobiety, a swoje życie zawiesić na czas nieokreślony. Jaką idiotką trzeba być, by radośnie zostawić własne sprawy w Bostonie i przeprowadzić się do mieszkania ukochanego mężczyzny, który jednak kocha inną kobietę.

Pete liczy na nią. Opiera się na niej, a ona jak idiotka umacnia te zależności.

Jeśli Pete ma rację, upłyną dwa, a może trzy lata, zanim Maddie złoży zeznania w sądzie. Jeśli Annie utknie tutaj na tak długo, będzie miała trzydzieści sześć lub siedem lat i najlepsze lata życia za sobą; przynajmniej trzy lata, które naprawdę się liczą. Minie już właściwie czas, gdy rodzi się dzieci. Będzie miała siwe włosy, bruzdy przy ustach, będzie nosić dwuogniskowe szkła i toczyć przegrane bitwy z wiotczeniem ciała, gdy jej dzieci pójdą do college'u. Oczywiście przy założeniu, że znajdzie się mężczyzna, który zechce kobietę zakochaną w innym.

— A to, Annie Gabriel — powiedziała — czyni cię największą idiotką, która chodzi po tej ziemi.

Zdławiła szloch i zaczęła szykować się do następnego dnia pracy, w którym miała swymi staraniami przysparzać bogactwa rywalce. Nie myśl o tym, Annie, robisz to dla Pete'a, bo kochasz go całym sercem i duszą.

* * *

Początkowo dni płynęły normalnie, potem zaczęły nabierać prędkości, by wreszcie ruszyć niepohamowanym pędem.

Annie patrzyła na kalendarz na biurku. Dziesięć dni do Bożego Narodzenia. Dom w Darien jest skończony. Zamknęła go z pełnomocnictwem Pete'a na dzień przed Świętem

Dziękczynienia. Teraz dzięki temu, że ma w sklepie doświadczoną pomoc na pełny etat, zyskała trochę czasu dla siebie. Wykorzystała go na dogłębne ostatnie zabiegów dekoratorskich. W tym tygodniu przychodzą ludzie do zamontowania we wszystkich pokojach zasłon, wertikali i żaluzji. Dzięki dobrej woli właściciela, zgodzie banku i temu, że poświęciła własny wolny czas na dokonanie renowacji, wykładanie dywanami i kafelkami zakończone zostało do dnia zamknięcia. Oczywiście, wszystko to dzięki sporej płatności gotówką, dokonanej przez Pete'a. Meble przyszły w ubiegłym tygodniu i stały już na miejscu. W tym tygodniu miała zamiar ustawić potężne drzewko i ubrać je, aby gdy Pete przyjedzie na Wigilię, dom był pachnący i w miarę możliwości taki, jakiego pragnął. Do tego z wielką niespodzianką, jeśli się uda.

Myśl o niespodziance wywołała na jej twarzy uśmiech czystego szczęścia. Jej planowany od miesiąca prezent dla Pete'a. W istocie pomysł zaświtał jej w dniu, gdy poznała Simona Jakesa. Odnaleźć Barneya Simsa. Odnaleźć i sprowadzić do domu Pete'a. Specjalny prezent na Boże Narodzenie.

Wczoraj właśnie zadzwonił Jakes i zameldował o braku postępów.

— Zupełnie jakby został starty z powierzchni ziemi. Wszystkie tropy prowadzą do nikąd. Robię, co mogę i chcę, by nie miała pani co do tego wątpliwości. Jeśli nie znajdę go do Bożego Narodzenia, postaram się na Wielkanoc. Jeśli i wtedy nie wypali, spróbujemy na Czwartego Lipca, a potem na każde następne święto. Nie zrezygnuję. Znajdę tego faceta. To dla mnie teraz wyzwanie. Myślę, że zmienili nazwisko, tyle że nieprawnie. Dlatego jest tak trudno.

Taki wspianiały prezent, a może się nie urzeczywistni. I to się liczy, powiedziała sobie i westchnęła lekko.

Już od kilku dni modliła się o śnieg. Każdego wieczoru słuchała długoterminowych prognoz i synoptyk drażnił się z nią, mówiąc swoje tak i nie. Ale na pewno będzie zimno, a to już jest coś. Przez ostatni weekend naniosiła drewna do kominka, więc będzie suche i gotowe do podpałki. Wydawało jej się, że o niczym nie zapomniła. Wzięła sobie wolny piątek, dzięki czemu rozpoczęła zasadnicze zakupy i napełniła Pete'owi lodówkę. Przygotowała też dodatkowe potrawy, które miały zostać zamrożone.

A co zrobi Pete? Obejmie ją oczywiście z rozjaśnionymi oczami i powie: „Annie, jesteś niesamowita!” Uściśnie ją jeszcze raz, ona poczuje, jak serce jej wzbiera, a oczy napełniają się wilgocią. Wszystko to dlatego, że jest głupia, a głupcy kierują się sercem zamiast rozumem. Jeśli teraz jej specjalna niespodzianka urzeczywistni się, Pete po prostu padnie.

Udało jej się jakoś przetrwać dni do piątku. Wstała o czwartej trzydziści i w godzinę później znalazła się już na drodze do Darien. Była wściekła i z niecierpliwością czekała na to, by się tam dostać. Chciała jak najszybciej rozpocząć przygotowywanie ostatnich szczegółów, które uczynią z przybycia Pete'a do domu szczególne wydarzenie.

Pete dotrzymywał słowa i dzwonił każdego dnia. Pierwszym pytaniem, jakie zadawał bezpośrednio po przywitaniu, było nieodmienne „Żadnych wiadomości?”. Jedyne słowa, jakimi od wyjazdu wyrażał zainteresowanie domem to: „Jak idzie?”. Nie powiedziała mu, ile czasu i wysiłków włożyła w jego dom, i nie wiedziała właściwie, dlaczego. Wielka niespodzianka!

Szczególne pogłaskanie po plecach. Specjalny uśmiech, który pojawi się w jego oczach.

Dzień był piękny. Rześki i chłodny; pogoda na ogień w kominku. Natychmiast po wejściu nastawiła termostat na dwadzieścia stopni, po czym zdjęła wełniany żakiet. Napełniając dzbanek z kawą, oglądała wszystko bez końca. „To będzie cudowny dzień.” Wierzyła w swoje słowa.

Doskonały dom, doskonałe urządzenia, doskonałe święta. A przede wszystkim wspianiały mężczyzna. Największa niespodzianka.

W południe wszystkie żaluzje i zasłony były założone. Doskonale pasowały do mebli. Annie wypełniła czek i klasnęła w ręce z zachwytem.

W mieście przed udaniem się po sprawunki wstąpiła do herbaciarni na lunch. Zmiała go szybko, nie mogąc się doczekać powrotu.

Wpół do trzeciej lodówka i zamrażarka były załadowane po brzegi. Zrobiła sobie świeżą kawę i zaczęła opracowywać spis potraw. O czwartej siedziała w swym volvo, kierując się na główną drogę w poszukiwaniu bożonarodzeniowego drzewka. Ciemno już było, gdy je znalazła wraz z gotowym wieńcem na frontowe drzwi. Za dodatkowe pięć dolarów właściciel zobowiązał się dostarczyć choinkę w południe następnego dnia. Za dziesięć miał ją ustawić. Rozstała się jeszcze z trzydziestoma dolarami.

Panowała nad wszystkim. Zapomniała tylko przynieść świąteczne dekoracje, specjalne rzeczy, które trzymała od Dnia Dziękczynienia. Miała szerokie kokardy z czerwonej satyny do wieńca i girlandy na obramowanie kominka, niezwykle bombki na choinkę, maleńkie lampki w kształcie gwiazdek i najcudowniejszego anioła, jakiego kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć, zrobionego specjalnie dla niej przez jednego z dostawców Maddie.

Nastrój jej uległ zmianie, jakby dostosowywał się do panującego wokół mroku. Gdzie jest Maddie? Jakie Boże Narodzenie będzie miała? Czy spędzi święta myśląc o Peterze? Choć dla Annie znacznie ważniejsza była odpowiedź na pytanie, czy on spędzi święta, myśląc o Maddie. Jeśli tak, wszystkie jej starania na nic. Zamiast uczynić te święta dla niego czymś szczególnym, może go po prostu unieszczęśliwić. Do diabła, niczego nie potrafi zrobić dobrze.

Załamana zupełnie, cały wieczór płakała nad swoimi przygotowaniami. Zrobiła półmisek lasagne, spaghetti, pieczeń oraz pieczonego kurczaka. Gdy jedzenie stygło, porcjowała je na tace, po czym pakowała i wkładała do zamrażalnika. Kładła się spać z policzkami błyszczącymi od łez. Gdy się obudziła, poduszka była mokra. Głowa bolała ją straszliwie i wiedziała, że to początek migreny.

Choinka przyjechała przed południem. Dostawcy wystarczyło dziesięć minut na ustawienie jej oraz zawieszenie wieńca na frontowych drzwiach. Wielka, myślała Annie, zadzierając wysoko głowę, by zobaczyć czubek. Odurzający zapach przeniósł ją natychmiast do lat dzieciństwa, gdy czekała, by zobaczyć czarodziejskie drzewko w salonie rodziców.

— Proszę nie ubierać jej aż do jutra — rzekł człowiek, który przywiózł choinkę. — Gałęzie muszą mieć czas na wyprostowanie się, poza tym są jeszcze trochę mokre. Proszę nie zapominać o dodawaniu wody. W pojemniku jest kwarta, ale drzewo wyciągnie ją bardzo szybko. Zrobiłem głębokie nacięcie w pniu. Jeśli pani będzie uzupełniać wodę, choinka zachowa świeżość do połowy stycznia. Proszę utrzymywać termostat na dwudziestu stopniach. To najlepsza temperatura. Piękny dom, proszę pani.

— Dziękuję.

Głowa pękała jej z bólu. W tej sytuacji mogła się tylko położyć i czekać, aż jej przejdzie. Szła do kuchni i każdy krok odbijał się w głowie łomotem. Połknęła cztery aspiryny, popiła szklanką wody i wróciła na fabrycznie nową kanapę. Spała do południa następnego dnia. Głowa pulsowała nadal, ale ten ból można już było znieść.

Ubrała choinkę, umieściła na czubku anioła, sprzątnęła opadłe igły i na wpół do piątej ustawiła włączenie światła na choince, w hallu i w kuchni.

O szóstej wracała 195 do miasta. Powrót Pete'a był tak samo przygotowany jak trzy prezenty, które opakowane w błyszczący srebrny papier i ozdobione wielkimi aksamitnymi czerwonymi kokardami leżały już pod choinką. Nie było tylko możliwości opakowania jej specjalnego prezentu, gdyby Jakes go przysłał.

Co ma robić przez te święta? Z kim będzie je dzielić? Nie miała czasu na nawiązanie przyjaźni w Nowym Jorku, a dawne przyjaciółki w Bostonie były już zameżne i spędzały zazwyczaj święta z rodzicami lub teściami.

— Boże — powiedziała. — Nie kupiłam sobie nawet choinki. Śmiała się tak, że zwilgotniały jej oczy. W głowie ponownie odezwał się łomot, ale była w domu i nie miało to większego znaczenia. Wstąpiła do kwiaciarni po ubrane drzewko na stół. Postanowiła, że kupi sobie prezent i umieści go pod choinką.

Zjadła sporządzoną naprędce zupę, wzięła prysznic i przygotowała sobie ubranie na następny dzień. Usiadła na kanapie z telefonem i książką telefoniczną na kolanach. Skontaktowała się z sześcioma kościołami, nim trafiła na taki, gdzie powiedziano, że bardzo będą się cieszyć z jej oferty pomocy potrzebującym i biednym w Wigilię i Boże Narodzenie.

Decyzja o tym, czy otworzyć sklep w Wigilię, jeden z najważniejszych dni handlowych sezonu, należała do niej. Była za zamknięciem. W życiu są ważniejsze rzeczy niż robienie pieniędzy... dla własnej rywalki. Natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. To do niej niepodobne. Zawsze była osobą uczciwą, prostolinijną, nazywającą rzeczy po imieniu. Przez całe życie uznawała uczciwość za swoją dewizę, a teraz odrzuca to dla nędznego dnia sprzedaży.

Spojrzała na zegar. Za późno, by zadzwonić do dwóch pracownic. Gdyby się zgodziła na zapłacenie z własnej kieszeni nadgodzin czy też podwójnej stawki, pogodziłaby się sama ze sobą. Wybrała numer i czekała, aż Ada Rollins podniesie słuchawkę. Mówiła szybko.

— Muszę wiedzieć, Ado — zakończyła.

— Podwójna stawka, zamykamy o wpół do piątej i pracuję — odpowiedziała starsza kobieta. — Niech się pani nie martwi o Caroline. Jeśli ja się zgodzę, to ona też. A co z kwitami?

— Byłabym zapomniała. Przeliczajcie, a ja w drodze do domu podrzucę wam kwitariusze. Ado, jeśli nie będzie ruchu, niech pani sama oceni, czy zamknąć wcześniej. Wiem, że pani i Caroline chcecie być z rodzinami.

Zanotowała sobie w pamięci, że ma być wyjątkowo hojna w premiach bożonarodzeniowych.

Teraz musi spać.

Pod koniec dnia poprzedzającego Wigilię zadzwonił telefon, gdy sięgała po torebkę.

— Pete, gdzie jesteś?

— W Anacondzie, w Montanie. Pełno tu śniegu. Powiem ci, że można uświerknąć. Jadę na Butte i powinienem być w Darien jutro późnym wieczorem. Żadnej... wiadomości?

— Nie. Przykro mi, Pete.

— Myślałem, że... święta i w ogóle... To miały być nasze pierwsze małżeńskie święta z Maddie.

— Strasznie mi przykro, Pete.

— Wiem. Jak idzie sklep?

— Nie sędzę, by mogło być lepiej. Powinieneś być zadowolony. Czy mówiłam ci, że po Dniu Dziękczynienia przyszła do sklepu kobieta i chciała się dowiedzieć, czy może oddać w komis saszetki z wiktoriańskiej koronki robione w kształcie bombek choinkowych? Zgodziłam się i sprzedałam tysiąc sto! Czy to nie zdumiewające?

— Tak, zdumiewające. Maddie byłaby z ciebie dumna. Posłuchaj, mam tu kierowcę, tak że muszę zmiatać. Do zobaczenia, Annie.

— Do zobaczenia, Pete.

Żadnych „wesołych świąt”, jednego słowa zaproszenia do Darien. Jednego słowa o wstąpieniu do niej, jednego słowa o domu w Darien.

Annie otarła oczy. Nadzieje prowadzą tylko do rozczarowań. Powinna była lepiej wiedzieć. Jak mówią poeci? Nadzieja rodzi się wiecznie. Tak, rzeczywiście, tyle że dla innych, nie dla Annie Gabriel.

Następnego ranka o piątej rano znalazła się w wydającej zupę kuchni dla biednych. Przedstawiła się, otrzymała sfatygowany fartuch i stała się jedną z dwunastu wolontariuszek.

Śniadanie było pierwszym zamówieniem dnia. Potem trzeba było pozmywać i przygotować lunch. Jej zadaniem było przebranie fasoli i obieranie warzyw, które szły do wydawanej codziennie zupy.

O dziesiątej pastor polecił jej, by zrobiła sobie przerwę.

— Potrzebuje pan więcej ochotniczek, ojcie — powiedziała słabym głosem. — Nie miałam pojęcia, że macie rodziny. Z jakiegoś powodu myślałam...

Pastor uśmiechnął się.

— Dziwi to panią, prawda? Opiekujemy się z grubsza dwudziestoma trzema rodzinami i mamy trzydzieścioro siedmioro dzieci. To będą dość... chude święta dla dzieci.

— Nie otrzymujecie dotacji? Czy ojca parafianie nie przynoszą zabawek i ubrań?

— To bardzo biedna parafia, panno Gabriel. W tym miesiącu kościół z trudem zapłacił rachunek za elektryczność. Ale jeśli pokłada się ufność w Bogu, On przychodzi. Przecież przysłał panią do nas, prawda?

— Tak, to prawda, ale...

— Nie ma żadnych ale, panno Gabriel. Jest pani tutaj i jest pani potrzebna. To takie proste. Gdyby miała pani teraz pomysł, jak przemienić tego klopa w indyka, zyskałaby moją dozgonną wdzięczność.

— Ojcie, jeśli da mi pan kilka godzin, chyba będę w stanie to zrobić. — Zanim pastor zdołał cokolwiek powiedzieć, Annie miała już na sobie płaszcz. — Czy nie mógłby mi ojciec pożyczyć jakiegoś pojazdu?

Pastor wysypał komplet kluczyków.

— Przed kościołem stoi furgon. Niech pani nie zwiedzie jego zewnętrzny wygląd, silnik jest w doskonałym stanie, jeden z moich podopiecznych go dogląda. Czy potrzebna będzie pani pomoc? — spytał. — W tym, co pani zamyśla?

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Ojcie, będzie doskonale, jeśli dostanę dodatkową parę rąk. Chodźmy. Czy mogę jeszcze zadzwonić?

— Naturalnie.

Annie pobiegła do biura i wykręciła numer Czarodziejskich Opowieści.

— Ada, tu Annie. Proszę posłuchać. Niech pani natychmiast zamyka. Proszę powiedzieć, że gaz się ulatnia; co pani przyjdzie do głowy, byle tylko wyprosić klientów. Niech pani da wywieszkę w oknie i spuści żaluzje. Proszę nikomu poza mną nie otwierać drzwi. Pakujcie wszystko co jest w sklepie w pudła. Wszystko. Zabawki, ubranka, rzeczy dla niemowląt. Wszystko. Niech Caroline zadzwoni do marketu i powie, by przygotowali dla mnie na południe, najpóźniej do pierwszej, tuzin indyków z całym garnirem. Potrzebny mi sos żurawinowy, słodkie ziemniaki, jarzyny, nadzienie i zielona sałata. Dynie też. Żeby wystarczyło dla... siedemdziesięciu osób. Teraz muszę już iść.

— Nie mogę w to uwierzyć! — wykrzyknął w godzinę później wielbny Tobias. — Ale wierzę! Widzi pani, panno Gabriel? Bóg miał swój powód, przysyłając panią do nas.

— Chwileczkę, zapomnieliśmy papieru do pakowania i reszty przybrania. Ada, Caroline, pomóżcie mi, proszę.

— Panno Gabriel, czy pani zdaje sobie sprawę z tego, co pani robi? — spytała Ada z twarzą ściągniętą obawą.

— Ma się rozumieć.

— Sklep jest pusty. Zostały tylko półki.

— Wiem. Czy to nie wspaniale?

— No...

— Życzę wam wspaniałych świąt. Mądrze wydajcie wasze premie. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

— Ale... Jak będziemy pracować, przecież nie mamy towaru?

— To prawda — przytaknęła uszczęśliwiona Annie. — Coś wymyślimy. Przychodźcie w poniedziałek jak zwykle.

— Panno Gabriel...

— Proszę mówić mi Annie, ojcze.

— Jeśli pani będzie się zwracać do mnie Albert.

— Dobrze, Albercie, co chciałeś powiedzieć?

— Chciałem powiedzieć, że nie wydaje mi się, by w furgonie było miejsce na jedzenie.

— Albercie, już dawno temu nauczyłam się nie przywiązywać wagi do drobiazgów — odparła Annie.

Wypisała czek za jedzenie. Pomyślała, że później będzie przeżywać napad strachu na widok sum. Później będzie myślała nad tym, co zrobiła ze sklepem Maddie Stern. Później będzie się przejmowała tym, co ją spotka od Pete'a. Później będzie się martwiła, jak zapłacić za wszystko.

— Bóg cię za to wynagrodzi, Annie — powiedział duchowny, gdy przeciskali się furgonem przez zatłoczone ulice.

— Albercie, potrzebny mi przyjaciel. Gdyby...

— Dziecko, jestem twoim przyjacielem od chwili, gdy do mnie zadzwoniłaś. Zawsze możesz na mnie Uczyć i nie ma to nic wspólnego z tym, co uczyniłaś dla mojej trzódki. Przecież jesteś teraz szczęśliwa, prawda?

— O tak. Czuję, że naprawdę żyję. Dlaczego właściwie?

— Bo pomagasz innym materialnie, angażując swe serce i rozum. Oddajesz siebie.

— Albercie, jeśli zadzwonię do ciebie w środku nocy, jęcząc i przeklinając, czy będziesz ze mną rozmawiał?

— Oczywiście.

— Jeśli ci powiem, że jestem zakochana we wspaniałym mężczyźnie, który kocha inną... Ach, nieważne.

— Porozmawiamy o tym, jak nie będziemy tacy... naładowani. Mój biskup nie uwierzy w to wszystko. Sam z ledwością to pojmuję.

— Albercie, nie widziałam choinki. Nie macie jej?

— Nikt nam jej nie sfinansował. Dzieci mają zrobić po południu drzewko z krepiny i trzonka od miotły.

— Co? — zdziwiła się Annie, przyciskając hamulce. Pakunki z tyłu wozu przesunęły się do przodu, a gdy ruszyła, przemieściły z powrotem do tyłu.

— W takim razie kupimy ją teraz — zdecydowała skręcając na stację Arco. — Chodź, Albercie, kupimy największą, najpiękniejszą choinkę, jaką tu mają w sprzedaży.

— Annie, nie mamy miejsca — stropił się pastor.

— Jasne, że mamy. Przywiązany ją do klamki, a ty wystawisz czubek przez okno. Gdzie twoja wiara, Albercie?

— Została na drodze kilometr stąd. Prowadzisz jak szatan.

— To prawda — przytaknęła zgodnie Annie. — Zobacz! Sprzedają tu świąteczne ozdoby. Nie zaszkodzi kupić kilka pudełek. Dzieci mogą nanizac kukurydzę i żurawiny. Mają też szych. Jesteśmy dwojgiem szczęśliwych ludzi, Albercie! — Nie pamiętała już, kiedy była tak szczęśliwa.

— Myślę — rzekł pastor — że to będą nasze najlepsze święta Bożego Narodzenia.

Sprawiał wrażenie, jakby zrzucił z ramion ogromne brzemie. Przyglądała mu się, jak chodzi między choinkami, starając się wybrać właściwą. Był taki ciepły, że aż piękny. Jeden z niewielu wybranych przez Boga. Ciekawe, czy ktokolwiek dostrzega, że jego nos jest zbyt wielki, a uszy zdają się nie pasować do głowy. Ludzie widzą pewnie tylko ciepłe, dobre oczy, w których zawsze igrają iskierki, i serdeczny uśmiech. Przymknęła oczy i pod powiekami widziała tylko dobrą twarz pastora. Pomyślała, że jest zbyt chudy. Pewnie odżywia się niewystarczająco, a jeśli ma coś do jedzenia, oddaje innym.

— Czy jesteś pewna, że to będzie dobre? — spytał po chwili.

Zaśmiała się.

— Ach ty człowieku małej wiary! Oczywiście, że tak. — Kartą kredytową zapłaciła za choinkę, trzy pudełka ozdób oraz szych. Posiadaną w torebce gotówkę trzymała kurczowo, by położyć ją na tacę w czasie nabożeństwa.

— Myślę, że powinniśmy zaśpiewać. Czy znasz „Dzwoneczki”?

— Pewnie.

Śpiewał co sił w płucach, a ona mu wtórowała. Oboje tak odróżniali się od otoczenia, że ludzie odwracali się na widok przeładowanej ciężarówki i kręcili głowami z niedowierzaniem.

Gdy wszystkie artykuły ze sklepu zostały bezpiecznie złożone w domu parafialnym, a jedzenie w kuchni, Annie przyjęła kubek herbaty od jednej z wolontariuszek. Nigdy w całym swym życiu nie czuła się tak spokojna i zadowolona. Patrzyła na dzieci podskakujące wokół choinki i widziała rozpromienione szczęściem buzie.

— Na kolację będzie dzisiaj klops — powiedziała wolontariuszka, która podała jej herbatę. Annie uśmiechnęła się blado. Nienawidziła klopsa. Nigdy więcej nie będzie niczego traktować jako pewnik.

Wstała i wykończyła herbatę.

— Jeśli nie jestem tu potrzebna przy gotowaniu, to przejdę do domu parafialnego i zapakuję ile się da prezentów. Dziękuję, że przygotowała mi pani listę z imionami i wiekiem.

— To ja dziękuję pani. Sporządzenie listy zajęło mi tylko chwilę. Bardzo dobrze wszystkich znam.

Kobieta miała na imię Rose i przekroczyła już sześćdziesiątkę. Okazała się najsprawniejszą, mimo wielu obowiązków, osobą, jaką Annie kiedykolwiek spotkała. Nie sposób było nie rozchmurzyć się na widok jej uśmiechu.

— Co pani tu robi, panno Gabriel? — spytała Rose z rękami złożonymi na obfitych biodrach.

Annie instynktownie wyczuła, że tej kobiecie można mówić tylko prawdę.

— Przede wszystkim przyszłam dla siebie. Nie mam nikogo, z kim mogłabym spędzić święta. Przyszłam tu z goryczą w sercu, szalejąc z zazdrości. Jestem zapracowana i jak większość ludzi nie kwapię się poświęcać swojego czasu tym, którym się gorzej powodzi ode mnie. Przykro mi z tego powodu. — Opowiedziała Rose o Czarodziejskich Opowieściach, o Peterze, o urządzanym przez nią domu w Darien, o specjalnej niespodziance. — Nagle wszystko to przestało być ważne.

— Mogę zadzwonić do ciebie, Annie?

— Jeśli pozwolisz mi dzwonić do siebie, Rose.

— Zostaniemy przyjaciółkami. Teraz masz dwoje przyjaciół, Alberta i mnie. Kiedy będziesz stąd wychodzić, każdy z nas będzie twoim przyjacielem. Pozwól, że powiem ci jeszcze coś. Wszyscy oni, ze mną włącznie, na kilometr potrafią wyczuć fałsz. Jeśli nie będziesz miała nic lepszego do roboty, w weekendy korzystam z dodatkowej pomocy.

— Zapisz mnie, Rose. Mogę poświęcić ci niedziele. Pracuję sześć dni w tygodniu.

— Co drugą niedzielę. Nikt nie powinien pracować siedem dni w tygodniu.

— Ty pracujesz — zauważyła Annie.

— Bo to jest moja rodzina. Idź już i zajmij się upiększaniem tych prezentów. Ale będą się jutro patrzeć, jak zobaczą te wszystkie podarki. Bóg cię nagrodzi, Annie.

Za dwadzieścia szósta w wigilijny wieczór Annie z pomocą Alberta zaczęła pakować prezenty. Znow śpiewali „Dzwoneczki” i inne piosenki, do których dorabiali naprędce własne słowa. Annie była spokojna i szczęśliwa.

* * *

Pete wprowadził wypożyczony wóz na zarośniętą drogę wiodącą do posesji nad jeziorem. Był w domu. Miał postawić tam stopę po raz drugi. Wszystko to bzdury, Sorenson, powiedział sobie. To wcale nie jest twój dom. To tylko umeblowany budynek. Prowadził powolnymi, płynnymi ruchami, gdy zobaczył przebijające przez sosny światła. Nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, aż do chwili, gdy wypuścił powietrze z głośnym świstem. Jest Annie. Mimo wszystko Boże Narodzenie zapowiada się miło. Annie coś ugotuje, będą jedli, otworzą prezenty, potem usiądą przed kominkiem i powspominają dawne czasy, a on opowie o ostatnich kilku miesiącach. Ona będzie chciała mówić o sklepie i o tym, jak dobrze idzie interes. Uwielbiał wspominki. Annie wolała mówić o sprawach bieżących, ale zawsze zgodnie wybierali się nad rzekę wspomnień.

Nacisnął klakson. Trzy lekkie uderzenia, potem jeden długi ryk. To powinno poderwać ją na nogi. Wieniec jest piękny. Uwielbiał wielkie czerwone kokardy. Matka zawsze przyczepiała je do jego urodzinowych i świątecznych prezentów. Dźwignął worek prezentów dla Annie, które wraz z jego torbami leżały na tylnym siedzeniu. Ciekawe, czy Leo otrzymał podarki, które dwa dni temu wysłał mu pocztą z Montany. Cholera, będzie musiał dwa razy wyjeżdżać. Gdzie się podziewa Annie?

Chciał pchnąć drzwi, ale okazały się zamknięte. Postawił paczki i zajrzał pod wycieraczkę. Zmarszczył brwi, wkładając klucz w zamek. Może się zdrzemnęła. Rozejrzał się w poszukiwaniu samochodu i w tej samej chwili uświadomił sobie, że żaden pojazd nie stoi zaparkowany przed domem. Idiota, na pewno Annie wstawiła wóz do garażu, przecież po to są garaże. Nie zauważył, że wchodząc do hallu trącił nogą wspartą o drzwi kopertę z nadrukiem Federal Express.

— Przyjechałem — wykrzyknął. — Gdzie wino, powitalne uściski? Annieeee!

Jezu, czy to ten sam dom, po którym chodził z Annie we wrześniu? Trącił obcasem drzwi, by je zamknąć. Opuścił bezładnie palto na podłogę.

Zobaczył choinkę i wciągnął głęboko powietrze, zachłystując się aromatem. Na podłodze leżały trzy prezenty w przybranych wielkimi czerwonymi kokardami paczkach. Klasnął w ręce jak dzieciak. Zakręcił się, chcąc zobaczyć to wszystko jeszcze raz. Niewiarygodne!

Na wielkiej kanapie mogło usiąść wygodnie sześć osób. Głęboki mebel zapraszał do spoczynku i zwinięcia się w kłębek. Puszysta tkanina zgniłozielonej barwy miała ciekawą linię beżu biegnącą przez supełkowy materiał. Lekkie fotele w zielone paski na beżowym tle stały na miękkim, luksusowym dywanie, o dwa odcienie ciemniejszym od mebli. Zasłony wyglądały jak zrobione z jutowych worków i podwiązane były szerokimi, ciemnozielonymi pasami.

Wszystkie jego osobiste rzeczy zostały rozpakowane i rozmieszczone w pokoju dokładnie tak, jak zrobiłby to sam.

Drewno leżało w kominku, pozostało tylko je podpalić. Pete podniósł się i wzrok jego przyciągnęła ściana ponad polnymi kamieniami kominka.

Wciągnął powietrze, potem lzy popłynęły mu po policzkach. W jasnoczerwonej ramce umieszczono powiększone zdjęcie jego wraz z rodzicami. Trzymał na nim swoją deskę surfingową.

— Annieeee! — Cofnął się oglądając zdjęcie z różnych stron. Ramka odpowiadała kolorystycznie koszulce, w którą był wtedy ubrany.

— Annieeeee! Do diabła, Annie, odezwij się! — krzyczał. Może bierze kąpiel i nie słyszy.

W kuchni nie wytrzymał i zaklął. Musiała przeglądać jego album z fotografiami. Zamknął oczy. Kuchnia wręcz przerażająco przypominała kuchnię matki. Cholera, to nie do zniesienia. Wyszedł i ruszył na schody, przez całą drogę wykrzykując imię Annie.

Otwierał jedne drzwi po drugich. Każdy pokój był urządzony perfekcyjnie. Gdy zobaczył wielki czteroczęściowy plakat, nie miał wątpliwości, że to jego sypialnia. Miał takie łóżko jak to. Kapa w czerwonej kratę wykończona była falbaną. Dokładnie tak samo.

Na nocnym stoliku stało jego ulubione zdjęcie, gdzie był wraz z Maddie. Jego i jej fotele stały obok siebie. Dwa stojaki na pisma znajdowały się z boków foteli, przedzielonych oryginalną lampą od Tiffany’ego. Tutaj też kominek był przygotowany. Nad kominkiem wisiała również powiększona fotografia Petera wraz z rodzicami. Ojciec trzymał wielkiego sumy, on sam miał na wędce płotkę, a mama stroiła miny. Uwielbiał to zdjęcie. Jezu, Annie! Annieee!

To na teraz. Ten pokój nie należy do Maddie, ani do nich dwojga. Instynktownie wiedział, że Annie starała się jak mogła ulżyć jego obolałemu sercu.

Szlag by to, gdzie ona się podziewa?

Zbiegł ze schodów i wpadł do garażu. Powitała go pustka. Nie ma jej tu. Do cholery, nie ma jej! Jak to możliwe? Przecież mieli spędzać święta razem. Tylko kto to powiedział, zrodziło się w jego głowie pytanie. Zaprosiłeś ją? Czy poprosiłeś ją w jakiś szczególny sposób?

— Nigdy niczego nie przypuszczać, nigdy niczego nie zakładać — kipiał złością już w kuchni.

Nie miał nic innego do roboty, otworzył więc lodówkę. Jedzenie. Najróżniejsze rzeczy. Otworzył zamrażarkę. Zamrożone kolacje.

— Kaktus mi na dłoni wyrośnie, jeśli w Wigilię będę jadł sam mrożoną kolację — warknął. Zaciśnięta pięść walnęła o kuchenny stół. Spojrzał na prawniczą teczkę. Dokumenty domu. Zmiotł je na podłogę.

W piersi czuł ból, oczy piekły go nieznośnie. Przyszedł mu na myśl sklep i ból zelżał nieco. Annie przyjedzie późno. Poczul taką ulgę, że aż zakręciło mu się w głowie. Wykręcił swój dawny numer. W gardle go ścisnęło, gdy słuchał wiadomości Annie.

— Witaj w domu, Pete. Wesołych świąt. Mam nadzieję, że dom ci się podoba. Nie zapominaj codziennie podlewać drzewka. W stojaku powinna cały czas być kwarta wody. A to wiadomość dla ciebie, Maddie, gdybyś zadzwoniła. Nowy numer Pete’a jest następujący: 203-555-4632... Zadzwoń do mnie przed wyjazdem, Pete.

Płakał z powodu wszystkich tych „byłoby”, „mogłoby być”, „powinno być”. Gardło go bolało, gdy wreszcie wytarł nos w zwitek toaletowego papieru.

Nigdy niczego nie zakładać. Nigdy niczego nie przypuszczać. Myślał o Maddie i Annie i znów zbierało mu się na płacz. Potrzebuję cię, Barney.

Podszedł do telefonu i zadzwonił do wuja. Leo podniósł słuchawkę przy drugim sygnale.

— Dzień dobry Leo, mówi Pete. Wesołych świąt. Wiem, że jest późno, ale jeśli nie robisz nic specjalnego, każ przywieźć się tu szoferowi. Nie chcę być sam. Jak przyjedziesz, wytłumaczę ci, co się stało. — Słuchał głosu wuja i wiedział, że postąpił właściwie. — Wybacz, że zapraszam w ostatniej chwili. Możesz przyjechać?

— Już jadę, chłopcze.

Zasiadł z powrotem na kuchennym krześle. Czuł się jak balon na gorące powietrze, które powoli uchodzi. Patrzył na telefon w nadziei, że zadzwoni, ale aparat milczał. Poderwał się z krzesła w poszukiwaniu miejscowej książki telefonicznej. Znalazł ją wreszcie w jednej z

kuchennych szuflad i zaczął szukać kościołów. Dzwonił pod każdy numer, aż dotarł do znajdującego się stosunkowo blisko kościoła, w którym odprawiano pasterkę.

Leo będzie jego pierwszym gościem. Świąteczna kolacja. Najpierw jednak musi wnieść bagaże do swego nowego pokoju, potem położyć pod choinką wszystkie prezenty dla Annie. Przyniósł nawet podarki dla Maddie. Włożył je potem do szuflady komody. Miał też prezent dla Leo; chciał zawieźć mu go dzień po Bożym Narodzeniu.

— Co z ciebie za facet, Peterze Sorenson? Jaki to ma sens, jeśli nie da się prezentu na czas?
— odezwał się głośno.

Teraz będzie na czas. Na górze wrzucił bagaże do pokoju i znów zbiegł na dół. Już miał brać torby z prezentami, gdy spostrzegł kopertę Federal Expressu. Może to od Annie. Może od Maddie. Podniósł i sprawdził nazwisko nadawcy. Leo Sorenson. Rozerwał kopertę i wyciągnął drugą, długą i czerwoną. Karta świąteczna. Nie wysłał kart, nawet do Annie i wuja. Zwykła kartka, na której maleńka foczka patrzyła na niego łzawym okiem. Wewnątrz pod napisem „Pokój” znalazł podpis Leo. Na podłogę spadły dwa bilety lotnicze. Dwa bilety do Australii z otwartym terminem odlotu i przylotu. Podobna rezerwacja do BelFs Beach. Za — krzyczał jak małe dziecko. Gdy przestały mu się wreszcie trząść ramiona, przeszedł do choinki i ułożył pod nią wszystkie prezenty. Leo podskoczy na widok kowbojskiego stetsona. Dostanie ataku śmiechu, gdy zobaczy czerwone reniferowe skarpety i miękkie wełniane papucy.

— Zbierz się do kupy, Sorenson. To jest Boże Narodzenie i będzie tym, czym je uczynisz.

Niech to cholera, liczył na Annie, z góry cieszył się na spędzenie z nią jego ukochanych świąt. Gdzie ona jest, co robi? Nie chciał myśleć o Maddie.

Wytańił oczy rękawem jak w czasach dzieciństwa. Zaczął wybierać taśmę z bożonarodzeniowymi melodiami. Miękki głos Binga Crosby przepływał przez dom. Pete uniósł gwałtownie kciuk.

— Muszę rozmrozić indyka, zrobić nadzienie i upiec ciasto. Wesołych świąt wszystkim razem i każdemu z osobna! — wrzasnął.

* * *

Bajkowy zaśnieżony krajobraz należał do tych, które modni artyści uwieczniają na świątecznych kartkach. Wiecznie zielone rośliny z gałęziami uginającymi się pod jasnym puchem wydzielaly mocny, cierpki aromat. Srebrny półksiężyc kąpał pokryte śniegiem góry w rozedrganym świetle, dając wspaniałe widowisko. Rząd przycupniętych domów dla robotników wypluwał w górę spirale dymu. Potężna budowla stodoły piętrzyła się kwadratowym ciemnym zarysem pośród przeoranych hałd śniegu. Przymglony żółty poblask z zamarzniętych okien tworzył na jasnym podłożu łaciaty wzór.

Budynek główny — czy też duży dom, jak nazywali go zatrudnieni na ranczu — stał na warcie, jakby strzegł mniejszych zabudowań przed otaczającą cały teren ciszą.

Czas Wigilii.

W domu robotników sześciu pracowników i dwóch „miastowych lalusiów” grało w karty popijając czerwonego Johnnie Walkera. Pozostali pracownicy wyjechali na święta do Cheyenne. Grający w karty mieli jechać do miasta na Nowy Rok, gdy wrócą tamci. „Miastowi” mieli pozostać.

Wszystko było pozamykane na noc. Specjalne palenisko i ciepłe rury w ogromniastej stodole zapewniały zwierzętom ciepło i wygodę.

Wokół rancza panował spokój.

Duży dom także pogrążony był w ciszy, choć paliło się jasne światło. Pachniało dymem płonącego drewna i sosnowym aromatem. Stary dom, po którym chodziły przeciągi, pełen był skór, belkowanych sufitów i podłóg z szerokiej klepki.

Przytulone do siebie przed otwartym ogniem Maddie i Janny czciły święto domowym winem o energii muła.

— Za Boże Narodzenie i duże przychody w Czarodziejskich Opowieściach — odezwała się Maddie, unosząc kieliszek. — No i za akcje twojego Unitecu; niech idą w górę, w górę, w górę.

Janny opróżniła kieliszek.

— Czy ty nie potrafisz myśleć o niczym innym poza pieniędzmi? — spytała cierpko.

— A o czym miałabym myśleć twoim zdaniem? O Peterze? O jego drogiej, starej przyjaciółce Annie? O Nesterze? O tych mordercach? Poza tym, czy nikt ci nie powiedział, że Wigilia to jeden z najlepszych dni handlowych w roku? Utargi w okresie Bożego Narodzenia pozwalają detaliście utrzymać się na powierzchni i mieć się dobrze, kiedy obroty w ciągu całego roku są słabe.

— Ciekawe, czy u Merrilla Lyncha było przyjęcie — zadumała się Janny. — Kupiłabym nową sukienkę i rzuciłabym się na brokera, o którym ci opowiadałam. Na jego widok mrowiły mnie stopy. Poza tym też miał zaufanie do Unitecu.

Maddie pociągnęła łyk wina.

— Janny, zauważyłam, że przyjmujesz wszystko bardzo dobrze. Możesz mi to wytłumaczyć? — spytała z goryczą.

— Bo nie mam innego wyboru. Mogłam kryć się w Utah i że tak powiem, mieć odsiadkę, więc mogę to robić również tutaj. Po procesie podejmę decyzję. A ty z tym walczysz. Poddaj się wreszcie i przyjmij rzeczy takimi, jakimi są.

— Jesteśmy niewolnicami — odparowała Maddie. — Trzy razy dziennie gotujemy posiłki dla robotników na ranchu. O siódmej wieczorem jesteśmy tak zmęczone, że idziemy do łóżka. Poza tym musimy wstać o czwartej, by przygotować śniadanie. Dostajemy sto dolarów na tydzień, a powinniśmy być opłacane. Ale gdyby nawet, nie miałybyśmy gdzie wydać tych pieniędzy. Nie ma tu telefonu, nie ma telewizji, a radio gra tylko w niedzielny poranek. Z pewnością jest to przemyślane. Kopiemy się w śniegu i musimy czekać na odwilż. Przeczytałam wszystkie dziewięć wydań „Field and Stream” co najmniej po kilkanaście razy. Drugi raz czytam „Moby Dicka”. Całe akapity mogę recytować z pamięci. I jeszcze jedno — wypaliła. — Nienawidzę nazwiska Olive Parsons.

— Maddie, chciałabym, żebyś się trochę rozpogodziła. Codziennie wykonujemy te same czynności i to wszystko. Jestem zmęczona. Chcę iść spać. Jutro rano moja kolej robienia chleba. Może byś mnie zastąpiła i wyżyła się na chlebie. Maddie, mamy Wigilię, pokój na ziemi i życzliwość wobec ludzi. Żyjemy, jesteśmy zdrowe i bezpieczne. Mamy dach nad głową i pełne żołądki. Nie zamierzałam nic mówić, ale skoro ty nie możesz sobie z tym poradzić, chcę wystąpić o przeniesienie.

— Po tym, przez co przeszłyśmy? — wykrzyknęła Maddie piskliwie.

— Po tym, przez co przeszłyśmy z twojej winy. Tak!

— A Czarodziejskie Opowieści... Pete...

Janny usiadła i otoczyła ramionami kolana.

— Maddie, Czarodziejskie Opowieści nie są twoją własnością. To Pete wyłożył pieniądze, zapłacił za towar, zapłacił za czynsz. Tak, to prawda, wniosłaś swoje przygotowanie handlowe, tak, ty wszystko zorganizowałaś. Pete będzie jakoś sklep prowadził. Tak samo jak ja jest człowiekiem pieniądza. Wie, że pewnego dnia będzie to kwitnący biznes. Każdy, kto ma poukładane w głowie, może prowadzić sklep. A jeśli chodzi o Pete'a.... Rozmawialiśmy o tym

tyle razy, że nie wiem, czy wytrzymam jeszcze raz. On przeczeka. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się spodziewał, by ktoś taki jak Pete poddał się i... dołączył do nas w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu. Rusz głową. On cię kocha, ty kochasz jego. Jeśli wasza miłość jest dostatecznie mocna, będzie na ciebie czekał, aż wrócisz.

Twarz Maddie wykrzywiła się nieprzyjemnie.

— Domagałam się spotkania w cztery oczy, bo mam do tego prawo. Najwyraźniej odmówił spełnienia tej prośby. Nie ma zamiaru zabagnić sobie życia. Taka jest ta jego miłość. Komu on jest potrzebny?

W jej głosie brzmiała taka gorycz, że Janny aż się skurczyła.

— Czy to wszystko nie wiąże się czasem z istnieniem Annie Gabriel?

— Naturalnie, że tak. My tu rozmawiamy, a oni pewnie wymieniają prezenty. Leżą sobie przed kominkiem i piją wspaniałe wino. Może nawet idą razem do łóżka. Skąd mam wiedzieć, co tam się dzieje?

— Muszę przyznać, że nie brak ci wyobraźni.

— A co ty byś myślała?

— Myślę, że zastosowałabym do obojga zasadę tłumaczenia wątpliwości na ich korzyść. Stajesz się pełna nienawiści.

— Mam powody — odparowała Maddie. — Ciekawe, czy podpisał umowę na dom w Stamford. Jak myślisz, Janny?

— Według mnie wycofał się, bo posiadłość za bardzo przypominałaby mu ciebie. Czy to właśnie chciałaś usłyszeć?

— Zapytałam cię, jakie jest twoje zdanie. To znaczy, co ty osobiście o tym myślisz. Twoja kolej dołożyć do ognia.

— Zawsze jest moja kolej — wykrzyknęła niemal Janny. — Jutro od samego rana mam zamiar pilnować wszystkich moich kolejek. Jesteś cholernie leniwa, Maddie. Odpowiedziałam na twoje pytanie, a jeśli ci się nie spodobało, to twoje zmartwienie. Poza tym niedobrze mi się robi od rozpieszczania cię, ustępowania ci, wysłuchiwania twoich pomstowań i jęków, i nie mam zamiaru tego znosić. Robię wszystko, co mogę, by złą sytuację uczynić jak najlepszą. Nie muszę wysłuchiwać, jak co godzina ją pogarszasz.

— Przepraszam cię, Janny. Ja... ja nie mogę się pogodzić... Kocham Pete'a. Ty nie wiesz, co to znaczy. Nigdy nie byłaś zakochana.

— A więc to tak! — rzekła Janny podrywając się. Podbiegła do wieszaka na palta przy drzwiach wejściowych. — Idę do domu dla robotników i... W porządku, nie wiem, co będę robić, ale przynajmniej nie będę musiała ciebie słuchać. A dla twojej wiadomości, Maddie Stern alias Olive Parsons, byłam zakochana i wiem dobrze, jak to jest! Wiem nawet, jak cierpisz, bo tak samo cierpiałam, kiedy rzucił mnie dla jakiejś dziesiętnastoletki z silikonowymi implantami. Jeśli postanowiłaś sprawić sobie załamanie nerwowe, to bardzo proszę, ale beze mnie. Wesołych świąt, Maddie.

— Nie odchodź, Janny. Przepraszam cię. To przecież święta... to wszystko.

Janny otworzyła drzwi i podmuch lodowatego powietrza wdarł się do pokoju, wirując wokół Maddie.

— Nie dołożyłaś szczapy do ognia — zawołała.

— Nic mnie to nie obchodzi! — odkrzyknęła Janny. — A skoro już chcesz mówić na temat niewolnictwa, to właśnie ja od naszego przybycia tu jestem twoją niewolnicą. Zacznij pracować na siebie! Ty też możesz rano piec chleb. Przez ostatnie dwa dni ja to robiłam.

Drzwi zamknęły się z łomotem.

Maddie zawinęła się w swą ciężką kołdrę.

— Wesółych świąt, Maddie — zaskomlała.

Pete stał w wejściu do siedziby jednostki sił morskich. Wszystko w nim wrzało. Nic się nie zmieniło od dnia, gdy był tu po raz pierwszy. Gdyby sprawy się nie zawikłały, kilka tygodni temu obchodziliby pierwszą rocznicę ślubu.

Co on tu właściwie robi? Dlaczego przyjechał znowu, by rozmawiać z tymi ludźmi? Wiedział, co mu powiedzą, dlaczego więc się zadrecza? Przecież mogą go nawet wyprosić za drzwi.

Gdy jednak przedstawiał się i prezentował swą sprawę, był człowiekiem, który wie, po co przyszedł.

— Nie przyjmuję odpowiedzi odmownej. Albo będziecie ze mną rozmawiać, albo udam się do gazet. Mam też ze sobą list i chcę, by przekazano go pannie Stern. Żądam też zdecydowanie odpowiedzi.

Mężczyzna, do którego przemawiał, był równie wysoki jak on. W średnim wieku, z włosami mocno przyprószonymi siwizną. Potężny. Profesjonalista w szczytowej formie, ocenił Pete. Dokładnie tyle opalenizny, ile trzeba. I najostrzejsze, najbardziej przenikliwe spojrzenie, jakie kiedykolwiek widział. Pete wyciągnął dłoń w miażdżącym uścisku. Mężczyzna nie drgnął, był jednak zaskoczony.

— Sandor Neville — powiedział. — Proszę mi mówić Sandy.

Nie wyglądał na kogoś imieniem Sandy. Sprawiał wrażenie człowieka, który powinien nazywać się Duke lub Chuck.

Wojowniczość Pete'a zniknęła bez śladu. Ten facet wie, gdzie jest Maddie, lub też zna kogoś, kto wie, gdzie ją umieszczono. Zmrużył oczy.

— Posłuchaj pan, rok już upłynął, a ja nie dostałem słowa od Maddie. Nigdy mnie pan nie przekona, że ona nie chce zorganizowanego spotkania, albo że do mnie nie napisze. Czuję całym sobą, że trzymają nas w rozdzielaniu, że nie współpracujecie. Przeczytałem wszystko, co było do przeczytania o waszym programie, a tam powiedziane jest, że możecie zorganizować spotkanie w cztery oczy oraz przekazywać pocztę. Chcę wiedzieć, dlaczego nie zostało to zrobione.

— Kto panu powiedział, że nie zostało zrobione? — spytał zaciekawiony Neville. Mówił tak, jakby rozmawiał o pogodzie.

— Nie jestem durniem. Nikt się ze mną nie skontaktował. Nie dostałem żadnej poczty i... Jakże jeszcze muszę mieć dowody? — rzekł ze złością Pete.

Neville wzruszył ramionami.

— Czego właściwie pan chce?

— Chcę, abyście zaaranżowali rozmowę telefoniczną lub też nasze bezpośrednie spotkanie. Tylko niech mi pan nie wmawia, że tego nie można zrobić. Sprawdziłem. Chcę, żeby przekazano ten list — powiedział Pete, wyciągając długą białą kopertę. — Oczekuję odpowiedzi.

— Przekażę informację. To wszystko, co mogę zrobić.

— To właśnie powiedzieliście mi poprzednim razem. No i jestem tu znowu po roku, niemal w tym samym dniu — rzekł Pete cierpko.

— Panie Sorenson, nie przyszło panu do głowy, że panna Stern może nie chcieć kontaktować się z panem?

— Przyszło, ale chcę to usłyszeć od niej i chcę poznać powód. Czy tak trudno to wam zrozumieć?

— Nie całkiem, panie Sorenson. Jak powiedziałem, przekażę to dalej.

— Niech pan przekaże coś jeszcze. Albo w ciągu kilku dni zgłosicie się mnie, albo udam się do każdej gazety w Nowym Jorku i w Waszyngtonie. To nie pogróżka, to przyrzeczenie. A teraz, zanim stąd wyjdę, chcę wiedzieć, kiedy się do mnie zgłosicie. Chcę znać dzień i godzinę.

— W tej chwili nie mogę panu podać daty i godziny. Jednak jak tylko będzie możliwe, zadzwonię do pana. Proszę podać numer.

— Niech pan przekona ludzi — rzekł Pete bazgrząc numer telefonu sklepu na skrawku papieru — z którymi będzie pan rozmawiał, że mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem.

— Panie Sorenson, musi pan zrozumieć, że robiąc to, co pan sugeruje, może pan narazić życie panny Stern na niebezpieczeństwo.

— Zaryzykuję. Maddie tak by sobie życzyła. Znam ją. Coś dziwnego się tu dzieje. Jeśli dowiem się, kiedy dojdzie do rozprawy, że nie przekazujecie jej moich wiadomości lub nie przekazujecie mi wieści od niej, piekło się tu rozpęta, i nie obchodzi mnie, co z tego wyniknie dla waszej instytucji. Przebrała się miarka. Zrujnowaliście mi życie. Maddie też.

— Wygląda pan krzepko i zdrowo, panie Sorenson. Nie kwestionuję, że pańskie ego i dusza mogą być posiniaczone, ale nie może pan twierdzić z taką kategorycznością, że zrujnowaliśmy życie panny Stern.

Pete wolał wypaść z biura aniżeli dać upust swej furii wywołanej chłodną odpowiedzią funkcjonariusza.

W trzy dni później, po dwóch rozmowach przygotowawczych, powiadomiono go, że Maddie będzie z nim mówić o szóstej trzydzieści wschodniego czasu i że połączenie będzie z numerem Czarodziejskich Opowieści.

Przybył do sklepu już pod sam koniec sprzedaży przed Świętem Pracy. W zdumieniu patrzył na towary wylewające się niemal z półek. Annie doskonale radziła sobie z klientkami. Uśmiechnięta biegała sprawdzając asortyment, przyrzekając, że zamówi kolejne artykuły. Zauważył, że prowadzi skrupulatne notatki. W sklepie panował ożywiony ruch. Maddie byłaby bardzo zadowolona. Ciekawe, czy wciąż jeszcze potrzebne jej są Czarodziejskie Opowieści, czy też ma dość sklepu tak jak i jego.

Opustoszały magazyn był zamknięty, gdy dokładnie o szóstej trzydzieści telefon zadzwonił. Już po pierwszym dzwonku Pete przytknął słuchawkę do ucha. Głos jego brzmiał tak nisko i szorstko, że sam go ledwie rozpoznał. Usłyszał po drugiej stronie płacz Maddie.

— Pete, to naprawdę ty?

— Boże drogi, Maddie, nie mogę uwierzyć, że z tobą rozmawiam. Otrzymałaś mój list?

— Jeszcze nie. Powiedzieli mi, że potrzeba czasu, by go wysłać... by... jak tam oni to robią. Jak idzie w sklepie?

Nie „co słyhać, Pete, kocham cię, Pete”.

— Fantastycznie. Jak się czujesz, Maddie? Tęsknię za tobą!

— Dobrze. Cóż, żyję, jestem bezpieczna i zdrowa. Kupiłeś ten dom w Stamford? Próbuję wyobrazić sobie, jak w nim mieszkasz. Co zrobiłeś ze swoim mieszkaniem?

— Podnająłem Annie, a domu w Stamford nie kupiłem

— A...

— To byłoby dla mnie zbyt bolesne... Kupiłem jednak inny, w Darien. Jest bliżej i... leży nad jeziorem. Na zalesionej działce. Myślę, że ci się spodoba. Tęsknię za tobą, Maddie. Posłuchaj, zrobiłem wszystko, co mi przyszło do głowy. Przepraszam, że nie było mnie w domu, kiedy dzwoniłaś. Chodziłem i szukałem cię. Pewnie brzmi to dziwacznie, skoro nikt nigdy nie spenetrował programu. Uwierz jednak, że robiłem wszystko, co możliwe. Czy wiesz coś na temat procesu?

— Nie. To potrwa jeszcze trochę. Janny jest ze mną. Walczymy ze sobą cały czas — powiedziała wstrzymując szloch.

— Przykro mi, Maddie. Byłyście sobie bliższe niż siostry. Nie pozwólcie, żeby ta okropna sprawa stała między wami.

— Pete, powiedzieli mi, że mogę cię zapytać, czy chcesz... dołączyć do mnie. A więc?

No i ma to pytanie, którego się obawiał. Chce czy nie?

— Nie mogę, Maddie. Chcę, ale nie mogę. Będę czekał na ciebie bez względu na to, jak długo to potrwa. Kiedy wszystko się skończy, będziemy mieli nasze wspólne życie. Lepsze niż to, o którym zawsze rozmawialiśmy. Chciałbym usłyszeć od ciebie, że mnie rozumiesz.

— Rozumiem — odezwała się Maddie bezbarwnym głosem.

— Nie, chyba nie. Jestem w trakcie załatwiania ogromnie ważnej umowy. Sfinalizowanie zabierze mi co najmniej następne osiem do dziesięciu miesięcy. Trzeba myśleć o Czarodziejskich Opowieściach. Ale to wszystko niemal drobiazgi w stosunku do prawdziwego powodu, dlatego nie mogę do ciebie dołączyć. Leo jest w szpitalu. Miał ciężki atak serca, zwiedzieli mi, że wyzdrowieje. Mniej czy bardziej zasypaliśmy przepaść między nami. Nie mogę go zostawić i ukryć się.

— Chyba wszystko jest ważniejsze ode mnie.

— Nie, Maddie, to kwestia priorytetów. Wiem, że jesteś bezpieczna i zdrowa, i dziękuję za to Bogu. Leo potrzebuje mojej pomocy. Annie potrzebuje mnie w sklepie. Mam interesy. Leo je ma. Rozrywam się między wieloma sprawami. Mam zobowiązania, Maddie.

— Myślałam, że to ze mną jesteś związany.

— Jestem. Maddie, słyszysz, co powiedziałem?

— Marzyłam o tej rozmowie, każdego dnia modliłam się, abym znów mogła usłyszeć twój głos, a teraz wszystko to, o co się modliłam, jest... Dlaczego właściwie zawracaliśmy sobie głowę tą rozmową?

— Bo cię kocham — rzekł Pete. — Ludzie z różnych powodów bywają rozdzieleni. Mężczyźni idą na wojnę i kobiety czekają na ich powrót do domu. Z nami jest podobnie. Bez względu na wszystko będę czekał tu na ciebie. Czy mogę coś innego zrobić?

— Nie. Mój czas się kończy. Wiedziałam, że nie zgodzisz się przyjechać tu do mnie. Wiedziałam.

— Maddie, czy ty mnie jeszcze kochasz?

— Myślałam, że tak... a teraz nie wiem. Powinieneś być ze mną, Pete — załkała. — Wszystko mi odebrali, a teraz ty mówisz, że zrezygnowałeś z domu w Stamford, i że Leo, wuj, którego podobno nienawidzisz, stał się nagle ważniejszy ode mnie. Ważniejsze są twoje interesy. Co właściwie mam myśleć?

— Nie powiem ci, co masz myśleć. Mogę cię tylko prosić, byś starała się mnie zrozumieć. Będę czekał na twój powrót tak długo, jak długo to będzie trwało. Mamy całe życie przed sobą.

— Jesteś durniem, Pete. Może ja... to może trwać wiecznie. Nikt ci tego nie powiedział? — krzyknęła ostro. — Nie mów mi też, bym myślała pozytywnie. W moim życiu ani jedna przeklęta rzecz nie jest pozytywna. Równie dobrze mogłabym nie żyć. Słyszysz mnie, Pete? Równie dobrze mogłabym nie żyć!

— Maddie, na litość boską, przestań mówić takie rzeczy! Posłuchaj, poproś o adwokata. Powinnaś porozmawiać... Maddie, czy ty mnie słuchasz?

— A ty sobie wyobrażasz, że adwokat mi pomoże? Zdaje ci się tylko. Mnie nic nie pomoże. Chcę swojego życia, chcę tego, co było wczoraj. Wy wszyscy pozbawiliście mnie mojego życia. Tak, ciebie też o to obwiniam. Muszę kończyć. Nie prosź ich, by organizowali znowu rozmowę.

Pete wpatrywał się w trzymaną w rękę słuchawkę. Przeciągły sygnał stanowił jedyny dźwięk zakłócający ciszę sklepu. Pete w oczach miał szaleństwo, gdy Annie próbowała wyjąć mu słuchawkę z ręki.

— Spokojnie, Pete, odetchnij głęboko. Porozmawiamy, tylko nie tutaj. Obiecałam ci kolację i dobrego drinka. Chodźmy.

— Dokąd? — zapytał bezmyślnie. To nie była Maddie, którą znał i kochał.

— Chodź ze mną — powtórzyła biorąc go za ramię. — Nie zaczniemy rozmawiać, dopóki nie będziemy mieli przed sobą drinka. Pete, nie myśl o tym. To nie koniec świata.

Zarzęziło mu w gardle. Annie mocniej chwyciła jego ramię.

— Kiedy Leo poszedł do szpitala?

— Wieczorem. Całą noc i prawie cały dzień spędziłem w szpitalu. Myślę, że będzie dobrze. Szkoda, że nie widziałas wyrazu jego twarzy, gdy powiedziałem, że zostanę. Czuję... Czuję... to było tak, jak wtedy, gdy umierali moi rodzice... to ohydne uczucie, gdy nie wiesz, co się jeszcze stanie.

Po kilku minutach Annie wprowadzała go przez rozwarte szeroko drzwi do restauracji o nazwie „Samanta”. Wskazała w głąb i hostessa poprowadziła ich na koniec długiej, wąskiej sali.

— Dwa podwójne burbony z lodem — powiedziała Annie. Wyciągnęła paczkę papierosów, Pete wziął jednego, zapalił i zaciągnął się głęboko. — Spokojnie. Jak będziesz gotów do rozmowy, jestem tu, by cię wysłuchać.

— Nawet nie zapytała, jak się czuję — zaczął, gdy paliła już drugiego papierosa, a jej szklanka była prawie pusta. Drgnęła na widok bólu malującego się na jego twarzy. — Nie mogę uwierzyć, że kobieta, do której mówiłem, to Maddie. Było w niej tyle... tyle egoizmu, że... Czy myliłem się w stosunku do niej? Nie, lepiej nie mów.

— Zaczynaj od początku, Pete.

Przepowiedział sobie całą rozmowę, dopiero potem zrelacjonował ją Annie. Patrzył nad stołem, a na jego twarzy wyraźnie malowało się oczekiwanie na jakieś magiczne słowa, które wszystko uporządkują.

— Pete, musisz zrozumieć, co ona przeżywa. Nie wiem, czy zniósłabym to, co znosi ona. Nie wiem, czy ty byś zniósł. Nie myśli teraz logicznie. Oczywiście, że chce dnia wczorajszego. Wczoraj oznacza ciebie. Spotkanie z adwokatem to dobra myśl. Kiedy Maddie otrzyma twój list, z pewnością zażąda następnej rozmowy.

— Tak myślisz? — spytał bezbarwnym głosem. Wcale tak nie myślała, lecz kłamała dalej.

— Jak mogłaby nie chcieć z tobą rozmawiać? Przecież cię kocha.

— Ona chce wczorajszego dnia. Powiedziała, że wszystko zostało jej odebrane. Nie rozumie sprawy z domem w Stamford. Słyszałem w jej głosie gniew. Może uczepliła się tego kurczowo. No wiesz, mieliśmy zamiar tam mieszkać i żyć w szczęściu.

— Wierzysz w to, Pete?

— Nie — przyznał żałośnie. — Nie wydaje mi się, by Maddie tak bardzo ten dom lubiła. Starła się okazać przede mną, jak bardzo się nim ekscytuje. To dziewczyna z miasta. Dom to odpowiedzialność, a Maddie... Nie wiem, Annie, czegoś tam się domyślam i pewnie dochodzę do samych nieprawdziwych odpowiedzi. Co mam robić?

— Myślę, że musisz poczekać i zobaczyć, czy odpowie na twój list. Najwyraźniej ma pozwolenie na pisanie do ciebie, tamci muszą list prawdziwie i zająć się wysianiem. Ty rób, co do ciebie należy, jeśli chodzi o Leo, i prowadź dalej swoje życie. Jeśli mogę zrobić coś dla twojego wuja, powiedz mi tylko.

— Tak jakbyś miała kiedy. Nadal poświęcasz czas ojcu Albertowi kościołowi Dobrego Pasterza?

— Kpisz sobie ze mnie? — spytała Annie ozięble.

— Nie! Stajesz się taka drażliwa, że... Nie, nie kpię. Uważam, że wspomniałem jest to, co robisz.

— Nie powiedziałaś tego, kiedy dowiedziałeś się, że podarowałam do kościoła na święta wszystkie artykuły ze sklepu. Zwróciłam pieniądze.

— No i wściekłem się. Wkurzyłaś mnie. Przyjeżdżam spodziewając się, że spędzisz ze mną Boże Narodzenie, pełen oczekiwań w związku ze świętami, a ciebie nie ma. Myślałem, że coś ci się stało. Towary nie obchodziły mnie ani trochę, gwizdałem na nie. Powinnaś była zostawić mi list.

— A ty powinienesz być mnie zaprosić.

— Fakt. Będę cię informował o Leo. Czuję się podle.

— Wiem, Pete.

— Maddie kłóci się z Janny, a to niedobrze. Czy nie widzą, że jej potrzebna jest pomoc? Wiesz, co mnie najbardziej boli? Że bardziej interesują ją sprawy sklepu niż to, jak mnie się wiedzie. Czy to nie dziwne?

— Pete, pomyśl o tym, przez co ona przechodzi. Mówiła do ciebie, słyszała twój głos. Wie, że u ciebie wszystko dobrze, wie, że zainicjowałaś rozmowę. Nic nie wie o sklepie, więc zrozumiała, że zapytała. Jej reakcja na informację o Leo wywołana była frustracją. Musisz szerzej na to patrzeć.

— Powiedziała, że równie dobrze mogłaby nie żyć. — Popatrzył na Annie z dziwnym wyrazem twarzy. — Ty nigdy tak byś nie postąpiła, nigdy nie powiedziałaś czegoś takiego.

Annie wstrzymała oddech. Pete zaczyna czynić porównania. Zakręciło jej się w głowie.

— Nie miała tego na myśli. Nikt nie chce własnej śmierci. Jest wściekła i ja się jej nie dziwię. Właściwie to coś więcej i nie znajduję określenia, ale tak właśnie z nią jest. Kiedy będzie miała czas na przemyślenia, zrozumie, że jesteś równie mocno zraniony jak ona. Kto może powiedzieć, jak ja zareagowałabym w podobnej sytuacji? — Patrzyła w przestrzeń, unikając jego oczu.

— Nigdy nie wybaczy mi, że nie poderwałem się na propozycję dołączenia do niej. Słyszałem to w jej głosie. Nie chce, abym organizował rozmowy. Co ci to mówi? Myślę, że jest jeszcze jedna rzecz. Chyba kłamałem, kiedy powiedziałem, że będę... zawsze czekał. Kłamałem.

— Jest rozżalona, nieszczęśliwa, usiłuje sobie jakoś radzić, a ty nie wiesz tak naprawdę, że ci nie wybaczy. Znowu przyjmujesz jakieś założenia, Pete. Jeśli, jak powiedziałeś, skłamałeś, byłeś tak samo zestresowany jak ona — dokończyła bez przekonania.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— Dziękuję ci, Annie. Jesteś prawdziwą przyjaciółką. Gdybyś nie przyszła do sklepu, najprawdopodobniej bez namysłu dałbym się wciągnąć do handlu. Moje życie bez ciebie byłoby niepełne. — Przebiegł myślami wszystkie te lata. Napięcie i wzruszenie ścisnęły go za gardło.

— Porozmawiajmy o czym innym. Posłałeś do szpitala kwiaty?

— Nie, ale poślę. Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym wrócił do twojego mieszkania, wykapał się i przebrał przed powrotem do szpitala?

— Naturalnie, że nie. Opowiedz mi teraz o Leo.

Nie miał chęci mówić o Leo i nie wiedział właściwie, dlaczego. Może myślał o śmierci. Jeśli Leo umrze, Pete będzie miał przed oczami perspektywę własnej śmierci. Nie będzie już żadnych buforów. A przecież Leo nie jest taki stary. Jezu Chryste, on sam ma trzydzieści sześć lat! Niedługo połowę życia będzie miał za sobą. Myśl o tym zapiekła go tak mocno, że przelknął burbona jednym haustem. Ku zdumieniu Annie zaczął bełkotać.

— Czy masz pojęcie — rzekł, gdy się opanował — że mam za sobą połowę życia? Dokładnie teraz, w tym punkcie. Jestem na wpół odstrzelony.

— Chyba ustawia mnie to w tej samej kategorii — zauważyła Annie lekko. — Czy znaczy to, że mamy zacząć się denerwować i gryźć, czy też wyczyniać jakieś szaleństwa? Jak wtedy, gdy przewracaliśmy krowę. — Zaczęła chichotać. Pete popłakał się ze śmiechu.

Kocha tę kobietę, która siedzi naprzeciw niego. Mają tyle wspólnych wspomnień. Uderzyło go, że kocha Annie Gabriel w taki sposób, jak mężczyzna kocha kobietę. Żołądek skurczył mu się na tę myśl. Maddie Stern stanowiła w jego życiu interludium, które doprowadziło do obecnej chwili. Chryste Panie. Annie coś mówi, musi się skoncentrować.

— Kobietom trudniej się starzeć. Mężczyźni stają się dystyngowani, a kobiety po prostu się starzeją. Dlaczego mężczyźni, gdy dochodzą do czterdziestki czy pięćdziesiątki, pragną młodych, atrakcyjnych fizycznie dziewcząt? Wydaje im się, że dziewiętnastolatka jest... Czy nie mają świadomości, jak głupio wyglądają z tak młodą kobietą uwieszoną u ramienia?

Musi pomyśleć, porozmawiać z Barneyem. Stopa drgnęła mu gwałtownie. Palnął się mocno w kolano. Poczul ból i zaczął zastanawiać się, dlaczego zrobił coś tak głupiego. Oblał się potem. Annie czekała, by się odezwał.

— Chyba... przypuszczam, że usiłują zatrzymać swoją młodość — powiedział. — Ja tego nigdy nie zrobię. — Jezu, żeby mówić takie głupie rzeczy.

— Czasu się nie zatrzyma — ciągnęła Annie cicho. — Można wymyślać nie wiadomo co, można przeprowadzić operacje plastyczne, Mona się ubierać jak dziewiętnastolatek, ale człowiek będzie miał tyle lat, ile ma.

Jest śliczna. Nie, bardziej niż śliczna. Między śliczna a piękna. Ależ nie, jest piękna. Uwielbia, jak mruży oczy, gdy się uśmiecha. Uwielbia promienny uśmiech, który zawsze odbija się w jej oczach. Uwielbia jej energię i intelekt. Kocha Annie Gabriel. Pochylił się nad stołem, patrząc na nią w skupieniu.

— Annie, dlaczego my nigdy nie... no wiesz, dlaczego nie byliśmy razem?

Poczula, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Miała chęć krzyknąć. Teraz musi powiedzieć dokładnie to, co trzeba.

— Chyba nie chcieliśmy zniszczyć wspianiałej przyjaźni.

— E tam, to Dennis. Ty pierwsza się zaangażowałaś. Ja tylko trwałem w oczekiwaniu, że wykonasz jakiś ruch w moją stronę.

Wpatrzył się w bursztynowy płyn w kieliszku. To nie jest odpowiednia chwila ani miejsce. Potrzebny mu czas. Czas na...

— Dlaczego to ja miałam wykonać ten ruch? — spytała Annie. — Czy nie od mężczyzny oczekuje się, że go wykona? Poza tym nigdy mnie do tego nie zachęcałeś. Mogłabym... no wiesz, tylko kto chciałby być odepchnięty?

— Czy... czy nie robisz czasem tego samego, co zawsze mi zarzucasz?

— To znaczy?

— Zawsze mówisz, że przyjmuję założenia i przewiduję. Ty właśnie to robiłaś. Przyjęłaś założenie, że cię odrzucę.

— A nie zrobiłbyś tego? — spytała w napięciu.

— Nie wiem, tak samo jak i ty. To było kiedyś. Potrafisz być strasznie twarda, kiedy chcesz, wiesz o tym?

— Zdaje się, że weszliśmy na niebezpieczny grunt. Myślę, że powinniśmy coś zamówić, bo pijemy na pusty żołądek. Jeśli o mnie chodzi, jadłam dziś tylko wiejski serek.

— Daj spokój, to straszne — rzekł Pete przewracając oczami. — Zamówię ci największy stek, jaki ten zakład może nam zaproponować — dodał wielkodusznie, przy czym omal nie zrzucił ze stołu kieliszków szerokim gestem ręki.

— Nie, to ja cię zaprosiłam — zaprotestowała Annie. — To ja zamówię ci największy stek, jaki ma do zaproponowania ten zakład. I mnóstwo czarnej kawy. Mają tu dobrą szarlotkę.

— Nawet w połowie nie będzie tak dobra jak twoja — zauważył Pete lojalnie. Chciał powiedzieć coś znaczącego, ale czuł się otepiały.

— Prawdopodobnie, ale jak na restauracyjną ta jest niezła — odrzekła bez śladu fałszywej skromności.

— Bardzo dobrze układają się nasze stosunki, prawda? Od jak dawna się przyjaźnimy? Od zawsze, prawda?

Zawsze to zawsze. Pierwszorzędnie. Chciał jej powiedzieć... musi jej powiedzieć.

Annie dała znak kelnerce.

— Zupełnie, jakbym zawsze cię znała — powiedziała ostrożnie.

— Maddie i ja nigdy nie... od razu nawiązaliśmy romans. Powinniśmy najpierw być przyjaciółmi. Tak jak w przypadku ciebie i Dennisa. Trzeba zacząć od przyjaźni, bo inaczej nie ma się podstaw do budowania związku. Czy nie tak?

To właśnie są te znaczące słowa.

— Skąd wiesz, jak było ze mną i Dennisem? — spytała z gniewem. Starał się jak mógł, by zademonstrować rozwarłe szeroko oczy.

— Ponieważ sama mi powiedziałaś, panno Przemądrzalska. Skąd bym wiedział? Powinnaś mi była powiedzieć o tym, gdy poznałem Maddie. Co z ciebie za przyjaciółka?

Taka, odpowiadał sobie w duchu, która... która...

— Taka, która zajmuje się własnymi sprawami. Nie widziałam, żebyś wtykał nos w moje sprawy, gdy zaczęłam się spotykać z Dennisem.

— To dlatego, że nie jestem taki mądry jak ty. Ty jesteś mądra. Zawsze zachowujesz zdrowy rozsądek.

Znał ją dobrze i wiedział, że jest teraz w kąśliwym nastroju. Co takiego powiedział, że jej twarz przybrała ten dziwny wyraz?

— Zawsze masz na wszystko właściwą odpowiedź albo wskazujesz mi właściwy kierunek — powiedział. — Nigdy mnie nie zawiodłaś. Poza Bożym Narodzeniem.

— Nie zaprosiłeś mnie. Dajmy już temu spokój. Dwa befsztyki z polędwicy — zwróciła się do stojącej nad nimi kelnerki — pieczone ziemniaki, sos włoski, fasola szparagowa i migdały. Jeszcze kawa. Proszę ją przynieść teraz.

— Powinnaś powiedzieć mi, co chcesz, a ja bym to zamówił. To męska sprawa.

— Ja płacę rachunek, więc ja zamawiam. Godzinę by trwało, zanim byś się zdecydował — zachichotała. — Jesteś na wpół pijany.

— To twoja wina. Ty mnie tu przyprowadziłaś. Chcę roqueforta.

— Przecież nie cierpisz sosu z roqueforta — wypaliła Annie.

— Maddie lubi. Powiedziała, że nauczę się lubić. Masz rację, nie cierpię go.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zapytać, co właściwie mieliście ze sobą wspólnego?

— Czy to jedno z twoich podstępnych pytań? — zabełkotał Pete. Zobaczył niezadowolone na jej twarzy i spróbował wyprostować pomyłone ramiona, i spojrzeć jej w oczy. Chciał powiedzieć, że ją kocha, że zawsze kochał, ale był zbyt wielkim durniem, by zdawać sobie z tego sprawę.

— My... no... nasz seks był dobry. Lubimy... lubiliśmy te same filmy, wiesz, morderstwa i okrucieństwa. Obydwoje lubimy czytać w łóżku. Oboje lubimy... faszerowaną paprykę. Co jeszcze chcesz wiedzieć? Widzę z twojej twarzy, że nie uważasz tego wszystkiego za wystarczający powód, by się pobrać. Nie podobali mi się jej przyjaciele, jej nie podobali się moi. Jednak Janny lubiłem. Masz zamiar coś powiedzieć?

— Nie.

— Czy to znaczy, że masz to gdzieś?

— To nic takiego nie znaczy. Pete, myślę, że powinieneś zacząć się porządnie zastanawiać i nie przestawać, dopóki nie uporządkujesz sobie wszystkiego w głowie. To może nie moja sprawa, ale co Maddie sądzi o tym, żebyście wyjechali do Bell's Beach?

— Powiedziała, że pojedzie. Kiedyś. Ja wyjeżdżam, mówiłem ci? Leo dał mi bilet. Chce, żebym jechał. Deska jest przygotowana. Muszę tylko ustalić czas i datę. Jeśli będę chciał, żebyś pojechała ze mną, czy muszę wysłać ci wygrawerowane zaproszenie? Nie chciałbym popełnić takiego głupiego błędu, jaki zrobiłem ze świętami. — Wstrzymał oddech czekając na odpowiedź.

Poczuła narastające oszołomienie.

— Zaproszenie słowne wystarczy. Jest nasza sałatka.

Wyraz jej twarzy sprawił, że serce mu się uspokoiło.

— Dzięki Bogu, że to włoski sos — rzekł Pete nabierając z półmiska. — Nie masz nawet pojęcia, jak ja nie cierpię roqueforta.

* * *

Wpatrywała się chwilę w trzymaną w ręku słuchawkę, po czym odwiesiła ją. Omal nie zakręciło jej się w głowie, gdy wypuściła powietrze po wstrzymywanym oddechu. Kolana jej się trzęsły, gdy szła do kanapy, by usiąść. Jakes powiedział, że trafił na ślad Barneya.

— Zostawiłem wszystko, by skoncentrować się na tej sprawie — oznajmił. — Wiem, że to długo trwa, ale powiedziałem pani, że się nie poddam. Proszę trzymać kciuki. Wszystko mi mówi, że wkrótce uczynimy z Pete'a Sorensona szczęśliwego człowieka. Dzięki pani, Annie. Jak będę miał jakieś nowe wieści, zadzwonię. Proszę się nie martwić, nie zapomnę, e ma się pokazać z wielką czerwoną kokardą na głowie. Pete będzie panią wielbił na wieki za to. Do zobaczenia.

„Pete będzie panią wielbił na wieki”. Jak ona tego pragnie. Łzy wypełniły jej oczy. To ostatnia rzecz, jaką dla ciebie robię, Peterze Sorenson. Muszę rozpocząć wreszcie własne życie bez ciebie. Wiedząc, że jestem do tego zdolna, z pomocą Jakesa mogę to zakończyć. Czy ja tu jestem ta szlachetna, ofiara, czy kto właściwie? Nie wiem. Wiem natomiast, że nie dam rady z kolejnym świątecznym sezonem. Dzień Dziękczynienia, tak. Mam bardzo wiele powodów do wdzięczności. A potem do widzenia, Pete, i witaj świecie.

Szła do kuchni wstrząsana czkawką. Potrzebna jej teraz dobra, mocna kawa, doprawiona czymś wysokoprocentowym. Może tak wszystko w sobie nagromadziła, że powinna urządzić przyzwoitą popijawę z płaczem. Takim, gdy oczy puchną i stają się czerwone, a ona chrypnie od szloch. Nos poczerwieniałby jej od wycierania i zużyłaby całe pudełko chusteczek. Pożegnalny salut dla Pete'a Sorensona. A właściwie to pożegnanie z samą sobą.

Jednak sprawy miały wyglądać inaczej.

* * *

Pete wyszedł ze szpitala i pół godziny później dzwonił do jej drzwi.

— Nie wiedziałem, gdzie iść — powiedział złamanym głosem. — Leo umarł. Nie wiem, czy potrafisz sobie z tym poradzić.

Annie zacisnęła zęby, usiłując skupić spojrzenie na twarzy przyjaciela. Podjęła kolejny wysiłek i wprowadziła go do mieszkania. Nie dostrzegł jej stanu. Potrzebna mu była. Oczekiwał, że zareaguje we właściwy sobie sposób i znów uporządkuje jego sprawy. A co ze mną, krzychało

coś w niej. Zacerpnęła głęboko powietrza. Dzięki Bogu, nie wypła ostatniego drinka. Leżałaby teraz pod stołem.

— Pete, Bóg nigdy nie zsyła nam więcej, niż możemy znieść. Myślałeś, że nie zniesiesz zniknięcia Maddie, ale zniosłeś. Leo nie chciałby, abyś się teraz pogrążył. Zrobię świeżą kawę.

— Herbaty, Annie. Zrób mi herbatę. Moja matka zawsze robiła ojcu herbatę, gdy sprawy miały się źle. Herbatę z tostem. Coś lekkiego. Jedynie dzięki tobie mogę to znieść. Tylko dzięki tobie, Annie. — Wczesne promienie słońca wślizgiwały się przez kuchenne okno. — Ta herbata i tost to babskie gadanie — wymruczał Pete, gdy zjadł. — Nie czuję się ani odrobinę lepiej. — Nagle zauważył ściągniętą twarz Annie — Ty płaczesz? — spytał.

— Nie, niezupełnie. To smutne, kiedy ktoś schodzi z tego świata. Jestem pewna, że twój wuj przeżył dobrze życie, ale to jednak smutne. Jesteśmy tacy pewni wszystkiego, siebie, nas i wszystkich ludzi wokoło — powiedziała wskazując przez okno kuchni. — Żyjemy, jesteśmy zdrowi, więc świat to nie takie złe miejsce. Jest taki, jakim go uczynimy. Życie toczy się dalej bez względu na to, co się dzieje. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Wciąż mam twoje pełnomocnictwa. Mogę załatwić sprawy prawne. Chyba nie powinieneś się nimi zajmować.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ty zawsze znajdujesz doskonałe wyjście, Annie.

— Przyjmuję komplement. Czy chcesz, żebym zajęła się przygotowaniami do uroczystości pogrzebowych?

— Nie, ja to muszę zrobić. Wykąpię się i... jadę do New Jersey. Zamknij Czarodziejskie Opowieści.

— Dobrze. Chcesz, żebym z tobą pojechała?

— Jeśli... jesteś pewna, że chcesz? Rzeczywiście, zależy mi, żebyś ze mną pojechała. Przyda mi się twoje zrównoważenie.

W godzinę później wziął jej małą torbę.

— Jak to się stało, że nie korzystasz z dużej sypialni?

Odwróciła wzrok.

— Nie wiem. Chyba za wiele zachodu z przenoszeniem moich rzeczy z gościnnego pokoju. Jestem tu tylko tymczasowo.

Będzie musiał pomyśleć później nad tym, co powiedziała. Miał pewność, że jej słowa coś znaczą.

Popołudnie po pogrzebie Leo zastało Pete'a w gabinecie wuja. Annie siedziała za biurkiem z rozłożoną przed sobą ostatnią wolą Leo Sorensona.

— Opuść wywody prawne i przejdę do sedna sprawy.

Pete skinął głową.

— Dziedziczysz wszystko. Legaty dla służby. Wielka jednorazowa suma, sto tysięcy dolarów dla jego sekretarki i oczywiście emerytura dwa tysiące dolarów miesięcznie. Odchodzi teraz i będzie się zajmować swoimi kotami. Ten dom wraz z pełnym wyposażeniem przechodzi na ciebie. Jest tu też klauzula co do stałego utrzymywania... grobów twojej matki i ojca. Także jego grobu. Wszystkie akcje, papiery wartościowe i konta bankowe przechodzą na ciebie. Ma tu sześć kredytów, które trzeba będzie przedyskutować. Ubezpieczenie na życie pokryje podatki od nieruchomości. Ma połowę udziałów w firmie i wszystkie przechodzą na ciebie. To by było tyle. A to zapieczętowana koperta dla ciebie. Może zechcesz przeczytać ją w samotności. Zatrzaszczył się o wszystko. Złożył roszczenia do towarzystw ubezpieczeniowych. Powiedziałabym, że jesteś piekielnie bogatym człowiekiem. Byłabym zapomniała. Pieniądze na utrzymanie nieruchomości są odłożone, Leo prosi też, by wszyscy członkowie służby zostali zatrzymani aż do przejścia na emeryturę. Na to też został utworzony fundusz. — Annie złożyła testament, ujęła gumową opaskę i podała go Pete'owi. — Pójdę się przejść.

W ciepłym wrześnieowym powietrzu pomyślała, że Pete sprawia wrażenie bezbronnego i zagubionego. Instynkt mówił jej, by nie wracała do domu. Niech Pete zabiera się do roboty i radzi sobie ze swoim życiem. Ona musi zrobić to samo.

Cała praca przy wertowaniu testamentu Leo i wyjaśnianiu szczegółów prawnych uświadomiła jej, jak bardzo brak jej prawniczej praktyki.

Prowadzenie biznesu Maddie, choć samo w sobie przyjemne, po prostu jest nie dla niej. Problem w tym, czy powie to Pete'owi teraz, gdy jest tak przygnębiony, czy też poczeka na lepszą sposobność. A może posłuży się drogą oficjalną i wyśle pismo informujące.

Przysiadła na żelaznej ławce i zamglonymi oczami patrzyła na otaczający ją widok. Pięknie tu. Ciekawe, ilu ludzi trzeba, by utrzymać to wszystko. Czy Leo Sorenson czerpał radość z tego cudownego miejsca, czy też zbyt był zajęty, by wachać przysłowiowe róże. Prawdopodobnie to drugie.

Myślała o pogrzebie i setkach ludzi, którzy przystawali, by oddać mu szacunek. Kwiaty. Całe tony kwiatów przyjechały i ciągle przybywały, gdy procesja żałobna ciągnęła na cmentarz. Wielkie sumy pieniędzy przekazane zostały w imieniu Leo na szpital, na fundusze chorób serca i walki z rakiem. Niewiarygodnie szczodra darowizna została przesłana na dziecięcy całoroczny obóz. Jak powiedział obdarowany, Leo ufundował go wiele lat temu. Placówka nosiła nazwę Obozu Harry'ego i Jane Sorenson dla Dzieci Upośledzonych. Pete tylko wznosił oczy, gdy o tym słuchał.

Annie pacnęła muchę, uczepioną jej kostki. Czy Pete powie jej, co było w liście ze złotą pieczęcią?

Gdyby tylko...

* * *

Pete popijał kawę, którą przyniósł do gabinetu wuja. Teraz pokój jest jego. Błyszczące mahoniowe biurko, drogi skórzany fotel, w którym Leo dostał ataku, wszystko należy do niego. Oczy zapiekły go, gdy spojrzął na stojące na biurku Leo oprawione zdjęcie jego rodziców. Teraz to jego biurko i jego fotografia.

Rozerwał kopertę. Znalazł cztery arkusiki papieru i list na czerpanym papierze. Najpierw przeczytał list.

„Drogi Peterze

Gdy będziesz czytał ten list, mnie już na tym świecie nie będzie.

Pragnę powiedzieć ci tyle rzeczy, ale nie znajduję odpowiednich słów. Czuję, że powinienem zostawić ci coś więcej, nie tylko rzeczy materialne.

W swoim życiu mamy szanse i wybory. Bardzo żałowałem, że nigdy się nie ożeniłem. Domyślałem się, że powiesz, iż jestem mężczyzną stałym w uczuciach. Bardzo głęboko kochałem twoją matkę i nigdy nie spotkałem kobiety, która byłaby godna wiązać jej buty. Po jakimś czasie przestałem szukać. Nie chcę, by tak stało się z tobą. Gdybym mógł zejść z tego świata wiedząc, że znajdziesz kogoś obdarzonego wszystkimi wspaniałymi zaletami, jakie miała twoja matka, umarłbym szczęśliwy. Była ciepła, hojna, dobra, delikatna. Nigdy nie skrzywdziła żadnej żywej istoty. Otwierała siatkowe drzwi, by mogły wylecieć muchy. W przeciwieństwie do reszty ludzi nigdy nie pomyślała nawet o ich zabijaniu. Gdy się uśmiechała, uśmiech wypływał jej z serca i gościł w oczach. Podobnie jak uśmiecha się panna Gabriel. Była bardzo serdeczna.

Była taka chwila, gdy po raz pierwszy zobaczyłem twoją przyjaciółkę i pomyślałem, że znów widzę twoją matkę. Nie mówię o wyglądzie, tylko o przymiotach duchowych.

Trochę gubię się w słowach. Zapewne dlatego, że z wielką niechęcią piszę ten list, wiedząc, że gdy będziesz go czytał, dla mnie będzie już po wszystkim.

Dołączyłem spis oznaczonych liczbami rachunków bankowych w Genewie.

Dbaj o siebie, Peter. Żyj i nie oglądaj się za siebie. Rób, co dla Petera najlepsze i co najlepsze dla tych, których kochasz. Zwłaszcza dla tych, których kochasz. O tym jest cały ten list.

Dziękuję ci bardzo za wspaniałe Boże Narodzenie, które razem spędziliśmy. Wyobrażam sobie, jakie byłyby te święta, gdyby towarzyszyła nam panna Gabriel. Poza tym, to ona umożliwiła to wydarzenie. Otwórz oczy i serce, Peter.

Z wyrazami miłości Leo”

Ręce Pete’a zacisnęły się na oparciu fotela, w którym siedział, i szeleszczący papier spłynął na podłogę. Czuł ucisk w gardle, w ustach mu zaschło.

To był okropny tydzień. Najpierw niemiła rozmowa telefoniczna z Pete'em, potem powrót do tego więzienia i radzenie sobie z codziennymi problemami. Otrzymała też list, który przyszedł po ich rozmowie.

— Nie jest ci zimno? — spytała Janny ze zdumieniem. Ubrana w gruby żakiet, z rękawicami ogrodniczymi z wełnianym podbiciem na rękach, przycinała wiecznie zielone krzewy przy frontowym ganku. Pewnie nie były to wcale rękawice ogrodnicze, tylko robocze, ale znalazła je w stodole i skonfiskowała dla siebie.

— Czy masz na myśli mnie, czy moje serce? Jak może być zimno martwemu człowiekowi? A ja przecież jestem martwa, tyle że brak mi rozsądku, by położyć się i mieć to z głowy. Co ty robisz?

— Przycinam te krzaki. A może to krzewy? Jest coś innego do zrobienia, a ja lubię się czymś zajmować. Powinnas spróbować coś robić, a nie tylko uzalać się nad sobą. To się nie zmieni i musimy uczynić z tego, co się da.

— Tak jak ty z tymi robotnikami — warknęła Maddie.

— Tak. Lubię rozmawiać z nimi i grać w karty. To wszystko, co robimy. Nie cierpię być z tobą, bo mnie przygnębiasz.

No i powiedziała to. Wreszcie.

— Czy teraz zaczniesz mnie obwiniać o to, co się stało?

— Nie. Powiedziałam tylko, że działasz na mnie przygnębiająco. Nigdy się nie odzywasz, jeśli ja pierwsza nie otworzę ust. Narzekasz i skarżysz się, a ja nie mogę znieść twych nieustannych płaczów i jęków. Musimy spędzić ten czas najlepiej jak potrafimy i cieszyć się na dzień, gdy wszystko się skończy.

— A kiedy, może mi powiesz, twoim zdaniem to nastąpi?

— Nie wiem, Maddie. Wiem tylko, że nastąpi i nie mam zamiaru siedzieć tu z palcem w gębie.

— Łatwo ci mówić. Co ty właściwie straciłaś? Pracę, nic więcej. Ja straciłam Pete'a, interes, małżeństwo. Wszystko — rzekła Maddie z goryczą.

— To nie była tylko praca. To była moja kariera. Wiem, że dopięłabym swego. Miałabym wyniki. Poza tym, panno Stern, musiałam odłożyć marzenia o odnalezieniu matki. To się liczy, Maddie. Bardzo. Przez całe życie marzyłam, by to robić, a teraz nie mogę. Kiedy pewnego dnia skończy się to wszystko, mam nadzieję odnaleźć ją. Nie pozwolę, by zniszczono moje życie. Życie trwa, Maddie. Żyjemy i mamy się dobrze.

Tyle razy wygłaszała już ten monolog, że wprost mdliło ją od tego. Kim jest ta osoba, która siedzi na ganku, trzęsąc się z chłodu, bo nie widzi sensu w nakładaniu żakietu?

— A więc rób mi wyrzuty, przyjmę je — rzekła Maddie słabo.

— Nie, problem w tym, że ty tego nie potrafisz. Potrzebujesz pomocy. Myślę, że powinniśmy poprosić tego z opieki społecznej o zabranie cię na rozmowę do psychiatry. Pewnie nam obu przydałaby się jakaś porada. Założę się, że tobie na pewno. Wystąpię z tą prośbą. Potrzebna ci pomoc, Maddie, i nie mówię tego ot tak sobie.

— Myślisz, że zwariowałam? — wykrzyknęła Maddie.

— Nie, nie uważam, że zwariowałaś, myślę jednak, że musisz z kimś porozmawiać, zanim znajdziesz się na krawędzi. Potrzebna ci fachowa pomoc. Mnie też. Mam tę świadomość, dlaczego ty nie?

— Bzdury! Myślisz, że za każdym razem, kiedy facet rzuca dziewczynę, ona musi chodzić do psychiatry? Tak właśnie twierdzisz. Ludzie codziennie tracą interes, a czy szukają profesjonalnej pomocy? Wątpię. Dlaczego ze mną ma być inaczej?

— Nasza sytuacja to zmienia. Ty jej nie akceptujesz.

— A ty akceptujesz? — rzekła cierpko Maddie.

— Znacznie bardziej niż ty. Nie poznaję cię, Maddie — rzekła cicho Janny. — I wiesz co? Ani trochę nie mam za złe Pete'owi, że tu nie przyjechał. Jesteś taką egoistką! Pozwoliłabyś, by sklep się zawalił, by Pete zrezygnował ze swego biznesu, abyś tylko ty miała to, co chcesz. Maddie, pora, byś dojrzała, w taki sposób nie załatwia się spraw w realnym świecie. To kiedyś się skończy, a ja wierzę, że Pete będzie czekał na ciebie, tak jak powiedział. To jest coś, na co można się z góry cieszyć, ale ciebie to nie obchodzi, no nie? Jeśli zrobi to, co mu powiedziałaś, to będzie twoja wina. Wiem, że się powtarzam, ale musisz dorosnąć, Maddie.

— Odchodzę — rzekła cicho Maddie, trzymając kurczowo w ręku list Pete'a. Czytała go pięć razy i każde słowo znała na pamięć. Odrzuciła kartkę od siebie, gdy weszła do domu.

Osunęła się na kanapę.

Olive Parsons. Nawet z tym nawalili. Sześć miesięcy temu odkryli swój błąd i przydzielili jej inną tożsamość, mówiąc, że w swych pośpiesznych usiłowaniach zadowolenia jej, wstawili do komputera niewłaściwe dane. Jak się zdaje, istnieje prawdziwa Olive Parsons, tak powiedział jej bojaźliwie pracownik opieki socjalnej. Janny mówiła, że tego dnia Maddie wpadła w szal: krzyczała i jęczała, z oczami uciekającymi w głąb czaszki. Przez kilka następnych dni przewinęła się u nich parada ludzi przeproszających i usiłujących wytłumaczyć jej, że musi mieć nową tożsamość i że powinna zwrócić wszystkie stare dokumenty, które zostały jej wydane. Odmówiła, i gdy wieczorem Janny poszła spać, spaliła wszystko na podwórku z tyłu domu w puszcze po smalcu. Pewnego dnia ona też będzie ich tak pieprzyć, jak dziś oni mają ją gdzieś. Dobry Boże, zaczyna już myśleć i mówić jak kryminalistka.

Zrobiła sobie herbatę, przeniosła do salonu, gdzie wygładziła list Pete'a i znów zaczęła go czytać.

„Najdroższa Maddie,

Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Powiedziano mi, że miałaś pozwolenie na pisanie do mnie. Więc dlaczego nie pisałaś? Muszę wiedzieć. Jeśli oni się wywiążą z obietnicy, to pewnie zanim otrzymasz ten list, będziemy ze sobą rozmawiać. Miejmy nadzieję, że uda nam się wszystko jakoś poukładać.

Tak wiele mam ci do powiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć. Zrezygnowałem z domu w Stamford. Nie wydaje mi się, bym mógł być tam szczęśliwy bez ciebie. To tylko dom, Maddie. Kupiłem inny w Darien. Annie urządziła mi go i jest bardzo ładny. Nazywa go moim gniazdkiem. Musiałem coś zrobić, bo Annie potrzebowała mieszkania, a łatwo przyszło mi oddać jej moje, skoro wiążą się z nim nasze wspomnienia. Absolutną torturę stanowiło dla mnie wchodzenie tam ze świadomością, że cię nie będzie, gdy przyjadę do miasta.

Pogodziłem się z wujem. Zaprosiłem go na Boże Narodzenie. Nie chciałem być sam. Byłoby to nasze pierwsze Boże Narodzenie jako pary małżeńskiej. Miło spędziliśmy czas z Leo i poznaliśmy się lepiej.

Nie uwierzysz, jak dobrze idzie sklep. Annie to czarodziejka. Ma dobrą kierowniczkę i lubią ją klientki. Nie próbuje zająć Twojego miejsca, będzie tam tylko dopóki Ty nie wrócisz. Chciałbym ci powiedzieć, że sklep znalazł się w najlepszych rękach, tak że nie musisz się o nic martwić.

Boże, jakbym chciał wiedzieć, gdzie jesteś. Wiele innych rzeczy też. Myślę wciąż o Tobie i o tym, jaka byłaś zawiedziona, że nie było mnie w domu, gdy dzwoniłaś. Ale starałem się Ciebie odnaleźć. Policja nic mi nie powiedziała. Wynająłem prywatnego detektywa, ale federalni milczą jak grób. Robiłem wszystko co możliwe. Dopiero co dowiedziałem się o pisaniu listów i o możliwości rozmów telefonicznych. Powiedzieli mi, że powinno to być Twoją inicjatywą i zastanawiam się teraz, dlaczego z nią nie wystąpiłaś. Czy straciłaś wiarę we mnie? Przestałaś mi ufać?

Maddie, będę na Ciebie czekał. Tak długo, jak długo będzie to trwało. Jeśli Twoja miłość jest tak silna, jak wierzę, przetrwamy. Muszę mieć od Ciebie wiadomości. Muszę znać Twoje uczucia.

Z wszystkiego, co czytałem w dokumentach oraz z moich kontaktów w biurze prokuratora okręgowego wynika, że sprawa jest coraz lepiej przygotowana. Spodziewają się, że do procesu dojdzie w połowie przyszłego roku. To nie tak już długo. Niecały rok, Maddie. Jeśli uda im się doprowadzić do upadku rodziny, Twoje życie znów będzie należeć do Ciebie. Będziemy mogli zacząć tam, gdzie przerwaliśmy. Z jednego z moich źródeł dowiedziałem się, że te kreatury robią wolte, usiłując pójść na układ. Oznaczałoby to, że nie pozostanie nikt, kto chciałby Cię skrzywdzić po procesie. Takie jest moje zdanie.

Wiem, że pewnie nie masz chęci tego słuchać, ale muszę powiedzieć, że to miasto będzie dla nas wszystkich znacznie bezpieczniejsze. Dzięki Twojej odwadze inni też znajdą w sobie męstwo, by zdobyć się na powiedzenie tego, co wiedzą. To jest trudne, ale wytrzymaj jeszcze trochę, Maddie. Już wkrótce.

Moja miłość do Ciebie jest niezmienna. Dbaj o siebie i myśl o mnie. Myśl też o tym, jak promienna będzie nasza przyszłość, gdy to wszystko się skończy.

Kochający Cię Pete'

— A ja myślałam, że prawnicy powinni być sprytni — mruknęła Maddie. — Jeśli bodaj przez chwilę wierzysz, że będziemy mieć promienną, cudowną przyszłość, to chyba oszalałeś. Gdybyś mnie kochał, byłbyś tutaj i mówił mi to wszystko osobiście. Wtedy mogłabym ci uwierzyć. Listy się nie liczą. Liczy się tylko obecność przy mnie. Tak, Peterze Sorenson, tak.

— Martwię się o ciebie, Maddie — powiedziała wieczorem Janny po skończonym zmywaniu.

— Nie masz się co martwić. Zanim sprawa trafi do sądu, zostaną ogłoszona osoba, która nie może być świadkiem, i moje zeznania nie będą potrzebne.

Janny opadła szczeka, a brwi podskoczyły do góry ze zdumienia.

— Więc po co to wszystko?

— Nie będą już mnie potrzebować. Pete mówi w liście, że ci wszyscy przestępcy, należący do rodzin, zmieniają front i idą na układy. Janny, nie próbuj tego zrozumieć, to wszystko na nic. Gdy nadejdzie czas, by iść do sądu, nawet nie będę potrzebna. I po to zrujnowali mi życie. Twoje zresztą też, tylko nie chcesz tego przyjąć do wiadomości.

— Maddie, ja patrzę na to inaczej. Dla mnie życie się tylko na pewien czas zatrzymało. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że jesteś w bardzo niedobrym stanie emocjonalnym i nie potrafisz jasno myśleć. Przykro mi, że nie chcesz wystąpić o fachową pomoc, bo uważam, że jest ci potrzebna. Sugerowałabym ci teraz, byś spytała, czy możesz zadzwonić do Pete'a. Chyba miło byłoby życzyć mu szczęśliwego Dnia Dziękczynienia. Wiesz, bądź wdzięczna za to, co masz, bo alternatywę stanowi coś, o czym nie chcę nawet myśleć.

— Odczep się, Janny — rzekła Maddie nieprzyjemnie.

Po powrocie do kuchni Janny pociągnęła za ramię szeryfa Parkera McNally'a.

— Muszę z panem pomówić — oświadczyła cicho. — Wyjdźmy stąd i przejdźmy się trochę.

Uważała, że jak na funkcjonariusza federalnego jest porządnym człowiekiem. Tęsknił za rodziną i nienawidził swego obecnego zajęcia. Był wysoki, barczysty, zręczny i schludny. Starła się udawać, że nie widzi kabury z pistoletem z tyłu spodni. Skupiła się na jego poświęceniu, ciepłej twarzy i wielkich uszach, o których sam mówił, że stanowią dla niego przekleństwo na całe życie. Opowiadał, że ożenił się z najbardziej uroczą dziewczyną w Teksasie i ma trzy najpiękniejsze w świecie córki. Jego przydział trwał od sześciu tygodni i opiewał jeszcze na trzy.

— Mam nadzieję, że nie ma pani zamiaru powiedzieć mi, że Unitec leci w dół — odezwał się tonem dobrodusznego zrzędy.

— Nic aż tak interesującego. Martwię się o Maddie. Ona potrzebuje pomocy. Musi pan do kogoś zadzwonić i powinien pan to zrobić dzisiaj. Nie jestem psychiatrą, ale znam Maddie i widzę, że stacza się psychicznie nad krawędź. Zadzwoń pan?

— Jest pani pewna? Rozmawiałem z nią wczoraj i była w swoim zwykłym przykrym nastroju. Nie zauważyłem żadnych... problemów psychicznych.

— Nie zna jej pan tak jak ja. Przynajmniej myślałam, że ją znam. Jeśli się mylę, co złego się stanie? Najwyżej jakiś psychiatra będzie musiał przedzierać się przez te śniegi i jeść moje pichcenie. Ale nie chciałabym... dowiedzieć się potem, że przegapiłam jakieś sygnały i Maddie... znalazła się nad przepaścią.

— Dlaczego pani to wytrzymuje, a ona nie może? — spytał McNally pewnie setny już raz.

— Ja nie byłam zaręczona i nie miałam wychodzić za mąż. Nie otworzyłam milionowego biznesu i nie mam narzeczonego.... Narzeczonego, który nie chce do mnie przyjechać. To jest wyjaśnienie. Poza tym wciąż mam tę samą tożsamość, którą dostałam na początku. Mam ją stale, i przecież pan o tym wie. Zgadza się z nią, że ten program nie jest dla nas. Nie poświęciliście czasu na to, by sobie to uzmysłować. Wiem, że sprawy potoczyły się szybko, a wy robiliście wszystko co w waszej mocy. Ale to było za mało i nadal nie wystarcza. Poczyniono nam pewne obietnice i te obietnice nie zostały dotrzymane. Nic nie było w porządku i nadal nie jest. Mam wam to za złe równie mocno jak ona.

— Ale pani jakoś sobie z tym radzi.

— Myślę, że miałam mniejsze oczekiwania niż Maddie. Jestem osobą prostą. Chciałabym być pewnego dnia bogata, ale bardziej jeszcze pragnę być zadowolona. Chcę mieć rodzinę, bo nigdy jej nie miałam. Moim zdaniem to bardzo duże oczekiwania, ale nie dotyczą pieniędzy. Maddie przelicza wszystko na dolary. Zadzwoń pan?

— Tak. Ale nie mam pojęcia, kogo by tu w przeddzień święta poderwać — rzekł McNally z głęboką zmarszczką między brwiami.

— Chyba będzie musiał pan zdobyć się na nieustępliwość. Wydaje mi się, że to podstawowa sprawa. Jeśli Maddie coś się stanie, przysięgam na Boga, że osobiście przejdę całą drogę do Cheyenne i wywalę wszystko przed pierwszym reporterem, który zechce mnie wysłuchać. Wszyscy tutejsi robotnicy pomogą mi. Chyba pan o tym wie?

— Tak, wiem.

— Więc niech im pan powie, żeby przysłali tu jutro psychiatrę. Mogą przylecieć helikopterem i wylądować na polu.

McNally poczuł się zupełnie zagubiony. Wierzył we wszystko, co powiedziała Janny, wiedział jednak, że spotka się z setkami pytań, a nie miał pojęcia, jak sobie z nimi poradzi.

— Mam im powiedzieć, żeby przysłali kobietę czy mężczyznę?

— Nie wiem, czy dobrze będzie, jeśli przyjedzie kobieta. Maddie zobaczy, że jest dobrze ubrana, może wykonywać swój zawód, może przyjść i wyjść wedle własnego uznania. To wszystko ją przygnębi, przynajmniej tak mi się wydaje. Myślę, że lepiej, by był to mężczyzna, Tak, to powinien być mężczyzna. Ma pan jakieś pomysły? — spytała.

— Nie. Przekażę im, co pani powiedziała i co pani proponuje.
— Może powinien być to ktoś w ojcowskim typie. No wie pan, ktoś starszy.
— Chyba tak — rzekł McNally z ulgą, że ma do powiedzenia coś, co nawet według niego brzmi rozsądnie.

* * *

Sandor Neville brał udział w konferencji telefonicznej z prokuratorem generalnym oraz okręgowym prokuratorem Manhattanu w biurach jednostki sił morskich. Słowo po słowie przekazywał to, co słyszał od McNally'ego. Zapalał papierosa słuchając, jak obaj prokuratorzy wymieniają uspokajające za i przeciw żądaniu. Jego myśli błądziły daleko. Zastanawiał się, czy żona poda jutro ciasto z dynią czy też z jabłkami. Chyba jednak nie miało to znaczenia, gdyż z dobiegających go strzępków zdań wnioskował, że przez najbliższe dni nie pojedzie do domu.

Pomyślał o Maddie Stern. Żał mu jej było. Szkoda, że nie może nic zrobić dla tej młodej kobiety. Ciekawe, czy Pete Sorenson będzie sam w Dniu Dziękczynienia, czy też ma z kim go spędzić. Zapalił drugiego papierosa. Strząsał popiół nad popielniczką, gdy prokurator generalny wyraził zgodę na wysłanie do Jasper Springs psychiatry, którego wybierze Neville. I gdzie też on, do ciężkiej cholery, ma właściwie znaleźć w przeddzień święta psychiatrę? Z książki telefonicznej? Tak, pewnie, od tego trzeba zacząć.

Zadzwoił do żony i powiedział, by nie czekała z kolacją.

Następnego popołudnia lekki śnieg przywiał biało — niebieski helikopter, który usiadł na polu rancza za Jasper Springs. Parker McNally czekał na pasażera, który na jego oko prezentował się nędzniej od kastrowanego byka. Policjant zaklął tylko cicho.

Psychiatra nie miał ojcowskiego wyglądu. Już raczej przypominał dziadka, a może nawet pradziadka. McNally spodziewał się usłyszeć głos szorstki i zgrzytliwy, jak tarcie zeschniętych liści, a nie głos ciepły i miły.

— Przemarżłem do szpiku kości — rzekł doktor Phillips z lekkim chichotem na powitanie. — Proszę mi powiedzieć coś o pacjentce.

— Nie mówiliśmy jej o pana przyjeździe. To na początek. Czy rzeczywiście zaprzysięgli pana jako urzędnika sądowego?

— Tak, na lotnisku. Poczułem się ważny — odparł lekarz. — To okazało się niezbędne dla zapewnienia zachowania tajemnicy. Nawiasem mówiąc nie było to wcale konieczne, bo jestem związany przysięgą Hipokratesa, ale zgodziłem się, by wszyscy poczuli się lepiej. — Zachichotał ponownie, gdy samochód jechał przez pokryte śniegiem pola. — Proszę mi teraz powiedzieć to wszystko, co pan może, o mojej pacjentce.

McNally zdał lekarzowi pełne sprawozdanie. Kącikiem oka rejestrował, jak stary człowiek kilkakrotnie potakuje w milczeniu głową.

— Ona może zrelacjonować panu wszystko, co znajduje się na każdej stronie katalogu Searsa — rzekł głosem pełnym zdumienia.

— Zdziwiałające — powiedział tylko lekarz. — Jak mam się do niej zwracać? Panno Parsons, czy też dali jej już inne nazwisko?

McNally wzruszył ramionami.

— To właśnie stanowi część problemu. Powiedziano jej, że nie może być Olive Parsons, gdyż komputer popełnił błąd i prawdopodobnie istnieje gdzieś prawdziwa. Nie zgodziła się przyjąć nowego nazwiska. Jest wściekła.

— Nie dziwię się jej — rzekł lekarz.

Mc Nally mówił dalej, lekarz słuchał. Nie zadawał już żadnych pytań. McNally uznał to za dziwne, ale przecież nic na temat psychiatrii nie wiedział.

Gdy przyjechali, dom pachniał cynamonem i jabłkami. Janny piekła szarlotkę z wyciągniętych z piwnicy jabłek.

McNally dokonał prezentacji i wraz z Janny wycofał się dyskretnie do kuchni.

— Czy pan jest psychiatrą? — spytała Maddie zaznaczając miejsce w katalogu przez złożenie stron. Była właśnie przy sankach marki Flexible Flyers.

— Tak — potwierdził doktor Phillips, zasiadając na krześle przy kominku. — Powiedziano mi, że potrzebny pani ktoś z zewnątrz, z kim mogłaby pani porozmawiać. Z przyjemnością pomogę, jeśli będę mógł. Jeśli nie jest pani przygotowana lub jeśli chce pani, bym odszedł, odejdę, decyzja należy do pani, panno... Stern.

— Czy nie powiedziano panu, że nie jestem już Maddie Stern? — Spytała bezbarwnym głosem.

— Owszem, ale powiedziano mi również, że nie jest już pani także Olive Parsons. W moim wieku człowiek łatwo się płacze, wolę więc pozostać przy tym, kim pani jest naprawdę — rzekł lekarz i zachichotał.

Maddie wpatrywała się w sanki z katalogu.

— Skoro przyjechał pan tu, by ze mną porozmawiać, to nie sądzę, by mógł mi pan pomóc. Mam dość rozmów. Nikt nie słucha, nikogo to nie obchodzi. To nie moje miejsce. Pan tego nie zmieni, więc uważam, że to nasza wzajemna strata czasu. A co pan sądzi?

— Uważam, że zbyt wcześnie na robienie tego rodzaju założenia. Bardzo chciałbym, by odniosła pani pożytek z mojej długiej praktyki. Mogę się pochwalić, że nigdy jeszcze nie straciłem pacjenta.

— W jaki sposób?

— W tym piekle, w którym są odcięci od reszty świata.

— Są takie dni, gdy wydaje mi się, że tracę rozum. Może już go straciłam, ale tego nie wiem — rozpoczęła Maddie cicho.

— A więc mamy początek. — Lekarz uśmiechnął się.

— Znam ten katalog od deski do deski — rzekła Maddie.

— Co to ma pani dać? W przyszłym roku będą nowe rzeczy i zmienią się numery stron.

Spojrzała na lekarza. Kogoś jej przypominał, tylko nie wiedziała kogo. Może aktora filmowego. Rzeczywiście, Fernando Lamas. Dystyngowany, ze srebrzystą siwizną włosów i wąsami. Uśmiechu w oczach nie sposób było nie zauważyć.

— Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Mam nadzieję, że do przyszłego oku nie będę korzystała z tego katalogu dla rozrywki.

— A to dlaczego?

— Do tego czasu powinno już być po procesie i będę... kimś innym. Tak myślę, choć nie wiem na pewno. Pewników nie ma. Wie pan o tym, prawda?

— Ależ są — zachichotał lekarz. — Śmierć i podatki.

Maddie zamknęła katalog.

— Zgubiłam swój szlak, doktorze i nie mogę znaleźć drogi powrotu. A chcę tego i jest mi to potrzebne.

Nie powstrzymała już potoku słów. Od czasu do czasu Phillips kiwał głową, by dać jej poznać, że słucha i nadaża. Przypatrywał się uważnie, jak Maddie pije kawę i ociera pot z czoła. Gdyby był sam, zapłakałby nad jej cierpieniem.

Na dworze zrobiło się już ciemno, gdy przerwała i rozejrzała wokoło. W pokoju panował mrok, rozświetlony nieco tylko ogniem z kominka. Wstała i zapaliła lampy.

— Zdaje się, że straciliśmy kolację.

— Nie szkodzi. Możemy zjeść później. Proszę mi powiedzieć, czego pani chce. Co dałoby pani możliwość pozbierania się? Gdyby mogła pani zrobić to właśnie teraz, dzisiaj, co by pani zrobiła?

— Chciałabym założyć płaszcz i odejść stąd.

— Jako?

— Jako Maddie Stern.

— I?

— Wrócić do Nowego Jorku, wrócić do dawnego życia i skorzystać ze swojej szansy.

— A co z procesem?

— Przeszłabym to jakoś.

— A co z niebezpieczeństwem, w którym się pani znajdzie?

— A co z niebezpieczeństwem, w którym teraz jestem? Wydaje mi się, że to dość niemądre pytanie jak na psychiatrę. Grozi mi utrata władz umysłowych. Wiem o tym, nie jestem taka głupia. Nie sądzę, by piekło, o którym pan mówił, było lepsze od śmierci, jeśli rezultatem mojego odejścia ma być śmierć. Proszę pozwolić, że zadam panu pytanie. Chciałabym usłyszeć odpowiedź wprost. Niech pan nie zastanawia się, tylko po prostu powie prawdę. Co zrobiłby pan na moim miejscu?

— To samo, co jak wiem, pani ma zamiar zrobić. Odszedłbym. Byłbym sobą.

— Pana nie przysłali tu, by pan to powiedział, oczekują, że namówi mnie pan do pozostania.

— Skąd pani to przyszło do głowy? — spytał lekarz.

— A czy nie po to pana tu przysłano?

— Nie mogę powiedzieć, jakie były ich zamiary, ale ja mam swoje. Bardzo miły pan nazwiskiem Sandor Neville zadzwonił do mnie z polecenia Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy i opowiedział o pani. Mówił, że osobiście nigdy się z panią nie spotkał i że pragnąłby zrobić coś dla pani. Powiedział też coś, z czym zgadzam się całkowicie.

— To znaczy? — spytała Maddie wstrzymując oddech.

— Że konieczność przyglądania się, jak bez żadnej pani winy odbierane jest pani życie, to najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć. Przyjrzałem się swojemu życiu i doszedłem do tego samego wniosku. No cóż, cieszę się, że to ustaliliśmy. A myślałem już, że będę tu siedział tygodniami.

— Słucham?...

— Jeśli powiemy panu McNally, by zadzwonił na lotnisko, będziemy mieć czas na tę cudowną kolację, która tak pachniała i wyruszymy w drogę.

— Dokąd?

— Ja wracam do Atlanty, w Georgii. Zdaje się, że pani chce jechać do Nowego Jorku.

— Więc pan uważa, że mogę... odejść?

— Maddie, może pani odejść, kiedy pani będzie chciała. Zrobiła to pani w Fort Lauderdale, a potem też w Utah. To pani decyzja. Zapewne to najważniejsza decyzja, jaką podjęła pani w swoim życiu. Jeśli potrafi pani to zrobić i wszystko jest jasne, chodźmy do telefonu, a potem napełnijmy brzuchy.

— Nie tak szybko, panie doktorze. Jak poradzę sobie z Pete'em, ze sklepem i... z tym wszystkim?

— No nie, Panno Stern. Nie dajemy pani odpowiedzi, tylko pomagamy ruszyć w drogę. To pani sama musi podejmować swoje decyzje.

— Zmieniłam się.

— To zrozumiałe.

— Pete też. Zmienił się.

— Czy może pani wybaczyć tę zmianę?

— Nie wiem. Mam o nim z góry wyrobiony sąd.

— Czy uważa pani, że on również ma takie z góry wyrobione pojęcie pani?

— Myślę, że tak. Myślę, że inaczej nie mogło być.

— Trzeba będzie popracować nad waszymi stosunkami. Nieobecność nie zawsze sprawia, że serce staje się czulsze.

— To chyba odpowiedź.

— Bardziej podobałoby mi się słowo „spostreżenie”.

— Zanim pójdziemy na kolację, muszę coś panu pokazać.

Otworzyła katalog i wyciągnęła długą białą kopertę. Na arkuszu czystego papieru naklejone było świadectwo urodzenia, świadectwa pierwszej komunii i bierzmowania, a także kopia jej prawa jazdy oraz tarty ubezpieczenia społecznego. Ostatni arkusz zawierał repliki kart kredytowych.

Łzy przesłoniły oczy starego lekarza.

— Mnóstwo czasu musiało pani zająć zrobienie tego; wycięcie wszystkich liter tak starannie, a potem ułożenie ich w szereg. To dzieła sztuki — rzekł podnosząc arkusze.

— Nie, panie doktorze. Raczej, świadectwo tego, kim jestem. Chcę mieć z powrotem oryginały. Zasluguję, by mi je oddano. Nie zrezygnuję z nich.

— W takim razie, Maddie Stern, proponuję, byśmy zrobili co trzeba i ruszyli w drogę.

— Nie zatrzymają mnie?

— Nie. Ma pani moje słowo.

— W takim razie, panie doktorze, chodźmy na indyka i na szarlotkę. Mam do odrobienia mnóstwo zaległości. W kuchni Janny podeszła do niej.

— Bóg z tobą, Maddie — wyszeptała.

— Janny, przepraszam cię bardzo. Naprawdę. Idziesz?

— Nie, mam zamiar tu zostać. W pewien sposób podoba mi się to, a ci chłopcy zależą ode mnie: utrzymuję jakoś wszystko w porządku. Kiedy to się skończy, pójdę swoją własną drogą. Życzę ci wszystkiego co najlepsze.

— Chcesz, żebym do ciebie pisała?

— Nie. Myślę, że ten rozdział naszego życia jest już zamknięty. Mam coś do zrobienia i miejsca do zobaczenia. Postaram się odszukać matkę. McNally powiedział, że ma pewne źródła, gdzie może mi pomóc zasięgnąć informacji. Wszystko będzie dobrze.

— Ze mną też.

— Wiem, że tak, Maddie. Powodzenia.

— Helikopter będzie tu za czterdzieści minut — powiedział McNally cicho.

— Chyba cieszy się pan, że odchodzę, co? Nie będę się usprawiedliwiać, niech pan to zapamięta.

— Nikt tego nie oczekuje... panno Stern.

— Dziękuję panu za to, McNally.

— Czy możemy już jeść? — mruknął Phillips.

— Jasne — roześmiała się Maddie.

* * *

Setki razy przechodziła przez te drzwi, ale dziś było inaczej. Nie miała już więcej wchodzić do przypominającego chałupę domu.

Nie zabierała ze sobą niczego poza ubraniem na plecach, koperty z robionymi przez nią ręcznie świadectwami oraz niewielką ilością oszczędzonych pieniędzy.

Znowu była Maddie Stern. Miała dokumenty, które to stwierdzały.

Roześmiała się. W głosie jej brzmiała czysta radość, a z oczu sypały się skry. Przeskoczyła przez zaspę, potem opadła na kolana. Zrobiła kulę ze śniegu i udała, że zamierza rzucić w doktora. Uchylił się, jakby w obawie, że rzeczywiście to zrobi i roześmiał się do niej. Oby wszystkie jego przypadki były takie proste i dawały tyle zadowolenia.

— Będzie pani w Nowym Jorku przed północą — uśmiechnął się.

— Wprost nie do wiary! — wykrzyknęła. — Jestem wolna. Nie jestem panną Nikt, nie jestem panną XYZ. Jestem Maddie Stern. Znow jestem sobą. Sobą! Boże, to naprawdę ja!

Przenikliwy krzyk szczęścia popłynął w czyste mroźne powietrze i wrócił do Maddie.

Wracała do domu. Dzięki ci, Boże.

Annie, to była cudowna kolacja. Mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że to było najlepsze dyniowe ciasto, jakie kiedykolwiek jadłem.

— Zawsze to mówisz, bez względu na to, jakie jest — uśmiechnęła się.

— A teraz mamy czas na rozmowę, prawda?

— Tak, Pete, teraz przyszedł czas na rozmowę. Myślę, że nawet wiesz, co mam zamiar powiedzieć.

— W takim razie może ja powinienem to powiedzieć.

— Ja muszę to powiedzieć, Pete. Odchodzę. Sklep jest w dobrych rękach. Doszedłeś do ładu z listem Leo. Nie jestem tu już dłużej potrzebna. Chcę wrócić do własnego życia. Sklep, choć bardzo go lubię, jest nie dla mnie. Jestem prawnikiem i to robię najlepiej. Pete, nie miej takiej ponurej miny. Będziemy w kontakcie. Jednak najpierw mam zamiar wziąć sobie urlop.

— Annie...

— Cśśś — powiedziała kładąc palec na ustach. — Zrobiłeś to dla mnie. Czas ruszać. Zobaczysz, wszystko ci się ułoży. Zanim się obejrzyysz, proces się odbędzie i wszystko się skończy. A wtedy Maddie znajdzie się tu z powrotem, a potem będziecie żyli długo i szczęśliwie.

— A ty, Annie? — spytał Pete z napięciem w głosie.

— Ja! — powiedziała udając przerażenie. — Czy kiedykolwiek widziałeś, bym nie utrzymała się na górze?

— Raz czy dwa — rzekł lekko rozbawionym tonem.

— To się nie liczy.

Zsunęła się z krzesła, musnęła go w policzek i nim zdążył się poderwać od stołu, była za drzwiami. Usłyszał dźwięk zapuszczanego motoru i zobaczył światła zataczające łuk na kuchennej ścianie. Ogarnęła go całkowita cisza.

— Co u diabła...?

Dobra pocziwa Annie. Jego najlepsza przyjaciółka. Kumpel i powiernica. Jego kręgosłup moralny. Pocziwa stara Annie. Najlepsza kucharka na świecie. Do diabła, najlepsza kierowniczką sklepu, jaką kiedykolwiek widział. Do cholery, najlepsza prawniczka. Najlepsza we wszystkim.

A teraz odeszła. I już. Potrząsnął głową, by przejaśniło mu się w mózgu. W jednej chwili pojechałby za nią, ale wypił sam ponad butelkę wina. Annie wypła ledwie parę łyčzków. Nie nadawał się do prowadzenia.

Powiedziała, że będzie się z nim kontaktować. I będzie, nigdy go nie okłamała.

Annie to jego najlepsza przyjaciółka. Jego sumienie.

Jest najlepsza i on ją kocha.

Następnego dnia pozostałości świetnej świątecznej kolacji nadal stały na stole. Na śniadanie podziobał nadzienie z indyka. Na lunch ogryzł skrzydło i zjadł kawałek pieczonej piersi. Na kolację miał zamiar dokończyć ciasto dyniowe i wypić następną butelkę wina. Może dwie, a może trzy. Na pewno będzie mógł spać. Ale przede wszystkim potrzebny mu jakiś głos. „Stir It Up” Boba Marleya odbijało się od ścian. To coś więcej, powiedział otrzepując ręce, zanim odkorkował pierwszą butelkę wina. Nim położył się na kanapie, postanowił, że sześćdziesiąt dwa razy wysłucha „I Shot the Sheriff”.

Następnego ranka obudził się tuż przed południem. Na drodze dojazdowej dźwięczał klakson.

— Zamknij się — jęknął nakrywając głowę poduszką z kanapy. Klakson odezwał się znowu.

— Annie! — zeskoczył z kanapy i rzucił się do drzwi w dzikim pędzie. W głowie huczał mu młot pneumatyczny. Zamrugał na dźwięk dzwonka. Rozwarł drzwi szeroko i znów wykrzyknął jej imię.

— Przepraszam cię, Pete, to tylko ja.

— Maddie! Chryste Panie, to ty?

— We własnej osobie. Mogę wejść?

— Do domu? Tak, do diabła, oczywiście. — Cofnął się o krok, wciąż jeszcze zdumiony. — Maddie, jak... co...

— Chętnie napiłabym się kawy.

— Kawy!? A tak, kawy. Tak, zrobię kawę. — Dwukrotnie po drodze do kuchni potknął się, bo wciąż się oglądał. — To naprawdę ty i ja nie śnię. Czy ja śnię, Maddie?

— Nie, to ja. Wygląda na to, że miałeś przyjęcie. Czy to wciąż po Dniu Dziękczynienia? — Nie umknął mu wyraz zdumienia na jej twarzy.

— Zdaje się, że nie sprzątnąłem. Właściwie, to... pojadałem pozostałości. Może byś sprzątnęła, a ja przez ten czas zrobię kawę.

— Nie rozumiem! Ja nie... Dobrze, jeśli muszę to zrobić, by otrzymać filiżankę kawy, w porządku. Czy mam tylko wyrzucić wszystko?

— Dobry pomysł. Wrzuć talerze do zlewu. Maddie... jak...

— Siadaj, Pete, to ci opowiem.

Słuchał, a gdy skończyła kawę i swoją opowieść, nalał jej drugą filiżankę.

— Czy to nie jest dla ciebie niebezpieczne? — spytał.

— Wiesz co, Pete? Nie jestem osobą, za którą siebie uważałam. Naprawdę byłam przekonana, że wszystko wytrzymam. Myliłam się. Myliłam się co do wielu rzeczy. Dlatego właśnie tu jestem. Uświadomiłam sobie w swojej niewoli — i tak właśnie o tym myślę, niewola — że nie kocham ciebie. Nie w taki sposób, w jaki oczekujemy, że kobieta będzie kochała mężczyznę. W taki sposób pewnie kocha cię Annie Gabriel. I nie sądzę, byś ty kochał mnie tak, jak mężczyzna powinien kochać kobietę. Gdybyś mnie kochał, dołączyłbyś do mnie. Gdybym ja cię naprawdę kochała, nie prosiłabym cię o to. Musimy otwarcie o tym wszystkim porozmawiać. Kocham cię, ale nie tak. Jednak kochałam twoje pieniądze. Kiedy wszystko straciłam, zaczęłam inaczej myśleć. Coś się ze mną stało. Kiedy powiedziałeś, że będziesz zawsze na mnie czekać, czy naprawdę tak myślałeś, czy były to tylko słowa?

— Myślę, że wtedy tak uważałam naprawdę. Gdybyś mi teraz zadała to samo pytanie, musiałbym być uczciwy i powiedzieć, że były to tylko słowa.

— Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi, Pete.

— Jakoś trudno się z tym pogodzić.

— Nie, jeśli w międzyczasie dowiedzieliśmy się czegoś o sobie — rzekła Maddie miękko.

— Ja nigdy... to, co robisz, chwyta za gardło. Nie wiem, czy byłbym w stanie tak postąpić.

— Nikt nie wie, dopóki nie jest zmuszony. Jeśli mam umrzeć, chcę zginąć jako Maddie Stern. Przymknij, że jeśli mi się coś stanie, to mój... pomnik będzie głosił, że leży tam Maddie Stern. Zrobisz to dla mnie?

— Dobry Boże, Maddie... Tak, tak, dopilnuję tego.

— Dobrze. Teraz co do Czarodziejskich Opowieści...

— Poczekaj chwilę, Maddie. Czy tylko dlatego odeszłaś?

— Nie całkiem. Samodzielnie nie zdobyłabym się na to. Przyszli do mnie psychiatrę, żeby ze mną porozmawiał i dzięki niemu wypowiedziałamna głos własne pragnienia. On zrozumiał, co to znaczy być w ukryciu, wszystko stracić. Tamci tego nie rozumieli, nie powiedzieli mi, nie pomogli także. Ja sama także niewiele robiłam, by sobie pomóc. Teraz wiem tylko, że mam

zamiar cieszyć się życiem tak długo, jak długo będzie trwało. Wykonam swój obowiązek i złożę zeznanie, bo należy tak postąpić. Dotrzymam słowa. To dla mnie ważne i zrobię to. Rozumiesz?

— Każde słowo. Odpowiadając na twoje pytanie, sklep należy do ciebie. Zawsze był twój i zawsze będzie. Annie utrzymywała go dla ciebie w nie naruszonym stanie. Nawiasem mówiąc, skąd ci przyszło do głowy, że Annie mnie kocha?

— Och, Pete, jesteś czasami taki tępy. Dlaczego twoim zdaniem rzuciła wszystko i przyjechała tu? Kobiety wiedzą takie rzeczy. Myślę, że ty też ją kochasz, tylko oboje nie możecie się zdobyć na wzajemne przyznanie tego przed sobą. Pamiętasz, jaki byłeś zawsze przeczulony, gdy o nią pytałam? Byłam zazdrosna, a przecież nigdy jej nawet nie widziałam. Nikt nie odłoży na bok własnego życia i nie będzie robić tego, co ona zrobiła, o ile nie troszczy się głęboko o drugą osobę. Będzie mi ciebie brakowało, Pete.

Nie wiedział, co począć. Odczuwał zarówno ulgę, jak przerażenie.

— Jeszcze kawy?

— Jeszcze jedną filiżankę i muszę iść. Czy mogę dostać klucze do sklepu?

Pete sięgnął do wieszaka na ścianie i ściągnął komplet kluczy.

— Maddie, czy chociaż trochę lubisz Boba Marleya?

— Ani odrobiny.

— A żeglowanie? Kupiłem łódź.

— Ani trochę. Nienawidzę wiatru we włosach.

— Czy pojechałabyś ze mną do Bell's Beach?

— To jedno z tych ważnych, podstępnych pytań, prawda? — rzekła Maddie cicho.

— Nie, to po prostu pytanie.

— Wyjechałabym z tobą do Australii i zapewne znalazłabym sposób na unikanie plaży. Nie lubię, kiedy piasek oblepia mi pośladki i gdy mam zapiaszczone włosy, z całą pewnością też nie brałabym lekcji surfingu. Wciąż masz tę deskę?

— Tak, nadal ją mam. Jak myślisz, co stałoby się z nami, gdybyśmy się pobrali? — spytał z ciekawością.

— Na początku szłoby nam nieźle. Potem ty zacząłbyś coraz więcej wyjeżdżać, ja rozpocząłabym projektowanie drugiego sklepu i niewiele czasu spędzilibyśmy razem. Pewnie dryfowalibyśmy jakoś obok siebie. Żadne z nas nic by z tym nie robiło. Zaczęlibyśmy prowadzić osobne życie i w końcu pewnie rozwiedlibyśmy się. To mówię teraz, Pete. Przedtem wcale tego nie dostrzegałam. Staram się być uczciwa za nas obydwoje. Podzielasz moje zdanie?

Czy rzeczywiście podziela?

— W tej chwili tak. Ale wtedy, tak samo jak ty — nie.

— Może wynikało z tego coś dobrego — rzekła Maddie ze smutkiem. — Cóż, muszę iść. Zacznę od poszukiwania mieszkania. Poza tym potrzebna mi pożyczka.

— Z przyjemnością — rzekł Pete, sięgając do szafki po książeczkę czekową na gospodarstwo domowe. — Słuchaj, Annie jutro wyjeżdża. Przeprowadza się. Możesz korzystać z mieszkania tak długo, jak zechcesz. Podnajmuję ci je.

— Dziękuję i doceniam to, ale byłoby to coś w rodzaju oglądania się za siebie. Potrzebne mi nowe miejsce, żebym tam była osobą, którą teraz jestem. Życzę ci wszystkiego najlepszego i bardzo mi przykro, jeśli przysporzyłam ci zmartwień. Nie mogę tego cofnąć, chociaż bardzo bym chciała.

— Ja też ci życzę wszystkiego najlepszego. Pozostańmy w kontakcie.

— Tylko w sprawach interesów. Co masz zamiar zrobić ze swoim życiem, Pete?

— Cóż, chociaż nienawidzę pewnych aspektów prawa, nie sądzę, bym mógł zmienić zawód. To robię najlepiej. Chyba należą mi się wakacje. Pewnie gdzieś wyjadę.

— Gdzieś? To za mało, Pete. Zrób wszystko. Dąż do tego. Zrób to teraz, nie czekaj. Może nie być żadnego jutra. Zdaje się, że nie powinnam i tego mówić, co?

— Ależ skąd, masz rację, Maddie. Jeśli jest coś, co mogę uczynić, to wszystko....

— Poproszę cię o to. Uważaj na siebie, Pete. — Pocałowała go lekko policzek.

— A skąd w ogóle wiedziałas, gdzie jest dom?

— Zapamiętałam z listu, który do mnie napisałeś. Wiesz co? Zapamiętałam cały katalog Searsa. Deski surfingowe, strona 486. Cały katalog, panie Sorenson. Indeks także. Spróbuj mnie pobić.

Śmiała się jeszcze, gdy zawracała samochód. Pete wyszedł, by patrzeć, jak odjeżdża.

— Uważaj na siebie, Pete.

— Cały katalog? — rzekł z niedowierzaniem.

Nacisnęła klakson. Pięć krótkich sygnałów, gdy odjeżdżała.

Wrócił do domu i usiadł, by zastanowić się, co dla niego osobiście oznacza jej wizyta. Maddie wzięła odpowiedzialność za własne życie. Lepiej czy gorzej, ale ma zamiar robić to, co dla niej najlepsze.

Nie zastanawiając się długo, zadzwonił na posterunek i poprosił Otisa Nesterera. Gdy usłyszał detektywa, przedstawił się i opowiedział mu historię Maddie.

— Czy ktoś będzie jej pilnował?

— Przez całą dobę, a ona nawet nie będzie wiedziała o naszej cności.

— To dobrze.

Nie podziękował. Tak wiele jej zawdzięczali. A nigdy nie będą w stanie naprawić tego, co jej zabrali. Odwiesił słuchawkę, pozmywał naczynia, wyrzucił butelki i ponownie włożył kasetę Marleya do stereo.

Przeszedł na górę, gdzie wykapał się, ogolił, po czym wziął się do pakowania. Zabrał tyle rzeczy, by starczyły na miesiąc. Wyniósł walizki do rovera. Po raz ostatni wszedł do domu, by wyłączyć termostat, stereo i pozamykać wszystkie okna i drzwi. Uśmiechając się szeroko, wyciągnął z garderoby deskę surfingową. Z oczami jaśniejącymi radością stał z niej wyimaginowany pył. W kieszeni na piersi spoczywał bilet lotniczy.

Miał jeszcze jeden przystanek. Sklep. Porwie Annie i zabierze ją ze sobą.

Ale nie tak to wszystko wyszło. Dotarł do sklepu nieco po czwartej. Rozglądał się wśród sprzedawców i klientów. Nie dostrzegł Annie i wykrzyknął jej imię.

— Annie tu nie ma — powiedziała Ada Rollins. — Wyjechała około drugiej. Musiała złapać samolot.

— Czy powiedziała, dokąd się udaje? — Musiał wiedzieć. Musiał zapytać.

— Pożegnała się i to wszystko, panie Sorenson. Powiedziała, że nie wróci. W ubiegłym tygodniu mówiła, że myśli o przeniesieniu się do San Francisco. Może tam właśnie wyjechała. Przykro mi, że nie mogę panu pomóc.

— Mnie też jest przykro. Proszę posłuchać, jutro przyjdzie właścicielka sklepu. Przejmie go po Annie. Do widzenia paniom — powiedział do wszystkich sprzedawczyń patrzących na niego z zaciekawieniem.

Wyszedł na rześkie powietrze i nagle poczuł się głupio z deską surfingową na tylnym siedzeniu rovera. Zawsze ostatni przy wejściu. Zbyt dużo, zbyt mało, zbyt późno. Czas wracać do Darien i przemyśleć wszystko.

I to jest historia twojego życia, Peterze Sorenson.

Do diabła, jeśli Maddie zdobyła się na odwagę i wróciła, by żyć, w takim razie on musi mieć odwagę wykorzystać bilet Leo i podążyć za własnym marzeniem.

Ciemno już było, gdy wjeżdżał na zarośniętą drogę prowadzącą do domu w Darien. Zjechał na bok na widok toczącej się obok ciężarówki holowniczej. Kierowca przyduśli klakson, przesunął się na stronę pasażera i opuścił szybę okna.

— Hej, czy to pan jest Pete Sorenson?

— Tak. A pan?

— Jestem pańskim ostatnim prezentem bożonarodzeniowym sprzed jedenastu miesięcy. Zjadę z drogi.

— Co u diabła...

Musiał się zgubić. Ale zawołał go po imieniu. Pete wzruszył ramionami i wyskoczył z rovera. Ubiegłoroczny prezent świąteczny? Mężczyzna wysiadł z ciężarówki i podszedł do niego.

— Pete?

— Tak?

— Czy tak bardzo się zmieniłem? Poza tą czerwoną kokardą na mojej głowie. Ja poznałbym cię wszędzie.

— Nie, to nie może być. Jak... Jezu, Barney! Barney, to naprawdę ty?

— We własnej osobie, Pete. Nie wiem, co powiedzieć — rzekł Barney chwytając ręce Pete'a.

— Ten Simon Jakes dopadł mnie w Woodbridge, w New Jersey. Pani nazwiskiem Annie Gabriel wynajęła go, by mnie odnalazł. Jakes powiedział, że poszukiwał mnie ponad rok. Miałem się pokazać tu w ubiegłe Boże Narodzenie, ale nie mogłem go odnaleźć. Dopiero trzy dni temu. Dzisiaj sklep jest zamknięty, tak że to dla mnie pierwsza możliwość przyjazdu tutaj. Dzieciaku, przez całe lata usiłowałem cię odszukać. Nie chcę, byś myślał, że jestem z tych, co rzucają słowa na wiatr.

Moja mama poukładała swoje życie natychmiast po tym, jak cię zabrali. Zmieniła nam nazwisko. Całymi dniami płakałem. Za tobą. Cieszyłem się jednak, że uciekliśmy od Davida Watkina. Pojechaliśmy do Północnej Karoliny i mama wyszła ponownie za męża. Ojczym adoptował mnie. Wyobraź sobie, że to dlatego Jakes miał takie trudności z odszukaniem mnie.

Patrzył dłuższą chwilę na Pete'a zamglonymi oczami.

— Pete, każdego wieczoru modliłem się za ciebie. Tego dnia, kiedy kończyłeś szesnaście lat, upiłem się z kilkoma kumplami. Stale widziałem twoją twarz. Może powinienem bardziej się starać, ale nie miałem pieniędzy na wynajęcie prywatnych detektywów. Nie powiedzieli mi niczego w opiece socjalnej, tylko po prostu wykopali za drzwi.

Przysięgam na moją żonę i pięć córek, że nie było takiego dnia, bym nie myślał o tobie. Chciałem po prostu, byś to wiedział.

— Barney — powtórzył Pete trzy razy i to było wszystko, na co mógł się zdobyć. Nagle mężczyźni objęli się i Pete znalazł się w potężnych, miażdżących go niemal ramionach. Nie przejmował się tym. Płakał jak dziecko. Barney również.

Spleceni ramionami wkraczali do domu. Pete otworzył drzwi, i zapalwszy wszystkie światła, wprowadził Barneya do środka.

— To najpiękniejszy dzień mojego życia — rzekł, wydmuchując potężnie nos.

— Mój także, dzieciaku. Mój także.

— Siadaj, siadaj. A może byś coś zjadł? Piwo? Powiedz tylko, jakie, a dostaniesz.

— Masło orzechowe i galaretkę z sandwiczami z masą bananową, tak jak twoja mama je robiła. Mleko czekoladowe.

— Dostaniesz — rzekł rozpromieniony Pete.

Przegadali aż do wschodu słońca, a potem zrobili sobie śniadanie.

— A więc jesteś najlepszym w branży mechanikiem od importowanych samochodów, co? — rzekł Pete.

— Tak, ale to tylko moje zdanie — zaśmiał się Barney. — A ty jesteś wziętym prawnikiem. Nigdy nie wyobrażałem sobie siebie jako prawnika.

— A co z twoim ogrodnictwem, Barney? Do diabła, a ja chciałem być inżynierem. Jestem dobry w tym co robię, ale to także tylko moje zdanie.

— Wstawiony jesteś, czy co? — wycedził Barney. — Nie miałem pieniędzy na college.

— Posłuchaj, mam myśl. Nie musisz natychmiast wracać, prawda?

— Nie muszę. Żona dała mi cały weekend. Wyjechała do rodziny, tak że wszystko w porządku. Co masz na myśli?

— Skoro jesteś moją niespodzianką, uczciwie będzie, jeśli ja pokażę ci swoją. Pojedziemy do Jersey; ty za mną ciężarówką. W ten sposób nie będziesz musiał po nią wracać. Mam parę rzeczy do naładowania na swoją. Ja też tu nie wracam.

— Pete?

— Tak?

— Jeśli nawet nie wierzysz już w nic więcej, możesz być pewien, że ten Simon Jakes uporządkował mój świat. Zawsze miałem uczucie, że czegoś mi brakuje w życiu, że mam jakąś nie zakończoną sprawę, którą muszę się zająć. Teraz mogę wrócić do Woodbridge do żony i powiedzieć jej, że nigdy już nie będzie musiała wysłuchiwać, jak jęczę z twojego powodu. Tyle że teraz w dobrym znaczeniu tego słowa. Nie stracimy kontaktu, co? Jejku, jestem tylko mechanikiem, a ty takim wielkim prawnikiem z dyplomem i w ogóle.

— Pocałuj mnie w dupę, Barney Sims! — wybuchnął Pete. Zanosili się śmiechem. Znów byli dziećmi, gdy Pete pakował bagaże do swego rovera.

— Prowadź nieustraszony przywódco, jestem tuż za tobą, a jeśli ten zadziwiający wóz stanie albo wysiądzie, to ja go naprawię.

— Kocham cię, Barney — rzekł Pete bez skrępowania.

— Ja też cię kocham, dzieciaku. Wiesz ty co? Moja córka Jessie cały czas mówi mi, żebym ją pocałował w dupę. Naprawdę muszę złoić jej skórę. Nie chce zrozumieć, że mówi się tak tylko wtedy, gdy zawodzi wszystko inne.

Przez całą drogę do Ridgewood Pete uśmiechał się. Przydusił motor w chwili, gdy brama posiadłości Leo stanęła otworem. Rycząc jechał drogą, wyłączył silnik i w mgnieniu oka wyskoczył z ciężarówki.

— Fantastyczne kopanie masz tu, adwokacie.

Pete patrzył, jak Barney biega od krzewu do krzewu, od drzewa do drzewa, a jego usta rozciągają się od ucha do ucha w uśmiechu.

— Słuchaj, jeśli będziesz potrzebował kiedyś ogrodnika, tylko mi powiedz.

— Potrzebny mi ogrodnik. To twoje, Barney — powiedział Pete wskazując gestem całą posiadłość.

— Co mówisz?

— To twoje. Zajmę się stroną prawną po powrocie. Oto klucze — rzekł posuwając kółko z kluczami do Barneya. — Myślisz, że twojej rodzinie spodoba się życie tutaj?

— Pete, czy ty mnie nie napuszczasz?

— Absolutnie nie. Mam własny dom w Darien. To miejsce... to miejsce nie wiąże się dla mnie z żadnymi wspomnieniami. Myślę, że Leo... przyjąłby to. Możesz zwolnić ogrodników i sam zająć się zielenią. Jest na to ustalony fundusz. Do diabła, możesz żyć za to, co Leo płacił im wszystkim. Jesteś przyjęty, Barney. Chcę to zrobić i nie odmawiaj mi.

— Pete, doceniam twoją propozycję, ale to za dużo. Moja żona niechętnie coś przyjmuje. Ja zresztą też...

— A co byś powiedział na wiadomość, że jest z tym związany pewien warunek?

— Powiedziałbym, że trzeba go poznać.

— Dobrze — Pete skinął głową i zaczerpnął głęboko powietrza. — Wszystko to jest twoje, jeśli weźmiesz parę dzieciaków do przysposobienia i będziesz je kochał. Jak myślisz, mógłbyś to zrobić, czy też posiadanie piątki własnych nie pozwala wziąć jeszcze więcej? I kilku psów. Taka jest umowa.

— W takim razie umowa podpisana — Barney uśmiechnął się szeroko. — Jestem pewien, że żona się zgodzi. Dziewczynki na pewno.

— Jeśli potrzeba ci dodatkowych dochodów, wynajmij powozownię. Otrzymasz za nią pewnie parę tysięcy miesięcznie.

— Parę tysięcy miesięcznie! — powtórzył Barney w nabożnym zdumieniu.

— Tak. Doskonała lokalizacja. Jedź do Nowego Jorku i daj ogłoszenie. Słuchaj, możesz zostać tak długo, jak zechcesz. Ja wybieram się w podróż i nie chcę tracić czasu. Przeznaczenie na mnie czeka — rzucił górnolotnie. — Kiedy wrócę, będziemy razem. Chcę poznać twoją żonę i dzieci. W takim razie umowa stoi.

— Jak mam ci dziękować?

— Nie ma potrzeby, Barney. Samo to, że cię widzę, i fakt, że o mnie nie zapomniałeś, stanowi dla mnie wystarczające podziękowanie.

— Masz uważać na siebie, słyszysz? — rzekł Barney grubym głosem.

— Tak, tak, oczywiście.

Łzy gromadziły się w oczach Pete'a, gdy obejmował starego przyjaciela.

— Jedź już, zanim doprowadzisz mnie do płaczu — rzekł Barney wycierając nos. — Nie mogę płakać, jestem starszy.

— Pocałuj mnie w dupę, Barney — huknął Pete wskakując za kierownicę rovera. Barney załkał i wycierał oczy, aż Pete skrył się za horyzontem i zniknął mu z oczu.

— Dzięki ci Boże, dzięki ci za wszystko — rzekł Pete mijając otwartą bramę. — Za Leo, za Annie i za Barneya.

* * *

Maddie siedziała w taksówce z twarzą przyklepioną do okna. Czarodziejskie Opowieści. Nareszcie.

Zapłaciła kierowcy i nagle przytłoczyło ją to, co zobaczyła. Wchodzący i wychodzący, z pękatymi torbami jej projektu. Szła do sklepu z zawrotem głowy.

Był perfekcyjnie udekorowany błyszczącą bielą i złotem, z połyskującymi mobilami udającymi płatki śniegu, zwieszającymi się z sufitu. Wciągnęła głęboko powietrze z zachwytem, gdy szła przez sklep. Dotykała po drodze różnych rzeczy, usiłując objąć wzrokiem wszystko naraz.

Doskonałość.

Jej.

Łzy piekły ją pod powiekami, gdy przechodziła na tył sklepu, gdzie zapracowane ekspedientki pakowały podarki i uśmiechały się do rozradowanych klientów.

Jej.

Obróciła się wkoło z jaśniejącym na twarzy uśmiechem. Jest wolna. Żyje. Będzie żyć własnym życiem. A to cudowne miejsce zwie się Czarodziejskie Opowieści.

— Dziękuję ci, Pete. Dziękuję ci za wszystko.

EPILOG

Było chłodno, niebo pokrywały chmury. Może pod koniec dnia spadnie deszcz. No to co, pomyślał Pete. Jestem tu. Całe życie na to czekałem. Pobiegnę teraz na plażę, rzucę deskę na wodę i wskoczę na nią, tak jak robią na filmach. Jeśli spadnę, to co? Wskoczę z powrotem. Jutro zapiszę się na lekcje, ale dziś należy do mnie. Jeśli się zabiję, nie będę musiał brać lekcji.

Plaża była niemal pusta. Tylko kilkoro dzieciaków i para nastolatków. Za dziećmi widać było samotną postać skuloną w plażowym szlafroku. Jeśli zrobi z siebie durnia, czy przejmie się tym, że zobaczy go jakiś podpity nastolatek lub małe dzieciaki, które będą się z niego śmiać? Mało prawdopodobne. Jedyne problem stanowi to, że będzie musiał skakać przed ową skuloną postacią. On czy ona uśmieje się pewnie z całej duszy. No i co, kogo to obchodzi? To jego chwila.

Wypróbował ciężar deski, wbijając pięty w piasek. Serce łomotało mu piersi, gdy ruszył plażą. Był już prawie przy zakutanej postaci, gdy słyszał zwrócone do siebie pytanie.

— Dlaczego to tak długo trwa?

— Annie!

— Tak, to ja. Kto inny byłby na tyle głupi, by iść za marzeniami innej osoby? Korzenie tu zapuściłam. Jestem już od pięciu dni.

Pete rzucił deskę.

— Annie, to naprawdę ty! Poszedłem do sklepu, by zapytać, czy ze mną pojedziesz, ale już cię nie było. Maddie wróciła.

— Wiem. Dzwoniła do mnie. To ona mi powiedziała, że tu przyjedziesz. Powiedziała... powiedziała: „Zwyczajnie jedź i czekaj na niego. Musi znaleźć swą własną drogę, tak samo, jak ja to zrobiłam”.

— Miała rację.

— Wiem.

— Myślę, że zawsze cię kochałem. Tylko byłem za głupi, by to rozumieć — rzekł Pete obejmując ją.

— To także wiem.

— Zawsze byłaś mądrzejsza ode mnie.

— To również prawda, wciąż jednak stanowimy dobry zespół. Czy teraz mnie pocałujesz?

— O nie, nie teraz. Mam zamiar wskoczyć do wody, a potem będę cię całował i nigdy nie przestanę.

— To lepiej się ruszaj, bo już wystarczająco długo czekałam na tę chwilę.

— Ach, do diabła z wodą. Chodź do mnie, przyszła pani Sorenson.

Nie była głupia i zrobiła tak, jak jej powiedział.

— Podoba mi się. Zrób to jeszcze raz.

Postuchał. On również nie był głupi.